

Pozycja obowiązkowa
dla każdego fana wampirów
i powieści gotyckich.

Katarzyna Berenika Miszczuk

Wciąga od pierwszych stron,
zaskakuje konstrukcją i czaruje
klimatem.

Stefan Darda

DACRE STOKER

J. D. BARKER



*Wielu rzeczy
nie wiemy o życiu;
ze śmiercią jest
podobnie.*

DRACUL

CZARNA OWCA

DACRE STOKER
J.D. BARKER

DRACUŁ

Przełożył Szymon Żuchowski

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Tytuł oryginału: *DRACUL*

Projekt okładki: Eric Fuentecilla

Ilustracja na okładce: Christie Goodwin / Arcangel

Adaptacja okładki: Magda Kuc

Redakcja: Michał Zakrzewski

Korekta: Beata Wójcik, Adam Osiński

Redaktor prowadzący: Bartłomiej Nawrocki

Copyright © 2018 by Dacre Stoker and J. D. Barker

Copyright © for the Polish translation by Szymon Żuchowski, 2020

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8143-201-6

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5 | DZIAŁ HANDLOWY tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl
00-519 Warszawa | REDAKCJA tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl
www.czarnaowca.pl | SKLEP INTERNETOWY tel.: +48 22 77 55 705, www.inverso.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Spis treści

CZĘŚĆ I

OBECNIE

DZIENNIK BRAMA STOKERA

DZIENNIK BRAMA STOKERA

OBECNIE

DZIENNIK BRAMA STOKERA

OBECNIE

DZIENNIK BRAMA STOKERA

OBECNIE

DZIENNIK BRAMA STOKERA

CZĘŚĆ II

OBECNIE

LIST MATYLDY DO ELLEN CRONE Z 8 SIERPANIA 1868

DZIENNIK BRAMA STOKERA

OBECNIE

DZIENNIK BRAMA STOKERA

PAMIĘTNIK THORNLEYA STOKERA

DZIENNIK BRAMA STOKERA

OBECNIE

LIST MATYLDY DO ELLEN CRONE Z 11 SIERPANIA 1868

PAMIĘTNIK THORNLEYA STOKERA

DZIENNIK BRAMA STOKERA

LIST MATYLDY DO ELLEN CRONE Z 11 SIERPANIA 1868

DZIENNIK BRAMA STOKERA

OBECNIE

PAMIĘTNIK THORNLEYA STOKERA

DZIENNIK BRAMA STOKERA

Z NOTATEK ARMINIUSA VÁMBÉRYEGO

PAMIĘTNIK THORNLEYA STOKERA

OBECNIE

DZIENNIK BRAMA STOKERA

Z NOTATEK ARMINIUSA VÁMBÉRYEGO

PAMIĘTNIK THORNLEYA STOKERA

DZIENNIK BRAMA STOKERA

OBECNIE

LIST MATYLDY DO ELLEN CRONE Z 16 SIERPNIA 1868

DZIENNIK BRAMA STOKERA

PAMIĘTNIK THORNLEYA STOKERA

OBECNIE

DZIENNIK BRAMA STOKERA

PAMIĘTNIK THORNLEYA STOKERA

OBECNIE

DZIENNIK BRAMA STOKERA

OBECNIE

DZIENNIK BRAMA STOKERA

CZĘŚĆ III

OBECNIE

ARMINIUS

MATYLDA

BRAM

MATYLDA

BRAM

MATYLDA

BRAM

MATYLDA

BRAM

MATYLDA

BRAM

LIST MATYLDY DO ELLEN CRONE Z 11 SIERPNIA 1868

DWADZIEŚCIA DWA LATA PÓŹNIEJ

DZIENNIK BRAMA STOKERA

EPILOG

KARTA PACJENTA NR 40562 DR WILLIAM THORNLEY STOKER

OD AUTORÓW

PODZIĘKOWANIA DACRE'A

PODZIĘKOWANIA J.D. BARKERA

O AUTORACH

*Dla tych, którzy wiedzą,
że potwory istnieją naprawdę*



Sposób ułożenia tych materiałów będzie stawał się jasny w miarę ich lektury. Wyeliminowałem wszystko, co zbędne, aby sprowadzić tę opowieść do prostych faktów. Zgromadziłem i uporządkowałem te dokumenty dzięki pomocy osób, które miały odpowiednią wiedzę oraz ochotę, by ujawnić to, co zaszło w owym ponurym i strasznym czasie. Całości dopełniają moje wtręty narracyjne.

Czerpcie z tego wedle uznania.



CZĘŚĆ I



Jestem głęboko przekonany, że nie należy wątpić w prawdziwość opisanych tu wydarzeń, jakkolwiek niewiarygodne i niepojęte mogłyby się one z początku wydać.

– Bram Stoker, *Dracula*

Fragment niedawno odkrytej oryginalnej przedmowy usuniętej przed publikacją.

Usłyszałem dziwny, przesywający śmiech o brzmieniu szklanego dzwoneczka – to był jej głos – wciąż przyprawia mnie o dreszcze, bo nie należał do człowieka.

– Bram Stoker, *Makt Myrkranna*

OBECNIE



BRAM wpatruje SIĘ W DRZWI.

Po czole pokrytym zmarszczkami spływa mu pot. Przeczesuje palcami wilgotne włosy, czuje w skroniach pulsujący ból.

Od jak dawna nie śpi? Od dwóch dni? Trzech? Nie wie; godziny zlewają się ze sobą, jak w malignie, z której nie ma przebudzenia, jest tylko sen, głębszy, coraz bardziej mroczny...

Nie!

Nie wolno myśleć o spaniu.

Zmusza się do otwarcia szeroko oczu. Powieki mają być podniesione, bez mrugnięcia, bo z każdym kolejnym robią się cięższe. Nie ma mowy o odpoczynku, śnie, bezpieczeństwie, rodzinie, przyszłości...

Drzwi.

Musi je obserwować.

Bram wstaje z krzesła, jedyne mebla w pokoju, i wbija wzrok w grube dębowe drzwi. Czyżby się poruszyły? Zdawało mu się, że drgnęły, ale nie towarzyszył temu żaden odgłos. Nawet najlżejszy hałas nie mącił ciszy tego miejsca; słyhać było tylko jego oddech i niespokojne uderzanie stopą o zimną posadzkę z kamienia.

Klamka ani drgnie, ozdobne zawiasy chyba nie ruszyły się od stu lat, zamek mocno trzyma. Przed pojawieniem się tutaj Bram nigdy nie widział takiego zamka wykutego w żelazie i wtopionego w drzwi. Mechanizm tworzy z nimi

jedną całość, pośrodku zabezpieczony jest dwoma dużymi ryglami sięgającymi do prawej i do lewej i wchodzącymi w futrynę. Klucz znajduje się w jego kieszeni i w jego kieszeni pozostanie.

Bram zaciska dłoń na karabinie Snider-Enfield Mark III, przesuwa palcem po kabłąku spustowym. W ostatnich godzinach przeładowywał broń, odwodził i zwalniał zamek więcej razy, niż byłby w stanie zliczyć. Wolną ręką przeciąga po zimnej stali, by upewnić się, że zasuwka jest we właściwej pozycji. Odciąga kurek.

Tym razem widzi – ledwie dostrzegalny cień w szparze między drzwiami a podłogą, może nawet bardziej ruch powietrza niż cień, ale jednak...

Bezgłośnie odstawia karabin i opiera go o krzesło.

Sięga do wiklinowego kosza po lewej i wyjmuje z niego białą dziką różę, jedną z siedmiu, które mu pozostały.

Od ruchu jego ręki migocze płomyk lampy oliwnej, jedyne źródło światła w pokoju.

Bram ostrożnie podchodzi do drzwi.

Poprzednia róża leży pod drzwiami, obok stosu suchych, poczerniałych kwiatów zawłaszczonych przez śmierć, łodygę ma suchą i wątlą, jej kolce wydają się większe niż wtedy, gdy jeszcze było w niej życie. Nad nią unosi się zapach zgnilizny; róża nabrała trupiego zapachu raflezji.

Bram czubkiem buta odsuwa kwiat, po czym delikatnie kładzie nowy na jego miejscu.

– Ojczy, pobłogosław tę różę swoim tchnieniem i dłonią, i wszelką świętością. Ześlij swoje anioły, aby jej strzegły, i niechaj ich pochodnie potrzymają wszelkie zło z dala. Amen.

Za drzwiami rozlega się huk, jakby w deski ze starego dębu uderzył ciężar kilkuset kilo. Drzwi uginają się, a Bram dopada krzesła, chwytając oparty o nie karabin, przyklęka na jedno kolano i celuje.

I wtedy znów nastaje cisza.

Bram zastyga w bezruchu, z bronią wycelowaną w drzwi, w końcu ciężar karabinu sprawia, że opuszcza lufę i przesuwa wzrokiem po pokoju.

Co by pomyślał ktoś, kto by wszedł tam teraz i zobaczył to wszystko?

Bram obwiesił ściany wszystkimi lustrami, jakie miał – niemal dwudziestoma zwierciadłami we wszelkich rozmiarach i kształtach. Kiedy przenosi wzrok z jednego na drugie, wpatruje się w niego jego stukrotnie odbita zmęczona twarz. Bram stara się odwrócić wzrok, ale znów natrafia na kolejne odbicia, a każde z nich ma rysy mężczyzny dużo starszego niż dwadzieścia jeden lat.

Pomiędzy lustrami przybił krzyże, prawie pięćdziesiąt sztuk. Niektóre z wizerunkiem Chrystusa, inne sklecone z dwóch gałązek pobłogosławione jego własną dłonią. Krzyżami pokrył również podłogę – najpierw rysując je kredą, a potem wydrapując w kamieniu czubkiem noża myśliwskiego, aż do ostatniego skrawka miejsca. Nie miał pewności, czy to wystarczy, ale zrobił, co mógł.

Nie wolno mu stąd wyjść.

Najprawdopodobniej nigdy stąd nie wyjdzie.

Wraca na krzesło i siada.

Z zewnątrz dobiega wrzask nura, księżyc wychodzi zza gęstych chmur i niknie za nimi. Bram sięga po zegarek kieszonkowy i klnie – zapomniał go nakręcić i wskazówki zatrzymały się na godzinie 4.30. Chowa zegarek z powrotem do kieszeni.

Kolejny huk za drzwiami, tym razem głośniejszy niż ostatnio.

Bram wstrzymuje oddech i patrzy na drzwi w porę, by dostrzec, jak kurz wzbija się w powietrze, po czym opada na posadzkę.

Czy zaryglowane drzwi oprą się kolejnym próbom ich sforsowania?

Nie wiadomo. Drzwi są bez wątpienia solidne, ale z każdą godziną, im bliżej świtu, uderzenia stają się coraz bardziej wściekłe i pełne determinacji.

Płatki róży zaczęły już brązowieć, o wiele szybciej niż poprzedniej.

Co się z nim stanie, kiedy drzwi wreszcie ustąpią? Bram myśli o karabinie i nożu świadom, że nie na wiele się zdadzą.

Obok kosza z różami zauważa swój dziennik; musiał wypaść mu z kieszeni płaszcz. Podnosi tom oprawiony w zdartą skórzaną okładkę i wertuje strony, wraca na krzesło, kątem oka wciąż zerkając na drzwi.

Wyjmuje ołówek z kieszonki na piersi, otwiera dziennik na pustej stronie i zaczyna pisać w migocącym świetle lampy olejnej.

DZIENNIK BRAMA STOKERA



OSOBLIWOŚCI ELLEN CRONE. Od tego, oczywiście, powinienem zacząć, jest to bowiem w równej mierze jej historia, co moja, a może nawet bardziej jej niż moja. Ta kobieta, ten potwór, ta zjawa, ta przyjaciółka, ta... istota.

Zawsze była przy nas. Moje rodzeństwo mogłoby to potwierdzić. Ale w jaki sposób była – o to należałoby zapytać. Była obecna przy moim początku i bez wątplenia będzie przy moim końcu, tak jak ja byłem przy jej. Zawsze byliśmy i będziemy spleceni ze sobą.

Moja kochana ciocia Ellen.

Zawsze gotowa wyciągnąć pomocną dłoń, choćby ukłucie jej paznokci zostawiało krwawy ślad.

* * *

MOJE ŻYCIE zaczęło się okropnie.

Odkąd sięgam pamięcią, byłem dzieckiem chorowitym i przykutym do łóżka, od przyjścia na świat po moje siódme urodziny, kiedy to nastąpiło uzdrowienie. We właściwym czasie opowiem o nim w szczegółach, na razie jednak ważne, abyście zrozumieli, w jakim stanie spędzałem swoje pierwsze lata.

Urodziłem się ósmego listopada 1847 z ojca Abrahama i matki Charlotte w skromnym domu przy Marino Crescent 15 w irlandzkiej miejscowości Clontarf, położonej na wybrzeżu, jakieś sześć kilometrów od Dublina. Od

wschodu otaczał ją park, a od zachodu widać było zatokę; zasłynęła jako miejsce bitwy pod Clontarf w 1014, w której wojska Briana Śmiałego, arcykróla Irlandii, pokonały Wikingów z Dublina oraz ich sojuszników, Irlandczyków z Leinster. Bitwa ta wyznaczyła koniec wojen irlandzko-wikińskich – tysiące zabitych pokryły krwawe pobojowisko na tym samym wybrzeżu, na które wychodziły potem okna mojego pokoiku. W ostatnich latach Clontarf stało się celem wakacyjnych wyjazdów zamożnych Irlandczyków, pragnących uciec z zatłoczonego Dublina, by łowić ryby i spacerować po naszych plażach.

Na podstawie mojego opisu można by uznać miasteczko za romantyczne, ale w roku 1847 ani trochę takie nie było. Był to czas głodu i chorób, które zaczęły nękać Irlandię dwa lata przed moimi narodzinami i trwały do roku 1854. *Phytophthora infestans*, znana również jako zaraza ziemniaka, zaczęła siać spustoszenie w uprawach w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku i przerodziła się w istny koszmar, przez który Irlandia w wyniku śmierci lub emigracji straciła dwadzieścia pięć procent ludności. Na lata mojego dzieciństwa przypadł najbardziej tragiczny okres. W 1849 mama i tata zabrali nas w głąb lądu, aby umknąć przed głodem, chorobami i przestępczością; żywili też nadzieję, że świeże powietrze przysłuży się mojemu wątłemu zdrowiu, wszystko to jednak tylko pogłębiło moje odosobnienie, a dźwięki z portu, których tak nasłuchiwały moje młode uszy, stały się jeszcze odleglejsze. Codzienny spacer taty do biura na Zamku Dublińskim wydłużał się, w miarę jak umierał świat dookoła nas, a wilgotna pajęczyna żalu pokrywała wszystko, co z niego pozostało.

* * *

OBSERWOWAŁEM BIEG WYDARZEŃ z okien pokoju na poddaszu naszego domu, znanego jako Artane Lodge, niczym bierny widz, polegający jedynie na opowieściach domowników, którzy objaśniali mi wszystko, co działo się na zewnątrz. Patrzyłem, jak żebracy wyrywają rzepy i kapustę z ogrodów naszych sąsiadów, jak wykradają jajka z naszego kurnika, w nadziei, że choć na jedną noc

uśmierzą głód. Widziałem, jak ściągają ze sznurków suszące się na nich cudze pranie, jeszcze wilgotne, żeby mieć w co ubrać dzieci. Pomimo tego wszystkiego moi rodzice i nasi sąsiedzi, kiedy tylko mogli, otwierali swoje domy i zapraszali tych, którzy znaleźli się w gorszym położeniu, żeby dać im ciepły posiłek i schronienie w czasie burzy. Od najmłodszych lat motto rodziny Stokerów – „Prawość i szlachetność nade wszystko” – było mi wpajane i kierowali się nim wszyscy domownicy. Bynajmniej nie wiodło nam się dobrze, ale i tak mieliśmy więcej szczęścia niż inni. Jesienią 1854 roku tata pracował jako urzędnik w biurze Głównego Sekretarza Irlandii, podobnie jak przez ostatnie trzydzieści dziewięć lat, zaczął bowiem jako szesnastoletni młodzieniec. Był znacznie starszy od mamy, z czego zdałem sobie sprawę, dopiero gdy dorosłem. Zamek Dubliński był też rezydencją Lorda Namiestnika Irlandii, a jego biuro zajmowało się korespondencją między wszystkimi urzędami w Anglii a ich irlandzkimi odpowiednikami. Tata zajmował się ewidencjonowaniem tych listów, a ich tematyka rozciągała się od codziennych spraw kraju po oficjalne komunikaty na temat biedy, głodu, zarazy wśród bydła, chorób, epidemii, szpitali i więzień, niepokojów politycznych i rebelii. Nawet gdyby chciał ignorować problemy naszych czasów, nie dałby rady – siedział w tym wszystkim za głęboko.

Mama była członkinią nadzwyczajną Irlandzkiego Towarzystwa Badań Statystycznych i Społecznych, odgrywającego dużą rolę w zbiórkach żywności i innych formach pomocy dla Dublina. Kiedyś taka praca zarezerwowana była dla mężczyzn. Nie było dnia, żeby mama nie targowała się z sąsiadem o mleko tylko po to, aby następnie wymienić je z innym na sukno. Dzięki jej staraniom nasza duża rodzina zawsze miała co do garnka włożyć i pomagała wykarmić niezliczonych przybyszów, którzy przestąpili nasz próg w tych ciężkich czasach. Była spoiwem naszej rodziny – widzę to teraz, jako dorosły, ale jako siedmiolatek uważałem wręcz przeciwnie. Powiedziałbym wówczas, że zamyka mnie w pokoju i za cenę mojego szczęścia izoluje mnie od bolączek świata, nie pozwalając mi na choćby najmniejszy kontakt z nimi.

Nasz dom stał nieopodal Malahide Road, ulicy wybrukowanej kamieniem wydobywanym w pobliskiej wsi Rockfield. Moje życie toczyło się na poddaszu, skąd przez łukowe okno widziałem całkiem sporo, od gospodarstw naokoło aż po odległą zatokę, a przy sprzyjającej pogodzie nawet niszczącą wieżę zamku Artane. Przyglądałem się zgiełkowi otaczającego mnie świata, niczym jedyny widz przedstawienia, zmuszony przez chorobę do bezustannej obecności w teatrze.

Pewnie jesteście ciekawi, co mi właściwie dolegało – to pytanie pozostaje bez odpowiedzi, gdyż nikt nie umiał stwierdzić tego z całą pewnością. Cokolwiek to było, dopadło mnie wkrótce po urodzeniu i wbiło we mnie swe podłe szpony. W najgorsze dni prawdziwym wyczynem było dla mnie przejście na drugą stronę pokoju; po takim wysiłku padałem bez tchu i ledwie przytomny. Zwykła rozmowa pozbawiała mnie tej odrobiny energii, którą dysponowałem; wypowiedziawszy zaledwie kilka zdań, często bladłem, moja skóra stawała się zimna w dotyku, pot wysączał mi się z porów i wpadałem w drzenie, kiedy ta wilgoć spotykała się z nadmorskim powietrzem. Serce czasem kołatało mi w piersi, biło nieregularnie, jakby nadaremno poszukując rytmu. I jeszcze bóle głowy – nachodziły mnie raptownie i trwały nieraz po kilka dni, jakby sam zły duch zaciskał jakąś klamrę wokół mojej czaszki.

Całe noce i dni upływały mi w moim pokoiku na zastanawianiu się, czy właśnie minął mój ostatni wieczór, czy też rano obudzi mnie świt mokry od rosy.

Nie byłem tam, na poddaszu, zupełnie sam – mieściły się tam jeszcze dwa inne pokoje. W pierwszym mieszkała moja siostra, Matylda, wówczas ośmioletnia, a drugi zajmowała nasza opiekunka, Ellen Crone, którą nazywaliśmy ciocią, choć nie była z nami spokrewniona. Ta ostatnia dzieliła pokój z maleńkim Richardem, moim nowo urodzonym bratem, a zarazem najbardziej angażującym obiektem jej troski.

Na piętrze pode mną znajdowały się wewnętrzna toaleta i pokój moich rodziców, jak również druga sypialnia, należąca do moich dwóch braci, Thornleya i Thomasa, odpowiednio w wieku lat dziewięciu i pięciu.

Na parterze mieściły się kuchnia, salon i jadalnia ze stołem wystarczająco dużym dla wszystkich domowników. Była też piwnica, ale mama zabroniła mi do niej schodzić. Przechowywaliśmy tam węgiel, a kontakt z pyłem mógł przykuć mnie do łóżka na dobry tydzień. Za domem znajdowała się stara kamienna stodoła. Trzymaliśmy w niej trzy kury i świnie, którymi Matylda zajmowała się już od trzeciego roku życia. Na początku nadawała zwierzętom imiona, ale w okolicach swoich piątych urodzin zauważyła, że co najmniej dwa razy w roku ktoś podmienia większe maciory na mniejsze świnki. Kiedy skończyła sześć lat, zorientowała się, że to te same świnię, które trafiają do rzeźnika, a potem lądują na naszych talerzach. Wtedy zrezygnowała z nazywania zwierząt hodowlanych.

Wszystko to zaś obserwowała Ellen Crone.

DZIENNIK BRAMA STOKERA



OD CZEGO BY TU ZACZAĆ? Do opowiedzenia jest tak wiele, a cennego czasu tak mało, potrafię jednak określić moment, kiedy wszystko się zmieniło. W ciągu jednego szczególnego tygodnia ja zostałem uzdrowiony, nasza droga ciocia Ellen znikła, a pewna rodzina postradała życie. Zaczęło się niewinnie, od nic nieznaczącego podsłuchiwania. Byliśmy zaledwie dziećmi – ja miałem siedem lat, a Matyllda osiem – i mieliśmy nigdy nie zapomnieć tej jesieni. Na początku były tylko dwa słowa.

* * *

PAŹDZIERNIK 1854

– Pochowany żywcem – powtórzyła cicho Matyllda. – Tak powiedziała. Nie przesłyszałam się.

Chociaż była rok starsza ode mnie, spędziłem w jej towarzystwie wiele bezsensnych godzin, zwłaszcza odkąd znalazłem się zamknięty w pokoju – tak jak i dzisiaj. Staliśmy przy oknie, a Matyllda wskazywała palcem na zatokę.

– Mama mówiła, że ten człowiek był chory, a kiedy błagał o pomoc, tamci w odpowiedzi wykopali dół w ziemi i wepchnęli go do środka. Kto jest w stanie zrobić coś takiego? Jak można było z czystym sumieniem wziąć w czymś takim udział?

– Mama z pewnością nie powiedziała by czegoś takiego – zaproponowałem. Wodząc oczyma za jej palcem, próbowałem przeniknąć wzrokiem mgłę kłębiącą się nad wodą.

– Powiedziała. Jeśli ją o to zapytasz, to na pewno zaprzeczy, ale powiedziała to tacie, kiedy wrócił do domu, najwyżej dwadzieścia minut temu. Przyszłam do ciebie od razu.

Usiłowałem powstrzymać uśmiech, ponieważ wiedziałem, że Matylda wysmażyła taką historyjkę po to, by dostarczyć mi rozrywki, ale mimo to uniosły mi się kąciki ust, a siostra klepnęła mnie w ramię.

– Nabijasz się ze mnie. – Zmarszczyła brwi i odwróciła się od okna.

– Mówiłaś, że gdzie do tego doszło?

Zamiast odpowiedzieć, siedziała ze wzrokiem wbitym w przeciwległą ścianę.

– Matyldo? Gdzie to się stało?

Z głębokim westchnieniem powiodła znów wzrokiem do okna.

– Na cmentarzu za kościołem Świętego Jana Chrzciciela. Powiedziała, że pochowali go wśród grobów samobójców.

– Grobów samobójców?

– Już ci o nich mówiłam – odparła ze zniecierpliwieniem Matylda. – Są ukryte po drugiej stronie cmentarza, tuż za murem, w wiecznym cieniu. Chowają tam każdego, kto odbiera sobie życie, a poza tym złodziei, przestępców i tym podobnych. Jest kilka tablic i krypt, ale głównie goła ziemia, a w niej setki posępnych grobów. Zresztą nie jest poświęcona, więc ich dusze nie zaznają spokoju. Będą potępione na wieczność.

– Po co więc chować tam kogoś chorego?

– Pytasz, czemu ten konkretny mężczyzna został tam pogrzebany żywcem?

– Skoro pochowano go żywcem, to tak naprawdę został zamordowany – wyjaśniłem. – Więc miałyby prawo do pogrzebu jak każdy inny, w poświęconej ziemi.

– Nie da się ukryć trupa wśród normalnych grobów, ale pochowaj go wśród samobójców, a nikt go nie odnajdzie.

Złapał mnie atak kaszlu i odwróciłem głowę, poczekałem, aż przejdzie, i kontynuowałem:

– Jeśli mama wiedziałaby o czymś takim, poinformowałaby władze. Postąpiłaby jak należy.

– Może władze już wiedzą i po prostu ich to nie interesuje. Co kogo obchodzi, że na ulicach jest o jednego chorego mniej.

– A co na to wszystko tata? – spytałem.

Matylda przemierzyła pokój i przysiadła na skraju mojego łóżka, kręcąc na palcu loki z długich, jasnych włosów.

– Najpierw nic nie mówił i zastanawiał się nad tą historią, po czym stwierdził: „Sprawy w Dublinie mają się coraz gorzej”, a potem wrócił do czytania gazety i nie odezwał się więcej.

– Nie wierzę w ani jedno słowo, zwyczajnie zmyślasz – powiedziałem i uśmiechnąłem się spierzchniętymi ustami.

– To wszystko prawda!

– Co takiego jest prawdą?

Jak na komendę odwróciliśmy się w stronę cioci Ellen, która stała w drzwiach, trzymając tacę z drugim śniadaniem. Z gracją wkroczyła do pokoju, zdawało się, że bardziej płynie w powietrzu, niż idzie, i postawiła tacę na stoliku nocnym.

Matylda posłała mi znaczące spojrzenie, jakby chciała powiedzieć, żebym się nie wygadał, choć ja wcale nie miałem takiego zamiaru.

– Nic takiego, ciociu.

Ciocia Ellen podejrzliwie zerknęła najpierw na mnie, potem na Matyldę i znowu na mnie, po czym pochyliła się nad tacą i naląła filiżankę gorącej herbaty.

– Cóż za upiorny temat do konwersacji sobie znaleźliście. Ludzie zakopani żywcem w nieoznaczonych grobach? No wiecie co! To nie są tematy nawet dla dorosłych, a co dopiero dla takich jak wy. Właśnie, a ty dlaczego nie w łóżku? Zamarzniesz na śmierć, stercząc przy tym oknie. I co wtedy? Obawiam się, że

będziemy musieli wykopać nieduży dołek wśród grobów samobójców i położyć cię tam razem z tamtym chorym. – Mrugnęła do Matyldy. – Myślisz, że znajdziesz chwilę między jedną plotką a drugą, żeby pokazać mi, gdzie jest to miejsce i skąd mogę wziąć łopate?

Popędziłem do łóżka i zagrzebałem się w pościeli.

– Nie zrobiłabyś tego – rzuciłem.

Ciocia Ellen usiłowała zachować kamienną twarz.

– Z całą pewnością bym zrobiła. Mam chrapkę na ten twój pokój. Mój zrobił się nieco ciasny, odkąd dzieję go z niemowlęciem.

Podniosła ze stolika nocnego dzwonek i potrząsnęła nim.

– Nie będziemy musieli już tego słuchać, prawda? Cóż za radosna perspektywa!

Próbowałem wyrwać jej dzwonek z palców, ale okazała się dla mnie za szybka; chwyciłem tylko powietrze.

– Wiesz, ciociu, że nie lubię go używać, ale mama się upiera.

Matylda zmarszczyła brwi i spojrzała pytająco na ciocię.

– A więc ty też mi nie wierzysz?

Ellen położyła ręce na biodrach i westchnęła:

– Ani przez chwilę nie uwierzyłabym, że przyzwoici Irlandczycy mogliby stać i patrzeć, jak ktoś wpycha żywego człowieka do otwartego grobu na wieczne zapomnienie. Myślę, że poniosła cię wyobraźnia. Być może coś usłyszałaś, ale doprawdy wątpliwe, żeby była to taka historia. Może lepiej wykorzystaj swój czas, pomagając mamie w kuchni przy obiedzie, zamiast czaić się za rogiem i podsłuchiwać cudze rozmowy, które nie są przeznaczone dla twoich młodych uszu.

– A właśnie że mama to powiedziała – upierała się Matylda, nadąsana.

Ciocia Ellen westchnęła, przysiadła na łóżku obok mnie i sięgnęła smukłymi palcami do mojego czoła. Przeszedł mnie dreszcz; dotyk jej skóry był lodowaty.

– Znów masz gorączkę, młody człowieku. – Nalała wody z dzbanka do miednicy obok łóżka, zamoczyła szmatkę, wyżyła ją i położyła mi na czole. –

Kładź się – poleciała.

Zrobiłem, jak kazała, i powiedziałem:

– Szare.

– Co?

– Twoje oczy są dziś szare. – Była to barwa ciemnoszara, przywodząca mi na myśl gęste chmury burzowe, które jeszcze dwa dni wcześniej zasnuły niebo nad portem. – Wczoraj były piwne. A przedwczoraj niebieskie. Jakiego koloru będą jutro?

Spojrzała na mnie z góry tymi swoimi oczyma i założyła blond włosy za ucho. Zazwyczaj nosiła je upięte, ale tamtego dnia opadały jej luźno na ramiona.

* * *

CZĘSTO ROZMYŚLAŁEM NAD URODĄ ELLEN CRONE. W wieku siedmiu lat nie zastanawiałem się jeszcze nad tym, ale jako dorosły mężczyzna muszę przyznać, że była atrakcyjna. Miała gładką i śnieżnobiałą skórę bez żadnej skazy czy zmarszczki, nawet wokół oczu czy ust. W uśmiechu odsłaniała olśniewająco białe zęby. Często żartowaliśmy z jej wieku – a ona wraz z nami. Wprowadziła się do nas w październiku 1847 roku, na kilka tygodni przed moim urodzeniem, tuż po tym, jak panna Coghlan zrezygnowała z posady, tłumacząc, że przez dotknięte artretyzmem ręce nie da rady zajmować się niemowlęciem. Panna Coghlan towarzyszyła naszej rodzinie, kiedy przyszli na świat Thornley i Matylda, i miała zostać z nami jeszcze około roku, dopóki mama nie znajdzie nowej opiekunki. Jej przedwczesne odejście przypadło na trudny czas: tata spędzał większość czasu na zamku, ponieważ akurat zaczął się głód, a mama, będąc już w zaawansowanej ciąży, nie czuła się na siłach, żeby szukać nowej niani. Ellen zjawiała się jakby zrzędzeniem boskim – usłyszała od kogoś, że jest możliwość zatrudnienia, i zjawiała się u naszych drzwi, a niewielki sakwojaż stanowił cały jej dobytek. Utrzymywała, że ma piętnaście lat i jest sierotą, która poprzednich pięć lat spędziła w pewnym domu na doglądaniu dzieci – pięcioletniego chłopca i sześciolatniej dziewczynki – dopóki cała rodzina

chlebodawców nie umarła przed miesiącem na cholere. Pani domu była położną i Ellen asystowała jej przy dziesiątkach porodów; dziewczyna oferowała swoje usługi w zamian za mieszkanie i skromną pensję, przynajmniej dopóki mama nie dojdzie do siebie po rozwiązaniu. Rodzice nie mieli innego wyjścia i przyjęli Ellen Crone, ona zaś szybko okazała się po prostu niezbędna.

Poród, w wyniku którego przyszedłem na świat w listopadzie 1847 roku, nie należał do łatwych. Ułożenie było pośladowe, a ja miałem pępowinę owiniętą wokół szyi – odbierający poród kuzyn ojca, ceniony dubliński lekarz, sądził, że jestem martwy, ponieważ nie wydałem z siebie żadnego głosu. Wujek Edward Alexander Stoker nie wyczuł pulsu pod moją siną skórą. Ale Ellen upierała się, że na pewno żyję, wyrwała mnie lekarzowi i zabrała się do oddychania usta-usta; zaczęła wtlaczać mi ustami powietrze do płuc, aż po niespełna trzech minutach wreszcie zakasłałem i dołączyłem do świata żywych. Mama i tata byli zdumieni, a wujek Edward uznał, że był to ni mniej, ni więcej, tylko prawdziwy cud. Mama wyznała mi później, że podczas ciąży rzadko kopałem, więc myślała, że nosi w łonie martwe dziecko; jako matka dwojga dzieci była już jednak doświadczona i miała niemal pewność swoich przypuszczeń. Z tego powodu nie pozwalała tacie wybrać imienia. Dopiero kiedy zacząłem oddychać i okazałem się żywy, zgodziła się na imię Abraham, po ojcu, i po raz pierwszy wzięła mnie na ręce.

Po latach mama powiedziała mi, że tamtej nocy ciocia Ellen wydawała się wyczerpana i umęczona, jakby ona również urodziła dziecko, a poród odebrał jej wszystkie siły. Gdy tylko trafiłem bezpiecznie w objęcia mamy, Ellen poszła do swojego pokoju i nie wychodziła stamtąd przez prawie dwa dni, ku przerażeniu taty, który godzinami siedział u jej drzwi, próbując ją wywabić, bo potrzebna była pomoc i przy dzieciach, i przy mamie. Przez dwie doby nikt nie widział cioci Ellen. Trzeciego dnia wreszcie się wyłoniła i nie wspomniawszy nawet słowem o całym zajściu, wróciła do swoich domowych obowiązków. Tata z pewnością wymówiłby jej posadę, gdyby nie fakt, że nikogo innego na jej miejsce nie było.

W ciągu pierwszych trzech dni mój stan wciąż się pogarszał i tata obawiał się, że nie przeżyję kolejnej nocy. Oddech miałem krótki, urywany i krztusiłem się flegmą. Wciąż nie płakałem, a moje oczy nie reagowały na żadne bodźce. Nie chciałem ssać piersi. W ogóle nie chciałem jeść. Ellen przeniosła moją kołyskę do swojego pokoju i spędzała ze mną cały czas, kiedy nie spałem, trzymając mnie od wszystkich z daleka – twierdziła, że potrzebuję odpoczynku. Rodzice niechętnie, ale na to przystali, aż wreszcie piątego dnia, około drugiej w nocy, cały dom usłyszał mój płacz, a był on tak donośny, że zawtórowali mu Matylda i Thornley. Tata zaprowadził mamę do pokoju Ellen, a gdy ta otworzyła drzwi ze mną w postaci zawiniątka na rękach, wszyscy pojęli, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane i że będę żył. Mama powiedziała, że Ellen wyglądała wtedy na znacznie starszą niż w rzeczywistości, jeszcze gorzej niż tuż po moim urodzeniu, gorzej niż kiedykolwiek potem. Przekazawszy mnie mamie, Ellen Crone bez słowa zeszła po schodach i przez frontowe drzwi powędrowała w głęboką noc. Nie wracała przez dwa pełne dni.

Kiedy się w końcu pojawiła, znów była sobą: wyglądała młodo, policzki miała zaróżowione, jej niebieskie oczy lśniły, a na ustach gościł wieczny uśmiech. Tata ani słowem nie skomentował jej nagłego wyjścia i nieobecności, gdyż w międzyczasie mi się pogorszyło i liczył na to, że Ellen znów mi pomoże, tak jak dwukrotnie przedtem. Przeniósł kołyskę z powrotem do jej pokoju – tam pozostała razem z Ellen, która zamknęła drzwi bezpiecznie na klucz. Kiedy ja odzyskiwałem siły, ona marniała. W pierwszych latach mojego życia ten cykl powtarzał się dziesiątki razy – Ellen sprawiała, że zdrowiałem, po czym znikła na kilka dni, wracała w dobrej formie i znów przystępowała do dzieła. Na zawsze pozostało tajemnicą, co działo się za zamkniętymi drzwiami jej pokoju; rodzice o to nie pytali. Wystarczyło spojrzeć w jej oczy intensywnie niebieskie, gdy była zdrowa i silna, a zbladłe i poszarzałe, gdy miała wziąć swoje kolejne „wychodne”.

* * *

UNIOSŁEM WZROK, by spojrzeć jej w oczy, teraz szare, świadom, że niedługo znów zniknie.

– Może teraz powinieneś się skupić na własnym zdrowiu, a nie na tych urojonych cieniach w moich oczach, które pewnie są tylko odbiciem ubrania. Może jeśli włożę czerwoną sukienkę, zapłoną taką czerwienią jak oczy pana Nesbitta po nocy spędzonej w pubie?

– Niedługo znów znikniesz, prawda?

W tym momencie włączyła się Matylda:

– Nie, ciociu! Nie wolno ci! Obiecałaś pozować mi do portretu!

– Ale masz już ich dziesiątki...

– Obiecałaś – powtórzyła Matylda, obrażona.

Ellen podeszła do niej i pogładziła ją palcem po karku.

– Nie będzie mnie tylko dzień, góra dwa. Przecież zawsze wracam. A wtedy zapozuję ci do kolejnego portretu. Pod moją nieobecność zajmuj się, proszę, bratem i pomagaj matce. Ma ręce pełne roboty z małym Richardem. Myślisz, że mogę ci powierzyć opiekę nad domem na czas mojej nieobecności?

Matylda niechętnie pokiwała głową.

– Dobrze więc. Najlepiej będzie, jeśli zejdziesz na dół i pomogę przy obiedzie. – Znowu położyła mi na czole chłodną dłoń. – Jeśli ci się nie poprawi, będę musiała wezwać twojego wujka Edwarda.

Na dźwięk tych słów ścisnął mi się żołądek, ale nic nie powiedziałem.

* * *

MATYLDA ODPROWADZIŁA CIOCIĘ ELLEN wzrokiem i podbiegła do mnie.

– Muszę ci coś pokazać.

– Co takiego?

Rzuciła okiem na otwarte drzwi, następnie na swój szkicownik, który zostawiła na komodzie, kiedy weszła do pokoju. Kiedy po niego wstała, zamknęła drzwi i przytrzymała klamkę, aby upewnić się, że hulające po domu przeciągi nie porwą ich i nie zatrzasną. Wzięła swój zeszyt i wróciła na łóżko.

– Czy uważasz mnie za świetną artystkę?

– Wiesz, że tak. – Nie było w tym przesady. Od czasu, gdy miała trzy albo cztery lata, było oczywiste, że talentem przewyższa rówieśników. W ostatnim czasie jej rysunki dorównywały pracom wielu poważanych dorosłych twórców. By tego dowieść, mama poprosiła znajomą o pokazanie jednego z obrazów Matyldy bogatemu koneserowi sztuki z Dublina. Kobieta nie wyjawiała mu, że autorką jest mała dziewczynka; po prostu oznajmiła, że ma w rodzinie taki wartościowy przedmiot i chciałaby go wycenić. Mężczyzna zaoferował za niego dziesięć szylingów, ale mama odmówiła, wyjaśniając, że obraz jest jej zbyt drogi i nie potrafiliby się z nim rozstać.

Wkrótce potem Matylda dostała się do Akademii Sztuk Pięknych w Dublinie.

* * *

Z JEJ MINY WYWNIOSKOWAŁEM JEDNAK, że potrzeba jej świeżej pochwały.

– Jesteś wspaniałą artystką. Naprawdę!

Matylda zmrużyła oczy i poklepała szkicownik.

– To, co ci teraz pokażę, musi pozostać między nami. Obiecuj, że nie będziesz o tym rozmawiał z nikim innym.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, dostałem napadu kaszlu, w piersi palił mnie każdy chrapliwy oddech. Matylda szybko naląła wody do szklanki i przystawiła mi do ust. Wypiłem łapczywie, zimny płyn schłodził podrażnione gardło. Kiedy atak wreszcie minął, powiedziałem tylko „przepraszam”. Matylda nie zwróciła na to uwagi, jak zwykle, kiedy chodziło o moją chorobę. W sumie to nie pamiętam, żeby kiedykolwiek jakoś ją komentowała. Znów poklepała w szkicownik, tym razem ze zniecierpliwieniem.

– Obiecujesz?

Kiwnąłem głową.

– Nie pisnę ani słówka.

Najwyraźniej to jej wystarczyło, ponieważ otworzyła okładkę i przekartkowała ileś stron, zanim dotarła do właściwej. Podsunęła mi rysunek.

– Kto to jest?

– William Cyr. – Był to rolnik mieszkający na wzgórzu w Puckstown, a szkic przedstawiał go w trakcie pracy w polu.

Przerzuciła stronę.

– A to?

– Pewnie Robert Pugsley – odparłem. Na rysunku jechał swoim wozem rzeźnika.

– No a tutaj?

– Mama.

– A tutaj?

– Thornley doglądający kur.

– A tu?

Przez chwilę studiowałem pracę – widniała na niej kobieta w wieku siedemnastu, osiemnastu lat, ale jej nie rozpoznałem.

– Nie wydaje mi się, żebym ją znał.

Matylda zerknęła na mnie przelotnie i przeskoczyła na następną stronę.

– A tę?

Kolejna dziewczyna, nieco starsza od poprzedniej. Wydawała się jakby znajoma, ale nie mogłem skojarzyć jej twarzy. Pokręciłem głową.

Matylda pokazała mi jeszcze rysunki trzech innych kobiet, z których najstarsza miała góra dwadzieścia lat. Ostatnia była namalowana akwarelami; obraz był dynamiczny, żywa osoba została uchwycona niebywale szczegółowo, wydawało mi się, że mógłbym wyciągnąć rękę, dotknąć papieru i poczuć ciepło jej skóry. Nie zidentyfikowałem tych kobiet, co wydało mi się dziwne, bo znałem większość mieszkańców bliskiej okolicy, a Matyldzie nie było wolno zanadto oddalać się od domu, chyba że w towarzystwie dorosłego.

– Nie znasz żadnej z tych kobiet?

Zacząłem bez pośpiechu cofać się do początku zeszytu, uważniej przypatrując się pracom. Nie umiałem powiązać twarzy z nazwiskami.

– Nie znam. Może spotkałaś je, będąc z mamą na rynku albo na mieście, beze mnie?

Matylda wolno pokręciła głową. Nachyliła się do mnie i wyszeptała mi do ucha:

– Wszystkie szkice przedstawiają ciocię Ellen.

Zmarszczyłem czoło i wróciłem do portretów.

– Ale one wcale... wcale nie są do niej podobne.

– Wcale nie są podobne, a jednocześnie wszystkie są do niej podobne. Mogłabym pokazać ci kilkanaście innych i żadna nie wydałaby ci się znajoma.

– Nie rozumiem.

– Ja też nie – powiedziała i dodała ciszej: – Wygląda na to, że za każdym razem, gdy rysuję ciocię Ellen, portret w ogóle jej nie przypomina. Nie potrafię jej uchwycić, choć staram się, jak mogę; jej obraz wciąż mi umyka.

Nie wiedziałem, jak to skomentować, więc zmieniłem temat.

– A czego jeszcze dowiedziałaś się o Thornleyu?

Ponieważ rzadko opuszczałem swój pokój, byłem łasy na wszelkie ploteczki na temat domowników i Matylda rzadko mnie pod tym względem zawodziła. Główny obiekt jej dociekań stanowiła wprawdzie ciocia Ellen, ale na drugim miejscu był mój brat Thornley, więc często można było zauważyć, że siostra podąża za nim jak cień.

– Ach, Thornley. – Matylda przewróciła kartkę i ukazała się strona wypełniona tekstem. – Zeszłej nocy widziałam, jak wychodzi z pokoju cioci Ellen około drugiej w nocy.

– Co miałyby tam robić?

Matylda stuknęła w zeszyt.

– To jeszcze nie wszystko. Był ubrany, jakby wybierał się na dwór, a po opuszczeniu jej pokoju nie wrócił do swojego, tylko wyszedł na zewnątrz.

– W środku nocy?

– W środku nocy.

– I co tam robił?

Matylda zmarszczyła brwi.

– Nie wiem. Straciłam go z oczu przy stodole. Ale spędził poza domem prawie dwadzieścia minut, a kiedy wrócił, był cały upaprany.

– Widział cię?

– Oczywiście, że mnie nie widział.

– Czyli to będzie już trzeci raz?

Pokręciła głową.

– Czwarty raz w ciągu czterech tygodni, kiedy wymyka się w ten sposób. Jeśli zrobi to ponownie, będę go śledzić.

– Powinnaś powiedzieć mamie.

Matylda nie miała takiego zamiaru. Mogłem być tego pewien, sądząc po sposobie, w jaki zamknęła szkicownik, i fuknięciu, z którym opuściła pokój.

* * *

GORĄCZKA ROSŁA. O dziewiątej wieczorem bolał mnie już każdy kawałek ciała, a pościel była mokra od potu. Mama siedziała przy mnie, na kolanach trzymała miskę z wodą i wilgotną ściereczką chłodziła moje rozpalone czoło. W którymś momencie zaprotestowałem. Zrobiło mi się tak zimno, że dotyk ściereczki na skórze zdawał się przeszywająco zimny. Wymachiwałem rękami, żeby ją odgonić. Wtedy w pokoju zjawili się Thornley i tata, chwycili mnie za ręce i nogi i przytrzymywali. W całym domu słyhać było mój jęk, gardłowe dźwięki prędeej przywodzące na myśl ranne zwierzę aniżeli dziecko.

Z dołu, z pokoju Ellen, rozległ się płacz małego Richarda, więc mama poprosiła Matyldę, żeby do niego zajrzała. Pamiętam, że siostra zaproponowała, ale nie pamiętam, co dokładnie mówiła. Nie chciała mnie zostawiać, ale mama nalegała. Nie wolno było wnosić dziecka do mojego pokoju, bo mogłoby się ode mnie zarazić moją tajemniczą chorobą. Chyba wszyscy wiedzieliśmy, że to nielogiczne – przecież ciągnęła się latami i nie złapał jej nikt inny w rodzinie – ale i tak zgadzaliśmy się co do tego, że z niemowlęciem lepiej nie ryzykować.

Matylda wybiegła z mojego pokoju i usłyszałem, jak tata przeklina Ellen za to, że kilka godzin wcześniej wzięła wolne. Byli od niej uzależnieni, a w tym momencie potrzebowali jej bardziej niż kiedykolwiek, a mimo to wyszła, z tylko sobie znanych powodów. W moim ogarniętym gorączką umyśle jarzyły się szkice, które pokazała mi Matylda: dziesiątki kobiet zlewające się w jedną, podobną do cioci Ellen przez ułamek sekundy, zanim rozpadną się na portrety nieznanym, w różnym wieku i o różnym wyglądzie, różnych, a jednak takich samych. Ich oczy z czarno-białych, naszkicowanych, przeradzały się w żywo niebieskie, jak na obrazie olejnym, i patrzyły na mnie przez mętny welon ciemności. Słyszałem głos cioci, ale wydawał się tak odległy, jakby dobiegał z nabrzeża, pochłaniany przez mgłę. Nagle jej twarz znalazła się o kilka centymetrów od mojej, a jej czerwone usta poruszały się całkiem bezgłośnie. Chwilę później wróciła mama i starła te majaki lodowatą ściereczką, a ja chciałem odtrącić jej dłoń, ale ręce odmawiały mi posłuszeństwa. Wszystko poczerniało i poczułem, że spadam w głąb studni, świat nade mną znika i pochłania mnie ziemia, a moje plecy płoną, gdy lecę wprost do piekła. Usłyszałem, że mama wymawia moje imię, ale byłem bardzo daleko od domu i bałem się bury za to, że w ogóle wyszedłem, więc milczałem; zamknąłem tylko oczy i czekałem na uderzenie o dno przepaści, którą przemierzałem. Wyobraziłem sobie, że to się właśnie czuje, kiedy jest się żywcem wpychanym do grobu samobójcy. Szykowałem się na duszący pył, gotów na śmierć pod warstwą brudnej ziemi, wydany na pastwę robaków i larw.

– Bram!

* * *

Z GÓRY WOŁAŁA MNIE MAMA, a ja w dole milczałem. Dopiero za trzecim razem wreszcie spróbowałem odpowiedzieć, ale głos uwiązł mi w gardle. Ciężar ziemi na piersi sprawiał, że tchu starczało mi tylko na stłumiony pomruk, który wydobył się z moich suchych, spękanych warg. Wokół mnie sypał się kurz, spadał grudami i tłukł w moje wątłe ciało. Nad dołem zgromadził się tłum;

choć nikogo nie widziałem, słyszałem tych ludzi – krzyki i jęki, płacz, a nawet chichot – najpierw dwa głosy, potem cztery, potem kilkanaście następnych. Nie nadążałem za nimi, bo były wszędzie, a zarazem nigdzie, piekielnie hałaśliwe, a jednocześnie niewidoczne dla mnie.

Aż usłyszałem ten głos.

Spojrzałem w oczy mamy, zaczerwienione i posępne. Trzymała wilgotną ściereczkę kilka centymetrów od mojej twarzy i zamarła, gdy rozwarłem powieki i natrafiłem wzrokiem na nią. Z powrotem znalazłem się w swoim pokoiku na poddaszu, w łóżku, niepewny, czy w ogóle opuściłem to miejsce.

– Ocknął się – powiedziała szeptem do kogoś po drugiej stronie pokoju.

Próbowałem obrócić głowę, ale strasznie bolał mnie kark; bałem się, że sam ten ruch może oddzielić mi głowę od ciała. Miałem wrażenie, jakby tuzin lodowych ostrzy wbijał mi się w skórę.

– Zimno...

– Ćśśś, nic nie mów – powiedziała mama. – Wujek Edward przyszedł, żeby pomóc.

Nade mną pojawiła się twarz Edwarda, kępki siwych włosów, zmierzwionych i opadających na okrągłe okulary. Ściągnął z szyi stetoskop, włożył słuchawki do uszu i przytknął metalowy rezonator w kształcie dzwonu do mojej piersi – on również dla nagiego ciała był jak lód, więc próbowałem go z siebie strząsnąć, ale tata i Thornley mocno mnie trzymali.

– Nie ruszaj się – nakazał z gniewną miną wujek Edward. Przez chwilę osłuchiwał, po czym zwrócił się do mamy: – Serce bije bardzo nieregularnie, a temperatura osiągnęła poziom, przy którym występują omamy. Nieleczona, taka gorączka może doprowadzić do trwałych następstw... Uszkodzenia słuchu, utraty wzroku, a nawet do śmierci.

Słuchałem tego niczym bezsilny obserwator niezdolny do reakcji. Widziałem, jak mama i tata wymieniają zmartwione spojrzenia, a Thornley po prostu mi się przygląda.

– Co proponujesz? – spytała mama. W jej głosie, zwykle tak pewnym i spokojnym, słychać było drżenie.

Wujek Edward powiódł po mnie wzrokiem i zwrócił się do mamy:

– Musimy zmniejszyć ilość zepsutej krwi; jedynie wówczas jego ciało znajdzie w sobie siłę, żeby zwalczyć zakażenie i chłopak zacznie zdrowieć.

Mama pokręciła głową.

– Ostatnim razem tylko mu to zaszkodziło.

– Puszczanie krwi to jedyna terapia stosowana w takich przypadkach.

Próbowałem wyswobodzić się z ich uścisku i prawie mi się udało, bo zajęli się rozmową i rozluźnili uchwyt, ale Thornley, który ścisnął mnie za ramię tak mocno, jakby miał mi zaraz przebić skórę, skarcił mnie wzrokiem, a z ruchu jego warg wyczytałem bezgłośnie „nie”.

Ciemność spowiła mnie z powrotem niczym płaszcz, lecz starałem się zachować przytomność. Rozmowa nade mną trwała nadal, ale poszczególne słowa stały mi się obce, składały się na język, którym nie władałem. Wtedy zacząłem trząść się z zimna tak mocno, jakbym wpadł do zamarzniętego jeziora. Kątem oka dostrzegłem, jak tata kiwa głową.

Wujek Edward zdjął okulary, wytarł je o koszulę, po czym znowu umieścił na grzbiecie nosa. Otworzył brązową torbę z najlepszej angielskiej skóry i wyjął biały słoik z dziurkowaną pokrywką. Odkręcił go z cichym pyknięciem gumowej uszczelki, a następnie wyciągnął duże kleszcze.

Ponownie spróbowałem się wywinąć, ale opuściły mnie wszystkie siły. Patrzyłem, jak wujek zanurza szczypce w słoiku i wyjmuje dużą pijawkę, długości jakichś siedmiu centymetrów. Wiła się groteskowo w uchwycie, wyginając się w tę i w tę, a wujek Edward powoli opuszczał ją na moją stopę.

Tuż zanim pijawka znikła mi z pola widzenia, zauważyłem, jak łapczywie rozdziawia i zamyka otwór gębowy, zbliżając się do mojego ciała. Mama odwróciła głowę i zacisnęła powieki, a tata, chociaż pobladł, mimo wszystko przyglądał się, jak wujek umieszcza pijawkę na mojej stopie. Pijawka była jeszcze zimniejsza niż ja, prawie tak lodowata jak stetoskop. Wyobraziłem sobie,

jak drapieżnik przysysa się do mojej skóry, żeby nasycić się krwią. Widziałem, jak pęcznieje w miarę połykania mojej esencji. Kiedy starałem się uwolnić umysł z tego ohydneho spektaklu, zauważyłem, że kleszcze wujka wracają z kolejną pijawką, mającą wylądować na moim ramieniu, a potem z następną i jeszcze następną.

Zamknąłem oczy w nadziei na zapadnięcie w przytulny grobowiec snu.

* * *

WOKÓŁ MNIE PANOWAŁ REJWACH. Słyszałem mamę i tatę, Matyldę i Thornleya, a nawet wujka Edwarda. Usiłowałem zrozumieć znaczenie słów, wytężałem słuch, by wyłowić ten czy inny głos, ale nic nie miało sensu. Kiedy spróbowałem otworzyć oczy, ujrzałem tylko smolistą pustkę, głęboką i złowrogą jak bagna za naszym domem. Zapadałem się w nią.

Przez ułamek sekundy zobaczyłem Matyldę stojącą obok mnie; twarz miała opuchniętą i lśniąca od łez. W tym samym momencie ona również mnie dostrzegła, bo otworzyła szeroko oczy i usta, na dość długo, by wykrzyknąć moje imię i przykuć uwagę zgromadzonych w pokoju; najpierw spojrzeli na nią, a potem na mnie. Matka podbiegła do łóżka z przeciwnego końca pokoju, tata pochylił się nade mną z jednej strony, a wujek Edward z drugiej. Wujek strząsnął długi metalowy termometr i rozkazał coś Thornleyowi, ale wszystkie słowa wypowiedziane po okrzyku Matyldy zdawały się należeć do nieznanego języka. Wysiliłem wzrok, żeby złowić nim siostrę, spleść nasze spojrzenia niczym palce ściskających się dłoni, ale jej słodka twarz odpłynęła. Wszystko stało się cieniem, a potem nicością.

– Wszyscy na zewnątrz!

Usłyszałem to polecenie, ale niby z oddali, ledwie dosłyszalne przez kakofonię głosów. Naokoło mnie panował taki gwar, że miałem wrażenie, jakbym słyszał wszelkie dźwięki stworzenia jednocześnie; wszystkie syki, piski, wrzaski i języki znanego wszechświata rozbrzmiewały unisono, a każda kolejna fala była głośniejsza niż poprzednia. Były tak potężne, że niosły z sobą

niezwykle cierpienie, ich bolesne ostrza przeszywały mi uszy i wiedziałem, że jeśli spróbuję zrozumieć to, co słyszę, to postradam od tego zmysły.

– Opuśćcie pokój, ale już!

To była ciocia Ellen. Jakimś sposobem wiedziałem, że to ona, choć głos nie należał do niej, lecz był jak wycie strzygi przenikające burzową noc.

* * *

NAJWYRAŹNIEJ PODDAŁEM SIĘ CIEMNOŚCI, gdyż chwilę później ocknąłem się sam. Mama i tata zniknęli, podobnie jak Matylda, Thornley i wujek Edward. Jeżeli nawet ciocia Ellen została w pokoju, to jej nie widziałem; w rzeczywistości w ogóle niewiele widziałem oprócz iskierek światła, które przenikały przez ustępujący mrok. Po raz pierwszy uderzył mnie zapach, woń stęchlizny jak w piwnicy na warzywa pod koniec zimy, kiedy z plonów lata pozostają już tylko gnijące resztki pokryte pleśnią i wydane na żer niewidocznych mieszkańców wilgotnej ziemi.

– Ciocia Ellen? – wyszeptałem jej imię. Gardło bolało mnie tak mocno, że następne oddechy brałem drobnymi łyčzkami, łzawiąc z wysiłku.

Ciocia Ellen nie odpowiedziała, a jednak wiedziałem, że jest w pokoju. Czulem w gęstym mroku jej obecność. Ponownie zawołałem ją po imieniu, tym razem głośniejszym niż poprzednio, przygotowując się na nieuniknione palenie w gardle, które towarzyszyło słowom.

Raz jeszcze bez odpowiedzi.

Pod stertą grubych koców zacząłem znów trząść się z zimna. W kącie pokoju tata zainstalował żelazny piecyk, żeby zapewnić mi ciepło – kiedy wszyscy tu byli, ogień wesoło buzował na palenisku, ale teraz piec był ciemny, drwa pokrywał zimny popiół, jak gdyby minęły całe tygodnie, odkąd rozgrzewały go płomienie.

Dostrzegłem jakiś ruch po mojej lewej, więc niezdarnie wykręciłem się, żeby sprawdzić, co to. Kark zabolął mnie z wysiłku; starałem się to zignorować, zaciskając z bólu powieki. Jeśli była to ciocia Ellen, to poruszała się o wiele za

szybko, bym zdołał przychwycić ją wzrokiem – zanim moje oczy natrafiły na punkt, w którym powinna się znajdować, został w nim tylko róg komody i widmo płaszcza wiszącego na kołku. Mojej uwadze nie uszedł fakt, że płaszcz lekko się poruszał. Wszystkie okna były szczelnie zamknięte, więc nie mogło być mowy o wietrze; coś innego musiało być tego przyczyną.

– Czemu się chowasz, ciociu Ellen? Przerażasz mnie. – Chciałem cofnąć te słowa już w chwili, kiedy je wymawiałem. Tata skarciłby mnie za okazywanie choćby odrobiny strachu, a co dopiero za ogłaszanie go, ale słowa wyszły ze mnie, zanim zdałem sobie sprawę, że powinienem był je zdusić.

Odpowiedź wciąż nie nadchodziła, a ja uspokoiłem się, opanowałem dreszcze wstrząsające moim ciałem i zaczerpnąwszy tchu, nasłuchiwałem. Kiedy nabierałem powietrza, usłyszałem, że ktoś robi to samo; tym razem odgłos dobiegł z mojej prawej, bliżej drzwi. Obróciłem swoją ociężałą głowę w tamtym kierunku, ale nadal niczego nie widziałem; pod drzwiami wnikało do środka słabiuteńkie światło, które zdawało się gasnąć już na progu, jakby powstrzymywała je znacznie silniejsza ciemność wypełniająca wnętrze. Wypuściłem powietrze z płuc i znów dobiegł mnie podobny dźwięk z pokoju – odgłos oddychania w jednym rytmie ze mną.

W chwili gdy wstrzymałem oddech, mój nieproszony towarzysz zrobił to samo, jak gdyby zabawiał się w jakieś niepokojące naśladownictwo.

Odwróciłem się z powrotem do wejścia, ku srebrystemu światłu przebijającemu się pod drzwiami przez ciemność. Zdało mi się, że dostrzegłem w tym świetle poruszające się cienie. Wyobraziłem sobie Matyldę, jak uważnie słucha z uchem przyciśniętym do drzwi, przestępując z nogi na nogę, i zamyka oczy w nadziei, że odcięcie jednego zmysłu wzmocni inny.

Znowu uchwyciłem jakiś ruch po lewej stronie i z trudem odwróciłem głowę w kierunku piecyka. Tym razem zobaczyłem ciocię Ellen, pochyloną nad paleniskiem i poruszającą drwa żelaznym pogrzebaczem. Strzelały i trzaskały pod jej dotykiem, a przez chwilę dostrzegłem pojedynczy kawałek

pomarańczowego żaru. Zamiast starać się pobudzić płomienie, rozbiła gorącą grudkę i rozgarniała jej rozpalone kawałeczki, aż straciły blask.

– Zimno mi, ciociu Ellen. Czemu gasisz ogień? – Mój oddech zawisł w powietrzu nade mną w postaci niepokojącej mgiełki.

Ciocia Ellen spojrzała na mnie przelotnie i już jej nie było. Nie byłem pewien, czy to złośliwe cienie spletały mi figła, czy znowu straciłem przytomność, w każdym razie dokładnie w tej chwili ciocia jakby zniknęła z pola widzenia. Zanim to nastąpiło, uchwyciłem na moment jej oczy, które lśniły najjaśniejszym błękitem. Zdziwiło mnie, że dałem radę je dostrzec przy tak małej ilości światła w pokoju, ale nie miałem z tym żadnego problemu i jakaś część mnie żywiła przekonanie, że ciocia chciała, bym je zobaczył. Oprócz oczu wypatrzyłem też uśmiech błędzący po jej czerwonych ustach. Rozległ się nawet śmiech, choć krótki, i jako jedyny przerwał ciszę.

Kiedy mój policzek musnęły czyjeś palce, prawie wyskoczyłem z łóżka; kręciłem głową dookoła, żeby je zobaczyć. Ciocia Ellen siedziała na krześle, które przedtem zajmowała mama, a jej ręka wędrowała do mojego czoła. Jej dotyk nie niósł z sobą ani odrobiny ciepła. Mogłaby równie dobrze przyłożyć mi do skóry kawałek drewna na rozpałkę albo drut do robótek. Kiedy cofnęła dłoń, spodziewałem się zobaczyć na niej rękawiczkę, tak się jednak nie stało – jej palce były nagie. Zastanawiał mnie ich wygląd, kremowa barwa, świeżość jak u niemowlęcia, długie, idealnie zadbane paznokcie. Nie były to ręce pracownicy, a raczej członkini rodziny królewskiej. Nawet na moich rękach, należących do delikatnego siedmiolatka, widać było ślady pracy, a żyłem w warunkach znacznie bardziej cieplarnianych niż jakiekolwiek dziecko w moim wieku. Na lewej ręce miałem jednak drobną bliznę tuż pod palcem wskazującym, która nigdy właściwie się nie wygoiła. Pozostała mi po skaleczeniu ostrą krawędzią ramy okiennej na parterze, kiedy byłem młodszy. Chropowaty metal wbił mi się w skórę i trysnęła fontanna krwi. Nie płakałem, kiedy to się stało; mama była pod wrażeniem i chwaliła mnie za bycie dzielny mimo takiego wypadku. Zabandażowała skaleczenie najlepiej, jak umiała, ale rana była głęboka

i prawdopodobnie nadawała się do szycia. Opowiadam tę historię tylko dlatego, że dłonie cioci Ellen nie były poznaczone takimi bliznami, skaleczeniami ani zadrapaniami codziennego życia.

Ciocia Ellen przyłapała mnie na przyglądaniu się jej rękom i zabrała mi je z pola widzenia, odgarniając mi włosy opadające na oczy.

– Bardzo ci się pogorszyło, majaczysz, jesteś rozpalony. Boli cię?

Spróbowałem pokiwać głową, ale znów nie mogłem się ruszyć. Już samo trzymanie oczu otwartych było bolesne, ale i tak ich nie zamykałem, nie mogąc odwrócić wzroku od Ellen.

– Musi boleć.

Sądziłem, że ma na myśli gorączkę, zauważyłem jednak, że patrzy na moje ramię. Zebrałem się w sobie i uniosłem je. Pod łokciem były trzy pijawki, a nad nim co najmniej dwie kolejne. Wszystkie nabrzmiałe, nasycone upiorną ucztą. Największa z nich, przyczepiona niedaleko nadgarstka, wyglądała, jakby miała zaraz pęknąć. Jej tłuste ciało poruszało się żarłocznie w rytm wysysania krwi. Na drugiej ręce było co najmniej sześć następnych, a wiedziałem, że wujek Edward umieścił pijawki również na moich nogach i stopach.

W oczach wezbrały mi łzy, a ciocia Ellen otarła je zimnym koniuszkiem palca, uniosła go do ust i zlizwała słoną kroplę.

Potem bezgłośnie sięgnęła tym samym palcem do wijącego się ciała napęczniałej pijawki i przycisnęła ją. Stworzenie zadrzało, skuliło się i na moich oczach z pulchnego i wilgotnego zamieniło się w suchy pył. I znikło, zostawiając po sobie tylko smuzkę na mojej skórze i czerwoną dziurkę, przez którą się karmiło. Palec cioci Ellen zrobił się czerwony od krwi – mojej krwi.

– Ufasz mi?

Oniemiały, z ledwością kiwnąłem głową.

– A nie powinienes – odparła.

OBECNIE



BRAM PODNOSI WZROK ZNAD DZIENNIKA. Usłyszał czyjś oddech: częste, urywane hausty, a następnie chuchnięcia po drugiej stronie drzwi. Płatki róży cicho zatrzepotały nad kamienną posadzką. Jeden z nich oddzielił się od pozostałych. Szerniały od gnicia i pomarszczony od rozpadu, przeleciał nad podłogą i wylądował u stóp Brama. Pozostałe resztki róży nie miały się wcale lepiej; wkrótce będzie musiał ją zastąpić.

Znowu dźwięk wdechu, tym razem długi, a po nim wydech z ogromnych płuc.

Brzmi to jak koń albo duży pies, ale to nie może być żadne z nich, ponieważ Bram wie, że nie ma tu takich zwierząt. Mimo to słyszy wdech i wydech, głośniejsze od poprzednich. Wyobraża sobie wielkie nozdrza, jak u doga niemieckiego lub mastiffa, które wciągają powietrze spod drzwi z taką siłą i zapamiętaniem, że mogą określić zawartość pokoju po samym zapachu.

Bram odkłada dziennik na podłogę, wstaje, przemierza pokój i dociera do drzwi.

To, co jest po drugiej stronie, musi wiedzieć, że Bram znajduje się blisko, bo oddech momentalnie ustaje, po czym pojawia się znowu, tym razem szybszy. Bram przykłada twarz do podłogi i stara się zerknąć na drugą stronę drzwi, ale prześwit między kamienną posadzką i dołem grubych dębowych drzwi jest za mały, szeroki zaledwie na włos. Następuje kolejny wydech, a Bram odskakuje do tyłu; powietrze jest gorące i duszne, wilgotny podmuch dotyka jego policzków,

niosąc z sobą najohydniejszy z zapachów. Smród wyciska mu łzy z oczu; cofa się od drzwi, aż uderza nogami o krzesło, na którym siedział przed paroma chwilami. Owionięty przez odór, marzy tylko o tym, żeby się stamtąd wydostać. Zamiast tego wstaje, podchodzi do okna i wystawia głowę na zimne nocne powietrze, by wdychać je, aż pozbędzie się fetoru z nosa i płuc.

Oddech za drzwiami wciąż przybiera na sile.

Bram sięga do kieszeni płaszcza, wyjmuje buteleczkę i ogląda ją w migocącym świetle lampy olejnej. Zaledwie przed dwoma dniami Vámbéry napełnił fiolkę – podobnie jak trzy inne – wodą z chrzcielnicy w kościele Świętego Jana. Dwie porcje zostały już wykorzystane; po zużyciu tej będzie już tylko jedna, a Bram nie ma skąd wziąć ich więcej. Ostrożnie zdejmuje zatyczkę i kieruje się do drzwi.

Gdy do nich podchodzi, to, co czai się za nimi, ponownie cichnie, po czym znów zaczyna rytmicznie oddychać. Słychać przeciągły pomruk, a potem drapanie o posadzkę, pojedyncze skrobnięcie, na próbę, jakby to coś chciało sprawdzić wytrzymałość kamienia, na którym stoi.

Bram klęka przy drzwiach, delikatnie przechyla buteleczkę i rozlewa wodę święconą wzdłuż progu, aż nic nie zostaje. Kamień zdaje się ją wchłaniać, płyn błyskawicznie znika i zostawia po sobie jedynie cienką smużkę. Stworzenie za drzwiami rzuca się do ucieczki. Po czym rozlega się głębokie wycie ogromnego wilka.

DZIENNIK BRAMA STOKERA



PAŹDZIERNIK 1854

Obudziłem się w przyćmionym świetle, gdy blade promienie słońca przenikały przez okna, zalewając pokój blaskiem, który nie należał ani do poranka, ani do zachodu. Założyłem, że nad zatoką pojawiła się mgła; o tej porze roku nie byłoby to nic dziwnego. W powietrzu unosiła się wilgoć i chociaż ktoś owinął moje ciało kołdrą, nie na wiele się to zdało i wciąż nękały mnie ukąszenia chłodu znad morza.

Po śpiewie ptaków rozpoznałem, że jest wczesnie rano. Pomimo bólu otworzyłem oczy. Miska, z której mama korzystała przy ocieraniu mi czoła, stała na stole koło łóżka, a obok leżała szmatka, ale krzesło było puste. Spodziewałem się zobaczyć na nim mamę albo Matyldę, ale nie siedziała tam żadna z nich. Byłem sam w pokoiku na poddaszu. Nawet jeśli wujek Edward nadal był u nas w domu, nic o tym nie świadczyło. Jego torba zniknęła, a wraz z nią okropny sój z pijawkami. Odsunąłem kołdrę, zmusiłem się, by usiąść na łóżku, i wyciągnąłem rękę do światła. Od przegubów aż po łopatki obu ramion poznaczona była dziesiątkami potrójnych nakłuć. Podobne znalazłem na nogach, od ud do stóp. Ilu pijawek użył? Nie przestawało mnie to nurtować. Stwierdziłem, że zbiera mi się na wymioty, zdołałem jednak się powstrzymać.

Chociaż było mi chłodno, nie był to ten rodzaj zimna co poprzedniej nocy, gdy walczyłem z gorączką. W sumie tylko domyślałem się, że wszystko to działo się w poprzednią noc, ale nie mogłem tego sprawdzić. Kiedy ostatnio

miałem tak silny atak, przespałem trzy pełne dni, zanim odzyskałem przytomność i powróciłem do świata żywych. Wówczas po przebudzeniu byłem tak wygłodniały, jakbym nie jadł nie wiadomo ile dni. Opuściła mnie ta niewielka ilość energii, tłęcej się zazwyczaj w moim ciele; ledwo mogłem usiąść, a co dopiero wstać. Tym razem, owszem, czułem się słaby, ale nie aż tak słaby jak wtedy. Właściwie wręcz przeciwnie, miałem wrażenie, że w razie potrzeby mógłbym wygrzebać się z łóżka i zaryzykować przemarsz na drugą stronę pokoju – jakbym obudził się z bardzo długiego snu, jak niedźwiedź, który po hibernacji wraca do życia.

Sięgnąłem po dzwonek stojący na stoliku nocnym i potrząsnąłem nim. Po kilku chwilach w drzwiach pojawiła się mama, niosąca tacę ze śniadaniem.

– No i jak się dzisiaj czujesz? – zapytała, odstawiając tacę na stoliku. – Nieźle nas wczoraj nastraszyłeś. Miałeś gorączkę, nie pamiętam, żeby kiedykolwiek była aż tak wysoka. Naprawdę bałam się, że zapłoniesz we śnie żywym ogniem, tak byłeś rozpalony.

– A co z ciocią Ellen? Jest tu? – zapytałem nie do końca swoim głosem.

– Owszem, jest. – Mama powiodła oczami przez hall do drzwi pokoju Ellen. – Co pamiętasz z wczoraj?

Starałem się przywołać wydarzenia ubiegłej nocy, ale moje wspomnienia były w najlepszym razie mętne i straszne. Chyba podnosiła mi się temperatura, a potem jeszcze trochę, aż do przyjazdu wuja Edwarda.

– Wujek Edward puszczał mi krew.

Mama przysiadła na brzegu łóżka i położyła złożone ręce na kolanach.

– W rzeczy samej, i dobrze zrobił. Gorączka mocno cię trzymała i gdyby się nie zjawiał, nie wiadomo, co by się z tobą stało. Edward jest dla nas wszystkich błogosławieństwem i masz wobec niego dług wdzięczności. Powinieneś mu to powiedzieć, kiedy ponownie go zobaczysz.

– Ale tak naprawdę pomogła mi ciocia Ellen, prawda?

Mama poruszyła się w miejscu. Nerwowo splatała i rozplatała palce.

– Za twoje wyzdrowienie trzeba dziękować wujowi i nikomu innemu. To dzięki swojej wiedzy powstrzymał twoją gorączkę. Wszystko inne to domysły, których ani myślę słuchać. – Znow rzuciła spojrzenie na drzwi do pokoju Ellen na dole. – Zaczynam się zastanawiać, dlaczego właściwie trzymamy w domu kobietę, która co jakiś czas znika na całe dni i wraca, kiedy się jej żywnie podoba. Do opieki nad tobą i resztą dzieci potrzeba mi kogoś, na kim można polegać, a nie jakiejś nieprzewidywalnej, kapryśnej latawicy. Zamierzam porozmawiać o niej z twoim ojcem; być może dawno już należało wprowadzić zmiany.

Widać było, że jest poirytowana, więc nie chcąc jeszcze mocniej jej rozzłościć, zmieniłem temat.

– Czy wujek Edward jeszcze jest?

– Obawiam się, że wyszedł o świcie. Przespał kilka godzin na dole, ale musiał wcześniej rano wracać do pracy i nie mógł dłużej zostać. Był tak miły, że przed wyjściem zajrzał jeszcze do ciebie i powiedział mi, że twój stan znacznie się poprawił, nastąpiło cudowne wyzdrowienie, jak to ujął. – Mama odwróciła głowę i głośno rzuciła przez ramię: – Matylde, twój brat się obudził!

Matylde wsunęła głowę przez drzwi; stała za nimi cały czas.

– A kto to podsłuchuje?! – wykrzyknęła mama. – Bo wezmę dzwonek Brama i uwiążę ci na szyi!

Matylde oblała się rumieńcem.

– Nie podsłuchiwałam, mamo.

Mama pochyliła głowę.

– Mam uwierzyć, że tak po prostu stałaś sobie na korytarzu pod drzwiami brata, bo to wygodne miejsce dla stóp?

Matylde otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie.

Z dołu dobiegł płacz małego Richarda. Mama zacisnęła wargi.

– Ten dzieciak mnie wykończy. Zostań na trochę z bratem.

Po tych słowach wyszła z pokoju, a Matylde zajęła jej miejsce na skraju łóżka. Wzięła z mojej tacy ze śniadaniem tosta i wepchnęła go sobie do ust,

a drugiego podała mnie. Chleb nie był pierwszej świeżości, a ja nie miałem specjalnie apetytu, ale i tak go zjadłem. Upewniwszy się, że mama znalazła się poza zasięgiem słuchu, powiedziałem cicho:

– Co się wczoraj w nocy stało z ciocią Ellen?

Matylda również zerknęła w dół hallu, żeby sprawdzić, czy mama nie nadchodzi, zanim odpowiedziała:

– Nie pamiętasz?

Pokręciłem głową, choć kark wciąż miałem sztywny i obolały.

– Wróciła wcześniej, żeby mi pomóc, prawda?

Matylda wyszeptwała:

– Wczorajszej nocy ciocia Ellen zawróciła cię spod bram piekła i uratowała przed dotykem Diabła. Co do tego mam pewność.

– Ale wujek Edward...

– Wujek robił, co w jego mocy, ale twój stan pogarszał się z każdą godziną. Za to ciocia Ellen... Ona w jakiś sposób...

– W jakiś sposób co? Co takiego zrobiła?

Ranki po pijawkach zaczęły swędzieć, a kiedy Matylda zobaczyła, że je drapię, wzięła moje ręce w swoje.

– To, co zrobiła, odbyło się za zamkniętymi drzwiami, ale kiedy po godzinie wyszła, było jasne, że gorączka odpuściła i niebezpieczeństwo już za tobą, ale nie powiedziała kompletnie nic o swoich metodach, mimo że wujek Edward i tata ją wypytywali. Zamiast tego przeszła z twojego pokoju do swojego i zamknęła za sobą drzwi bez ani jednego słowa. Wujek Edward przez blisko pięć minut walił do jej drzwi, aż wreszcie poddał się i wrócił do ciebie, żeby przekonać się o tym, co mama i ja już widziałyśmy: poty minęły, a ty spokojnie leżałeś w tym oto łóżku, cichutko i bez ruchu, i tylko ruch twojej klatki piersiowej świadczył o tym, że wciąż należysz do świata żywych. – Nachyliła się nade mną. – Widziałam, jak Thornley przynosi coś cioci Ellen po tym, jak wyszła od ciebie. Dużą torbę. W środku coś się ruszało. Otworzyła, nim zdążył

zapukać, uchyliła drzwi tylko na tyle, żeby sięgnąć po torbę, i zamknęła je z powrotem.

– To bez sensu.

– To właśnie widziałam.

– Chyba ci się śniło.

Założyła ręce zaperzona.

– Widziałam.

Przypatrywałem się rankom na moich ramionach, oglądałem je pod światło.

– Boli? – spytała Matylda.

Byłem obolały i wiedziałem, że potrwa ileś dni, zanim wszystko się zaleczy, i tak jej powiedziałem, chociaż wydawało się, że tym razem ranki goją się szybciej – już pokryły się strupami i zaczęły mocno swędzieć.

Siostra jeszcze bardziej ściszyła głos, aż do szeptu ledwo przebijającego się przez śpiew ptaków za oknem.

– To nie koniec. Na początku, kiedy ciocia Ellen przysłała tu wczoraj i krzykiem poleciła nam wszystkim wyjść z pokoju, wyglądała jak to ona: młoda, zdrowa kobieta. Ale kiedy wychodziła z twojego pokoju, była odmieniona nie do poznania; jakby przez spędzone tu minuty postarzała się o kilkanaście lat. Jej twarz pomarszczyła się i pobladła, włosy zrobiły się słabe i łamliwe. A jej oczy stały się oczami staruszki. Udało mi się zobaczyć je przez moment, kiedy powłócząc nogami, szła do siebie, ale zaraz się odwróciła i ukryła twarz w cieniu, po czym przemknęła do pokoju i zamknęła nam drzwi przed nosem.

– Jakiego koloru były jej oczy? – spytałem, wiedząc, jaka będzie odpowiedź.

– Błękitne jak morze, kiedy wchodziła, a ciemnoszare, kiedy wychodziła.

– A więc znowu to samo?

Matylda pokiwała głową.

* * *

MAMA WRÓCIŁA Z KIELISZKIEM czerwonego wina i wręczyła mi go.

– Byłabym zapomniała: wujek Edward powiedział, że po przebudzeniu masz to wypić.

Nie był to mój ulubiony napój. W winach rozsmakowałem się dopiero jakiś czas później, ale wiedziałem z doświadczenia, że dzięki niemu szybciej wrócą mi siły – a przynajmniej ta ich niewielka ilość, jaką wówczas dysponowałem.

Wziąłem kieliszek do ręki i wlałem w siebie płyn niemal duszkiem, tylko raz zaczerpnąłem powietrza między łykami. Wino, ciepłe i wytrawne, nie było wcale aż taką torturą dla mojego młodego podniebienia, ale jednak był to alkohol. Wkrótce poczułem, jak zaczyna działać. Oddałem kieliszek mamie, która patrzyła na mnie z zaciekawieniem.

– Musisz być odwodniony. Spodziewałam się, że będę musiała wmuszać to w ciebie z mozołem. Ale teraz zaczynam się zastanawiać, czy cała ta twoja choroba to nie jest po prostu kac po tym, jak nocą wymykałeś się do pubów – powiedziała z błyskiem w oku. Wiedziałem, że żartuje, i nie mogłem się nie uśmiechnąć.

– Jak inaczej miałbym doskonalić umiejętność gry w karty?

Skwitowała to śmiechem i zmierzwiła mi włosy.

– To twoje poczucie humoru wpędzi cię kiedyś w tarapaty, ale dobrze słyszeć, że wróciło. Wczoraj w nocy naprawdę się martwiłam. Jak dotąd ta była najgorsza. – Przyłożyła mi rękę do czoła. – Gorączka chyba przeszła. Wciąż jesteś dość ciepły w dotyku, ale bez porównania z tym, co wcześniej. Na twoim czole można było zagotować garnek wody.

– Ma wielki łeb – wtrąciła z aprobatą Matylda.

Chciałem ją pacnąć, ale chybiłem i prawie zrzuciłem tacę ze stołu. Mama złapała moją rękę w powietrzu i przytrzymała, a jej oczy wezbrały łzami.

– Dniem i nocą modliłam się do Boga, żeby ulżył ci w cierpieniu i żeby twoja choroba ustąpiła. Miejmy nadzieję, że wujek Edward wypędził z ciebie demony.

Wiedziałem, że tak się nie stało. Chociaż było mi lepiej, czułem, jak choroba mnie toczy, na razie uspiona, ale gotowa do powrotu. Ból kości, wyczerpanie i zawroty głowy zmniejszyły się, ale nie znikły.

– Mamo, Bram jeszcze nie opowiadał – wytknęła Matylda, znów przycupnięta na moim łóżku.

– Może potrzebuje czasu, żeby odzyskać siły, młoda damo.

– Jeśli teraz nie opowie, to już sobie nie przypomni – odparła.

Mama wiedziała, że to prawda; sama nam o tym przypominała. „Sny są jak piasek w klepsydrze, z sekundy na sekundę jest ich coraz mniej, aż wreszcie znika ostatnie ziarnko i tracimy je na wieki”.

Odkąd bowiem pamiętam, nasza trójka opowiadała sobie sny, powtarzając je dla lepszego zapamiętania. Czasem zapisywałem swoje, przy łóżku miałem specjalny notatnik tylko do tego celu. Robiłem to tuż po przebudzeniu, świadom, że jeśli poczekam choćby chwilę, będą stawać się coraz mniej wyraźne – tak jak zapowiadała mama – a szczegóły coraz trudniej będzie przywołać z pamięci. W odróżnieniu od zwyczajnych, sny w gorączce były nadzwyczaj wyraziste. Matylda wiedziała o tym i właśnie dlatego tak uparcie mnie ponaglała. O ile zwykle sny rozwiewają się wkrótce po wybudzeniu, o tyle przy wysokiej temperaturze odciskają na umyśle piętno. Wolałem nawet nie zamykać oczu ze strachu przed powrotem do paskudnego mroku, który spowijał mnie w najgorszych momentach ubiegłej nocy. Tak dobrze pamiętałem moment, gdy chowano mnie żywcem, że czułem w ustach ziemię i słyszałem robaki, czające się o kilka centymetrów od mojej głowy i z niecierpliwością czekające na posiłek, którym miałem się stać.

– Ja... Ja nie chcę – zaprotestowałem niepewnie.

– Było strasznie? – spytała Matylda, przysuwając się bliżej z rozpromienioną twarzą. – Och, opowiedz no, Bram!

Powiodłem wzrokiem od Matyldy do mamy i z powrotem. Mama kiedyś powiedziała mi, że kiedy opowiadamy o upiorach z naszych snów, tracą one moc szkodzenia nam. A więc z westchnieniem opowiedziałem im o swoim pogrzebie; wyrecytowałem wszystko, co umiałem sobie przypomnieć.

– Czy twój grób znajdował się w części dla samobójców? – dociekała Matylda.

Mama zmarszczyła czoło.

– A co ty wiesz o grobach dla samobójców?

Siostra kombinowała, jak by tu odpowiedzieć, nie zdradzając jednocześnie faktu, że przysłuchiwała się czemuś, co bez wątpienia było prywatną rozmową między mamą a tatą, ale zanim wpadła na odpowiednio wyrafinowane kłamstwo, mama spytała ponownie:

– Podśluchiwałaś moją wczorajszą rozmowę z tatą, prawda?

– Ja tylko przechodziłam i być może usłyszałam wzmiankę o grobach samobójców, ale dalej nie słuchałam; to byłoby niewłaściwe.

– O tak, bardzo niewłaściwe.

– Czy w naszym mieście, na cmentarzu, rzeczywiście pochowali kogoś żywcem? – zapytałam.

Mama wzięła głęboki wdech.

– Nawet jeśli to prawda, podczas wczorajszej wizyty na starym cmentarzu Horton Lowell i konstabl nie znaleźli żadnych dowodów na prawdziwość pogłosek o pochówku, krążących po mieście. Nie mam wątpiwości co do tego, że cała ta historia to wytwór czyjejś zbyt bujnej wyobraźni, który jako plotka dotarł do innych, aż wreszcie zaczął żyć własnym życiem. – Zwróciła się do Matyldy: – Plotkarstwo nie jest ani trochę lepsze od podsłuchiwania i obym w przyszłości cię na tym nie przyłapała, bo wygarbuję ci tę bieluchną skórę na plecach!

Wybuchnąłem śmiechem, który szybko przerodził się w kaszel. Mama nalała mi szklankę wody, którą łapczywie wypilem. Gardło miałem tak podrażnione, jak gdybym pogryzł kamienie, a następnie je przełknął.

Mama kontynuowała.

– Klęska głodu pozbawiła życia wielu naszych rodaków. W Dublinie chorzy i bezdomni umierają na ulicach. Biedacy okradają biedaków. Ludzie, którzy kiedyś uprawiali własną ziemię, żebrzą na ulicy, żeby uzbierać choć trochę pieniędzy na jedzenie dla swoich rodzin. Nigdy nie lekceważcie tego, do czego człowiek jest zdolny, gdy musi nakarmić swoje głodujące dzieci.

– Według taty sytuacja się poprawia – zauważyłem.

– Czasem myślę, że wasz ojciec woli wierzyć we frazesy powtarzane przez arystokratów z zamku, którzy chcą nam wmówić, że głód dobiega końca, więc twierdzą, że tak się dzieje. Ale samo gadanie o czymś nie sprawia, że to coś staje się faktem. – Mama spojrzała na swoje dłonie. – Sądzę, że zanim się poprawi, nastąpi jeszcze duże pogorszenie, więc kiedy słyszę o tym, że chorego człowieka pochowano żywcem, nie mogę od razu założyć, że to wymysł; wiem z pierwszej ręki, jakiego zła potrafią się dopuścić przerażeni ludzie. Kiedy byłam mała, a epidemia cholery zbierała śmiertelne żniwo, widziałam ludzi robiących rzeczy o wiele gorsze niż pogrzebanie jednej chorej duszy.

– Czy cholera była gorsza od głodu?

– Nie wiem, czy taka śmierć jest gorsza od innej, Matylde. Jej wszystko jedno, kogo zabiera.

Matylde zapytała cienkim, niepewnym głosem:

– Czy to samo stanie się tutaj z nami? Czy wszyscy umrzemy?

– Głód to co innego, Matylde. Owszem, zdarzają się choroby, ale cholera to zupełnie co innego. Większość chorych, których widzisz, cierpi z głodu i odwodnienia, mężczyźni upijają się w sztok, bo nie mogą zapewnić bytu swoim rodzinom. Z całą pewnością ta plaga jest potworna, ale zupełnie inna od tamtej. –

Poklepała nas po kolanach. – Dość tych rozmów; mamy dziś dużo do roboty, a ja coś czuję, że ciocia Ellen nie przyjdzie nam z pomocą.

Wszyscy troje spojrzeliśmy w kierunku zamkniętych drzwi Ellen. Mama wstała.

– Matylde, bądź tak dobra i zbierz dzisiejsze jajka.

Moja siostra zmarszczyła nos.

– Ale to kolej Thornleya!

– Wasz ojciec posłał go do gospodarstwa Seaverów w Santry po torf na opał. Prawie już nam się skończył, sami wiecie, a zbliża się zima i niedługo noce zrobią się lodowate.

Matylde zsunęła się z łóżka i bez słowa pomaszerowała na dół.

Mama przyłożyła mi rękę do czoła i uśmiechnęła się.

– Bóg się do ciebie uśmiechnął, mój mały mężczyzno.

Ja tymczasem nie spuszczałem oczu z drzwi cioci Ellen, a obrazy z poprzedniej nocy wciąż przesuwały mi się przed oczami.

* * *

KILKA GODZIN PÓŹNIEJ.

– Co robi ciocia Ellen? – spytała Matylda.

Stałem na palcach i wyglądałem przez okno na podwórko.

– Zdejmuje pranie ze sznurka.

W tym momencie dotarło do mnie, że tego dnia czuję się o wiele lepiej. Chociaż charakterystyczny ból kości nadal się utrzymywał, choroba trochę się cofnęła. Czasem tygodniami nie wstawałem z łóżka. Spędzałem w nim tyle czasu, że niekiedy dostawałem odleżyn, a niewykorzystywane mięśnie mi zanikały. Mama często się martwiła, że wda się zakażenie, i oczyszczała odleżyny najlepiej, jak umiała, potem okładała je mchem znanym jako torfowiec, który trzymała na najwyższej półce w spiżarni, z dala od wzroku taty – postępowi doktorzy z naszej rodziny bez wątpienia wzgardziliby medycyną ludową. Jeśli chodzi o moje mięśnie, niewiele dało się poradzić. Przez wiele dni byłem zwyczajnie za słaby, żeby zwlec się z łóżka. Zachęcany przez mamę, czasem próbowałem, ale moje ciało po prostu nie miało siły i wołało leżeć, obracając się co kilka godzin przy jej asyście, żeby nie pogłębiały się odleżyny.

Dziś było inaczej.

Podobnie jak drobne ślady po pijawkach, odleżyny, którymi usiane było moje żałosne ciało, przyschły, zbladły i swędziały jak licho. Nagle zaczęły goić się otwarte, ropiejące rany, które odkąd sięgam pamięcią, towarzyszyły mi w życiu; dosłownie niknęły w oczach w niesamowitym tempie w ciągu jednej doby.

Poczułem się również silniejszy. Pojawiła się we mnie energia, której brakowało przez wszystkie poprzednie dni – prawdziwa siła. W tym momencie przebywałem już poza łóżkiem od prawie dwóch godzin. Dwie godziny na

nogach! Błagałem Matyldę, żebyśmy powiedzieli o tym mamie, ale ona odmówiła, bo uważała, że najlepiej, jeśli zachowamy tę tajemnicę dla siebie.

Stałem w okienku swojego pokoiku na poddaszu i patrzyłem, jak ciocia Ellen odpina ze sznurka na pranie kolejne klamerki i uważnie składa każdą sztukę odzieży, zanim włoży ją do kosza u jej stóp. Pracowała od dziesięciu minut i doszła już prawie do połowy. Poszukiwałem znamion starzenia, o których wspominała Matylda, ale trudno mi było dokładniej przyjrzeć się jej twarzy. Na głowie miała chustkę, zawiązaną pod szyją, której zielono-biała tkanina chroniła ją przed wzrokiem innych. Wydawała się poruszać powoli, jakby odczuwała ból.

– Ile jeszcze jej zostało do końca?

– Z dziesięć minut – odparłem. – Może mniej.

Thornley wrócił do domu na wozie wyładowanym torfem z gospodarstwa Seaverów i razem z ojcem zaczęli rozładowywać opał i znosić go do piwnicy, podczas gdy woźnica przypatrywał się gęstym chmurom burzowym unoszącym się nad zatoką. Thornley był cały spocony, twarz miał czarną od pyłu i błota.

Matylda zeskoczyła z mojego łóżka i podeszła do drzwi. Przyłożyła ucho do desek i nasłuchiwała odgłosów z korytarza.

– Chyba mama i Thomas są w kuchni. Richard pewnie śpi.

– Jeśli pójdziesz do pokoju cioci, Richard się obudzi i zaraz przyleci mama albo ciocia Ellen – zauważyłem.

– Nie obudzę go, potrafię być cicha jak myszka.

– Nie powinnaś tam wchodzić; ona się zorientuje.

– Niby jak?

Pod moim oknem ciocia Ellen czubkiem buta przesunęła kosz wzdłuż sznurka.

– Zorientuje się.

– Jeśli odejdziesz od prania, przyjdź po mnie. Możesz stać na czatach.

Pokręciłem głową.

– Skoro ty idziesz, to ja idę z tobą.

– No to chodź; dosyć tego marudzenia.

Matylda przekręciła klamkę moich drzwi i pociągnęła je do wnętrza pokoju odpowiednio szybko, by zawiasy nie zaskrzypiały, jak to miały w zwyczaju. Zerknąwszy prędko na korytarz, przekroczyła próg, a potem szła na palcach, przezornie omijając dwie deski, które zawsze skrzypiały pod naciskiem. Szedłem jakiś metr za nią, aż nagle uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy od prawie trzech miesięcy opuściłem pokój z własnej woli. Tata czasem znosił mnie na dół i sadzał w kuchni albo na kanapie w salonie, ale rzadko pokonywałem te schody samodzielnie. Przy ostatniej próbie dotarłem tylko do klatki schodowej, po czym chwyciłem się poręczy i upadłem na ziemię, kompletnie wycieńczony. Po tym zdarzeniu tata zabronił mi opuszczać pokój w obawie, że mogę spaść ze schodów i złamać jedną lub więcej z moich i tak kruchych kości.

Kiedy przechodziliśmy na drugą stronę korytarza, dotarło do mnie, że nie jestem ani trochę zmęczony. Czułem, jak ogarniająca mnie ekscytacja dodaje mi energii. Każdy obraz i dźwięk odbierałem po dwakroć mocniej. Słyszałem, jak mama rozmawia w kuchni z Thomasem, a każde słowo brzmiało tak wyraźnie, jakby stali w sąsiednim pokoju. Czy to było dziwne? Nie wiem. Ostatecznie Matylda usłyszała ich z mojego pokoju, i to przy zamkniętych drzwiach. Niemniej jednak wydało mi się to zastanawiające.

Matylda dotarła do drzwi pokoju cioci Ellen i przyłożyła do nich ucho.

– Wciąż jest na dole. Szybciej.

– Nasłuchuję, co z małym Richardem.

Zamknąłem oczy i robiłem to samo, wyobrażając sobie po drugiej stronie drzwi pokój Ellen, tę niewielką przestrzeń, którą nazywała domem.

– Śpi. Słyszę, jak oddycha.

Matylda przyjrzała mi się przez chwilę w oczekiwaniu na protest i przekręciła klamkę. Te akurat drzwi skrzypnęły i oboje się wzdrygnęliśmy. Na dole mama i Thomas śmiali się z czegoś. Spojrzenie Matyldy i moje się skrzyżowały; jeśli usłyszeli hałas, to nie poświęcili mu uwagi, bo ani na chwilę nie przerwali rozmowy. Dobiegł nas szczełk patelni. Matylda wśliznęła się do jaskini cioci Ellen i zgiętym palcem wskazującym dała mi znać, żebym podążył za nią.

* * *

POKÓJ CIOCI ELLEN NIE BYŁ DUŻY; prawdę mówiąc, był mniejszy od mojego. Miał kształt prostokąta szerokiego na jakieś trzy metry i głębokiego na dwa, a jego sufit opadał skosem w kierunku okna. Wydawało mi się, że musi być z niego widok na pole z tyłu domu, ale nie mogłem się upewnić, ponieważ szybę zakryto grubym kocem przygwożdżonym do ramy we wszystkich czterech rogach. Przez szpary na krawędziach koca próbowało przedostać się światło, do środka przenikało go jednak niewiele i wewnątrz pogrążone było we względnej ciemności. Widziałem sylwetkę Matyldy stojącej nad niedużą kołyską, w której spał mały Richard. Poprawiła mu kocyk i przyłożyła sobie palec do ust.

Kiwnąłem głową. Oczy przyzwyczyły mi się do braku światła.

Sypialnia cioci Ellen była skąpo umeblowana. Pod tylną ścianą stała szafa, a po prawej od kołyski niewielkie biurko, na którym leżało kilka kartek papieru i gęsie pióro. Po lewej był pojedynczy stolik z miednicą i ręcznikiem. Łóżko było starannie zasłane, a na stoliku nocnym znaleźć można było tylko starą lampę olejną oraz gazetę. Kiedy przyjrzałem się dokładniej, zauważyłem, że miednica jest sucha jak pieprz. Na jej dnie zgromadził się kurz.

– Dziwne – wyszeptałem.

Matylda podeszła i przejechała palcem wskazującym po wewnętrznej krawędzi.

– Może myje się na dole?

Z tyłu, pod stołem z miednicą znalazłem także nocnik – on również wyglądał na nieużywany. Kiedy odsunąłem go czubkiem stopy, stała się widoczna obwódka kurzu wokół miejsca, gdzie stał. Spojrzeliśmy na siebie z Matyldą, ale żadne z nas się nie odezwało. Za opróżnianie nocników odpowiedzialna była Matylda, ale ciocia Ellen zawsze wolała zajmować się tym sama.

Wtedy zauważyłem nasze ślady na podłodze, w oczywisty sposób prowadzące od drzwi do miejsca, w którym właśnie staliśmy. Parkiet pokrywała cienka warstewka tego, co mogło być tylko kurzem – z odciskami naszych stóp.

W niektórych miejscach była cieńsza niż w innych, ale pokrywała chyba cały pokój cioci Ellen; brudny i najwyraźniej od jakiegoś czasu niezamiatany.

– Teraz na pewno się zorientuje – powiedziałem do siebie bardziej nawet niż do Matyldy.

– Na razie szukaj, potem coś wymyślimy.

– A czego właściwie szukamy?

– Nie wiem. Mieszka tu od kilku lat, a my tak niewiele o niej wiemy. – Matylda sięgnęła do drzwi od szafy i szybko otworzyła je na oścież, jakby chciała zaskoczyć to, co mogło czekać na nią wewnątrz. Na wieszakach wisiało pięć sukienek, a na dole po prawej spoczywało pudełeczko z bielizną osobistą. Z zawstydzeniem odwróciłem wzrok.

Matylda zachichotała.

– Biedny Bramuś boi się kilku par majtek? – Wzięła jedną z nich i zrobiła ruch, jakby chciała ją do mnie rzucić. Cofnąłem się, a ona odłożyła bieliznę do pudełka, po czym uklękła i zaczęła przetrząsać resztę jego zawartości.

– Dama zawsze chowa najcenniejsze rzeczy pod majtkami, ponieważ żaden mężczyzna nie ważyłby się szukać w takim miejscu.

Chwilę później wstała.

– I cóż takiego znalazłaś pod tymi majtkami? – zapytałem.

– Nic.

Podszedłem do biurka i podniosłem kartkę leżącą na wierzchu pliku.

Pusta.

Matylda wyrwała mi papier z ręki, obejrzała pod światło, którego odrobina sączyła się z korytarza, i uważnie odłożyła arkusz z powrotem.

– Szukaj dalej.

Dotarłem do stolika nocnego. Podobnie jak umywalka i nocnik, lampa wyglądała na nieużywaną. Zbiornik był pusty, a gdy go powąchałem, nie wyczułem nawet śladowych ilości nafty, tylko stęchły zapach jak w zapomnianym pojemniku otwartym po wielu latach. Powiedziałem o tym Matyldzie, ale ona zbyła mnie machnięciem ręki, pochłonięta swoją pracą.

Gazeta była wczorajszym wydaniem „Saunders’s News-Letter”. Nagłówek wydrukowano czarnymi, pogrubionymi, wielkimi literami.

RODZINA ZAMORDOWANA PRZY MALAHIDE ROAD

Przy Malahide Road w piątek wieczorem około godziny drugiej w nocy doszło do barbarzyńskiego i okrutnego mordu w okolicznościach budzących najwyższe oburzenie. Ofiarami zbrodni padli: Sibean O’Cuiv, matka, oraz jej dzieci: najstarszy syn, Sean, lat pięć, i jego siostra Isobelle, około dwóch lat. Trzecie dziecko, córka w wieku sześciu i pół roku, zdołała umknąć przed napastnikiem i to właśnie ona powiadomiła Jamesa Boulgera, konstabla dzielnicowego rejonu Church Street Barracks, który zrzędzeniem losu akurat przechodził obok, gdy jego uwagę przykuło dziecko uciekające z domu.

Konstabl Boulger wkroczył do mieszkania i usłyszał jęki Patricka O’Cuiva, który obficie krwawił z obu ramion. Konstabl Patterson sprawdził sypialnie, w których znalazł matkę i dwoje nieszczęsnych dzieci martwych w ich łóżkach. Pan O’Cuiv sam otarł się o śmierć, gdyż stracił znaczne ilości krwi. Przewieziono go karetką do Szpitala Richmonda.

– Widziałaś wczorajszą gazetę? – spytałem.

– Nie, ale słyszałam, jak mama i tata rozmawiali o niej przy obiedzie. Powiedzieli, że zdaniem konstabla O’Cuiv próbował zabić swoją rodzinę, ponieważ nie dawał rady jej wyżywić, a potem obrócił nóż na siebie samego, ale nie był w stanie dokończyć dzieła. Gdyby nie mała Maggie, z pewnością dopiąłby celu i wszyscy byliby teraz martwi.

– Gdzie on teraz jest?

– Pewnie na Church Street Barracks. Załatali go. Za taką zbrodnię powinni byli go zostawić w słonej wodzie, żeby się wykrwawił na śmierć.

Nie dalej niż przed miesiącem rodzina O’Cuivów była u nas na obiedzie. Posiłek nie był niczym szczególnym, ale i tak goście okazali wdzięczność; mały Sean wziął aż trzy dokładki, a jego siostrzyczka niewiele mówiła, ponieważ była

zbyt zajęta gryzieniem pajdy chleba wielkości jej głowy, którą maczała w sosie do kurczaka przygotowanym przez mamę. Żona O’Cuiva była milcząca, co zrozumiałe – korzystanie z łaski obcych ludzi było niezwykle poniżającym doświadczeniem, na które wielu by się nie zdecydowało, gdyby nie puste brzuchy ich głodnych dzieci. Pani O’Cuiv odzywała się tylko wtedy, gdy mama albo tata zadawali jej rozmaite pytania w trakcie rozmowy, a ona, udzieliwszy możliwie najzwięźlejszej odpowiedzi, wracała do jedzenia, od czasu do czasu zerkała tylko ukradkiem to na dzieci, to na męża. Próbowałem przypomnieć sobie, czy między tych dwojgiem dorosłych było widać jakieś napięcie. Nic jednak nie przyszło mi do głowy; sprawiali wrażenie dość serdecznych, po prostu ofiary głodu, i tyle.

– Myślisz, że tata mógłby coś takiego zrobić? – zapytałem, nim zdałem sobie sprawę, że naprawdę pozwoliłem, aby te słowa padły z moich ust, i poczułem, że się czerwienię.

– Wielkie nieba, nie! Przede wszystkim tata zawsze znajduje sposób, by nas wyżywić. A nawet jeśli nie, to się nie poddaje, a pan O’Cuiv nic, tylko się poddaje. Zamiast znaleźć praktyczne rozwiązanie problemu, zachował się jak tchórz. Tata nigdy by tak nie zrobił. Tylko by spróbował, a mama zdzieliłaby go patelnią.

Wiedziałem, że Matylda ma rację, ale nawet w tak młodym wieku byłem świadom, że problem czasem kogoś osacza, oddziela od reszty świata, aż wydaje się, że nic innego nie istnieje. Nauczyła mnie tego moja własna izolacja.

– Jak twoim zdaniem zrobił to, nie budząc innych?

– Dasz wreszcie spokój? Musimy się rozglądać. Nie mamy dużo czasu.

– Zanim Maggie uciekła, zabił żonę i dwoje z trojga dzieci – zastanawiałem się dalej.

– O drugiej w nocy wszyscy na pewno smacznie spali.

– Ale przespać coś takiego? Pierwsza ofiara może, ale pozostałe? Trudno mi w to uwierzyć.

Wróciłem do gazety i przejrzałem resztę nagłówków na pierwszej stronie.

- Kto to jest Cornelius Healy? To nazwisko brzmi znajomo.
- Pan Healy? Zarządza gospodarstwem Domville'ów, a co?
- Posłuchaj.

ZARZĄDCA ZABITY PODCZAS KLÓTNI W GOSPODARSTWIE PRZY SANTRY HOUSE

Podejrzanie morderstwa. W piątkowy wieczór mężczyzna nazwiskiem Cornelius Healy, zarządca gospodarstwa rodziny Domville'ów, wziął udział w kłótni z jednym ze swoich pracowników. Zarzucił mu, że kradł ziarno, by wykarmić rodzinę. Wywiązała się różnica zdań i doszło do walki na pięści.

Pracownik został przez pana Healy'ego ukarany chłostą za pomocą trzcinki. Po uwolnieniu z więzów pracownik zaatakował pana Healy'ego gołymi rękami. Inni pracownicy nalegali na walkę na pięści, ponieważ kary wymierzane przez pana Healy'ego bez wątplenia nie cieszyły się aprobatą zatrudnionych w gospodarstwie. Świadkowie nie podali nazwiska robotnika, powiedzieli tylko policji, że pan Healy potknął się, upadł i uderzył głową w kamień, co doprowadziło do jego śmierci. Napastnik niezwłocznie zbiegł. Policja wszczęła dochodzenie.

– Healy nie był chyba miłym człowiekiem. Kto karze chłostą osobę, która tylko próbuje wykarmić rodzinę? – powiedziała Matylda.

– Kiedy po raz ostatni doszło w Clontarf do morderstwa?

Matyldą wstrząsnął dreszcz.

– A teraz dwa morderstwa jednego dnia...

– Jak nie przestaniesz, to zabiorę ci twój egzemplarz *Zabójstwa przy Rue Morgue*¹ i zakopię go na pastwisku. Wykorzystaj swoje zdolności detektywistyczne do tego, co właśnie robimy; nie zostało nam wiele czasu.

Miała oczywiście rację, ale stwierdziłem, że muszę przyjrzeć się tej sprawie, kiedy będę dysponował czasem.

Matylda nachyliła się ku ścianie i zerknęła za szafę.

– Co ty robisz?

– Widzę coś przyklejonego z tyłu szafy.

Zamknęła jedno oko i zezowała drugim, starając się uzyskać lepszy widok. Zajrzałem z drugiej strony. Też to zauważyłem.

– Pomóż mi, odsuńmy ją trochę od ściany.

Oboje chwyciliśmy palcami po prawej stronie i pociągnęliśmy. Ciężki mebel zaskrzypiał o podłogę. Matylda znieruchomiała.

– Myślisz, że ktoś to słyszał?

Nasłuchiwałem uważnie. Nadal słyszałem głos mamy dobiegający z kuchni.

– Nie wydaje mi się.

Matylda skupiła się z powrotem na szafie i wsunęła rękę w przestrzeń z tyłu.

– Chyba dosięgnę.

Patrzyłem, jak znika dolna część jej ramienia. Wyłoniła się z tęczką z cienkiej skóry.

– Co to jest?

Zniszczony sznurek utrzymywał ją zamkniętą. Matylda rozluźniła go, otworzyła tęczkę, sięgnęła do środka i wyjęła zawartość.

Mapy.

– Połóż je tutaj, na biurku.

– Są bardzo stare – powiedziała, rozkładając je. – Papier kruszy się na krawędziach.

– Ile ich jest?

Matylda przejrzała mapy delikatnie, tak by ich nie uszkodzić.

– Siedem. Z całej Europy i ze Zjednoczonego Królestwa. Jest Praga, Austria, Transylwania, Włochy, Londyn... – Głos uwiązł jej w gardle.

– Co się dzieje?

– To jest mapa Irlandii.

– Co to za znaczek?

Przyjrzała się z bliska.

– Clontarf. Znaczek wskazuje kościół Świętego Jana Chrzciciela.

Przewertowałem pozostałe mapy.

– Na wszystkich są zaznaczone punkty. Na mapie Zjednoczonego Królestwa są dwa: jeden blisko Londynu, a drugi w miejscowości pod nazwą Whitby.

Matylda zmarszczyła czoło.

– Są bardzo stare, niektóre granice są nieaktualne. Wyglądają na rysowane ręcznie. Nie poznaję tego języka.

Zaczęło mnie swędzieć ramię.

– Myślę, że powinniśmy odłożyć je na miejsce, zanim ktoś się zjawi.

Matylda zignorowała moje słowa i dalej przewracała mapy, przyglądała się każdej po kolei, studiowała każdą linię, wszystko zapamiętywała.

– Matyldo?

Podniosła palec do ust.

Ostatnia mapa.

– W porządku – powiedziała cicho, bardziej do siebie niż do mnie.

Włożyła papiery do teczki.

– Upewnij się, że są w tej samej kolejności.

– Są.

Matylda zawiązała sznurek i umieściła teczkę z powrotem za szafą, przymocowała ją do haczyka, którego przedtem nie zauważyłem.

– Pomóż mi ją przysunąć – powiedziała, chwytając szafę z boku.

Razem przestawiliśmy ją na miejsce, unosząc ją, na ile się dało, żeby tym razem uniknąć skrzypienia.

– Może być coś jeszcze. Musimy dalej szukać – oznajmiła Matylda, skupiając się na biurku. Zaczęła przetrząsać szuflady.

Ja udałem się w kierunku łóżka cioci Ellen.

Na małej ramie leżała gruba kołdra z gęsiego puchu, a na niej jedna poduszka wypchana pierzem. Drewniana rama była podobna do ramy mojego łóżka – prosta konstrukcja z wyrzeźbionymi ozdobami i w burym kolorze. Pochyliłem się i powąchałem kołdrę – zakręciło mnie w nosie i wyrwało mi się głośne kichnięcie.

– Bram!

Zatkałem nos i starałem się stłumić drugie kichnięcie, ale wyszło jeszcze mocniejsze niż poprzednie.

– Ktoś zaraz...

Kichnąłem po raz trzeci, a oczy zaszyły mi łzami. Kiedy zaczynało mi się zbierać na czwarte kichnięcie, znalazłem w sobie siłę, by je powstrzymać, ponieważ Matylda podeszła do mnie i przycisnęła mi chusteczkę do twarzy. Odsunąłem ją, zrobiłem krok w tył, a mój wzrok spoczął na kołdrze. Kiedy zacząłem znów się nad nią pochylać, Matylda usiłowała mnie odciągnąć, ale odepchnąłem ją. Tym razem nie wdychałem powietrza; zależało mi na oglądzie. Kołdra pokryta była kurzem. Nie cienką warstewką, tylko takim kurzem, jaki pokrywa meble zapomniane na strychu. Kurzem, który nie zjawił się ot tak, lecz gromadził się latami z powodu i porzucenia, i zaniedbania.

– Jak często twoim zdaniem ciocia Ellen ścieli nasze łóżka?

Matylda zastanowiła się przez sekundę.

– Co sobotę, bez wyjątku.

– To czemu swojego własnego nie?

To pytanie zawisło w powietrzu, bo żadne z nas nie miało na nie odpowiedzi.

– A skoro już o tym mowa, to gdzie ona śpi, jeśli nie w łóżku?

Przy biurku Ellen stało drewniane krzesło ze sztywnym oparciem i podłokietnikami, żeby się nie garbić. Nie potrafiłem sobie wyobrazić nikogo, kto mógłby na nim spać.

– Może sypia na podłodze? – podesunęła Matylda. – Moja przyjaciółka Beatrice powiedziała mi kiedyś, że jej ojciec ciągle tak śpi ze względu na uporczywe bóle pleców. Tylko drewniana podłoga przynosi mu ulgę.

– Nie sędzę, żeby ciocia Ellen miała problemy z plecami.

– No to gdzie?

Z całej podłogi najgrubszy kurz był przy łóżku.

Sam nie wiem, dlaczego to zauważyłem. Może dlatego, że zwyczajnie patrzyłem w dół. Przy ramie łóżka nie było po prostu brudno; kurz był tam

nawarstwiony. Wyglądał, jakby ktoś regularnie zamiatał pokój nie ku środkowi, skąd można by zebrać kurz, lecz w kierunku łóżka. Skojarzyło mi się to z naniesionymi przez deszcz na ściany domu warstwami brudu, które jakby chciały wdrzeć się do wnętrza. Czyż nie taki jest cel brudu? Dostać się do środka i odebrać to, co ostatecznie należy do ziemi?

Sięgnąłem pod materac i uniosłem jego róg.

Łóżko cioci Ellen było zbudowane identycznie jak moje. Pod kocami i prześcieradłami leżał materac wypchany gęsim puchem lub kurzym pierzem grubości najwyżej kilkunastu centymetrów. Dla większości ludzi był to zbytek i byliśmy za niego wdzięczni. Stanowisko taty zapewniało nam dostęp do niektórych luksusów i chociaż rodzice nie szastali zanadto pieniędzmi, gorąco wierzyli w moc dobrego posłania. Czuli, że bez dobrego odpoczynku w nocy nie damy rady wyzwaniom następnego dnia, co doprowadzi nas do niefrasobliwości i lenistwa, które obserwowali u tak wielu naszych rodaków. Nie wiem, czy była to prawda, czy nie. Ale jako ktoś, kto znaczną część życia spędził w łóżku, byłem wdzięczny za tę wygodę.

W moim łóżku pod materacem z pierza była skrzynia wypełniona słomą. Co wiosną starą słomę usuwano i zastępowano świeżą, prosto z pól za Artane Lodge. Upychaliśmy ją ciasno i skrzynia wysokości ponad pół metra stanowiła doskonałą podstawę. Pod materacem cioci Ellen była podobna skrzynia, ale kiedy go odsunąłem, nie znalazłem w niej słomy, lecz gęstą, czarną ziemię. Na samym środku widniał wklęsły zarys ciała.

– Ona w tym śpi? – spytała na bezdechu Matyllda. – Ale dlaczego?

Nie odpowiedziałem jej – byłem zbyt zajęty patrzeniem na robaki, które wylazły na cuchnącą ziemię z nadgniłych wnętrzości łóżka i wijąc się, machały nam na powitanie.

* * *

PIERWSZA ODEZWAŁA SIĘ Matyllda i drżącym głosem powiedziała:

– Musimy się stąd wynosić.

Ja jednak nadal wpatrywałem się w łóżko, w odcisk ciała cioci Ellen w wilgotnej ziemi. Odór śmierci i rozkładu był prawie nie do zniesienia, jak gdyby nieboszczyk, pozostawiony, by rozłożył się w ziemi, został dopiero co wykopany łopatą grabarza. Do robaków dołączyły białe larwy, wypełzające na powierzchnię, energiczne i pobudzone, by wyginać swoje drobne ciała. Cofnąłem się myślami do ostatniego razu, kiedy widziałem coś takiego – przed blisko rokiem. Thornley pracował na polu w Artane niedaleko stodoły i biegał za domem. Ja miałem lepszy dzień niż przeciętnie, więc mama zniosła mnie na dół na sofę w salonie. Kiedy brat wpadł do pokoju, twarz miał czerwoną i ociekającą potem i ledwo mówił. Biegł tak szybko, że zabrakło mu tchu, i chwilę potrwało, zanim odzyskał głos.

– Musisz to zobaczyć – wydusił z siebie między haustami powietrza. – Za stodołą.

On miał wówczas osiem lat, a ja tylko sześć, ale ekscytacja w jego oczach rozpałała we mnie ogień i zapragnąłem zobaczyć wszystko, co tylko mógł znaleźć. Chciałem obejrzeć to tu i teraz – ten przypływ energii pomógł mi stanąć na nogach. Mogłem chodzić, ale nie za dobrze, więc brat przerzucił moje ramię przez swoje i pomagał mi na każdym kroku. Wyszliśmy z domu szybciej, niżbym potrafił samodzielnie, ale wolniej, niż on miał nadzieję, i przeszliśmy polem do stodoły. Ta wielka budowla, pomyślana jako schronienie dla ponad setki krów, prawie tuzina koni i wielu innych zwierząt, górowała nad większością gospodarstwa i rzucała ogromny cień na przyległy teren. Razem obeszliliśmy ją od południa i skierowaliśmy się do kurników. Zanim tam dotarliśmy, poczułem, że coś jest nie tak, ponieważ kury wydawały straszne odgłosy. Zwyczajne „ko, ko, dak” zastąpiły piski i wrzaski, o które nie podejrzewałbym drobiu. Gdy się zbliżaliśmy, spostrzegłem, że ziemia usiana jest brązowymi i białymi piórami oraz strużkami czerwieni, która tężała również wokół kurników.

– Co się stało? – spytałem.

– Pewnie lis. To sprawka lisa. Albo może wilka. Zeszłej nocy coś wlało do kurnika i zamordowało sześć kur – odparł Thornley. – Popatrz sobie.

Uderzył mnie smród, metaliczny zapach rozlanej krwi i poszarpanego ciała.

– Ale ja nie chcę.

– Nie bądź bałwan.

– Nie, zabierz mnie do domu.

Nie zrobił tego jednak; przyciągnął mnie bliżej. Nie miało znaczenia, że moje stopy przestały się ruszać i ryłem piętami po ziemi; był znacznie silniejszy ode mnie i wleczenie mojego delikatnego ciała to była dla niego pestka. Zanim się obejrzałem, staliśmy przy otwartych drzwiach kurnika i, chcąc nie chcąc, zobaczyłem rozszarpane ciała kilku kur. Nad kurnikiem bzyczała gęsta, złowroga chmara much, które zlatywały na puchnące truchła i pożywiały się nimi. Na wyłożącym mięsie wiły się larwy, nowo wyklute i głodne, kłębiły się bezładnie w poszukiwaniu następnego kęsa. Żółć podeszła mi do gardła i nim zdążyłem się odwrócić, na pobojowisko spadły moje wymiociny.

Thornley się zaśmiał.

– Pomyślałem sobie, że kiedy mama poda ci dziś wieczorem kurczaka, to chciałbyś wiedzieć, skąd on pochodzi. Prosto od rzeźnika.

* * *

BRAM, MUSIMY IŚĆ!– – nalegała głośnym szeptem Matylda, ciągnąc mnie za ramię.

– Nie rozumiem – odparłem cicho. – Przecież ona nie może...

– Już!

Matylda próbowała popchnąć mnie w kierunku drzwi, ale niewzruszony stałem w miejscu. Moje oczy wróciły do kurzu na podłodze, do kopczyka, który piął się w górę w kierunku łóżka. Wtedy zrozumiałem. Kiedy ciocia Ellen zamiata swój pokój, podmiata kurz w kierunku łóżka, a nie odwrotnie, na przykład na szufelkę. Czy kurz wraca na podłogę, kiedy Ellen wchodzi do skrzyni i z niej wychodzi?

Odwróciłem się do podłogi i przyjrzałem się: ślady prowadzące od drzwi były rozsiane po całym pokoju, wiele odcisków drobnych stóp – dziecięcych – żaden nie był dość duży, by mógł należeć do dorosłego.

– Ona nie zostawia śladów.

Matylda odwróciła się od drzwi twarzą do mnie.

– Co?

– Wszystkie ślady na podłodze należą do nas. Widzisz, jakie są małe? Ciocia Ellen jest niewysoka, ale mimo wszystko jej stopy są większe od naszych. A nie zostawiła ani jednego odcisku. Pamiętasz, jak wyglądał kurz tuż po naszym wejściu? Równomiernie rozłożona, nienaruszona warstwa?

W tym momencie mały Richard zaczął się wiercić w kołysce – zapomniałem, że jest z nami w pokoju. Matylda podeszła do niego. Zaczął wierzgać maleńkimi stópkami, kocyk się zsunął. Twarz Richarda wykrzywił grymas i na chwilę w pokoju zapadła kompletna cisza, po czym jego usta otworzyły się i wyrzuciły z siebie rozpaczliwy krzyk, dość głośny, by usłyszał go cały dom. Matylda wzięła go na ręce, przytuliła i delikatnie kołysała.

Szybko odłożyłem materac na jego pierwotne miejsce, starając się nie dotykać zakurzonej kołdry.

W drzwiach pojawiła się mama.

– Płuca tego dziecka obudziłyby nieboszczyka! Chyba nie ty go obudziłaś, co?

Matylda pokręciła głową i bez zajknięcia wypowiedziała krągłe kłamstwo:

– Byliśmy u Brama w pokoju, kiedy zaczął płakać. Nie wiedziałam, dokąd poszła ciocia Ellen, więc doszłam do wniosku, że powinnam do niego zajrzeć. Chyba trzeba go przewinąć.

Mama jednak wcale jej nie słuchała; wpatrywała się we mnie.

– Bram! Wstałeś z łóżka!

Kiedy zacząłem do niej iść, podbiegła do mnie i objęła mnie, chcąc pomóc, ale odsunąłem jej rękę.

– Potrafię sam, mammo, widzisz?

I przeszedłem od łóżka do drzwi. Skłamałbym, gdybym powiedział, że to było łatwe; wysiłek był na tyle duży, że wycisnął mi na czoło krople lśniącego potu, ale naprawdę czułem się znacznie lepiej niż w ostatnim czasie. Moje mięśnie chciały pracować, ale po latach atrofii ruch sprawiał mi trudność.

W oczach mamy zabłyśły łzy.

– Chyba zaraz...

– W porządku, mamo. On potrafi sam! – wykrzyknęła Matylda.

Mama zbyła ją gestem dłoni i wzięła mnie w ramiona.

– Dzięki wam, szczęśliwe gwiazdy, za wujka Edwarda. Niech go Bóg błogosławi!

Ścisnęła mnie tak mocno, że prawie poderwała mnie do góry. Pod rękawami koszuli nocnej swędziały mnie ślady po ukąszeniach pijawek.

– Nigdy nie zrozumieć, jakim cudem ta kobieta utrzymuje dom w czystości, a sama śpi w takim bałaganie. – Rozejrzała się wokół z obrzydzeniem. – No, już mi stąd, jedno z drugim.

* * *

TAMTEGO DNIA nie powiedziałem Matyldzie o pewnej rzeczy, którą przez cały ten czas zachowałem dla siebie i zabiorę ze sobą do grobu. Kiedy patrzyłem na ziemię pod łóżkiem cioci Ellen, kiedy patrzyłem na robaki i wijące się larwy, kiedy wdychałem zapach śmierci – nie czułem obrzydzenia, jak by wypadało. Przeciwnie, to wszystko zdawało mi się w niejasny sposób zachęcające; stałem tam i z całych sił zwalczałem w sobie przemożne pragnienie, by wejść do środka i się położyć.

* * *

WIECZÓR.

Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio siedziałem z całą rodziną w jadalni przy wspólnym posiłku. Czy w ogóle kiedykolwiek tak się zdarzyło?

Choroba panowała nad moim życiem od tak dawna, że pamiętałem tylko posiłki u siebie w pokoju, przynoszone na zmianę przez domowników. Czułem się przez to ciężarem, obowiązkiem, który trzeba wypełniać. Kiedy mama zaprowadziła mnie na dół, na początku nie wiedziałem, gdzie mam usiąść. Wokół dużego okrągłego stołu z drewna stało siedem krzeseł, a przy sześciu z nich były nakrycia. Gdyby Matylda ruchem głowy nie wskazała mi, że mam usiąść obok, na krześle, przed którym brakowało nakrycia, nadal stałbym tam jak głupi przed całą rodziną i się jej przyglądał.

Zająłem miejsce wskazane przez Matyldę, a mama podała mi talerz i sztucce. Moje palce kiepsko radziły sobie z widelcem. Kiedy rozejrzałem się wokół, zauważyłem, że inni też czują się nieswojo. Mój młodszy brat Thomas siedział naprzeciw mnie i się gapił. Co kilka minut wsuwał palec do nosa, żeby wyjąć z niego coś, nad czym nie miałem odwagi się zastanawiać, a wtedy Matylda wymierzała mu pod stołem szybkiego kopniaka. Thomas patrzył na nią spode łba i kontynuował swoje nieczne poczynania. Mama siedziała po mojej prawej, nieświadoma przepychanek Thomasa i Matyldy, tak zajęta była Richardem, który siedział obok, porządnie zabezpieczony na wysokim dziecięcym krzeselku. Jego jedzenie zostało już podane i mama próbowała karmić go purée ziemniaczanym przy użyciu łyżeczki, kończyło się jednak na tym, że mały wypływał jasną bezkształtną porcją, aby następnie wetrzeć ją sobie w kolana.

Tata siedział naprzeciwko mamy po drugiej stronie stołu. Myślę, że nie chciał zwracać na mnie uwagi pozostałych; postanowił raczej udawać, że w mojej obecności nie ma nic nadzwyczajnego. Za to byłem mu wdzięczny. Poza Thomasem, wgapiającym się we mnie ze zdziwieniem, wszyscy starali się ukryć poczucie niezwykłości, które towarzyszyło tej sytuacji. Każde z nich przyłapałem na więcej niż jednym zerknięciu w moją stronę, nie padły jednak żadne komentarze na ten temat.

Wtedy nagle Thornley wypowiedział to wprost z szokującą obcesowością. Poprosiłem go o podanie chleba, a on odparł:

– Ktoś wreszcie zrezygnował z umierania, żeby sprawdzić, co słyhać u reszty świata, co?

Na dźwięk tych słów mama zgromiła go swoim najsurowszym wzrokiem.

– Twój brat jest bardzo chory i powinieneś raczej być wdzięczny wujowi Edwardowi, że go nam przywrócił.

– A mi tam się wydaje, że kisi się w tym swoim pokoiku tylko po to, żeby nie pomagać w obowiązkach domowych. Wygląda na to, że dolega mu głównie lenistwo – odrzekł Thornley.

Tata uniósł brwi, ale nie przyłączył się do tej nieprzyjemnej wymiany zdań. Zamiast tego rozłożył aktualną gazetę i przeglądał nagłówki.

Thornley miał tylko dwa lata więcej ode mnie, wydawał mi się jednak dużo starszy. Był również większy, przerastał mnie co najmniej o piętnaście centymetrów. Ja byłem drobny i chudy, on natomiast masywnie zbudowany, głównie dzięki pracom, które wykonywał, pomagając rodzicom przy pracach domowych. Zajmował się zwierzętami i obejściem, taszczył drewno i tym podobne. Uczyniło go to silnym chłopakiem; nawet jako dziewięciolatek był większy niż inni w jego wieku i był tego świadom. Thornley zawsze był skory do utarczki, czy to słownej, czy fizycznej.

Pojawiła się ciocia Ellen z dużym garnkiem, ustawiła go na środku stołu i zaczęła napełniać po kolei nasze miski, poczynawszy od Thomasa. Kiedy doszła do mojej, Matylda szturchnęła mnie pod stołem. Jeśli ciocia Ellen wiedziała, że kręciliśmy się po jej pokoju, to nie dała tego po sobie poznać. Po zdjęciu prania wróciła do domu i rozkładała ubrania, nie zdradzając żadnej wiedzy na temat naszego występku. Nawet kiedy umieszczala moje ubrania w poszczególnych szufladach komody, robiła to bez słowa. Głowę miała opuszczoną, a twarz nadal zasłaniała chusta.

Ciocia Ellen podała mi miskę z zupą, a ja wziąłem ją od niej, nie patrząc jej w oczy, choć czułem na sobie jej wzrok. Dopiero kiedy doszła do taty, ośmieliłem się spojrzeć na jej twarz. Matylda miała rację. Ciocia Ellen wyglądała, jak gdyby postarzała się w ciągu ostatnich kilku dni; skórę miała

bladą i poszarzałą, a policzki pozbawione blasku. Kosmyki jasnych włosów, które wystawały spod chusty, wydawały się suche i łamliwe. Próbowwała wsunąć je z powrotem pod materiał, ale wciąż wypadały i zwisały luźno.

– Nie wyglądasz za dobrze, Ellen. Potrzebujesz odpocząć? – zapytała mama z drugiego końca stołu, wycierając Richardowi policzki serwetką.

Ciocia Ellen posłała jej słaby uśmiech.

– Pewnie się przeziębiam i tyle. Dam sobie radę. Po obiedzie położę się i zduszę to w zarodku. Nigdy nie byłam z tych, które pozwalają się rozłożyć chorobie.

Myśl o jej łóżku znów pojawiła się w mojej głowie wraz z ruszającymi się w ziemi robakami i larwami. Wyobraziłem sobie, jak Ellen leży na tym wszystkim z szeroko otwartymi szarymi oczyma i pustym spojrzeniem, a ziemne stworzenia powoli karmią się jej ciałem. Ślady po pijawkach na moich ramionach zaczęły swędzieć i walczyłem z pokusą, by zacząć się drapać. Na przegubie widać było jeden z nich i nie mogłem przestać na niego patrzeć – teraz był zaledwie różową obwódka, tak zagojoną, że już prawie niewidoczną. Zauważyłem, że Matylda mi się przypatruje, zasłoniłem więc ślad rękawem koszuli i czekałem na kopnięcie pod stołem, ono jednak nie nadeszło.

Odgryzłem kawałek chleba, a tata chrząknął.

– Czy aby o czymś nie zapomniałeś?

Spojrzałem na kromkę pieczywa w ręce, potem na zupę, niepewny, co miał na myśli.

Thornley zachichotał.

Tata spojrzał na niego, marszcząc brwi, po czym zwrócił się do mnie:

– W cywilizowanych rodzinach odmawia się przed jedzeniem modlitwę.

Od tak dawna spożywałem posiłki u siebie w pokoju, że podobne rzeczy wyleciały mi z pamięci. Odłożyłem chleb obok miski, splotłem dłonie i zamknąłem oczy.

– Może spróbowałbyś na głos? – powiedział tata.

Otworzyłem oczy. Po twarzy Thornleya przebiegł złośliwy uśmiezek, a ja poczułem, że się czerwienię.

– Dobrze, tato.

Usiłowałem przypomnieć sobie ostatni raz, kiedy to robiłem, ale nic z tego. Miałem pustkę w głowie i tępo gapiłem się w miskę z zupą.

Tata spojrzał na moją siostrę.

– Matyldo, przypomnij bratu, jak się zjawia modlitwę.

Matylda usiadła prosto, klasnęła w dłonie i przemówiła głosem donośnym i dźwięczącym w całym pokoju:

– Panie, pobłogosław ten posiłek i spraw, byśmy zawsze pamiętali o niedolach i potrzebach tych, którym mniej się poszczęściło. Amen.

– Amen – odpowiedziałem łamiącym się głosem, który zabrzmiał nieco wyżej, niż miałem nadzieję.

Tata kiwnął Matyldzie głową i wrócił do gazety.

Nie tknąłem swojego chleba dopóty, dopóki nie zobaczyłem, że mama smaruje swój masłem.

– Wiadomo coś o Patricku O’Cuivie? – zapytała.

Tata strząsnął gazetę i otworzył z powrotem na pierwszej stronie.

– O, tak, najwyraźniej sprawa znacząco się skomplikowała. Posłuchaj.

MASOWY MORD PRZY MALAHIDE ROAD. OJCIEC RODZINY PODEJRZANY O ZBRODNIĘ W SANTRY

Patrick O’Cuiv został znaleziony przez służby policyjne w swoim mieszkaniu przy Malahide Road; był bliski śmierci. Okoliczności zajścia budzą podejrzenia, gdyż oprócz niego w domu znaleziono też małżonkę i dwoje z trójki dzieci – wszyscy leżeli martwi w swoich łóżkach. Poinformowany o losie swoich bliskich, wpadł w histerię i mimo zrozumiałej żałoby wymagał uspokojenia siłą. Wyszły na jaw informacje, według których to on miał być pracownikiem biorącym udział w walce na pięści ze zmarłym Corneliusem Healyem, zarządcą z posiadłości Santry.

Mama pokręciła głową.

– Coś okropnego. A więc nie dość, że zabił swoją rodzinę, to jeszcze pracodawcę?

Tata wzruszył ramionami.

– Jak dla mnie śmierć jego szefa to nic innego jak zwykły wypadek. Mamy mężczyznę w rozpaczliwym położeniu, u kresu sił. Wywiązała się bójka, a Healy dostał za swoje. Nikt nie będzie za nim tęsknił; był nadętym bufonem, który lubił tylko brzmienie własnego głosu i brzęk monet w kieszeni. Mógł darować mu tę odrobinę zboża, ale wolał stłuc człowieka usiłującego wykarmić rodzinę. Dosięgnął go gniew Boży i tyle. Ale ta historia z rodziną O’Cuiva jest naprawdę tragiczna. – Tata zamilkł na chwilę, wyjął fajkę z kieszeni na piersi i zaczął ubijać tytoń wydobyty z brązowego skórzanego woreczka, który zawsze nosił przy sobie. – Nie mogę sobie wyobrazić, jak, nawet utraciwszy nadzieję, ojciec rodziny mógłby odebrać życie żonie i dzieciom, dlatego że nie daje rady ich utrzymać.

Richard zaczął grymasić, więc mama wyciągnęła rękę i pogłaskała go po rączce.

– Może już wcześniej przechodził kryzys i nie mógł znieść zabójstwa pracodawcy. Ostatecznie skoro jako człowiek pracujący nie był w stanie wykarmić rodziny, to jak miałby tego dokonać jako bezrobotny zabójca? – zapytała. Richardowi się odbiło. Mama zmarszczyła brwi. – A wiadomo coś o ich córce? Tej, która zdołała uciec?

– Jak na razie nic.

– Ciekawa jestem, kto wziął ją pod swój dach. Nie sądzę, żeby O’Cuivowie mieli w tej okolicy rodzinę. Sibean O’Cuiv mówiła chyba, że jej rodzina mieszka w Dublinie, ale mogę się mylić.

– Myślę, że ma dobrą opiekę.

– Może zamieszkałaby u nas? – zaproponowała Matylda. – Nie miałabym nic przeciwko siostrze.

Tata spojrzał na nią znad fajki, ale nic nie powiedział.

Mama poklepała ją po ręce.

– Często powtarzam twojemu ojcu dokładnie to samo! My, kobiety, jesteśmy w tym domu w znacznej mniejszości. Skoro dobry Bóg nie uważa za stosowne pobłogosławić tej rodziny kolejną córką, może powinniśmy rozważyć zwerbowanie jakiejś.

– Myślicie, że widziała, co się stało? – zapytałem.

Tata wypuścił z ust kółko z dymu i powiedział:

– Najprawdopodobniej wszystko widziała. W przeciwnym razie po co miałyby uciekać? Takie rzeczy zostawiają w dziecku ślad na całe życie. Za dwadzieścia lat też będzie się budzić, mając ten obraz przed oczami. Być świadkiem tego, jak własny ojciec odbiera życie twojej matce i rodzeństwu, to niewyobrażalne okropieństwo, przed którym nie ma ucieczki. Mam tylko nadzieję, że któregoś dnia zazna szczęścia wystarczająco dużego, aby zrównoważyć zło, którego dopuścił się jej ojciec.

Kątem oka przyglądałem się, jak ciocia Ellen zajmuje miejsce przed swoim nakryciem. Ręka lekko jej drżała, kiedy zanurzała łyżkę w rosole i unosiła do ust. Chociaż je otwierała, zupa ani razu nie trafiała do środka, a Ellen opuszczała pełną łyżkę z powrotem do talerza. Chwilę później powtórzyła całą operację i zupa nadal nie znalazła się w jej ustach. Matylda także się temu przyglądała, a kiedy Ellen spojrzała na nas z drugiego końca stołu, oboje odwróciliśmy wzrok. Z tego wszystkiego wypuściłem z rąk własną łyżkę, która spadła na podłogę. Ciocia Ellen odsunęła od siebie talerz.

– Coś czuję, że ta choroba naprawdę mnie rozkłada. Przepraszam was bardzo.

Po tych słowach wstała od stołu i weszła po schodach na górę, nie oglądając się za siebie.

* * *

PÓŹNIEJ.

– I co ona tam robi? – spytała szeptem Matyllda, kiedy wśliznąłem się do swojego pokoju i dyskretnie zamknąłem drzwi.

– Nic nie usłyszałem – odparłem cicho.

Matyllda siedziała na łóżku ze szkicownikiem w dłoni, uważnie odwzorowując mapy z sypialni cioci Ellen. Nigdy nie pojmę, jak udało się jej zapamiętać wszystkie te szczegóły.

– Może śpi – zasugerowała, nie podnosząc wzroku.

Po obiedzie siostra i ja wróciliśmy do mojego pokoju na poddaszu. Kiedy wchodziliśmy po schodach, odprowadzały nas spojrzenia reszty. Mimo że byliśmy rodziną, ja czułem się wśród nich trochę obco. Prawdę mówiąc, nie sądzę, by mieli nadzieję na to, że przeżyję choćby pierwszy rok, a to znacznie mniej niż siedem. Spodziewali się, że czeka mnie śmierć – jeśli nie dziś czy jutro, to niebawem, i dlatego woleli trzymać się ode mnie z daleka. Nawet mama, która spędzała ze mną wiele czasu, zachowywała dystans – zawsze była między nami nienazwana przepaść. Tatę widywałem rzadko, a Thornley zupełnie mnie unikał. Wobec tego kiedy udałem się do siebie na górę, odczułem ulgę, ale gdzieś pod nią czaił się strach: każde z nas przeczuwało, że po dobrych dniach nieuchronnie nadchodzą złe.

– Nie śpi. – Wyobraziłem sobie ciocię Ellen, jak siedzi na brzegu łóżka z odsuniętym materacem i grzebie palcami w ziemi, nad którą unosi się wilgotne ciepło i zaprasza do środka. – Czy kiedykolwiek widziałaś, żeby coś jadła?

– Przecież co dzień je z nami obiad.

– Nie, pytam o to, czy rzeczywiście widziałaś, jak je?

Matyllda potrzebowała chwili na zastanowienie.

– Ja... Sama nie wiem. Chyba nie widziałam, ale nigdy za bardzo się na tym nie skupiałam. Sugerujesz, że ona nie je?

– Dziś udawała, że je.

– Kiepsko się czuła. Akurat ty najlepiej powinienesz wiedzieć, jak to jest z jedzeniem, kiedy się choruje. Może udawała, żeby nie urazić mamy. Nie chciała sprawiać wrażenia, że zupa jej nie smakuje.

Zaswędziała mnie ręka i podrapałem delikatną skórę.

– Pokaż mi to – nakazała Matylda, odkładając szkicownik i łapiąc mnie za rękaw koszuli.

Odsunąłem się. Nie wiedziałem dlaczego, ale po prostu nie chciałem, żeby to oglądała. Czułem, że nikt nie powinien. Że jeśli ktoś to zrobi, pojawi się więcej pytań. Pytań, na które nie mogę odpowiedzieć.

Matylda zmierzyła mnie wzrokiem.

– Bram!

– To okropnie wygląda. Nie chcę, żebyś patrzyła.

– Widziałam cię już z pijawkami. Chodź no tu.

Ponownie się odsunąłem i cofnąłem aż pod ścianę.

– Co cię opętało?

Przywarłem plecami do zimnego drewna, przygotowując się, żeby odepchnąć siostrę. Pragnąłem przecisnąć się przez tynk i okładzinę, by wydostać się na lodowate powietrze, gdy nagle...

– Jest na zewnątrz – oznajmiłem cicho.

– Co masz na myśli?

– Ciocia Ellen jest na zewnątrz.

Matylda podeszła do drzwi i uchyliła je tylko na tyle, by zerknąć na korytarz.

– Jak może być na zewnątrz, skoro nie wychodziła z pokoju? Słyszelibyśmy ją.

– Nie wiem jak, ale jakoś znalazła się na dworze.

– Skąd wiesz?

Otworzyłem usta, by odpowiedzieć, ale nie wydałem z siebie dźwięku. Nie byłem pewien, skąd wiem; wiedziałem tylko, że wiem.

Podszedłem do okna i wbiłem wzrok w ciemność.

Wiszący na niebie sierp księżyca roztaczał nieznaczną poświatę, ukazując tylko słabe zarysy świata, sylwetki i cienie. Z tej odległości wieża zamku Artane była ledwo dostrzegalna, zasłaniały ją falujące wzgórza i pola uprawne przetykane domkami naszych sąsiadów. Dalej były las, leszczyny i brzozy,

których ciemne gałęzie drapały nocne niebo w oczekiwaniu na nadchodzącą ulewę. Patrzyłem na to z przestachem nie dlatego, że nigdy wcześniej tego nie widziałem, ale dlatego, że nie powinienem być w stanie zobaczyć tego przy tak słabym świetle. A jednak byłem w stanie. Wszystko to widziałem.

– Tam! – Wskazałem palcem na północ, w stronę zamku Artane, tuż za stodołą.

Matylda podeszła do mnie i wyjrzała przez okno.

– Nic nie widzę.

– Właśnie minęła pastwisko. Idzie do domu Roddingtonów. Ma chyba na sobie czarny płaszcz z kapturem zaciągniętym na głowę.

– Skoro ma kaptur, to skąd możesz wiedzieć, że to w ogóle ona? – Matylda wychyliła się za okno, mrużąc oczy.

– To ona. Po prostu wiem.

– Ja tam wciąż nic nie widzę.

Pociągnąłem siostrę za rękę w kierunku korytarza.

– Chodź, musimy się pośpieszyć.

– A dokąd idziemy?

– Będziemy ją śledzić.

Matylda zapała się stopami o podłogę.

– Czy masz pojęcie, co zrobią mama i tata, jeśli dowiedzą się, że pozwoliłam ci wyjść z domu?

– No to nic im nie powiemy – zbyłem ją. – W drogę.

OBECNIE



BRAM ODSUWA SIĘ OD DRZWI. Srebrny krzyż, który trzyma w dłoni, rozgrzewa się i pali jego ciało, a jego krawędzie stają się ostre jak brzytwa. Upuszcza krzyż. Rękę ma całą w pęcherzach, zagłębienia obficie wypełniają się krwią.

Kiedy pojedyncza kropla krwi spada na posadzkę, w pokoju zapada cisza.

Słyszy szmer powietrza, kiedy bierze wdech, a potem patrzy na delikatną białą mgiełkę, która wydobywa się z jego ust. W tym momencie stworzenie rzuca się na drzwi z nieopisaną wściekłością. Bram widzi, jak drewno wygina się do wewnątrz; patrzy, jak rygle zabezpieczające ciężkie żelazne zawiasy podskakują i kołaczą o futrynę.

Wycie, głębokie, charczące wycie jest tak głośne, że Bram musi zakryć uszy. Ściska zranioną dłoń w pięść, a krew spływa mu po włosach i policzku. To najwyraźniej jeszcze bardziej rozjusza potwora, który skacze na drzwi po raz kolejny, jeszcze mocniej niż poprzednio.

Bram bierze różę ze stojącego za nim koszyka i puszcza ją po podłodze. Kwiat zatrzymuje się u progu, przed wysuszonymi pozostałościami swojego poprzednika i chociaż jeszcze przed chwilą był pachnący i świeży, od razu zaczyna marnieć. Na oczach Brama płatki wykręcają się i kurczą, ich brzegi brązowieją, a następnie czernieją, w miarę jak kwiat mizernieje i niknie.

Rzuca kolejną różę, a potem trzecią i ta ostatnia wcale nie więdnie.

Wycie rozlega się ponownie, tym razem stłumione i słabsze. Bram przygotowuje się na kolejne uderzenie w drzwi, ono jednak nie nadchodzi.

Zamiast niego słyszy skrobnięcie wielką łapą wzdłuż całych, niemal trzymetrowych drzwi, od samej góry aż po próg.

Na wołanie wilka szybko odpowiada drugi wilk, z daleka, gdzieś z głębi lasu. Po czym dołącza się kolejny.

Bram staje na nogi i podchodzi do okna.

Na nocnym niebie księżyc walczy z burzowymi chmurami, wyłania się na chwilę i z powrotem się chowa. Mimo przyćmionego światła widzi w oddali zarys lasu. Gałęzie są splecione tak mocno, że aż trudno uwierzyć, by cokolwiek mogło się przez nie przedostać, na skrzydłach czy po ziemi – ale pośród tych drzew Bram wyczuwa życie, ileś par oczu patrzących na niego gniewnie, kiedy spogląda na nie z góry.

Kiedy księżyc pojawia się znowu, Bram podnosi rękę do światła. Rana już zniknęła, skóra zagoiła się, nie pozostawivszy najmniejszego śladu skaleczenia prócz zaschniętej krwi oblepiającej wewnątrz dłoni.

Za oknem na warcie stoi kamienny gargulec. Grube szpony mocno trzymają się misternie rzeźbionego wapienia. Okrągłe czarne oczy zdają się wpatrywać w pola, las i klify nad dalekim oceanem. Bram wyobraża sobie, jak gargulec sfruwa ze ściany i ląduje na plecach ofiary, zanurzając w niej szpony i tnąc mięśnie aż do kości, tak że zaatakowany nie ma nawet czasu krzyknąć. Pozostaje mu tylko śmierć.

Księżyc wciąż rośnie, a Bram patrzy w górę i obserwuje chmury, rozstępujące się w dziwny sposób. Zamiast po prostu przepłynąć po niebie, rozdzielają się pośrodku i część odsuwa się w lewo, a druga w prawo, jak gdyby księżyc je rozdmuchiwał. Poświata zalewa gargulca, który rzuca na ścianę w pokoju ogromny, przerażający cień. Bram ma wrażenie, że cień odwraca głowę i rozkłada skrzydła: potwór budzi się z długiego snu. Bram ogląda się na prawdziwego gargulca, od wieków siedzącego za oknem bez ruchu i bez życia. Księżyc stoi w miejscu, ale cień zdaje się wędrować po pokoju i z każdym krokiem rośnie. Bram obserwuje najpierw jedną szponiastą łapę, a potem drugą,

jak poruszają się po ścianie, pełzną po kamieniach, lustrach, krzyżach, badają otoczenie.

Wyciąga rękę, chwyta jeden z krzyży wiszących na ścianie i umieszcza go między sobą a cieniem.

– Oto krzyż pański! Idź precz! – krzyczy. – Bóg Ojciec ci rozkazuje! Syn Boży ci rozkazuje! Święty znak krzyża ci rozkazuje! Opuść to miejsce, bestio nieczysta!

Wszystko na nic.

Cień zatrzymuje się przy dużym zdobnym lustrze w rogu, po czym przesuwa się dalej, pokrywając każdy przedmiot i każdą powierzchnię. Kiedy widmo dociera do róż, przystaje i cofa się, omijając kwiaty, zanim ruszy w stronę krzesła i karabinu Snider-Enfield leżącego na podłodze obok niego. Bram z przestachem patrzy, jak lejący się, mroczny cień mija kąt pokoju i przemieszcza się dalej wzdłuż ściany. Wie, że to niemożliwe, bo przecież to tylko blask księżyca może wpadać przez otwarte okno. A jednak zjawia stoi tu, cień pośród cieni, i dalej zwiedza pokój. Wtedy przypomina sobie o lampie olejnej i dociera do niego, że widmo w jakiś sposób porzuciło maskujący cień księżycowej poświaty i wędruje dalej w migoczącym świetle lampy, nie zatrzymując się, kontynuując swój taniec w mroku. Kiedy dociera do ostatniego kąta pokoju, zatoczywszy pełne koło, cień opuszcza ścianę, spływa na podłogę i rozlewa się aż pod dębowe drzwi i tam nieruchomieje.

To nie w porządku, Bram.

Na dźwięk tych słów Bram podskakuje, bo myślał, że jest sam, więc z nową energią przepatruje każdy centymetr pokoju; trzymając w górze krzyż, obraca się dookoła, a jego odbicie spogląda na niego z licznych lusterek zdobiących ściany.

– Pokaż się! – rozkazuje Bram.

Cień u jego stóp porusza się, przechodzi z podłogi na drzwi i rośnie, aż prawie sięga sufitu.

– To czary, nic więcej. Nie będę tego tolerować!

Cień rozkłada swoje potężne ramiona, które obejmują ściany po bokach i rozciągają się tak, że otaczają już cały pokój.

Jeśli mnie puścisz, nie będziesz musiał zginąć.

Naraz Bram zdaje sobie sprawę z tego, że te słowa nie dobiegają od wielkiego cienia przed nim ani od bestii uwięzionej za drzwiami, ani znikąd w pokoju, lecz rezonują w jego głowie, jak gdyby jego myśli zyskały głos.

Ten głos nie jest ani męski, ani kobiecy, ale stanowi coś pośredniego, dziwną mieszankę tonów wysokich i niskich, brzmiących bardziej jak chór głosów niż jeden konkretny.

Ramiona cienia wracają do drzwi i znajdują ich krawędzie; przezroczyście palce o czarnych szponach oblepiają futrynę i grube zamki z metalu niczym płynna melasa. Kiedy docierają do róż pod drzwiami, omijają je, zamiast się po nich przesunąć; albo ze strachu, albo nie mogąc ich dotknąć, podobnie jak róż w koszyku.

Bram przechodzi przez pokój, wyciąga z koszyka następną różę i ciska ją w czarne widmo. Cień kurczy się i zostaje po nim tylko świetlisty punkt, a Bram dociera do drzwi, trzymając różę w zaciśniętej pięści.

Kiedy się cofa, jasny punkt znika, pochłonięty przez ciemność.

– Nie boję się ciebie! – mówi Bram głosem, który nie brzmi tak donośnie, jak na to liczył.

W tym momencie rozlega się śmiech, nieprzyzwoicie głośny, śmiech złożony z krzyków tysiąca dręczonych dzieci, a Bram robi krok wstecz i prawie przewraca się o krzesło.

Jeśli nie otworzysz tych drzwi, rozplątam cię od góry do dołu, wypatroszę i zatańczę na twoim trupie, patrząc, jak spieniona krew wypływa ci z ust!

Ręce cienia znowu zaczynają wpełzać na ściany i obejmować cały pokój, otaczając Brama. Zaostrzone szpony wskazują drogę, mrok wpełza na wszystkie powierzchnie, włącznie z lustrami i krzyżami, aż wypełnia niemal każdy centymetr pomieszczenia.

Bram biegnie do okna i zatrzaskuje okiennice. Potem zdmuchuje płomień lampy, pogrążając pokój w całkowitej ciemności, w której nie przetrwa żaden cień.

DZIENNIK BRAMA STOKERA



PAŹDZIERNIK 1854

Matylda i ja wyszliśmy z pokoju i zeszliśmy po schodach tak dyskretnie, jak tylko potrafiliśmy. Przystanęliśmy pod drzwiami cioci Ellen, aby zajrzeć do środka i upewnić się, że naprawdę jej nie ma. Okno w jej pokoju było otwarte na oścież, jedyną osobą obecną wewnątrz był mały Richard, smacznie śpiący w kołysce. Opuściłem świecę i wskazałem na podłogę – rozmaite ślady i odciski, które poprzednio zostawiliśmy, zniknęły, ale kurz nadal zalegał na podłodze i pokrywał ją gładką warstwą. Łóżko było zasłane. Matylda w milczeniu kiwnęła głową i skierowała się ku schodom, gestem pokazując, bym podążył za nią. Ostrożnie zamknąłem drzwi pokoju cioci Ellen i dołączyłem do siostry.

Było już późno, prawie jedenasta, rodzice siedzieli u siebie w sypialni. Thornley i Thomas nie wydawali żadnego dźwięku, który by świadczył o tym, że jeszcze nie śpią; w ich pokoju panowała cisza, a spod drzwi nie przesączało się światło. Każdy spowodowany przez nas odgłos wydawał się wzmocniony, od skrzypnięcia desek pod stopami po szczęknięcie zamka przy otwieraniu drzwi wejściowych. Byłem pewien, że ktoś nas usłyszy i zacznie wypytywać, tak się jednak nie stało i po kilku chwilach wylądowaliśmy na zewnątrz.

– Jeśli to była ona – powiedziała Matylda – ma kilka minut przewagi. Dokąd twoim zdaniem może zmierzać?

Gdy znalazłem się na dworze, ogarnął mnie lęk, aż oparłem się plecami o drzwi. Od lat nie wychodziłem z domu – pamiętam, jak mocno tuliła mnie

mama, kiedy w piękny wiosenny dzień zanosila mnie na trawę przy domu; mogłem wtedy mieć najwyżej cztery lata. Pamiętam żywe kolory tamtego kwietniowego dnia, wyraziste zapachy, ciepły wietrzyk. Pamiętam również, jak przerażony byłem, kiedy weszła z powrotem do domu po dzbanek z wodą. Nie było jej około minuty, ale przez ten krótki czas ziemia wokół jakby zaczęła się rozszerzać, dom coraz bardziej się oddalał, aż wreszcie stał się ledwo widoczny, a niebo nade mną wyglądało, jakby miało spaść. Chciałem tylko wrócić do środka, do mojego bezpiecznego schronienia, żeby uciec przed tą nieskończenie pustą przestrzenią, zanim mnie ona pochłonie. Kiedy mama wróciła, powiedziałem, że choroba mi wróciła, a ból i cierpienie są zbyt duże. Prawda jednak była taka, że po prostu nie mogłem tam zostać. Spojrzała na mnie tylko z rezygnacją w oczach. Gdy zacząłem płakać, ustąpiła, wzięła mnie na ręce i zniosła do domu. Od zdarzenia z Thornleyem i kurnikiem nie odważyłem się ponownie wyjść na dwór.

Nawet w ciężkim mroku tej późnej godziny otwarta przestrzeń wokół mnie rosła i zdawała się o wiele za duża, by mógł ją przemierzać mały chłopiec. Przewór tej dziczy mógł mnie pochłonać i nic by po mnie nie zostało. Chciałem wrócić, ale wiedziałem, że nie mogę.

Wziąłem głęboki wdech, a Matylda złapała mnie za rękę.

– Zrobimy to wspólnymi siłami – zapewniła.

Owinąłem swoje palce wokół jej i poczułem, jak jej ciepło rozchodzi się we mnie, niosąc ze sobą poczucie spokoju. Zebrałem się w sobie.

– Nie możemy dać się jej wymknąć.

Powędrowałem wzrokiem w kierunku zamku Artane widocznego w oddali. Ostała się z niego tylko wieża, a reszta legła w ruinie. Wysoki monolit sięgał rozjarzonego poświata księżycy nieba i drapał chmury, rzucając długi i szeroki cień na okoliczne pola. Wiedziałem niewiele więcej ponad to, że wzniosła go rodzina Hollywoodów. Na przestrzeni lat większość kamienia została wywieziona i wyniesiona do gołej ziemi. Oprócz wieży stało tylko kilka walących się murów, a z tyłu mieścił się cmentarzyk.

Mieliśmy zakaz chodzenia do zamku.

Matylda musiała odgadnąć moje myśli, bo ścisnęła mnie za rękę.

– Ellen poszła do zamku, prawda?

– Chyba tak.

– Ale skąd to wiesz?

Nie potrafiłem odpowiedzieć. Podobnie jak wiedziałem, że ciocia Ellen w jakiś sposób opuściła dom i skradała się na dworze, tak i teraz po prostu wiedziałem, że poszła do zamku. Nie miałem pojęcia, w jakim celu, ale czułem pewność, że tam się udała i właśnie tam teraz jest.

– Chodźmy – powiedziałem, ciągnąc Matyldę za rękę.

Siostra ostentacyjnie westchnęła i obróciła się przodem do ruin.

– Prowadź.

Księżyc wisiał nisko na niebie i dawał niewiele światła. Matylda z trudem orientowała się w ciemności, ja natomiast nie miałem z tym żadnych problemów i poprowadziłem nas przez ciche miasteczko i przez pola w stronę ruin zamku Artane. Nasz dom został w tyle i wydawał się tak malutki, że musiałem odwrócić od niego wzrok, w obawie przed lękiem, który deptał mi po piętach i mógł nie pozwolić mi iść dalej. Tym razem to Matylda ciągnęła mnie za sobą.

Im bliżej wieży, tym coraz gęściej rosły trawy i drzewa. Wkrótce musieliśmy przedzierać się przez podbiały i perz sięgające nam do piersi. Szukałem jakiejś dróżki, żadnej jednak nie znalazłem i byłem zły na siebie, że nie wziąłem ze sobą sierpaka. Widziałem, jak Thornley używa takiego noża do oczyszczania altany z uschłej winorośli, i chociaż sam nigdy nie posługiwałem się czymś takim, czułem, że przy jego pomocy bez problemu przedarłbym się przez tę gęstwinę.

O ile idąca za mną Matylda zaczęła sprawiać wrażenie zmęczonej, o tyle ja z każdym krokiem robiłem się silniejszy. Jakaś część mnie chciała biec, ale musieliśmy zachować ostrożność; ciocia Ellen mogła być tuż-tuż, a nie mogliśmy się przed nią ujawnić.

Nigdy nie byłem tak blisko zamku. Wieża okazała się o wiele większa, niż się spodziewałem – miała co najmniej sześć metrów szerokości. Kamienie,

z których zbudowano fasadę, wielkie kwadratowe bloki szarego piaskowca, ułożono idealnie, z bardzo małym prześwitem pomiędzy jednym a drugim. Cud techniki jak na tamte czasy. Po setkach lat niektóre części budynku wciąż wyglądały, jakby wzniesiono je wczoraj. Mury wieży porastał mech, który niemal w całości pokrywał jej północną stronę. Nie mogłem się powstrzymać od wpatrywania się w szczyt budowli, choć stałem za blisko i kręciło mi się w głowie.

Po tej stronie były trzy okna, żadne nie było w naszym zasięgu. Wyobrażałem sobie, że kiedyś siedzieli w nich przycupnięci łucznicy, mierzący do żołnierzy wroga.

Kiedy naszym oczom ukazało się wejście, Matyllda i ja kucnęliśmy wśród wysokich zarośli.

– Jest tutaj? – spytała drżącym głosem Matyllda.

Październikowe powietrze rzeczywiście się oziębilo i chociaż miałem na sobie wełniany szal, dostałem gęsiej skórki. Matyllda też założyła szal, ale temperatura spadała wraz z każdym centymetrem, o który podnosił się księżyc na niebie, i nawet najcieplejsze ubrania nie mogły powstrzymać chłodu zbyt długo.

– Nie widzę jej – odparłem.

– Jest w środku? – powtórzyła pytanie ze zniecierpliwieniem.

Nie powiedziałem Matyldzie wprost, że czuję obecność cioci Ellen, ale nie ukrywałem też przed nią tego faktu, i chociaż przedtem mogła mi nie dowierzać, to jej ostatnie słowa sugerowały, że opuściły ją wątpliwości. Ja sam nie potrafiłem wyjaśnić, jak ani dlaczego potrafię coś takiego, ale między mną a Ellen było jakieś dziwne przyciąganie, jakby ktoś połączył nas liną, na której ona ciągnie mnie za sobą. Przyciąganiu towarzyszyło coś, co da się opisać tylko jako łaskotanie z tyłu głowy, które nasilało się w miarę mojego zbliżania się do niej. Nie było to nieprzyjemne – przeciwnie, niosło z sobą ukojenie. Ta siła chciała, żebym był blisko Ellen.

Stałem przodem do wieży i przesunąłem wzrokiem po wysokiej budowli od dołu do góry, zatrzymując się przy każdym oknie; nie dlatego, żebym potrafił przez nie zajrzeć – po prostu tak łatwiej było mi poczuć, co jest w środku. Kiedy doszedłem do szczytu, nie potrzebowałem już wzroku. Zamknąłem oczy i skupiłem się na cioci Ellen. Złapałem niewidoczną linię i ręka za ręką podciągałem się na niej, aż nie znajdowałem się już u podnóża zamku, lecz unosiłem się w powietrzu, przenikałem przez grube wapienne ściany do wnętrza budynku, do krętych schodów biegnących wzdłuż tylnej ściany, do cioci Ellen, która po nich schodzi. Zobaczyłem, jak idąc, zapina płaszcz, po czym nasuwa kaptur na głowę. Nie zrobiła tego dla ochrony przed zimnem, tylko dlatego, że nie chciała, by ją rozpoznano.

– Wychodzi – poinformowałem Matyldę. Kiedy usłyszałem swój głos, odniosłem wrażenie, jakbym nie był osobą, która to mówi. Wydało mi się, że stoję w pewnej odległości i patrzę na chłopca, który wygląda jak ja i wypowiada te słowa. – Wychodzi, i to teraz.

W tym momencie otworzyłem szeroko oczy i ściągnąłem Matyldę w dół, a ciocia Ellen wyszła przez ziejące pustką drzwi zamku w głęboką noc. Była ubrana tak, jak widziałem z okna mojego pokoju: w powłóczysty czarny płaszcz zapięty prawie od szyi do stóp, który zamiatał szeleszczące jesienne liście z gracją, który sprawiał wrażenie, że Ellen unosi się nad ziemią. Dokładnie tak wyobraziłem sobie sposób jej poruszania się, kiedy byliśmy u niej w pokoju: że zamiast wlec się jak Matylda i ja, Ellen przepływa nad kurzem pokrywającym podłogę. Uczucie przyciągania, którego doświadczałem i które doprowadziło mnie do niej, wezbrało tak bardzo, że bałem się, iż przyciągnie mnie wprost do niej. Lewą ręką ścisnąłem palce Matyldy, a prawą wbiłem w ziemię, w nadziei na znalezienie punktu oparcia.

Ciocia Ellen stanęła na chwilę u ziejących wrót zamku, obejrzała się na prawo i na lewo i podążyła cienką, wijącą się ścieżką do lasu. Nie miałem odwagi się odezwać, dopóki nie zniknęła nam z oczu.

– Idziemy za nią?

– Do lasu?

– Nie wiem, czy powinniśmy. – Nigdy przedtem nie byłem w tym lesie. W ogóle nigdy nie byłem tak daleko od domu. Pakować się do lasu w środku nocy byłoby głupotą. Ale lina, która złączyła mnie z cicią Ellen, napięła się i chciałem za nią podążyć, musiałem za nią podążyć, chociaż wiedziałem, że to niewłaściwy bieg wydarzeń. Mimo to z każdą upływającą sekundą czułem, jak ciocia Ellen odpływa w dal.

Wtedy po raz pierwszy zaświtało mi w głowie pytanie: skoro ja czuję jej bliskość, to czy ona czuje moją?

– Chcę wiedzieć, dokąd idzie – oświadczyła Matylda. Znów wstrząsnął nią dreszcz i wiedziałem, że musimy być w ruchu.

Kiwnąłem głową. Nie było innej rady, jak tylko pójść za Ellen.

Wstaliśmy i wyprowadziłem Matyldę z zarośli pod front zamku. Powietrze wokół było zimne, ale to, którym zawiewało od zamku, było jeszcze zimniejsze. Zerknąłem przelotnie na szerokie wejście do budowli, po czym ruszyliśmy z Matyldą ścieżką do lasu, zostawiając nasz świat za sobą.

* * *

CIOCIA ELLEN poruszała się szybko.

Odkąd znikła nam z oczu, upłynęły zaledwie minuty, ale mieliśmy wrażenie, że przebyła całe kilometry. Lina, która nas złączyła, trochę się rozluźniła, ale złapałem ją mocniej, nie zwracając zbytnej uwagi na rosnącą odległość między Matyldą, mną a domem. Matylda szła za mną w milczeniu, trzymaliśmy się za ręce i podążaliśmy wąską, krętą ścieżką.

Wszędzie dookoła majaczyły jesiony. Zrzuciły wprawdzie już większość liści, ale same ich nagie gałęzie były tak gęste, że księżyc przeświecał przez nie z trudem. Przestrzeń między jesionami wypełniały rdzawe wierzby o grubych, sękatych konarach. Biegały po nich łasice i zerkwały na nas ciekawie; zauważyłem też co najmniej trzy sowy przypatrujące się nam z góry.

Mech porastał niemal każdą powierzchnię, zakrywając zielonym kobiercem duże głazy i korzenie. Ziemia była tak wilgotna, że buty lekko się w nią zapadały i każdemu krokowi towarzyszył odgłos odklejania się ich od podłoża. Po powrocie będzie je trzeba porządnie wyczyścić; jeśli mama zobaczy nasze obuwie w takim stanie, z pewnością domyśli się, gdzie byliśmy – a wstęp do lasu mamy tak samo zakazany, jak do zamku. No i co by powiedziała na to, że tak bardzo oddaliłem się od łóżka?

– Widzisz w ogóle, dokąd idziemy? – spytała Matylda.

– A ty nie?

Matylda pokręciła głową.

– Ledwo ciebie widzę.

Pomyślałem, że żartuje, ale jej mina świadczyła o czym innym; Matylda oczy miała szeroko otwarte, twarz bladą od strachu. Nie dostrzegła zwierząt czmychających koło nas ani mrocznej urody tego miejsca; szła z zaniepokojonym wzrokiem utkwionym we mnie.

Rozejrzałem się po okolicy i dotarło do mnie, że widzę prawie tak dobrze jak za dnia. Nawet wśród korzeni drzew bez trudu rozróżniałem gąsienice pożywiające się zbutwiałym drewnem i robaki wijące się w czarnej ziemi pod naszymi stopami. Dostrzegłem nawet czarne mróweczki, brnące przez mech porastający pień wiązu prawie dziesięć kroków od nas.

– Musimy iść naprzód – powiedziałem. – Trzymaj się blisko mnie.

Kiedy tak wędrowaliśmy, powietrze zaczęła wypełniać delikatna mgła, która wkrótce zgęstniała; poczuliśmy lekkie, a z czasem coraz gwałtowniejsze podmuchy wiatru. Kołnierz płaszczka uderzył mnie w twarz i przyciągnąłem do siebie Matyldę. Chciała wracać, czułem to doskonale, ale nie powiedziałaaby tego na głos; miała zbyt silną wolę. Często słyszałem gwizd jesiennego wiatru ze swojego pokoju, ale nigdy nie czułem go na sobie; sprawiało mi to ogromną przyjemność. Las dookoła żył; czułem w nocnym powietrzu siły natury wypełniające wszystko od zwierząt po rozkołysane drzewa i utrzymujące delikatną równowagę życia i śmierci.

W miarę jak pokonywaliśmy drogę, mgła robiła się coraz bardziej zawieszista i wirowała dookoła nas poruszana wiatrem. Niebawem przestałem widzieć na więcej niż kilka stóp w każdym kierunku. Mgła śmierdziała wilgocią i słoną wodą morską, zapewne przez torf, którego w tym regionie było aż w nadmiarze, oraz nieodległy port. Wciągnąłem powietrze do płuc i oddychało mi się lepiej niż kiedykolwiek.

Nie mogłem powstrzymać wybuchu radości – ale pożałowałem go już w chwili, gdy się zaśmiałem, ponieważ Matylda spojrzała na mnie jak na wariata.

– Po prostu miło jest być na dworze, to wszystko – wyjaśniłem, bardziej dla przekonania samego siebie niż siostry, ale i tak żadne z nas w to nie uwierzyło. Coś się we mnie zmieniło; wiedzieliśmy o tym oboje i właśnie wtedy zobaczyłem w oczach Matyldy coś, czego miałem nadzieję nigdy nie zobaczyć, bo żaden brat nigdy nie chciałby tego zobaczyć.

Strach.

Nie miałem pewności, czy był to strach przede mną czy strach przed zmianą, którą we mnie wyczuła.

Wiatr przybierał na sile, zmrużyła więc oczy i tym razem to ona odwróciła się i pociągnęła mnie za sobą ścieżką, trzymając moją dłoń w swojej, przedtem ciepłej, a teraz lepkawej.

Szliśmy przez dobrych dwadzieścia minut, zapadając się w błotnistą ziemię przy każdym kroku stawianym wbrew próbującemu nas powstrzymać wiatrowi. Zawył na nas potężny wichur, błędzący wśród drzew, jak szalona zjawka całkiem nie z tego świata. Powietrze napływało z góry i z dołu i napierało na nas z tak przeraźliwą siłą, że kilka razy prawie straciłem równowagę; gdyby nie Matylda u mojego boku, z pewnością bym się przewrócił.

Czyżby las próbował zawrócić nas z drogi?

Usiłowałem pozbyć się tej myśli, ale utknęła mi w głowie i nie chciała ustąpić. Czy las mógłby odwozić kogoś od wejścia do niego? Stwierdziłem, że nie, bo chociaż las, owszem, żyje, to brak mu woli i świadomości.

Wtedy znowu uderzył w nas podmuch wiatru i Matyllda się potknęła. Przyciągnąłem ją do siebie i starałem się prowadzić tak, aby nie grzęzła w błocie, które mieliśmy pod nogami, przy czym sam niemal upadłem.

A skoro las nie mógł nikomu przeszkodzić w dostaniu się do środka, to może coś, co w nim żyło?

Nagle lina, która połączyła mnie z ciocią Ellen, znów się napięła i poczułem jej znajomą bliskość.

Dzięki prześwitowi we mgle zobaczyliśmy przed sobą dużą polanę. Dotarliśmy na nią tak niespodziewanie, że nie mieliśmy czasu zareagować. Ściągnąłem Matylldę na ziemię. Prawie krzyknęła, ale zasłoniłem jej dłonią usta, zanim zdołała wydać jakikolwiek dźwięk. Drugą ręką pokazałem jej, o co chodzi.

Jakieś sześć metrów przed nami pod rozłożystą wierzbą stała ciocia Ellen. Powykręcane gałęzie sięgały z jednej strony ku niebu, a z drugiej do bagna torfowego, które zaczynało się tuż przy korzeniach drzewa i kończyło gdzieś w oddali, bo przeciwległy brzeg ginał we mgle. Drzewo całkowicie porastał mech, pod którym pień był prawie niewidoczny.

W tym momencie wiatr ustał. Chociaż słyszałem, jak wyje pośród drzew za nami, to miejsce w jakiś sposób było chronione przed jego gniewem.

Kolejna sowa przyglądała się nam z wysoka; jej wielkie czarne oczy lśniły w słabej poświacie księżyca.

Ciocia Ellen stała odwrócona do nas plecami. Zobaczyłem, jak zdejmuje kaptur, a włosy opadają jej na ramiona. Coś jednak było nie tak. Nie były to kręcone blond loki, które tak dobrze znaliśmy; zamiast nich miała proste siwe włosy, które już z daleka wydawały się cienkie i łamliwe, a spomiędzy nich wyraźnie prześwitywała skóra na głowie.

Jeśli ciocia Ellen wiedziała, że tam jesteśmy, to nie zwróciła na nas uwagi. Sięgnęła do zapinki na szyi i rozpięła płaszcz, pozwalając mu zsunąć się na mokre podłoże. Pod spodem miała jedynie cienką białą koszulę nocną. Na widok jej rąk i nóg prawie zachłysnąłem się powietrzem. Jej ciało było stare

i pomarszczone, zwisało luźno z kości i pokrywały je ciemnoniebieskie żyły jak u staruszki. Gdybym nie wiedział, jak jest naprawdę, wziąłbym tę młodą kobietę, którą znałem od urodzenia, za babcię w wieku co najmniej siedemdziesięciu lat.

Mgła opadła nad tafelę wody i Matylda zobaczyła to samo; mocno wpiła mi palce w przedramię, aż pomyślałem, że jej paznokcie podrapiają mnie do krwi.

Ciocia Ellen zostawiła płaszcz i weszła do trzęsawiska. Woda najpierw sięgała jej do kostek, potem jednak było coraz głębiej i krok dalej była już po kolana, a jeszcze krok dalej – po pas. Biała koszula nocna unosiła się na wodzie, a Ellen szła dalej. Przy kolejnym woda zakryła ramiona, ona jednak się nie zatrzymywała. Chwilę później jej głowa znikła pod powierzchnią, woda zabulgotała i nie zostało po niej nic poza lekką zmarszczką na wodzie.

Matylda wzięła głęboki wdech.

Wpatrywałem się w spokojne lustro wody, czekając na pojawienie się cioci Ellen. Minęła pierwsza minuta pełna niepokoju, potem druga. Zacząłem się denerwować, bo nikt nie umie tak długo wstrzymać oddechu. Po trzeciej minucie wstałem i wyszedłem z ukrycia na polanę, a za mną Matylda.

– Czy ona utonęła? Czy odebrała sobie życie? – zapytała.

Pokręciłem głową, mimo że nie umiałbym tego uzasadnić. Nie czułem już obecności Ellen. Nie odpłynęła daleko – bagno było rozległe, ale nie aż tak, żebyśmy nie widzieli, że gdzieś się wynurzyła.

Szukałem nad bagnem jakichkolwiek śladów życia, ale żadnych nie znalazłem. W miejscu, w którym się zanurzyła, nie znać było żadnego ruchu. Na powierzchni unosiła się gruba warstwa torfu, odcinając wodę od nocy, jak gdyby nigdy nic jej nie zmaciło. Dotyczyło to również pozostałej części bagna. Gdyby ciocia Ellen wynurzyła się, aby zaczerpnąć powietrza, wypatrzylibyśmy ją, ale nic takiego się nie stało.

– Czy powinienem pójść za nią?

– Przecież nie umiesz pływać – zauważyła Matylda. – I ja też nie.

Prędko podszedłem do wierzby i oderwałem uschłą gałąź tuż przy pniu. Miała ze dwa metry długości i kilka centymetrów grubości, więc wymagało to nieco

wysiłku. Wróciłem nad brzeg trzęsawiska, by kijem wzruszyć wodę w miejscu, gdzie ciocia Ellen zniknęła. Warstwa torfowego mchu była gruba, ale myślałem, że ustąpi pod naciskiem, tymczasem trzymała się mocno. Udało mi się jednak odsunąć mech. Toń pod spodem była mętna, czarna, bardziej podobna do oleju, a każde uderzenie kijem tworzyło kręgi rozchodzące się wolno we wszystkich kierunkach.

– Widzisz ją? – spytała Matylda. Stała na palcach, próbując zajrzeć do wody, ale bez większego powodzenia.

Chociaż była o rok starsza ode mnie, ja byłem wyższy, tyle że mój wzrost nie zdał się na wiele.

– Ile już minęło?

– Pięć minut, może więcej. Nie jestem pewna – odrzekła Matylda.

– Może powinienem wrzucić tam kamień?

– I co miałoby to dać?

– Nie wiem. – Wokół mojej głowy zaczęła bzyzczyć ważka; odgoniłem ją machnięciem ręki.

– To nie mogła być ona – stwierdziła Matylda.

– To była ona, z całą pewnością.

– To była jakaś staruszka.

– To była ona.

Schyliłem się i podniosłem z ziemi płaszcz.

– To płaszcz mamy. Widzisz to rozdarcie? – Przecisnąłem palec przez dziurkę w prawym rękawie. – Powiedziała, że zaczepiła się o drzwi od piwnicy jakiś miesiąc temu.

Do oczu Matyldy napłynęły łzy.

– Nie chcę, żeby ciocia Ellen umarła.

– Nie wydaje mi się, żeby...

Ważka wróciła i wleciała mi prosto w oko. Pacnąłem ręką, ale chybiłem. Kiedy z lasu po naszej lewej wyleciała druga, uskokczyłem przed nią, trzymając

rękę na podrażnionym oku. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, że Matylda walczy z trzema kolejnymi.

Znad bagna dobiegło nas bzyczenie. Słabe, ale przybierające na sile. Spojrzałem na mgłę po drugiej stronie, ale na początku niczego nie zauważyłem. Nagle biała mgiełka się rozeszła, a ze środka wyłoniła się hałaśliwa czarna chmura. Im była bliżej, tym brzęczenie stawało się głośniejsze.

– Co to za dźwięk? – spytała Matylda, uderzając ważki latające jej wkoło głowy. Do pierwszych trzech dołączyły dwie następne, a cztery kolejne śmignęły po mojej lewej stronie. Jedna wylądowała na jej włosach i wciąż uderzała skrzydełkami, jakby się zaplatała. Matylda krzyknęła z obrzydzenia i próbowała pozbyć się owada.

Wbiłem spojrzenie w czarną chmurę sunącą ponad bagnem. Były ich setki, może tysiące. Wyciągnąłem ważkę z włosów Matyldy, rzuciłem na ziemię i wgniotłem podeszwą buta, po czym odciągnąłem siostrę od trzęsawiska.

– Chodź, musimy iść...

Kiedy pędziliśmy z powrotem do lasu z rojem ważek za plecami, kątem oka coś zauważyłem; ten widok prześladuje mnie do dziś. Z bagna wysunęła się ręka, pochwyciła ważkę w powietrzu i schowała się znów pod wodę.

* * *

USIADŁEM NA ŁÓŻKU. Bo jakimś sposobem znalazłem się w łóżku, a ciemność panującą w pokoju mącił tylko blask księżyca. Nie mogłem sobie przypomnieć powrotu do domu; wciąż miałem przed oczami ważki, czułem zapach bagna, piżmową woń wody pełnej torfu.

Wygramoliłem się z łóżka i podszedłem do okna.

Miałem na sobie koszulę nocną, ale nie pamiętałem, żebym się w nią przebierał.

Odnalazłem w ciemnościach wzrokiem zamek Artane i las za nim. Usiłowałem spojrzeć aż za las, by dostrzec bagno po jego drugiej stronie, ale taka odległość była za duża nawet dla mnie.

Czy to był tylko sen?

* * *

ZACZEŁA MNIE SWĘDZIEĆ ręką.

Wtedy w rogu za toaletką zauważyłem swoje buty, uwalane błotem, połyskujące w słabym świetle. Wpatrywałem się w nie, kiedy ciszę przeszył jej ostry głos.

– Nie powinieneś być wychodzić z pokoju w nocy, Bram. Chłopcom, którzy włączą się po ciemnym lesie, dzieją się złe rzeczy.

Odwróciłem się, oczekując cioci Ellen stojącej za mną, ale napotkałem tylko zamknięte drzwi i skotłowaną pościel na łóżku.

– W lesie jest pełno wilków. Oderwą twoje ciało od kości. Będą ryć pyskami w twoim brzuchu, aż wygłodniałymi językami natrafią na serce i wątrobę, a wtedy pożrą je ze smakiem. Na koniec wyłupią ci oczy z oczodołów. Widziałeś kiedyś, jak robi to sęp? Niesamowity widok. Jedno dziobnięcie i zostaje tylko ziejąca czarna dziura.

* * *

CIOCIA ELLEN ZACHICHOTAŁA po dziecięcemu, tak jak robiła Matyllda podczas zabawy w chowanego tuż przed tym, jak znajdowałem ją pod łóżkiem. Bo zawsze chowała się pod łóżkiem.

Zatoczyłem pełne koło, oczyma doskonale widzącymi w ciemności przepatrzyłem każdy kawałeczek pokoju. Po cioci Ellen nie było śladu.

– Musisz być szybszy! – powiedziała.

Poczułem klepnięcie w ramię i znowu obróciłem się, gotów stanąć z nią twarzą w twarz, ale nie było tam nikogo.

– Dość tej zabawy – rzuciłem.

– Ćśś – szepnęła mi do ucha. – Chyba nie chcesz obudzić całej rodziny?

Chciałem opędzić się ręką od źródła tego dźwięku tak jak od ważki na bagnie, ale moja dłoń napotkała tylko powietrze.

– Dobrze widzieć cię tak pełnym energii! Tydzień temu nie potrafiłeś ustać bez pomocy. Tymczasem dziś wieczór przeczesałeś mój pokój, wymknąłeś się na zewnątrz, odważyłeś się pokonać tak dużą odległość z domu do lasu i z powrotem bez najmniejszych objawów wyczerpania. Gdybym nie wiedziała, jak było, powiedziałabym, że wujek Edward uleczył cię tymi swoimi sztuczkami z czarnej torby!

Przypadłem do podłogi i sprawdziłem pod łóżkiem. Niczego nie znalazłszy, pognałem do szafy i otworzyłem drzwi, spodziewając się, że wypadnie z niej ciocia Ellen, ale nie napotkałem tam niczego oprócz moich ubrań na wieszakach i odświętnych butów pod spodem.

– Gdzie jesteś?

– Jestem tutaj!

Kolejne klepięcie w ramię.

Tym razem obróciłem się w przeciwnym kierunku i wyciągnąłem obie ręce. Przez ułamek sekundy moje palce musnęły ciało, ale po prostu była dla mnie za szybka i wywinęła mi się, zanim udało mi się ją zobaczyć.

– Mało brakowało! O jejku, ależ ty jesteś szybki!

Jej skóra była śliska jak u trupa; dreszcz przebiegł mi po plecach. Wytarłem rękę o koszulę, by pozbyć się tego upiornego wrażenia.

– I jakie to uczucie? Być całym w pijawkach? Czujesz, jak te paskudne stworzenia wysysają ci krew przez małe dziurki? Miałeś tak wysoką gorączkę, że na pewno nawet nie zauważyłeś, jak ich ząbki wgryzają się w twoją skórę, mam rację, prawda? Kiedy wujek Edward nareszcie je odczepił i wrzucił do słoika, były okrągłutkie jak jabłuszka. Zaklinał się, że wyciągnęły z ciebie chorobę, i najwyraźniej miał rację, tylko popatrz!

– Wiem, że to nie wujek mnie wyleczył – odpowiedziałem tak cicho, że nie byłem pewien, czy mnie usłyszała.

– Nie? A zatem kto? – zapytała. – Bo wyglądasz teraz znacznie lepiej niż kiedykolwiek w swoim życiu. Nie zaryzykowałabym twierdzenia, że jesteś zdrow, ale wyglądasz dużo lepiej, nieporównanie lepiej.

– Spytałaś, czy ci ufam, a ja odpowiedziałem, że tak.

– Naprawdę pytałam?

– A potem coś ze mną zrobiłaś.

Znów się zaśmiała.

– Coś... tak. Może. Może i zrobiłam.

Przemierzyłem pokój, wpatrując się w każdy cień, w poszukiwaniu cioci Ellen. Jej głos wydawał się dochodzić zewsząd dookoła mnie, a jednocześnie z żadnej określonej strony. Była jednak gdzieś niedaleko, czułem jej bliskość. Lina, którą byliśmy złączeni, znów się napięła. Zamknąłem oczy i skupiłem się na tym obrazie: zwijałem tę linę całą siłą woli, zmniejszając dystans między nami.

Ciocia Ellen ponownie wybuchnęła śmiechem, bardzo głośnym, aż pomyślałem, że wyrwie wszystkich ze snu.

– Może to kwestia twojego młodego wieku, ale nigdy nie widziałam, żeby ktoś z taką łatwością przyjął i próbował opanować nową moc. Może to dlatego, że dorośli tracą zdolność wyobrażania sobie i przyjmowania na wiarę tego, co nieznanne. Dzieci traktują tajemnicę jako fakt i przechodzą nad nią do porządku dziennego, nie poświęcając jej ani chwili namysłu. Ty jednak, Bramie, zrobiłeś na mnie wrażenie.

Szarpnąłem linę, ale nadal bezskutecznie. Podobnie jak jej głos, ona była wszędzie i nigdzie, jak zjawia krążąca w próżni.

Zaswędziało mnie ramię i poczułem, że muszę się podrapać.

– Co mi zrobiłaś? – Pożałowałem tego pytania już w chwili, w której je wypowiedziałem, nie byłem bowiem pewien, czy pragnę znać odpowiedź.

– Cóż, wczoraj w nocy zawróciłam cię spod bram piekła i uratowałam przed dotykiem Diabła, oczywiście. Czyż nie tak właśnie powiedziała twoja siostra?

Te słowa rozbrzmiały bardzo blisko mojego ucha; mógłbym przysiąc, że poczułem ciepło jej oddechu. Tym razem się nie odwróciłem, bo wiedziałem, że jej za mną nie będzie. Pozostałem na miejscu, skupiając się na linie i próbując ściągnąć ją nieco bardziej. Zrobiłem krok w stronę okna.

– No, no, rozgrzewasz się! Raz, dwa, trzy, Baba-Jaga patrzy!

Połączona ołowianymi szprosami szyba zadrżała, gdy w oddali zagrzmiało. Spadły pierwsze krople deszczu i zabębniły w okno, najpierw było ich zaledwie kilka, a potem nastąpiło oberwanie chmury i świat zalała potężna ulewa.

– Co robiłaś na bagnach? Widziałem, jak wchodzisz do wody i nie wracasz.

– A jednak tu jestem.

– A jesteś?

Sięgnąłem do zasuwki, przekręciłem ją i pchnąłem okno. Zawiasy zaskrzypiały, a szyby rozchyliły się w kierunku nocy. Deszcz na skórze wydawał się lodowaty, mimo to powitałem go z radością, ponieważ tak jak wcześniejsza wyprawa do lasu, dotyk natury przypominał mi, że naprawdę żyję.

– Ostrożnie, Bramie, bo przeziębisz się na śmierć!

Chciałem wierzyć, że już nie będę chory, że cokolwiek ciocia Ellen zrobiła, uwolniło mnie to od moich dolegliwości, ale nawet w momencie, gdy zaświtała mi ta myśl, czułem w gardle łaskotanie jak przed napadem kaszlu. Ból kości, który prześladował mnie całe życie, również wciąż był obecny, ale słabszy niż przedtem; przypominał mi o tym, że moja choroba nie ustąpiła, ale tylko wycofała się i przygotowuje się na powrót.

– Wiem, że nie wyzdrowiałem, nie do końca.

Ciocia Ellen nic na to nie powiedziała.

Podrapałem się po ramieniu, bo nie mogłem dłużej ignorować swędzenia.

Następnie wystawiłem głowę przez okno na padający deszcz, rozejrzałem się na boki, w górę i w dół, mrużąc oczy, by przejrzeć ulewę spływającą po ścianach domu. Nie wiedziałem czemu, ale miałem wrażenie, że zobaczę ciocię Ellen przyczepioną do wysłużonego tynku. Tymczasem nie zauważyłem niczego oprócz zalanych deszczem ulic i schowałem się do środka.

- Chyba mówiłaś, że się rozgrzewam?
- Mówiłam, ale teraz jesteś bardzo zimny.

Ciocia Ellen runęła z sufitu.

Dostrzegłem ją kątem oka i próbowałem odskoczyć, ale zjawiała się zbyt szybko, jakby nie tyle spadała, ile odepchnęła się od sufitu z ogromną siłą. Kiedy próbowałem zejść jej z drogi, widziałem, że leci prosto na mnie z rękami i nogami rozpostartymi jak pajak rzucający się na bezwonną ofiarę. Jej oczy nie były już szare jak u kobiety, którą zauważyliśmy na bagnach, ani niebieskie, jakie pamiętałem najlepiej, ale ognistoczerwone, płonące w mroku pokoju.

* * *

– BRAM!

Dźwięk mojego imienia docierał jakby z daleka, jakbym siedział na dnie studni, a ktoś wołałby mnie z otworu na górze.

Miejsce, w którym przebywałem, było tak ciemne, że nie uświadczylbyś tam nawet śladu światła, i wypełniał je zatęchły zapach zgnilizny. Kiedy próbowałem się poruszyć, stwierdziłem, że mięśnie już nie działają. Byłem uwięziony w ciele bez życia.

Ziemia w moim grobie; dobrze ubita.

Wróciły do mnie tamte obrazy: ciocia Ellen rzuca się na mnie, spada z sufitu i przygważdża mnie swoim ciężarem do podłogi.

Po czym szepce mi do ucha:

– Śpij, moje dziecko.

Dalej wszystko się urywa i nic więcej nie wiem.

– Bram!

Znów usłyszałem swoje imię, tym razem z mniejszej odległości niż poprzednio; towarzyszyło mu czerwone światło, słabe, ale nabierające intensywności, w miarę jak przybliżało się do mnie bądź ja do niego; nie byłem pewien, ponieważ miałem wrażenie, jakbym się przemieszczał, a jednocześnie pokój kręcił się wokół mnie, przenosząc mnie z miejsca na miejsce.

Wstrząsnął mną dreszcz, nagle otworzyłem oczy. Nade mną unosiła się Matylda.

Kiedy skupiłem na niej wzrok, poczułem siłę napływającą mi do rąk i nóg i całe ciało naraz wróciło do życia, wymachując kończynami bez sensu, aż w końcu podskoczyło na łóżku z taką siłą, że straciłem kontakt z podłożem, na chwilę zawisłem w eterze, po czym walnąłem z powrotem o podłoże.

Matylda patrzyła na mnie z rozdziawionymi ustami, a ja byłem jednocześnie zakłopotany i przestraszony.

* * *

– CZY TO SIĘ DZIAŁO naprawdę...?

Zanim dokończyłem to zdanie, Matylda kiwała już głową.

– Ostatnie, co pamiętam, to ucieczka przed ważkami w lesie. Potem przebudziłam się w swoim łóżku ze światłem poranka na policzku. Nie wiem, jak wróciliśmy do domu, i nie pamiętam rozbierania się ani kładzenia spać. Tymczasem ocknęłam się w koszuli nocnej, opatulona w koc, jak co nocy. Z początku też nie miałam pewności, ale zauważyłam, że mój płaszcz jest cały w rzepach z lasu. – Przerwała i zmarszczyła brwi. – Ty krwawisz!

– Co takiego?

Otarła mi kącik ust palcem.

– Zaschnięta. Sprzed co najmniej kilku godzin. Nie widzę jednak skaleczenia, tylko trochę zakrzepłej krwi. Przygryzłeś sobie język?

– Możliwe – odparłem, choć nie czułem żadnego bólu.

– A jaka jest ostatnia rzecz, jaką ty pamiętasz?

Też się nad tym zastanawiałem, gdyż ja również pamiętałem bieg przez las, próbę ucieczki przed ważkami. Pamiętałem też rękę wystającą z bagna i chwytającą jedną z ważek w locie. Ręka była gruba i pomarszczona niczym suszona śliwka, jakby spędziła pod wodą całą wieczność. No i sposób, w jaki złapała owada! Skojarzył mi się z żabą, której długi język porusza się z prędkością błyskawicy.

A potem byłem w domu, z powrotem w łóżku – czas pomiędzy tymi dwoma wydarzeniami kompletnie się zatarł.

Było też jeszcze spotkanie z ciocią Ellen.

– Musisz opowiedzieć mi to, co pamiętasz – stwierdziła Matylda, jak gdyby czytała mi w myślach.

Tak też zrobiłem: opowiedziałem jej wszystko.

Kiedy skończyłem, nie patrzyła na mnie z niedowierzaniem, którego się spodziewałem. Zamiast tego patrzyła na mnie z troską i niepokojem.

– Kiedy weszłam, zastałam twoje okno uchylone. Zobacz, kałuża wody wciąż pod nim jest...

Mama na pewno szczelnie zamknęła okno przed spaniem; zawsze tak robi. Nawet podczas najduszniejszych miesięcy zamykała mi na noc okno i odcinała dopływ nocnego powietrza, żebym tylko nie złapał przeziębienia albo czegoś gorszego. Moja choroba wykluczała takie warunki. Czyli tak jak pamiętałem: w nocy otworzyłem to okno sam.

– Dlaczego więc nie pamiętamy powrotu do domu?

Jej pytanie zawisło w powietrzu, bo żadne z nas nie znało odpowiedzi.

Matylda przeniosła wzrok na moje ramię, które drapałem w roztargnieniu. Przestałem i próbowałem schować je pod koc. Siostra ani myślała odpuścić – złapała mnie za rękę i przyciągnęła do siebie.

– Odkąd ci się poprawiło, bez przerwy się drapiesz. Pokaż mi to!

Wyrwałem się jej z taką siłą, że walnąłem dłonią w zagłówek łóżka, aż zadudniło. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby w dębowym drewnie został po tym ślad. Tymczasem moja ręka wyszła z tego bez szwanku i wyglądała normalnie. Szybko wsunąłem ją pod koc.

Matylda patrzyła na mnie z przerażeniem. Jeszcze przed kilkoma dniami była ode mnie znacznie silniejsza, a teraz wyswobodziłem się z taką łatwością.

– Co się z tobą stało? – spytała cicho. – Czy to ona ci to zrobiła?

Nie odpowiedziałem, bo po prostu nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Pokaż tę rękę, Bram.

Pod kocem zaczęło mnie znowu swędzieć, nie leciutko, jak od pająka wędrującego po ramieniu, ale tak jak po ugryzieniu dziesięciu komarów naraz. Próbowałem nie zwracać na to uwagi, ale robiło się coraz gorzej. Potarłem ręką o pierś, ale niewiele to pomogło. Na świąd mogły pomóc tylko paznokcie.

– Cały się trzęsiesz – stwierdziła Matylda. – No pokaż. Mnie możesz zaufać.

Nie dawałem już rady; wyciągnąłem rękę spod koca i zacząłem się drapać przez koszulę nocną z taką siłą, że gdybym w ten sposób przejechał paznokciami po stole, na pewno zostałyby rysy. Kiedy swędzenie nareszcie ustąpiło, sięgnąłem do mankietu i szybkim ruchem podwinąłem rękaw, wpatrując się w Matyldę.

Siostra spojrzała na bladą skórę na moim ramieniu. Przysuwała się coraz bliżej i bliżej. W końcu przemówiła, nie odrywając oczu od mojej kończyny.

– Nic tu nie widać.

– Niemożliwe. Poprzednio, gdy wujek Edward przystawiał mi pijawki, pozostawione przez nie ranki goiły się przez niemal dwa tygodnie. Najpierw były czerwone punkty, które potem ściemniały i zsiniały, aż wreszcie utworzyły się strupy, a plamki zbledły. Teraz minęły jedynie dwa dni, a ręka już wygląda normalnie, tylko to nieustanne swędzenie.

– Może tym razem zrobił to jakoś inaczej? Może krócej je trzymał na skórze? Ale ja już kręciłem głową.

– Wyleczyłem się szybciej. Wiem, że tak było. Poza tym jest to...

Podwinąłem rękaw na prawej ręce i pokazałem jej nadgarstek. Podobnie jak na lewym ramieniu – oraz na nogach, dla ścisłości – wszelkie ślady po pijawkach zniknęły. Skóra była czysta i gładka jak u niemowlęcia; wszędzie poza prawym nadgarstkiem.

Matylda ujęła moją dłoń, u nasady której czerwieniły się dwa nakłucia ze świeżo zdrapanymi strupami; dwie dziurki w odległości jakichś czterech centymetrów od siebie na wysokości żyły – tu swędziało najmocniej.

Żadne z nas nie usłyszało nadejścia mamy. Stała w drzwiach i zapytała:

– Wiecie może, gdzie jest ciocia Ellen? Jej pokój jest pusty, wszystkie jej rzeczy zniknęły.

Wyskoczyliśmy z Matyldą z łóżka i popędziliśmy na dół. Mamę aż zatchnęło na widok tego, jak szybko się poruszam. Dobiegłem do pokoju cioci Ellen przed Matyldą i zajrzałem.

Podłoga była czyściuteńka; cały brud, który wczoraj widzieliśmy, wyparował – nie został po prostu zamieciony, bo byłoby widać smugi, lecz wyglądało to, jak gdyby nigdy go tam nie było. Okno, przedtem zakryte, teraz było odsłonięte, a wpadające przez nie światło zalewało pomieszczenie. Sypialnia wydawała się odmieniona, nie była już przestrzenią, na którą trafiliśmy dzień wcześniej, lecz zwyczajnym pustym pokojem. Z kołyski dobiegało ciche gaworzenie Richarda, który odkąd weszliśmy do środka, bacznie się nam przyglądał i wyciągał rączki w kierunku swojej uniesionej stopy.

Biurko cioci Ellen zostało uprzątnięte z papierów. Szafa była otwarta na oścież i nie wisały w niej żadne ubrania. Razem z Matyldą odwróciliśmy się do łóżka – było idealnie zasłane, na pościeli nie było ani jednej fałdki. Zbliżyłem się i uniosłem materac, spodziewając się, że znajdę pod nim skrzynię pełną ziemi, jak poprzednio, ale było tam tylko siano, jak należy.

– Znikło.

– Co znikło? – spytała od progu mama.

Zerknąłem na Matyldę, która nieznacznie pokręciła głową.

Opuściłem materac z powrotem na ramę łóżka.

– Chciałem powiedzieć „znikła”. Przejęzyczyłem się.

– Mówiła wam coś? Coś, co wyjaśniałoby, dokąd poszła? Albo dlaczego?

– Nic – odparliśmy jednocześnie.

Mama spojrzała na nas tak, jak każda matka doskonale potrafi, w sposób, który mówi: *Wiem, że kłamiecie. I jeśli natychmiast nie powiecie mi całej prawdy, to ją z was wyduszę.*

– Zostawiła jakiś list? – spytała Matylda.

– Nie zostawiła – odrzekła mama. – Choć, oczywiście, tak powinna była zrobić. A właściwie to powinna była osobiście powiedzieć mi, że chce się zwolnić. Wykradać się w ten sposób po nocy, nie zdobywszy się nawet na pożegnalną rozmowę, to niepodobne do Ellen. Przyjęliśmy ją pod swój dach. Przez siedem lat zapewnialiśmy jej wikt i opierunek oraz pracę. To oburzające, że po prostu spakowała manatki i sobie poszła. Co mam bez niej zrobić? Sama przecież nie dam rady prowadzić domu i opiekować się piątką dzieci. Gdzie ja znajdę zastępstwo? Co mogło ją do tego doprowadzić?

– Może powinniśmy pójść na dworzec kolejowy? Może wciąż tam być – zauważyła Matylda. – Albo na nabrzeżu?

– A może trzeba sprawdzić w szpitalu?

Mama zignorowała moją sugestię.

– A ty, Bramie, kiedy ostatnio widziałeś ciocię Ellen?

– Przy obiedzie – odparłem z nadzieją, że wzrok mnie nie zdradzi.

Mama wpatrywała się we mnie przez chwilę i już myślałem, że przejrzała moje kłamstwo. Westchnęła ciężko.

– Matyldo, zaopiekuj się, proszę, małym Richardem. Poproszę Thornleya, żeby poszedł ze mną jej poszukać. Może nie odeszła zbyt daleko, zwłaszcza ze wszystkimi manatkami.

– A co ja mam zrobić, mamo? – spytałem. Ramię znowu mnie zaswędziało i walczyłem z pragnieniem, żeby się podrapać.

– Co ja powiem waszemu ojcu? – zastanawiała się mama na głos, zlekceważywszy moje pytanie. – Po siedmiu latach tak po prostu sobie poszła...

Mama odwróciła się i skierowała na dół, a ja podszedłem do biurka i zacząłem przetrząsać szuflady.

– Czego szukasz? – zapytała Matylda.

– Nie wiem, czegokolwiek. Jak udało jej się sprzątnąć wszystkie dobra doczesne bez zwracania niczyjej uwagi? – Nie znalazłem w biurku niczego i podszedłem do szafy. Zajrzałem tam i zacząłem badać palcami od wewnątrz. – Coś musiała po sobie zostawić.

– Odeszła przez nas, prawda? – zapytała Matylda.

Zatrzymałem się.

– Nie powinniśmy byli jej podglądać – powiedziałem.

– Będzie mi jej brakowało. – Matyldzie zaczęła drżeć dolna warga.

– Matyldo, przecież ona jest jakimś potworem!

– Nigdy nas nie skrzywdziła.

– Sama widziałaś, jak wchodzi do bagna i z niego nie wychodzi – odparłem.

– Tak mi się wydawało, co wcale nie znaczy, że tak było naprawdę. Ani że ona jest niebezpieczna. Mgła była taka gęsta, a my zziębnięci i zmęczeni... Może po prostu wydało się nam, że wchodzi do bagna. Nie mamy zresztą pewności, czy to była ona.

– Miała na sobie płaszcz mamy.

– Ty tak twierdzisz.

Stała mi przed oczami scena, w której Ellen spada z sufitu, a oczy płoną jej czerwonym blaskiem. Podciągnąłem rękaw koszuli nocnej i pokazałem dwa czerwone punkty.

– A to niby co?

Matylda stężała na twarzy.

– A skąd wiesz, że na pewno ona ci to zrobiła?

– Bo wiem. Widziałem to. Ona...

– Widziałeś, jak zlatuje z sufitu i rzuca się na ciebie jak dzikie zwierzę. Wiem. Tak mówiłeś, prawda? Przyjmijmy na chwilę, że coś takiego rzeczywiście zaszło. Przefrunęła przez pokój i wylądowała na tobie. A czy widziałeś, jak dobiera się do twojego nadgarstka?

– Ja... – Nie widziałem tego, ale powstrzymałem się przed powiedzeniem o tym Matyldzie. – Jeśli to nie ona, to kto?

– A jeśli ona, to jak to zrobiła? Mam uwierzyć, że cię ugryzła? Obnażyła kły i wpiła się w twoje ciało jak wściekły pies?

– Tak – powiedziałem tonem, który nawet mnie nie wydał się przekonujący. Nie znalazłszy niczego w szafie, przysiadłem na łóżku obok siostry.

– Sprowadź ją z powrotem, Bram. Chcę, żeby wróciła. Nie chcę, żeby nas opuszczała. Kocham ją.

– Musimy dostać się do zamku Artane, na wieżę.

* * *

MAMA I THORNLEY WRÓCILI dopiero tuż przed kolacją. W mieście nie było śladu po cioci Ellen, nie widział jej też żaden z naszych sąsiadów. Po prostu zniknęła.

Poczekaliśmy, aż zapadnie zmrok, a wszyscy domownicy pogrążą się we śnie. Wtedy podobnie jak poprzedniej nocy Matylda i ja wymknęliśmy się z mojego pokoiku na poddaszu, zeszliśmy po schodach i wyszliśmy z domu frontowymi drzwiami. Gdy zamknąłem je cicho za nami, uderzył nas złowróżbny bezruch powietrza. Przebiegliśmy szybko przez pole, starając się trzymać w cieniu i unikając miejsc, z których można by nas dojrzeć.

Przez całą drogę Matylda nie wypowiedziała ani słowa, co wydało mi się niepokojące. W większości sytuacji trudno było powstrzymać ją przed gadaniem, a zwłaszcza wtedy, gdy była zdenerwowana. Zerknąłem na nią kątem oka: miała zmarszczone brwi i wzrok wbity w ciemność przed sobą. Nie mogłem oczekiwać, że uwierzy w to, co mówiłem o cioci Ellen; nawet po tym, co już widzieliśmy, brzmiało to zbyt dziwnie. A jednak pragnąłem, żeby mi uwierzyła. Nie chciałem zostać z tym wszystkim sam. Siostra tak samo jak ja widziała ciocię Ellen wchodzącą do trzęsawiska i utrzymującą się pod powierzchnią znacznie dłużej, niż jakakolwiek normalna osoba dałaby radę. Wprawdzie Matylda nie widziała dłoni, która wynurzyła się z bagna i złapała ważkę, co jednak nie czyniło tego zdarzenia ani mniej prawdziwym.

Kiedy odwróciłem wzrok, zbliżaliśmy się już do zarośli, w których oprócz podbiałów i perzu rosły, co gorsza, jeżyny i winorośl, otaczające zamek ze wszystkich stron. Matylda nadal patrzyła przed siebie. Wreszcie odezwała się szeptem:

– Nadal ją wyczuwasz?

– Czyli w to wierzysz, a w to, co się wydarzyło w moim pokoju, nie?

– Ja... – zająknęła się. – Sama nie wiem. Może. Nie jestem pewna, nie wiem.

– Nigdy cię nie okłamałem, Matylde. Po co miałbym coś takiego zmyślać?

Matylde westchnęła.

– Ona była... Ona jest naszą przyjaciółką. Znam ją od urodzenia, ty podobnie. Nigdy nie zrobiła nam krzywdy. Za to dbała o nas jak o własne dzieci. –

Przerwała w poszukiwaniu odpowiednich słów. – Odmalowujesz ją jako potwora rodem z koszmarów nocnych, bestię, która rzuca się na ciebie w straszny sposób. Ale po co? Żeby kazać ci iść spać? Spójrz na siebie. Nie wychodziłeś z łóżka od miesiąca. Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek wyszedł z domu bez pomocy. Dzień wcześniej prawie stałeś nad grobem, a dziś jesteś w formie, która dorównuje mojej. Czy to jej sprawka? Skoro tak, to czemu miałyby cię skrzywdzić?

– Nie wiem, czy chce mnie skrzywdzić.

– No i twoje ręce – ciągnęła Matylde. – To niemożliwe, żeby rany po pijawkach tak szybko zeszły. A jednak tak się stało. Domyślam się, że z nóg też znikły?

Kiwnąłem głową.

– Jak?

– Żebym to ja wiedział.

Mimo to świąd nie ustępował. Przyłapałem się na tym, że nawet teraz się drapię.

– A to bezustanne swędzenie? – Matylde ruszyła naprzód. – Nie wiem, co mam o tym sądzić.

Zostawiłem rękę w spokoju i popędziłem za nią, przedzierając się przez gęste zarośla.

Matylde zatrzymała się i zerknęła na zamek majaczący przed nami na tle nocnego nieba.

– Nie odpowiedziałeś na moje pierwsze pytanie.

– Jakie pytanie?

– Wyczuwasz ją?

Stanąłem nieruchomo i przyjrzałem się posępnej budowli. Zniszczone kamienie pokryte były mchem i bluszczem. Kiedy skupiłem wzrok, zobaczyłem małe mrówki łązące po powierzchni murów, nienaturalnie ożywione, mimo chłodu w powietrzu śpieszące tu i tam w tylko im znanych celach. Były też pająki, setki pajaków rozpinających między liśćmi bluszczu swoje podstępne sieci, aby złapać w nie muchy. Obserwowałem to wszystko, wiedząc, że Matylda nie może. Stała obok, drżąc z zimna i wpatrując się w puste okna budynku.

Zamknąłem oczy i pomyślałem o cioci Ellen. W przeciwieństwie do poprzedniej nocy łącząca nas lina nie dawała się wyczuć, a tym bardziej donikąd mnie nie ciągnęła. Na myśl o tym poczułem się porzucony. Ellen porzuciła moją rodzinę, to prawda, ale w gruncie rzeczy wierzyłem, że mnie nie opuściła. A jednak nie było jej, a ja niczego nie wyczuwałem.

Pokręciłem głową.

– Dobrze, no to chodź – zarządziła Matylda, kierując się ku frontowi budowli, gdzie znajdowało się wejście do kwadratowej wieży.

Miało ponad trzy metry wysokości i co najmniej dwa szerokości. Ze środka czuć było wilgotną ziemią i pleśnią. W przeciwległym rogu zauważyłem mysz; stała na tylnych łapkach i patrzyła na nas wyzywająco, jak na intruzów, którzy wtargnęli na jej posiadłość. Kiedyś wejścia broniły wielkie drzwi, ale dawno już zbutwiały. Kilka rozkładających się kawałków drewna wciąż zalegało na ziemi i dostarczało pokarmu termitom. Pozostałości dużego metalowego zamka, odrzucone kiedyś na bok, rdzewiały pod ścianą z lewej.

Po tej samej stronie wejścia wznosiła się druga część zamku, która się zachowała: jednopiętrowy kwadratowy budynek długości dwudziestu paru metrów i głębokości trzydziestu, niegdyś wysoki na blisko pięć metrów, a obecnie w ruinie. Od dawna nie miał już dachu, a to, co kiedyś było wielkim hallem, porastały drzewa i chwasty. W młodszych latach Thornley spędzał tam na zabawie dużo czasu. Po wykonaniu wszystkich prac domowych przesiadywał tam bez końca. Nazywał to miejsce Zamkiem Królewskim. Matylda drażniła się z nim, nazywając go Królem Ruin, a on ją przeganiał.

Staliśmy tam z siostrą, malutcy w porównaniu z paszczą tej budowli.
Wzięliśmy się za ręce i ruszyliśmy w ciemność, zostawiając las za sobą.

OBECNIE



PRZEZ PRAWIE GODZINĘ Bram zbiera się na odwagę, żeby z powrotem zapalić lampę olejną i oświetlić nią pokój. Wreszcie czyni to z zapartym tchem, lampa wraca do życia, w końcu zmuszając cienie do ucieczki.

Bram oczekuje powrotu cienistej istoty, to jednak nie następuje. Nic też nie rusza się za drzwiami. Przeciwnie – w pokoju zalega całkowita cisza, tak głęboka, że Bram otwiera okiennice, aby wpuścić do wnętrza choć trochę przyrody. Zrobiwszy to, wychyla się przez okno i wdycha rześkie nocne powietrze. Spozstrzega, że księżyc pokonał sporą drogę – Bram ma już za sobą prawie połowę nocy.

Po powrocie na krzesło stojące na środku pokoju, siada i wyciąga z kieszeni płaszczą piersiówkę. Wie, że nie powinien pić, a już szczególnie w taką noc, ale kiedy adrenalina opada, Bram czuje dyskomfort i musi się rozgrzać. Zdejmuje nakrętkę i podnosi butelkę do ust; smakuje każdą kroplę wiśniowej brandy, która rozgrzewa mu gardło i ucisza żołądek. Zakręca piersiówkę i chowa na powrót do kieszeni, po czym bierze karabin i trzyma w pogotowiu z lufą wycelowaną w drzwi.

Ostatnia róża, którą umieścił na progu, jest już tylko stosikiem czarnych resztek na kamiennej posadzce. Gdyby nie wiedział, że te wyschłe pozostałości były kiedyś różą, nie umiałby się tego domyślić. Zastanawia się, czy nie zastąpić jej nową, ale zmienia zdanie; szybki rzut oka na koszyk ujawnia fakt, że zostały już tylko trzy. Woda święcona prawie się wyczerpała, a ostatnią hostię

wykorzystał do przygotowania pasty, którą chciał zapieczętować drzwi. Nie na wiele się to zdało; zło siedzące w środku wysuszyło mieszanekę na proch. Nawet teraz, gdy Bram patrzy na drzwi, kawałek opłatka wykrusza się z lewego górnego rogu i ląduje na podłodze jako odrobina pyłu. Po nim odpada następny, a niebawem jeszcze kolejny; wkrótce jedyną blokadą utrzymującą te drzwi zamknięte pozostanie metalowy zamek pośrodku drzwi i róża na progu.

* * *

POWIEKI BRAMA ROBIĄ SIĘ ciężkie, więc mężczyzna potrząsa głową.

Sen przyzywa go syrenim śpiewem.

Nie zrobię ci krzywdy, Bramie. Takie groźby nie powinny były paść.

Głos ponownie dobiega gdzieś ze środka jego własnej głowy. Nie jest tak silny i głęboki jak poprzednio, lecz cichy i dziecięcy, kobiecy, anielski.

Bram ignoruje go, by uchronić się od jego wpływu.

Panuje tu chłód, Bramie. I samotność. Po raz pierwszy jestem w tak ponurym miejscu. Jeśli otworzysz drzwi i wypuścisz mnie, podzielę się z tobą tyloma rzeczami. Wiedzą o sprawach tak niesamowitych, że nie uwierzysz, dopóki ci ich nie pokażę; a wówczas już nigdy więcej nie będziesz ich kwestionować.

Bram siada prosto na krześle i unosi lufę karabinu, która zaczynała ciążyć ku dołowi. Z coraz większym trudem utrzymuje tak ciężką broń w zmęczonych rękach.

Chciałbyś zobaczyć te rzeczy, prawda, Bramie? Usłyszeć odpowiedzi na pytania, które zadawałeś mi przez całe życie? Wiesz, że tak. W przeciwnym bowiem razie dlaczego opisywałbyś to wszystko? Te wydarzenia z twojego dzieciństwa – bez wątpienia znaczące – przygody w towarzystwie kochanej siostrzyczki. Co słyszeć u Matyldy? Bardzo za nią tęsknię.

Tembr ulega zmianie, staje się nieco głębszy i bardziej znajomy: to głos Matyldy.

Nie potraktujesz mnie w ten sposób, prawda? Nie zamkniesz mnie w pokoju w oczekiwaniu, aż śmierć zabierze mnie w środku nocy? Mama byłaby taka

niezadowolona, że traktujesz damę tak niewłaściwie. Wyobraź sobie, co by było, gdyby tata się dowiedział! Och, przełożyłby cię przez kolano i zbił różgą, jakbyś wciąż był dzieckiem. Wysłałby cię zapłakanego do twojego pokoiku na poddaszu, źródła tylu przygód w późniejszym życiu, a zarazem tylu chorób u zarania. Tak się cieszę, że spisujesz wspomnienia z tamtych czasów. Pamiętam wszystko, jakby zdarzyło się wczoraj, i muszę nadmienić, że sporo ominąłeś. Wiem, że się śpieszysz, ale dobry narrator nigdy nie pozostawia luk, więc w swoim najlepiej pojętym interesie powinienes cofnąć się i zastanowić nad tym, czego brakuje. Powiem więcej – chętnie pomogę! Otwórz drzwi, a ja będę ślęczyć z tobą nad każdą stroną i przypominać sobie wszystko. Pamiętasz rękę z bagna? Nie chciałbyś wiedzieć, do kogo należała? Zakładasz, że do Ellen, ale czy jesteś pewny? Ja mogę ci to wyjawić. Poczekaj – mogę ci to pokazać! Mogę przenieść cię tam, weź mnie za rękę, a razem udamy się na brzeg trzęsawiska i świeżym okiem zajrzemy w mętną głębię. Możemy również na nowo zwiedzić zamek. Tylko pomyśl, jak by to było wrócić tam i opowiedzieć tamtemu Bramowi o tym, co dziś wiesz! Możesz sobie coś takiego wyobrazić? Moglibyśmy uklęknąć nad wodą i złapać tę rękę, przyciągnąć do siebie, wyciągnąć z wody. Wtedy pozwolilibyśmy jej zatopić zęby w twoim miękkim przedramieniu i pić. Czyż nie tego pragniesz? Wreszcie przestałoby śwędzić. Zaręczam.

Bram sięga do koszyka, wyjmując kolejną różę i ciska nią w drzwi. Patrzy, jak kwiat uderza o drewno, po czym opada, jak gdyby unosił się w powietrzu, przez kurz, i osiada na kamieniach.

Za drzwi dobiega wybuch śmiechu, śmiechu tak głośnego, że karabin wypada mu z rąk i z łoskotem ląduje na podłodze. Bram chwyta go rozpaczliwie i mierzy w miejsce, z którego dobiega śmiech.

Robisz się nieuważny, Bramie. Zapomniałeś pobłogosławić kwiat; to pewnie zmęczenie.

Bram z przerażeniem patrzy, jak płatki róży opadają, jeden po drugim, aż zostaje tylko kolczasta łodyga. Na jego oczach wszystko to czernieje i rozsypuje się na kawałeczki. Zza drzwi znów dobiega śmiech, a po nim głośne uderzenie

w drewno, po którym wykrusza się jeszcze więcej pasty. Bram pozbawiony nadziei opada na krzesło.

Śmiech zanika, a pokój znów wypełnia się ciszą, w której zaraz rozbrzmiewa głos z jego głowy. Głos Matyldy.

Uwielbiałam zbierać kwiaty na błoniach za naszym domem w Clontarf, pamiętasz? Tuż za naszymi drzwiami rozciągał się park, a dalej port i Artane. Mama zabierała mnie na spacer po wybrzeżu. Robiliśmy sobie piknik i oglądałyśmy statki unoszące się na morzu. To były szczególne czasy. Oczywiście ty byłeś już chory, nawet wtedy. Byłeś zaledwie cieniem chłopca, wyglądałeś tak delikatnie, jak gdyby wypadnięcie z łóżka mogło oznaczać dla ciebie śmierć.

Pamiętam, jak ciocia Ellen otulała cię co wieczór i opowiadała ci historyjkę. Czasem pozwalała mi usiąść obok, a nawet jeśli nie, to i tak słyszałam ją ze swojego pokoju i łowiłam każde słowo. Czy to cię martwi, Bramie? Czy martwi cię, że podsłuchiwałam cię w twoich prywatnych chwilach?

Bram nie odpowiada.

Jej opowieści były takie wciągające; nie mogłam się oprzeć. Jeżeli o mnie chodzi, to uważam, że z tobą to była strata czasu. Przez połowę czasu miałeś taką gorączkę, że nie umiałeś powiedzieć, gdzie się znajdujesz, a co dopiero słuchać z uwagą, na którą zasługiwały. A nawet w te nieliczne noce, kiedy rzeczywiście słuchałeś, odpływałeś w sen na długo, zanim opowiadanie dobiegło końca. Idę o zakład, że ani razu nie dosłuchałeś do finału opowieści. A ja owszem. Zapamiętałam, jak wszystkie się kończą. Każdziuteńka z nich. Tamtej nocy, kiedy spadła na ciebie z sufitu – też wiem, jak skończyła się ta historia. Chciałbyś się dowiedzieć?

Bram bierze głęboki wdech przez nos i wypuszcza powietrze ustami. Morzy go sen, powieki niedługo się poddadzą. Wstaje z krzesła, trzykrotnie okrąży pokój i znowu siada. Ma ochotę na kolejny łyk brandy, ale to byłoby nierozważne; brandy sprawi tylko, że będzie bardziej senny.

– Sam widzisz, znów odpływasz w środku opowieści.

Tym razem to głos cioci Ellen, dokładnie taki, jak zapamiętał z dzieciństwa. I nie brzmi, jakby dochodził z wnętrza jego głowy, tym razem dobiega zza drzwi, przytłumiony przez grube dębowe deski.

– Tamtej nocy nie chciałam odejść, naprawdę nie chciałam, ale ty i twoja siostra nie pozostawiliście mi wyboru. Nigdy nie powinieneś był wchodzić do mojego pokoju. Nie miałeś czego szukać w mojej prywatnej przestrzeni. Ja nigdy nie weszłabym do twojego pokoju ot tak, nieproszona. Nawet nie przeszłoby mi przez myśl, żeby grzebać w twoich rzeczach jak pospolity złodziej przeszukujący dobytek ofiary. Kochałam cię – ciebie i twoją siostrę też.

Bram czuje, że oczy mu się zamykają, ale zmusza się do ich otwarcia i nabiera powietrza. Stęchły zaduch jest tak pełen wilgotnego kurzu, że łaskocze go z tyłu gardła. Bram sięga do kieszeni, wyciąga piersiówkę i pociąga kolejny łyk.

– To moja zasługa, że siedzisz tu jako dorosły. Wiesz o tym, prawda? Tamtego wieczoru mogłam zostawić cię na pewną śmierć, ale tego nie zrobiłam. Zobaczyłam, jaką krzywdę chce ci wyrządzić ten lekarz, twój wujek, i wkroczyłam, by temu zapobiec, niech piekło pochłonie twoich rodziców. Nie masz pojęcia, jakiej napytałam sobie wówczas biedy. Zrobiłam to, bo cię kochałam; kochałam jak własne dziecko. I nadal Kocham.

Bram nie zwraca na nią uwagi. Brandy tłumi jej głos, choć na chwilę. Rozprasza mgłę w jego głowie i rozgrzewa zmęczone kości. Piersiówka trafia z powrotem do kieszeni.

– Pamiętasz wszystkie te dni, które spędziliśmy u ciebie w pokoju, tylko we dwójkę? Leżąc na łóżku, snując opowieści. A ile było śmiechu! Na pewno czasem się też bałeś; niektóre z tych historii były całkiem straszne! Pamiętasz legendę o Dearg Due²? Miałeś lekką temperaturę, kiedy ci ją opowiadałam.

Zabrzmiało znajomo, ale Bram nie może przypomnieć sobie treści.

– Była uwięziona w pokoju, trochę jak my dwoje, i popatrz, co się z nią stało. Popatrz, co stało się z ludźmi, którzy ją tam zamknęli. Och, za nic nie

chciałabym zobaczyć, jak spotyka cię taki los. Jeśli otworzysz te drzwi, nigdy nie będziesz musiał martwić się o takie rzeczy. Ja cię ochronię.

Kolejny kawałek pasty zawierającej hostię odpada od krawędzi drzwi i rozbija się o posadzkę na tysiąc kawałeczków. Bram jednak ledwo to zauważa; jego myśli krążą wyłącznie wokół snu, którego tak pragnie, a któremu nie może się poddać. Pod jego ciężkimi powiekami toczy się bitwa.

– Może zwyczajnie powinienes uciąć sobie drzemkę. Króciutką, żeby oczyścić umysł. Na pewno po przebudzeniu zrozumiesz, jak straszliwy popełniłeś błąd. No dalej, zamknij oczy; ja cię przypilnuję. Zupełnie jak wtedy, gdy byłeś mały.

Karabin wysuwa się Bramowi z ręki i uderza o podłogę. Mężczyzna rozważa podniesienie go, ale jego ramiona są takie ciężkie, karabin jest taki ciężki, powieki są takie...

– Śpij, Bramie, śpij. Teraz cię mam.

DZIENNIK BRAMA STOKERA



PAŹDZIERNIK 1854

Gdy tylko weszliśmy do wieży zamku Artane, od razu uderzył mnie spadek temperatury. Wiedziałem, że Matylda również to odczuła, bo jej dłoń zdrząła w mojej. Wejście prowadziło do dużej kwadratowej sali, długiej na co najmniej sześć metrów, z wąskimi i stromymi kamiennymi stopniami, które wystawały z zewnętrznych ścian stojących jedynie dzięki solidnym podwalinom. Od samego patrzenia w górę kręciło się w głowie, aż się zachwiałem. Schody nie miały barierki, tylko gładkie, zdradliwe stopnie szerokości około pół metra, wyszczerbione i popękane od upływu czasu, każdy z nich zwężający się ku ścianie tak, by możliwy był skręt klatki schodowej. Było ich więcej, niż potrafiłbym zliczyć; wołałem nie wiedzieć ile. Widać było dwa okna, które zauważyliśmy z zewnątrz, trzeciego natomiast nie. Podejrzewałem, że na szczycie znajduje się pomieszczenie z widokiem na dolinę Artane i przylegające do niej lasy. Wieża miała pierwotnie służyć celom obronnym i takie położenie było korzystne, gdyż umożliwiało obserwację terenów odległych o wiele mil.

Na ścianach, co siedem stopni, rozmieszczono świeczniki płonące nienaturalnie błękitnym blaskiem. Zatrzymałem się przy pierwszym z nich, żeby się lepiej przyjrzeć. Gdy się zbliżyłem, płomień tańczący na knocie jakby wygiął się w moją stronę. Wydało mi się to tym dziwniejsze, że wewnątrz nie czuć było najłżejszego powiewu. Mimo to, kiedy przysunąłem rękę do świecy, płomień pochylił się w geście pozdrowienia, a kiedy cofnąłem dłoń, niezwłocznie wrócił

do wcześniejszego, pionowego położenia. Co jeszcze bardziej niezwykle, chociaż niebieska barwa świadczy zwykle o wysokiej temperaturze, tym razem nie szła w parze z ciepłem, jak gdybym miał do czynienia nie z samym ogniem, lecz tylko z jego wizerunkiem.

– Musiała zapalić te świece niedawno, nie widzę śladu stopionego wosku. Nie mogło minąć dużo czasu – zauważyła Matylda, stojąca obok mnie.

Miała rację. Po świecy nie spływała ani kropelka; brakowało też wosku zgromadzonego u podstawy. Albo więc świecę zapalono po raz pierwszy, albo ktoś oczyścił świecznik przed jej zapaleniem.

Po raz kolejny zamknąłem oczy i podążyłem myślami ku cioci Ellen. Musiała być blisko, a jednak nie czułem żadnego znaku jej obecności.

Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem Matyldę stojącą na ósmym stopniu i sprawdzającą nogą kolejny osypujący się schodek. Wydawało się, że kamień wytrzyma jej ciężar.

– Chyba jest bezpiecznie.

Wymówiła te słowa w złym momencie – coś wielkiego i czarnego zleciało na nas z góry wieży, tak szybko i sprawnie, że ledwo zdołałem zareagować; przeleciało obok nas, po czym zawróciło. Matylda wydała z siebie stłumiony okrzyk i zaczęła spadać ze schodów na kamienną posadzkę, a ja rzuciłem się w jej kierunku, by zamortyzować jej upadek. I tak wylądowaliśmy pod schodami jedno na drugim.

– Nic ci nie jest? – spytałem.

Matylda sturlała się ze mnie i stanęła na nogi.

– Chyba nie. Co to było?

Podniosłem się i strząsnąłem kurz z płaszcza.

– Chyba nietoperz. Bardzo duży nietoperz.

– Krew ci leci.

Patrzyła na wnętrze mojej dłoni, gdzie skaleczenie długości kilku centymetrów lśniło karmazynowo w bladoniebieskim świetle. Delikatnie dotknąłem skaleczenia drugą ręką.

– Nie boli. Raczej nie jest głębokie.

Wyciągnąłem chusteczkę z kieszeni spodni i owinąłem wokół rany jak prowizoryczny bandaż.

Wielki nietoperz sfrunął w dół; najpierw krążył nad nami, a potem zanurkował dokładnie między nas. Oboje cofnęliśmy się, żeby uchylić się przed stworzeniem, które przeleciało nam zaledwie parę centymetrów przed oczyma. Następnie zobaczyłem, że czarny nietoperz wzbija się w powietrze, po czym ląduje na drewnianej belce biegnącej wzdłuż kilku metrów nad naszymi głowami. W moich myślach znów pojawił się obraz cioci Ellen, ale go przegoniłem.

Spodziewałem się, że Matylda będzie chciała sobie stamtąd pójść, ale siostra – niezrażona zachowaniem nietoperza – złapała mnie za rękę i ruszyła na schody, ciągnąc mnie za sobą.

Zaoponowałem.

– A co, jeśli znów nas zaatakuje, kiedy będziemy na górze? – spytałem, wskazując na schody wysoko ponad naszymi głowami. – Upadek z takiej wysokości to niemal pewna śmierć.

– No to nie powinniśmy spadać – skwitowała.

Ja jednak stałem w miejscu. Matylda pociągnęła mnie za rękę.

– Będziemy go uważnie obserwować. Raz dałam się przestraszyć, ale drugi raz się nie dam.

Między nogami przemknęła nam mysz i zatrzymała się w wejściu do wieży; była tak tłusta, że spokojnie można by wziąć ją za szczura. Coś wcinęła, ale nie mogłem dostrzec, co dokładnie. Na dowód prawdziwości swojej deklaracji Matylda ani trochę nie wzdrygnęła się na widok gryzonia.

Kiwnąłem głową, wziąłem głęboki oddech i zaczęliśmy wchodzić na górę. W tym momencie świece się rozjaśniły.

Trzymaliśmy się blisko ścian, chwytając rękami wszystkiego, za co dało się złapać wśród wystających kamieni. Stopnie miały już góra stopę szerokości, a ich powierzchnia była idealnie gładka, wyslizgana przez upływ czasu

i niezliczone stopy, które stąpały po nich na przestrzeni pokoleń. Wchodząc, czujnie pilnowałem wzrokiem nietoperza. Przyglądał się nam uważnie ze swojej żerdzi, podfrunął, kiedy przechodziliśmy, i wylądował na kolejnej belce nad nami. Trzepot jego skrzydeł odbił się echem wśród starych murów, napełniając przestrzeń dźwiękiem jakby stu wpadających na siebie nietoperzy. Gdy mijaliśmy go po raz drugi, usłyszałem odgłos malutkich ząbków i przypomniała mi się mysz, którą widzieliśmy wcześniej.

Nie miałem odwagi spojrzeć w dół; posadzka znajdowała się co najmniej sześć metrów pod nami. Słyszałem, jak z każdym krokiem drobinki kamienia pryskają nam spod nóg i uderzają o ziemię. Matylda najpierw ścisnęła moją rękę, a potem przestała. Następny stopień miał najwyżej kilkanaście centymetrów szerokości, był jak ogryzek schodka wystający ze skały. Siostra ostrożnie postawiła na nim stopę, szybko przeskoczyła na kolejny stopień i czekała, aż zrobię to samo. Zaczerpnąłem haust powietrza i poszedłem w jej ślady, umieszczając stopę dokładnie tam, gdzie ona postawiła swoją. Wspinając się po schodach, zauważyliśmy, że niektóre z nich są obłuzowane, żaden jednak nie odpadł od ściany, choć w wielu przypadkach niewiele chyba brakowało.

Spojrzałem w górę.

– Połowa drogi za nami – mruknąłem.

Moje słowa musiały urazić nietoperza, bo ten ożywił się i zaczął krążyć obok nas, przelatując tak blisko, że poczułem na twarzy podmuch wiatru, wzbudzonego jego skrzydłami, kiedy robiłem unik, by się z nim nie zderzyć.

Matylda pisnęła cicho i również uchyliła się przed nietoperzem, chwytając się ściany, żeby nie spaść. Myślałem, że stworzenie przefrunie koło nas ponownie, tak się jednak nie stało; zamiast tego wylądowało u szczytu schodów nad potężnymi dębowymi drzwiami.

– Zastąpił nam drogę – stwierdziła Matylda.

– Przepuści nas – oznajmiłem z pewnością, której źródła nie znałem. Było coś jeszcze. Chociaż nie wyczuwałem bliskości cioci Ellen, nie ulegało dla mnie kwestii, że niedawno tu była. Zostawiła ślad swojej obecności na każdym

schodku, na każdym punkcie ściany, którego się przytrzymała; w powietrzu wciąż unosił się jej oddech. Miałem pewność, że dopiero co tu była; nie dalej jak tej nocy. Znowu zacząłem się zastanawiać, czy ona również mnie wyczuwa; czy ta dziwna więź jest obustronna. A jeśli rzeczywiście tak jest, to czy Ellen potrafi zablokować ten szósty zmysł, który współdzielimy, i celowo ukryć się przede mną? Na to wyglądało. Zadrzałem na tę myśl – ponownie wyobraziłem sobie, jak ciocia Ellen spada na mnie z sufitu, tyle że tym razem nie byliśmy w moim pokoju na poddaszu, tylko tutaj, na tych schodach – ujrzałem, jak zlatuje na mnie ze szczytu wieży z rozłożonymi ramionami, porywa mnie i Matyldę i pociąga nas za sobą w ciemność na dole.

– Nie zatrzymuj się – nakazała Matylda. Spojrzałem w górę i zauważyłem, że wyprzedza mnie już o dziesięć stopni i dotarła prawie do wejścia, nad którym wysoko przycupnął nietoperz.

Złapałem się muru i ruszyłem za nią, uważając na każdy stopień i starając się nie poślizgnąć na obluzowanym schodku. Szybko przebyliśmy pozostałą drogę i stanęliśmy pod wielkimi dębowymi drzwiami okutymi żelazem. Kiedy się zbliżaliśmy, nietoperz ponownie wzbił się w powietrze i przysiadł na parapecie pod oknem naprzeciwko nas. Zauważyłem, że obok niego pojawił się kolejny nietoperz, a potem trzeci – każdy większy od poprzedniego, tak że mogłyby zawstydzić swoim rozmiarem myszkę na dole. Ich tercet cicho popiskiwał, oczy błyszczały im jak czerwone koraliki, a z długich białych zębów ślina skapywała im na lekko poruszające się pazurki.

Matylda zerkała na nie z niepokojem, ale nie miałem zamiaru okazywać strachu; odwróciłem się do nich plecami, by obejrzeć wielkie drzwi.

Musiały mieć ze trzy metry szerokości i wyglądały na zrobione z jednej dębowej deski, choć wydawało się to nieprawdopodobne. Żelazne okucia widniały na ich powierzchni u góry, u dołu i w środku, gdzie znajdował się również stary rygiel do jakiegoś rodzaju zamka. Wydało mi się dziwne, żeby takie drzwi miały zamknięcie od zewnątrz, a nie od wewnątrz, i zastanawiałem się, czemu miałyby to służyć.

Sięgnąłem do rygla i odsunąłem go. Metal nie wydał z siebie skrzypienia, którego można by się było spodziewać po tak starym mechanizmie, lecz bez wysiłku odsunął się na bok, a z niewidocznego cylindra dobiegło wyraźne szczęknięcie. Drzwi uchyliły się minimalnie, gotowe do dalszego ruchu na mocnych zawiasach. Przez szparę wydobywało się ciężkie powietrze, tak niemiłosiernie cuchnące, aż mnie zemdliło. Stojąca obok mnie Matylda zasłoniła nos i usta rękawem kurtki, a oczy zaszły jej łzami pod wpływem fetoru. Czułem już przedtem zapach śmierci – i to był ten odór; zatęchły i nieczysty, smród czegoś zgniłego, co długo pozostawało zamknięte, zanieczyszczając powietrze dookoła.

Wolną ręką Matylda zrobiła to, na co ja się nie zdobyłem, i pchnęła drzwi, które otworzyły się gładko, ukazując pokój.

Chociaż po przeciwnej stronie było okno, ktoś je замуrował i odciął tym samym pomieszczenie zarówno od nocy, jak i od światła księżyca, ale było to bez znaczenia, ponieważ na ścianach tkwiły takie same świeczniki jak na klatce schodowej – płomyki tańczyły na knotach i rzucały jasny blask. Również w tym wypadku zauważyłem brak wosku; świece płonęły, ale się nie wypalały. Nie dymiły ani nie pachniały, emitowały tylko dziwne niebieskie światło.

Sądzę, że Matylda spodziewała się spotkać tam ciocię Ellen, gdyż wparowała do pokoju, żeby wziąć z zaskoczenia osobę, która znajdowała się w środku. Nikogo tam jednak nie było.

Po otwarciu drzwi owionął nas wstrętny zaduch, sprawiający wrażenie, jakby wydostał się na zewnątrz po raz pierwszy od wieków. Spod niego przebijał głęboki ziemisty zapach. Pokój był większy, niż oczekiwałem, miał co najmniej trzy i pół metra średnicy – był idealnie okrągły, jeśli nie liczyć drzwi. Sufit znajdował się na wysokości około trzech metrów i był niczym wielki baldachim złożony z kamieni podtrzymywanych przez solidne drewniane belki, takie jak te, które mijaliśmy na schodach.

Warstwa pajęczyn i kurzu była tak gruba, jak gdyby od stu lat nikt nie przestąpił progu tego pomieszczenia, choć wiedziałem, że było inaczej.

Przypomniał mi się pokój cioci Ellen i brud na podłodze oraz fakt, że nie pozostawiała ona żadnych odcisków stóp, podczas gdy ja i Matylda narobiliśmy masę śladów.

Wiedziałem, że ciocia Ellen tu była, gdyż na środku pokoju stała wielka drewniana skrzynia, głęboka na metr, a do tego długością i szerokością dorównująca chyba rozmiarom naszemu tacie. Pokrywa stała obok, a ohydny fetor dochodził z wnętrza skrzyni. Podobnie jak w pokoju cioci Ellen, naokoło walała się ziemia.

* * *

POKÓJ ZASNUWAŁY SIECI pajęczce; zwisały z sufitu i ścian i były gęste jak korona starej wierzby płaczącej w głębi bagien. Samo otwarcie przez nas drzwi sprawiło, że porozrywały się i pospadały na ziemię wraz z ośmionogimi stworzonkami, najpierw otumanionymi, a potem w pośpiechu szukającymi schronienia, które znajdowały się w gęstych warstwach kurzu i brudu.

Już na pierwszy rzut oka uderzył mnie dziwny wygląd skrzyni. W jaki sposób ktoś wniósł po schodach tak wielki przedmiot?

Matylda, nie przestając zakrywać ust, ostrożnie weszła do pomieszczenia. Jej wzrok również spoczął na skrzyni. Okrążyła ją z pewnej odległości, po czym zbliżyła się, odgarniając pajęczyny dookoła. Kiedy zajrzała przez krawędź do środka, jej twarz wykrzywił grymas; potrząsnęła głową i cofnęła się, tłumiąc krzyk rękawem kurtki.

– Co tam jest?

Zbladła i przez chwilę obawiałem się, że zwymiotuje, ale udało się jej zwalczyć mdłości. Nie była w stanie mówić, wskazała tylko drżącym palcem wewnątrz skrzyni.

Chciałem zrobić w tył zwrot. Chwycić ją za rękę i pędem rzucić się przez drzwi schodami na dół, a dalej przez pola do domu, w którym mógłbym wślizgnąć się do bezpiecznego łóżka i udawać, że to wszystko to tylko kolejny zły sen – wiedziałem jednak, że nie mogę. Mieliśmy śmiałość przyjść tu w nocy

w poszukiwaniu cioci Ellen i odpowiedzi, więc musiałem wykazać się odwagą i zachować zimną krew.

Zmusiłem się do pójścia naprzód, choć stopy odmawiały mi posłuszeństwa. Przekonywałem je do współpracy krok za krokiem, aż dotarłem do drewnianej skrzyni. Prawie podskoczyłem, kiedy poczułem na plecach rękę Matyldy. Przekręciłem na chwilę głowę i wyczytałem tylko z ruchu jej warg słowo „przepraszam”. Odwróciłem twarz do skrzyni, pochyliłem się nad nią i zajrzałem do środka.

Była po brzegi wypełniona taką samą obrzydliwą ziemią jak ta, którą znaleźliśmy pod łóżkiem cioci Ellen. Roilo się w niej od dżdżownic grubości mojego palca, wijących się jedna przez drugą i znikających z powrotem pod warstwą ziemi. Również jej powierzchnia była usiana setkami larw, których maleńkie ciała lśniły od śluzu w migoczącym niebieskim blasku świec. Był to przerażający widok, ale nie dlatego Matylda krzyknęła – nie była to bowiem najgorsza rzecz w skrzyni, przynajmniej jak dotąd.

Blżej środka, ledwie widoczny pod grubą warstwą ziemi, leżał poharatany martwy kot. Miał rozszarpane gardło, różowe mięso i żółty tłuszcz wystawały na zewnątrz, przyschnięte i zbrązowiałe.

Kiedy tak wpatrywałem się w czarną ziemię, zauważyłem, że kot nie był jedyny; naokoło niego leżało około dziesięciu szczurów o futrze tak brudnym, że ledwie dawało się odróżnić od podłoża. Ich smród powinien był wywołać moje obrzydzenie, ale z niepojętych powodów wydał mi się kojący.

Gdy się nad tym zastanawiałem, zaczęła mnie swędzieć ręka. Cofnąłem się i zobaczyłem wzrok Matyldy wbity we mnie.

– Czy ciocia Ellen zabiła te zwierzęta?

Zobaczyłem w myślach, jak Ellen przygląda mi się z sufitu, a jej czerwone oczy są pełne nienawiści i głodu, i wiedziałem, że byłaby do tego zdolna, choć nie chciałem w to uwierzyć.

– Mówiłaś, że Thornley zaniósł cioci Ellen do pokoju torbę, w której było coś żywego... – Urwałem, woląc nie wypowiadać głośno tej myśli.

– Thornley nie zrobiłby czegoś takiego – zaprotestowała Matylda.

Pomyślałem o kurczakach w kurniku, o ekscytacji na jego twarzy. *Lis*, powiedział. *To sprawka lisa.*

– Do czego to służy? – spytała Matylda, wskazując na wieko oparte o skrzynię. – Na górze są dziurki. Żeby wpuszczać powietrze? Może te zwierzęta miały mieszkać w pudle w czasie podróży, której nie przeżyły?

– Jest po brzegi wypełnione ziemią. Nic nie miałyby szansy tu przeżyć.

Uklęknąłem i uważnie przyjrzałem się pokrywie. Na zewnętrznej krawędzi widać było łebki od gwoździ, których zaostrome końce nie sterczały jednak po drugiej stronie, jak można by się spodziewać. Zostały odcięte. Innymi słowy – fałszywki, mające tworzyć złudzenie gwoździ. Po wewnętrznej stronie pokrywy znalazłem sześć małych zasuwek. Stałem i ponownie przyjrzałem się skrzyni.

– Te zasuwki zaprojektowano tak, by wchodziły w te rowki. Chodzi o to, żeby można było zamknąć pokrywę od środka. Fałszywe gwoździe tworzą złudzenie, że wieko zostało przybite, ale to oczywiście nieprawda.

– To nie ma sensu.

– A czy cokolwiek ma tu sens? – odparłem, pokazując gestem pokój.

– Spójrz na swoją rękę – poleciała cichym głosem Matylda.

Chusteczka, którą owinąłem ranę, zsunęła się jakiś czas temu, odsłaniając moją dłoń.

– Skaleczenie zniknęło.

Podniosłem rękę do światła, starając się ukryć drżenie, które brało początek w moim łomoczącym sercu i promieniowało w dół ramienia. Skóra się zagoiła; nie było śladu po zranieniu.

– To była drobna ranka – usłyszałem swój głos, świadom, że te słowa są pozbawione znaczenia, mimo że wydobywają się z moich ust.

Matylda wzięła moją rękę w swoją i obejrzała ją z obu stron.

– Była całkiem spora. A teraz nie ma śladu. Najmniejszego.

Odrąciłem jej dłoń. Siostra zmarszczyła brwi.

– Musimy o tym porozmawiać.

– Nie teraz.

– Co ona ci zrobiła?

– Ciocia Ellen może wrócić w każdej chwili.

– Chyba mówiłeś, że już nie czujesz jej obecności. Skąd w ogóle wiesz, że tu była?

– Widzieliśmy ją tu wczoraj – odrzekłem.

– Bram, bądź ze mną szczery. Masz pewność? Czy ona była tu dziś w nocy?

Nie miałem powodu jej zwodzić. Pokiwałem głową.

– Tak, właśnie w tym pokoju. Nie dalej jak godzinę temu.

Zobaczyłem, jak Matylda przygląda się rozlicznym pajęczynom i grubej warstwie kurzu, i zrozumiałem, co jej krąży po głowie.

– Nie jestem pewien, w jaki sposób przemieszczała się, niczego nie ruszając, ale jestem pewien, że robiła to tak samo jak u siebie w pokoju, nie pozostawiając ani jednego śladu w brudzie i kurzu.

Odwróciłem się do skrzyni, jakby coś innego rzuciło mi się w oczy, coś pod powierzchnią. Zanim Matylda zdążyła mnie powstrzymać, pochyliłem się i delikatnie rozgarnąłem ziemię koniuszkami palców. Kiedy trafiłem na zimne białe ciało, cofnąłem się.

– O nie!

Matylda złapała mnie za ramię i spojrzała do skrzyni.

– Czy to ona?

Nasze oczy się spotkały; serce waliło mi jak oszalałe.

Ponownie sięgnąłem do skrzyni, ale Matylda złapała mnie za nadgarstek.

– Nie rób tego...

Ale i tak kontynuowałem, rozgarniałem ziemię na boki, aż ukazała się...

– Ręka – stwierdziła Matylda.

Kopiąc dalej, dotarłem do nadgarstka, bladego kościstego przedramienia, a potem...

Matylda odwróciła głowę i zakrzuszyła się. Ja zrobiłem prawie to samo na widok poszarpanej skóry i mięśni oraz wystającej strzaskanej kości – ramię

zostało odcięte poniżej łokcia i zakopane w ziemi w tej skrzyni.

– To nie cioci Ellen – wydusiłem z siebie, ponieważ ewidentnie była to ręka mężczyzny, o wiele za duża na kobietę, choć długie, szczupłe palce były delikatne. Nie należały do kogoś, kto pracuje na roli, lecz do kogoś, kto siedzi za biurkiem. Paznokcie były ponadprzeciętnie długie. Wystawały ponad centymetr za koniuszek palca i miały zaostrome końce.

– Czy w tym pudle jest tego więcej? – spytała stojąca obok Matylda. – Czy ona zabiła człowieka i go tu wsadziła?

– On coś trzyma – zauważyłem.

Rozchyliłem wysuszone, kruche palce jeden po drugim, w obawie, że mogą się połączyć, i odsłoniłem wnętrze dłoni mężczyzny i lśniący przedmiot leżący pośrodku.

– To pierścień – powiedziałem, wyjmując go stamtąd.

Matylda podeszła bliżej, a ja podniosłem pierścień do światła. Był gruby, męski, zrobiony ze srebra lub białego brązu, nie byłem pewien.

– Wygląda na stary.

Obróciłem pierścień w palcach. Niezwykła dbałość o szczegóły. Na obręczy widniały misternie rzeźbione symbole, których nie rozpoznawałem, dwa po każdej stronie, tuż obok czegoś, co wyglądało na herb rodowy. W samym środku oczka pierścienia umieszczono wizerunek smoka otoczony wieloma diamentami tak małymi, że przypominały raczej migocący kurz niż osobne kamienie. Jedyne widoczne oko smoka jarzyło się czerwienią, prawdopodobnie rubinu.

Pierścień niewątpliwie był stary, ale jakość wykonania dorównywała wyrobom najlepszych współczesnych rzemieślników; nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

– Mogę obejrzeć? – spytała Matylda.

Położyłem jej pierścień na otwartej dłoni, a ona przysunęła go do najbliższej świecy i zajrzała do wnętrza obręczy.

– Tu w środku... Coś tu jest napisane...

– Co takiego?

– *Casa lui Dracul*³.

Wydało mi się, że na dźwięk tych słów jeden z palców drgnął.

Wtedy rzuciliśmy się do ucieczki.

CZĘŚĆ II



Świat musi pokłonić się przed tymi, którzy są silni.

– Bram Stoker, *Makt Mykranna*

OBECNIE



BRAM NAGLE BUDZI SIĘ ze snu. Jego ciało podskakuje z taką siłą, że prawie spada z krzesła – dziennik ląduje na podłodze.

Jak długo spał?

Minuty?

Godziny?

Nie ma pewności.

Odwraca się do okna.

Chociaż księżyc nadal wznosi się wysoko na niebie, w widoczny sposób przesunął się na wschód. Rozlewa wokół poświatę, którą rozpraszają ciężkie szare chmury burzowe kłębiące się nad dalekimi górami. A więc jest pewność przynajmniej co do tego, że księżyc się przemieścił.

Karabin Brama stoi przy jego nodze, a drzwi...

Drzwi są otwarte!

Bram chwyta karabin i zrywa się jednym płynnym ruchem, a serce łomocze mu w piersi.

Drzwi są uchylone zaledwie na kilka centymetrów, ale jednak. Pasta, którą zalepił szparę, leży na podłodze w postaci kupek pyłu i odłamanych kawałków. Są tu też pozostałości poprzedniej, całkowicie zniszczonej róży.

Bram wolno podchodzi do drzwi, trzymając spoconymi dłońmi lufę i rękojeść karabinu.

Po drugiej stronie rozlega się drapanie o kamienną posadzkę. Po czym rozlega się głos, słaby i cienki; głos jego matki.

Nie chcesz mnie skrzywdzić, prawda, Bramie? Odłóż tę broń, zanim mi coś zrobisz. Potrzebuję twojej pomocy. Nie czuję się za dobrze. Proszę, pośpiesz się.

Drapanie przybiera na sile oraz intensywności, skrob, skrob, pazurków o kamień.

Bram nieruchomieje i przenosi wzrok z drzwi na koszyk z różami, w którym pozostały trzy kwiaty. Zmusza się, żeby podejść do drzwi.

Ależ swędzi. Nigdy bym się nie spodziewał, że może aż tak swędzieć.

Trzymając karabin w prawej ręce, lewą sięga do krawędzi drzwi i przyciąga je. Ciężka dębina leniwie obraca się na zmęczonych zawiasach, metal trący o metal skrzypi pod naciskiem. Zapach z wewnątrz uderza Brama w nozdrza z taką siłą, że ten prawie mdleje – to potworny odór śmierci i zgnilizny, znany mu aż za dobrze.

Z początku nic nie widzi w mroku przed sobą. Potem dostrzega dwoje oczu, ogniście czerwonych oczu, które przypatrują mu się z głębi. Może powoli się zbliżają, ponieważ ich blask zdaje się coraz silniejszy; Bram walczy z pragnieniem cofnięcia się i zatrzaśnięcia drzwi. Mimo to podnosi lufę, celuje w parę ślepi i z trudem utrzymuje cel, choć jego ramiona i dłonie trzęsą się w proteście.

Nie chcę umierać, Bramie – mówi głos jego matki.

Bram pociąga za spust, a kolba karabinu uderza go w ramię, kiedy pocisk wylatuje w obłoku dymu.

Słychać skowyt, a rozjarzone oczy podskakują, gdy kula dosięga celu.

Matki nie traktuje się w ten sposób, Bramie.

Głos nie należy już do matki, ale przerodził się w głos ojca z silnym irlandzkim akcentem. Wtedy rozlega się warkot, a czerwone oczy pędzą na Brama, pokonując mrok z niewiarygodną prędkością. Gdy potwór skacze, Bram zauważa, że z cienia wyłania się wielki szary wilk. Mężczyzna próbuje uskoczyć mu z drogi, ale bestia okazuje się zbyt szybka; wybija się z posadzki, z impetem

wzbija się w powietrze i ląduje na Bramie z taką siłą, że ten przewraca się na ziemię i turla przez cały pokój, łapy bestii wbijają mu się w klatkę piersiową. Podnosi wzrok na wielki pysk ociekający śliną i kwaśną posoką, a zwierzę wydaje skowyt, od którego trzęsą się ściany, po czym wgryza się w szyję Brama, białymi zębami rozrywa ciało, jakby to był papier. W powietrze wystrzela fontanna krwi, a mężczyzna próbuje krzyczeć, nie wydaje jednak żadnego dźwięku...

* * *

BRAM OTWIERA NAGLE OCZY i spada z krzesła na twardą, kamienną posadzkę, a z jego ust wydobywa się gardłowy odgłos. Wyciąga obie ręce, aby odepchnąć wilka, ale orientuje się, że nic tam nie ma. Bram przekręca się i skacze na równe nogi, wyciąga nóż myśliwski z pochwy u pasa i przecina nim powietrze tylko po to, by stwierdzić, że jest sam.

Odwraca się do drzwi gotów uderzyć z tej strony.

Ale drzwi są zamknięte.

Wolną ręką sięga do szyi i nie znajduje na niej rany.

Bierze głęboki oddech.

Sen.

Podchodzi do drzwi i sprawdza szparę. Większość pasty naokoło wciąż się trzyma, a ostatnia róża leży na kupce zwiędłych kwiatów, tak jak zapamiętał; przynajmniej to jest prawdą. Sądząc po księżycu, jest co najwyżej trzecia w nocy.

O ile przedtem był zmęczony, teraz stwierdza, że jest zupełnie przytomny, i bez wahania sięga do koszyka po kolejną różę, tym razem pamięta, by ją pobłogosławić, a następnie umieszcza pod drzwiami.

Z torby Brama wystaje plik listów; mężczyzna bierze je do ręki i wraca na krzesło. Autorką pierwszego jest Matylda, lecz są też inne.

Bram czyta list siostry, robi to ponownie, po czym wsuwa go między kartki dziennika pokryte uprzednio notatkami i wraca do pisania w bladym świetle

lampy olejnej.

Ma tyle do opowiedzenia. A tak mało czasu.

LIST MATYLDY DO ELLEN CRONE Z 8 SIERPANIA 1868



NAJDROŻSZA CIOCIU ELLEN!

A może po prostu „Ellen”? Ostatecznie jestem już dorosła. Dasz wiarę? Mam dwadzieścia dwa lata. Stara panna! Czasem trudno mi uwierzyć, jak ten czas przeleciał. Od czego zacząć? Wiem, że niektórym może wydać się dziwne pisanie listu do kogoś, kto nigdy go nie przeczyta, ale tyle się wydarzyło, odkąd nas opuściłaś, i tamte zajścia wciąż poważnie zaprzatają moje myśli. Czy wolno mi dodać, że za Tobą tęsknię? Jakoś, mimo tego wszystkiego, tęsknię.

Zawsze o Tobie pamiętałam, choćbym nie wiem jak pragnęła zapomnieć.

Ale odeszłam od tematu. Nie miałam takiego zamiaru. Chyba jestem trochę podenerwowana faktem, że przelewam te słowa na papier, w ten bowiem sposób stają się one bardziej rzeczywiste, nie mam jednak wyjścia. Przemyślenie i opis wszystkiego, co zaszło, to wyznanie uczynione samej sobie, przyjęcie tego, co się działo. Jestem pewna, że wmawiałabyś mi, że te cienie z mojego dzieciństwa to wytwory dziecięcej wyobraźni, które z czasem zostały wyolbrzymione, ale ja wiem, że to nieprawda. Lata zastanawiania się nad tym dają mi perspektywę pozwalającą oddzielić prawdę od fantazji. Może nie znam Cię tak dobrze jak Bram, ale wierz mi, znam Cię dobrze.

Jakkolwiek bym się starała wyrzucić z pamięci zdarzenia z ostatnich dni Twojego pobytu w naszym domu, te wspomnienia nie dają się wymazać. Siedzą

sobie w pokoiku z tyłu mojej głowy, a kiedy drzwi już mają się za nimi zamknąć, kiedy resztkę ostatniej świecy niebawem zgaśnie, zalewają mnie jak powódź. Miewam sny – zarówno koszmary nocne, jak i te na jawie – a czasem wspomnienia odzywają się w środku dnia, zagłuszając swoim krzykiem wszystko inne wokół mnie.

Dokąd Cię poniosło?

Co się z Tobą stało?

Przez lata zastanawiałam się, czy naprawdę weszłaś do bagna i znikłaś pod wodą, czy to tylko wytwór mojej dziecięcej wyobraźni.

Potem była ta skrzynia, to potworne pudło na wieży zamku Artane, i jej straszna zawartość, której widok odcisnęła piętno na mojej pamięci. Dopiero po kilku tygodniach od znalezienia tej skrzyni dałam radę przespać całą noc.

Powiedzieliśmy im o wszystkim. Musieliśmy.

Uciekliśmy z wieży – mogliśmy się pozabijać, złażąc po tych schodach – i wróciliśmy do domu niczym na skrzydłach wiatru. Natychmiast obudziliśmy mamę i tatę. Na bezdechu opowiedzieliśmy im o naszych znaleziskach. Już sama pora i fakt, że byliśmy na zewnątrz, stanowiłyby dla nich wystarczający szok, ale to jeszcze nie był koniec. Bram i ja nic sobie nie robiliśmy z kary, która mogła nas czekać; waga tej historii przewyższała ewentualne konsekwencje naszego występku. Opowiedzieliśmy o wszystkim. Jak znaleźliśmy ziemię w Twoim łóżku. Jak obserwowaliśmy Cię przy jedzeniu, czy też raczej przy niejedzeniu. Wyjawiliśmy nawet, jak Cię śledziliśmy i jak znikłaś w trzęsawisku. Przed wszystkim jednak opowiedzieliśmy im o skrzyni na wieży i uciętej kończynie leżącej wewnątrz.

Mama i tata słuchali tego potoku słów w milczeniu, wodząc wzrokiem od Brama do mnie i z powrotem. Kiedy skończyliśmy, również milczeli. Pierwsza odezwała się mama; odwróciła się do ojca, poklepała go po ramieniu i rzuciła krótko zaspanym głosem:

– Może powinienes na to zerknąć, Abrahamie.

Bram i ja, wciąż jeszcze w płaszczach, powitaliśmy tę sugestię żywym potakiwaniem i wyskoczyliśmy z ich łóżka w kierunku drzwi. Tata jednak nie nadązał; wreszcie głowa opadła mu na poduszkę.

– Rano – powiedział. – Pójdziemy o świcie.

– Musimy iść teraz, tato! Ona wciąż może być niedaleko! – krzyknęłam.

Tata podniósł zmęczoną rękę i pokazał na okno.

– Pada. Nie będziemy włóczyć się po dworze w środku nocy, i to jeszcze w deszczu. Twój brat nie powinien nawet wychodzić z łóżka. Wracajcie oboje do swoich pokojów.

Rodzice byli zbyt zaspani, żeby zadać sobie pytanie, co u licha wyrwało z pościeli ich chorowitego syna – dziś myślę, że im samym mogło się to wydać snem.

Niestraszna była mi pogoda; jestem pewna, że Bramowi również. Staralam się oponować, ale już chwilę później tata chrapał, nieświadomy moich słów.

Mama pokazała na drzwi do ich sypialni i z ruchu jej warg wyczytałam: *Słyszeliście ojca. Do łóżek, jedno z drugim.*

Stojący obok mnie Bram nic nie powiedział. Pociągnął mnie za rękę i tylko pokiwał głową.

Ani on, ani ja nie spaliśmy tej nocy; nie zadaliśmy sobie nawet trudu przebrania się w koszule nocne. Do rana siedzieliśmy w ciszy na łóżku Brama. Od świtu czatowaliśmy oboje przy drzwiach do sypialni rodziców, żeby czasem tata się nam nie wymknął. Wstał z pomrukiem, kazał nam zaczekać na niego w kuchni i zabrał się za poranną toaletę.

Kiedy zjawił się na dole, patrzył na nas wilkiem.

– Ziemia w jej łóżku, powiadacie? Niczego takiego nie znalazłem. Jej łóżko jest wypełnione sianem tak samo jak wasze.

Otworzyłam usta, żeby powiedzieć tacie, że ktoś usunął ziemię wczoraj pod jego nieobecność, ale zanim zdążyłam przemówić, tata był już w drodze do drzwi.

– Zaprowadźcie mnie na wieżę i pokażcie, coście tam znaleźli.

Kiedy zobaczyłam spojrzenie Brama, skurczył mi się żołądek, bo podobnie jak brat uświadomiłam sobie, że skoro bez niczyjej wiedzy oczyściłaś łóżko, to na wieży też nie będzie po niczym śladu.

Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć tacie, że to był tylko sen, który wydał się zbyt rzeczywisty, a teraz już wiemy, że nie był prawdziwy, ale nie mogłam się na to zdobyć. Musiałam zobaczyć to na własne oczy. Wstałam z krzesła, włożyłam płaszcz i wyszłam przez drzwi w kierunku pól Artane, w stronę zamku. Przez pierwszą minutę nie byłam nawet pewna, czy tata i Bram idą za mną. Nie miałam ochoty się odwracać i byłam zdecydowana, że muszę to zobaczyć, choćbym miała iść sama. Dołączyli jednak do mnie i we trójkę przeszliśmy przez błotniste pola do wieży wyrastającej ponad linię lasu.

Zanim dotarliśmy do schodów, tata prawie się zasapał. Ale bardziej martwiła go kondycja Brama. Ten niepokój zdawał się przyćmiewać wszystko inne; tata nie wspomniał o fatalnym stanie budowli i ewentualnym ryzyku związanym z wchodzeniem na górę. Kiedy otworzył ciężkie drzwi, ujrzeliśmy ziejącą pustkę.

W środku niczego nie było.

Pokój na wieży był pusty.

Na zakurzonej podłodze nie było nawet naszych śladów, a pomieszczenie wyglądało i pachniało tak, jakby pozostawało puste od setek lat.

Jak tego dokonałaś?

Jak wszystko to ukryłaś?

Tyle pytań, a Ciebie nie ma. Nie ma Cię od tak dawna.

Pewnie zastanawiasz się, co u Brama.

Zostawiłaś go w takim stanie.

Zostawiłaś nas oboje w takim stanie.

To było dawno temu. Jakimś cudem mama i tata zapomnieli o tym wszystkim i wbrew swoim zwyczajom pozwolili mi podróżować z nim po Europie. Niedawno wróciłam do Dublina z Paryża.

Och, Paryż, co za piękne miasto! Szkoda, że nie mogłam tam zostać. Całe dnie spędzałam w Luwrze, a noce nad brzegiem Sekwany. Mają tam restauracje i sklepy oferujące najbardziej niesamowite rzeczy – na żadną nie było mnie stać, ale wiadomo: dziewczyna potrafi szukać. Pojechałam do Paryża, żeby odebrać nagrodę za najlepszy obraz młodego artysty malowany z natury. Zawsze zachęcałaś mnie do rysowania i zajmowania się sztuką; dziękuję Wam za to – Tobie i mamie. Gdyby nie te zachęty, nie wiem, czy przez te wszystkie lata podążałabym za potrzebą tworzenia. Może nadal bym szkicowała, ale z całą pewnością nie zdobyłabym się na odwagę, by wystawiać swoje prace. Tamten konkretny obraz to był portret olejny kobiety z opadającymi blond włosami i przepięknymi niebieskimi oczyma. Kiedy pytali mnie, kto był modelką, odpowiedziałam, że nie była to pojedyncza kobieta, ale połączyłam wizerunki wielu różnych kobiet. Nie była to prawda, ale kłamstwo również nie do końca. Widzisz, szkic obrazu oparłam na przedstawiających Cię rysunkach, które wykonałam jako mała dziewczynka. Dziesiątki portretów, a na wszystkich ta sama kobieta – ale nie taka sama. Zawsze wprawiało mnie to w zakłopotanie. Do dziś nie potrafię uchwycić Twojej podobizny na płótnie. Kobiety, które rysuję, są piękne, ale nigdy nie są Tobą, nie całkowicie, nawet dzisiaj. Gdybym planowała wysłać ten list, załączyłabym którąś pracę, ale niestety, ten list nie zostanie wysłany.

Znów odbiegam od tematu.

Bram.

Opowiem Ci o Bramie.

Wyrósł na wspaniałego młodzieńca!

Nie może przejść ulicą, żeby nie obejrzała się za nim jakaś kobieta. Jest wysoki i silny, zrobił się z niego świetny i wszechstronny atleta – w Trinity College trenuje rugby, chód sportowy, wioślarstwo i gimnastykę. Wątpię, żeby istniała dyscyplina, której by nie opanował. Ani razu nie chorował od czasów dzieciństwa, odkąd... odkąd... Co zrobiłaś tamtej nocy?

Co zrobiłaś z moim bratem?

Czy on ciągle jest moim bratem?

On o tym nie mówi.

Ani słowa.

Od chwili, gdy wróciliśmy na wieżę zamkową z tatą, aż do dzisiaj można by odnieść wrażenie, że żadne z tamtych wydarzeń nie miało miejsca.

Wujek Edward go wyleczył.

Wujek Edward i jego pijawki.

Tak Bram odpowiada każdemu, kto zapyta; a mama i reszta potwierdzają jego wersję.

Ale my znamy inną, prawda?

Ty i ja?

Czy gdybyś nie pojawiła się w naszym życiu, miałabym dziś Brama?

Czy to w ogóle Bram? Mój brat?

* * *

WIDZIAŁAM CIĘ OSTATNIO, wiesz?

Dopiero co, w Paryżu. Byłam na Polach Elizejskich i zobaczyłam, jak stoisz pod markizą niewielkiej cukierni. Miałaś inną fryzurę, ale poznałam Cię nawet z drugiej strony ulicy. Chciałam podejść do Ciebie, ale o tej porze były takie tłumy, że zgubiłam Cię wśród tłoczących się paryżan.

Widziałaś mnie?

Uciekłaś przede mną?

Czy gdybym pokazała jeden z moich rysunków ludziom z tego tłumu, rozpoznaliby Cię i pokazali mi kierunek, w którym się oddaliłaś? Czy zwyczajnie pokręciliby głowami i szli dalej w swoją stronę? Stawiam na to drugie.

Gdzie się podziewasz? Dokąd odeszłaś? Gdzie jesteś dzisiaj, kiedy piszę te słowa?

* * *

THORNLEY WYKŁADA TERAZ medycynę! Wszyscy mówią, że zajdzie daleko, a ja wiem, że nigdy nie planował niczego innego. Ukończył Queen's College w Galway i studiował w Royal College of Surgeons⁴. Pracuje w dublińskim szpitalu miejskim, naucza w Szpitalu Richmonda, spędza też sporo czasu w Szpitalu Swifta dla Obląkanych, ten temat szczególnie go interesuje. Jest ciągle zajęty – zbyt zajęty. Inaczej niż w czasach, kiedy w środku nocy dostarczał Ci tamte paczki z żywą zawartością.

Dick depcze starszemu bratu po piętach i po ukończeniu liceum Rathmines School chce studiować medycynę. Dla Ciebie pewnie wciąż jest małym Richardem, biorąc pod uwagę, że kiedy ostatnio go widziałaś, miał dwa lata.

Thomas to urodzony człowiek czynu. Po ukończeniu Trinity College w przyszłym roku zamierza wstąpić do Korpusu Służby Cywilnej Bengalu, wyobrażasz to sobie? Tata mówi, że Thomasowi pozostanie jeszcze dużo nauki, zanim będzie mógł podejść do egzaminu na urzędnika, ale Tom się tym nie przejmuje. Nie poznałabyś go zresztą. Był maleńki, kiedy uciekłaś, porzucając nas pod osłoną nocy. A Margaret i George'a nie było jeszcze na świecie!

To wszystko było tak dawno temu, a mimo to wydaje się, jakby zdarzyło się przedwczorajszej nocy. Nie potrafię sobie wyobrazić, dokąd poszłaś i co się z Tobą dzieje.

* * *

CZY WTEDY W PARYŻU to byłaś Ty? Muszę przyznać sama przed sobą, że chyba nie. Tak czy inaczej, wyglądałaś, jakbyś nie postarzała się ani o dzień. A nawet lepiej, niż kiedy ostatnio Cię widziałam. Może odnalazłaś źródło wiecznej młodości Poncego de Leóna⁵ i wypłaś z niego? Dziewczyny nie powinny zatrzymywać takich sekretów dla siebie, tylko dzielić się nimi, nie uważasz? Zawsze miałaś piękną skórę, dorównującą najczystszej kości słoniowej.

No i znowu zaczynam!

Wciąż dygresje i dygresje.

* * *

WIEM, ŻE CHCIAŁABYŚ dowiedzieć się czegoś o Bramie. Zawsze był twoim pupilkiem, prawda? W porządku, mnie możesz powiedzieć, nie będę się gniewać. Z całego rodzeństwa jest też moim ulubieńcem. Zawsze był też pupilkiem mamy, ale taty raczej nie. Jeśli tata miał do kogoś słabość, to do Thornleya i Dicka, lekarza i przyszłego lekarza – którzy chcą pójść w ślady wszystkich innych doktorów z rodziny Stokerów. Bram stara się zadowolić tatę i zdaje się spełniać jego życzenia, ale różnią się w zapatrywaniach na pewne sprawy i ostatnio się nie widują.

Tata namawiał Brama, żeby przystąpił do egzaminu do służby cywilnej. Bram zrobił to i uzyskał drugi najlepszy wynik, więc objął jedno z pięciu dostępnych stanowisk w sądzie rejonowym w Zamku Dublińskim. Zaczął w Biurze Grzywien i Mandatów i nie cierpi tego!

Twierdzi, że atmosfera w sądzie jest tak nudna, że czasem widać, jak unosi się w powietrzu, próbując uciec z zamku pod postacią szarej, brudnej chmury. Wczoraj wrócił do domu i twierdził, że wychodząc z pracy, przydepnął kawałek tej chmury i pochwycił ją, zanim zdążyła prześlizgnąć się przez próg i rozejść się po ulicach Dublina.

Obie wiemy, że Bram wolałby raczej całą dobę wysiadywać w teatrze w bliskim otoczeniu aktorów i reszty pracowników. Najchętniej siedziałby na tanich miejscach i raz za razem oglądał to samo przedstawienie.

Oczywiście tata uważa, że scena to miejsce dla nieudaczników, i chociaż ceni wysiłek intelektualny, praca w teatrze jest dla niego nie do zaakceptowania – pamięta dawne przedstawienia burleski i zakłada, że Bram wpadnie w złe towarzystwo. Żaden z jego synów nie będzie pracować w teatrze!

Tak wielu ludzi nie ma zatrudnienia – czyż Bram nie jest szczęściarzem, że ma przed sobą ścieżkę kariery na Zamku Dublińskim? Ze swoim wykształceniem może liczyć na regularne awanse i podwyżki. I nie zapominajmy, że tata zaczął pracę na zamku w wieku zaledwie szesnastu lat

i musiał oszczędzać przez prawie trzydzieści, żeby stać go było na małżeństwo z mamą i utrzymanie rodziny. Czyż Bram nie powinien być wdzięczny? Na pewno nie może się doczekać pójścia w ślady ojca!

Takie rozmowy sprawiają, że Bram tęskni za latami przechorowanymi w łóżku.

* * *

OCH, MÓJ BRAM.

Byłabyś dumna.

Tata nie chce słyszeć o pracy w teatrze, ale Bram znalazł swój sposób. Pisze recenzje przedstawień do „Evening Mail”. Jak na ironię, nie zarabia na tym ani grosza, ale oczywiście traktuje to bardzo poważnie. Pracuje znacznie szybciej niż pozostali urzędnicy, żeby mieć czas zajmować się recenzjami i uzupełnianiem swoich dzienników na wieży zegarowej zamku, o czym jego przełożony nie ma najmniejszego pojęcia.

Wygląda na to, że na razie zaspokaja to ambicje literackie Brama.

Bram i tata chodzą nawet czasami wspólnie do teatru! Brat zrobił z tego miejsca swoje pudło rezonansowe, które pozwala mu analizować każdy szczegół aż do obrzydzenia. Tata, rzecz jasna, sądzi, że tyle wystarczy Bramowi do szczęścia, ale ja myślę, że na tym się nie skończy. Gdy tylko tata złagodnieje, to ani się obejrzymy, jak Bram pędem rzuci się na scenę.

* * *

TY TEŻ MASZ POJĘCIE o aktorstwie, czyż nie?

Ile z tego, czego byliśmy świadkami, to byłaś prawdziwa Ty, a ile to była gra?

Nazywasz się Ellen Crone czy może to tylko tożsamość sceniczna wymyślona przez Ciebie tak, by pasowała do przedstawienia? Tożsamość, której pozbyłaś się, gdy tylko opadła kurtyna?

Czy w ogóle nas kochałaś?

Tyle pytań, a nie ma jak ich zadać.

No dobrze, mam dziś sporo do zrobienia. Dogoniłam Cię. Ten bezużyteczny list nigdy nie zostanie wysłany, ale jednak jest kompletny.

Jak widzisz, nie potrzebujemy Cię. Nigdy nie potrzebowaliśmy.

Ale i tak chciałabym z Tobą porozmawiać.

Gdzie jesteś?

Z serdecznymi uściskami

Matylda

DZIENNIK BRAMA STOKERA



8 SIERPANIA 1868, 17.31

Chwyciłem za pióro, odczułem bowiem potrzebę opisanie dziwnej sytuacji, której byłem świadkiem. Mój współlokator, znakomity William B. Delany, myśląc, że jest sam, stanął w milczeniu w kącie wspólnego pokoju naszego mieszkania położonego przy Lower Leeson Street 11, złapał tłustą czarną muchę na gzymsie kominka i uwięził ją w szklanym słoju zakrytym pokrywką uszczelnioną korkiem. Jest to wprawdzie zachowanie szczególne, niemniej przyznam, że w pewnym okresie swego życia robiłem to samo, choć muszę nadmienić, iż liczyłem sobie wówczas osiem lub dziewięć lat, a rok wcześniej widziałem, jak mój brat Thornley chwytając nieszczęsne owady, w późniejszych zaś czasach towarzyszyłem w takich łowach drugiemu bratu, Thomasowi. Nie samo łapanie muchy wydaje mi się tutaj dziwne, lecz to, że dorosły człowiek w wieku lat dwudziestu dwóch oddaje się takiej działalności, która wydała mi się cokolwiek osobliwa.

Delany stał pod takim kątem, że nie zauważył, jak wchodzę do pokoju. Nie mogę nie zastanawiać się, czy kontynuowałby swoją pogoń za latającym szkodnikiem, gdyby wiedział, że go widzę; skłaniam się ku twierdzącej odpowiedzi na to pytanie. Wyraz determinacji na twarzy, absolutne skupienie, z jakim postępował, kazały mi myśleć, że był to kiepski dzień na bycie muchą w okolicach naszego kominka.

A zatem schwytał muchę.

Chciałbym móc powiedzieć, że sama skala owej dziwności skłoniła mnie do przelania tych obserwacji na papier, czy jednak by to wystarczyło? Moją szczególną uwagę, kiedy byłem świadkiem tych poczynań, zwrócił fakt, że ta mała tłusta mucha nie była w słoju sama; miała towarzystwo.

I to w nadmiarze.

Słoik, wysokości jakichś dwunastu centymetrów i szerokości około sześciu, wyglądał na pełen much. Ile ich tam było, zapytacie? Tyle, że niewiele pozostawało wolnego miejsca.

* * *

NOTATKA DO OPOWIEŚCI: „Znałem kiedyś chłopca, który napakował do butelki tyle much, że nie miały dość miejsca, by umrzeć!”.

* * *

ODWAŻYŁEM SIĘ PODEJŚĆ trochę bliżej – tak uważnie wpatrywał się w swoją zdobycz, że nie zwrócił na mnie uwagi. Przyglądał się swojemu najnowszemu jeńcowi, jak ten wspina się po żołnierzach, którzy padli przed nim na tym feralnym polu bitwy. Mucha kilkakrotnie próbowała wylecieć ze słoika i za każdym razem odbijała się od pokrywki lub szklanych ścianek i lądowała na swych mnogich odnóżach, po czym zbierała siły i próbowała znowu.

Dysponując bardziej uprzywilejowaną pozycją, ze zdumieniem odkryłem, że co najmniej jedna trzecia pozostałych owadów nadal żyje, jedne ruszają się wolniej niż inne, ale wciąż dychają. Większość nie mogła już wzbić się w powietrze i akceptowała swój los.

– Co tam masz, Willy? – spytałem cicho; nie chciałem przestraszyć chłopaka, ale i tak go przestraszyłem. Przez chwilę próbował złapać słoik, który wysunął mu się z rąk i zaczął spadać, ale ja schyliłem się i złapałem go w powietrzu na kilka centymetrów przed drewnianą podłogą, o którą zaraz by się rozbił.

– Oddaj mi to – polecił Willy.

Wyprostowałem się i podniosłem naczynie do światła.

– Nie wydaje mi się, żeby było nam wolno trzymać tu zwierzęta. Pytałeś właściciela mieszkania o zgodę, zanim przyniosłeś tu tych koleżków?

– Piszę pracę o Francescu Redim, włoskim biologu. Potrzebuję ich do eksperymentu.

Oddałem mu słoik i odczułem potrzebę natychmiastowego umycia rąk.

– Co to za eksperyment?

Willy przewrócił oczami. Ci mniej świątli z nas mieli skłonność do obrażania głupimi pytaniami jego inteligencji, w ocenie posiadacza przewyższającą resztę.

– Wielu uważa Rediego za twórcę nowoczesnej parazytologii. Przed jego publikacją z tysiąc sześćset sześćdziesiątego ósmego uważano, że larwy powstają samorzutnie. On jednak udowodnił, że pochodzą z jaj much. Dla celów mojej pracy zamierzam udokumentować cykl życiowy muchy od formy dojrzałej przez jajo do larwy.

– Łapiąc muchy do słoika?

Znów to niegrzeczne przewracanie oczami.

– To eksperyment na żywym materiale. Kupiłem u rzeźnika plaster podłej wołowiny i położyłem go wczoraj na ganku, ale ktoś – lub coś – odpowiada za jego zniknięcie.

– Stawiam na „coś” raczej niż na „kogoś” – odparłem. – Po ulicach wałęsa się sporo psów; każdy z nich byłby wdzięczny za tak solidny posiłek.

– Mówię ci, ten ochłap był tak nędzny, że nawet stare kucharki z Trinity College nie podałyby go studentom. Umieściłem mięso w drewnianej skrzynce, w której prześwity między deseczkami wynosiły nieco ponad centymetr. Nic nie było w stanie dostać się do środka. Nic oprócz much. Ale dziś rano okazało się, że wołowina zniknęła, choć skrzynka pozostała nietknięta. Trudno mi sobie wyobrazić, jak mógłby tego dokonać pies.

– Wciąż jednak nie wyjaśniłeś, po co ci słoik much – przypomniałem.

Delany potrząsnął naczyniem.

– Wołowina była droga, a ja nie mam funduszy na to, by ją zastąpić. Zacząłem więc kombinować: jeśli w słoiku padnie wystarczająco dużo much, to czy pozostałe zniosą jaja, które przerodzą się w larwy pasożytujące na ciałach tych martwych?

Poczułem delikatny ból w lewej skroni, który ujawniał się zawsze, ilekroć zbyttno angażowałem się w rozmowę z Willym.

– A zatem chcesz badać kanibalizm u owadów?

Twarz Willy'ego rozbłysła jak u dziecka, które przyciska nos do witryny sklepu ze słodyczami.

– Tak! Fascynujące, nie sądzisz?

– Ile czasu zajmuje muchom zniesienie jaj, z których mogą potem rozwinąć się larwy?

Willy zajrzał do słoika. Jedna mucha zwisała z pokrywki do góry nogami, kręcąc się nerwowo w koło.

– Już mogły znieść jaja. Od momentu złożenia jaja do przejścia przez postać larwalną do dojrzałego osobnika upływa około czterech dni. Mam nadzieję uchwycić kompletny cykl.

Zastanowiłem się nad tym przez moment.

– Nie jest to jednak plan, że mucha nie siada.

– Co masz na myśli? Mój plan jest znakomity.

– A zadałeś sobie pytanie, co zabija wszystkie te muchy? – Uderzyłem w pokrywkę słoika. – Nie zrobiłeś dziurek, przez które mogłoby wpadać powietrze. Jak mają pożerać swoje siostry, skoro nie mają nawet jak oddychać?

Willy pochylił głowę i rozważał to odkrycie.

– Nie, jest tam dość powietrza. Mają się dobrze.

Wypatrzył na parapecie kolejną muchę i przeszedł przez pokój. Skorzystałem z tego jako okazji, żeby się pożegnać, zanim stracę kolejnych dziesięć minut życia na te bzdury. Innego współlokatora, Herberta Wilsona, zastałem siedzącego na ganku. Herbert był raczej dużym chłopakiem, co najmniej pięć centymetrów wyższym ode mnie, a ja do niskich nie należę.

Herbert wziął mnie za ramię i odciągnął na stronę.

– Czy on ciągle napełnia ten słoik?

– Tak, i to bardzo intensywnie – odpowiedziałem.

Herbert zachichotał cicho i wskazał na skrzynkę tuż przy schodach na ganek.

– Wczoraj wieczorem, kiedy włożył do środka porządny kawałek wołowiny, wyjąłem go i schowałem w wiszącej szafce. Dziś wieczór odłożę go do skrzynki.

– Do widzenia, Herbercie – powiedziałem, przeciskając się koło niego.

– Nie chcesz dowiedzieć się, co będzie dalej?

– Nieszczególnie. Jestem umówiony u rodziców.

Herbert dodał:

– Może wsunę mu go pod łóżko! Będzie potrzebował iluś dni, żeby namierzyć źródło smrodu.

– Proszę, nie rób tego. – Dzieliłem z Willym pokój i wszelkie mięso gnijące tam w ukryciu równie szybko co jego problemem stałoby się moim.

Uniosłem dłoń, pomachałem mu i pośpiesznie oddaliłem się ulicą.

* * *

LATEM 1858 ROKU, dziesięć lat temu, mama i tata przenieśli się wraz z rodziną z wybrzeża do samego Dublina. Tata robił się coraz starszy i codzienny długi marsz do Zamku Dublińskiego dawał się we znaki jego zmęczonemu ciału. Natomiast dom przy Harcourt Street 43 znajdował się o rzut kamieniem od jego pracy.

Popołudniowe słońce zaczęło już się zniżać i niknąć w oddali, a ja szybkim krokiem przemierzałem ulice; sprzedawcy uwijali się przy pakowaniu swoich towarów, które chowali, gdy ono się chowało. Skręciwszy za Królewskim Kolegium Chirurgów, pomachałem panu Barrowcliffowi, karmiącemu gołębie przy St. Stephen's Green. Co dzień, czy słońce, czy deszcz, robił to z taką regularnością, że można by nastawiać zegarek. Był tak punktualny, że jeśli zjawieś się przed nim, mogeś obserwować gołębie gromadzące się w oczekiwaniu na brzegu jeziora przy małym wodospadzie.

Dotarłem na Harcourt Street i zwolniłem na tyle, by zdążyć przyglądać włosy, zanim przekroczę próg domu rodziców.

Mama była w kuchni z moją siostrzyczką Margaret, przygotowywała obiad. Margaret rozpromieniła się na mój widok.

– Popatrz, kto przyszedł do domu, żeby napełnić sobie brzuch!

Tego roku mama skończyła pięćdziesiąt lat i chociaż jej ciemne warkocze poddały się w walce z siwizną, wciąż widziałem w niej pełną pasji kobietę, która czytała mi w dzieciństwie. Margaret, trzynastcie lat młodsza ode mnie, ale obdarzona umysłem trzydziestolatki, wydawała się wyższa za każdym razem, kiedy ją widziałem.

Mama skinęła na mnie, wyciągnęła z piekarnika złotobrazową szarlotkę i postawiła ją na stole.

– Założę się, że na tej stacji żyjesz tylko czerstwym chlebem i piwem. Wyglądasz, jakbyś schudł ze trzy kilo, odkąd przywlokłeś tu swoje wygłodzone ciało. Czasem zastanawiam się, czy kochasz mnie czy tylko moją kuchnię.

– Zdecydowanie kuchnię, mamó. Do domu przyciąga mnie instynkt przetrwania. – Dobiegł mnie zapach szarlotki i zaburczało mi w brzuchu na tyle głośno, że wszyscy usłyszeli; wybuchliśmy śmiechem. – Gdzie są pozostali?

– George i Richard jeszcze w szkole. Thomas w salonie z ojcem toczy dość ożywioną dyskusję na temat swojego nieustającego pragnienia, by uciec do Indii i sprzątać po nie swojej wojnie. Matylda jest u siebie na górze.

Podszedłem do ciasta i próbowałem wsadzić palec pod chrupiącą skórkę; mama dała mi po łapie.

– Dopiero po obiedzie, Bramie. Szarlotka ci nie ucieknie.

– Mam nadzieję – powiedziałem, puszczając oko do Margaret, po czym udałem się do salonu, gdzie zastałem Thomasa opartego o kominek i tatę siedzącego w ulubionym fotelu z fajką w dłoni, z zarumienioną i wykrzywioną twarzą. Gdy wszedłem, obaj milczeli. W geście frustracji ojciec machnął ręką na mojego brata i pociągnął z fajki.

– Mama uważa, że wciąż upierasz się przy zarobieniu kulki w łeb, zanim skończysz dwadzieścia lat – stwierdziłem.

Thomas przyjął postawę obronną.

– Ty też, Bramie? Myślałem, że chociaż ty jeden zrozumiesz.

– A dlaczego miałbym rozumieć?

– Już ty dobrze wiesz dlaczego.

Tata wyjął fajkę z ust i wydmuchnął kółko z dymu, po czym przemówił stłumionym i przygnębionym głosem.

– Mówi, że złamałem twojego ducha i usadziłem cię za biurkiem i że teraz próbuję zrobić to samo jemu, a on nie wyraża na to zgody.

– Moja sytuacja niewiele przypomina jego – odparłem, wiedząc, że to tylko pół prawdy. – Posada w sądzie rejonowym stanowi dla mnie znakomitą okazję i daje mi zarobki potrzebne między innymi po to, bym mógł bywać w teatrze.

– Ale wolałbyś pracować w teatrze, prawda, Bram?

Na to pytanie nic nie odpowiedziałem. Nie spojrzałem też na tatę, choć czułem na sobie jego wzrok.

Thomas kontynuował:

– Myślę, że gdybyś miał taką możliwość, w okamgnieniu rzuciłbyś zamek i został aktorem! Tylko wyobraź sobie to życie: podróże od miasta do miasta, od kraju do kraju, wszystkie te odległe miejsca, cudzoziemcy, przychodzący, by podziwiać wspaniałego Brama Stokera na ich skromnych scenach. Skandowałiby twoje imię i czekali na możliwość zerknięcia na ciebie po przedstawieniu, kiedy będziesz wychodził z teatru, i poproszenia o autograf na programie.

– Bzdury – odparłem.

– Taka jest prawda.

– A co to wszystko ma wspólnego z twoim szwendaniem się po Indiach? – mruknął tata.

Thomas westchnął.

– Gdybyś miał okazję walczyć w wojnach napoleońskich, nie sądzisz, że uczyniłoby cię to lepszym człowiekiem?

– Synu, to nie były jeszcze moje czasy. Jedyna walka, w jakiej uczestniczyłem, i to nie mniej krwawa, to starcia w siedzibie naszego rządu.

– Odbudowa interesów brytyjskich w Indiach to ogromne wyzwanie. Władza... ustawy... To czysta karta. Będę walczyć o to, co jest słuszne – tak samo jak ty. Jedyna różnica dotyczy pola bitwy.

– Nie bardzo – wtrącił tata kpiąco – bo ty będziesz celem dla tubylców.

– Nie będzie mnie tylko przez dwa lata. Kiedy wrócę, wezmę każdą pracę na zamku, jakiej sobie zażyczysz. Możesz przykuć mnie łańcuchem do biurka obok Brama. Albo jeszcze lepiej: zajmę jego stanowisko, kiedy on wreszcie ucieknie do teatru – stwierdził Thomas.

Zaśmiałem się na dźwięk jego słów.

– To może od razu pošlę ci tę kulkę w łeb i zaoszczędzę nam wszystkim zachodu.

– Widziałem, jak strzelasz. Nie wydaje mi się, żebym miał się czego obawiać. Tata zaśmiał się cicho.

– Tu muszę się z nim zgodzić. Fatalny z ciebie strzelec.

Mama zajrzała do pokoju przez drzwi.

– Żadnego strzelania przed obiadem. Już mi tu wszyscy do stołu!

Tata wstał z fotela i poklepał Thomasa po plecach.

– Dokończymy tę rozmowę później.

Thomas nic nie odpowiedział, tylko przecisnął się obok niego do jadalni.

Kiedy zniknął, tata zwrócił się do mnie:

– On wyjedzie, niewiele możemy zrobić, żeby go powstrzymać. Ma ten sam żar w oczach co ja w jego wieku. Tak naprawdę służba może dobrze mu zrobić, pozwoli mu skanalizować część tej pasji, która go rozpala. Ale ja nie zmrużę oka, kiedy go nie będzie; twoja matka też. Już teraz widzę, jak co dzień biegnie po odbiór poczty w oczekiwaniu na list, który zabierze jej syna.

– Nie powinieneś myśleć o takich rzeczach. Na pewno mama da sobie radę. Thomas umie o siebie zadbać. Nauczyłeś go posługiwać się bronią palną, kiedy

był chłopcem, tak samo jak resztę z nas. To wojownik. Nie widziałem dotąd, żeby ktoś go pokonał.

– Ja bym mogła.

Głos dobiegł z za moich pleców, odwróciłem się więc i zobaczyłem Matyldę uśmiechającą się do nas obu.

– Matylda! – Chwyciłem ją i zakręciłem dookoła, a krawędź jej spódnicy aż zawirowała.

– Odstaw mnie!

Wykonałem jeszcze dwa obroty, po czym odstawiłem ją na ziemię.

– Jak było w Paryżu?

– Nie każmy matce czekać – ponaglił nas tata i ruszył do jadalni.

Matylda pochyliła się ku mnie i najcichszym szeptem oznajmiła:

– Musimy porozmawiać.

* * *

8 SIERPNIĄ 1868, 18.48

Obiad udał się tak, jak można się było spodziewać. Tata i Thomas zerkali na siebie spode łba. Ich milczenie przywodziło na myśl dwóch głuchoniemych. Mama starała się rozluźnić atmosferę, przypominając nam, że kilka lat temu miała wystąpienie w Towarzystwie Badań Statystycznych i Społecznych poświęcone konieczności zapewnienia przez państwo edukacji osobom głuchoniemym w Irlandii. Było to jedno z wielu zagadnień społecznych, na których temat miała zdecydowaną opinię i chociaż do Towarzystwa mogli należeć jedynie mężczyźni i żadna kobieta nigdy tam przedtem nie przemawiała, naszej mamy nie mogło powstrzymać przed wypowiedzeniem swojego zdania coś tak banalnego jak to, że ten czy inny klub przyjmuje wyłącznie mężczyzn. Gdyby nie zaprosili jej do środka, stanęłaby pod ich siedzibą i wykrzyczała swoje. Od tamtej pory mama była członkinią nadzwyczajną i wygłosiła jeszcze więcej przemówień, zwłaszcza związanych z emigracją kobiet z domów pracy.

Byłem obecny na jej pierwszym wystąpieniu. Sędzia Longfield, przewodniczący Towarzystwa, zabrał mnie wtedy na stronę, by powiedzieć mi, jak bardzo cieszy się z jej przemówienia. Potem dowiedziałem się, że dwunastu członków zrezygnowało z obecności na wystąpieniu mamy tylko dlatego, że była kobietą, podczas gdy inni zjawili się na nim właśnie dlatego, że nią była. Mama miała w sobie powagę, którą nawet najbardziej zahartowany w bojach mężczyzna musiał uszanować.

Matylda opowiedziała nam o swoim niedawnym wyjeździe do Paryża i marzeniu o powrocie tam, gdy tylko to będzie możliwe. Tata ofukał ten pomysł, prawdopodobnie ze względu na koszty, ale ja nigdy nie widziałem siostry tak szczęśliwej, a ten uśmiech wart był każdej ceny. Opowiadała o galeriach, o jedzeniu, o ludziach tłoczących się na ulicach.

– To zupełnie co innego niż Dublin – tłumaczyła. – W Paryżu roi się od przybyszów z kilkudziesięciu krajów. Wygląda to tak, jakby więcej ludzi było tam na wakacjach niż zamieszkałych na stałe.

– I chodziłaś z całą swoją grupą artystyczną?

Matylda pokiwała głową.

– Było nas dwadzieścioro troje. Dwudziestka studentów i troje nauczycieli: pani Rushmore, pan Thomas Jones i panna Fisher.

Oczy taty się zwęziły.

– Thomas Jones? Na tej wyprawie byli też mężczyźni?

Matylda spojrzała na mamę, a potem znów na swój talerz.

– Owszem, wzięło w niej udział kilku dżentelmenów, którzy zachowywali się dokładnie, jak na dżentelmenów przystało. Pan Thomas Jones opiekował się chłopcami, a panna Fisher dziewczętami. Panu Jonesowi towarzyszyła małżonka. Jako kierowniczka programu rysowania postaci ludzkich w Dublińskiej Szkole Sztuk Pięknych pani Rushmore czuwała nad całością wycieczki. Chłopcy i dziewczęta byli od siebie ściśle oddzieleni i towarzyszyli im opiekunowie. Ledwo zauważyłam, że w ogóle byli tam mężczyźni.

– Mhm – mruknął tata.

Mama położyła dłoń na jego dłoni.

– Twoja córka jest dorosłą kobietą, Abrahamie, nie możesz do końca życia trzymać jej uwiązanej u swego boku.

– Oczywiście, że mogę.

Mama zbyła jego słowa.

– Wyprawa taka jak ta będzie dla Matyldy okazją do poznania jej przyszłego męża, tego jestem pewna.

– Byłam zachwycona Luwrem – zawtórowała jej Matylda. – Mogłam na własne oczy zobaczyć *Monę Lisę* i *Wenus z Milo*. Brak mi słów, by opisać ich urodę.

– Czy mogę was przeprosić? – spytał Thomas.

Mama zmarszczyła czoło.

– A cóż tak pilnego masz do zrobienia, co nie może poczekać do końca posiłku?

– Rozgrywamy dziś wieczorem w Trinity College towarzyski mecz rugby.

– Po ciemku? Będziesz grał? – dociekałam. – Pójdę z tobą.

Matylda kopnęła mnie w kostkę pod stołem i spojrzała na mnie z zaciśniętymi ustami.

– Nie, tylko oglądamy. Ramię wciąż mi dokucza po ostatniej grze. Na tym meczu będę grzał ławę.

– I ty się wybierasz na wojnę? – burknął tata. – Tam naciągnięte ścięgno będzie najmniejszym z twoich zmartwień.

– Wystarczy, Abrahamie – przerwała mama. – Nie przy obiedzie. – Zwróciła się do Thomasa: – Idź i baw się dobrze.

Usłyszawszy to, brat odsunął krzesło i wstał. Spojrzał na mnie.

– Idziesz?

Siostra wbiła we mnie wzrok, a ja pokręciłem głową.

– Może później. Matylda ma mi tyle do opowiedzenia o Paryżu.

Thomas wzruszył ramionami.

– Jak wolisz.

Minutę później był już pod drzwiami z kawałkiem szarlotki ostrożnie trzymany w dłoni.

Matylda zwróciła się do mamy:

– Czy możemy z Bramem wstać już od stołu? Chcę pokazać mu wszystkie moje szkice z podróży.

Tata machnął na nas oboje ręką i sięgnął po fajkę do kieszeni marynarki.

* * *

8 SIERPNIA 1868, 19.03

Zanim Matylda zamknęła drzwi pokoju, który dzieliła z Margaret, rzuciła szybkie spojrzenie na korytarz.

– Chodzi o nią, prawda? – spytałem, siadając na łóżku. – Czemu zadręczasz się tymi myślami? Ona odeszła.

Matylda odwróciła się i oparła o drzwi. Kiedy zaczęła mówić, jej głos był tylko nieco głośniejszy od szeptu.

– Widziałam ją.

– W Paryżu?

Matylda żywo pokiwała głową.

– Na Polach Elizejskich. Stałam po drugiej stronie ulicy. Były spore tłumy, ale mam pewność, że to ona.

– Co by robiła w Paryżu?

– Nie mam pojęcia.

– Ale jesteś pewna, że to ona?

Znów pokiwała głową.

– Tak pewna jak tego, że tu teraz stoję.

Trawiłem to przez chwilę. Od prawie czternastu lat żadne z nas nie widziało ciotki Ellen, to całe wieki. Sposób, w jaki od nas odeszła, jej wycieczka do zamku, na bagna, to, jak...

– Jest coś jeszcze – powiedziała Matylda i zasznurowała wargi. – Nie wyglądała na ani dzień starszą niż w dniu, kiedy nas opuściła. A wręcz

wydawała się młodsza. Ośmielałam się twierdzić, że nawet młodsza ode mnie.

Potrząsnąłem głową.

– A więc to musiał być ktoś inny, kto ci się z nią skojarzył.

– To była ona. Przysięgam na swoje życie.

– Mnie też często wydawało się, że ją widzę. Zawsze w tłumie, zawsze z pewnej odległości. Kiedy jednak podchodziłem bliżej, okazywało się, że to była kobieta o podobnym wyglądzie. Na pewno zwyczajnie zauważyłaś kogoś, kto ją przypomina, i twój mózg powiązał tę nieznaną z Ellen.

– To była ona.

– Czyli mam uwierzyć, że nasza dawno utracona niania mieszka w Paryżu i nie postarzała się ani o dzień od dnia, kiedy uciekła czternaście lat temu.

– Tak.

Wziąłem Matyldę za rękę.

– Tęsknisz za nią. Ja też. Ale to nie była ona. To nie mogła być ona. Co najwyżej złudzenie optyczne.

– O, bynajmniej. Jestem absolutnie pewna, co widziałam.

– Podeszłaś do niej? Rozmawiałaś z nią?

Matylda westchnęła.

– Próbowałam, ale zanim przepchnęłam się przez tłum do miejsca, w którym stała, jej już nie było. Wiem, co sobie myślisz, Bramie, ale nie mam wątpliwości: to była ciocia Ellen i nie wyglądała ani o dzień starzej. – Matylda wzięła z toaletki pozytywkę i przejechała palcami po misternie rzeźbionym drewnie. –

Pamiętasz, jaka była, zwłaszcza w ostatnich dniach u nas. Wyglądała jak staruszka. Przedtem, na zewnątrz, wydawała się raczej młodą dziewczyną. Gdybyś poprosił przechodniów na ulicy, żeby odgadli jej wiek, od każdego z nich usłyszałybyś inną odpowiedź. Żaden z nich nie opisałby jej bardziej szczegółowo, niż ja potrafię ją narysować.

– Musisz o niej zapomnieć.

– Nie umiem.

– Nic dobrego nie przyjdzie z takiego dręczenia się, z rozgrzebywania w ten sposób przeszłości. Byliśmy dziećmi, we wszystkim dopatrywaliśmy się tajemnic. Pamiętasz te historyjki, które sobie opowiadaliśmy? O potworach i innych okropnościach, które wymyślaliśmy, żeby się nastraszyć?

Matylda nie odrywała wzroku od pozytywki trzymanej w rękach. Nie odezwała się ani słowem.

– W tym wieku prawda i fantazja mieszają się ze sobą i stają jednością. Ciocia Ellen opowiadała nam bajki o różnych stworach, więc dla naszych umysłów stała się jednym z nich. Nasza wyobraźnia żywiła się takimi historyjkami, modyfikowała je; chcieliśmy w nie wierzyć, no to wierzyliśmy. Nie czyni ich to jednak faktami.

Matylda odstawiła pozytywkę na toaletkę.

– Widzieliśmy, jak wchodzi do bagna i się nie wynurza.

– To nie było naprawdę.

– Ziemia pod jej materacem. Skrzynia na wieży zamku Artane. Ta straszna ręka. Ta koszmarna, przebrzydła ręka.

– To wszystko fantazja, wytwory kreatywnych, nadwrażliwych młodych umysłów, nic więcej – odparłem.

Matylda przeleciała przez pokój jak burza i pociągnęła mnie za rękaw.

– Skoro wszystko było zmyślane, to co to jest? – Wbiła wzrok w mój nadgarstek. – Dlaczego przez te wszystkie lata ta rana się nie zagoiła?

Spuściłem oczy na dwie czerwone kropki nad żyłą po wewnętrznej stronie przegubu pokryte świeżym strupem. Szybko naciągnąłem na nie rękaw.

– Drapię się i tyle. Jestem pewien, że gdybym zostawił je w spokoju na wystarczająco długo, znikłyby jak wszystkie inne skaleczenia.

– To może z innej beczki. – Matylda poczerwieniała na twarzy i widziałem, że najchętniej by się na mnie wydarła, ale opanowywała się, żeby nikt nas nie podsłuchał. – Kiedy ostatnio byłeś choćby odrobinę chory? Kiedy ostatnio zrobiłeś sobie krzywdę? – pytała. – Hmm? Może o tym porozmawiamy?

– Znasz odpowiedź. Po prostu mam dużo szczęścia. Odkąd wujek Edward...

– Wujek Edward guzik zrobił!

Tym razem jej słowa zadudniły głośno i ostro, aż pomyślałem, że mama albo tata wparuje przez drzwi, ale do tego nie doszło. Przyłożyłem palec do ust.

Matylda nie przestawała.

– Myślisz, że nie wiedzą? Wszyscy o tym wiedzą, tylko o tym nie mówią. Banda hipokrytów!

– Ćśśś!

– Mowy nie ma!

Stanąłem i pochyliłem się nad nią.

– Matyldo, zachowujesz się jak dziecko!

Zanim się zorientowałem, przejechała mi po grzbiecie lewej dłoni nożem do listów, który najwyraźniej wzięła z toaletki. Metalowe ostrze zostawiło cienki czerwony ślad. Próbowałem zakryć skaleczenie prawą dłonią, ale siostra złapała mnie za nią i nie pozwoliła się ruszyć. Na naszych oczach rana sama się zamknęła, a następnie zamieniła się w różową kreskę, która zaraz zbladła, i w kilka sekund po skaleczeniu nie został ślad poza strużką lśniącej krwi. Matylda starła ją i spojrzała na mnie oczyma pełnymi smutku.

– Co ona ci zrobiła, biedaku?

Wyszarpnąłem rękę i wsadziłem do kieszeni.

– Nawet jeśli to ukryjesz, nie stanie się przez to mniej realne – powiedziała Matylda głosem, z którego wyparował już gniew. – Nie chcesz zrozumieć?

W mojej głowie myśli goniły jak szalone. Poczułem krew palącą mnie w policzki, serce łomocące w piersi.

Nie chciałem wiedzieć.

Nie chciałem myśleć o takich rzeczach.

Nie teraz. Nigdy.

– Czy gdyby była blisko – spytała szeptem Matylda – wyczułbyś to?

Od wieków nie zaświtała mi taka myśl.

Ciocia Ellen patrzy na mnie, przycupnięta na belce pod sufitem, oczy płoną jej na czerwono, tak jasno, że prawie wystarczyłoby światła, aby oświetlić pokój.

I spada, spada na mnie.

Po raz pierwszy od lat zaswędziało mnie ramię.

OBECNIE



BRAM PODNOSI WZROK znad dziennika, a tamten dźwięk wciąż rozbrzmiewa mu w uszach.

Wilk, bez dwóch zdań, ale wycie nie odezwało się zza drzwi. Dobiegało z zewnątrz.

Bram wstaje z krzesła, podchodzi do okna i rozgląda się po okolicy. Z początku nie widzi niczego; potem zauważa duży cień, który wolno przemieszcza się przez zarośla i rozchyła trawy. Cień pomalutku obchodzi podstawę wieży, podnosi łeb i łypie na Brama.

Bram rozpoznaje wilka od razu. Chociaż nie potrafi wyjaśnić, skąd to wie, ma pewność, że to ten sam, który przyśnił mu się wcześniej w nocy i zaatakował go zza drzwi. Tyle że teraz bestia nie jest uwięziona za drzwiami; w ogóle nie jest uwięziona. Przechadza się swobodnie, a ściganą zwierzyną chroniącą się na wysokim drzewie okazuje się Bram.

Wilk wpatruje się w niego tymi samymi czerwonymi ślepiami co we śnie i wydaje z siebie rozdzierający skowyt. Ten hałas powinien zaalarmować mieszkańców miasta, którzy zaraz przybiegną z bronią w rękę. Nikt się jednak nie zjawia, a wilk chodzi w tę i w tę, przyginając trawy, aż na ziemi powstaje ścieżka.

Nie oddalając się od okna, Bram sięga po karabin przygotowany do strzału. Opiera broń na gładkim, płaskim parapecie z kamienia i wodzi lufą za

zwierzęciem, śledząc każdy jego ruch. Kiedy wilk zatrzymuje się, by ponownie na niego spojrzeć, Bram pociąga za spust.

Karabin odskakuje do tyłu, a kula wylatuje z lufy.

Bram słyszy wycie, nie dochodzi ono jednak z dołu, lecz zza drzwi, a towarzyszy mu głuchy odgłos cielska upadającego na podłogę.

Bram zbliża się do drzwi i przykłada ucho do drewna. Nic nie słyhać.

Po jakiejś minucie wraca do okna i zerka w dół – wilk zniknął.

Czy Bram naprawdę go widział? Może tylko wyobraził sobie wilczysko. Ale nie, trawa wciąż leży przydeptana w miejscach, po których chodziło zwierzę. Tak, wilk tam był, a teraz może schronił się gdzieś, by zdechnąć w spokoju. Bram rozważa, czyby nie zejść na dół i nie sprawdzić, ale wie, że byłoby to szczytem głupoty. Nie wolno mu opuścić tego azylu.

Skrobnięcie do drzwi, a po nim skomlenie; odgłos rannego psa.

To z pewnością kolejna sztuczka.

Bram chce otworzyć drzwi. Chce zobaczyć to na własne oczy.

Podchodzi do nich, sięga do zamka, przetrząsa kieszenie w poszukiwaniu klucza. Zaraz otworzy drzwi i...

Nie.

Bram pośpiesznie odsuwa się od wejścia i cofa w głąb pokoju.

Kolejna sztuczka.

W tym momencie z zewnątrz dobiega kolejne zawodzenie.

Wraca do okna, by zastać w trawie pod oknem dwa wilki – czarnego i szarego – wpatrzone w niego ognistymi ślepiami. U szarego wilka zauważa kępkę czerwonej sierści; to on oberwał. Czarny wilk podchodzi do towarzysza, liże mu ranę i podnosi głowę, by wydać z siebie straszliwy skowyt.

Stworzenie zza drzwi odpowiada mu po swojemu – połączeniem wycia wilka z krzykiem człowieka w potwornych męczarniach.

Wówczas w polu widzenia pojawia się trzeci wilk. I kolejne. Wataha wilków, wszystkie z czerwonym żarem w oczach.

DZIENNIK BRAMA STOKERA



10 SIERPNIĄ 1868, 16.06

Mojemu gabinetowi na Zamku Dublińskim daleko było do luksusu; był zimny, pozbawiony okien, zastawiony dziewięcioma biurkami, tylomaż krzesłami oraz szeregiem półek i szafek uginających się pod starymi tekstami i dokumentami należącymi do moich poprzedników. Mimo to nasza ósemka zatrudniona w tym biurze sądu tworzyła wesołą kompanię. Często pracowaliśmy od dziewiątej rano do dziesiątej wieczorem, a jako że większość urzędników, włączając w to naszego przełożonego, wielmożnego pana sędziego Richarda Wingfielda, wychodziła o bardziej cywilizowanej godzinie, mogliśmy sami planować sobie czas.

Jak się nad tym dobrze zastanowić, pan Wingfield w biurze zjawiał się rzadko, kiedy zaś to czynił, wiadomo było, że przyjdzie spóźniony i wyjdzie przed czasem, pozostawiając nam swobodę działania. W te długie dni Thomas Taggart, starszy urzędnik, przyrządzał dla nas obiad, kilka bekasów lub cyraneczek pieczonych z marchewką lub pasternakiem; kiedyś na święta przygotował nawet indyka z całym bukietem warzyw, surówką i puddingiem śliwkowym, a każdy z nas przyniósł jakiś napój: poncz, sherry, porto, szampana, piwo, czerwone wino, curaçao czy kawę. Nakryliśmy stół bibułą i do późnych godzin nocnych wznosiliśmy toasty za zdrowie własne, jak również królowej. Tamtej nocy wielka szafa wypchana starymi ubraniami posłużyła za poślanie młodszym kolegom, którzy nie mogli dotrzymać reszcie kroku.

Częściej niż rzadziej pan Wingfield wmaszerowywał do biura w okolicach drugiego śniadania, kiedy byliśmy pochłonięci pracą i wszystko wyglądało normalnie. Przez „normalnie” chciałbym tu rozumieć „porządnie”, ale porządku tam nie było. Z całą pewnością na moim biurku panował chaos, ale ja doskonale wiedziałem, gdzie znajduje się każde pióro, ołówek, spinacz i świstek papieru. A gdyby ktoś spróbował poukładać moje skromne przybory, wyrządziłby mi sporą krzywdę.

O ile więc my wykazywaliśmy się z rana gorliwością, o tyle pozostali urzędnicy byli przygaszeni, skorzystałem zatem z okazji, by dokończyć recenzję *Kobiety w bieli*, której adaptację oglądałem poprzedniego wieczora na deskach Teatru Królewskiego w Dublinie.

Nastrój tej historii jest dość ponury, a pan W. C. niewątpliwie pragnął zachować taki jej charakter, przeoczył jednak fakt, iż akcja dramatu jest tak skoncentrowana, suspens tak znaczny, a napięcie umysłów i uczuć publiczności tak potężne, że przydałaby się niekiedy chwila ulgi. Nawet w *Hamlecie* potrzebny jest grabarz, a w *Królu Learze* błazen.

Byłem tak pochłonięty pisaniem, że nie usłyszałem, jak Michael Murphy, nasz goniec, podszedł do mojego kąta pokoju i odchrząknął. Gdy podniosłem wzrok, zobaczyłem, że patrzy na mnie i stuka w moje biurko jakąś kopertą.

– Telegram do mnie?

Pokręcił głową.

– Tylko notatka. Polecono mi natychmiast ją panu dostarczyć. Ta pani powiedziała, że jeśli szybko się uwinę, to mogę liczyć na sowity napiwek od pana.

– Jaka pani?

– Mnie tam nazwiska nie interesują, proszę pana, ja tylko dostarczam. – Wystawił dłoń.

Sięgnąłem do kieszeni, wyciągnąłem dwa szylingi i wręczyłem chłopakowi.

Spojrzał na nie pogardliwie, westchnął i wręczył mi kopertę. Wziąłem ją i odprawiłem go machnięciem ręki.

Wewnątrz znajdowała się pojedyncza kartka papieru złożona na czworo. Rozłożyłem ją i podniosłem do światła lampy na moim biurku.

Spotkajmy się o 18.00 w Bibliotece Marsha.

Matylda

* * *

10 SIERPANIA 1868, 18.00

Bibliotekę tę ufundował w osiemnastym wieku arcybiskup Narcissus Marsh. Jest to niezbyt efektowny budynek położony przy St. Patrick Close, prawie całkiem ukryty za katedrą. Kiedy uczęszczałem do Trinity College, często bywałem w tej bibliotece, ale w miarę studiowania spędzałem tam coraz mniej czasu. O tej godzinie w bibliotece było pełno nie tylko studentów, ale także zwykłych ludzi wszelkiego rodzaju, którzy wpadli tam po pracy.

Wciągnąłem nosem powietrze – prostą przyjemność sprawił mi zapach starych książek oprawionych w skórę, których było tam bez liku. Biblioteka mogła się pochwalić zbiorami liczącymi niemal dwadzieścia tysięcy tomów, których tematyka rozciągała się od medycyny i nawigacji po nauki ścisłe, religię i historię. Większość woluminów pochodziła z prywatnej kolekcji arcybiskupa, o którą Marsh dbał z wielką pieczołowitością. Wzdłuż ścian ciągnęły się metalowe klatki, nazywane przez studentów Trinity College „celami”. Kiedy zamawiało się którąś ze starych książek, trafiało się pod klucz do którejś z tych cel z upragnionym woluminem i siedziało tam, aż skończyło się lekturę. Wtedy kustosz otwierał drzwi klatki, a książka nigdy nie opuszczała bezpiecznych murów instytucji.

Kiedy mój wzrok przyzwyczał się do przyćmionego światła w bibliotece, zauważyłem Matyldę usadowioną w jednej z klatek z tyłu sali. Drzwi były otwarte, co znaczyło, że wybrała tę celę specjalnie, ale nie zamówiła żadnej

cennej księgi; gdyby było inaczej, drzwi klatki byłyby zamknięte. Zostałem ją obłożoną nie rękopisami, lecz gazetami. Namiętnie gryzmoła coś w szkicowniku; nie był to rysunek, ale prawie cała strona zapisana jej drobnym, ładnym pismem. Kiedy się zbliżyłem, podniosła wzrok i zamknęła notes, zanim moje ciekawskie oczy zdołały dostrzec cokolwiek więcej.

Mając w pamięci naszą rozmowę z poprzedniego dnia, instynktownie naciągnąłem rękaw koszuli na przegub, by upewnić się, że ranki nie będą widoczne.

– Ach, droga siostrzyczko, cóż za sprytna metoda pozbawienia mnie ciężko zarobionych pieniędzy. Nie mogłaś po prostu wpaść do mnie do biura?

– A czy wcisnęłaby się tam jeszcze jedna osoba? Sądziłam, że nie lubisz przyjmować gości, bo wolisz, żeby nikt nie stał ci na ramionach.

Zastanawiałem się nad ripostą, ale miałem w planach wyjście do teatru i nie chciałem się spóźnić z powodu tego niezaplanowanego przystanku.

– Oświecisz mnie, czemu zawdzięczam zaproszenie do tej kryjówki?

Matylda wskazała na krzesło obok, więc usiadłem.

– Co wiesz na temat Patricka O’Cuiva? – spytała.

Potrwało chwilę, zanim dotarły do mnie jej słowa.

– Prawie wyrznął całą swoją rodzinę, po czym próbował odebrać sobie życie. Zamordował też zarządcę gospodarstwa, w którym pracował, tej samej nocy, a może wcześniej w ciągu dnia. Pamiętam w sumie niewiele więcej. Myślę, że mama i tata ukrywali przed nami takie historie. Pewnie uważali, że jesteśmy za młodzi na tego typu opowieści.

Matylda wskazała palcem na gazety leżące po jej lewej, wszystkie wydania „Saunders’ News-Letter”.

– Wyłuskałam dziś wszystkie możliwe wzmianki na temat tej sprawy.

– Co cię do tego skłoniło?

Przejrzała stos i położyła przede mną trzy gazety, po czym przeczytała na głos nagłówki.

– Te trzy widzieliśmy już wtedy: „Rodzina zamordowana przy Malahide Road”, „Zarządca zabity podczas kłótni w gospodarstwie przy Santry House” i „Masowy mord przy Malahide Road. Ojciec rodziny podejrzany o zbrodnię w Santry”. Ostatni pochodzi z dziesiątego października tysiąc osiemset pięćdziesiątego czwartego roku.

Matylda przysunęła kolejny stos i popukała w niego palcami.

– Te cztery pojawiły się później. Dalej, przeczytaj je, nie są zbyt długie.

– A w jakim celu?

– Po prostu czytaj, Bram.

Westchnąłem i położyłem przed sobą pierwszą z gazet. Podobnie jak w pozostałych, pierwsza strona była zdominowana przez sprawę O’Cuiva.

KRÓLEWSCY ŚLED CZY PODEJRZEWAJĄ ZWIĄZEK MIĘDZY LOKALNYMI ZGONAMI

Patrick O’Cuiv z Malahide Road usłyszy zarzut morderstwa Corneliusa Healy’ego, zarządcy gospodarstwa Santry. Ponadto uważany przedtem za ofiarę pan O’Cuiv zostanie oskarżony o morderstwo z premedytacją dokonane na żonie i dzieciach. Straszliwy przebieg wydarzeń w ich domu potwierdzi jedyna pozostała przy życiu córka, Maggie O’Cuiv. Władze ustaliły, że pomimo młodego wieku jest ona w pełni zdolna do złożenia zeznań pod przysięgą, które będą mogły posłużyć jako dowód w sprawie.

Skończywszy czytać pierwsze doniesienie, spojrzałem na Matyldę. Wyciągnęła kolejną gazetę i położyła przede mną, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć.

PROCES W SPRAWIE MORDERSTWA

Władze wydały oświadczenie w sprawie trzech niedawnych morderstw w Santry i przy Malahide Road.

Pan Patrick O’Cuiv zostanie oskarżony o nieumyślne spowodowanie śmierci zarządcy ziemskiego w Santry Corneliusa Healy’ego. Mecenas Simon Stephens, który będzie bronił pana O’Cuiva z urzędu, złożył wniosek o oddalenie sprawy, powołując się na prawo oskarżonego do obrony koniecznej. Pan Brian Callahan stwierdził natomiast, że trzy zabójstwa, żony i członków rodziny O’Cuiva, zostały przezeń popełnione w stanie upojenia alkoholowego i ze szczególnym okrucieństwem, co wiąże się z oskarżeniem o morderstwo z premedytacją. Mecenas Stephens utrzymuje, iż pan O’Cuiv wpadł w rozpacz wobec niemożności zapewnienia bytu swojej głodującej rodzinie. Nie będąc w stanie nabyć ziarna w swoim miejscu pracy, próbował ukraść pewną jego ilość. Otrzymał za to z rąk pana Healy’ego brutalną karę chłosty, która wywołała nieracjonalne zachowanie oskarżonego i doprowadziła do bójki z przełożonym. „Niestety – oznajmił Stephens – pan O’Cuiv uznał pozbawienie najbliższych życia za uzasadnione działanie w celu redukcji ich cierpienia”. Następnie obrońca poprosił sędziego Dermota McGillycuddy’ego o oddalenie zarzutów w związku z niepoczytalnością pana O’Cuiva w obliczu tak trudnego położenia jego rodziny.

– Mój Boże, coś potwornego – mruknąłem pod nosem.

Matylda podsunęła mi trzecią gazetę.

O’CUIV ODPOWIE ZA NAPAŚĆ, NIE MORDERSTWO

Koroner ustalił, że śmierć pana Corneliusa Healy’ego miała charakter przypadkowy i, jak wynika z zeznań świadków, nastąpiła wskutek poślizgnięcia się w czasie równej walki na pięści i uderzenia głową o kamień. Sędzia dopatrywał się okoliczności łagodzącej związanej z faktem, iż uniemożliwienie panu O’Cuivowi nabycia zboża dla jego głodującej rodziny, i to w sytuacji, gdy Irlandia eksportuje ziarno, nie usprawiedliwia wprawdzie zabójstwa, ale mogło

doprowadzić do ostateczności człowieka niezdolnego do utrzymania bliskich.
Pan O’Cuiv usłyszał wyrok pięciu lat ciężkich robót.

Matylda podała mi ostatnią gazetę. Nagłówek znów dotyczył Patricka O’Cuiva.

SAMOBÓJSTWO O’CUIVA

Kiedy prokurator wykladał swoje racje podczas pierwszego dnia procesu pana O’Cuiva, oskarżonego o zabójstwo żony i dwójki dzieci, pan O’Cuiv powiesił się w celi, kładąc tym samym kres rozważaniom na temat swojej poczytalności.

Odłożyłem gazetę i odwróciłem się do siostry.

– A więc tak jak podejrzewaliśmy, O’Cuiv zamordował przełożonego z powodu zboża, a potem wolał zabić swoich bliskich, niż patrzeć, jak umierają z głodu.

– Z tym że jego córce Maggie udało się uciec. Miała wtedy sześć i pół roku; dziś powinna mieć dwadzieścia jeden lat – wyjaśniła Matylda.

– Ciekawe, co się z nią stało.

Matylda zignorowała mój komentarz i rzuciła na stół przede mną kolejną teczkę.

– Znalazłam jego akt zgonu.

– Ale dlaczego w ogóle... – zacząłem nieco głośniejszym głosem, niż wypadało, i kilku moli książkowych zgromiło mnie wzrokiem przez kratę. Uśmiechnąłem się przeproszająco i zniżyłem głos. – Czemu w ogóle wygrzebałaś jego akt zgonu?

Matylda wyciągnęła arkusz papieru i przeczytała jego zawartość tak, żeby nie słyszał nikt prócz nas.

Patricka O’Cuiva znaleziono powieszono w celi 9 października o godzinie szóstej rano minut dwadzieścia sześć. Ukręciwszy linę z prześcieradła, O’Cuiv przełożył ją przez kraty jedyne okna celi, a następnie wielokrotnie owinął sobie wokół szyi. Jako że okno znajdowało się na wysokości zaledwie stu pięćdziesięciu dwóch centymetrów ponad podłogą, a O’Cuiv mierzył aż sto osiemdziesiąt centymetrów, najwyraźniej musiał oprzeć plecy o ścianę, wyciągnąć nogi do przodu i trzymać je uniesione tak, aby ciężar jego ciała zaciskał pętlę i w rezultacie pozbawił go życia. Jest to wyjątkowo niepokojący przypadek samobójstwa, albowiem O’Cuiv w każdej chwili mógł przerwać – wystarczyłoby, żeby opuścił stopy na podłogę. On jednak zrealizował swój zamiar z pełną determinacją i nie odstąpił od niego aż do śmierci. Badanie zwłok wykazało, że przyczyną zgonu było zadziergnięcie, nie zaś przemieszczenie kręgów szyjnych. W obrażenia na rękach O’Cuiva wdało się zakażenie, prawdopodobnie bardzo bolesne. Na prawym ramieniu ujawniono co najmniej sześć ran szarpanych, od nadgarstka po łokieć. Na lewym ramieniu znajdowały się cztery skaleczenia podobnej wielkości rozmieszczone wzdłuż przedramienia. Pomimo iż Bartley Rupee portaktował zwłoki chlorem, ich skóra zrobiła się fioletowa i żółkła wokół ran, i nawet po śmierci odczuwalny był fetor infekcji. Ponieważ O’Cuiv zginął z własnej ręki, nie uzyska zgody na pogrzeb na cmentarzu Świętego Jana Chrzyciela, lecz spocznie w grobie dla samobójców obok głównego cmentarza. Panie, zmiłuj się nad jego duszą.

Westchnąłem.

– Bardzo to zajmujące, Matylde, ale wciąż nie rozumiem, czemu mi to pokazujesz. To wszystko działo się dawno temu.

Matyllda wyciągnęła ze stosu obok kolejną gazetę, tym razem świeże wydanie „Dublin Morning News” z 9 sierpnia 1868.

– To z wczoraj. Patrz. – Popukała w nagłówek.

**WŁÓCZĘGA WYPADA Z PAROWCA I TONIE W RZECE
LIFFEY**

Mężczyzna o nieznanym tożsamości, w wieku od trzydziestu do czterdziestu lat, potknął się, idąc po pokładzie parowca „Roscommon” w czasie wczorajszego pożegnalnego rejsu statku. Pasażer usiłował odzyskać równowagę, przeleciał jednak przez barierkę i runął do lodowatej wody. Pewien dżentelmen obecny na pokładzie wskoczył za nim do rzeki i doholował do brzegu jego ciało, które było już wtedy bez życia. Inni pasażerowie „Roscommona” powiedzieli naszemu reporterowi, że ów mężczyzna wybrał pieniądze na bilet u co najmniej trzech osób, a tuż po wypłynięciu statku zdawał się niezwykle pobudzony. „Kiedy opuściliśmy dok, zaczął w panice biegać w tę i z powrotem po pokładzie, przekonany, że statek zatoni – zdradza jeden z pasażerów. – Ileś razy podchodził do barierki i patrzył przez nią na wodę, a na jego twarzy malował się strach”.

„Roscommon”, który był w drodze do Holyhead, został zatrzymany w porcie przez straż wodną do zakończenia śledztwa. Za pozwoleniem funkcjonariuszy publikujemy wizerunek nieznanego mężczyzny. Każdy, kto posiada informacje na temat jego tożsamości, proszony jest o kontakt z koronerem w Szpitalu Steevensa.

Matylda rozłożyła gazetę, żebym mógł zobaczyć zdjęcie.

Widniał na nim Patrick O’Cuiv.

Wbiłem wzrok w fotografię.

– To nie może być on.

– Ale jest – odparła Matylda. – Popatrz na jego ręce.

Mężczyzna nie miał na sobie koszuli i jego ramiona były znakomicie widoczne, na nich zaś długie blizny biegnące od nadgarstka do przedramienia.

– Sześć skaleczeń na prawej, cztery na lewej. Dokładnie tyle co w akcie zgonu O’Cuiva.

– To zbieg okoliczności, nie ma innego wyjaśnienia.

– Najlepsze i zarazem najprostsze wyjaśnienie brzmi: to jest Patrick O’Cuiv.

– Może syn albo bliski krewny.

– Z O’Cuivów przeżyła tylko córka, Maggie. Patrick zabił swojego jedyne­go syna.

– To może kuzyn? – Podniosłem gazetę do lampy. Obraz był mocno ziarnisty, ale rozpoznałem twarz na nim. Choćbym chciał zaprzeczać, mężczyzna, który patrzył na mnie pustymi, martwymi oczyma, to był Patrick O’Cuiv. Sięgnąłem po teczkę z aktem zgonu i ponownie przeczytałem dokumenty. Nagle coś przyszło mi do głowy.

– A może sfingował własną śmierć?

– Powieszenie?

– Tak. Może ktoś mu pomógł: ktoś albo grupa ktosiów, żywiących do niego sympatię.

– Kto by żywił sympatię do człowieka, który zabił własną żonę i dzieci?

– Może ktoś, kogo ucieszyła śmierć Corneliusa Healy’ego?

– Tego zarządcy?

Pokiwałem głową.

– Może O’Cuiv miał kolegów w posiadłości Santry albo innych, którzy nienawidzili Healy’ego i byli wdzięczni za jego usunięcie. Skoro nie dał ziarna O’Cuivowi, to pewnie innym również. Możliwe, że upozorowali śmierć Patricka i jakimś sposobem wydostali go z więzienia.

Matylda kręciła głową.

– Są doniesienia z jego pogrzebu.

– Ci sami ludzie mogli sfabrykować i to. Wystarczy parę szylingów i grabarz pochowa pustą trumnę.

– To spisek na szeroką skalę. Zbyt szeroką. Ale założmy chwilowo, że masz rację i wszyscy ci ludzie pomogli mu udać śmierć, sfalszować dokumenty w biurze konstabla, przekupić grabarza, żeby sfingował pogrzeb. Zakładając nawet, że po tym wszystkim Patrick zaczął nowe życie w Dublinie i czternaście lat później zginął w dziwnym wypadku, to jak wytłumaczysz jego wygląd? – Sięgnęła w kierunku stosu i wzięła pierwszą lepszą gazetę, w której była mowa

o Patricku na początku procesu, położyła ją obok dziennika z wczoraj i pokazała na wizerunki mężczyzny.

– Od tego zdjęcia do tego nie postarzał się ani na jotę. Minęło czternaście lat, a te fotografie są jak zrobione dzień po dniu.

Matylda znów miała rację. Mężczyzna z wczorajszej gazety wyglądał wręcz nieco młodziej niż ten na starszym zdjęciu. Nie chciałem usłyszeć odpowiedzi, ale i tak spytałem – nie miałem wyboru.

– Jak wytłumaczysz to podobieństwo?

– Przecież wiesz.

– Najpierw twierdzisz, że widziałaś naszą dawną nianię, która ani trochę nie zestarzała się przez tych czternaście lat. Teraz przyszła kolej tego mężczyzny. Kto będzie następny? Stara pani Dunhy z mlecznego? Ten pijak Leahy, który godzinami wędrował przez pola i śpiewał do krów? Ludzie się starzeją. Nie wstają z grobu tylko po to, żeby znowu umrzeć.

– A jednak – powiedziała, wskazując na gazety, którymi był zavalony stół.
– I jestem pewna, że wtedy w Paryżu wpadłam na ciocię Ellen.

Wzięłam ją za rękę i powiedziałem ściszone głosem:

– Matyldo, jesteś inteligentną, piękną, utalentowaną kobietą. Nie powinnaś tracić czasu i uwagi na takie rzeczy. To są dziecięce wymysły. Historyjki rodem z bajek.

Ścisnęła moją dłoń.

– Kiedy byliśmy dziećmi i opowiadałeś mi, co widziałeś, nie uwierzyłam ci. Nawet zobaczywszy, jak ciocia Ellen zanurza się w bagnie i z niego nie wychodzi, nadal ci nie wierzyłam. Kiedy odkryliśmy w jej łóżku tę wstrętną ziemię, która dzień później znikła, wmawiałam sobie, że to tylko wyobraźnia. Kiedy wdrapaliśmy się po schodach na wieżę zamkową i znaleźliśmy skrzynię z... sam wiesz... a ty powiedziałeś mi, że ciocia Ellen była wcześniej w tym pomieszczeniu, latami przekonywałam samą siebie, że tak naprawdę nic z tych rzeczy się nie wydarzyło. Ale już nie mogę kłamać, nie mogę okłamywać samej siebie. Nie mogłabym spocząć w grobie, nie wiedząc, co ci zrobiła i co się z nią

stało. Nurtuje mnie potrzeba odpowiedzi na wszystkie te pytania i obawiam się, że nie pójdę dalej w życiu, dopóki ich nie poznam. Jestem pewna, że czujesz to samo.

Potrząsnąłem głową.

– Już jako dziecko pozbyłem się wszelkich wątpliwości.

Matylda pochyliła głowę.

– Wiedziałaś...?

– Wiedziałem.

– To dlaczego nie powiedziałeś mi, co się stało z pierścieniem? Zdradź mi tylko to, a będę z zadowoleniem udawać, że się dziś nie spotkaliśmy. Pamiętasz pierścień, braciszku? Ten, który znaleźliśmy w zaciśniętej trupiej dłoni?

Zaparło mi dech w piersi.

– Tego mężczyznę, O’Cuiva, i ciocię Ellen coś łączy. Tego jestem pewna, ale jeśli powiesz mi, że nie wiesz, gdzie jest pierścień, dam sobie spokój. Będę udawała, że nie widziałam, jak bierzesz go tamtej nocy. Możesz wrócić do swojego życia, a ja wrócę do swojego, tak samo mądrzy jak przedtem – stwierdziła Matylda. – No, dawaj, Bramie. Zakończ to.

Westchnąłem głęboko i sięgnąłem po srebrny łańcuszek, który miałem na szyi. Wyciągnąłem go spod koszuli. Na nim wisiał pierścień. Nie opuścił mojej szyi od prawie czternastu lat.

Matylda trąciła go palcem.

– Czasem nasze najgłębsze obawy to te, które trzymamy tuż przy sercu. Nigdy nie przestałeś wierzyć, tylko przestałeś przyznawać, że wierzysz.

Włożyłem pierścień z powrotem pod koszulę i zamilkłem na dłuższą chwilę. Wreszcie pokazałem na gazety zaścielające stół.

– Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć, ale muszę przyznać, że jestem zaintrygowany. Jeśli rzeczywiście to jest Patrick O’Cuiv, jeśli jakimś cudem widziałaś Ellen, jeśli jest cień szansy, że odnajdziemy ją i zapytamy, jak mnie wyleczyła, co mi zrobiła... Ja muszę... Ja muszę to zrozumieć.

Matylda uśmiechnęła się i zaczęła układać papiery w porządku.

– Oto dociekliwy brat, którego znam i którego kocham.

Wzięła do ręki szkicownik i otworzyła na stronie blisko środka.

– Pamiętasz to?

Przysunąłem rysunki do siebie przy akompaniamencie łomotu serca.

– Mapy...

– Tak, mapy. – Przerzucała strony, jedną po drugiej. – Wszystkich siedem.

– Zapomniałem o nich.

Matylda nachyliła się do mnie.

– Czyżby? Coś każe mi w to wątpić...

– Ich szczegółowość jest zadziwiająca, i to, jak potrafiłaś rysować, będąc dzieckiem... Taki dar zawsze będzie mnie zdumiewał.

Cofnęła się do początku i postukała w mapę Austrii.

– A wiesz, co mnie zdumiewa? Te znaczki. Pojawiają się na każdej z tych map. I doskonale wiem, co oznaczają.

– Co?

– Cmentarze. Każdy z nich. I to nie byle jakie cmentarze, tylko wiekowe cmentarze. Jeden starszy od drugiego. – Spojrzała znów na mapę. – To jest Zentralfriedhof Simmering w Wiedniu. Na początku byłam zdezorientowana, bo większość publikacji podaje, że założono go dopiero kilka lat temu, w tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim, ale to nieprawda. W tamtym roku oficjalnie stał się cmentarzem, ale zmarłych chowano tam już dwieście lat wcześniej. –

Przewróciła stronę. U dołu widniał podpis „Highgate, Londyn”. – A tu mamy Highgate. Jego również oficjalnie inaugurowano niedawno. W tysiąc osiemset trzydziestym dziewiątym Kościół Anglii poświęcił blisko siedem hektarów ziemi na pochówki. Jeden hektar zarezerwowano dla niewierzących. I ta część jest najbardziej interesująca, ponieważ – tak jak w przypadku Wiednia – najstarsze wzmianki o tym miejscu sięgają siedemnastego wieku. Grzebano tam wówczas ludzi, ale w niepoświęconej ziemi.

Patrzyłem, jak Matylda kolejny raz przewraca stronę i mówi z rosnącą ekscytacją.

– Cimitero Accatolico w Rzymie, oficjalnie założony w tysiąc siedemset szesnastym, ale położony przy piramidzie Cestiusza, grobowcu datowanym na okolice osiemnastego–dwunastego roku przed Chrystusem. Przez tysiąc lat regularnie palono tam zwłoki, dopóki ziemia nie została poświęcona – powiedziała.

Nasze oczy się spotkały, a jej głos przybrał konspiracyjny ton.

– Muszę przyznać, bracie, że pojechałam do Paryża nie tylko po to, by podziwiać sztukę. Przeszłam się również na Cimetière du Père-Lachaise. Analogicznie jak pozostałe, został oficjalnie otwarty i poświęcony w tysiąc osiemset czwartym roku, ale przedtem była tam kapliczka, przy której chowano ludzi już w tysiąc sześćset osiemdziesiątym drugim. Pierwotnych trzynastu grobów nigdy nie poświęcono. Kościół nie wydał na to zgody, bo wiedział, kto w nich spoczywa.

– Cmentarz Świętego Jana Chrzciciela w Clontarf – dodałam cicho. – Groby samobójców, o których rozmawialiśmy jako dzieci. Do dziś ta ziemia nie została poświęcona.

Matylda pokiwała głową.

– Na każdym z cmentarzy na tych mapach znajdują się takie groby. Miejsce pochówku nigdy niepobłogosławione przez Kościół.

– Ale czemu miałyby to ją interesować?

Matylda odchyliła się na krześle.

– Doskonale pamiętam znaczki na tych mapach. Każdy cmentarz był obwiedziony kółkiem i każdy był oznaczony iksem, oprócz tego w Whitby. Myślę, że odwiedziła wszystkie te miejsca.

– W jakim celu?

– Domyślam się, że albo w poszukiwaniu czegoś, albo żeby się czegoś pozbyć.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę.

– A jak to się ma do informacji, które znalazłaś na temat O’Cuiva?

Matylda westchnęła z rezygnacją.

– Tego nie wiem, ale podejrzewam, że jakoś się ma; czuję, że jest związek. Wszystko to jest jak puzzle, które do siebie pasują, ale wciąż nie wiadomo, jak będzie wyglądać kompletny obraz.

Siostra kartkowała szkicownik, przelatując przez portrety cioci Ellen z czasów naszego dzieciństwa, jeden całkiem niepodobny do drugiego. Ta sama kobieta, a jednak inna. Zatrzymała się przy nowym rysunku, przedstawiającym Patricka O’Cuiva z bliznami na ramionach wyraźnie podkreślonymi na czerwono.

– Ellen, O’Cuiv, te mapy – wyliczyła. – Wszystko to się jakoś łączy. – Zamknęła szkicownik, a jej wzrok napotkał mój. – Jest jeden człowiek, który może coś na ten temat wiedzieć.

Pokiwałem tylko głową i usłyszałem, jak mówię:

– Musimy porozmawiać z Thornleyem.

PAMIĘTNIK THORNLEYA STOKERA

(TRANSKRYPCJA STENOGRAMU)



10 SIERPNI 1868, 20.00

Emily zdołała wreszcie zasnąć, dzięki Bogu. Oraz dzięki sporej dawce laudanum w jej wieczornym kieliszku wina. Nie do końca świadomie wpatrywałem się w twarz swojej pięknej żony, tak spokojną i szczęśliwą. W świetle lampy jej skóra jaśniała niczym delikatna porcelana, a pierś unosiła się i opadała rytmicznie pod miękką bawełnianą pościelą. Nie mogłem oderwać oczu.

Któż odwróciłby od niej wzrok?

Ten stan był tak bardzo różny od tego, co działo się dosłownie dwie godziny wcześniej; wzdrygnąłem się na samą myśl o tym. Jej krzyki dobiegające z biblioteki, gdy ciskała tom za tomem w ogień buzujący w kominku, obwieszczając stanowczo:

– Na tych stronicach czuć tchnienie Diabła! Głos Szatana we własnej osobie!

Próbowałem wyjaśnić jej, że jest w błędzie, ponieważ publikacja, którą trzymała w ręce, była najzwyczajszym czasopismem medycznym, ale kiedy otworzyła je i czytała z oczami wielkimi jak spodki, wiedziałem, że nie uda mi się do niej dotrzeć.

– „Bartholomew przyłożył wargi do piersi Amelii i wdychał odór śmierci, a krew lała się z jej otwartych oczu i ust!” – Czytając te słowa, przebiegała

oczywiście jakąś pierwszą lepszą stronę i wiedziałem, że wszystko to wytwór jej własnego umysłu.

Był to kolejny periodyk dla lekarzy; złapałem stronę, na której Emily go otworzyła – nagłówek dotyczący obserwacji na temat zastosowania siarki w leczeniu chorób zakaźnych. Ona jednak nadal czytała wyobrażone słowa tak donośnie, że zatykałem uszy.

– „Najbardziej pożądał jej życia, samej esencji duszy, i trzymał ją, aż posiadł do końca, po czym rzucił ciało na ziemię u swoich stóp, a jego oczy szukały w mroku następnej”!

Jakby dla podkreślenia tego zdania zatrzasnęła okładkę czasopisma i rzuciła je w oczekujące płomienie.

Podbiegłem do niej i próbowałem ją okiełznać, ale się broniła. Och, ale się broniła! Miała większą siłę woli niż dziesięciu dorosłych mężczyzn! Mówię najszczerzą prawdę. Odtrąciła mnie gwałtownie, tak że upadłem na szeslong. Całe szczęście były na nim miękkie poduszki; wystarczyłoby pół metra w lewo, a zderzyłbym się z krawędzią stołu zastawionego porcelanowymi figurynkami. Jeszcze bym się skaleczył, a pielęgniarkę Emily, Florence Dugdale, dawno już odesłaliśmy na noc do domu.

Kiedy się podniosłem, Emily patrzyła na mnie z rozdziawionymi ustami. Chwilę później odwróciła się i jakby kompletnie o mnie zapomniała, sięgnęła na półkę po kolejny tom. Nawrzucała do kominka tyle książek, że zdusiła płomienie, a pokój zaczął wypełniać się gęstym szarym dymem i smrodem tłęcej się skóry. Wtem chwyciłem dzbanek z wodą stojący na stoliku i chlusnąłem jej w twarz. Zatchnęło ją, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz zimna. W okamgnieniu jej szkliste spojrzenie stało się przytomne i zaczęła rozglądać się dookoła zdezorientowana. Poznałem ten wzrok, podszedłem do niej i szybko objąłem ramieniem.

– Już, już, Emily. Wszystko w porządku. Jestem przy tobie. Wszystko będzie dobrze.

W moich uszach jej głos zabrzmiał jak u przerażonego dziecka; przez słaby oddech słowa były ledwo słyszalne.

– Znow te jego czerwone oczy, takie same jak zawsze.

– Czyje, kochanie? O kim mówisz?

– On po ciebie przyjdzie, wiesz o tym. Jeśli zrobisz mi krzywdę, on przyjdzie, a jego gniew spadnie na takich jak ty – powiedziała.

– Emily, nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Mówisz od rzeczy. – Przytuliłem ją mocniej i poczułem na piersi bicie jej serca. – Nigdy bym cię nie skrzywdził, moja kochana.

Wydała z siebie złośliwy chichot.

– On cię obserwuje. Również teraz ma na ciebie oko i nie jest zadowolony.

Wiedziałem, że kiedy wpada w ten stan, kolejny wybuch agresji jest kwestią czasu. Ta chwila przytomności jedynie opóźniała to, co miało nastąpić, posadziłem ją więc delikatnie na szeszlunku.

– Poczekaj, kochanie. Zaraz wrócę.

Pobiegłem do kuchni i szybko nalałem dwie porcje wina. Wyjąłem z kredensu fiolkę laudanum i dodałem do kieliszka Emily prawie dwukrotność jej standardowej dawki. Wymieszałem lek z napojem i wróciłem do biblioteki, gdzie zastałem żonę siedzącą na podłodze z poplątanym dołem sukienki jak u małej dziewczynki podczas zabawy. Spojrzała na mnie przekrwionymi, spuchniętymi oczyma pełnymi łez.

– Proszę, pomóż mi, Thornley. Nie chcę już więcej tego czuć.

Wróciła jej jasność myślenia, nie wiedziałem jednak, na jak długo. Podałem jej kieliszek i usiadłem przy niej.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, kochana Emily. Pokonamy tę chorobę i odeślemy ją tam, skąd przyszła. Masz na to moje słowo.

Usłyszawszy to, posłała mi słaby, wymuszony uśmiech.

Patrzyłem, jak pociąga łyk wina, a potem kolejny. Gniew i dezorientacja, które widać było na jej twarzy, zaczęły ustępować; jej ciało zrobiło się wiotkie.

Kiedy wreszcie przymknęła powieki, pogłaskałem ją po opadających czarnych włosach.

– Dopij wino, a ja odprowadzę cię na górę. Potrzebujesz odpoczynku. To była bardzo długa noc.

– Rzeczywiście była – zgodziła się, niewyraźnie szepcząc słowa.

Pomogłem jej podnieść kieliszek do ust i wypić wino, po czym wyjąłem go z jej słabej dłoni i odstawiłem na stolik.

– A teraz wstajemy i idziemy na górę, kochanie.

Kiwnęła głową i powiedziała coś, czego nie zrozumiałem. Dźwignąłem ją z podłogi. Mierzyła nieco ponad półtora metra i ważyła tyle co nic, nawet w stanie takiej bezwładności. Kiedy dotarliśmy do drzwi biblioteki, wziąłem ją na ręce i przytuliłem; jej głowa leżała mi na ramieniu. Zaniósłem Emily po schodach na górę do łóżka, w którym zaległa.

Oddychała ciężko, a jej pierś unosiła się i opadała rytmicznie. Wziąłem ze stolika nocnego niewielki metronom i puściłem w ruch wahadło, które kołysało się na boki z miarowym tykaniem. Ten dźwięk zawsze ją uspokajał.

Teraz przypomniał mi o szczęśliwszych czasach.

Już od prawie roku nie grała na fortepianie w salonie; rozstroił się, a jego klawisze pokrył kurz. Od miesięcy nie zapalaliśmy świecznika stojącego na okazałym instrumencie. Pokój wydawał się opuszczony, czuć w nim było stęchlizną i rzadko do niego zaglądałem.

* * *

OCH, JAK BARDZO TĘSKNIĘ za dawną Emily!

Gdzie jest kobieta, w której tak głęboko i bez reszty się zakochałem? I kim jest ta istota, która dzień po dniu wsącza się w jej ciało?

Przedwczoraj w nocy przyłapałem ją na staniu nade mną w ciemności z rękami wyciągniętymi do przodu i drżącymi palcami, wygiętymi pod bolesnym kątem. Patrzyła na mnie z góry z jedną dłonią nad moim czołem, a drugą nad brzuchem, a z ust dochodziły słowa, których nie rozpoznawałem. Nie mam

wątpliwości, że były to prawdziwe wyrazy, ale połączone ze sobą w niespójne zdania. Widziałem tylko wywrócone białka jej oczu, a źrenice skrywały się w środku.

Kiedy zauważyła, że się obudziłem, cała scena nagle dobiegła końca. Emily po prostu opuściła ręce, poszła na swoją stronę łóżka i wśliznęła się w pościel plecami do mnie. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że wymyśliłem sobie to wszystko, jakbym lunatykował, było to jednak zbyt rzeczywiste jak na czczy wytwór wyobraźni. Groza, jaką poczułem, kiedy się obudziłem i zobaczyłem ją nad sobą, nie przemijała, jak to zwykle bywa z lękiem wzbudzonym przez koszmary; przeciwnie – rosła, a ja zrozumiałem, że boję się własnej żony. Boję się swojej drogiej, słodkiej, kochanej Emily. Przez resztę nocy i każdą kolejną od tamtej pory spałem ze skalpelem pod poduszką, drżąc na myśl o chwili, w której byłbym zmuszony go użyć.

Wyjąłem z kieszeni kartkę papieru, poprzecieraną i popękaną na zgięciach, pokrytą ślicznym pismem Emily, ledwie czytelnym od składania i rozkładania oraz łez tamtego wieczoru:

Kochany, pierwsza i jedyna prawdziwa miłość mego życia, moje serce będzie z tobą dzisiaj i zawsze. Moja dłoń w twojej dłoni, kiedy zaczynasz tę przygodę.

– Em

Wsunęła mi ten liścik do buta w dzień, w którym zacząłem wykładać w Queen's College w Galway. Nie było dnia, żebym nie czytał tej wiadomości od kobiety, która powoli mi się wymykała.

* * *

Z ROZMYŚLAŃ WYRWAŁO mnie głośne stukanie do drzwi wejściowych. Zakląłem pod adresem tego, kto przyszedł z wizytą o tak późnej porze.

Szybko schowałem liścik, szczelnie okryłem żonę kołdrą leżącą w nogach łóżka, zamknąłem drzwi sypialni i zbiegłem na dół.

Kiedy otworzyłem, zastałem na ganku mojego brata wraz z siostrą, oboje byli przemoczeni do suchej nitki przejmującym deszczem, który najwyraźniej rozpadał się, kiedy byłem na górze.

– Wiecie, która jest godzina? – spytałem. – A ty nie powinnaś być w Paryżu? Kiedy wróciłaś?

Matylda zignorowała moje pytania, przecisnęła się koło mnie i stanęła w hallu, a na marmurowej posadzce wokół niej utworzyła się kałuża wody.

– Musimy porozmawiać – powiedziała tylko, otrząsnęła płaszcz i odwiesiła na wieszaku.

Bram stał na deszczu dopóty, dopóki ruchem głowy nie zaprosiłem go do środka; zanim wszedł, otrzepał mokre buty na progu.

Na zewnątrz hulał porywisty wiatr, od którego deszcz tańczył na boki, zanim spadł na ziemię. Zatrzasnąłem drzwi i zamknąłem je na klucz.

– Czemu tu jest tak nadymione? – spytał Bram, ruszając w kierunku biblioteki. – Zapchał ci się komin?

– Stój! – krzyknąłem o wiele głośniejszym głosem, niż zamierzałem.

Bram stanął, obrócił się i spojrzał na mnie.

Nie chciałem, żeby któreś z nich zobaczyło pozostałości książek w kominku ani w ogóle stan, w jakim znajdowała się biblioteka, w obawie przed tym, że musiałbym się tłumaczyć.

Matylda błyskawicznie mnie przejrzała i pomaszerowała do biblioteki, a w ślad za nią Bram. Uklękła przed kominkiem i zajrzała do wnętrza.

– Widzę, że zaraziłeś się ode mnie pogardą dla studiowania, braciszku. Palić podręczniki... Nie pomyślałabym, że tak spędzasz wolny czas. Chyba zacznę częściej wpadać niezapowiedziana. Zrobiłeś się znacznie bardziej interesujący.

– Między mną a Emily doszło do kłótni... No, do różnicy zdań. Stwierdziła, że dla wzmocnienia swojej argumentacji zniszczy część moich książek.

Bram zachichotał.

– Nie może jak normalna kobieta potłuc talerza albo dwóch?

Sięgnąłem do paleniska, na którym dymiły polana, i wyciągnąłem trzy spośród czterech tomów. Czwartego nie dało się uratować, ale dla pozostałych wciąż była nadzieja.

– Teraz w końcu zasnęła, więc, proszę, mówcie cicho, żeby jej nie obudzić. Potrzebuje odpoczynku.

Nikomu nie zwierzałem się ze swoich kłopotów i zabroniłem służbie rozmawiać na takie tematy poza murami domu. Nie chciałem obarczać naszymi problemami nikogo, a zwłaszcza rodziny. Planowałem znaleźć remedium na to, co jej dolegało, i chciałem zrobić to bez zwracania na siebie uwagi. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałem, były plotki na mieście dotyczące przypadłości Emily.

Przepędziłem te myśli z głowy, przywołałem na twarz sztuczny uśmiech i zwróciłem się do rodzeństwa:

– Co was do mnie sprowadza w ten wspaniały wieczór?

– Matyllda sądzi, że widziała w Paryżu ciocię Ellen – wypalił Bram. –

A Patrick O’Cuiv nagle powstał z martwych tylko po to, żeby znowu umrzeć. A czego się spodziewałeś?

DZIENNIK BRAMA STOKERA



10 SIERPNI 1868, 20.15

Twarz mojego brata była pociągła i zmęczona i natychmiast pożałowałem, że zjawiliśmy się u niego w domu tak bez zapowiedzi. Jeszcze bardziej żałowałem swojego wybuchu w związku z ciotką Ellen i O’Cuivem, bo na dźwięk moich słów Thornley pobladł i wyglądał, jakby miał zemdleć. Podeszedłem do niego szybko i zarzuciłem sobie jego rękę na ramię.

– Pomóż mi go przetransportować na sofę – poleciłem Matyldzie.

Ona również zauważyła jego reakcję i spojrzała na mnie z ukosa, po czym wsparła brata z drugiej strony i wspólnymi siłami przeciągnęliśmy go na drugi koniec pokoju.

Thornley klapnął na poduszki jak pijak na chodnik i patrzył na naszą dwójkę z lekko rozchyłonymi ustami i przez blisko minutę nic nie mówił. Kiedy się wreszcie odezwał, wbrew temu, co podejrzewałem, nie próbował zaprzeczać, tylko spytał:

– Kiedy?

Zmarszczyłem brwi.

– Co kiedy?

– Jedno i drugie – odparł cicho. Z wiekiem jego głos brzmiał coraz bardziej zgrzytliwie i przypominał wymowę taty. – Kiedy po raz ostatni widzieliście ciotkę Ellen? I kiedy O’Cuiv umarł ponownie?

Matylda usiadła przy nim na sofie.

– Widziałam Ellen w Paryżu w zeszłym tygodniu, po drugiej stronie ulicy. Sądzę, że ona też mnie widziała, ale kiedy spróbowałam podejść bliżej, straciłam ją z oczu w tłumie. Ale jestem pewna, że to była ona. Już tłumaczyłam to Bramowi. – To ostatnie zdanie wypowiedziała z nutką obawy; jakaś jej część była już gotowa do dyskusji na ten temat, więc poczuła się zbita z tropu, kiedy Thornley nie naciskał.

– A O’Cuiv?

Matylda zerknęła na mnie; mogłem jedynie wzruszyć ramionami. Sięgnęła do torby i wyciągnęła wczorajszą gazetę. Przez chwilę myślałem, że ukradła z Biblioteki Marsha egzemplarze „Saunders’s News-Letter”, ale z ulgą zobaczyłem, że w torbie nie ma nic więcej. Położyła gazetę na stole przed Thornleyem i wskazała na artykuł.

Thornley wyjął z kieszeni okulary, włożył je na nos i pochylił się nad gazetą. Studiował tekst przez dłuższą chwilę, prawdopodobnie wystarczająco długo, aby przeczytać go dwukrotnie. Odchylił się, zdjął okulary, oczyścił, pocierając o koszulę, i schował z powrotem.

– Bram, czy mógłbyś podać mi ten kieliszek z winem?

Obok pustej karafki z kryształu stał kieliszek pełen czerwonego wina – podałem go bratu i patrzyłem, jak wypija go duszkiem.

Thornley odstawił naczynie na stół obok gazety, popatrzył na nas i westchnął ciężko.

– Śnił mi się ostatnio ten Patrick O’Cuiv. Pewnie potworne opowieści o tym, czego się dopuścił, zapadły mi w pamięć na lata. Może to przez niego nie zostałem ojcem. Przeraza mnie myśl, że można wymordować całą rodzinę, żonę i dzieci, tylko dlatego, że nie ma się za co ich wykarmić.

– To były tylko sny? Czy może go widziałeś?

Thornley bawił się pustym kieliszkiem.

– Nie, jego nie. W każdym razie nie od razu.

Serce mi załomotało.

– Nie od razu? Ale widziałeś...

Zapomniałem o spektaklu, na który się wybierałem, i patrzyłem, jak mój brat wstaje z sofy i podchodzi do kredensu. Wyjął butelkę whisky i podał mi. Pokręciłem głową. Wzruszył ramionami, nappełnił kieliszek do połowy, zakorkował butelkę, po czym kołysał naczyniem, obserwując, jak płyn osiada na ściankach, a potem spływa. Wrócił na sofę, pociągnął łyk i wydał z siebie kolejne westchnienie.

– Po raz pierwszy spotkałem ją kilka lat po tym, jak od nas odeszła – powiedział. – Kupiłem dla mamy dorsza przy molo i wracałem Castle Avenue. Był wczesny ranek; promienie słońca nie osuszyły jeszcze rosy i pamiętam, że przemokły mi czubki butów. Ale przyjemnie było mieć coś do załatwienia na mieście, z dala od domu i obowiązków. Mama dała mi na rybę dwa szylingi i powiedziała, że mogę zatrzymać resztę, więc starannie wybrałem dorsza ważącego akurat tyle, żeby jej wystarczył na obiad, a mnie zapewnił parę pensów w kieszeni. Przystanąłem przy cukierni Rodericka i kupiłem ćwierć torebki słonych karmelków o smaku wiśniowym, moich ulubionych. Do dziś czuję w ustach ich smak. Kiedy odliczałem sześć pensów, zauważyłem przez okno ciocię Ellen; stała po drugiej stronie witryny i przyglądała mi się tak samo jak ja jej. Stała całkiem nieruchomo, jakbym mógł widzieć przez nią na wylot. I prawie tak było, bo coś w mojej głowie nie dowierzało, że to ona. No bo jak to możliwe? Ale gdy dotarło do mnie, że po drugiej stronie jest naprawdę ona, rzuciłem drobne na ladę, zapomniałem o cukierkach i z rybą dyndającą pod pachą popędziłem do drzwi, żeby przywitać się z Ellen. Spodziewałem się, że będzie stała za nimi, czekając na mnie, z otwartymi ramionami i z uśmiechem na twarzy. Kiedy jednak znalazłem się na zewnątrz, jej już nie było. Rozumiecie: minęła tylko sekunda czy dwie, a ona zniknęła. Sprawdziłem na całej ulicy; miałem doskonały widok na obie strony, ale nie było po niej śladu. Nie zdążyłaby wejść do innego sklepu – szczerze mówiąc, nigdzie nie zdążyłaby pójść – a jednak dokądś się udała. Wmawiałem sobie, że to tylko wyobraźnia, złudzenie, światło odbite w witrynie, nic więcej. W drodze do domu raz po raz powtarzałem sobie to wyjaśnienie. W końcu zorientowałem się, że zostawiłem

na ladzie pieniądze i karmelki, ale nic mnie to nie obchodziło. Widok Ellen coś we mnie obudził.

– Czemu nie mówiłeś o tym wcześniej? – spytała Matylda.

– Niby komu? Mama i tata by nie uwierzyli, a z wami rzadko wtedy rozmawiałem. Nie miałem komu się zwierzyć. Zresztą nim stanąłem na progu naszego domu, przekonałem samego siebie, że wszystko to sobie uroiłem – odparł Thornley.

Zmieniłem zdanie odnośnie do whisky i nalałem jej sobie do szklanki na wysokość dwóch palców. Podsunąłem butelkę Matyldzie, ale ona stanowczo pokręciła głową, zabrałem więc butelkę i postawiłem na stoliczku przy sofie.

– Mówiłeś, że wtedy widziałeś ją po raz pierwszy. Były następne?

Thornley sięgnął po butelkę i napełnił swój kieliszek.

– Za drugim razem, gdy widziałem ciocię Ellen, miałem dziewiętnaście lat. Pamiętam to tak wyraźnie, jakby to było tydzień temu. Siedziałem w bibliotece Trinity College przy jednym z biurków z tyłu, obok okien wychodzących na Fellows' Garden. Nie spałem już prawie drugą dobę, bo uczyłem się do poniedziałkowego egzaminu z anatomii w Queen's College. Przez większość dnia padał ulewny deszcz i pomyślałem sobie, że jeśli pogoda się nie zmieni, to plac zniknie pod wodą. Przy drugim śniadaniu usłyszałem rozmowę dwóch wykładowców o deszczu – o tym, że to jedna z najbardziej mokrych jesieni i należy spodziewać się, że ta fatalna aura przerodzi się w równie surową zimę. Jak dla mnie deszcz nie mógł wybrać sobie lepszego czasu, gdyż kiepska pogoda trzymała mnie z dala od rugby i dzięki niej zajmowałem się tym, czym powinienem, czyli nauką. Po tylu godzinach spędzonych na ślęczeniu nad podręcznikami zaczynał mnie morzyć sen – musiałem wstać i przejść się, żeby nie ulec znużeniu. Podeszedłem do jednego z wielkich okien i stałem tam dłuższy czas, wpatrując się w ciężkie krople bębniące o głębokie kałuże. Ziemia zdawała się aż od tego podskakiwać. Na zewnątrz nie było żywego ducha, psa by na dwór nie wypędził; studenci i profesory pochowali się za zamkniętymi drzwiami sal wykładowych. Z zamyślenia wybił mnie widok idącej przez plac dziewczyny.

Nie przebiegała w ulewie od drzwi do drzwi, jak można by się spodziewać; zamiast tego stanęła naprzeciwko mnie w całkowitym bezruchu, z rękami luźno opuszczonymi wzdłuż tułowia. Byłem gotów pomyśleć, że obserwuje mnie, jak wyglądam przez okno. W jej sylwetce było coś dziwnie znajomego. I chociaż stała zbyt daleko, żebym mógł wyraźnie zobaczyć jej twarz, miałem wrażenie, że ją znam. Oboje przez długi czas staliśmy nieruchomo, ja przyglądałem się burzy dookoła niej, a ona mnie; patrzyliśmy na siebie z daleka i ani drgnęliśmy. Nie wiem, skąd wiedziałem, że to ciocia Ellen, ale kiedy raz zaświtała mi taka myśl, nie mogłem się jej pozbyć. Miałem pewność, taką samą jak to, że teraz rozmawiam z wami. Kiedy to do mnie dotarło, podszedłem bliżej okna i przyłożyłem dłonie do szyby. Poczułem na skórze dojmujący chłód ulewnego deszczu, a szkło wydawało się niezwykle cienkie. Ona tam była: w jednej chwili znajdowała się po drugiej stronie placu, a za moment stała kilka centymetrów ode mnie, oddzielona tylko szybą.

– I to była Ellen? – spytała Matylda.

Thornley pokiwał głową.

– Nie mogło być co do tego wątpliwości. Stała tak blisko jak ty teraz, a może i bliżej. Jej oczy były ciemnoniebieskie, a skóra bez skazy. Myślę, że właśnie to jako pierwsze rzuciło mi się w oczy, kiedy patrzyłem na krople deszczu spływające po jej doskonałych policzkach. Zobaczyłem w oknie swoje własne odbicie i nagle wydałem się sobie stary, a przynajmniej starszy od Ellen. Złapałem się na tych obliczeniach, ponieważ gdy po raz ostatni widziałem ciocię Ellen, byłem zaledwie chłopcem, a teraz dobiegałem wieku męskiego i dostrzegałem już na twarzy odbicie przeżytych lat. Ale nie na jej twarzy – Ellen wydawała się tak młoda jak wówczas, kiedy odeszła, jak gdyby nie upłynął ani jeden dzień.

Podniosła dłoń i przyłożyła do okna naprzeciwko mojej. I słowo daję: szyba zrobiła się zimniejsza. Z jej wielkich niebieskich oczu bił tak głęboki smutek, że nie mogłem odwrócić od nich wzroku i prawie się rozplakałem. Po czym znikła. Tak po prostu. Może zamrugałem powiekami, może nie, tak czy inaczej,

rozpłynęła się w powietrzu. Miałem pełen widok na plac; tak samo jak w cukierni ileś lat wcześniej nie miała dokąd pójść, a jednak zniknęła i nie pozostał po niej ślad.

Thornley zamilkł i wpatrywał się w pustą szklanekę. Sięgnąłem po butelkę i nalałem mu whisky.

– Wtedy widziałeś ją po raz ostatni?

Thornley pokręcił głową.

– Ostatni raz zdarzył się trzy dni temu, ale ten był bardziej podobny do pierwszego. W piątkowy wieczór poszliśmy z Emily do teatru na *Kastę* Robertsona i wydawało mi się, że widzę, jak Ellen wychodzi z amfiteatru. Mignęła mi tylko, bo siedzieliśmy na balkonie, ale jestem pewien, że to była ona. Miała na sobie wspaniałą, powłóczystą czerwoną suknię i najwyraźniej towarzyszył jej pewien dżentelmen. Zastanawiałem się, czy nie podejść do niej, ale nie wiedziałem, jak miałbym to wyjaśnić Emily, i wkrótce pojąłem, że byłoby to bez sensu. Gdybym się zbliżył, Ellen na pewno by zniknęła, jak już nieraz bywało. – Thornley pociągnął duży łyk i kontynuował: – Mężczyzna, z którym była, to mógł być O’Cuiv. Pamiętam, że tak właśnie pomyślałem na jego widok, ale sądząc, że nie żyje, oddaliłem tę myśl jako niedorzeczną. Teraz jednak...

– Jak dużą masz pewność? – zapytałem.

– Pewności nie mam; światło było przyćmione i siedzieliśmy daleko od siebie, ale tamten człowiek miał podobną sylwetkę i taką samą fryzurę. – Urwał na chwilę, po czym kontynuował: – Było też z nimi dziecko.

– Dziecko?

Thornley pokiwał głową.

– Miała na sobie piękną sukieneczkę; wyglądała jak lalka. Przypomniała mi się córka O’Cuiva, ta, która przeżyła.

– Maggie?

– Ach, tak, Maggie. Otóż to. – Napił się ponownie. – Oczywiście to nie mogła być ona; musiałyby mieć dwadzieścia parę lat. A o ile kojarzę, w chwili

morderstwa miała około sześciu, siedmiu lat.

Wszystkie te informacje wprawiły mnie w zakłopotanie.

– Czy Ellen znała O’Cuivów? Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek wspominała o nich, gdy byliśmy dziećmi. Nawet wtedy, kiedy O’Cuivowie jedli u nas kolację, wydawało się, że dopiero co ją poznali.

– Byliśmy mali – wtrąciła Matylda. – Skąd byśmy wiedzieli, że znali się już przedtem?

– Mama by wiedziała – zauważył Thornley.

– Lepiej nie mieszajmy w to mamy – stwierdziłem. – Ani taty.

Thornley dopił whisky.

– W co mielibyśmy ich nie mieszać? Kompletnie nic z tego nie rozumiem.

– Chodzi o to, że ciocia Ellen tak naprawdę nigdy nas nie opuściła. I przez wszystkie te lata była tuż-tuż – wyjaśniła Matylda. – Niezależnie od tego, kim lub czym jest.

Thornley zaśmiał się ponuro.

– A to co ma znaczyć? „Czymkolwiek jest”?

Matylda spojrzała na mnie i natychmiast zrozumiałem, nad czym się waha. Nigdy nie powiedzieliśmy Thornleyowi o tym, co odkryliśmy na wieży zamkowej w noc przed zniknięciem Ellen. Nie wspomnieliśmy też o tym, co znaleźliśmy u niej w sypialni, pod łóżkiem. Wyjawiliśmy to wyłącznie mamie i tacie, a oni zupełnie zlekceważyli nasze opowieści. Od czasu, gdy dzień potem nie znaleźliśmy niczego w ruinach zamku, nie wracaliśmy więcej do tego tajemniczego tematu.

Kiwnąłem głową do Matyldy.

– Powiedz mu.

Tak też uczyniła. Minęła niemal godzina, a ja i Thornley prawie wykończyliśmy butelkę. Kiedy siostra skończyła, wszyscy troje wbiliśmy wzrok w żar na kominku; kiedy Matylda mówiła, rozpałem w nim ponownie.

Thornley zwrócił się do mnie:

– A ty nigdy jej nie widziałeś? Zawsze byłeś jej ulubieńcem.

– Nie, ani razu.

Matylda najpierw spojrzała na mnie, a potem na naszego brata.

– Może i Bram był jej ulubieńcem, ale ciebie coś z nią łączyło, prawda?

– Co u licha masz na myśli? – zapytał Thornley, marszcząc brwi.

– Kiedyś widziałam, jak wchodzisz do jej pokoju z torbą. Coś w niej się ruszało.

Thornley podniósł szklanę i pociągnął solidny łyk. Szukał odpowiedzi w tym bursztynowym płynie, a żadnej nie znalazłszy, wreszcie znów przemówił:

– Ellen czasem prosiła, żebym przynosił jej do pokoju kurczaki. Nie pytałem po co. Nie chciałem wiedzieć. Chodziłem do kurnika, brałem je dla niej i nie wspominałem o tym słowem.

W mojej głowie rozbłysła myśl i zadałem pytanie, dopóki miałem na to siłę.

– Tamtego dnia, gdy pokazałeś mi kurnik i martwe ptaki... Czy to rzeczywiście lis je pozabijał? Czy zginęły z twojej ręki?

Thornley fuknął.

– Nie byłbym zdolny do czegoś takiego. Założyłem, że to lis. Znalazłem je w takim stanie, w jakim ci je pokazałem. – Spojrzenie miał szkliste od alkoholu, ale nadal mówił wyraźnie. – Chyba wiem, czemu do mnie przysła, czemu ciągle do mnie przychodzi – powiedział. Sięgnął głęboko do kieszeni i wyciągnął złożoną chusteczkę lub coś podobnego. Położył zawiniątko na stole i delikatnie rozpakował. W środku leżał pukiel blond włosów ładnie związanych rzemykiem.

– Czy to jej? – spytałem, wytrzeszczając oczy.

Thornley pokiwał głową.

– Dała mi je, kiedy byłem chłopcem w wieku góra sześciu lat, rok czy dwa po twoim urodzeniu, Bramie. Poprzedniego dnia zgubiłem się w lesie; tata postawił na nogi pół miasta, żeby mnie szukać. Znaleźli mnie obok jednego z bagien, w rękę trzymałem wędkę własnej roboty, zwykły kij ze sznurkiem na końcu, bez żadnej przynęty. Powiedziałem im, że łowię ryby na kolację. Mama była przerażona; przez ileś dni wybuchała płaczem na mój widok i groziła, że jeśli znowu się oddalę, to przywiąże mnie sobie do nogi. Kiedy Ellen opatulała mnie

tamtego wieczora przed snem, dała mi ten pukiel włosów i kazała zawsze nosić w kieszeni; dopóki będę miał go przy sobie, będzie mogła mnie znaleźć i ochronić. Wiem, że to głupie, ale odtąd zawsze mam go w kieszeni.

– To może wyjaśniać, dlaczego przyszła do ciebie, ale dlaczego do mnie? – dociekała Matylda. – Po co była w Paryżu?

– Mapy – odrzekłem. – Cimetière du Père-Lachaise.

– Cmentarz? – spytał Thornley. – Jakie mapy?

Kiwnąłem do Matyldy, a ona pokazała bratu mapy, które naszkicowała jako mała dziewczynka, i wyjaśniła, jak na nie trafiliśmy.

– Kluczem do zagadki może być O’Cuiv. – Thornley na głos analizował informacje, uderzając gazetą o pustą szklankę. – Przez wszystkie te lata nie odnaleźliśmy Ellen, ponieważ ona nie chce zostać odnaleziona, ale wiemy, gdzie szukać O’Cuiva.

– Gdzie? – spytałem.

– Jego ciało na pewno trafiło do Szpitala Steevensa, żeby podczas sekcji zwłok ustalono przyczynę zgonu.

– Szpital Swifta jest bliżej – zauważyła Matylda. – Pracujesz tam.

Thornley potrząsnął głową.

– Szpital Steevensa mieści się niedaleko Swifta, jest bardziej prawdopodobny. Współpracują ze sobą, w tym drugim jest kostnica.

Wszyscy troje podskoczyliśmy, kiedy trzasnęło płonące polano. Odstawiłem szklankę na stół; miałem dosyć jak na ten wieczór.

– Co mamy szansę odkryć, badając jego zwłoki?

Thornley pomachał palcem w powietrzu.

– Nie „my”, braciszku. Jeśli ktoś ma wysmażyć plan potajemnej wycieczki do kostnicy, to będę to ja sam.

Matylda była na granicy wybuchu.

– Musimy zrobić to wspólnie!

– Ma rację, Thornley, powinniśmy pójść tam razem.

– Pod jakim pozorem? Jako lekarz zatrudniony w szpitalu mam przynajmniej jakiś powód odwiedzać kostnicę. A w jakim charakterze wy byście tam wystąpili?

Matylda zmarszczyła brwi.

– Nie oszukuj się, bracie. Zajmujesz się wariatami, nie zwłokami. W prosektorium nie masz nic do roboty. Żadne z nas nie może się tam zjawić, nie budząc podejrzeń.

– A teraz znasz wewnętrzne reguły szpitala? – odciął się jej Thornley.

– Dosyć – przerwałem. – Idziemy we trójkę. Personel będzie nieliczny. Thornley załatwi nam wstęp, a gdyby ktoś nas wypytywał, powiemy, że Matyldzie wydaje się, że rozpoznała mężczyznę na zdjęciu w gazecie, i woleliśmy przyprowadzić ją do szpitala pod osłoną nocy, aby zidentyfikowała ciało, zamiast iść wprost na policję i ryzykować publiczny skandal. Wyjaśnimy, że nie chcemy mieszać siostry w sprawy policyjne, dopóki nie będzie całkowitej pewności, że go zna. Każdy z twoich współpracowników zrobiłby to samo dla swojej siostry, mając taką możliwość.

Thornley przetrwał tę argumentację i wreszcie skinął głową.

– A jeśli to nie zadziała, obarczymy whisky winą za naszą mylną ocenę sytuacji.

– Rzeczywiście, cuchniesz jak gorzelnia! – zaśmiała się Matylda.

W domu rozbrzmiał srebrzysty dźwięk dzwonka. Nie słyszałem go, odkąd byłem dzieckiem i przyzywałem nim pomoc z pokoju, którego nie mogłem opuszczać.

Thornley zeszywniał i spojrzał na górę schodów.

– Emily się budzi. Musicie iść. Spotkamy się za godzinę pod wejściem do szpitala od południa. Stoi tam ławeczka z widokiem na park. Siedząc na niej, nie ściągacie na siebie niczych podejrzeń.

Powiedziawszy to, brat wyprowadził nas pośpiesznie z domu i znaleźliśmy się z Matyldą na nocnym chłodzie.

10 SIERPNIA 1868, 23.30

Dzwon u Świętego Patryka zasygnalizował pojedynczym uderzeniem, że wybiła połowa godziny. Zawsze dziwiło mnie, że w nocy jego dźwięk zdawał się znacznie głośniejszy. Za dnia melodie z wieży dostarczały miejskiemu gwarowi tylko stłumionego akompaniamentu, po zmroku zaś ich kontur stawał się wyrazistszy.

Usłyszawszy dzwon, Matylda poruszyła się niespokojnie. Dziesięć minut wcześniej dotarliśmy do Szpitala Steevensa i znaleźliśmy przy południowym wejściu ławkę, o której wspominał Thornley. Przed nią rozciągał się niewielki staw, mający z pewnością za zadanie podnosić na duchu odwiedzających. Niechętnie kręciłem się w okolicy jakiegokolwiek szpitala. Sam widok takiego miejsca przywoływał wszystkie cierpienia, jakich zaznałem w dzieciństwie – nieomal czułem przez ściany zapach lekarstw i mikstur tak wyraźnie, jak gdybym siedział w pokoju tuż obok nich. Kiedy wiele lat temu Ellen wyleczyła moją chorobę, przysiągłem sobie, że nie dam się więcej żadnym dolegliwościom. Robiłem, co w mojej mocy, aby zachować dobre zdrowie. Miałem nadzieję, że wizyta w szpitalu – niezależnie od tego, co nas tam dzisiaj przywiodło – nie zachwieje moim postanowieniem.

– Mam wrażenie, że powinniśmy karmić gołębie – stwierdziła Matylda. – Wtedy mniej rzucalibyśmy się w oczy.

– O tej porze gołębie śpią. Nawet one mają więcej pomysłu niż my dwoje.

Po drugiej stronie poletka, z prawej strony doskonale widać było Szpital Swifta dla Obląkanych. Wysokie kamienne ściany wydawały się mroczne i złowrogie. W odróżnieniu od Szpitala Steevensa teren wokół tej placówki nie był zadbany ani ozdobiony barwnymi kwiatami; otaczały go wyschłe i zbrązowiałe trawniki, a jedyny kolor w okolicy zapewniał odporny bluszcz, pnący się po murach budynku. W większości okien było ciemno; naliczyłem tylko trzy, w których mrok rozpraszało jakieś światło, a mimo to szpital

bynajmniej nie spał: od czasu do czasu rozlegały się w nim krzyki. Część pochodziła od mężczyzn, część od kobiet, a niektóre jakby w ogóle nie były wydawane przez istotę ludzką.

Zastanawiałem się, jak mój brat mógł spędzić tyle lat w takim miejscu, w bliskości tych okropieństw. Jeśli w Szpitalu Steevensa zjawiał się pacjent cierpiący na suchoty lub inną, bardziej tradycyjną chorobę, na przykład atak serca, istniały zasady działania, procedury i terapie do wdrożenia. Z chorobami psychicznymi było inaczej. Thornley wolał je od schorzeń cielesnych, może dlatego, że działały mu na ambicję. Ale jak wytrzymywał z tymi wrzaskami...

Rozważania przerwał mi szept Matyldy:

– Ktoś tam stoi. – Złapała mnie za ramię. – Tam, pod jesionem.

Spojrzałem w to miejsce co ona i również dostrzegłem zarys postaci. W cieniu gałęzi stała kobieta w czarnej pelerynie; jej twarz skrywał kaptur. Nie było to zwyczajowe ubranie damy, która przemieszcza się po ulicach Dublina, niezależnie od tego, czy w słusznej czy podejrzanej sprawie. Stwierdziłem, że nie jest to chyba jedna z „królowych nocy”, ponieważ te zwykle trzymały się bardziej ludnych części miasta. Poza tym przyszpitalny teren był zupełnie pusty; nie zauważyliśmy tam nikogo innego.

– Ciocia Ellen? – spytała Matylda.

Chociaż peleryna zasłaniała większą część twarzy, miałem pewność, że to nie jest ciocia Ellen. Widziałem same usta, brodę i kawałek nosa – oczy ginęły w mroku pod kapturem. Skóra zdawała się karmić światłem księżyca, pochłaniać jego promienie i lekko opromieniać zamaskowaną postać.

– To nie Ellen – odpowiedziałem, wstając z ławki. – Jest o wiele za niska.

Matylda wstała za mną, a jej palce zacisnęły się na moim ramieniu. Odsunąłem jej rękę.

– Poczekaj tu.

Ale ona potrząsała głową.

– Nie wolno ci!

– To zajmie tylko chwilę.

Ruszyłem w kierunku jesionu i kobiety. Stała niewzruszona z rękami opuszczonymi po bokach. Zdziwiło mnie, że wciąż ledwo ją widzę pomimo malejącej odległości między nami. Przez lata, które upłynęły od uleczenia mnie przez Ellen, mój wzrok wyraźnie się poprawił. Widziałem każdy kawałek żwiru na chodniku, mogłem odczytać znaki żeglugowe na rzece Liffey, a jednak nie mogłem dostrzec rysów twarzy kobiety. A może była to dziewczyna? A wręcz dziecko? Im bliżej podchodziłem, tym wydawała mi się młodsza, niż myślałem. Kiedy wpatrywałem się w jakąś jej część, ta zdawała się osuwać w noc, a wręcz znikać z pola widzenia. Udawało się to jej, chociaż odkąd ją zauważyliśmy, ani drgnęła. A jednak pochłaniały ją cienie.

– Kim jesteś? – Zebrałem się na odwagę, by spytać. Chociaż stała co najmniej o jard ode mnie, byłem pewien, że mnie usłyszała. Kiedy rozchyliła wargi, światło księżyca odbiło się w jej zębach najjaśniejszą, niemal roziskrzoną bielą.

– Bram! – Zza moich pleców dobiegł szept.

Obróciłem się na pięcie i zobaczyłem Thornleya stojącego obok Matyldy. Kiedy znowu się odwróciłem, postaci już nie było. Gorączkowo szukałem jej wzrokiem na ulicy i na trawnikach, ale nigdzie nie było po niej ani śladu. Z rezygnacją pomachałem Thornleyowi i Matyldzie, po czym obszedłem drzewo dookoła, na wypadek gdyby postać schowała się z drugiej strony, ale nikogo nie znalazłem. Powietrze w miejscu, w którym stała, było zimne i gęste jak lodowata mgła unosząca się nad zatoką.

– Bram, musimy się pośpieszyć! – naciskał Thornley, starając się nie podnosić głosu, by nie zwrócić na nas niepotrzebnej uwagi.

Podbiegłem do nich.

– Kto to był? – spytała Matylda.

– Nie wiem. Straciłem ją z oczu.

– Kogo? – spytał Thornley.

Kiwnąłem w kierunku jesionu.

– Pod tym drzewem stała jakaś dziewczyna.

– O tej porze?

– Nie odezwała się ani słowem, tylko stała i przyglądała się nam.

– Może to pielęgniarka ze szpitala? Wielu członków personelu przechadza się przy szpitalu, żeby oczyścić myśli – wyjaśnił Thornley.

– To nie była pielęgniarka – zaproponowała Matylda.

– Tego nie możesz być pewna.

– To była Ellen – upierała się.

Pokręciłem głową.

– To nie była Ellen. Była zbyt młoda.

Thornley zerknął na budynek za nami.

– Musimy się pośpieszyć – powtórzył. – O dwunastej kończy się zmiana. Za mną.

Wąskim zwirowym chodnikiem Thornley poprowadził nas w stronę południowego wejścia do Szpitala Steevensa. Lampa gazowa nad niewielką niszą albo nie została zapalona na wieczór, albo ktoś ją zgasił; skłaniałem się ku temu drugiemu. Tę stronę budynku okalały niskie żywopłoty, które przesłaniały widok na Szpital Swifta dla Obłąkanych, ale nie zagłuszały krzyków stamtąd. W miarę jak zbliżaliśmy się do drzwi, wrzaski przybierały na sile, jak gdyby pacjenci placówki Swifta wyczuwali naszą obecność i nawoływali nas przez ciemny park. Może Thornley słyszał te krzyki; tak czy siak, nie zwrócił na nie uwagi. Podszedł do wejścia, oglądając się lękliwie za siebie. Przekręcił klamkę i stwierdziwszy, że jest zamknięte, wyciągnął z kieszeni duży pęk kluczy.

– Trzymamy w naszym biurze klucze do ich szpitala, a oni przechowują u siebie zestaw kluczy do naszego. Łączą nas przyjacielskie relacje, dzielimy się zaopatrzeniem i różnymi drobiazgami. Na początku pracy w Szpitalu Swifta odbywałem staże u Steevensa i znam rozkład większości pomieszczeń. Jeśli przyłapią mnie w kostnicy albo gdzieś w szpitalu, raczej nie będą wszczynać alarmu. Ale nie jestem pewien, jak zareagują na was.

– W razie czego będziemy trzymać się ustalonej wersji – skwitowała Matylda. Pokiwaliśmy z Thornleyem głowami.

Obserwowałem, jak próbuje różnych kluczy z pęku, aż wreszcie znalazł właściwy. Wsunął go do zamka.

* * *

10 SIERPNI 1868, 23.36

Południowe wejście prowadziło do wąskiego korytarza oświetlonego pojedynczą lampą na samym końcu. Sądząc po tumanach kurzu, które wzbijał każdy nasz krok, nie należał do uczęszczanych. Zamknęliśmy za sobą drzwi i poszliśmy za Thornleyem. Jego cień zdawał się rozciągać na cztery metry, a potem zmalął, w miarę jak zbliżaliśmy się do przeciwnej strony korytarza. Całe szczęście krzyki zostawiliśmy na zewnątrz, choć wciąż jeszcze rozbrzmiewały mi w głowie.

Na końcu korytarza skręciliśmy ostro w lewo i prawie wpadliśmy na tęgiego, niewysokiego mężczyznę, który pchał wózek zakryty brązowym brezentem. Nie odważyłem się zgadywać, co mogło być pod nim, a puste spojrzenie mężczyzny nie dostarczało żadnych informacji. Spodziewałem się, że zatrzyma nas i będzie wypytywać, co tu robimy, ale on tylko kiwnął Thornleyowi głową i minął Matyldę oraz mnie, jak gdyby w ogóle nas tam nie było. Zwolniliśmy kroku, dopóki mężczyzna nie zniknął za podwójnymi drzwiami, a następnie znów przyśpieszyliśmy; Thornley poprowadził nas w kierunku, z którego przyszedł tamten. Z początku nie zauważyłem lekkiego spadku podłogi, ale z każdym krokiem kąt nachylenia stawał się coraz bardziej widoczny. Schodziliśmy w dół. Oczywiście nie było nic dziwnego w tym, że kostnica mieści się w podziemiu; jako że schody byłyby trudne do pokonania dla wózków ze zwłokami, zastosowano odpowiednie nachylenie podłogi i ograniczono się do jednego zakrętu, ułatwiając tym samym dostęp na dolny poziom.

Kiedy dotarliśmy do wejścia, Thornley gestem polecił nam się zatrzymać.

– Poczekajcie tutaj. Sprawdzę, czy w środku nikogo nie ma. – Przecisnął się przez drzwi i zamknął je za sobą.

– Zimno tu – powiedziała Matylda.

Musiałem się z nią zgodzić. Naszej wędrowce korytarzem w dół towarzyszył tak duży spadek temperatury, że mój oddech zamieniał się w widoczny obłok pary.

– Uwiniemy się w mig – obiecałem, bo nic innego nie przychodziło mi do głowy. O tej porze oboje powinniśmy byli smacznie spać w swoich łóżkach, a nie błąkać się po piwnicy szpitala i przygotowywać się na identyfikację zwłok człowieka, który umarł nie raz, ale prawdopodobnie dwa razy, z odstępem czternastu lat między oboma zgonami.

Po kilku chwilach zjawił się Thornley i ruchem ręki zaprosił nas do środka. Przytrzymał nam drzwi, kiedy wchodziliśmy.

Jako pierwsze uderzyły mnie ogromne rozmiary pomieszczenia. Myślę, że było ono wielkości obrysu całego szpitala. Panowała tam drażniąca cisza, którą zakłócał tylko syk lampy gazowej. Sala była zastawiona rzędami stołów. Wypełniał ją mdlący zapach; w zaduchu unosiły się ciężkie opary octu, aż oczy zaczęły mi łzawić. Bardziej zastanowił mnie jednak zapach wyczuwalny pod spodem – słodka woń z wyraźną metaliczną nutą.

– Tędy – zarządził Thornley, ruszając ku tyłom pomieszczenia.

– Po co tu tyle łóżek? – spytała Matylda.

– Pierwotnie kostnica mieściła się na drugim piętrze. Administracja przeniosła zmarłych na dół lata temu, w czasie epidemii cholery. W którymś momencie cały budynek był zavalony trupami; leżeli nie tylko tutaj, ale też zapełniali korytarze, dziedziniec, a nawet dach. Dziś nie potrzebujemy ich aż tak wielu. – Poklepał jedno ze starych łóżek, które mijaliśmy, wzbijając znad niego obłok kurzu. – Trzymają je tu na wypadek kolejnej epidemii. Awaryjne łóżka są tu, a właściwa kostnica znajduje się z tyłu. Ktoś kiedyś powiedział, że „kiedy łoża śmierci w Szpitalu Steevensa się zapełnią, oznaczać to będzie nadejście apokalipsy”.

– Miejmy nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie – wymamrotałem. Zdążyłem naliczyć trzydzieści łóżek w jednym rzędzie, po czym dałem sobie spokój.

– Pod tym poziomem jest jeszcze jeden – kontynuował Thornley – gdzie działają kotłownia oraz inne szpitalne urządzenia. Biorąc pod uwagę, że konstrukcja pochodzi sprzed ponad stu lat, można ją uznać za cud ówczesnej techniki. Lepiej wyszkolonego personelu nie znajdziecie w całym Dublinie, a może i w Europie.

Poprowadził nas wzdłuż rzędów łóżek, a za ostatnim skręcił w prawo. Dotarliśmy do ruchomych ścian – każda sekcja miała co najmniej dwa i pół metra szerokości, a od podstawy na kółkach do samej góry mierzyła trzy metry i prawie ocierała się o filary podtrzymujące strop. Nie zauważyłem tam drzwi jako takich, ale między ruchomymi ścianami był otwór na jakieś półtora metra. Po lewej wisiała tabliczka z prostym napisem: „Kostnica – wstęp tylko dla personelu szpitala”.

Na stołku przy wejściu siedział starszy pan z książką w ręce. Jego twarz była naznaczona upływem czasu; wydawał się kruchy, zbyt kruchy, by stać na straży, a jednak tam był. Gdy się zbliżyliśmy, spojrzał na nas z rezerwą i odłożył lekturę na kolana.

– O tej porze nie ma zbyt wielu gości. Czym mogę służyć?

Thornley posłał mu uśmiech.

– Ach, panie Appleyard, nie wiedziałem, że teraz tu pan pracuje. Mam nadzieję, że pamięta mnie pan ze Szpitala Swifta? Moja siostra przypuszcza, że może znać niezidentyfikowanego mężczyznę z wczorajszej gazety. Chcielibyśmy zerknąć na zwłoki, unikając towarzystwa osób postronnych, na wypadek gdyby jednak się pomyliła. – Zniżył głos. – W takich sprawach trzeba zachować dyskrecję, rozumie pan. Czy mogę wprowadzić ją do środka? – spytał, wyciągając z portfela banknot jednofuntowy i wręczył go mężczyźnie.

Appleyard zawahał się, po czym chwycił banknot i szybko wsunął go do kieszeni.

– Skoro tak się sprawy mają, jestem wdzięczny za pańską szczodrość – powiedział, wodząc wzrokiem ode mnie do mojej siostry. Jego oczy były mlecznoszare, zmaczone postępującą zaćmą, starszy pan jednak zdawał się

widzieć wyraźniej niż niejedno dziecko. Pokazał głową w kierunku wejścia i dał gestem znać, żebyśmy wchodzili.

Przeszliśmy między ruchomymi ścianami i znaleźliśmy się w krainie umarłych. Powietrze stało, nie mącił go żaden ruch, a ściany jakby pochłaniały każdy dźwięk, więc było tak cicho, że słyszałem, jak Matylda bierze wdech.

W sumie naliczyłem tam czterdzieści osiem łóżek, z czego osiemnaście było zajętych – każde z nich było dokładnie przykryte białym lnianym prześcieradłem. Spod każdego prześcieradła wystawał sznurek połączony z dzwoneczkiem zawieszonym na haczyku na ramie łóżka od strony nóg.

– Sznurek jest przywiązany do ręki zmarłego. Gdyby okazało się, że jednak żyje, ruchem ręki poruszy dzwonek i zaalarmuje pracowników – wyjaśnił Thornley.

– Upiorne – powiedziała Matylda.

– Przydaje się to częściej, niż można by się spodziewać – ciągnął Thornley. – Widywałem pacjentów bez oznak pulsu albo oddechu, którzy nagle siadali na łóżku i krzyczeli wiele godzin po tym, jak stwierdzono, że uszło z nich życie. Kiedy ciało trafia do kostnicy, dzwoneczek musi być do niego przyczepiony przez okrągłą dobę, zanim rozpocznie się sekcję. Mój przyjaciel, doktor Lawrence, miał taką pacjentkę zaledwie przed dwoma tygodniami. Sądził, że umarła na skutek zawału serca, nie dawała znaku życia. Jej dzwonek milczał przez prawie trzydzieści godzin, aż Lawrence przystąpił do autopsji. Kiedy przyłożył skalpel do piersi denatki, usłyszał cichutki wdech. Poprosił o szklanę wody i wlał ją pacjentce do przełyku. Kiedy odkrztusiła płyn, jedna z pielęgniarek tak się przeraziła, że zemdląca. Po chwili oczy pacjentki otworzyły się, a ona po raz pierwszy od iluś dni rozejrzała się dookoła, nieświadoma, gdzie się znajduje i skąd się tam wzięła. – Thornley trącił palcem sznurek od najbliższego dzwoneczka, który cicho zadźwięczał. – Wielu rzeczy nie wiemy o życiu; ze śmiercią jest podobnie.

Matylda zrobiła się blada jak ściana. Widziałem, jak przesuwając wzrokiem po ciałach zakrytych całunami.

– Skoro doktor podejrzewał atak serca, to po co ta sekcja? – spytałem.

– Była młoda, miała zaledwie dwadzieścia trzy lata, a to o wiele za mało jak na taką dolegliwość. W takiej sytuacji standardowo zleca się autopsję. To samo tyczy się zgonów tajemniczych i w następstwie wypadku, tak jak z panem O’Cuivem. – Thornley ruchem głowy wskazał zegar na przeciwległej ścianie; była za kwadrans północ. – Trzecia zmiana przychodzi za mniej więcej piętnaście minut. Zaczynajcie sprawdzać karty; szukamy mężczyzny bez odnotowanego nazwiska.

Nasza trójka rozeszła się między ciałami i zaczęliśmy systematycznie badać karty zawieszona w nogach każdego łóżka. Nigdy przedtem nie widziałem trupa i świadomość, że w mojej bliskości jest ich wiele, była niepokojąca. Przypomniała mi się ręka, którą Matylda i ja znaleźliśmy przed laty na wieży zamkowej; jej zginające się palce, chwytające powietrze. Ręka, która powinna być martwa, ale nie była. Przeklęta ręka.

Przebiegł mnie dreszcz; skupiłem uwagę na kartach i z całych sił starałem się nie patrzeć na prześcieradła ani nie zastanawiać się, co pod nimi leży.

– Mam – oznajmiła Matylda.

Stała w kącie nad ciałem leżącym na stole z dużym odpływem po jednej stronie; prześcieradło zostało podwinięte do góry i zakrywało tylko twarz. Nie miałem pewności, czy to Matylda ściągnęła prześcieradło, czy tak je zastała. Szybko przeszedłem przez salę, a tuż za mną Thornley.

Matylda zakrywała usta i nos i po prostu wskazywała palcem na ciało przed nią. Kiedy spojrzałem w kierunku wyznaczonym przez jej palec, zadygotałem.

Przed nami leżały zwłoki z szeroko rozłożonymi nogami i rękami; nie było mowy o najmniejszej skromności, ponieważ mężczyzna był tak nagi jak w dniu, kiedy się urodził. Jego klatka piersiowa była otwarta, cięcie miało kształt litery Y: przebiegało od pępka i w dolnej części mostka rozdzielało się na dwa, które biegiły każde aż do barku. Żebra zostały przecięte jakimś rodzajem piły, a dwa haki rozchylały je na boki.

– Narządy wewnętrzne zostały usunięte – powiedziałem, patrząc na pustą jamę brzuszną.

– Tam. – Matylda wskazała na szereg słoików na stole przy niej.

Thornley nie zwrócił na nią uwagi; był zajęty oglądaniem ciała.

– Cięcie jest świeże, może sprzed godziny.

– Spójrz na ramiona – powiedziałem cicho. Widniały na nich skaleczenia: sześć blizn na prawym ramieniu i cztery na lewym, dokładnie tak, jak napisano w dokumentacji z teczki na temat O’Cuiva, którą Matylda pokazywała mi w Bibliotece Marsha. Było oczywiste, że te rany dawno się wyleczyły. Ciało w ich miejscu było chropawe i ciemniejsze, w odróżnieniu od bladości otaczającej je skóry. Paznokcie były długie i zastrzone. Uznałem to za istotne, ponieważ w dzieciństwie na pewno zapamiętałbym ten szczegół. Nie potrafiłem znaleźć praktycznego uzasadnienia dla utrzymywania paznokci w takim stanie.

Thornley sięgnął do prześcieradła zakrywającego twarz mężczyzny. Poczułem, jak Matylda zaciska rękę na moim ramieniu, a potem gwałtownie wciąga powietrze.

Po zsunięciu prześcieradła nie mogło być wątpliwości co do twarzy mężczyzny – był to Patrick O’Cuiv. Wyglądał identycznie jak wtedy, kiedy przyszedł do nas na kolację wiele lat wcześniej. Jakby prosto od naszego stołu trafił do tego pomieszczenia.

– Nie postarzał się ani o dzień – wyszeptała Matylda.

Thornley potrząsnął głową.

– Niemożliwe. To musi być jakiś krewny, tego jestem pewien, ale nie może to być Patrick O’Cuiv, którego znaleźliśmy w dzieciństwie.

– Wciąż uważasz, że to jakaś sztuczka? – spytała Matylda.

– Nie jestem pewien, w co mam wierzyć.

Przyszło mi coś do głowy i zacząłem sprawdzać stół.

– Czego szukasz? – spytał Thornley.

– Ubrań i rzeczy osobistych. Może jest wśród nich coś, co pomogłoby go zidentyfikować.

Matylda zmarszczyła brwi.

– Niewątpliwie policja dokładnie przeszukała jego ciało i wszystkie przedmioty, które miał przy sobie. Nic nie pozwoliło na określenie tożsamości.

– Tożsamości w sensie nazwiska – nie, ale może znajdziemy coś, co wyda się nam znajome, co rozpoznamy.

Thornley wyciągnął spod stołu worek oznaczony 28773 – ten sam numer był na karcie identyfikacji ciała. Brat rozwiązał sznurek i wyrzucił zawartość na podłogę.

Nic oprócz mokrych ubrań. Przeszukaliśmy kieszenie, ale okazały się puste.

Nagle Matylda wydała z siebie ostry, przeszywający krzyk, który z precyzją skalpela przeciął powietrze kostnicy.

Odwróciłem się od zawartości worka i zastałem Matyldę nad słojami zawierającymi narzędzia O’Cuiva. Pokazywała na jedno z naczyń. Podeszedłem i położyłem ręce na jej ramionach.

– Co się stało?

Potrząsnęła palcem skierowanym na słój, w którego wnętrzu było serce.

– Ono właśnie zabiło.

OBECNIE



POD OKNEM PRZECHADZA SIĘ PIĘĆ WILKÓW, które zerkają w górę z głodem w oczach.

Co kilka minut Bram przestaje pisać, wstaje z krzesła, idzie do okna i wygląda na zewnątrz. Udało mu się dotąd postrzelić każdego wilka, ale niewiele to dało. Chociaż kule przechodzą przez ich grubą sierść, a z rany cieknie krew, podłym bestiom nic to nie szkodzi. W ciągu kilku minut rana się zasklepia i nie zostaje nawet ślad oprócz czerwonych plam zaschniętej krwi na futrze. Bram zaczyna podejrzewać, że wilki celowo ściągają na siebie jego ogień – by go rozproszyć i pozbawić amunicji.

Patrzą na niego, a on patrzy na nie.

Bram jest pewien, że przywódcą jest ten szary. Zawsze rusza pierwszy, a pozostałe odpowiadają na jego sygnały – ale nie ma pewności, w jakim właściwie celu.

Zobacz, moje zwierzątka cię uwielbiają.

Głos Ellen, stłumiony, zza drzwi. Bram ogląda się za siebie, ale nic nie mówi.

Czemu nie zejdziesz i się nie przywitasz? Chyba że wolisz, by one przyszły do ciebie? Tak lubią się bawić.

Bram sądzi, że te bestie nie potrafią dostać się do jego pokoju, ale nie ma sposobu, by się upewnić. To nie są naturalne istoty i nie sposób poznać, do czego naprawdę są zdolne. Kiedy Bram o tym myśli, jeden z czarnych wilków podchodzi do muru, staje na tylnych łapach, a przednie wyciąga ku górze,

w kierunku Brama. Uszy ma zsunięte do tyłu, oblizuje nos, popiskuje i patrzy się na mężczyznę.

Powietrze przeszywa nagły chłód, Bram otula się płaszczem.

Słyszy chichot – nie kobiety, lecz dziewczyny.

Wilki wolą chłód. Sierść chroni je przed żywiołami, zarówno gorącymi, jak i zimnymi. W upale pocą się tylko przez podeszwy łap, a futro dostarcza im izolacji chłodzącej. Ale w zimnie czują się wspaniale. W miesiącach zimowych ich sierść robi się ciężka, gdyż wzmacnia ją podszerstek.

Temperatura w pokoju nadal spada, a Bram widzi swój oddech. Karabin w rękę jest jak blok lodu, odstawia go więc i wsuwa ręce do kieszeni.

Kiedy robi się naprawdę zimno, wilki zwykle wracają do legowiska i zbijają się w ciasną gromadę. Zazwyczaj przedtem idą na polowanie i przynoszą z niego pożywienie dla siebie i dla swoich młodych.

Bram odwraca się do okna; wilki zachowują się, jakby rozpałał je żywy ogień, ich skomlenie miesza się z wyciem.

Moje zwierzątka są głodne, Bramie. Stęskniły się za smakiem świeżego mięsa. Gdybyś zszedł na dół, miałyby jedzenia na kilka dni.

Znowu ten chichot, jeszcze głośniejszy niż poprzednio.

Bramem wstrząsają dreszcze.

W ich legowisku jest tak przyjemnie. Wyobraź sobie, że tam z nimi idziesz. Ciepło ich ciał przytulonych do ciebie, otaczających cię, całe to ciepło. Zginiesz bezbolesną śmiercią, mogę ci to obiecać. Potrafią załatwić to szybko – jeśli je o to poproszę.

Temperatura ciągle spada, Bram wyciąga z torby ostatnią buteleczkę z wodą święconą i unosi ją do światła lampy. Woda prawie zamarzła, w fiolce pływają płatki lodu. Ręka mu drży, trudno mu utrzymać naczynie, czuje ból w palcach. Mocuje się z zatyczką i za trzecim podejściem zdejmuje ją, po czym wraca do okna.

Pięć wilków zbiło się w małą grupkę, całkowicie nieruchome patrzą na niego stojącego w oknie.

Bram rzuca buteleczkę w kierunku bestii, celując w kamień obok nich. Butelka uderza o skałę i eksploduje mgiełką szkła, lodu i wody. Wilki rozbiegają się, a ich krzyki niosą się przez mrok.

Tylko je pobudziłeś, mój drogi Bramie.

Bramowi udało się coś więcej, ponieważ temperatura zaczyna rosnać, zakłęcie się cofa. Bram porusza palcami, zaciska je w pięść i puszcza luźno, powoli wraca mu czucie. Nawet jeśli wilki są nieopodal, on ich nie widzi.

Głos się zmienia, pogłębia, przechodzi w męski głos nieznany Bramowi.

On nadchodzi, Bramie. Będzie tu bardzo niedługo.

LIST MATYLDY DO ELLEN CRONE Z 11 SIERPANIA 1868



NAJDROŻSZA ELLEN!

Piszę do Ciebie w samym środku nocy, ponieważ jestem tak daleka od senności, jak to tylko możliwe.

Jestem pewna tego, co widziałam! Cóż to takiego, zapytasz? A zatem powiem. Zobaczyłam bijące serce Patricka O’Cuiva nie dość, że czternaście lat po jego „śmierci”, to jeszcze spoczywające w stojącym obok niego słoju zamiast w jego piersi!

Obaj moi mniej przenikliwi bracia są przekonani, że za bardzo się wczułam w makabryczną atmosferę kostnicy, a jej zapachy i odgłosy doprowadziły mnie do granicy urojeń, ale zaświadczam z całą stanowczością, że to nie tak. Patrzyłam wprost na serce O’Cuiva i byłam świadkiem, jak najpierw się kurczy, a potem rozkurcza w jednym krótkim uderzeniu. Widziałam nawet, jak wyrzuca krew z jednej z tętnic u góry z taką siłą, że wystrzelił z niej karmazynowy strumyk, który następnie spłynął na dno słoja. Krew była prawie czarna i gęsta jak melasa. Wyobrażam sobie, że śmierdziała gangreną i zgnilizną, zepsutą wołowiną.

Jego serce zabiło tylko raz. Nie oderwałam od niego wzroku, nawet gdy wszedł strażnik i zażądał, żebyśmy opuścili kostnicę. Kiedy Bram i Thornley wyciągali mnie stamtąd, mój wzrok cały czas pozostawał utkwiony w tym sercu,

ale ono nie zabiło ponownie. Byłam jednak pewna, że w końcu to zrobi; i wciąż jestem. Sądzę, że to wyrwane z piersi serce bije choćby i teraz, może wolniej niż normalne i żywe, ale jednak bije, ponieważ zła siła, która przez wszystkie te lata utrzymywała O’Cuiva przy życiu, nadal żyje w jego sercu. To, że na miejscu nie ma nikogo, kto by mógł zaobserwować te zjawiska, nie czyni ich mniej prawdziwymi.

Po tym, jak krzyknęłam, strażnik wypędził nas z kostnicy, a Thornley wyprowadził nas ze szpitala. Raz jeszcze znaleźliśmy się przed południowym wejściem, a wydarzenia ostatniej godziny wydawały się raczej snem niż jawą.

Czy to Ty stałaś pod tamtym jesionem? Przyglądałaś się nam?

Myślałam, że to Ty, ale Bram twierdził, że kobieta, którą zauważyliśmy, była kimś innym. Jego zdaniem to była dziewczyna, może prostytutka. Najwyraźniej tamtego wieczora moje opinie nie miały szczególnej wagi.

Po opuszczeniu szpitala trafiliśmy pod to samo drzewo i kłóciliśmy się o to, co widzieliśmy. Nie mam wątpliwości, że było to ciało Patricka O’Cuiva. Nie umiem wyjaśnić, jak i skąd to wiem, ale mam tę pewność. Bram i Thornley uważają inaczej – obaj sądzą, że mieliśmy do czynienia z dalekim krewnym O’Cuiva, lub ewentualnie jego synem, nieznanym nam w dzieciństwie, ale jak dla mnie takie spekulacje to bzdury.

To jasne, że to był on!

Jestem o tym absolutnie przeświadczona.

Znajdę dowody.

Po wielu dyskusjach udało mi się przekonać moich braci, że możemy zrobić tylko jedno. Udać się do Clontarf i dowiedzieć się więcej na temat O’Cuiva.

Jakim cudem zabiło to serce? Czy znasz prawdę o tym?

Spodziewam się, że tak.

Czy jeśli wycięto by Ci serce z piersi i położono na tacy w polu widzenia, to biłoby dalej?

Zdaję sobie sprawę z tego, że takie myśli są makabryczne i nie przystoją damie, ale czy chcę, czy nie, mam je z tyłu głowy; domagają się odpowiedzi,

a dla mnie nie istnieje inne wyjście, jak pojechać z nimi do Clontarf. No, powiedziałam to. Nawet jeśli mi tego zabronią, i tak się tam dostanę.

Doprawdy, nie mogę im ufać. To główny powód, dla którego muszę jechać. Nie wątpię, że odwiedzą Clontarf, ale w jakim stopniu faktycznie będą dążyć do prawdy? Wystarczająco mocno, by znaleźć odpowiedzi, czy tylko na tyle, aby mnie udobruchać? Jedynym sposobem, by upewnić się, czy śledztwo zostanie przeprowadzone właściwie, jest samej udać się w podróż. Pomimo że to miasto leży względnie blisko (kiedy mieszkaliśmy tam, a tata pracował w Dublinie, chodził tam piechotą), dama nie powinna podróżować samotnie; wobec tego potrzebuję towarzystwa moich braci. Martwię się też, że gdybym pojechała tam sama, mogłabym mieć kłopoty z uzyskaniem odpowiedzi na niektóre z pytań, zwłaszcza jeśli zadawałabym je mężczyznom. Oni potrafią być uparci jak osły. Nie, nie mogę i nie będę tam jechać sama. Oni też nie. Dołączę do nich niezależnie od tego, czy mają na to ochotę, czy nie.

Co łączy Cię z Patrickiem O’Cuivem?

Czy był Twoim kochankiem?

Czy wolno mi dopuszczać taką myśl?

W te wszystkie wieczory, kiedy wymykałaś się pod osłoną nocy, gdzie mogłaby pójść młoda kobieta, jeśli nie w ramiona ukochanego?

W takim wypadku – co za skandal! Rumienię się na samą myśl. Na dodatek to żonaty mężczyzna. Ojciec dzieciom. Mam o Tobie lepsze zdanie. A zatem nie wierzę, że tak było. Nie życzę sobie w to wierzyć.

A zatem jak było?

Skoro nie był dla Ciebie kochankiem, to kim? Kim on dla Ciebie jest? Czy teraz, po jego śmierci, oplakujesz go? A co, jeśli prawda jest wręcz odwrótne? Co, jeśli nienawidzisz go tak bardzo, że chciałaś, żeby wypadł z tego statku do rzeki i utonął?

A może nawet sama go popchnęłaś?

Jaki jest między Wami związek?

Masz tyle sekretów, moja droga Ciociu Ellen. I ośmielam się twierdzić, że wszystkie je odkryję.

Ruszamy dziś wieczór. Bram właśnie kończy pracę na zamku. Przyłączę się do nich, nawet jeśli będę musiała spać na wozie.

Z serdecznymi uściskami

Matylda

PAMIĘTNIK THORNLEYA STOKERA

(TRANSKRYPCJA STENOGRAMU)



11 SIERPNI 1868, 21.21

Och, bylebym tylko zdołał przelać na papier to, co się stało! Nawet teraz, zaledwie kilka minut później, wszystkie zdarzenia wieczoru wydają się bardziej marzeniem sennym niż prawdziwymi zajściami, prawie jak okropna bajka służąca do straszenia dzieci. Dopiero teraz, bezpieczny u siebie w domu, mogę zatrzymać się i udokumentować to, co zaszło. Czuję, że wymaga tego konieczność – a wręcz mam obowiązek to zrobić! Nieopisanie tych wydarzeń byłoby czymś nieodpowiedzialnym, inni bowiem muszą się dowiedzieć.

Wróciłem do domu ze szpitala dla umysłowo chorych trochę po wpół do szóstej wieczorem, nie później niż zwykle, i zastałem Emily stojącą w hallu niczym posąg. Wpatrzona była przed siebie, prosto w drzwi, a w ręce trzymała srebrny krzyż ze ściany naszej sypialni w uchwycie tak mocnym, że spomiędzy palców ciekła jej strużka krwi.

Gdy przekroczyłem próg, podeszła do mnie panna Dugdale, pielęgniarka Emily, ze zmartwieniem malującym się na twarzy.

– Nie ruszyła się stąd od wczesnego ranka. Nie odzywa się ani słowem. Dwa razy próbowałam odprowadzić ją do salonu, ale na mój dotyk zareagowała krzykiem. Trzeci raz się nie odważyłam.

Rzuciłem pannie Dugdale współczujące spojrzenie i podziękowałem jej za wszelkie wysiłki. Nie po raz pierwszy widziałem swoją małżonkę w takim stanie, a kiedy zdarzyło się to po raz ostatni, urok zdjął z niej dopiero upływ czasu. Poprosiłem pielęgniarkę, żeby zostawiła nas samych, a kiedy już jej nie było, podszedłem do żony i powoli krążyłem wokół niej.

Tym razem nie milczała tak jak przedtem. Kiedy przybliżyłem się do niej, z jej ust wyrwały się słowa, wyszeptane tak cicho, że nie mogłem ich rozróżnić. Pomyślałem, że to chyba *Ojciec nasz*, ale nie byłem pewien. Na próbę sięgnąłem do jej ręki, tej, w której trzymała krzyż, i delikatnie zamknąłem w swojej dłoni.

Nachyliłem się nad nią.

– Kochanie, powinnaś iść do łóżka. Masz za sobą długi dzień. W świetle poranka poczujesz się lepiej.

Powiedziawszy to, spróbowałem poprowadzić ją na schody, ale ani drgnęła – przywarła stopami do marmurowej posadzki, jakby były z kamienia.

– Co się dzieje? Na czym polega problem?

Wiedziałem, że usłyszała moje słowa; widziałem to w jej oczach, ale nadal się nie ruszała. Dłoń, którą trzymałem, jeszcze mocniej zacisnęła się na krzyżu, tak że wraził się jej w palec. Po grzbiecie mojej dłoni pociekła jej ciepła krew. Kiedy chciałem rozewrzeć palce trzymające krzyż, w jej gardle wezbrał krzyk. Nie odważyłem się kontynuować. Postanowiłem zabrać go jej, gdy się uspokoi.

– On poskłada tego mężczyznę z powrotem – powiedziała cicho, po czym jakby się zaśmiała. – Humpty Dumpty na murze siadł, Humpty Dumpty z wysoka spadł⁶, ale mężczyzna w czerni jest w stanie poskładać tamtego z powrotem. Mężczyzna w czerni sprawi, że będzie jak nowy. – Emily była zdjęta grozą, a gdy odwróciła się do mnie, miała oczy jak spodki i rozchylone usta. – Musisz go powstrzymać.

– Kogo powstrzymać? Nie rozumiem.

– Nie daj mu poskładać tego mężczyzny z powrotem.

– Komu?!

W tym momencie zaczęła nucić. I to nie melodię, tylko pojedynczą nutę, którą utrzymywała nieprzyzwoicie długo, jakby nie musiała oddychać. Nie wiedziałem, co innego mógłbym zrobić, złapałem ją więc za ramiona i gwałtownie potrząsnąłem, żeby wybić ją z tego stuporu.

– Kogo masz na myśli, Emily?

– Mężczyznę w kawałkach, który na murze siadł, mężczyznę, który z muru spadł.

Wtedy nagle mi zaświtało.

– Mówisz o Patricku O’Cuivie?

Podniosła srebrny krzyż do ust i pocałowała go.

– Bóg odwrócił się do niego plecami. Mężczyzna w czerni to sprawił.

Otworzyłem szeroko oczy i spytałem:

– Skąd wiesz o Patricku O’Cuivie?

Wiem, że nigdy jej o nim nie wspominałem, ani w przeszłości, ani w ostatnim czasie. Może usłyszała nasze rozmowy o nim, kiedy sądziliśmy, że zasnęła? Wydało mi się to możliwe, ale nasza sypialnia była położona daleko od biblioteki, a przy wszystkich drzwiach pozamykanych taka wersja wydawała się nieprawdopodobna. Może przemknęła się na dół po schodach i nie usłyszeliśmy jej. Ale podałem jej tyle laudanum, że nie wyobrażam sobie, jak w ogóle mogłaby chodzić, a co dopiero zejść z góry.

Wtem ręka jej zwiotczała i Emily zaczęła kierować się ku schodom, powłócząc nogami. Skorzystałem z okazji, by jej pomóc; nie było wiadomo, kiedy znowu zechce się ruszyć, a ja nie chciałem faszerować jej lekiem na kolejną noc. Pomogłem jej wejść na górę i zacząłem rozpinać jej sukienkę. Kiedy moje palce mocowały się z guzikami na szyi, zrobiły się lepkie i wilgotne. Podniosłem je do światła lampy. Były mokre od krwi.

Posadziłem Emily na łóżku i przysunąłem lampę bliżej. U nasady szyi miała dwa małe ukłucia. Nie wyglądały na świeże, miały dzień albo dwa. Najprawdopodobniej tkanina ubrania podrażniła ranę i otworzyła ją na nowo.

– Kiedy to sobie zrobiłaś, kochana Emily?

Jej ręka powędrowała do tego miejsca, pomasaowała je, po czym opadła z powrotem na kolana, ale moja żona milczała. Zdjąłem z niej resztę ubrania – nie bez trudności, bo nie chciała wypuścić krucyfiksów i musiałem podwijać wokół niego rękawy – i położyłem ją do łóżka. Przycisnęła krzyż do piersi i zamknęła oczy. Kiedy ruszyłem do drzwi, spokojnym głosem wypowiedziała ostatnie zdanie:

– Śmierć przyjdzie po nas wszystkich; to będzie cudowne.

Moja żona odpłynęła w najspokojniejszy sen.

* * *

CHWILĘ PÓŹNIEJ DOBIEGŁO MNIE pukanie do drzwi wejściowych i odczułem głębokie *déjà vu*, ponieważ wiedziałem, że to brat wpadł po mnie, byśmy mogli razem wyruszyć w podróż do Clontarf. Zbiegłem po schodach, aby wpuścić go, nim zdąży zapukać ponownie. Ku swojemu zaskoczeniu zobaczyłem obok niego Matyldę.

– Co tutaj robisz?

Matylda weszła do środka, a tuż za nią Bram.

– Mówiłam, że jadę z wami, i nie życzę sobie dyskusji na ten temat.

Odwróciłem się do Brama, by wyrazić niezgodę, ale ugryzłem się w język, widząc, jak wzrusza ramionami.

– Siostra najwyraźniej nie dowierza, że zbadamy tę sprawę jak należy.

– Może i tak będzie lepiej. Ja nie mogę jechać.

– Czemu nie? – spytał Bram, marszcząc brwi.

– Emily niedawno zapadła na zdrowiu. Obawiam się, że nie można zostawić jej samej.

Matylda rozejrzała się po hallu.

– Z pewnością może się nią zaopiekować służba.

Jak dotąd nie chciałem dzielić się z nimi szczegółami choroby mojej żony, ale w świetle słów Matyldy uznałem za niezbędne wyjaśnić im sprawę. Kiedy skończyłem mówić, zapadła cisza.

Jako pierwsza przemówiła siostra:

– Ale kim jest ten mężczyzna w czerni? O co chodzi z tym „składaniem z powrotem”?

– Nie mam pojęcia.

– Czy coś nam umknęło? – dociekał Bram. – Coś na zwłokach?

– Zakładasz, że jej słowa mają sensowne znaczenie, ale ona była w malignie. Najprawdopodobniej usłyszała przypadkiem kawałek naszej rozmowy wczoraj wieczorem, a jej umysł wypaczył sens posłyszanych słów i wytworzył sztuczne wspomnienie, nic więcej.

Po wyrazie twarzy mojego rodzeństwa mogłem stwierdzić, że oni tak nie uważają i dostrzegają w jej słowach coś więcej. I chociaż nie byłem pewien, co z tym zrobić, przyznałem im rację. Kiedy Emily przemawiała, pobrzmiwało w tym coś prawdziwego. Mimo całej enigmatyczności to, co mówiła, różniło się od zwykłego majaczenia, które występowało podczas choroby. Czuć w tym było przeświadczenie, przywodzące na myśl silną kobietę, którą poślubiłem; kobietę, która – miałem nadzieję – wciąż żyła gdzieś w tym umyśle.

Zrozumiałem, co należy zrobić.

– Jedźcie we dwoje do Clontarf. Ja umówię pannę Dugdale do opieki nad Emily, a sam pójdę do szpitala i ponownie zbadam ciało.

– A czy ten strażnik znów cię wpuści?

– Pieniądze otwierają wiele drzwi, siostrzyczko. – Obróciłem się do Brama. – Jak zamierzacie dostać się do Clontarf?

– Na piechotę – odparł. – To ledwie parę kilometrów.

– Bzdura. Weźcie mój powóz z woźnicą.

Usiłowali protestować, ale powiedziałem, że nie ma czasu do stracenia, a zresztą chodzenie po ulicach w środku nocy nie należy do najbezpieczniejszych zajęć. Wezwałem woźnicę (który wolał spać w stajni razem z końmi) i niebawem byli już w drodze. Włożyłem płaszcz i skierowałem się do szpitala. Zatrzymałem się tylko w domku panny Dugdale, żeby wyjaśnić

wyjatkowość sytuacji i poprosić ją o pozostanie z Emily, dopóki nie wrócę. Przetarła zaspane oczy i zgodziła się pomóc.

* * *

WPAŁEM DO SZPITALA Swifta dla Obłąkanych po klucze do placówki doktora Steevensa i przez pole dotarłem do południowego wejścia, tak jak poprzedniej nocy. Wszedłem i szybko ruszyłem do kostnicy. Po drodze nie minąłem żywej duszy. Stanowisko strażnika było puste; na stołku, na którym Appleyard siedział zeszłego wieczoru, leżała książka, ale po nim nie było śladu. Pewnie oddalił się za potrzebą i zaraz wróci. Zastanawiałem się, czyby nie poczekać na niego, ale zdecydowałem, że lepiej się pośpieszę.

Wszedłem do prosektorium i popędziłem do kąta pomieszczenia, w którym znaleźliśmy ciało prawdopodobnie należące do Patricka O’Cuiva. Metalowy stół był pusty, podobnie jak słoje, w których przedtem były jego narządy. W kostnicy było coś dziwnego. Stół sekcyjny pokrywała krew zmieszana z brudem, a w powietrzu czuć było popsute mięso, jakby ten bałagan utrzymywał się nie od wczoraj, ale od tygodnia. Zwyczaj wymagał, żeby po zakończeniu pracy oczyścić sprzęt i przygotować go do kolejnej autopsji. Pozostawienie stołu i narzędzi w takim stanie na pewno wpędziłoby kogoś w kłopoty. Kiedy obchodziłem stół, buty przylepiały mi się do podłogi i wydawały charakterystyczny odgłos. Z początku nie miałem odwagi spojrzeć w dół, ale wiedziałem, że muszę, spuściłem więc wzrok na podłogę – marmur pokrywały krwawe odciski stóp, po części bosych. Zdawały się otaczać stół, a potem układać w ścieżkę między łózkami na prawo, coraz mniej wyraźną aż do zniknięcia przy trzecim łóżku. Wisiała na nim karta 28773 – należąca do O’Cuiva – nosząca ten sam numer co worek z rzeczami osobistymi zmarłego, których nieobecność odnotowałem.

Na łóżku leżały zwłoki przykryte białym prześcieradłem.

Poczułem ucisk w sercu.

Nie daj mu poskładać tego mężczyzny z powrotem.

W głowie zabrzmiało mi echo słów mojej żony. Odpędziłem tę myśl.

Z pewnością narządy O’Cuiva zostały umieszczone z powrotem w jego klatce piersiowej i jamie brzusznej, jak to się standardowo robi. Krwawe ślady stóp to pewnie nic innego jak efekt niefrasobliwości lekarza.

Krwawe odciski bosych stóp – wyszeptał w mojej głowie głos Emily.

Zszedł ze stołu i przeszedł na łóżko – kiedy jego serce powróciło do ciała, znów stał się kompletny – za sercem przyszła krew, a gdzie jest ona, tam jest życie. Krew jest życiem.

* * *

NIE TO MIAŁA NA MYŚLI. Nie mogła mieć tego na myśli.

Wtem prześcieradło się poruszyło.

Nie był to ruch nagły ani znaczny, tylko lekkie przesunięcie; wypiętrzenie w okolicach środka, które pojawiło się i natychmiast znikło, jak gdyby ciało leżące pod spodem rozważało przewrócenie się na bok, ale zmieniło zdanie.

Nonsens!

Złudzenie optyczne albo podmuch powietrza, które wleciało do piwnicy.

Prześcieradło znów się poruszyło. Tym razem towarzyszył temu cichy jęk.

Podszedłem krok bliżej.

Nie chciałem tego – była to ostatnia rzecz, jakiej pragnąłem – ale stopy same mnie poniosły. Najpierw jeden krok, potem kolejny, po krwawych śladach prowadzących od stołu sekcyjnego do łóżka i tego, co kryło się pod całunem.

Oczyma wyobraźni zobaczyłem narządy O’Cuiva w słojach, serce w jakiś sposób tętniące życiem, bijące tak zapamiętale, że naczynie aż drżało z każdym tu-dum, tym regularnym podwójnym bębnieniem, którego tyle razy słuchałem przez stetoskop. Po każdym skurczu następował wyrzut krwi, gęstej i czarnej, niezdrowej krwi pełnej zakrzepów, które docierały do krawędzi naczynia i jakimś cudem wypełzały z niego siłą woli, uciekały przed złym sercem i odpływały, sącząc się w moim kierunku. W słoju za sercem płuca wzdymały się

jak dwa żółte worki wypełnione śluzem, zasysając otaczające je powietrze, a następnie wydychając je z mokrym sapnięciem.

Zmusiłem się, by nie otwierać oczu, i potrząsałem głową, żeby odpędzić te myśli. Wiedziałem, że nie są prawdziwe. Wiedziałem, że istnieją tylko w mojej wyobraźni – mocno się jednak trzymały.

Kiedy otworzyłem oczy, narządy zniknęły, a zakrwawione naczynia znów były puste. Westchnąłem.

Prześcieradło się poruszyło – miałem pewność. Blisko jego środka pojawiła się czerwona plamka.

Moje stopy zrobiły kolejny krok w kierunku łóżka, ciągnąc mnie ku niemu.

Po raz kolejny usłyszałem odgłosy płuc i ostre bicie serca, tyle że tym razem nie dobiegały one z urojonych słoików za moimi plecami, lecz spod prześcieradła na łóżku przede mną, od którego dzieliło mnie już tylko kilka cali. Sięgnąłem do prześcieradła, złapałem je za róg i zerwałem je szybkim, płynnym ruchem.

Zdusiłem krzyk.

Na łóżku leżał pan Appleyard w mundurze nasiąkniętym krwią i z twarzą bledszą, niż kiedykolwiek widziałem, prawie alabastrową. Kiedy próbował coś powiedzieć, z kącików ust kapąca mu spieniona krew. Jego oczy lśniły jak szklane kulki wypełnione płynem, ale wciąż było w nich życie. Na chwilę skupiły się na mnie, po czym znów wywróciły białkami. Z rozcięcia na szyi tryskała krew i zwisał luźny płat mięsa. Kiedy wziął wdech, odkryłem źródło tamtego dźwięku – nie pochodził on z płuc w słoju, lecz towarzyszył przedostawaniu się powietrza przez ranę. Ciekła z niej czerwona ślina i wsiąkała w materac mokry od krwi.

Jako lekarz chciałbym powiedzieć, że natychmiast zacząłem działać, aby ocalić resztkę życia tłącą się w tym zmaltretowanym ciele, nie uczyniłem tego jednak. Zamiast tego znieruchomiałem, wbiłem w niego wzrok, nie mogłem ruszyć ręką ani nogą. Stałem biernie, kiedy z rany ziejącej w jego szyi wydostało się ostatnie tchnienie i mężczyzna zaznał wreszcie spokoju.

W pomieszczeniu zapadła cisza tak głęboka, że chyba słyszałem myszy buszujące za ścianami i moje własne serce tłukące się gorączkowo w piersi. Jedną ręką trzymałem prześcieradło, druga zwisała mi bezwładnie wzdłuż tułowia; nie mogłem odwrócić wzroku od rany na szyi Appleyarda. Wyglądała na skutek ataku zwierzęcia, ale w podziemiach szpitala był on przecież niemożliwy. Więc co to było? Z pewnością nie dzieło człowieka, bo jakie narzędzie pozostawiłoby tak potworne rozdarcie? Nie nóż, a inne były nie do pomyślenia.

A jednak to musiał być człowiek, bo przecież strażnik nie wdrapał się sam na łóżko i nie schował pod prześcieradłem.

W tym momencie zaświtała mi myśl, której szybko chciałem się pozbyć, gdyż obudziła we mnie zupełnie nowy strach.

Gdzie jest mężczyzna, który tego dokonał? Niewątpliwie rany są świeże, zadane parę minut przed moim przybyciem. Sprawca nie mógł odejść daleko; jeśli opuściłby kostnicę, minąłbym go na korytarzu. Ale nikogo tam nie widziałem.

Czy to możliwe, żeby wciąż tu był i mnie obserwował?

Ta myśl wystarczyła, żebym przeniósł wzrok ze strażnika na otoczenie, na dziesiątki łóżek wokoło. Uświadomiłem sobie, że tak naprawdę nie jestem sam. Na wielu z nich – dwudziestu albo i więcej – leżały ciała w absolutnej ciszy.

Czy morderca mógł czaić się wśród nich? Czekając na odpowiedni moment, żeby mnie powalić?

Po mojej lewej usłyszałem dźwięk dzwoneczka i obróciłem się, żeby zlokalizować jego źródło. Miałem przed sobą dziewięć zajętych łóżek. Szybko przeleciałem wzrokiem po sznurkach biegnących od dłoni każdego ciała do dzwonka wiszącego nad łóżkiem, ale wszystkie tkwiły w bezruchu. Zadzwoił kolejny, tym razem za mną, więc odwróciłem się ponownie tylko po to, by zobaczyć kolejne nieruchome ciała. Następny dzwonek zadzwonił po mojej prawej, dwa kolejne po lewej, jeszcze więcej za moimi plecami. W kilka chwil pokój wypełnił się melodią kilkudziesięciu dzwoneczków, których odgłos przybierał

na sile. Zakryłem uszy rękami i zacząłem kręcić się w kółko, bo zrobiło się potwornie głośno; wszędzie wokół dzwonki.

Na łóżku po lewej dostrzegłem jakiś ruch. Najpierw przesunięcie tkaniny na ciele – nieśmiałe, delikatne, ale wystarczające, by zwrócić moją uwagę. Ręka drgnęła, pociągając za sznurek, który uruchomił dzwonek, a ten zawtórował pozostałym.

Czy to może być morderca?

Przesunąłem wzrokiem po pokoju w poszukiwaniu broni i znalazłem piłę do kości na półce nad stołem sekcyjnym – zakrwawioną i brudną jak on sam. Dopadłem jej prędko i wróciłem do miejsca, w którym dostrzegłem ruch prześcieradła. Złapałem narzędzie mocno, uniosłem je nad głowę i ściągnąłem tkaninę.

Ogromny czarny szczur patrzył na mnie z dziury, którą wygryzł w udzie zmarłego; z pyszczka zwierzęcia zwisał cienki pasek mięsa. Szczur spojrział na mnie bez strachu i wrócił do posilania się świeżym ciałem. Powstrzymałem się od wymiotów na widok gryzonia odrywającego kolejny kawałek zwłok z siłą wystarczająco dużą, by dzwonek połączony z ramieniem zaczął dzwonić jak oszalały.

Dookoła mnie kołysało się kilkadziesiąt innych dzwonek i ze zgrozą patrzyłem, jak szczury gromadnie wylażą spod prześcieradeł, z pyskami pełnymi padliny, a następnie znikają pod łóżkami i w cieniu spowijającym ściany. Na miejsce odbiegających padlinożerców z kryjówek błyskawicznie nadchodziły zastępy kolejnych i znikają pod tkaninami w niekończącym się cyklu plugastwa. Ilekroć któryś ze zmarłych tracił porcję ciała, obwieszczał to dźwięk dzwonka, a biorąc pod uwagę, jaki hałas panował w sali, mogłem sobie tylko wyobrazić jatkę, która odbywa się pod białym lnianym płótnem.

Uciekałem. Uciekałem najszybciej, jak mogłem, z kostnicy, z podziemia, prosto w nocny mrok, zostawiając za sobą Szpital Steevensa. Wreszcie dotarłem nad Wielki Kanał i przystanąłem, żeby złapać oddech.

Rozważałem powrót do szpitala, chociażby po to, by powiadomić tamtejszy personel o potwornościach mających tam miejsce, ale przypomniałem sobie o brakujących zwłokach O’Cuiva i okaleczonym ciele Appleyarda. Gdybym tam wrócił, wina mogłaby spaść na mnie. Nie miałem przecież uprawnień, by przebywać w kostnicy, i nie miałem czego szukać w tym szpitalu. Policja z łatwością uczyniłaby mnie podejrzanym o zabicie strażnika. Fakt, że brakowało mi motywu, niewiele by znaczył w obliczu dokonanego przeze mnie wtargnięcia. Widziałem ludzi wieszanych za mniejsze przestępstwa.

Aż do tamtej chwili nie zdawałem sobie sprawy z tego, że ciągle trzymam piłę do kości. Jej zakrwawione ostrze z czarnymi zaciekami zaśniło w świetle księżyca. Niewiele myśląc, wrzuciłem ją do kanału i przyglądałem się, jak ginie pod powierzchnią.

Postąpiłem nierozważnie, nie sprawdziłem bowiem, czy na pewno jestem sam. Dopiero kiedy narzędzie zniknęło pod wodą, rozejrzałem się po James Street w poszukiwaniu wścibskich spojrzeń. Chociaż żadnego nie napotkałem, poczułem na sobie wzrok kogoś nieznajomego. Postawiłem kołnierz płaszcza i zacząłem pośpiesznie iść w kierunku domu. Kiedy po upływie pięciu minut nie zauważyłem nikogo, miałem nadzieję, że niepokój mnie opuści, tak się jednak nie stało. Zamiast tego ogarnęła mnie straszna niemoc i zjeżyły mi się włoski na karku. Kiedy dotarłem do rogu Thomas Street i Francis Street, zatrzymałem się nagle i rozejrzałem na boki, licząc na to, że przyłapię tego, kto mnie śledzi. Moje oczy spoczęły na zarysie bardzo wysokiego mężczyzny ubranego na czarno, z cylindrem i laską. Znieruchomiał razem ze mną i stał tak jakieś dziesięć metrów ode mnie. Chociaż dookoła paliły się lampy gazowe, mężczyzna niemal zupełnie niknął w cieniu, tak że nie mogłem dostrzec rysów jego twarzy. Widać było tylko tyle, że ma długie czarne włosy okalające twarz o prawie białej cerze.

– Widzę pana! – powiedziałem najbardziej stanowczym tonem, na jaki mogłem się zdobyć. – Dlaczego pan za mną idzie?

Nic nie odpowiedział, tylko lekko przechylił głowę.

– Jeżeli pan nie przestanie, zawołam policję!

Czy widział, jak wyrzucam piłę?

Czy widział, jak umykam ze szpitala?

Nie miałem pewności.

Odwróciłem się na pięcie i szedłem dalej Francis Street, nasłuchując dźwięków za moimi plecami. Słyszałem stukanie jego laski, ale jego buty nie wydawały w zetknięciu z brukiem najmniejszego odgłosu. Żałowałem, że pozbyłem się piły; nie miałem przy sobie żadnej broni i chociaż radziłem sobie w walce wręcz, ten człowiek był o pół głowy wyższy ode mnie, a do tego szeroki w barkach. Z tej odległości i w tych ponurych okolicznościach nie dało się określić jego wieku. Postawę miał jednak zdrową i wyprostowaną, niezdradzającą oznak zgarbienia typowego dla starców, założyłem więc, że jest góra w moim wieku, co czyniło go niebezpiecznym przeciwnikiem.

Przyspieszyłem kroku, ale nie na tyle, by wyglądało na to, że uciekam; chciałem tylko zwiększyć dystans między nami. Poruszał się wolniej ode mnie; rozpoznawałem to po równomiernym postukiwaniu laską. W tym momencie chyba osiągnąłem prędkość dwukrotnie szybszą od niego; niemniej w jego chodzie było coś nienormalnego – przy takim tempie przemieszczania się i przy rosnącej odległości między nami postukiwanie jego laski powinno cichnąć, ale zamiast tego przybrało na sile, jak gdyby mężczyzna doganiał mnie, choć robił o połowę mniej kroków.

Kiedy zbliżyłem się do Katedry Świętego Patryka, stanąłem i obróciłem się, by potwierdzić słuszność swych obaw. Kiedy po raz pierwszy go zobaczyłem, znajdował się jakieś trzydzieści stóp ode mnie; tymczasem udało mu się zmniejszyć tę odległość o więcej niż połowę. Gdy się zatrzymałem, zrobił to samo i znów stał jak wryty, tylko leciutko pochylił głowę, kiedy na niego spojrzałem. Był na tyle blisko, że zdołałem dostrzec jego twarz. Przeszedł mnie dreszcz. Jego skóra była niemal przezroczysta, poznaczona żyłkami, które zdawały się pochłaniać światło lamp ulicznych i migotać wraz z tańczącym płomieniem lampy gazowej. Jego nos można określić jako orli, z wydatnym grzbietem i lekką krzywizną u nasady, a mimo to idealnie proporcjonalny do

reszty oblicza. Brwi miał czarne jak smoła, a długie włosy spływały mu spod cylindra i sięgały prawie do ramion. Nosił krótki zarost, nie dość gęsty, by uchodził za ekscentryczny, ale wystarczający, by ukryć rysy – wyglądał, jakby przyciągał cień otaczający głowę mężczyzny bliżej do jego twarzy. A te oczy! Mój Boże, te oczy. Atramentowoczarne niczym oczy samej śmierci, a jednak tak pełne życia! Kiedy przechylał głowę, mieniły się jasną czerwienią, po czym znów robiły się czarne jak toń bez dna. Usta miał rubinowe, podkreślone ciemnymi włosami i bladą cerą; były lekko rozchylone, jakby brał wdech, ale nie towarzyszył temu żaden dźwięk.

Kiedy otworzył usta, najbardziej ze wszystkiego przeraziły mnie jego zęby – były wystające, olśniewająco białe i jakby spiłowane w szpic; przypominały bardziej kły zwierzęcia niż ludzkie uzębienie.

– Mam pieniądze, jeśli o to panu chodzi. – Słowa wymknęły mi się z ust, nim zrozumiałem, że je wymawiam. Poczułem się samotny i kompletnie bezbronny na pustej ulicy, na której nie było żywego ducha. Cóż bym wtedy dał za nóż albo pistolet – za cokolwiek, co mógłbym wykorzystać do obrony.

– Nie chcę pańskich pieniędzy – odparł mężczyzna. Co za głos! Bogaty w niskie tony, mocny; każde słowo wypowiadał z celową pieczołowitością. Pobrzmiewał w nim też akcent, który wydał mi się wschodnioeuropejski; akcent kogoś, kto przez wiele lat zjeździł kawał świata.

– Zatem proszę iść swoją drogą. Mam za sobą bardzo długi dzień i marzę tylko o wygodnym łóżku i filiżance herbaty – stwierdziłem.

– Ja natomiast wyszedłem sobie na przechadzkę późnym wieczorem. Proszę wyobrazić sobie moje zdziwienie, kiedy spotkałem o tej porze inną osobę. Zwłaszcza kogoś, kto opuszcza szpital w takim pośpiechu. Nie mogłem nie uznać takiego człowieka za intrygującego. – Zacisnął palce na gałce służącej za uchwyt laski. Długie, starannie zadbane palce muzyka. Przypomniały mi się zimne, martwe dłonie O’Cuiva z zaostrozonymi paznokciami. – Ja również niedawno zajrzałem do szpitala. Odwiedziłem tam znajomą osobę.

Zatonąłem w jego oczach. Spojrzenie miał hipnotyzujące; czułem, jakbym patrzył w bezdenny szyb w ziemi, tak głęboki, że przechodzi przez królestwo piekielne i przebija się na drugą stronę. Było w nim wzburzone morze, silne, ostre fale rozbijające się o siebie w bezksiężycową noc. Fascynacja, zdumienie. Nie jestem pewien, jak długo trwałem w takim stanie, zanim doszedłem do siebie.

– Życzę panu i pańskim znajomym wszystkiego najlepszego – oznajmiłem ze wzrokiem utkwionym w butach. – Ale teraz muszę już iść. – To rzekłszy, odwróciłem się i ruszyłem w kierunku domu przez Camden Row, przez cały czas czując na plecach jego oczy i słysząc stukot jego laski.

– Może pan również zna tę osobę?

Uszedłem dobrych dziesięć kroków, zanim wypowiedział te słowa, ale kiedy zatrzymałem się i odwróciłem, okazało się, że mężczyzna stoi jakiś metr ode mnie, jeszcze bliżej niż uprzednio. Nie słyszałem laski ani uderzeń butów o bruk; po prostu wyrósł obok mnie, na wyciągnięcie ramienia. Chociaż się nie poruszał, jego długa czarna peleryna z czerwonym podbiciem tańczyła i falowała jak żywa. Tyle tylko że nie było wiatru, a jedynie leciutki ruch chłodnego wieczornego powietrza, które w obecności nieznanego zdawało się jeszcze zimniejsze. Falowanie peleryny było jedynym dowodem na to, że w ogóle się przemieścił.

Uśmiechnął się oszczędnie, po raz kolejny ukazując te przeokropne zęby.

Przypomniała mi się rozszarpana szyja Appleyarda leżącego na łożku O’Cuiva; taką ranę bez trudu mogły zadać te zęby. Momentalnie wyobraziłem sobie nieznanego, jak pochyła się nad ciałem i wbija w nie kły z łapczywością dzikiego zwierzęcia. Przepędziłem tę wstrętą wizję z myśli i spojrzałem na niego z nadzieją, że mój przestrah nie jest widoczny.

– A jak się nazywa? – spytałem ze świadomością, że jeśli w odpowiedzi usłyszę „Patrick O’Cuiv”, rzucę się do ucieczki i będę biegł, ile w piersiach tchu. Widziałem stąd już swój dom, jego ścianę szczytową górującą nad dachami innych budynków, ale to bezpieczne schronienie zdawało się ledwo osiągalne.

Mężczyzna uśmiechnął się szerzej i znów przechylił głowę, jakbym zadał mu najbardziej ważne pytanie. Kiedy się wreszcie odezwał, z jego ust padło inne nazwisko, niż spodziewałem się usłyszeć:

– Ellen Crone, rzecz jasna.

Serce zadudniło mi w piersi i chociaż starałem się to ukryć, nie wątpiłem, że nieznajomy zauważył moje zaskoczenie jego odpowiedzią. Nasze oczy znów się spotkały i trudno mi było odwrócić wzrok. Jakby mnie pochwycił i mógł zajrzeć tymi oczami w moje myśli i wyciągnąć z nich dowolne fakty, trzymając mnie tak długo, aż skończy. Skojarzył mi się z zaklinaczem węży, którego widziałem w dzieciństwie. Tamten człowiek zahipnotyzował kobrę królewską wyłącznie przy użyciu oczu i ruchów głowy oraz ciała. Wprowadził ją w trans tak silny, że mógł złapać jadowitego gada i trzymać go parę centymetrów od swojej twarzy bez obaw, że zostanie ukąszony. Nie odrywał wzroku od gada. Cały czas się zastanawiałem: czy gdyby spojrzał w bok, choćby na ułamek sekundy, czar by prysnął? A wąż by go ugryzł?

Chciałem patrzeć gdzie indziej.

Z całego serca i całej duszy chciałem patrzeć gdzie indziej, ale po prostu nie mogłem. Stałem w całkowitym bezruchu, jak gdyby ten człowiek ujął moją głowę w długie kościste dłonie i trzymał twarzą zwróconą ku jego twarzy na wyciągnięcie ramienia.

– Kiedy ostatnio widział pan pannę Crone? – spytał tym niskim, spokojnym głosem.

– Ostatnio, gdy byłem dzieckiem – odparłem cicho. Zanim te słowa wydostały się z moich ust, planowałem odpowiedzieć, że nie znam nikogo takiego. Nie zamierzałem powiedzieć ani słowa temu obcemu hipnotyzerowi, temu zaklinaczowi węży. – Odeszła, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem. – Słowa popłynęły z moich ust, jak gdyby to był sen, który obserwuję z zewnątrz. Wypowiedziałem je, wiedząc, że nie muszę mówić nic więcej, jeśli nie zechcę. Ale chciałem. Straciłem kontrolę.

Och, te oczy! Te straszne, bezbożne oczy. Przewiercały mnie na wylot, przesywając każdy skrawek mojej duszy mrokiem ciemniejszym niż najczarniejsza smoła. W mojej skórze wezbrało swędzenie, jak gdyby mrówki oblażyły mi kości. Chciałem zerwać się do ucieczki, tak bardzo chciałem, ale moja wola nie panowała już nad moim ciałem. Był tylko ten człowiek, który w jakiś sposób mnie paraliżował i zmuszał do mówienia wbrew moim wszelkim pragnieniom.

– Gdyby ją pan widział, toby mi pan powiedział?

Usłyszałem te słowa nie uszami, lecz umysłem. Opowiedziałem mu o sytuacji z cukierni, kiedy byłem mały, potem o zdarzeniu z czasów studenckich, a wreszcie o tym, że widziałem ją w teatrze przed kilkoma dniami. Kiedy skończyłem, jego usta wykrzywił diaboliczny uśmiezek, a siła, którą mnie zniewolił, ustała. Opadłem z sił, moje ciało zrobiło się wiotkie, mięśnie były obolałe z wysiłku.

Mężczyzna położył mi rękę na ramieniu i ścisnął je gestem niemal opiekuńczym, ale na tyle silnym, by wywołać ból.

– Nie widziałem jej od wielu lat. Mamy zaległe spotkanie do odbycia. Jeśli wpadniesz na nią ponownie, przekażesz jej moje najlepsze pozdrowienia, prawda?

– Ale – usłyszałem własne słowa – ale nie wiem, jak się pan nazywa.

Puścił moje ramię i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Nie mogłem się powstrzymać od patrzenia na nie, na ich olśniewającą biel, podkreśloną przez czerwień ust i białą cerę poznaczoną żyłkami.

– Proszę wracać do domu, żona pana potrzebuje.

I odszedł. Nie wiem, czy straciłem poczucie czasu, czy po prostu rozplynął się w powietrzu, gdyż po tego rodzaju spotkaniu nawet takie podejrzenie wydawało się uzasadnione. W jednej sekundzie stał obok, zaledwie kilka centymetrów ode mnie, a w następnej nie było po nim śladu. Rozejrzałem się po ulicy – na darmo. W oddali zamajaczył mój dom; powitałem ten widok z radością. Znów rzuciłem się pędem.

Biegłem tak szybko, ile sił w nogach, przez cały czas czując na plecach jego wzrok. Wpadłem przez drzwi i zatrzęsnałem je za sobą. W chwili gdy to zrobiłem, coś bardzo silnego załomotało w nie z drugiej strony na tyle silnie, by wepchnąć je do wewnątrz. Odsunąłem zasłonę przy oknie obok drzwi i zobaczyłem czarnego psa, największego psa, jakiego widziałem w życiu. Przeszedł przez mój ogród i zniknął wśród drzew. Na odchodne rzucił mi jedno spojrzenie oczu jarzących się czerwienią.

Z góry dobiegł mnie płacz Emily.

DZIENNIK BRAMA STOKERA



11 SIERPNIA 1868, 21.30

Przejechałem dłonią po miękkim aksamicie siedzenia w powozie mojego brata.

– Thornley się nieźle urządził.

Matylda również przyglądała się wnętrzu pojazdu, przypatrywała się misternie rzeźbionemu i polerowanemu mahoniowi w pięknym kasztanowym odcieniu.

Zgodnie z obietnicą Thornleya powóz został przygotowany bezzwłocznie i wyruszyliśmy do Clontarf z niewielkim opóźnieniem. Woźnica zaprzął czwórkę koni, upierając się, że to żaden kłopot, a przyspieszy to podróż. Zauważyłem również, że załadował łopatę na tył powozu, z pewnością na polecenie Thornleya, ponieważ ani ja, ani Matylda o to nie prosiliśmy. Narzędzie przypomniało mi o ponurym charakterze naszego zadania; starałem się o tym zapomnieć, myśl jednak nie chciała odejść. Nawet jeśli Matylda żywiła jakieś obawy, to się z nimi nie zdradziła i zdawała się całkowicie spokojna; poświęcała czas na pisanie i tylko czasem zerknęła przez okno. O tej porze nie było wiele do oglądania – większość ludzi smacznie spała zamknięta w bezpiecznych domach. Powóz kołysał się na grubych resorach w obie strony, jak łódka. Ten ruch działał na mnie kojąco, chociaż nie mogłem zasnąć. Głęboko od środka trawił mnie niepokój i z trudem powstrzymywałem się, by nie wyskoczyć z pojazdu i nie pobiec za nim, żeby spalić część tej energii.

Kiedy mijaliśmy Artane Lodge, a potem Marino Crescent – rząd dystyngowanych domów w stylu georgiańskim – i numer piętnasty, pod którym się urodziłem, zalała mnie wszechogarniająca nostalgia. Chociaż wciąż mieszkaliśmy względnie blisko, rzadko wracałem w te okolice, gdyż tylko przywoływały wspomnienia o chorobie, lata spędzone w łóżku na zastanawianiu się, czy dożyję następnego dnia. Matylda natomiast patrzyła na nie z czułością, której nie podzielałem. Czy to nieładnie z mojej strony? Może. Ale w końcu było to zaledwie miejsce. Czy miejsca przechowują wspomnienia? Często myślałem, że owszem; że zarówno dobre, jak i złe zdarzenia wchłonęły w ich ściany. Zaciekawilo mnie, kto tam teraz mieszka. Czy mój mały pokój na poddaszu zajmuje inny chłopiec, który wygląda przez okno, przez które i ja tyle razy patrzyłem? Może widział, jak przejeżdżamy obok parku i znikamy w białej mgle.

W oddali rysowała się wieża kościoła Świętego Jana Chrzciciela; stężałem, wiedząc, że jesteśmy blisko.

Matylda również musiała coś wyczuć; odłożyła notatnik i wróciła do okna.

– Pochowano go wśród grobów samobójców, tuż przy głównym cmentarzu – powiedziała. – Nigdy ci o tym nie mówiłam, ale w dzieciństwie, wkrótce po tym, jak Ellen nas opuściła, poszłam na ten grób. Sama nie wiem czemu, coś mnie tam ciągnęło. Chyba po lekturze tamtych artykułów chciałam przekonać się na własne oczy.

– Czy grób jest oznaczony?

Kiwnęła głową.

– Na surowym nagrobku jest nazwisko.

Woźnica wjechał w aleję odchodzącą od Castle Avenue, którą dojechaliśmy pod cmentarz. Kamienny mur wykończony żelazem zdawał się nieskończony i złowieszczy; nie było to miejsce, w którym powinniśmy przebywać o tej przeklętej godzinie. Chociaż przez jakiś czas nie zauważyłem niczyjej obecności, towarzyszył mi namacalny strach, że nas przyłapią.

Zatrzymaliśmy się, ukryci w kępie topoli. Woźnica dwukrotnie uderzył w dach.

– Jesteś pewna, że powinniśmy to zrobić? – spytałem.

Matylda jedną nogą była już na zewnątrz powozu, a woźnica pomagał jej zejść po stopniu, podając dużą dłoń w rękawiczce.

Kiedy poszedłem w jej ślady, woźnica podał mi łopatę i nerwowo rozejrzał się po Kincora Lane.

– Nie mogę zostawić tu powozu, więc będę jeździł wkoło cmentarza. Jeśli na kogoś wpadnę, zrobię, co w mojej mocy, żeby go odciągnąć. Kiedy będą państwo gotowi wracać, spotkajmy się tutaj. – Spojrzał na łopatę. – Chętnie bym pomógł, ale myślę, że jeśli zostawię tu powóz, to zwrócimy na siebie niepotrzebną uwagę.

– Rozumiem.

– Bram, idziemy! – pogoniła mnie głośnym szeptem Matylda. Była już na górze płotu i patrzyła na drugą stronę, a jej halka powiewała na wietrze.

– Ma dziewczyna charakter – ocenił woźnica.

– Oj, ma. – Spojrzałem na pustą drogę. – Proszę wrócić na Clontarf Road i krążyć tam przez jakieś trzydzieści minut. Tyle powinno nam wystarczyć. Będziemy nasłuchiwać powozu wracającego przez Castle Avenue. Trzymając się okolic rynku i portu, będziesz mniej zwracać na siebie uwagę; nawet w nocy panuje tam spory ruch.

– Tak, proszę pana. – Woźnica uchylił kapelusza i wrócił na kozioł. Sprawnie ruszył naprzód i jechał, aż regularny tętent końskich kopyt przestał być słyszalny.

– Bram!

Odwróciłem się w samą porę, żeby zobaczyć, jak Matylda przełazi przez mur i z głuchym uderzeniem ląduje po przeciwnej stronie.

– O mój Boże, jesteś cała?

Podszedłem i zajrzałem przez małe pęknięcie w murze. Matylda stała po drugiej stronie i otrzepywała sukienkę.

– W porządku – odpowiedziała cicho. – Dawaj łopatę.

Przerzuciłem narzędzie trochę na prawo od siostry, rozejrzałem się po drodze, po czym podskoczyłem i złapałem się żelaznych kolców na murze. Podciągnąłem się, uważając, by nie zaczepić o nie ubraniami, i wlałem na górę. Obróciłem się, szybkim ruchem odbiłem się od muru i wylądowałem na nogach.

– Spodziewałam się, że przeskoczysz mur za jednym zamachem. – Matylda zaśmiała się złośliwie.

– Może następnym razem. – Rozejrzałem się po cmentarzu, tajemniczej mgle i posępnej trawie na falujących pagórkach.

– Gdzie to jest?

Pokazała na południe.

– Tradycyjny cmentarz ciągnie się do końca tej alejki. Groby samobójców są po drugiej stronie muru starego kościoła. – Siostra ruszyła w kierunku ruin.

– Ostrożnie!

Podniosłem łopatę i popędziłem za nią. Powietrze było całkiem nieruchome – konarami wierzb nie poruszał najmniejszy powiew wiatru – drzewa smacznie spały, rzucając na ziemię głęboki, czarny cień. Jedyne światło pochodziło od księżyca, gdyż wraz z zamknięciem cmentarza o ósmej wieczorem wygaszano lampy gazowe. Zezłoszczone najściem myszy rozbiegały się, obserwując nas z bezpiecznej odległości.

– Jest tu jakiś strażnik?

Matylda zastanawiała się przez chwilę.

– Podejrzewam, że jest.

Powędrowałem wzrokiem do kościoła po naszej lewej, w tej chwili czarnego jak atrament i pogrążonego w ciszy. Jeśli w środku był ktokolwiek, to nie zauważyłem jego obecności. Miałem też stąd widok na bramę, ale za nią również panował bezruch.

– Pewnie obchodzi teren.

Kiedy Thornley zaczynał studia medyczne, opowiadał mi, że wielu studentów wykopuje zwłoki na cmentarzu, żeby ćwiczyć na nich sekcje. Zabrzmiało to

przerazająco, ale wyjaśnił, że nie mają wyboru. Szkoły i szpitale dostarczały niewiele ciał, które trafiały następnie do studentów wywodzących się z bogatych rodzin, dysponujących środkami na taki zakup. Choć w porównaniu z większością pozostałych nasza rodzina wydawała się zamożna, nie mieliśmy aż tyle, aby zapewnić bratu zwłoki. Wprawdzie Thornley nigdy wprost nie przyznał się do uczestnictwa w tak makabrycznym procederze, ale też mu nie zaprzeczał. Wyobraziłem go sobie, jak przechadza się po cmentarzu mniej więcej takim jak ten w nadziei na uzyskanie świeżego okazu dla dobra nauki, z łopata w dłoni. Może nawet z tą samą łopata.

– Złodzieje grobów wolą przychodzić, kiedy jest mało światła księżycowego lub nie ma go wcale. Dziś jest zbyt jasno, za łatwo mogliby wpaść. W takie noce jak ta strażnik sobie odpoczywa. Pewnie zasnął za którymś z grobów z butelką rumu w jednej ręce i z podejrzaną lekturą w drugiej – stwierdziła Matylda.

– Obyś miała rację.

– A może stoi tuż za nami z naładowaną strzelbą gotów nafaszerować śrutem twoje cztery litery.

– Skąd pomysł, że wzięłyby na cel właśnie mnie?

– Stąd – odparła Matylda – że porządny mężczyzna nigdy nie strzeliłby do damy. Więc wybrałyby ciebie, to oczywiste.

– To oczywiste – powtórzyłem – o ile jest porządnym mężczyzną.

Ostrożnie podeszliśmy do ruin pierwotnego kościoła. Kamienna budowla wznosiła się na tyłach tradycyjnego cmentarza i mimo zaniedbania wciąż stały wszystkie cztery ściany; dach, chyba ze słomy, zgnił już dawno temu. Zachodnia ściana strzelała w niebo – była najbardziej imponująca ze wszystkich, kiedy należała do dzwonnicy. Północna i południowa ściana miały po cztery duże okna z łukiem u góry, a płaskie u dołu; na ścianie frontowej również było małe okienko. Tylne ściana, od wschodu, była wysoka i ostro zakończona; było w niej wejście, niegdyś zamknięte parą wielkich drewnianych drzwi, ale odkąd kościół wypadł z łask, zastąpiono je pojedynczą zaporą składającą się z prętów z czarnego żelaza. Moim rodzicom na pewno zakręciłyby się w oczach łza na

widok świątyni w takim stanie, ponieważ w niej wszystkie ich dzieci przyjęły chrzest święty. Wiele lat temu budowlę uznano za niebezpieczną i zlecono wzniesienie nowej. Nową kaplicę ukończono dwa lata temu, a jej poprzedniczkę oficjalnie porzucono.

Zerknąłem przez kraty w wejściu do nawy. Kamienna posadzka i spora część murów kruszyły się, przerośnięte zielskiem i bluszczem, który chętnie wspinał się ku górze w pogoni za lepszym dostępem do światła. Ostały się tylko dwie ławki; trzecia się zapadła i gniła w następstwie działania niezmordowanych żywiołów. Pociągnąłem za pręty – zamknięte. Chciałem wejść do wewnątrz i obejrzeć tę przestrzeń od środka, ale dzisiejszej nocy nie było takiej możliwości. Musiałbym wrócić za dnia.

– Chodź, jego grób jest dokładnie za tym murem – poleciła Matylda.

Oderwałem się od kraty i poszedłem za siostrą, ostatni raz zerknąwszy na główną część cmentarza, zanim skręcimy za rogiem.

Za murami zrujnowanej świątyni natknęliśmy się na kolejne groby, niektóre z największymi nagrobkami, jakie dotąd widziałem. Matylda zauważyła, że ta część należała do pierwotnego cmentarza, a ponieważ była to poświęcona ziemia, chowano tu zazwyczaj pastorów. Przedarliśmy się przez gęste chwasty przy tych grobach i dotarliśmy do pozostałości znacznie mniejszej ściany zbudowanej z kamienia. Ktoś kiedyś musiał większość jej zburzyć, bo teraz w najwyższym miejscu miała góra metr z kawałkiem.

– To stary mur cmentarza. Groby samobójców są po drugiej stronie. – Przeszła przez niego i oparła się o poczerniały pniak. – Kiedy pochowali O’Cuiva, ziemia po tej stronie nie należała do kościoła jako takiego. Nigdy jej nie poświęcono, a pochowani tutaj uważani byli za stracone dusze nie tylko przez duchownych, ale i przez własne rodziny.

– Pamiętam te historie.

– Kiedy dwa lata temu ukończyli nowy kościół, otoczyli ten teren nowym murem, łącząc go z resztą. Nie sądzę jednak, żeby kiedykolwiek poświęcono tę ziemię. Nie znalazłam wzmianek o tym. Dla wielu to zapomniane miejsce. Nowy

mur się nie liczy; bez poświęcenia właściwy cmentarz kończy się tutaj. – Wskazała na pozostałości kamiennego muru, teraz stanowiącego zwykłą kupę kamieni. – Grób O’Cuiva jest tam.

Powiodłem wzrokiem za jej palcem do małego nagrobka trzy metry dalej. Cały był porośnięty zielskiem, miejscami sięgającym do pasa; były tam koniczyna, dmuchawce, taszniki.

Przedostałem się do grobu, pamiętając o nagrobkach przypadkowo porzrzucanych dookoła. Ile pochówków nie zostało zaznaczonych? Czy właśnie stąpam po jakimś grobie? Leżeli tam nie tylko potępieni samobójcy, lecz także dzieci. Zazwyczaj trafiały tam te nieochrzczone, martwo urodzone i inne. Dotarłem na miejsce i ukląknęłam. Nie było tam tradycyjnej tablicy, tylko zwykły kamień o średnicy około trzydziestu centymetrów. Być może kiedyś jego powierzchnia była wypolerowana, ale to dawne dzieje. Gdyby nie wyryte na nim nazwisko „O’Cuiv”, w ogóle bym go nie zauważył. Litery były nierówne, częściowo zasłonięte cienką warstwą mchu i nadszarpnięte zębem czasu. Bez daty urodzenia czy śmierci, tylko nazwisko. Nikt nie zasługiwał na takie potraktowanie, nawet przestępcy. Ostrożnie odgarnąłem łopatą trawę porastającą grób i odwróciłem się do Matyldy.

– Od lat nikogo tu nie było. Jesteś pewna, że powinniśmy to zrobić?

– Jeśli ty go nie wykopiesz, zrobię to sama.

Z moją siostrą nie było dyskusji; podjęła decyzję na długo, zanim wyjechaliśmy z Dublina. Podwinąłem rękawy i ponownie wziąłem łopatę.

– Patrz, czy strażnik nie idzie.

I zacząłem kopać.

Szło mi powoli. By zniechęcić złodziei, grabarze mieszały ziemię ze słomą i każde wbicie łopaty odkrywało kolejne warstwy. To było jak przekopywanie dywanu – nie sposób było dotrzeć głębiej, nie usunąwszy wcześniej pokładów słomy. Niebawem włączyła się Matylda, zaczęła wybierać ją i odkładać na bok. Kilkakrotnie powtarzałem, że wolałbym, aby rozglądała się za strażnikami, ale ona nie chciała o tym słyszeć i upierała się, że bez jej pomocy będziemy tam

siedzieć do rana. A zatem kontynuowałem i od czasu do czasu, kiedy robiliśmy sobie chwilę odpoczynku, rzucałem okiem w kierunku ruin kościoła.

Minęła ponad godzina, zanim poczułem, że łopata uderza o wieko trumny O’Cuiva, i przypomniałem sobie o naszym woźnicy – na pewno obrócił już ze dwa razy. Te poszukiwania zajmowały nam o wiele więcej czasu, niż podejrzewaliśmy.

Drewno było zbutwiałe. Trumnę wykonano z taniej sękatej sośniny, a ziemia wzięła się do rozkładania jej już w chwili, gdy spuszczone ją do ziemi. Musiałem odłożyć łopatę w obawie, że przebiję wieko. Zebrałem więc ziemię rękami i wyrzuciłem ją z dołu, który miał już nieomal półtora metra głębokości.

Kiedy wreszcie udało się odsłonić trumnę, przejechałem palcami po jej krawędziach w poszukiwaniu uchwytu. Niczego takiego nie znalazłem. Wieko przybito na stałe od góry, w sumie sześcioma gwoźdźmi, po jednym w każdym rogu i po jednym w połowie długich krawędzi trumny. Drewno było wypaczone i kruche na tyle, że nie odważyłem się na nim stanąć. Oparłem więc stopy po bokach i wsunąłem czubek łopaty pod wieko. Odwróciłem się do siostry z milczącym przypomnieniem, że to ostatnia chwila, by dać sobie spokój z tą okropną robotą i zapomnieć o wszystkim, ale ona stała niewzruszona i tylko zdecydowanie pokiwała głową.

Naparłem na drewniany uchwyt łopaty, aż metal zagłębił się w drewno. Poruszałem uchwytem, żeby weszło głębiej, po czym znowu napierałem. Tym razem wieko lekko się wygięło, gwoździe zaskrzypiały i powstał otwór wystarczająco duży, by wsadzić palce pod deskę. Odłożyłem łopatę i chwyciłem wieko. Z całej siły pociągnąłem w górę i w bok, a wieko otworzyło się z przerażającym zgrzytem ostro protestujących gwoździ.

Gdy wieko oddzieliło się od trumny, wylała się z niej chmara karaluchów. Były ich tysiące. Rozbiegały się w górę i na boki, wpadały na siebie, jeden szybszy od drugiego, przebierały odnóżami, wydając dźwięk papieru pocieranego o papier. Oblazły mi nogi, klatkę piersiową, ramiona. Usłyszałem

krzyk Matyldy, która zaczęła deptać robactwo, wyłazące z grobu i niknące w zaroślach.

Pośpiesznie wydostałem się z dołu i strząsnąłem z siebie owady. Było ich tyle, że czułem, jak pokrywają każdy centymetr mojego ciała. Bałem się otworzyć usta, by wydać krzyk przerażenia, w obawie, że karaluchy skorzystają z okazji, by wśliznąć się między moje wargi. Na samą myśl o tym, jak kłębią się w moim gardle, w żołądku...

Kiedy wysyp karaluchów dobiegł końca, zauważyłem, że oddaliłem się od otwartego grobu na kilkanaście stóp. Matylda stała jeszcze dalej ode mnie, prawie przy froncie ruin kościoła i niczym niezrażona deptała robaki, aż do ostatniego wyzdychały albo pouciekały. Przeczesałem ręką włosy i odwróciłem się do siostry plecami. Strzepnęła mi karalucha z ramienia i rozgniotła czubkiem buta, po czym obwieściła, że jestem odkaraluszony. Na niej nie znalazłem żadnego.

Ostrożnie wróciliśmy oboje do grobu. Odór był straszliwy. Schowałem usta i nos w kołnierz płaszcza i zajrzałem do dołu.

Zwłoki były owinięte w pomarańczowy całun. A przynajmniej taka wydawała się jego barwa; z pewnością zyskał ją, wchłaniając przez lata resztki tego, co skrywał. Na dnie trumny zalegała ziemia. Czy została tam umieszczona celowo, czy też przedostała się jakoś przez zbutwiałą trumnę – tego nie mogłem być pewien. Mimowolnie skojarzyło mi się to z ziemią, którą znaleźliśmy pod łóżkiem cioci Ellen, w skrzyni cuchnącej śmiercią, a jednak pełnej życia.

Wokół zwłok leżały różne przedmioty osobiste: książka, lusterko, szczotka, ubrania... Doprawdy dziwaczna zbieranina.

– Myślisz, że chciał zostać pochowany z tym wszystkim?

– Na to by wyglądało.

– Jak karaluchy oddychały tu na dole, pogrzebane w trumnie?

Na to pytanie brakowało mi odpowiedzi. W sumie czy karaluchy oddychają? Tak sadzę, ale nigdy nie studiowałem ich fizjologii. Najbardziej prawdopodobne

jest to, że doskonale radzą sobie pod ziemią, a może wykopywały się co jakiś czas, a potem wracały na dół? A może było z nimi tak jak z muchami w słoiku.

– Musimy podejść bliżej.

– Zostań tutaj, ja pójdę...

Ale Matylda już poszła i opuszczała się do grobu, by z chrzęstem wylądować na ziemi, zgniatając kilka pozostałych karaluchów.

Zakląłem pod nosem i dołączyłem do niej, starając się nie zaczepić o któryś z grubych korzeni, które uciałem łopata; wystawały ze ścian dołu jak paluchy z wściekłością próbujące złapać wszystko, co będzie je mijać.

– Muszę obejrzeć jego twarz – powiedziała Matylda, stojąca obok, ale ledwo widoczna w głębokim wykopie. – Bram, proszę.

Moją uwagę przykuło coś innego. Coś mi się nie zgadzało; z tymi zwłokami coś było nie tak. Ich kształt, długość ramion i nóg, proporcje – wszystko źle. Sięgnąłem do głowy i, wzdragając się, złapałem palcami całun. Był mokry w dotyku, jakby pokryty żółcią albo śluzem. Miałem podobne uczucie, jak gdybym włożył rękę w truchło jakiegoś stworzenia i złapał je za żołądek.

Wyjąłem tkaninę spod głowy i odwinąłem ją, a stojąca z tyłu Matylda wypuściła powietrze, gdy ukazało się to, co pod spodem. Widząc to, jednym ruchem ściągnąłem całun i wyrzuciłem go na ziemię gdzieś za nami.

– Kamienie, same kamienie – stwierdziła.

Tam, gdzie powinny być zwłoki, ułożono kamienie tak, by odzwierciedlały kształt ciała. Zakryte całunem tworzyły skuteczne złudzenie. A przy zamkniętym wieku zgadzała się też waga.

– Czyżby jego ciało skradziono i zastąpiono kamieniami?

– Jeśli to złodzieje grobów, po co mieliby sobie zadawać tyle trudu. Po prostu odłożyliby wieko na miejsce i zakopali trumnę albo w ogóle nie chciałoby im się tego robić – zastanawiała się Matylda. – W tej nigdy nie było ciała. Ktoś umieścił w niej kamienie, by oszukać tego, kto zajmował się pochówkiem O’Cuiva.

– Niewykluczone.

– Co o tym wszystkim myślisz? – Matylda wyjęła z otwartej trumny lusterko. Mama miała podobne, nazywała je zwierciadelkiem. To zrobiono ze złota i srebra; mimo że kompletnie zmatowiało, na pierwszy rzut oka było widać znakomite wykonanie.

– Na odwrocie coś jest napisane, tuż nad uchwytem. Dasz radę przeczytać?

Obróciła lusterko i podniosła je do mizernego światła przesączającego się z góry.

– *Für meine Liebe, die Gräfin Dolingen von Gratz.*

– To po niemiecku. „Dla mojej ukochanej, hrabiny Dolingen von Gratz” – przetłumaczyłem.

– Kto to taki?

– Nie mam pojęcia.

Matylda podniosła szczotkę.

– Tu jest ten sam napis.

Wyjąłem jej szczotkę z rąk i przejechałem palcami po inskrypcji.

– Może to jakieś pamiątki rodowe? – podsunęła Matylda.

– Należały do kobiety. Nie rozumiem, czemu by je chowano z Patrickiem O’Cuivem. Może należały do jego żony i ktoś umieścił je tu, żeby O’Cuiv nie zapomniał, czego się dopuścił? A może...

– Bramie – wtrąciła Matylda.

– Co?

Trzymała w ręku czarny płaszcz. Leżał zwinięty w nogach trumny, przy fałszywych stopach z kamienia.

– To płaszcz mamy. Ten, który ciocia Ellen miała na sobie, kiedy poszliśmy za nią na bagna.

Zanim zdążyłem się nie zgodzić, siostra włożyła palec w dziurkę na lewym rękawie. Tę samą, po której poznałem ten płaszcz wiele lat wcześniej. Był sfilcowany i znoszony, ale znajomy.

– Jak to możliwe? – usłyszałem własny głos. – Czy aby nie pochowali go, zanim widzieliśmy ją tamtej nocy?

– Trzeba by sprawdzić daty, ale myślę, że tak.

Oboje wpatrywaliśmy się w płaszcz przez parę chwil, niepewni, co powiedzieć. Nic nie miało tu sensu. Matylda nerwowo badała materiał palcami.

– W kieszeni coś jest.

Sięgnęła do środka i wyciągnęła przepiękny naszyjnik, złoty łańcuch z sercem wykładanym migocącymi diamentami, które otaczały rubin niewyobrażalnie wielkich rozmiarów.

– Coś niesamowitego. Mogę?

Matylda podała mi naszyjnik. Okazał się cięższy, niż się spodziewałem. I ten blask! Naprawdę nie mogłem oderwać wzroku. Klejnoty były najwyższej jakości i musiał je oprawić zdolny rzemieślnik, bo nie potrafiłem stwierdzić, co trzyma je razem na miejscu. Rubin był ciemnoczerwony; kiedy trzymałem go na dłoni, miałem nieodparte skojarzenie z kroplą krwi w morzu światła. Nawet nie próbowałem sobie wyobrazić, ile coś takiego mogło kosztować.

Oddałem naszyjnik Matyldzie. Delikatnie odłożyła go do trumny, na płaszcz.

– A co z książką?

Gdy ja byłem pochłonięty klejnotami, myśli mojej siostry wciąż koncentrowały się na płaszczu mamy, a jej palce wciąż nerwowo go obszukiwały. Odłożyła go, pełna obaw, i sięgnęła po książeczkę – już z miejsca, w którym siedziałem, widziałem, że jest stara i ma pożółkłe stronice. Matylda otworzyła na pierwszej stronie i przelatywała tekst wzrokiem, najpierw z szeroko rozwartymi oczyma, a potem z coraz bardziej zmrużonymi w miarę przewracania kartki po kartce.

– Co to jest?

– To pismo cioci Ellen, ale nie poznaję języka – stwierdziła Matylda.

– Mogę?

Podała mi książkę, a ja przyjrzałem się tekstowi. Ja też poznałem pismo cioci Ellen, nie mogło być wątpliwości, że to jej staranne pismo pełne zawijasów. W dzieciństwie widziałem je na wielu notatkach i listach, ale język również nic mi nie mówił.

Przewertowałem książkę i stwierdziłem, że jest zapełniona niemal w połowie. Wróciłem na pierwszą stronę, zatrzymałem się i przyjrzałem pierwszej linijce, bo mimo obcości języka znaczenie tego fragmentu było zrozumiałe. Była to data:

1654 október 12

LIST MATYLDY DO ELLEN CRONE Z 11 SIERPANIA 1868



NAJDROŻSZA ELLEN!

Ojej, od czego zacząć!

Dziś wieczorem Bram i ja zrobiliśmy coś, co jeszcze kilka tygodni temu wydałoby nam się nie do pomyślenia. Rozkopaliśmy grób Patricka O’Cuiva! Nie dość, że podjęliśmy się tak straszliwego zadania, to jeszcze wykonaliśmy je pod osłoną nocy długo po zamknięciu cmentarza. Robiliśmy to, drżąc na myśl o tym, że mógłby nas przyłapać strażnik, który, fakt faktem, nędnie wykonuje swoje obowiązki, ponieważ ani razu nie natknęliśmy się na jakiegokolwiek ślady jego obecności. Cała ta nasza konspiracja była naprawdę emocjonująca.

Muszę przyznać, że we wnętrzu tej sosnowej trumny napotkaliśmy skupisko najprzedziwniejszych przedmiotów. Wrócę do nich za chwilę, najpierw jednak chciałabym zwrócić uwagę na to, czego w skrzyni nie znaleźliśmy – a chodzi o zwłoki Patricka O’Cuiva. Jak podejrzewałam, Patrick O’Cuiv był w oczywisty sposób nieobecny we własnej kwaterze na cmentarzu! Ktoś zadał sobie trud umieszczenia w trumnie kamieni jako prymitywnego substytutu ciała oraz owinięcia ich w całun, tak właśnie było. Nawet półgłówek od razu poznałyby, że to nie człowiek. Jedynym powodem, dla którego ktoś umieszczałyby w ten sposób kamienie w trumnie, byłaby chęć oszukania grabarzy – mężczyzn dźwigających

trumnę do grobu i opuszczających ją do ziemi na wieczny odpoczynek – tak zatem właśnie musiało się to odbyć.

Nie mam najmniejszej wątpliwości, że mężczyzna zmarły niedawno w Dublinie to ten sam Patrick O’Cuiv, który był przypisany do rzezonego grobu. Jak udało mu się przeżyć, wymaga jeszcze ustalenia. Nie wiem też, w jaki sposób sfingował własną śmierć ani jak udało mu się nie postarzeć przez wszystkie późniejsze lata. Domyślam się, że miałybyś coś do powiedzenia na ten temat. Przedyskutujemy to we wszystkich szczegółach, kiedy Cię odnajdziemy; możesz być tego pewna.

Poświęćmy teraz chwilę na omówienie tego, co znaleźliśmy w miejscu niezbyt wiecznego spoczynku pana O’Cuiva. Na początek płaszcz mamy. Jak płaszcz, który ewidentnie ukradłaś naszej matce, pojawił się w tym grobie? Jak go tam wsadziłaś? I dlaczego? I co z lusterkiem i szczotką do włosów? Czy obie te rzeczy należały do Ciebie? A jeśli tak, to czy ukradłaś je hrabinie Dolingen von Gratz? Kim ona jest? Gdy tylko wrócimy do Dublina, planuję udać się do Biblioteki Marsha, żeby to dokładnie ustalić.

Spodziewam się, że hrabina chce odzyskać swój naszyjnik. Idealnie!

Niewiele nam brakuje. Z każdą chwilą jesteśmy coraz bliżej Ciebie.

Najbardziej zagadkowa ze wszystkich rzeczy była chyba książka. Napisana Twoim charakterem pisma, ale datowana na setki lat temu. Gdybym zobaczyła ją przed rokiem, wzięłabym ją za najzwyczajszą sztuczkę, ale biorąc pod uwagę bieg ostatnich wydarzeń...

Czy jest dla Ciebie ważna? Czy wszystkie te przedmioty mają dla Ciebie jakąś osobistą wartość?

Musisz wiedzieć, że je zabraliśmy. Płaszcz, lusterko, szczotkę, naszyjnik i książkę – wszystko. Ku konsternacji Brama zawinęłam wszystkie Twoje pamiątki w płaszcz mamy i wzięłam ze sobą.

Nie pozostawiliśmy jednak kamieni samych – zostawiłam w grobie wszystkie listy, które do Ciebie napisałam. Jeżeli wrócisz kiedyś po swoje rzeczy, w ich miejscu znajdziesz moje słowa czekające na Ciebie.

Bram i ja w pośpiechu zasypaliśmy dół i bez zwłoki udaliśmy się do miejsca, w którym umówiliśmy się z woźnicą Thornleya. Wspięliśmy się na mur, a po drugiej stronie, wśród topoli, zobaczyliśmy powóz, nie było jednak śladu po woźnicy. Konie wydawały się niespokojne; przestępowały z nogi na nogę, co znaczyło, że stoją tam już jakiś czas.

Bram polecił mi zostać przy pojeździe, podczas gdy sam rozglądał się w poszukiwaniu woźnicy. Patrzyłam, jak wychodzi na drogę, idzie aż do przeciwległego końca cmentarza i znika z pola widzenia. Sprawdziłam w środku, czy woźnica nie zostawił żadnego liściku, ale nic nie znalazłam. Wspięłam się więc na kozioł, gdyby tam coś dla nas było. Zostałam leżce, nie przywiązane jak należy, tylko opuszczone luzem na deski, jakby porzucone w panice. W tym momencie trafiłam na krew. Zaledwie kilka kropeł na siedzeniu i jeszcze parę na podpórce pod nogi, ale tyle wystarczyło, by wzbudzić moje obawy. Krople były świeże, miały nie więcej niż godzinę.

Od razu przyszły mi do głowy dwie możliwości: albo woźnica się skaleczył i poszedł szukać pomocy, albo został ranny w walce i pojmany. Pomijając krew, nie miałam powodów sądzić, żeby doszło do konfrontacji, ale mój umysł uczeplił się tej alternatywy i nie chciał odpuścić.

Zeskoczyłam z powozu, gotowa iść do Brama. I wtedy ją zobaczyłam.

Dziewczynka w wieku sześciu, góra siedmiu lat, z brązowymi włosami i promiennie zielonymi oczyma. Stała sztywno wyprostowana na środku drogi i wpatrywała się we mnie. Nie słyszałam, jak nadchodzi. Nie wydała też żadnego dźwięku, kiedy ją zobaczyłam; po prostu stała w ciszy. Miała na sobie ponury brązowy płaszcz z kapturem naciągniętym na głowę, ale nie na tyle, by jej twarz całkiem zniknęła w mroku. Wręcz przeciwnie – jej oblicze jaśniało, jak gdyby jej skóra pochłaniała światło księżyca i sama nim lśniła. Na pewno wbiła we mnie spojrzenie swoich oczu jasnych jak gwiazdy.

Od razu wiedziałam, że to ta sama dziewczyna, którą widzieliśmy pod jesionem przy Szpitalu Steevensa.

– Kim jesteś? – spytałam z nadzieją, że mój głos nie zdradza niepokoju, który mnie ogarnął. Jej oczy budziły we mnie instynktowne pragnienie ucieczki. Kiedy dziś myślę o tym spotkaniu, kojarzy mi się to z kotem przypatrującym się myszy, obserwującym swoją ofiarę.

– Czemu rozkopałaś grób mojego ojca? – Jej melodyjny głos niósł się po ulicy.

– Twojego ojca? – Połączyłam wiadomości z artykułów w gazetach sprzed lat. – Jesteś Maggie O’Cuiv?

Dziewczynka nie odpowiedziała, tylko wbijała we mnie spojrzenie ciemnych oczu. Zaryzykowałam krok w jej kierunku, ale w miarę jak się zbliżałam, ona cofała się o identyczną odległość. Nie brały w tym jednak udziału jej stopy – w ogóle nie widziałam, żeby się poruszały. Po prostu przesuwawała się, jakby unosił ją powietrzny dywan. Widząc to, mimowolnie zrobiłam gwałtowny wdech, a ona uznała moją reakcję za zabawną i uśmiechnęła się, odsłaniając zęby. Były bardzo białe, aż nienaturalnie. Jej skóra również wydała mi się dziwna – śmiertelnie blada i poznaczona żyłkami. Jej policzki, z początku rumiane, kiedy ją zobaczyłam, teraz blakły.

Wróciłam myślami do zaginionego woźnicy. Czy jakimś cudem ona mogła za to odpowiadać? Oczywiście bzdura. Ważył chyba nawet więcej niż Bram, a ona była drobniutka, miała jednak w sobie coś, od czego zjeżyły mi się włoski na karku.

– Twojego ojca nie ma w grobie, Maggie. Wiesz dlaczego?

Uśmiechnęła się szerzej.

– Może stoi za tobą?

Wiedziałam, że mówi coś równie diabolicznego po to, żeby mnie wyprowadzić z równowagi. Ani myślałam się odwracać i patrzeć za siebie; nie zamierzałam sprawić jej tej przyjemności.

– Może stoi dokładnie za tobą, gotów wyssać życiodajną krew z twojego ślicznego ciała.

Tak jak przedtem odpłynęła ode mnie, tak teraz przysunęła się na jakieś trzy stopy. Tylko delikatne powiewanie jej peleryny zdradzało jakikolwiek ruch, bo ona sama pozostawała całkowicie nieruchoma. Powietrze wokół nas wypełniła cisza. Nie słyszałam dźwięków miasta ani nocnych stworzeń; ani jednego świerszcza.

Z tej odległości jej spojrzenie – tak przeszywające i głodne – wydało mi się zniewalające. Chciałam odwrócić się od niej, ale odkryłam, że nie mogę. Mogłam tylko odwzajemnić spojrzenie.

– Mój ojciec by cię polubił – wyszeptwała. – Zawsze lubił takie jak ty.

– Gdzie jest Ellen Crone? – powiedziałam z wysiłkiem, nie chcąc, żeby strach w moim głosie był słyszalny. Jeśli nawet rozpoznała to nazwisko, nic w jej mimice tego nie zdradziło; ani drgnęła. Staralam się nie skupiać na rzeczach, które wzięłam z grobu Patricka O’Cuiva. Coś mi podpowiadało, że jeśli o nich pomyślę, ona się dowie. Wyłowi myśli wprost z mojej głowy i zabierze te rzeczy z powozu, a ja nie będę mogła jej powstrzymać. Kiedy więc te przedmioty próbowały wnikać do mojego umysłu, odepchnęłam je i skoncentrowałam się na Bramie, moim bracie, moim kochającym bracie. Krzyknęłam jego imię. Mój głos odbił się echem od czarnych ścian nocy. Krzyknęłam tak głośno, że stado kruków wzleciało z drzew dookoła nas i odfrunęło w mrok.

Ta dziewczyna – to coś, co było Maggie O’Cuiv – znów odpłynęła w tył, ale tylko troszkę, i wciąż była poza zasięgiem. Gdy to zobaczyłam, moja ręka powędrowała do piersi i przycisnęła do niej srebrny krzyżyk zawieszony na szyi. Poczułam ukłucie lodowatego metalu i niesione przezeń ukojenie. Intuicja kazała mi uciekać, przeskoczyć przez płot, wpaść do kościoła i zostać tam, dopóki dzień nie wygra bitwy o niebo, tymczasem nawet nie ruszyłam stopą.

Wtem zobaczyłam Brama. Wyłonił się zza rogu, biegł w moim kierunku. Odwróciłam wzrok od Maggie O’Cuiv ledwie na moment, lecz kiedy znów spojrzałam, jej już nie było; nic po niej nie zostało.

– Nie znalazłem go – powiedział Bram. – Gdziekolwiek poszedł, nie zostawił żadnych śladów.

Podeszłam do miejsca, w którym stała Maggie O’Cuiv, i obróciłam się powoli, przypatrując się drzewom i otoczeniu wokół.

Bram nie widział dziewczynki i przez chwilę wydawało mi się, że tylko sobie wyobraziłam to spotkanie. Niemniej i tak mu o nim powiedziałam, starając się nie opuścić żadnego szczegółu.

– Przyglądała się nam cały czas?

Pokręciłam głową.

– Nie wiem. Nie sędzę.

– I wciąż była dziewczynką? Dzieckiem?

Skinęłam głową.

Pokazałam mu krew na powozie, kropelki już przyschły, zostawiając na czarnej skórze ponure cętki. Bram zakrył je kocem.

– Bez woźnicy nie damy rady wrócić. Myślę, że powinniśmy wynająć pokój w gospodzie Carolana i jeśli rano woźnica się nie zjawi, zgłosić jego zaginięcie.

Zgodziłam się z jego propozycją. Nie uśmiechało mi się wracać dziś w nocy do Dublina. Chciałam przebywać w towarzystwie ludzi, jak najdalej od tego opuszczonego miejsca. Gospoda Carolana stała przy Howth Road, niedaleko od cmentarza. Miała spore stajnie ze wszelkim zaopatrzeniem dla koni. Jeśli woźnica zwyczajnie poszedł się przejść, bez trudu zobaczy stojący tam powóz.

Opisane wydarzenia miały miejsce dwie godziny temu, a teraz siedzę przy stoliczku w kącie naszego pokoju – wspólnego, bo byłam zbyt wytrącona z równowagi, by wziąć dla siebie osobny – i piszę ten list, kiedy Bram chrapie w łóżku. Biedak był wyczerpany po naszych dzisiejszych działaniach. Ja tymczasem ani myślę o spaniu.

Zamiast tego piszę do Ciebie. Piszę do Ciebie, podczas gdy rzeczy, które zabraliśmy z grobu O’Cuiva, leżą na blacie przede mną, a każda z nich niesie z sobą więcej pytań niż odpowiedzi.

Jeśli chcesz je odzyskać, to wiesz, gdzie nas szukać.

Tymczasem postaram się odpocząć. Jutro planuję dowiedzieć się, kim może w rzeczywistości być ta hrabina Dolingen von Gratz. Następnie zaś znajdę

kogoś, kto przeczyta i przetłumaczy Twoją książkę.

Mam nadzieję, że znalazłaś moje pozostałe listy, obecnie dwa metry pod ziemią. Liczę na to, że je przeczytasz i przyjdiesz do mnie. Wierzę, że jesteś blisko. Czuję to.

A może to ta córka O'Cuiva?

Z serdecznymi uściskami

Matylda

DZIENNIK BRAMA STOKERA



12 SIERPNI 1868, 2.23

Obudził mnie huk grzmotów.

Głośny piorun sięgnął głęboko w mój sen i nagle mnie z niego wydobył. Z początku nie wiedziałem, gdzie jestem; dziwny pokój, nieznajome łóżko. Dopiero kiedy wzrok przyzwyczaił mi się do ciemności, a sen się rozproszył, przypomniałem sobie o naszej decyzji, by spędzić noc w gospodzie.

Clontarf.

Byłem w Clontarf.

Bolało mnie gardło, jakby zaczynało się przeziębienie. Musiała to być tylko wyobraźnia, bo przecież nigdy nie zdarzało mi się chorować.

Usiadłem na łóżku, kiedy deszcz zaczął bębnić o szybę, najpierw parę kropel, potem znacznie więcej. Kilka minut później potop nadchodził ścianą deszczu. Kiedy pokój rozświetliły błyskawice, dostrzegłem Matyldę śpiącą przy stoliczku obok drzwi. Pojedyncza świeca, którą zapaliła, dawno temu zaskwierczała, zgasła i była już tylko kałużą wosku zastygłego na podstawie.

Na początku sen nie chciał do mnie przyjść i muszę przyznać, że trzeba mi było kilku łyków brandy, zanim udało mi się odpocząć. Wydarzenia tamtej nocy wydawały się po prostu złym snem, ale ja wiedziałem lepiej. O brzasku będziemy musieli wyruszyć na poszukiwanie woźnicy Thornleya. Nie wierzę w to, żeby tak po prostu sobie poszedł, a krew odkryta przez Matyldę na koźle

powozu jest bardzo niepokojąca. Tym bardziej w połączeniu z grobem O’Cuiva i tym, co znaleźliśmy w środku.

Wstałem z łóżka i podszedłem do Matyldy. Oddychała spokojnie. Chociaż znalazła w sobie siły, by zakleić kopertę, nim zapadła w sen, wciąż trzymała pióro w dłoni. Delikatnie wyjąłem je spomiędzy jej palców i wziąłem ją na rękę. Lekko się poruszyła, nie wybudzając się przy tym. Zaniósłem ją do łóżka i ostrożnie położyłem, po czym okryłem grubą kołdrą. Zapomniałem, jak zimno potrafiło być w Clontarf o tej porze roku, szczególnie tak blisko wody.

Bramie. Chodź do mnie, Bramie.

Gdy po raz pierwszy usłyszałem ten głos, obróciłem się, sądząc, że zastanę ją w pokoju, ale była w nim tylko Matylda, smacznie śpiąca kawałek dalej.

Tymczasem to był jej głos.

– Ciociu Ellen?

Wymówiłem jej imię, a słysząc swój głos, pojąłem, że jej głos jakimś sposobem dobiegał z mojego własnego umysłu, i podczas gdy mój brzmiał słabo w tym małym pokoju, jej wydawał się dochodzić ze wszystkich kierunków naraz, a jednocześnie z żadnego konkretnego.

– Gdzie jesteś?

Zerknąłem na drzwi – były zamknięte. W tym pokoiku nie było gdzie się schować.

Odchyliłem głowę i spojrzałem w sufit, bo przypomniała mi się ta potworna wizja z dzieciństwa. Nie było tam niczego oprócz popękanego tynku i pajęczyn.

Tutaj jestem, Bramie. W oknie.

Obróciłem się przodem do okna – jej twarz była kilka centymetrów od szyby. Deszcz spływał z jej włosów i ściekał po twarzy. Była niezwykle blada, nawet bledsza niż kiedykolwiek. Nie posunęła się w latach – zgodnie z relacjami Matyldy i Thornleya – nie wyglądała ani trochę starszej niż w dniu, kiedy odeszła.

Tymczasem niemożliwe, żeby była za oknem. Nasz pokój znajdował się na drugim piętrze gospody, bez balkonu ani tarasu, na którym można by stanąć. Od

frontu nie było gzymsów ani parapetów, tylko goła fasada z cegły.

Podniosła dłonie i przyłożyła je do szyby, poruszając wolno palcami, jakby chciała ją podrapać. Próbowałem podejść, ale strach mnie sparaliżował. Mogłem tylko patrzeć na nią, tylko się przyglądać.

Kiedy obok niej pojawiła się druga twarz, nabrałem powietrza. Była to dziewczynka z długimi ciemnymi włosami. Od razu rozpoznałem w niej postać sprzed szpitala. Z tego, co powiedziała mi Matylda, to była Maggie O'Cuiv.

Musisz wyjść na zewnątrz, Bramie. Muszę z tobą porozmawiać. Tyle czasu minęło.

Potwornie zaswędziała mnie ręka.

Ellen przyciągnęła mnie ku sobie w ten sam sposób co wtedy, gdy byłem mały, a ona przywołała mnie przez pola i lasy, bym ją odnalazł. Zacząłem cofać się w stronę drzwi, ostrożnie, krok po kroku, aż dotarłem do korytarza, a potem schodami na dół. Przeszedłem po cichu przez całą gospodę, po czym znalazłem się na przejmującym deszczu.

Ellen i dziewczynka nie były już przy oknie; zobaczyłem je po drugiej stronie ulicy. Trzymały się za ręce, obie były w płaszczach, które burza przemoczyła do suchej nitki. Zorientowałem się, że nie mam na sobie okrycia wierzchniego; stałem w deszczu w samej koszuli nocnej, boso na bruku.

Oto mój Bram! Chodź do nas, daj sobie pomoc.

Jej głos brzmiał tak słodko, był miodem dla moich uszu i chciałem znów go usłyszeć.

Pomóc sobie? Jak sobie pomóc? Zastanowiłem się nad tym przez ułamek sekundy, po czym zauważyłem, że przechodzę przez ulicę, jakby wiedziony na napiętej linii przez wspomnienia z dzieciństwa.

Jedynym miejscem, w jakim chciałem się znaleźć, były ich objęcia.

OBECNIE



ZOSTAŁ SAM.

Wilki nie wracają – a jeśli nawet wracają, Bram ich nie widzi. Stoi na posterunku przy oknie i zapamiętale pisze w dzienniku, w nadziei na udokumentowanie tego wszystkiego, co jeszcze może.

Za to słyszy je. Ich złowieszczy skowyt dobiega ze wszystkich stron nocy, a bestia za drzwiami co jakiś czas mu odpowiada – raz własnym skowytem, kiedy indziej tylko niezadowolonym pomrukiem – albo tylko nerwowo przebiera łapami. W którymś momencie zwierzę znów obwachało drzwi, najpierw u dołu, potem przesuając się wyżej, a potem na górze, daleko ponad głowę Brama. On nie rozumie, jak mogło to zrobić, i stara się nad tym nie zastanawiać.

Teraz bestia drapie w drzwi. Nie jak pies, który skrobie po czymś łapą, ale jak człowiek z długimi paznokciami, przeciąga z góry na dół i z powrotem. Bram wzdraga się na myśl o drzazgach wbijających się pod te paznokcie, ale ich właściciel przyciska jeszcze mocniej, nie bacząc na ból. Ten cykl powtarza się raz za razem. Kiedy drapanie ustaje, w pokoju zapada cisza.

Wtedy właśnie Bram go dostrzega.

Na kamieniu, o który rozbił buteleczkę z wodą święconą, stoi samotny mężczyzna. Jest wysoki i ubrany na czarno. Spod czarnego cylindra wypływają mu długie ciemne włosy, okalające blade oblicze. Ma na sobie pelerynę sięgającą do samego dołu, która powiewa na nocnym wietrze i łopocze u stóp. Mężczyzna patrzy w ziemię. Bram nie widzi jego twarzy, bo jej rysy zaciera cień. Kiedy

mężczyzna obraca głowę, te same cienie zdają się wędrować za nim, utrzymując go w nieustającym mroku.

Bram sięga do tyłu po karabin. Sam dotyk zimnej stali daje otuchę, choć wiadomo, że broń na niewiele się tu zda. Kimkolwiek lub czymkolwiek jest ten mężczyzna, niestraszne mu kule.

Przyszedł po nas, Bramie. Chce mnie, ale ciebie chce najbardziej ze wszystkich. Ja i ty nie różnimy się od siebie aż tak bardzo; w naszych żyłach w najlepsze płynie cudza krew.

Tym razem głos jest męski i nieznajomy.

Jeśli mnie uwolnisz, być może on cię oszczędzi.

Bram ani myśli zrobić coś takiego.

Odstawia karabin i wyciąga dwie ostatnie róże z koszyka, błogosławi je i kładzie jedną na parapecie.

Zaintrygowany ruchem albo samą czynnością mężczyzna patrzy w górę. Na jego cienkich czerwonych wargach pojawia się uśmiezek. Bram dostrzega pod nimi rząd białych zębów, które kojarzą mu się z wilkami oraz ich głodnymi kłami ociekającymi gęstą śliną.

Za drzwi znów dobiega chichot małej dziewczynki.

Mężczyzna przygląda mu się jak dotąd najdłużej, nieruchomy niczym posąg, a jego oczy skrzą się w świetle księżyca. Podnosi rękę i wskazuje na Brama, sięga po niego z daleka długimi, wyciągniętymi palcami.

Ręka Brama zaczyna wściekle swędzieć. Najpierw dwa małe ślady po ugryzieniach, potem przedramię, aż do barku. Tego objawu nie wywoływał dotąd nikt inny niż ciocia Ellen. Bram zamyka oczy i stara się ją uchwycić, ale nie wyczuwa jej obecności; jest tylko on, ten dziwny mężczyzna, który się w niego wpatruje.

Podłoga drży Bramowi pod stopami, a on prawie traci równowagę.

Palce mężczyzny wskazują bezpośrednio na Brama, a delikatne przebieganie koniuszkami palców ponownie wprawia pokój w vibrację. Krzyże podskakują na ścianach, dwa spadają na podłogę, a lustra drżą. Kiedy mężczyzna znów

porusza palcami, jedno z nich ześlizguje się z gwoźdźca i rozbija o posadzkę u stóp Brama. Pokój się trzęsie, wzbudzając kaskady kurzu z sufitu, a Bram nerwowo patrzy, jak pasta, którą oblepił drzwi dookoła, zaczyna się kruszyć i odpadać.

– Zejdź na dół, a cię oszczędzę – deklaruje mężczyzna. Mówi cicho, lecz mimo to Bram słyszy go doskonale. Podobnie jak głos zza drzwi, słowa mężczyzny jakimś sposobem przenikają prosto do umysłu Brama.

Bram zamyka oczy i zapada się w sobie. Wyobraża sobie niewidoczną bańkę, najpierw naokoło siebie, potem wokół całego pokoju; bańkę tak silną, że nawet kula z karabinu jej nie przebije. Zapada się, aż głos mężczyzny milknie. Zapada się, aż nie czuje już w ogóle bestii za drzwiami.

Wtedy do jego uszu dociera syk węża.

TELEGRAM POCZTOWY

NADAWCA: M. STOKER

GOSPODA CAROLANA

HOWTH ROAD 107

CLONTARF

ADRESAT: DR THORNLEY STOKER

HARCOURT STREET 43

DUBLIN

12 SIERPNIA 1868, GODZ. 3.12

KOCHANY BRACIE –

STAŁO SIĘ COŚ STRASZNEGO.

GRÓB – TAK JAK MYŚLELIŚMY.

BRAM RANNY.

CHYBA TRWA POŚCIG.

JEŚLI ODCZYTASZ, NIM WRÓCIMY, ŚLIJ POMOC.

– M

PAMIĘTNIK THORNLEYA STOKERA

(TRANSKRYPCJA STENOGRAMU)



13 SIERPNI 1868, 18.43

Odczuwam potrzebę udokumentowania wszystkiego, co się stało. W ostatnich dniach zaszło tak wiele, że trudno mi stwierdzić, od czego powinienem zacząć, sięgnę więc do wydarzeń dnia dzisiejszego.

Po raz kolejny obudziło mnie walenie w drzwi wejściowe mojego domu. W którymś momencie nocy zapadłem w sen, siedząc w fotelu przed nimi i obejmując karabin. W ciągu owych samotnych godzin psisko wracało wiele razy i za każdym razem obchodziło mój dom w bliższej odległości. Chociaż siedziałem bezpiecznie w środku, cały drżałem, kiedy pies stawał na chodniku przed domem i wpatrywał się we mnie swoimi czerwonymi ślepiami. Słyszałem, jak wydaje z siebie głębokie, łakome pomruki, ale tylko raz wyjrzałem przez okno. Chociaż trzymałem w ręku potężną broń, bestia wydawała się tak szybka, że nie miałbym nawet dość czasu, by wycelować.

Jak mówiłem, wybudziłem się ze snu. Nadszedł dzień, pies sobie poszedł, światło rozproszyło ciemności. Rozległo się pukanie do drzwi frontowych.

Otworzyłem i ponownie zastałem na progu Matyldę z Bramem, w ich oczach jednak zobaczyłem strach, który sam czułem zaledwie kilka godzin wcześniej, pośpiesznie zaprosiłem ich więc do wnętrza. Opisali przebieg swojej wyprawy do Clontarf i to, co odkryli w grobie O'Cuiva. Rozłożyli na stole znalezione tam

przedmioty. Mój woźnica jak dotąd się nie odnalazł. A to, co przydarzyło się Bramowi...

* * *

– CHCĘ TO USŁYSZEĆ jeszcze raz.

Matylda wzięła głęboki wdech.

– Obudziłam się i zobaczyłam, że drzwi do naszego pokoju są otwarte, a Bram zniknął. Na zewnątrz szalała burza, podeszłam do okna i zobaczyłam go...

– Proszę, Matyldo, mów dalej.

Matylda spojrzała na Brama, a on pokiwał głową. Ciągnęła dalej.

– Córka O’Cuivów trzymała go, a Ellen była przyssana do jego przegubu. A Bram... – W oczach siostry błysnęły łzy; próbowała je obetrzeć, by nie dać się porwać emocjom. – A Bram przyciskał do ust przegub Ellen. On... on pił z niej, tak jak ona piła z niego.

Mimo ogromnego skrepowania zmusiłem się, by spojrzeć na brata. Nie żebym miał na to ochotę – byłem przytłoczony uczuciami, które wywołała wizja Brama popełniającego taki czyn. Już po raz trzeci kazałem Matyldzie opowiadać tę całą historię, ale ani słowo się nie zmieniło, choćbym nie wiem jak tego chciał.

– A ty nic z tego nie pamiętasz? – spytałem.

Bram pokręcił głową.

– Pamiętam, że się obudziłem i zaniósłem Matyldę do łóżka. Pamiętam również początek ulewy, ale dalej jest pustka. Nie pamiętam niczego do momentu, gdy Matylda zawołała mnie po imieniu.

– Przebiegłam przez ulicę – wyjaśniła. – Prawie poślizgnęłam się na mokrym bruku i tylko na chwilę straciłam go z pola widzenia. Kiedy się odwróciłam, leżał na ziemi nieprzytomny, sam. Po Ellen i Maggie O’Cuiv nie było ani śladu.

– A Bram?

– Tak jak mówiłam: miał całe usta i nadgarstek we krwi, ale deszcz szybko się z tym uporał i zmył do czysta. Nie dawałam rady go ocucić, a próbowałam przez dziesięć minut. Dwóch mężczyzn idących do portu było na tyle uprzejmych, że pomogli mi zanieść go do pokoju. Powiedziałam im, że zasiedział się w pubie. Kiedy spał, właściciel gospody załatwił mi nowego woźnicę i skoro świt wyruszyliśmy w drogę. Bram odzyskał już przytomność, ale był oszołomiony. Minęło trochę czasu, zanim udało mi się nakłonić go, żeby wsiadł do powozu. Dzięki światłu dziennemu i świeżemu powietrzu zaczął dochodzić do siebie.

Zwróciłem się do Brama, wyciągając rękę:

– Pokaż ten nadgarstek.

Bram zawahał się przez chwilę, po czym wyciągnął ramię i odwrócił wewnętrzną stroną do góry.

Na wysokości żyły wyraźnie było widać dwa małe nakłucia, ale żadne z nich nie wyglądało na niedawno powstałe. Gdyby nie opowieść Matyldy, wziąłbym je za ślad starego skaleczenia, już prawie wygojonego. Dotknąłem go niepewnie.

– Boli?

– Nie – odparł Bram. – Swędzi. Zawsze tylko swędziało.

Jego odpowiedź wywołała moją konsternację.

– Więc to zdarzało się wcześniej?

Matylda i Bram spojrzeli na siebie. Mój brat skinął głową.

– Po raz pierwszy te ślady pojawiły się w noc, kiedy zostałem wyleczony jako dziecko. I od tej pory je mam.

– Dlaczego nic o tym nie mówiłeś?

– Ja wiedziałam... – powiedziała niepewnie Matylda. – Odkąd byliśmy mali.

Wcale mnie to nie zaskoczyło. W dzieciństwie nie byliśmy sobie bliscy z Bramem, z Matyldą zresztą też.

– To nie wszystko. – Matylda wzięła ze stołu nóż do listów i podała go naszemu bratu. – Pokaż mu, Bramie.

Bram wziął nóż i bez ociągania się zrobił sobie na ramieniu nacięcie długości niemal dziesięciu centymetrów.

– Co ty wyrabiasz? – krzyknąłem, wyciągnąłem chusteczkę z kieszeni na piersi i owinąłem ją wokół rany.

Bram spokojnie odłożył narzędzie na stolik z boku.

– To nie będzie potrzebne – powiedział, zdejmując chusteczkę przesiąkniętą krwią, i przetał nią skaleczenie.

Zamarłem z osłupienia. Rana zniknęła! Jediną pozostałość po niej stanowiła cienka różowa kreska, której po chwili również już nie było.

– Jak to możliwe?

Bram przysiadł na skraju sofy.

– Zawsze tak było, a przynajmniej od czasu, kiedy Ellen wyleczyła mnie w dzieciństwie.

– Od tamtej pory, to znaczy od tamtej nocy, nie przechorował ani dnia – podkreśliła Matylda.

Zmarszczyłem brwi.

– A zeszłej nocy? Co to miało być? Jakiś rodzaj terapii? Wymiana krwi?

Nikt nie zareagował na powątpiewanie w jego głosie; nie było takiej potrzeby. Wiedzieliśmy, że wszystko to prawda. Wziąłem głęboki wdech i z rezygnacją postanowiłem wyjawić im swój sekret.

– Muszę wam obojgu coś pokazać.

Poprowadziłem ich głównymi schodami na górę, do sypialni, w której Emily cichutko spała na poduszkach. Matylda i Bram zawahali się przed drzwiami, ale gestem poleciłem im wejść i stanąć przy łóżku. Na stoliku nocnym stała lampa olejna; zapaliłem knot i zbliżyłem płomień do szyi mojej żony. I do dwóch maleńkich nakłuc pokrytych zaschniętą krwią.

– Po raz pierwszy zobaczyłem je we wtorek wieczorem. Wydawało się, że już się goją, ale wczoraj w nocy coś na powrót otworzyło rany i zostawiło świeże ślady. Kiedy wracałem do domu, usłyszałem krzyk Ellen i zastałem ją omdlewającą przy łóżku. Krwawiła.

Bram pochylił się nad moją żoną.

– Są takie same jak u mnie, tyle że bardziej nierówne, jak gdyby goiły się wolniej. Czy zaobserwowałeś u niej coś takiego jak to, co pokazałem ci na dole?

– Nic podobnego. A nawet coś wręcz przeciwnego. Widzisz to małe skaleczenie na jej policzku? Zrobiła to sobie wczoraj podczas upadku; chyba uderzyła w słupek od łóżka. Nie bardzo chce się zagoić; miałem ogromne problemy z zatamowaniem krwawienia – odwrotnie niż w twoim przypadku. Dziś Ellen nie ruszyła się z łóżka. Wydaje się pogrążona w głębokim śnie. Próbowałem ją wcześniej obudzić – bez skutku. Nie ma gorączki, nie wykazuje żadnych zauważalnych objawów choroby, ale oddycha dość ciężko, no i przez cały weekend skarżyła się na bóle głowy. Nawet teraz ani drgnie. Kilka godzin temu mówiła coś, pogrążona w głębokim śnie, ale te słowa nie miały sensu. Wyglądała na bardzo poruszoną i niespokojną. Wymachiwała rękami i nogami z taką mocą, że nie mogłem jej utrzymać; zwołałem na pomoc dwoje służących. Kiedy wreszcie się uspokoiła, z powrotem zapadła w głęboki sen i sprawiała wrażenie, jakby odpłynęła jeszcze dalej. Obawiam się, że cokolwiek to jest, jej stan się pogarsza.

Matylda pochyliła się nad Emily, by przyjrzeć się ranie.

– Wątpię, żeby to była sprawka Ellen. Nie miałyby dość czasu, zważywszy, że pojechała za nami do Clontarf.

– Ja też sądzę, że to nie Ellen ponosi za to odpowiedzialność – zgodziłem się. – Tamtej nocy miałem również nieszczęście spotkać tego „mężczyznę w czerni”, o którym mówiła Emily. Chodźcie, wróćmy do biblioteki, opowiem wam więcej.

Godzinę później w otoczeniu książek z mojej kolekcji – a dokładnie tych, które uchroniły się przed furią Emily – zdradziłem im to, co stało się tamtej nocy, włączając w to śmierć strażnika i moje spotkanie z mężczyzną w czerni.

– A więc on teraz ma zwłoki Patricka O’Cuiva? – spytała Matylda.

– Tak mi się wydaje. Chyba że ktoś dopadł je pierwszy.

– Ale w jakim celu?

Wzruszyłem ramionami.

Bram poruszył drwa w kominku i dorzucił nowe polano. Świeże drewno strzeliło głośno i zajęło się ogniem od reszty.

– Czego ten mężczyzna mógłby chcieć od Ellen? Skąd miałby w ogóle wiedzieć, że ją znasz?

Kolejny raz nie znałem odpowiedzi.

– Wszystko to jest w jakiś sposób połączone – zauważyła Matyllda. – O’Cuiv, ten mężczyzna, Ellen i to, co zrobiła Bramowi.

– Oraz to, co ktoś z nich zrobił mojej Emily – dodałem.

– Tak, to też.

Matyllda przeszła przez pokój i wzięła czarny płaszcz, który wydobyli z grobu O’Cuiva. Umieściła go na okrągłym stoliku obok mojego fotela i ostrożnie rozłożyła materiał, ujawniając zawartość pakunku: lusterko, szczotkę, naszyjnik i książkę. Podała mi to ostatnie.

– Poznajesz ten język?

Otworzyłem książkę i zacząłem przerzucać strony.

– Ellen to napisała?

– Tak sądzimy – odparł Bram. – Pismo jest bardzo podobne do jej pisma, a może wręcz identyczne.

– Ale te daty...?

– Mają tyle sensu co i reszta tego wszystkiego – odrzekł Bram, rozkładając ręce.

– Czy poznajesz ten język? – naciskała Matyllda.

Owszem, wydawał mi się znajomy; nigdy się go nie uczyłem, ale widziałem go już wcześniej.

– To chyba może być węgierski. Mam pewien tekst medyczny... – Wstałem i podszedłem do półek wzdłuż wschodniej ściany biblioteki. Z górnej części trzeciego regału od prawej wyciągnąłem jedną z nich. Wróciłem do stolika i położyłem tom obok rękopisu znalezionej w grobie. – Oto egzemplarz „Orvosi Hetilap”⁷. Kupiłem go kilka lat temu, kiedy studiowałem za granicą. –

Przeleciałem wzrokiem po obu tekstach, starając się znaleźć podobieństwa. – Wiele słów jest podobnych. Tak, jestem przekonany, że to po węgiersku.

– A umiesz to przeczytać?

– Nie – odparłem. – Ale znam kogoś, kto potrafi i może rzucić trochę światła na wszystko inne.

– Kto to?

Zamknąłem okładki obu książek.

– Słyszeliście kiedyś o Klubie Ognia Piekielnych?

* * *

13 SIERPNIĄ 1868, 21.51

Z zaskoczeniem dowiedziałem się, że Bram słyszał o Klubie Ognia Piekielnych, ale nie znał jego rzeczywistej lokalizacji. Organizacja, którą kojarzył, gromadziła hulaków uczęszczających do Tawerny pod Orłem niedaleko Zamku Dublińskiego, w samym centrum miasta. Ci nicponie słynęli z nocnych zabaw, podczas których raczyli się grzaną whisky z masłem, znaną jako *scaltheen*, a potem wesolotcy i podchmieleni włóczyli się po mieście, myśląc, co by tu zbroić. Policja bała się ich ze względu na ich liczebność i skłonność do agresji, lecz to bynajmniej nie z nimi planowałem zaznajomić Brama i Matyldę w ten konkretny wieczór. Ta grupka znana jako Klub Ognia Piekielnych stanowiła tylko zasłonę dymną, którą członkowie prawdziwej organizacji wymyślili, żeby odwrócić od siebie uwagę, gdyby ktoś wspomniał o nich publicznie.

Prawdziwy Klub Ognia Piekielnych mieścił się w starym domku myśliwskim, który stał na szczycie Wzgórza Montpellier, wzniesiony przed stu laty przez Williama Connolly'ego, niegdysiejszego przewodniczącego irlandzkiej izby gmin. Była to wyjątkowa lokalizacja, ponieważ było stamtąd doskonale widać miasto, ale z dołu budowla pozostawała niewidoczna, podobnie jak strzeżona droga prowadząca na górę.

Jako lekarz zostałem wprowadzony do tego zgromadzenia przez mojego kolegę po fachu, doktora Charlesa Crokera, kiedy zatrudniłem się w Szpitalu

Swifta dla Obląkanych. Dostrzegł we mnie ciekawość i dążenia, które wykraczały poza nowoczesną wiedzę medyczną wykładaną w Queen's College, i stwierdził, że skorzystam z mądrych konwersacji i debat toczonych późną nocą w Klubie, a zwłaszcza w salach na piętrze, do których trzeba było mieć specjalne zaproszenie. Rozmowy te często schodziły na tematy związane z siłami nadprzyrodzonymi i okultyzmem. W dyskusjach omawiano teorie medyczne tak niezwykle, że przy nich wizje Mary Shelley zdałyby się równie powściągliwe co zwykły podręcznik medyczny.

Niezbyt często uczestniczyłem w tych spotkaniach, gdyż ich przedmiot wydawał mi się tak niepokojący, że po choćby jednej tego typu sesji nie mogłem spać przez ileś nocy. Podczas jednej z takich okazji poznałem mężczyznę, którego miałem nadzieję spotkać dzisiaj, węgierskiego profesora nazwiskiem Arminius Vámbéry.

– Myślisz, że ten Vámbéry nam pomoże? – spytała Matylda, przerywając krępującą ciszę, która zaległa w powozie. Mojego woźnicy wciąż nie było i zastępował go jego syn. Gestem poleciłem Matyldzie zniżyć głos, bo nie znałem tego chłopaka tak dobrze jak jego ojca i wołałem, żeby nie usłyszał za wiele o naszych planach.

Popukałem w okładkę książki, którą Matylda i Bram wydobyli z trumny O'Cuiva.

– Jestem pewien, że ten tekst spisano po węgiersku, a Vámbéry bez trudu nam to przetłumaczy. Świetnie zna się też na czarnej magii.

– I ty mu ufasz? – zdziwiła się Matylda. – Mimo tego wszystkiego?

Pokiwałem głową.

– Znam go od czasów studiów medycznych. Przez wszystkie te lata podzielił się ze mną strasznymi opowieściami, a ja z nim wieloma tajemnicami. Nie puścił pary z ust na temat żadnej z nich. Zawierzyłbym temu człowiekowi własne życie.

– Dlaczego więc nigdy wcześniej o nim nie wspominałeś? – dociekał Bram.

– Sprawy omawiane w Klubie Ognia Piekielnych na zawsze pozostają w jego ścianach; tak brzmi złota zasada. Wyjawienie tego, czego dowiesz się w Klubie, może oznaczać dożywotni zakaz członkostwa, a czasem i gorzej.

– Gorzej?

– Słyszałem o ludziach – mówiłem cicho – którzy przepadli za samo wymienienie nazwisk pozostałych członków, a co dopiero mówić o rozgłaszaniu tajemnic Klubu. Można w nim spotkać ludzi z wyższych sfer swobodnie dyskutujących z przedstawicielami klasy pracującej; czasem zjawiają się nawet członkowie rodziny królewskiej. Przy kuflu piwa rozprawiają o rzeczach, o których w innych kręgach nawet się nie wspomina, ale jeśli następnego dnia wpadniesz na ulicy na któregoś z klubowiczów, to co najwyżej skinie ci na powitanie. Nic nigdy, przenigdy nie wychodzi poza Klub.

Matylda zmarszczyła brwi z zatroskaniem.

– Skoro ten klub jest taki tajemniczy, to jak zamierzasz przemycić do niego Brama i mnie?

– O ile jesteście w moim towarzystwie, mogę załatwić wam wstęp. O to się już nie martwicie.

– Nasz brat wielki pan – zachichotała kpiąco Matylda. – Kto by się tego spodziewał, kiedy przewracałeś gnój w naszej oborze w Clontarf!

Powóz zwolnił, wchodząc w zakręt na wzgórzu, po czym zatrzymał się, dotarłszy do pierwszego punktu kontrolnego. Rozległy się dwa szybkie puknięcia do drzwi, na które odpowiedziałem pięcioma. Potem usłyszeliśmy jedno puknięcie, na które zareagowałem kolejnymi trzema. Chwilę później powóz znów toczył się naprzód. Bram i Matylda wpatrywali się we mnie uważnie; moja siostra szczyrzyła się jak kot, który połknął kanarka. Pięć minut później stanęliśmy przy drugim posterunku. Tym razem zza drzwi dobiegł głos:

– Hasło?

Pochyliłem się do przodu i wypowiedziałem sekretne słowo:

– Rękawiczka.

Powóz ruszył i dalej jechał pod górę.

– Nie otwierają drzwi? – zapytała Matylda. – To skąd wiedzą, kto jest w środku?

– O to właśnie chodzi: nikt nie ma wiedzieć, kto przyjeżdża danym powozem. To środek ostrożności, który pomaga zapewnić członkom anonimowość. Nikt nie zobaczy twojej twarzy, dopóki nie wylądujesz bezpiecznie w Klubie. Ta sama dyskrecja obowiązuje również przy wyjeździe. Wielu klubowiczów woli wynająć powóz dwukołowy, zamiast brać własny, aby mieć pewność, że nikt ich nie zidentyfikuje na podstawie ich własnego pojazdu.

Matylda zmarszczyła brwi.

– Czy ci ludzie chowają się w krzakach, czy mają budki strażnicze przy drodze?

Wzruszyłem ramionami.

– Powiedzieli, że nie wolno patrzeć, to nie patrzę.

– Chłopcy mają przedziwne zabawy – skwitowała Matylda, zerkając pod zasłonkę zakrywającą okno.

Kiedy powóz dotarł na sam szczyt, domyśliłem się, że objechał budynek i stanął pod bocznym wejściem. Chwyciłem za klamkę.

– Chodźmy.

Wysiadłem i podałem rękę Matyldzie, żeby ułatwić jej zejście po stopniach.

Bram rozejrzał się po niewielkiej przestrzeni otoczonej murem.

– Dyskrecja zobowiązuje.

Miał oczywiście rację. Boczne wejście do Klubu Ogni Piekielnych zostało wbudowane pomiędzy dwie ściany, a nad nim był daszek przylegający niemal aż do drzwi powozu. Po bokach ciężkie zasłony chroniły przed światem i wyznaczały ścieżkę z pojazdu do Klubu tak, aby oczy ciekawskich nie mogły zerknąć ani na zewnątrz, ani do środka.

Lokalizacja tego przybytku jest pilnie strzeżonym sekretem, a boczne wejście pozwala na dowóz gości bez zdradzania adresu.

– Chodźcie, tędy.

Poprowadziłem ich przez krótki tunel oświetlony lampami gazowymi umieszczonymi na kamiennych ścianach po obu stronach. Z przodu dobiegały głosy kilkunastu osób, może więcej. Zawsze miałem kłopot z określeniem ich liczby z uwagi na sposób, w jaki dźwięk odbijał się od ścian.

Kiedy wkroczyliśmy do głównego hallu na parterze, wszyscy skierowali na nas wzrok, zwłaszcza na Matyldę i Brama, ponieważ mnie rozpoznało sporo znajomych twarzy. Nie wymieniliśmy żadnych słownych pozdrowień, to bowiem nie było w zwyczaju. Co najwyżej mogło się zdarzyć lekkie skinienie głowy.

– Czy to jest...? – spytała cicho Matylda.

Spojrzałem w miejsce, na które patrzyła. Całkiem atrakcyjny mężczyzna stał w grupce czterech innych, prowadzili ożywioną dyskusję. Nie rozumiałem, co mówi, ale sądząc po jego zaczerwienionej twarzy, temat raczej nie należał do przyjemnych.

– Tak, to Arthur Guinness. Mężczyzna, do którego teraz mówi, to William Wilde, ojciec Williego i Oscara. Zapowiada się interesująco.

– Ożeż ty – mruknął pod nosem Bram zza moich pleców.

Odwróciłem się do niego.

– Co się dzieje?

– Mężczyzna w kącie, ten z cygarem, to Sheridan Le Fanu.

– Właściciel „Evening Mail”?

Bram pokiwał głową.

– A także redaktor. Najlepiej by było, gdyby mnie tu nie zauważył. Wciąż zalegam z recenzją dla niego.

Wziąłem Brama i Matyldę pod ręce i poprowadziłem ich przez tłum, trzymając się z daleka od Le Fanu, aż dotarliśmy do klatki schodowej na tyłach pokoju. Przed schodami tkwił zwalisty mężczyzna w czarnym meloniku i zastawiał nam drogę na piętro. Przyjrzał się naszej trójce z ciekawością, nieco dłużej zatrzymując wzrok na mojej siostrze. Wąsy miał takie jak brwi – gęste, czarne i krzaczaste. Próby okiełznania ich za pomocą wosku sprawiły, że

przypadkowe włosy sterczały w wyrazie protestu. Wciąż unosił do nich dłoń i usiłował wygładzić ten busz, ale jego starania tylko pogarszały sprawę.

– Na górę mają wstęp tylko wybrani członkowie – przemówił nareszcie z mocnym irlandzkim akcentem.

– Przyszliśmy do pana Arminiusa Vámbéryego – poinformowałem. – Spodziewa się nas.

Mężczyzna przez chwilę trawił moje słowa.

– Proszę tu poczekać.

Wszedł na górę, odciążając prawą nogę, na którą wyraźnie kulał.

– Dałeś znać Vámbéryemu? Jak to możliwe, że nas oczekuje? – dociekała Matylda.

– Dawać znać Vámbéryemu to jak wysłać sygnał dymny i kazać mu skręcić na zachód przed szczytem wzgórza. Ten człowiek nie ma stałego adresu ani skrzynki pocztowej do odbioru listów, telegramów czy wiadomości. Nikt nie wie, gdzie jego zmęczona głowa spoczywa nocą. Kiedyś powiedział mi, że nigdy nie śpi dwa razy w tym samym miejscu. Nie mam nawet pewności, czy Vámbéry to jego prawdziwe nazwisko. Większość uważa, że to ktoś w rodzaju szpiega pracującego dla rządu, ale oczywiście nie ma dowodów ani na poparcie tej teorii, ani przeciw niej. Ten człowiek zawsze posiada najbardziej niezwykle informacje, wobec czego nauczał w wielu szkołach wyższych. W rzeczy samej, rozmowa z nim jest trochę jak rozmowa z żywym wcieleniem biblioteki. Nie znalazłem dotąd tematu, na który nie umiałby się wypowiedzieć z pełnym przekonaniem.

Mężczyzna w meloniku wrócił, ostrożnie stąpając po schodkach, żeby oszczędzić chorą nogę.

– Pan Vámbéry oczekuje w Pokoju Zielonym.

Odsunął się, a my weszliśmy na górę.

* * *

DRZWI DO POKOJU ZIELONEGO znajdowały się na końcu korytarza. Podczas wizyt w Klubie Ognia Piekielnych Vámbéry korzystał z tego pomieszczenia najchętniej.

Zastaliśmy go w środku, siedzącego u szczytu wielkiego stołu, w obecności dwóch dżentelmenów, których nie rozpoznałem. Kiedy weszliśmy do pokoju, obaj mężczyźni po prostu wstali i wyszli; bez słowa powitania ani pożegnania. Minęli nas i udali się w kierunku schodów prowadzących na parter.

– Wejdz, przyjacielu! – powiedział Vámbéry. – Wspaniale znów cię widzieć!

Vámbéry był mniej więcej mojego wzrostu i wyglądał na co najmniej o dziesięć lat starszego. Ciemne włosy miał krótko przystrzyżone, podobnie jak brodę i wąsy. Słyszałem kiedyś, że zarówno broda, jak i wąsy są sztuczne i doklejone, dzięki czemu ich posiadacz może szybko zmienić wygląd. Przez cały czas spędzony z tym człowiekiem nie zauważyłem jednak niczego, co wskazywałoby na ich nieautentyczność.

– Zamknijcie, proszę, drzwi – poprosił.

Bram spełnił jego życzenie; zamek zatrzasnął się z cichym szczęknięciem.

Vámbéry ujął dłoń Matyldy i delikatnie podniósł ją do ust.

– Kim jest ta piękna młoda dama?

Policzki Matyldy pokryły się rumieńcem.

– Myślałam, że w tym klubie unika się nazwisk.

Vámbéry wzruszył ramionami.

– Wiekowi, staroświeccy członkowie chcieliby, żebyśmy wszyscy przestrzegali tej zasady, ale ja tam zawsze wolę wiedzieć, z kim rozmawiam, zwłaszcza jeżeli mam do czynienia z osobą tak promienną jak pani.

– To moja siostra Matylda – wyjaśniłem. – A to jest Bram.

Przykrył dłoń Matyldy swoją dłonią.

– Bardzo mi miło. – Następnie odwrócił się do Brama: – A panu jak się podoba praca na Zamku Dublińskim?

Bram przechylił głowę.

– Skąd pan wie, gdzie jestem zatrudniony?

– Postawiłem sobie za cel znać wszystkich przedstawicieli władz, od samej góry począwszy, a na zwykłych urzędnikach skończywszy. Słyszałem o panu dobre rzeczy, Bramie. Wygląda na to, że może wreszcie panu uda się

wprowadzić trochę ładu do biura sądu rejonowego. Nie mogę się doczekać pańskich dalszych poczynań. Pana ojca również darzę wielką sympatią. Żywię dla niego głęboki szacunek. Dla pańskiego brata również; nie ma w Dublinie drugiego równie znakomitego lekarza.

Przez tylne drzwi wszedł lokaj i postawił na stole tacę z całym wachlarzem wędlin i serów. Przyniósł również trzy filiżanki ze spodkami oraz czarny dzbanek, nad którego dzióbkiem unosiła się para.

– Zapraszam na podwieczorek – powiedział Vámbéry. – Bardzo polubiłem ten konkretny gatunek aromatycznej herbaty w czasie podróży po Bałkanach. Choćby nie wiem jak spartański był mój bagaż, musiałem zawsze mieć przy sobie imbryczek, filiżanki i spodki. Częstujcie się, proszę. Jeśli nie będzie wam smakować, każę zaparzyć kawy.

Herbata okazała się całkiem dobra, o czym zaraz poinformowałem gospodarza; Matylda i Bram zgodzili się ze mną.

Vámbéry wskazał na stół.

– Siadajcie, proszę. Powiedzcie, czym mogę wam służyć.

Niewinne pytanie, ale w sprawach takich jak ta nie wiadomo, jak zabrać się do rzeczy. Odwróciłem się do Matyldy i Brama, którzy spojrzeli na mnie, i żadne z nas nie miało pewności, od czego zacząć. Zajęliśmy miejsca przy stole.

Po mniej więcej minucie Vámbéry przerwał ciszę:

– Przez lata, które spędziłem na tej planecie, zabiłem siedmioro ludzi, z czego pięcioro w samoobronie, a pozostałych, cóż, w innych okolicznościach.

Ukradkiem zerknąłem w prawo – wzrok Brama na chwilę spotkał się z moim. Matylda siedziała z otwartymi ustami. Szybko je zamknęła. Nawet jeśli Vámbéry to zauważył, nie dał tego po sobie poznać i kontynuował, nie tracąc rytmu:

– Byłem świadkiem zbrodni zbyt potwornych, by opisywać je w szczegółach w obecności damy, i napotkałem stworzenia, o których wcześniej myślano, że istnieją tylko w dziecięcych koszmarach sennych. Poznałem królów o ptasich mózdkach i polityków ukrywających w szafach więcej szkieletów niż żona grabarza. Szpiegowałem rządy i ludzi dla innych rządów i ludzi i sownie mnie

za to wynagradzano. Widziałem na tym świecie masę rzeczy, a mimo to wiem, że jest o wiele więcej rzeczy do obejrzenia, niż kiedykolwiek zdołam. Świadom tego wszystkiego, chwytam każdą chwilę w nadziei, że każdego dnia nauczę się czegoś nowego. – Pochylił się nad stołem i pociągnął łyk herbaty. – Mówię wam o tym nie po to, by zrobić na was wrażenie, lecz by dodać wam otuchy. Tutaj nie ma tajemnic ani rzeczy, którymi nie moglibyście się ze mną podzielić, jestem bowiem absolutnie przekonany, że wszystko, co powiemy, pozostanie w tych ścianach i nie dotrze do nikogo innego. – Odstawił filiżankę na stół i rozsiadł się w fotelu. – W obecności waszej trójki przyznałem się do morderstw. Teraz każde z was musi w zamian wyznać jakąś tajemnicę, coś, czego w normalnych warunkach nigdy byście nikomu nie ujawnili; coś, co pozostali będą mogli dzierżyć niczym swojego rodzaju klucz, klucz do zamka, który będzie spinać nas ze sobą od teraz do końca naszych dni, gdyż wyjawienie osobie trzeciej jednego z tych sekretów otworzyłoby drogę do wyjawienia wszystkich naszych sekretów.

W Klubie Ognia Piekielnych takie paktety były powszechne i słyszałem już przedtem tę przemowę Vámbéryego. Muszę jednak przyznać, że poprzednim razem przyznał się tylko do sześciu morderstw.

Odwróciłem się do Brama i Matyldy.

– Kiedy byłem na medycynie, razem z trójką innych studentów wykopaliśmy szczątki zmarłego krótko wcześniej Hermana Hortwhithera i przenieśliśmy je do opuszczonego magazynu na obrzeżach Dublina, żeby się uczyć. Spędziliśmy tam trzy dni na krojeniu biedaczyny, najpierw, żeby upewnić się, jak umarł, a potem, żeby poznać działanie jego organizmu. Staraliśmy się to robić z wprawą i z najwyższym szacunkiem, ale jako że to była nasza pierwsza autopsja, nie wykazaliśmy się ani jednym, ani drugim. Szczerze mówiąc, zamieniliśmy pana Hortwhithera w jakiś pożałowania godny pasztet. Po ukończeniu naszego chybionego przedsięwzięcia powód jego zgonu wciąż pozostawał dla nas tajemnicą, a chociaż badanie jego narządów okazało się kształcące, mieliśmy jeszcze więcej niewiadomych niż przedtem. Pod koniec następnego tygodnia wróciliśmy na cmentarz i wykopaliśmy ciało Lily Butler, miejscowej prostytutki,

która w wieku lat szesnastu zmarła z nieznanых przyczyn. Zanieśliśmy ją do tego samego magazynu i zabraliśmy się do sekcji, tym razem z większą wprawą niż w pierwszym przypadku. Ze smutkiem muszę stwierdzić, że organizowaliśmy takie wypadki przez większą część roku. Mieliśmy jednak dość niewielki wybór; Królewskie Kolegium Chirurgów udostępniało nieliczne ciała, zaledwie jedno na trzydziestkę albo czterdziestkę studentów, i bez tych dodatkowych okazji do nauki nie byłbym w stanie opanować rzemiosła medycznego. Co rok wracam na cmentarz, kładę różę na każdym grobie, który zbeczcziłem, i modlę się za każdą duszę, której spokój zakłóciłem, z nadzieją na to, że w jakiś sposób ci zmarli zrozumieją, że wiedza zdobyta dzięki każdemu z nich dała mi umiejętności potrzebne, by ratować życie innych.

Skończywszy, starałem się nie patrzeć na moje rodzeństwo; zamiast tego gapiłem się na dno filizanki i usiłowałem przepędzić straszliwe obrazy, które nawiedzały mnie rok po roku, i myśli, które chciałbym zapomnieć.

Następnie przemówiła Matylda, a kiedy zaczęła, jej głos przypominał mi to, jak brzmiała w dzieciństwie; inaczej niż kobieta, którą teraz była.

– Kiedy miałam siedemnaście lat, brałam udział w balu Królewskiego Towarzystwa Dublińskiego w Leinster House. Mama i tata nie mieli pojęcia, że się na niego wybieram; powiedziałam im, że odwiedzam moją przyjaciółkę, Philippę Ferguson, a ona powiedziała swoim rodzicom, że nocuje u mnie, ponieważ planowałyśmy powrót dopiero o świcie. Nie uśmiechało mi się okłamywać najbliższych, bo rzadko to robiłam, ale bywali tak opiekuńczy, że to był jedyny sposób, żeby na chwilę wyrwać się spod ich kontroli. Philippa i ja ubrałyśmy się w sukienki pożyczone od jej starszej siostry, Amelii. Ułożyłyśmy sobie nawzajem włosy i szczypałyśmy się w policzki, aż się zarumieniały. Gdy skończyłyśmy przygotowania, obie wyglądałyśmy na starsze niż w rzeczywistości – a przynajmniej tak nam się wydawało. Wyruszyłyśmy do Leinster House dwukołowym powozem. Philippa zawsze była piękna, ale tamtego konkretnego wieczoru dosłownie promieniała. Ja chyba też trochę promieniałam, gdyż niebawem do nas obu ustawiły się kolejki zalotników, by

poprosić nas do tańca. W tej sytuacji nie mogliśmy poświęcać sobie za dużo uwagi i w tłumie niebawem straciłam ją z oczu, ale bawiłam się tak wspaniale, że nie zaprzętałam sobie tym głowy. Philippa nie mogła odejść daleko i założyłam, że tańczy sobie gdzieś poza zasięgiem mojego wzroku. Minęły trzy godziny, potem cztery. Wtedy zaczęłam się martwić. Było późno, goście się wykruszyli, a mimo to nie mogłam wypatrzeć przyjaciółki. Kiedy pytałam panów, z którymi tańczyła tego wieczoru, każdy odpowiadał, że nie widział jej już od dłuższego czasu. Kiedy zegar wybił północ, co oznaczało koniec balu, Philippy wciąż nie było. Zastanawiałam się, czy nie wrócić dwukólką do niej do domu, ale wiedziałam, że nie wróciłyby beze mnie, więc zamiast tego poszłam na spacer po rozległym ogrodzie. Przy jego tylnym murze usłyszałam jej płacz. Z początku nie potrafiłam określić, skąd dobiega szloch, i pomyślałam nawet, że tylko go sobie wyobraziłam, ale wtedy zauważyłam ją skuloną w altanie przy ogrodzie różanym. Podeszłam do niej szybko i wzięłam w ramiona, szczęśliwa, że ją odnalazłam, ale ona odsunęła się ode mnie, a w oczach miała przerażenie. Kiedy dotarło do niej, że to ja, uspokoiła się nieco. Z oczu popłynęły jej obfite łzy, a ciałem wstrząsały dreszcze. Przez jakiś czas siedziałyśmy tak przytulone, a kiedy wreszcie była w stanie mówić, opowiedziała mi przerażającą historię. Jeden z zalotników, który przedstawił się jako Thomas Hall, zabrał ją na przechadzkę po ogrodzie. Najpierw – mówiła – było cudownie: trzymając się za ręce, szli wśród kwiatów, on mówił o swoich podróżach po Irlandii, Zjednoczonym Królestwie i Ameryce, dokąd to udawał się przy różnych okazjach i następnym razem chętnie zabrałby ją ze sobą. Przez ten krótki czas, który spędzili razem, sprawił, że poczuła, jakby przyjaźnili się od lat. Kiedy dotarli do altany, objął ją i pocałował – głęboko i namiętnie, tak jak pragnie każda dziewczyna, i Philippa sądziła, że oto znalazła prawdziwą miłość. Kiedy pierwszy pocałunek dobiegł końca, pocałował ją ponownie, i jeszcze raz, a wkrótce jego usta zawędrowały na jej szyję i piersi. Chociaż czuła do niego duży pociąg, wiedziała, że muszą się powstrzymać, i powiedziała mu to, ale on nie posłuchał. Zamiast tego złapał ją jeszcze mocniej i wymusił na niej kolejny

pocałunek. Wtedy zobaczyłam, że jej sukienka jest podarta. Philippa ręką podtrzymywała materiał oberwany na piersi. Opowiedziała mi o strasznych rzeczach, jakie jej zrobił, choć ona bez przerwy błagała, by przestał. Raz po raz prosiła i prosiła, a on ją ignorował, aż wreszcie uderzył ją w twarz i kazał jej nie pisnąć ani słowa, bo inaczej zabije ją tu, gdzie leży, na podłodze altany. Trwało to prawie dwadzieścia minut, a moja przyjaciółka Philippa cały czas milczała. Kiedy w końcu było po wszystkim, kazał jej zostać na miejscu, dopóki orkiestra nie przestanie grać. I miała nigdy nikomu nie mówić o tym, co się stało, bo jak nie, to znajdzie ją i wydusi z niej życie. Wypowiedziawszy tę groźbę, odszedł. Zostawił ją tam i rozpląnął się w mroku. Philippa zrobiła, jak jej kazał: pozostała w altanie, aż zjawiłam się ja.

Oczy Matyldy zrobiły się czerwone i napełniły się łzami, zwalczyła jednak szloch i mówiła dalej:

– Gdybym z nią została, gdybym pilnowała jej tak, jak sobie obiecywałyśmy, nigdy by do tego nie doszło. Wiedziałam, że to moja wina, choć ona zapewniała mnie, że to nieprawda. Zatrzymałyśmy się na noc w gospodzie, a rano wróciłyśmy do domu Philippy. Na miejscu umyła twarz, uczesała włosy, spaliła suknię w kominku, powlekła się do łóżka i poprosiła, żebym już sobie poszła. W następnym tygodniu dwa razy do niej przychodziłam, ale nie chciała mnie przyjąć. Chociaż twierdziła, że mnie nie wini, to jednak wiedziałam, że robi to, bo ja sama już to robiłam. Miesiąc później wyjechała do Londynu, by zamieszkać z ciotką. Nigdy więcej jej nie widziałam, ale wciąż noszę w sercu jej wspomnienie.

Bram położył dłoń na dłoni Matyldy i ścisnął ją.

– To nie była twoja wina. Nie mogłaś tego przewidzieć. Cieszę się, że przynajmniej nie przydarzyło się to tobie.

– Żałuję, że nie przydarzyło się to mnie – odparła Matylda. – Byłoby mi łatwiej żyć z tym niż z wyrzutami sumienia. Prawdziwy przyjaciel nie opuszcza swojego przyjaciela. Zabiorę tę przewinę ze sobą do grobu.

– To nie czas i miejsce na sąd, tylko na wyznania – uściślił Vámbéry. – Wykazała się pani siłą, dzieląc się z nami taką opowieścią, i czuję się zaszczycony, że mogliśmy się poznać.

Następnie Vámbéry zwrócił się do mojego brata:

– A pan? Domyślam się, że jako brat Thornleya Stokera wie pan życie wypełnione po brzegi rzeczami nadającymi się do wyznania.

Bram przez jakiś czas wpatrywał się w jedną z lamp gazowych, a potem w każde z nas po kolei.

– Kiedy byłem mały, ciężko chorowałem. Często myślałem, że jestem u progu śmierci. Rodzice sprowadzali do mnie rozlicznych lekarzy, ale żaden nie umiał postawić diagnozy. Choroba uwięziła mnie w moim pokoju, przykuła do łóżka. W wieku siedmiu lat, w noc, która mogła być moją ostatnią, znalazłem się w pokoju sam na sam z moją... – przerwał na chwilę i zerknął na Matyldę i na mnie – z naszą nianią. Poprosiła, żebym jej zaufałem, a ja zrobiłem to. Zaufałem jej, złożony gorączką. Wtedy ugryzła mnie w przegub i wyciągnęła z moich żył krew do swoich ust. Spuściła ze mnie tyle krwi, że obawiałem się śmierci z jej utraty. Wówczas – gdy widzenie zaczynał mi przesłaniać czarny welon – podniosła swój nadgarstek do moich warg. Nacięła skórę, tak aby umożliwić wypływ krwi, a ja, niech mi Bóg przebaczy, piłem z niej. Piłem, aż już więcej nie mogłem. Kiedy obudziłem się nazajutrz rano, choroba była już uleczona. Byłem zdrowszy niż kiedykolwiek przedtem. Wkrótce potem nasza niania odeszła. A ja nigdy więcej już nie chorowałem. Nawet jeśli poczuję zbliżającą się chorobę, ten stan zaraz mija.

Matylda złapała go za rękę i uścisnęła, ale Bram ją odtrącił.

– Jest coś jeszcze; coś, czego nikomu nie powiedziałem. Coś, co chciałem ci wyjawić, ale nigdy nie znalazłem w sobie wystarczającej odwagi. Ale boję się, że jeśli nie powiem ci tego teraz, to nie zrobię tego nigdy.

– Co to takiego? – spytała Matylda.

– Od tamtej nocy przychodziła do mnie wiele razy. – W oczach Brama wezbrały łzy. – Moja kochana siostrzyczko, kiedy wczoraj w nocy widziałas

mnie w deszczu, widziałaś, jak pije moją krew, a ja piję jej... to był tylko jeden raz z wielu. Na przestrzeni lat odwiedziła mnie więcej razy, niż potrafię zliczyć. To jej krew trzyma chorobę z dala ode mnie. Gdyby nie ona, już bym nie żył. Tego jestem pewien.

Po tym wyznaniu zapadła między nami cisza. Matylda zrobiła się popielata na twarzy, ponieważ ona i Bram byli sobie niezwykle bliscy i wszystkim się dzielili. Dowiedziawszy się czegoś tak poważnego i w ten sposób, świadoma, że aż do teraz brat nie miał ochoty się jej z tego zwierzyć – Matylda wstała od stołu, obróciła się do nas plecami i wbiła wzrok w drzwi.

Vámbéry wyciągnął rękę w kierunku dłoni Brama.

– Mogę?

Bram kiwnął głową i odwrócił nadgarstek, odciągając rękaw koszuli, aby odsłonić nakłucia.

Vámbéry wziął lampę i przysunął światło.

– Mówi pan, że jak często pana odwiedza?

Bram wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć. Przychodzi wyłącznie nocą, kiedy śpię. Często nie mam pewności, czy te wizyty są rzeczywiste, czy tylko mi się śnią. Przez wiele lat byłem pewien, że to sny. Ale w miarę dorastania zorientowałem się, że te rany nigdy do końca się nie zagoiły, i doszedłem do prawdy, dotarła do mnie realność jej wizyt i ich rola w utrzymywaniu mnie w dobrym zdrowiu.

– A rozmawiałeś z nią? – spytała Matylda. – Czy przez te wszystkie lata rozmawiałeś z nią i nic mi nie powiedziałeś? Jak wiele jeszcze przede mną ukrywasz?

Bram pokręcił głową.

– Nigdy nie było właściwych słów. Z jej wizyt mam tylko niejasne wspomnienia. Podobne do snów. Budziłem się i zastanawiałem, czy to wszystko naprawdę się zdarzyło. Tak bardzo chciałem ci o tym powiedzieć, musisz mi uwierzyć.

– Jak często, gdyby musiał pan zgadywać? Raz w tygodniu? Raz w miesiącu?
– naciskał Vámbéry.

– Prawdopodobnie pięć do sześciu razy rocznie.

– I nic nie powiedziałaś – wyszeptała Matyllda. – Kiedy powiedziałam ci, że do mnie przyszła, patrzyłeś na mnie jak na wariatkę. Zeszłej nocy, kiedy Thornley wyznał, że ją widywał, też nic nie powiedziałaś. Czemu nam nie zaufałaś?

– Strasznie mi przykro. Chyba wmawiałem sobie, że to nie jest prawda. Nie mogłem powiedzieć tobie w obawie przed przyznaniem się do prawdy przed samym sobą.

Odezwał się Vámbéry:

– Wszyscy wyznaliśmy dziś sekrety. Sekrety, które zwiążą nas ze sobą i uczynią nas jednością; sekrety, które zabierzemy ze sobą do grobów. To dla mnie zaszczyt poznać waszą trójkę, ufać wam i powitać was w moim życiu. – Uczynił zapraszający gest do Matylldy. – Proszę wrócić do stołu i przyłączyć się do nas. Domyślałam się, że mamy dużo więcej do omówienia.

Matyllda niechętnie zrobiła, o co prosił; wyglądało na to, że trudno jej patrzeć na Brama, a jemu na nią. Zjawił się jeden z lokajów i napełnił nasze filiżanki. Sądzę, że wszyscy z radością powitaliśmy tę przerwę – cisza pozwoliła nam uporządkować myśli.

Kiedy służący wyszedł, Vámbéry odwrócił się z powrotem do mnie.

– Co mogę dla ciebie zrobić, stary druhu?

Przez następną godzinę zreferowaliśmy mu wszystko, co wiemy. Ja zacząłem od tego, jak przez całe życie ukazywała mi się ciocia Ellen. Potem Bram i Matyllda przywołali wspomnienia z dzieciństwa i opowiedzieli o okropieństwach, które odkryli w zamku Artane, oraz o przerysowaniu map znalezionych w pokoju Ellen. Następnie O’Cuiv, mój zaginiony woźnica i przedmioty, które Bram i Matyllda wydobyli z grobu. Skończyłem relacją z wydarzeń w szpitalu i ze spotkania z dziwnym mężczyzną na ulicy, a także o czarnym psie, który śledził mnie w drodze do domu. Vámbéry przyswajał

informacje, niekiedy zadając pytania. Nigdy nie zauważyłem, żeby cokolwiek zapisywał. Teraz też nie robił notatek; zamiast tego wszystko zapamiętywał. Widziałem, jak jego umysł pracuje: organizuje fakty i przypuszczenia w spójną narrację.

Kiedy nareszcie skończyliśmy, Vámbéry odchylił się w fotelu i splótł palce za głową.

– Ta dziewczynka, córka O’Cuiva, myślicie, że ma coś wspólnego ze zniknięciem woźnicy?

– Tamtej nocy widzieliśmy tylko ją – odrzekła Matylda.

– Ale sądzicie, że jest jedną z nich? Jak wasza Ellen? Jak O’Cuiv? Tyle że mniejsza?

– Poruszała się w nienaturalny sposób – wyjaśniła Matylda. – Czułam, jakbym obcowała z drapieżnikiem. Gdyby Bram w porę nie wrócił, myślę, że mnie też mogłaby skrzywdzić.

– Ale tylko przytrzymała Brama, kiedy Ellen piła jego krew, nieprawdaż? Czemu nie miałyby skorzystać z nadarzającej się okazji?

– To, że nie widziałam, jak pije, nie znaczy, że na pewno nie piła – odparła Matylda.

– Jedyne ślad, jaki mam na sobie, to ten na przegubie. Czy gdyby dziewczynka też piła moją krew, to nie byłoby drugiego? – zastanawiał się Bram.

– Może miała już dość po moim nieszczęsnym woźnicy?

Vámbéry pokiwał głową.

– Jak zawsze, Thornleyu, twoja logika wygrywa.

– Pan wie, co tu się dzieje, prawda? – zapytała Vámbéryego Matylda. – Już pan to kiedyś widział?

Vámbéry pochylił się nad stołem i powiedział szeptem:

– Podczas swoich podróży widziałem i słyszałem wiele rzeczy. Część z nich znacznie wykraczała poza to, co można by uznać za racjonalne. Wasza opowieść przypomina mi historie, które poznałem w Europie Wschodniej, u Turków, Rumunów, Słowian i tym podobnych. Podzielę się nimi z wami, kiedy uznam to

za stosowne, na razie jednak wolałbym usłyszeć więcej od was, aby upewnić się, że moja dedukcja jest poprawna. – Jego spojrzenie znów spoczęło na mojej siostrze. – Czy mógłbym obejrzeć przedmioty, które wydobyliście z grobu O’Cuiva?

Matylda trzymała je w skórzanym woreczku, który leżał na podłodze przy jej nogach. Podniosła go i położyła na stole, po czym wyjęła wszystkie przedmioty, układając w rzędzie przed nami.

Na widok naszyjnika oczy Vámbéryego rozszerzyły się. Wziął go do ręki.

– To jest znakomite i bardzo cenne. Wykonane z pewnością w Rumunii, poznaję po sposobie osadzenia kamieni; ręczna robota bardzo utalentowanego rzemieślnika. Ten rubin należy do największych, jakie widziałem. Proszę schować naszyjnik do torby. Strach pomyśleć, co mogłoby się stać, gdyby jakiś złodziej dowiedział się, że przechowujecie taki skarb. W Klubie Ognia Piekelnym jest bezpiecznie, ale mimo wszystko wszędzie czają się ciekawskie spojrzenia.

Matylda podniosła naszyjnik i ostrożnie umieściła go z powrotem w skórzanym woreczku. Vámbéry badał lusterko.

– Wygląda to cokolwiek osobliwie.

– W jakim sensie? – spytał Bram.

– Fakt, że znaleźliście tam lusterko, jest dość dziwny, ale to, że wykonano je ze srebra i złota, jest jeszcze dziwniejsze. – Przesunął palcem po grawerunku. –

Ten napis na pewno okaże się użyteczny. Musimy poświęcić trochę czasu na upewnienie się, kim była owa hrabina Dolingen von Gratz. Podobnie jak naszyjnik, to lusterko jest bardzo stare. Analogicznie do szczotki. Takie wyroby rzemieślnicze zazwyczaj były zarezerwowane dla bogaczy. Nie mogłyby należeć do niani albo rodziny O’Cuivów, o której mi opowiedzieliście.

Matylda podała mu płaszcz i wyjaśniła, że należał do naszej matki, a mimo to znalazł się w grobie O’Cuiva.

– Jest pani pewna?

– Nie ma co do tego wątpliwości. Widzi pan dziurkę w rękawie, o tu?

– A kiedy ostatni raz go pani widziała, miała go na sobie ta wasza Ellen?

– W noc przed jej odejściem – odrzekła Matylda.

– A więc mamy wszystkie te przedmioty, które prawdopodobnie należą do waszej dawnej niani, ukryte w trumnie waszego dawnego sąsiada. I to w trumnie, w której brak zwłok.

Matylda wyjęła szkicownik i otworzyła go na mapie Irlandii wskazującej położenie kościoła Świętego Jana Chrzciciela.

– Domyślam się, że położenie grobu jest zaznaczone tutaj.

Vámbéry spojrzał na nią wielkimi oczyma.

– Pani to narysowała? Z pamięci?

– Owszem.

– Niebawem. – Zbadał rysunek. – I mówi pani, że grób znajdował się w części dla samobójców?

Matylda pokiwała głową, po czym przerzuciła strony szkicownika, ukazując pozostałe mapy.

– Wszystkie te znaczki wskazują cmentarze z grobami samobójców albo z niepoświęconą ziemią.

Vámbéry wyjął z kieszeni na piersi małą lupę i pochylił się nad mapą. Po kilku minutach oglądania przeszedł do kolejnej i jeszcze kolejnej.

– Byłem w niektórych z tych miejsc, ale nie we wszystkich. Czy Ellen kiedykolwiek o nich wspominała?

Wszyscy troje pokręciliśmy głowami.

– Ale najwyraźniej były dla niej ważne. Przeznaczenie tych map stanie się zrozumiałe w swoim czasie, jak to zawsze bywa. Jestem o tym przekonany. –

Zamknął szkicownik i oddał go Matyldzie. – Na razie jednak pilnujcie go dobrze.

Vámbéry zwrócił się do Thornleya:

– Wspominałeś o jakiejś książce. O powodzie naszego spotkania.

Bram wyjął książkę znaną w niezawierającej zwłok trumnie Patricka O’Cuiva, położył ją przed Vámbérem i otworzył na pierwszej stronie.

– Spójrz na tę datę. Całość została napisana ręką Ellen.

– Dwunasty października tysiąc sześćset pięćdziesiątego czwartego. – Vámbéry podniósł książkę do nosa i powąchał stronicę, potem zbadał okładkę. – Oprawa jest typowa dla tej epoki, więc książka jest co najmniej tak stara, ale nie sposób określić, kiedy w rzeczywistości Ellen ją napisała.

– Potrafi pan to przeczytać? – spytała Matylda.

– Oczywiście, to jest po węgiersku, w moim języku ojczystym. Czy wasza niania pochodziła z Węgier?

– Zawsze sądziliśmy, że jest Irlandką – odparłem, spoglądając na brata i siostrę, którzy ewidentnie wiedzieli o biografii Ellen równie mało co ja.

Vámbéry uznał nasze puste spojrzenia za odpowiedź.

– Skoro nie była z Węgier, to wybrała sobie nietypowy język do prowadzenia dziennika. Większość zdecydowałaby się pewnie na niemiecki albo inny język pokrewny ich własnemu. Oczywiście, chyba że autorka chciała ukryć przed kimś swoje zapiski. Wtedy posługiwanie się takim językiem jak najbardziej miałoby sens.

– A więc mamy do czynienia z dziennikiem? – spytała Matylda.

Vámbéry wyjął okulary z kieszeni na piersi, umieścił je na nosie i skupił się z powrotem na zapisanych stronicach. Czytał cicho przez prawie trzy minuty, po czym przemówił, kładąc dłoń na książce.

– To coś znacznie więcej niż dziennik, przyjaciele. Muszę wam to przeczytać.

W tym momencie pojawił się lokaj, wymienił pusty dzbanek po herbacie na świeży i napełnił nasze filiżanki. Chociaż zajęło to góra minutę, odnieśliśmy wrażenie, jakby minęła godzina. Gdy wreszcie zostaliśmy sami, Vámbéry wrócił na pierwszą stronę i przysunął jedną z lamp do tekstu.

Kiedy zaczął czytać na głos, w pokoju zapadła cisza jak makiem zasiał.

Wiele lat temu w południowej Irlandii nieopodal Waterford żyła legendarna piękność o doskonale czerwonych ustach i jasnoblond włosach. Jej prawdziwe nazwisko dawno zostało zapomniane, ale uroda była sławna w najdalszych zakątkach świata. Mężczyźni przybywali z bardzo daleka w nadziei, że nie tylko

ją zobaczą, ale także zdobędą jej rękę. Powiadają, że jej piękno zewnętrzne nie mogło się równać pięknu wewnętrznemu. Miała niezwykle bystry umysł. Mieszkała sama z ojcem, matka bowiem umarła w połogu.

Ta śliczna, obdarzona dobrą naturą dziewczyna zakochała się w miejscowym wieśniaku, którego nazwiska też już nikt nie pamięta. Pasował do niej pod każdym względem – był przystojny, życzliwy, dżentelmen w każdym calu, ale brakowało mu jednej rzeczy, którą ojciec dziewczyny cenił nade wszystko: pieniędzy. Podobnie jak dziś pieniądze wyznaczały pozycję społeczną, a ojciec wiedział, że jedynym sposobem na awans jego rodziny jest wydanie córki za przedstawiciela bogatego rodu. Jako że ów wieśniak nie miał szans na majątność, a zatem nie mógłby zagwarantować żonie i jej rodzinie odpowiedniej pozycji, ojciec zabronił dziewczynie wyjść za niego za mąż.

Zaaranżował natomiast małżeństwo córki z o wiele starszym mężczyzną, który za jej rękę obiecał mu wielkie bogactwo. Zalotnik ten słynął w całej okolicy z okrucieństwa i podłości, ojciec jednak nie przejmował się tymi przywarami, bo zaślepiała go żądza pieniędzy i wysokiej pozycji wśród miejscowych. Niebawem zapomniał o biednej córce, podobnie jak większość mieszkańców wsi. Mąż uwięził ją w swoim zamku i odciął od świata zewnętrznego. Rozkoszował się świadomością, że posiadał tak cenny skarb, i upajał się myślą, że odseparował ją od wszystkich. Dziewczyna musiała znosić z jego ręki przemoc fizyczną i psychiczną; krzywdził ją dla zabawy, czerpiąc przyjemność z jej okrzyków bólu i rozpacz.

Tymczasem, mimo że trzymał ją w odosobnieniu, wieść o jego bestialstwie rozniosła się za pośrednictwem służby i gości. Opowiadano, że mąż lubi kaleczyć żonę, nacinając jej alabastrową skórę do krwi. Kiedy miał już dosyć, zamykał ją na wieży zamku, gdzie nikt nie mógł usłyszeć, jak dziewczyna szlocha po nocy, wyczekując ratunku od swej jedynej prawdziwej miłości – młodego wieśniaka.

W miarę jak dni przechodziły w tygodnie, a tygodnie w miesiące, jej nadzieja umierała. Stawała przy szczelinie w murze, stanowiącej jedyne okienko na świat, i wypatrywała po okolicy widoku ukochanego. On jednak nigdy się nie zjawił. Po

upływie jedenastu miesięcy odmówiła jedzenia i rzucała skrawkami zepsutego mięsa i czerstwego chleba w służących, którzy je przynosili. Obiecała sobie, że nie weźmie do ust ani kawałeczka pokarmu, zamieniała się więc w skórę i kości. Dwa tygodnie później odmówiła również picia wody, zaczęła wpadać w szal i miotać się w furii z powodu odwodnienia doskwierającego jej wycieńczonemu ciału.

W pierwszą rocznicę małżeństwa z niegodziwym tyranem przeciągnęła stołek z kąta komnaty pod okienko, stanęła na nim i wpatrywała się w okolicę w ostatniej nadziei, że ujrzy ukochanego. Nie dostrzegłszy go, wspięła się na parapet. Była już tak cieniutka jak gałązka drzewa i bez problemu przecisnęła się przez wąską szczelinę. Skupiła myśli na swej prawdziwej miłości, przypomniała sobie jego uśmiech, gdy na nią patrzył, i dotyk jego dłoni, po czym rzuciła się z wysokiej wieży na bezlitosne skały u jej podnóża. Dopiero po trzech dniach odkryto jej roztrzaskane ciało.

Często zastanawiałam się, gdzie się podział jej ukochany. Czemu po nią nie przyszedł? Dlaczego jej nie uratował? Potem dowiedziałam się, że podły tyran, mąż dziewczyny, na długo wcześniej powiedział chłopakowi, iż jeśli choćby zbliży się do zamku, ona zostanie natychmiast zabita. Ten więc nie ośmielił się przybyć w obawie przed śmiercią dziewczyny.

Chłopak całymi dniami i przez wiele bezsennych nocy usiłował wymyślić sposób na dostanie się do ukochanej tak, by nie znalazła się w niebezpieczeństwie, ale zamek stał na uboczu, wznosił się wysoko ponad wsią, na skraju puszczy, a otaczały go pola i trzęsawiska. Nie było jak zbliżyć się do niego, nie będąc widzianym. Codziennie pisał do niej listy, setki listów, i chował je do pudełka w nadziei, że znajdzie kogoś, kto dostarczy je do niej. Nikt taki się jednak nie pojawił i zanim chłopak spróbował się do niej dostać, ona zginęła z pękniętym sercem.

Wieść głosi, że decydując się na śmierć, wyrzekła się Boga, którego obwinięła o przekleństwo w postaci niekochającego ojca i złego męża. Wszystkim, którzy ją skrzywdzili, poprzysięgła straszliwą zemstę. Ponieważ targnęła się na własne

życie, jej dusza nigdy nie mogła zaznać spoczynku; była skazana na wieczne cierpienie.

** * **

– TAK JAK CI W grobach dla samobójców – zauważyła Matylda.

– Dokładnie tak jak ci w grobach dla samobójców – powtórzył Bram.

– Zgodnie z tą relacją pochowano ją w tego rodzaju mogile – potwierdził Vámbéry i czytał dalej:

Kiedy chłopak dowiedział się o śmierci ukochanej, tylko on jeden udał się pod wieżę, aby zabrać jej ciało i złożyć je na wieczny spoczynek na cmentarzu we wsi, ale mieszkańcy nie pozwolili mu pochować jej w poświęconej ziemi. Musiał pogrzebać ją za cmentarzem na samotnym skrawku ziemi. Chociaż zwyczaj kazał układać stosik kamieni na grobach niedawno zmarłych, chłopak nie zrobił tego; nie potrafił się na to zdobyć. Pękło mu serce i pragnął położyć się w tym grobie u jej boku, a nie jeszcze bardziej oddzielać się od niej ziemią i kamieniami. Zamiast tego pochował ją w sukience, którą udało mu się zdobyć, i położył na jej grobie jedną białą różę, składając przysięgę, że będzie codziennie ją odwiedzał – obietnicę, której nie mógł jej złożyć, kiedy żyła.

Okrutny małżonek ani myślał zaprzestać tortur, choć ona już nie żyła. On również poszedł na jej grób, zobaczył różę i oskubał ją z płatków. Skaleczył się przy tym kolcami i jeszcze bardziej wyklinał żonę, kiedy krew skapywała z jego palców na ziemię skrywającą ciało. Cisnął pozostałości kwiatu na bok, obiecując, że zrobi to z każdym dowodem pamięci, który znajdzie na jej grobie. Pragnął, aby po śmierci była równie samotna jak w ostatnim roku życia.

Tej samej nocy, niedługo po tym, jak mąż się oddalił, zmarła wstała z grobu. Rozgarnęła palcami ziemię, podniosła się i stanęła prosto, po raz pierwszy wolna, odkąd ojciec wydał ją za mąż. Mówią, że myśli nawiedzające ją w ostatnich chwilach, te chore myśli, opętały ją i przytłumiły dobroć, która zawsze ją cechowała. W jej żyłach płonęła nienawiść i chęć zemsty. Pozostała jednak piękna; a wręcz zrobiła się jeszcze piękniejsza, niż była za życia, choć

teraz miała serce potwora. Przy blasku wschodzącego księżyca udała się do zamku męża na szczycie wzgórza.

U wrót stał strażnik, ale kiedy podeszła, nieszczęsny mężczyzna był tak oczarowany jej urodą, że nie mógł wydusić z siebie słowa. Jeśli nawet zastąpił jej drogę, nie było na to dowodów, ponieważ nikt nie słyszał, by wszczął alarm, do czego był zobowiązany. Po prostu minęła go, posyłając uśmiech tak promienny, że nie potrafił oderwać od niej oczu. Stał nieruchomo, kiedy ona zbliżyła się i zatopiła zęby w jego mięsistej szyi, po czym wyssała z niego życie. Osiem innych osób również poniosło śmierć, kiedy kroczyła przez zamek. Nie tylko strażnicy, lecz także kucharz jej męża i dwie pokojówki, które przez cały rok przyglądały się jej cierpieniu i nie zdobyły się na ani jedno słowo sprzeciwu. Przechodziła od komnaty do komnaty, pozbawiając życia każdego, kogo napotkała, aż wreszcie dotarła do apartamentów swojego małżonka.

Do tej pory się nie obudził. Żaden z mordowanych przez nią ludzi nawet nie krzyknął. Przeszła przez sypialnię, stanęła w nogach łóżka i patrzyła na śpiącego człowieka, który odebrał jej życie, odarł ją ze szczęścia, doprowadził do śmierci i w nikczemny sposób, nieświadomie sprowadził z powrotem. Pochyliła się nad nim i wszczyła mu do ucha lodowaty szept:

– Tęskniłam za tobą, najdroższy.

Kiedy się obudził, posłała mu uśmiech. Jej niegdyś ładna sukienka teraz ociekała krwią, której krople kapały na niego.

Poprzednie ofiary zabijała szybko, ale mąż miał cierpieć tak, jak ona cierpiała. Zamiast sprawnie wkląć mu się w szyję, gryzła go wielokrotnie, setki razy, aż ściągnięta z niego krew przemoczyła pościel i materac. O poranku, kiedy go znaleziono, miał w sobie jeszcze dość życia, by opowiedzieć, co się stało, po czym opadł na materac, a jego poszarzałą skórę pokrywały strużki krwi. Po dziewczynie jednak nie było śladu; odeszła przed wschodem słońca.

Następnej nocy złożyła wizytę swojemu ojcu. Spędził wieczór w pubie i wrócił mocno podchmielony. Zataczając się, wszedł do domu – wielkiego domu, który kupił sobie za pieniądze otrzymane od despotycznego zięcia. Wlazł do środka,

zapomniawszy zamknąć drzwi wejściowe, i rozsiadł się w fotelu przed resztkami ognia w kominku, z pucharem okowity w dłoni.

Kiedy w drzwiach stanęła jego córka, przyglądał się jej przez jakiś czas; był na tyle pijany, że nie dowierzał temu, co widzi. Nic do niej nie powiedział, nie wyglądał też na przestraszonego. Patrzył tylko, z naczyniem przy ustach. Wreszcie jako pierwsza odezwała się ona:

– Tęskniłam za tobą, ojcze. Nie mogłam już wytrzymać ani dnia bez ciebie, więc musiałam wrócić.

Słodycz w jej słowach wprawiła go w przerażenie. Do tej pory myślał, że to tylko złudzenie, ale dźwięk głosu przydał mu realności. Próbował wstać i prawie się wywrócił, po czym z powrotem opadł na miękki skórzany fotel.

– Córeczko – wybełkotał ze śmiechem – śliczna córeczko! Przyszłaś do domu, żeby się ze mną zobaczyć.

Jego słowa brzmiały niewyraźnie, ale zrozumiała wystarczająco dużo, by na jej rubinowych ustach odmalował się uśmiech.

Krew z poprzedniej nocy zniknęła z sukienki, która znów była śnieżnobiała i nieskalana śmiercią. Była niczym zjawa. Jej blond włosy falowały na wietrze, światło księżyca lśniło na jej woskowej skórze. Zęby miała równie białe co ubiór. A jej oczy płonęły. Kiedy przemówiła ponownie, ojciec podniósł na nią przekrwione spojrzenie.

– Ojcze, minęło tyle czasu. Na zewnątrz jest tak zimno i pusto. Czy mogę wejść, by ogrzać się przy twoim kominku?

Ojciec musiał wyczuć, że coś jest nie w porządku, bo mimo stanu upojenia zaczął się zastanawiać. Przyglądał się córce stojącej na progu jego nieuczciwie zdobytego domostwa. Pociągnął kolejny łyk trunku i odparł:

– Czemu więc nie wejdiesz? Co cię powstrzymuje?

Nadal stała w drzwiach bez ruchu. Dopiero wtedy zauważył coś dziwnego: chociaż jej suknia i włosy poruszały się na wietrze, gałęzie drzewa kawałeczek za nią były zupełnie nieruchome. Zupełnie jakby wiatr poruszał tylko jej odzieniem,

włosami i niczym więcej. Podniósł kieliszek do ust, tym razem jednak się nie napił.

W jego piersi zaczął wzbierać strach, większy niż zamroczenie alkoholem.

– Moja córka nie żyje – wykrztusił. – Rzuciła się na skały, zamiast służyć mężowi, jak przystało na dobrą żonę. Zhańbiła naszą rodzinę. Okryłaś nas wstydem. I czymkolwiek się stałaś, nie jesteś tu mile widziana.

Córka stała w wejściu, niezdolna do przekroczenia progu. Wyraz miłości na jej twarzy przerodził się w nienawiść, a oczy zapłonęły na czerwono niczym rozżarzone węgle.

– Jeśli nie zaprosisz mnie do środka, poczekam tu na ciebie. Jedyne, co mam, to czas.

– A ja jestem cierpliwym człowiekiem, córko, i nie mam powodu stąd wychodzić.

I nie wychodził. Siedział w domu, do którego przynoszono mu jedzenie. Nie odważył się wyjść, nawet kiedy zrozumiał, że córka przychodzi tylko nocą. Kiedy nastawał dzień, a jej nigdzie nie było widać, podejrzewał, że to sztuczka mająca na celu wywabienie go na zewnątrz.

Trwało to równy miesiąc. Co noc ojciec otwierał drzwi i siadał przed kominkiem w oczekiwaniu na nią, ale nigdy nie zaprosił jej do środka. Rozmawiali ze sobą, a gdy tak stała w progu, on pił i wyklinał ją z taką samą pogardą, z jaką traktował ją, gdy jeszcze żyła. W trzydziestą pierwszą noc coś uległo zmianie – córka nie przyszła. Jak zwykle otworzył dom i wpatrywał się w ciemność, ale ona się nie zjawiała. Rano dowiedział się dlaczego: zabiła chłopca, który dostarczał mu jedzenie. Jego ciało zostało znalezione na środku ulicy, wysane do ostatniej kropli krwi.

Ojciec wciąż nie chciał wychodzić z domu, nawet za dnia, i krzyczał z progu:

– Sztuka złota dla każdego, kto przyniesie mi jedzenie!

Usłyszał go miejscowy rolnik, który przechodził obok, i zgodził się na jego propozycję. Poszedł na rynek, kupił wielki kosz owoców i warzyw, po czym wrócił z nim niecałą godzinę później. Ojciec bez zwłoki zapłacił mężczyźnie

i polecił mu co dwa dni przynosić taką porcję jedzenia, na co rolnik chętnie przystał. Ale więcej się nie pojawił; w nocy dziewczyna zabiła go, a także jego żonę, dwoje dzieci i całe bydło, które pasło się na łące, a zostawiła tylko pozbawione krwi ciała. Na ścianie domu ojca napisała zaś słowa „On głoduje”.

Wieść szybko się rozeszła. Każdy, kto pomoże temu człowiekowi, zostanie brutalnie zamordowany przez ducha jego zmarłej córki, Dearg-Dee.

Tak jak przedtem, wracała co noc i wyczekiwała u drzwi, obiecując, że skróci jego męki, jeśli zaprosi ją do środka, on jednak odmawiał. Mieszkańcy wioski gromadzili się w okolicy i obserwowali, jak zjawa przygląda się swemu ojcu, aż w końcu wzięła się i za nich i każdej nocy zabijała jednego z dawnych sąsiadów za to, że porzucili ją na pastwę losu w tym zamku. Minęły kolejne trzy tygodnie, ponad dwadzieścia osób straciło życie, a jej ojciec z zażywnego jegomościa, utuczonego na świeżo zdobytym majątku, zamienił się w samą skórę i kości, lecz mimo to nie wyszedł z domu. Ani nie zaprosił jej do środka.

Wioska wokół nich powoli wymierała. Niewielu miało odwagę wyjść na zewnątrz nawet w ciągu dnia; wprawdzie widywano ją pod domem ojca tylko ciemną nocą, ale niektórzy przysięgali, że widzieli ją za dnia, chodzącą wysoko po blankach zamku, i nikt nie chciał ryzykować spotkania z nią.

W pięćdziesiątą ósmą noc ktoś zauważył, jak przekracza próg domu ojca i wchodzi do środka. Chwilę później z wnętrza dobiegł przeraźliwy krzyk, który wydała na widok martwego ciała. Ojciec nie wytrzymał głodu i skonał. U jego stóp znalazła kartkę pokrytą drżącym pismem umierającego: „Powiniennem być cię utopić po urodzeniu, tuż po tym, jak zabiłaś swoją matkę”.

Wtedy zrozumiała, czemu ojciec jej tak nie znosił – obwiniął ją o śmierć żony. Przez całe życie nosił w sobie tę nienawiść, która przybierała na sile, w miarę jak córka dojrzywała i wyrastała na piękność porównywalną tylko z jej matką przed laty; piękność, która co dzień przypominała mu o utraconej kobiecie, zmarłej przy porodzie.

Kiedy Dearg-Dee pojęła prawdę, gniew, którym tak mocno płonęła, gniew, który zgasił drzemiące w niej piękne światło, zaczął słabnąć i ustępować miejsca

poczuciu winy. Oboje rodzice zginęli z jej ręki tak jak dziesiątki innych ofiar i żaden z tych aktów zemsty nie zapełnił pustki, którą czuła w sercu. Po raz pierwszy od powstania z grobu pomyślała o tamtym chłopaku, o jej prawdziwej miłości, i zatęskniła do niego. Chciała tylko, by wziął ją w ramiona i wyrwał ją ze śmierci. Wyszła z domu ojca, przeszła przez rynek i popędziła przez pola do chałupki ukochanego w lesie, a nieliczni pozostali przy życiu podpatrywali ją przez szpary między zatrzaśniętymi okiennicami i zza drzwi.

Dotarła do jego domku tuż po północy. Księżyc w pełni wysoko stał na niebie i zalewał bladożółtym blaskiem niewielką polanę, gdzie mieszkał chłopak. Zastała go siedzącego na ganku, owiniętego w koc dla ochrony przed zimnym nocnym powietrzem. Poprzedniego wieczora zabiła człowieka i wyssała jego krew, więc jej policzki były rumiane, a skóra ciepła. Opadające do ramion włosy powiewały z tyłu nad spływającą w dół białą suknią, w którą ubrał ją, nim pochował jej połamane ciało. Jej wygląd zapierał dech w piersiach jeszcze bardziej niż za życia. Patrzył, jak podchodzi, i gestem zaprosił ją, żeby usiadła obok niego.

– Wiedziałem, że przyjdiesz także po mnie. To była tylko kwestia czasu. Nie boję się śmierci, zwłaszcza jeśli zbliży mnie ona do ciebie.

– Nie jestem tu po to, żeby cię zabić – odparła.

Jej głos zdawał się pochodzić zewsząd dookoła, a jednocześnie ze środka jego własnej głowy; słodki głos ukochanej, głos, którego miał już nigdy nie usłyszeć.

– Ale przecież cię zawiodłem – powiedział. – Nie uratowałem cię z tego miejsca, od tego człowieka. Nie jestem lepszy niż pozostali; równie dobrze mogłaś zginąć z mojej własnej ręki.

Położyła dłoń na jego dłoni, spodziewając się, że chłopak cofnie swoją, poczuwszy jej martwy dotyk, nie zrobił tego jednak. Zamiast tego splótł z nią palce.

– Tak bardzo tęskniłam – powiedziała.

– Ja za tobą też – odpowiedział z uśmiechem. – Bardziej, niż mogłabyś to sobie wyobrazić. Nieraz myślałem o tym, by wspiąć się na szczyt zamku

i dołączyć do ciebie na skałach pod nim. Gdybym wiedział, że dzięki temu znów znajdę się przy tobie, na pewno bym skoczył, ale nie miałem pewności, że tak się stanie. Jestem słaby, wahałem się i od tej pory spędzałem noce na tym ganku, czekając, aż mnie znajdziesz.

Przez długi czas nic nie mówiła, tylko patrzyła na niego, trzymając za rękę. Z jej oka potoczyła się karmazynowa łza. Otarł ją i z trudem sam powstrzymał się od płaczu. Była tak szczęśliwa, że znów są razem, że nie zauważyła, jak chłopak sięga po ostrze leżące za ławką, ani nie dostrzegła młotka, który umieścił tam przed miesiącami. Jednym szybkim ruchem przyłożył jej ostrze do piersi. Cofnęła się, przerażona, a on uniósł młotek nad głowę, po czym z całej siły uderzył i przebił jej serce z taką siłą, że ostrze wbiło się w ramę ławki. Chwilę później było już po wszystkim; jej ciało było nieruchome, a on płakał, dopóki światło dnia nie zaczęło przesączać się przez drzewa.

Pochował ją po raz drugi na spłachetku ziemi od południowej strony jego domu, pod starą wierzbą. Tym razem ułożył na grobie wysoki stos kamieni – przez cały kolejny rok co noc wieńczył go świeżą białą różą, licząc na to, że któregoś dnia będą razem, i czerpiąc pociechę z tego, że ona wreszcie zasnęła w spokoju.

* * *

KIEDY VÁMBÉRY PODNIÓSŁ WZROK ZNAD KSIĄŻKI, SIEDZIELIŚMY W MILCZENIU. JAKO pierwsza odezwała się Matylda:

– To najsmutniejsza historia, jaką w życiu słyszałam.

Vámbéry przewrócił kartkę na ostatnią stronę.

– To jeszcze nie koniec.

Wpatrywał się w ostatnie słowa, milcząc przez chwilę. Teraz wiem, że wahał się, bo nie miał pewności, czy powinien nam zdradzić ich treść, świadomy, że to wywoła tylko więcej pytań. Wreszcie kontynuował z rezerwą.

– Jest tam mowa o tym, że...

Trzy lata później znów wstała z martwych, a jej zmęczone oczy ujrzały w mroku coś, co mogło być tylko wewnętrznymi murami zamku, pomieszczeniem podobnym do tego, w którym uwięził ją podły mąż. Przez chwilę wydawało jej się, że wszystko, co się zdarzyło, to był tylko sen, a ona z powrotem znajduje się w tej okropnej komnacie. Wtedy zobaczyła pochylonego nad nią mężczyznę. Trzymał w górze za nogę królika z poderżniętym gardłem, a krew z rany obfitym strumieniem wpływała jej do ust. Smakowała każdą kropelkę; czuła, jak płyn krąży w jej ciele, budząc kończyny, mięśnie i pozostałe tkanki.

– Jak to możliwe? – spytała ochrypłym głosem.

Mężczyzna najpierw milczał, tylko chwycił zwierzę i ścisnął je, aby wytoczyć z niego resztkę krwi. Kiedy zaś przemówił, jego głos wydał się jej niski i głęboki, z silnym akcentem, którego nie potrafiła zidentyfikować.

– Wybudziłem cię z głębokiego snu. Wróciłem cię do życia.

Zapisałam te słowa tak, jak je zapamiętałam.

Hrabina Dolingen von Gratz, 12 października 1654

* * *

KIEDY SKOŃCZYŁ CZYTAĆ, odsunął książkę na środek stołu, wciąż otwartą na ostatniej stronie. Z pozółkłych stronic patrzyły na nas litery zapisane przez ciocię Ellen.

Zadzwoił na lokaja i tym razem kazał przynieść butelkę brandy. Matylda nie chciała pić, ale Bram, Vámbéry i ja nie mieliśmy oporów. Z przyjemnością wychyliliśmy po kieliszku, i po następnym. Rozgrzewający alkohol nie zdołał jednak wypędzić chłodu z moich kości. Ale w sumie wątpię, żeby cokolwiek mogło tego dokonać.

– Kim jest ta hrabina Dolingen von Gratz? – spytał Bram.

– To najwidoczniej Ellen. Albo raczej Ellen jest nią – odparła Matylda.

Odchrząknąłem i zakołysałem kieliszkiem trzymanym między palcami.

– Czy mamy uwierzyć, że Ellen spisała to ponad dwieście lat temu? Czy to sugerujesz?

– A jeśli Ellen rzeczywiście to napisała, to czy to fikcja, czy opis autentycznych wydarzeń, w których brała udział? – dodał Bram.

Vámbéry popukał w książkę.

– Słyszałem historię o Dearg-Due, ale nigdy w tak szczegółowej formie; tylko jakieś opowieści szeptane przez podróżników.

– Jakich podróżników?

– Irlandzkich travellersów, koczowników, *lucht siúil*, różnie się ich nazywa. To taki irlandzki odpowiednik Cyganów.

Zwróciłem się do mojego przyjaciela Vámbéryego z pytaniem, które wszystkim nam przyszło do głowy:

– Czy mamy uwierzyć, że nasza ciocia Ellen to Dearg-Due?

Pokręcił głową.

– Nie wiem, w co wierzyć.

– Czy to nie są zwykłe zabobony? – zastanawiał się Bram. – Historyjki do straszenia dzieci późną porą?

– Może tak, a może nie – odrzekł Vámbéry. – Travellersi uważają, że to prawda i... – Urwał i zamknął oczy, a następnie powiedział w skupieniu, celowo powoli artykułując słowa: – Ta skrzynia, którą znaleźliście w dzieciństwie... Mówiliście, że znajdowała się w ruinach wieży zamkowej, prawda?

Bram pokiwał głową.

– W pozostałościach zamku Artane.

– Wielu sądzi, że Dearg-Due była przetrzymywana w zamku pod Dublinem, nieopodal wybrzeża. Bardzo możliwe, że ten zamek i zamek Artane to jedno i to samo miejsce – stwierdził Vámbéry. – Został wzniesiony w czternastym wieku przez rodzinę z Hollywood, ale skąd mamy wiedzieć, kto zajmował go w tysiąc sześćset pięćdziesiątym czwartym albo wcześniej, gdy powstała ta opowieść.

– Albo gdy to wszystko się wydarzyło – zauważyła Matylda. – O ile jest to prawda.

– Matyldo, pamiętasz zamek? – spytał Bram. – Zamek na drzwiach do pomieszczenia na wieży znajdował się na zewnątrz drzwi, tak jakby służył do

uwięzienia kogoś w środku.

– Musimy natychmiast tam jechać – zarządził Vámbéry.

DZIENNIK BRAMA STOKERA



14 SIERPNIĄ 1868, 12.21

Chciałbym tylko zanotować przebieg naszej późnonocnej wyprawy.

Vámbery wezwał swój powóz i wyszliśmy z Klubu Ognia Piekielnych w taki sam sposób, w jaki do niego weszliśmy: przez ciemne przejście, ani przez chwilę nie widząc tego, co na zewnątrz. Thornley zdecydował, że zamiast dołączyć do nas, wróci do siebie; bał się, że i tak na zbyt długo zostawił Emily ze służbą i dalej tak nie można. Jechaliśmy we względnym milczeniu, każde z nas pochłonięte własnymi myślami.

Przez większość podróży Matylda mnie ignorowała. Próbowałem przeproszać za to, że ją okłamywałem, ale coś tylko odburknęła i dalej wyglądała przez okno. Vámbery zdawał się tego nie zauważać i całą uwagę skupiał na robieniu notatek, zapełniając stronę po stronie bez wytchnienia. Mimo woli pozazdrościłem mu łatwości pisania, gdyż mi często brakowało słów, kiedy usiłowałem zrelacjonować te wydarzenia w swoim dzienniku. Przez cały nasz pobyt w Klubie nie zanotował ani słówka; domyślałem się, że dokumentuje nasze spotkanie teraz, ponieważ zawrotna prędkość, z jaką pisał, musiała wymagać takiego właśnie paliwa.

Z NOTATEK ARMINIUSA VÁMBÉRYEGO

(TRANSKRYPCJA ZASZYFROWANEGO STENOGRAMU)



14 SIERPNI 1868, 12.21

Stenografuję swoim własnym systemem, aby mieć pewność, że nikt nie odczyta moich słów. Robię to z wielkim wahaniem, jeżeli bowiem te zapiski wpadną w niepowołane ręce, bez wątpienia przy odpowiedniej ilości czasu mój szyfr da się złamać. Mając to na uwadze, notuję po to, by spowolnić innych. Ryzyko nieudokumentowania tych wydarzeń znacznie przewyższa moją obawę przed ujawnieniem tych treści.

Brat Thornleya siedzi teraz naprzeciwko mnie, a ja nie mogę oderwać od niego wzroku, ponieważ mam pewność, że pił krew nieumarłych. Powiedział mi to własnymi słowami. Ma ślad w miejscu, z którego oni również czerpali jego krew; to jakaś chora wymiana, której tajemnicy nie zdołałem jeszcze rozwikłać.

Opowiedzieli mi rzeczy, delikatnie mówiąc, niezwykle i chociaż większość ludzi nie uwierzyłyaby w ani jedno słowo z tej historii, ja widziałem i słyszałem w życiu wystarczająco wiele, aby wiedzieć, iż jedyne, co wiemy na pewno, to to, że jeszcze więcej na pewno wciąż nie wiemy.

Ciekaw jestem, co stanie się o świcie z tym mężczyzną, w którego żyłach płynie krew nieumarłych. Czy on w ogóle rozumie, czym się stał? I czym może się stać, jeśli to wynaturzenie będzie trwać dalej? Nie sądzę. Oczywiście jest, że pisana mu była śmierć w dzieciństwie, a jednak dzięki sojuszowi z tym

bezbożnym stworzeniem zyskał dodatkowe lata; to pakt z Diabłem, a może i gorzej, jeżeli coś takiego można sobie wyobrazić. Dobry człowiek, którym kiedyś był, został wygnany z jego ciała, a wraz z nim niewinność i umiejętność odróżniania dobra od zła. Najbardziej obawiam się o jego siostrę; niby jest prostoduszną uczestniczką tych zdarzeń, ale jakimś cudem to ona wskazuje drogę. Zaślepia ją żądza wiedzy, a brak instynktu samozachowawczego doprowadzi do zguby, jeśli nie zdołam jej ochronić. Kiedy nadejdzie pora, by brat wyrzekł się tego zła i ocalił swą nieśmiertelną duszę, czy stanie ona po mojej stronie, czy też stanie mi na drodze? Chciałbym wierzyć, że przeważą u niej trzeźwy osąd, tak się jednak rzadko dzieje, gdy w grę wchodzi rodzina.

Szkoda, że nie byłem dość przezorny, aby zabrać jakąś potężniejszą broń. Jedyne, co mam przy sobie, to szpada ukryta w lasce, a chociaż jej ostrze jest pokryte srebrem, wiem, że nie zdoła ono zgładzić takich istot jak ta; da nam tylko trochę czasu.

PAMIĘTNIK THORNLEYA STOKERA

(TRANSKRYPCJA STENOGRAMU)



14 SIERPNI 1868, 12.21

Woźnica wysadził mnie przed drzwiami i odprowadził powóz do stajni. Zastanawiałem się, czy nie udać się z pozostałymi do zamku Artane. To niemądre, wiem, ale nie chciałem wracać do własnego domu w obawie przed tym, co tam zastanę. Nie miałem powodu sądzić, że cokolwiek jest nie tak, ale przepełniał mnie podskórny lęk. Wielokrotnie powtarzałem sobie, że jest on bezpodstawny, a jednak wciąż wypływał na powierzchnię.

Kiedy dojeżdżaliśmy do domu, przyłapałem się na wypatrywaniu w krzakach i wśród drzew śladów obecności psa z zeszłej nocy. Rzecz jasna żadnych nie znalazłem, zacząłem więc się zastanawiać, czy w ogóle widziałem to stworzenie. Po tym wszystkim, co wydarzyło się w ostatnim czasie, kotłowało mi się w głowie. W połączeniu z niedospaniem musiało to prowadzić do tworzenia się różnych złudzeń. Stan wielu moich pacjentów bywał gorszy już w znacznie mniej stresujących okolicznościach.

Stałem u drzwi wejściowych, odprowadzałem powóz wzrokiem do stajni i przysłuchiwałem się dźwiękom nocy. Trwałem tam jeszcze kolejną minutę, zanim zebrałem się w sobie, aby przekreślić klamkę i zrobić krok naprzód.

W domu panowała cisza. Służący dawno już musieli wrócić do siebie.

– Emily?

Nie wiem, czemu wypowiedziałem jej imię; wiedziałem tylko, że to zrobiłem, i poczułem się w związku z tym dziwnie. Nie znalazłem śladu jej obecności w żadnym z pokoiów na dole. Sprawdziłem każdy po kolei, wolno przemieszczając się po budynku. To niesamowite, jak inne wydawało się to miejsce w nocnym mroku – całkowity brak życia sprawiał, że odległość między ścianami malała, a dźwięki ulegały wzmocnieniu.

Nie znalazłszy jej na parterze, wszedłem po schodach na górę, do głównej sypialni. Tam również pusto. Pościel była skotłowana i upchnięta w nogach łóżka, jakby świeżo odsunięta. Na stoliku przy łóżku zauważyłem dzbanek pełen wody wraz z pustą szklanką. Podniosłem ją i obejrzałem w świetle księżyca – sucha jak pieprz, nieużywana. Na tacy stała przygotowana dla Emily przez służbę miska gulaszu, dawno wystygłego i nieruszonego.

Okno było otwarte na oścież, a wietrzyk wpadający do pokoju poruszał zasłonami. Kiedy owionął i mnie, aż podskoczyłem, a kiedy ustał, poczułem się samotny. Jak łatwo wietrzyk potrafi cię pochwycić i zaraz porzucić – pomyślałem.

– Gdzie jesteś, moja Emily?

Nawet w moich własnych uszach mój głos brzmiał cienko i słabo. Nie był to stanowczy ton, który chciałem uzyskać, ale coś o wiele lżejszego, jak głosik dziecka wołającego mamę po koszmarze sennym.

Wszedłem z sypialni i poszedłem sprawdzić resztę pokoiów na piętrze. Z każdym kolejnym robiło mi się coraz ciężiej na sercu. Skoro Emily nie było w domu, to dokąd mogła pójść? Muszę porozmawiać z panną Dugdale i pozostałymi – stwierdziłem. Emily nie wolno było zostawiać samej, już nie, a przynajmniej dopóki nie uda się znaleźć lekarstwa na jej przypadłość. W razie mojej nieobecności służba powinna pracować na zmiany tak, aby moja żona nie została sama nawet na chwilę.

Przestraszył mnie głuchy odgłos z dołu. Wszedłem na korytarz, stanąłem na szczycie schodów. Nasłuchiwałem, ale dźwięk się nie powtórzył. Miałem pewność, że pochodził z dołu.

Wróciłem do sypialni, wyjąłem z szafki nocnej rewolwer marki Webley i sprawdziłem zawartość bębena. Nie wiem, dlaczego czułem potrzebę trzymania w domu broni, ale jej ciężar napawał mnie otuchą.

Zszedłem po schodach.

Kiedy dotarłem na dół, rozległo się kolejne łupnięcie, ale nie tak głośne jak poprzednio. Ustaliłem, że jego źródło było w piwniczce, do której drzwi prowadziły z kuchni. Były otwarte i poskrzypywały na wysłużonych zawiasach. Kiedy instalowaliśmy w domu lampy gazowe, ograniczyliśmy się do parteru i piętra. W podziemiach takie ekstrawagancje nie były nam potrzebne. Sięgnąłem po świeczkę, którą trzymałem na górze schodów, i zapaliłem knot od lampy w kuchni, po czym wróciłem do wejścia prowadzącego na dół.

Ponownie zawołałem żonę po imieniu. Moje słowa odbiły się echem od kamiennych ścian i rozpląnęły się w stęchłym powietrzu.

Nie mam pojęcia, po co miałyby tam schodzić. Nie rozumiałem też, czemu robiłaby to w całkowitych ciemnościach. Gdyby jednak wzięła ze sobą jakieś oświetlenie, zauważyłbym jego blask z miejsca, w którym stałem, ale widziałem tylko płomień swojej świecy.

Z jakiegoś powodu znów przyszedł mi na myśl pies. Bestia z zeszłej nocy. Chciałem wierzyć, że nie było jej wczoraj pod moim domem, ale wiedziałem, że była. Wyobraziłem sobie to psisko czekające przy schodach na dole. Było to niemądre; niewątpliwie to mój umysł przypominał mi, że bym był ostrożny, ale i tak nie mogłem pozbyć się tego obrazu.

Zszedłem po schodach do piwnicy, jedną ręką trzymając świecę, a drugą odgarniając pajęczyny, które zwisały ze ścian i sufitu. Kiedy jedna z nich zapaliła się od płomienia świecy, zaskwierczała krótko i rozszedł się smród spalonych włosów połączony z zapachem węgla, ziemniaków przechowywanych na zimę i innych nierozpoznawalnych woni unoszących się z tego ciemnego, wilgotnego miejsca.

– Emily, kochanie, jesteś tu na dole?

Wtem usłyszałem jakiś ruch po mojej lewej.

Odwróciłem się i oświetliłem ściany, niski sufit i brudną podłogę. Kiedy w świetle ukazała się moja żona, ledwo ją zauważyłem. Przesunąłem po niej wzrokiem, ponieważ siedziała w kucki, a jej szczupła postać była nieruchomym posąg. Skuliła się w kącie, twarzą do ściany. Była boso, a jej ciało okrywała cienka biała koszula nocna.

– Co robisz? – spytałem mimowolnie.

Na dźwięk mojego głosu jej ciało drgnęło, po czym na powrót znieruchomiało.

Po raz kolejny wyobraziłem sobie psa, zobaczyłem czarną, umięśnioną bestię siedzącą w kącie zamiast mojej żony. Przepędziłem ten obraz z głowy i podszedłem do Emily.

Warknięcie. Zaniepokoiło mnie, że takie ostrzeżenie może pochodzić od mojej kochanej Emily, ale miałem pewność, że tak się stało. To był zwierzęcy odgłos.

Kiedy położyłem jej dłoń na ramieniu, odwróciła głowę tak szybko, jakby w ogóle się nie ruszyła. Zobaczyłem, że usta, policzki i brodę ma umazane na czerwono. W ręce trzymała pozostałości myszy, której głowa została oderwana, a mimo to drobne ciało wciąż podrygiwało i kapała z niego krew. U stóp Emily, pod ścianą, leżał stosik co najmniej sześciu innych martwych gryzoni; z jednego z nich pozostał tylko ogon i kawałek mięsa. Zobaczyłem, jak moja żona mlaska językiem nad zakrwawionym truchłem, oblizuje karmazynowe wargi, a potem połyka w całości ostatnią mysz z gniazda.

OBECNIE



SYCZENIE DOCHODZI z prawej, z kąta pokoju.

Bram wyciąga nóż z pochwy przytroczonej do paska.

Mężczyzna stojący na głazie w dole nadal mu się przygląda z ręką wyciągniętą przed siebie. Nie odzywa się ani słowem, ale wyraz jego twarzy jest dla Brama dostatecznie wymowny. Mężczyzna zamyka oczy, prostuje palec, a ciszę przerywa kolejny syk.

Bram zaciska palce na rękojeści noża, bierze lampę olejną i ostrożnie przesuwa się w stronę kąta pokoju. Nie widzi węża do momentu, aż prawie na niego wchodzi. Zwierzę podnosi groźnie wyglądającą głowę i rzuca się na niego z prędkością błyskawicy. Bram cofa się, potyka i prawie upada.

Wąż syczy ponownie.

Bram unosi lampę.

Wąż zwinął się w kłębek, ma ponad pół metra długości i z początku wydawał się czarny, ale Bram zauważył, że w rzeczywistości jest ciemnobrązowy. Po smukłym ciele zwierzęcia przebiega zygzakowaty wzór z odwróconym V u nasady czaszki, jego oczy są czarne jak węgiel. W ich głębi Bram dostrzegł odbicie własnej twarzy. Głowa węża porusza się jak wahadło, w przód i w tył, w każdej chwili gotowa do ataku.

Ma kiepskie pojęcie o węzach, jako że nie występują w Irlandii, ale rozpoznaje w gadzie żmiję, jaką widział w książkach.

Wie, że żmije są jadowite, ale nie ma pewności, czy śmiertelnie.

Kolejny syk, tym razem za plecami.

Bram obraca się i na podłodze na środku pokoju zastaje węża bez wzoru na grzbiecie. Takie węże nie mają jadu, jest tego świadom i jednym sprawnym ruchem pozbawia zwierzę głowy.

Bram zdejmuje płaszcz, owija go wokół lewego ramienia i przyskakuje do węża. Ten rzuca się i zanurza kły w prowizorycznej tarczy, a Bram przyciska mu nóż do szyi i błyskawicznie go zabija. Zgarnia oba węże, wyrzuca je przez okno i patrzy, jak ich kawałki lądują u stóp mężczyzny na dole.

DZIENNIK BRAMA STOKERA



14 SIERPNI 1868, 12.58

Powóz jechał przez Clontarf wprost do Artane, musiałem więc obudzić Matyldę. Zapadła w drzemkę tuż po wyjeździe z Klubu Ognia Piekielnych. Nie miałem jej tego za złe; od iluś dni żadne z nas nie miało okazji porządnie odpocząć, czasem tylko usiłowaliśmy odetchnąć, o ile nie dręczyły nas akurat ciężkie myśli. We śnie wyglądała tak spokojnie, że niemal żałowałem, musząc ją obudzić.

Vámberý niewiele mówił. Kiedy skończył notować, odwrócił się do okna i przyglądał się, jak miasto ustępuje wsi. Zapomniałem, jak tam spokojnie, spokojniej nawet niż w Clontarf i na wybrzeżu.

Droga do zamku Artane była powszechnie znana i dzięki czwórce koni mknących w zawrotnym tempie woźnica szybko dostarczył nas na miejsce. Kiedy się zatrzymaliśmy, zwierzęta parskały nocnym powietrzem. Pierwsza para rzucała się naprzód, a druga ją powstrzymywała, mimo to wóz się zakołysał. W odróżnieniu od jazdy po mieście, koniom najwyraźniej podobało się to, co musiało być wyczerpującym galopem.

Drzwi powozu otworzyły się i wszyscy troje wysiedliśmy.

Po zamku Artane nie było śladu.

Stałem tam, gdzie kiedyś wznosiły się ruiny, i próbowałem znaleźć słowa na opisanie tego, co czułem, ale bezskutecznie. Wieża zniknęła; ostał się tylko kawałeczek kościoła, otoczony przez nieliczne nagrobki, przechylone i spękane.

Na miejscu zamku powstawała imponująca budowla: w środkowej części miała trzy piętra, a w bocznych skrzydłach po dwa. Cały plac otoczony był płotem, a na bramie wejściowej wisiała tabliczka:

PRZYSZŁA SIEDZIBA RZYMSKOKATOLICKIEGO OŚRODKA
OPIEKUŃCZO-WYCHOWAWCZEGO DLA CHŁOPCÓW W ARTANE

– Nic nie zostało – dobiegł mnie z boku głos Matyldy. – Wiedziałeś, że trwa tu budowa?

– Nie – odparłem. – Praca i recenzje nie pozostawiają mi zbyt wiele czasu na inne rzeczy.

Vámbéry podszedł bliżej i wbił czubek laski w ziemię.

– Spędziłem pewien czas w ośrodku takim jak ten. W pierwszych latach życia miałem wypadek i sparaliżowało mi jedną nogę. Mój ojciec umarł, kiedy miałem sześć lat. Wkrótce potem matka wyszła ponownie za mąż i całą uwagę poświęcała ojczymowi oraz dzieciom, które mu urodziła. Wyrzekła się mnie – praktycznie rzecz biorąc, zostałem sierotą. W ośrodku mieszkały setki chłopców, wielu z nich w wieku dziesięciu lat było już przestępcami. I byłem ja – kaleka z laską – możecie sobie wyobrazić, jakim piekłem było moje życie. Całe szczęście byłem mądry i dobrze się uczyłem, więc mianowano mnie opiekunem innych chłopców. Mimo to wciąż z nienawiścią wspominam to miejsce. Wiem, że lepiej by mi się powodziło na ulicy niż w tym szambie wypełnionym przemocą. W wieku lat dwunastu uciekłem, nie oglądając się za siebie.

Stałem naprzeciwko ruin kościoła, jedynej pozostałości pierwotnej budowli.

– Wieża, na której odkryliśmy skrzynię, stała dokładnie tutaj.

– Mówiliście, że wszystko, co znaleźliście, nazajutrz zniknęło. Gdyby zamek nadal stał, pewnie i tak nie natrafilibyśmy w nim na nic wartościowego – stwierdził Vámbéry.

Odwróciłem się do niego zdezorientowany.

– Po co zatem tu jesteście?

Spojrzał w stronę lasu po naszej lewej i wskazał laską na drzewa.

– Musicie zaprowadzić mnie na bagno, które znaleźliście jako dzieci. Chociaż zamek zniknął, las wydaje się nienaruszony.

Na samo wspomnienie stanęła mi przed oczami ręka wynurzająca się z wody i łapiąca ważkę w locie. Zobaczyłem, jak ciocia Ellen wchodzi do mętnej wody i znika pod powierzchnią. Ujrzałem wszystkie te rzeczy, których przez tyle lat nie chciałem widzieć.

– Pamiętacie, gdzie to było?

Kiedy byłem tam po raz ostatni, coś przyciągało mnie do cioci Ellen, a ja z kolei ciągnąłem za sobą Matyldę. Czułem bliskość Ellen. Ale tej nocy nie czułem tej niewidzialnej liny, do której wówczas zdawałem się przywiązany. Nie widzieliśmy przed sobą ścieżki.

Tymczasem ruszyłem do lasu. Znałem tamto miejsce jak własną kieszeń.

– Tędy.

Matylda spojrzała na mnie znacząco. Kiedy szliśmy tamtędy w dzieciństwie, widziałem w ciemności, jakby to był dzień. Myślę, że zastanawiała się, czy to nadal działa. Moje oczy zdradziły jej wszystko, czego nie ważyłbym się wypowiedzieć na głos; mogłem sobie tylko wyobrazić, co Vámbéry by sobie o mnie pomyślał.

Chociaż minęły lata, pamiętałem odgłos każdego kroku, każdą gałązkę w zaroślach. Mimo że jesiony się rozrosły, każdy wyglądał znajomo. Rozpoznawałem ukształtowanie ich kory, korzenie wystające z wilgotnej ziemi. Z krzaków przyglądały się nam nocne stworzenia, a ja zastanawiałem się, czy to te same zwierzęta, które widziałem dawno temu, czy ich potomkowie łążą po tej samej ziemi co przodkowie. Vámbéry i Matylda zabijali komary i inne denerwujące insekty, mnie natomiast nie niepokoił żaden owad.

Kiedy w polu widzenia pojawiło się bagno, zobaczyłem jego ciemną toń oczyma siebie jako siedmiolatka. Tym razem ciocia Ellen nie stała na brzegu. Tym razem byliśmy sami.

– Czy to tutaj? – spytał Vámbéry.

Kiwnąłem głową.

– Jesteś pewien?

– Tak.

Podszedł do trzęsawiska i odgarnął palcem mech. Na chwilę pokazała się gęsta czarna woda.

– Gdzie widziałeś rękę?

– Tam, po prawej od tego wielkiego korzenia.

Vámbéry spojrzał w tamtym kierunku, po czym obszedł bagno i na ile to możliwe, zbliżył się do brzegu. Zanurzył w wodzie łaskę aż po samą rączkę.

– Bardzo głęboko.

– Kiedy Ellen weszła do wody, zniknęła pod powierzchnią zaledwie metr czy półtora od brzegu.

Vámbéry przyjął ten fakt lekkim skinieniem głowy, po czym oderwał długą uschłą gałąź z drzewa obok. Zanurzył ją, podobnie jak przedtem łaskę, aż jego palce dotknęły wody.

– Nadal nie czuję dna. Ta gałąź jest tak długa, jak ja wysoki, co daje głębokość ponad metra osiemdziesięciu centymetrów.

Wyobraziłem sobie rękę wysuwającą się z toni i wciągającą do wody najpierw gałąź, a potem Vámbéryego. Jedna chwila i byłoby po wszystkim, pozostałoby tylko kilka zmarszczek na powierzchni, a potem bezruch. Przegoniłem z głowy tę makabryczną wizję.

Vámbéry puścił gałąź, a ta zniknęła pod wodą.

– Czujesz ją, Bramie?

– Co?

– Mówiłeś, że w dzieciństwie umiałeś ją wyczuć. Czy teraz jest gdzieś blisko nas? Jest gdzieś w tej wodzie?

– Nie mam pojęcia, czy jest blisko.

– Niewykluczone, że Ellen potrafi zablokować łączącą was więź. Widywałem już przedtem takie rzeczy, zwłaszcza w przypadku bardziej doświadczonych

jednostek. Tak jakby ściana odcinająca linię.

Matylda wydała stłumiony okrzyk, kiedy pojedyncza ważka śmignęła obok. Natychmiast spojrzełem na drugą stronę bagna, ale tym razem nie widziałem innych ważek, jak ostatnio.

Vámbéry zwrócił na to uwagę i powiódł oczami za moim wzrokiem.

– Niektórzy z nich mają zdolność panowania nad przyrodą. Nie tylko nad małymi zwierzętami i owadami, ale także nad większymi ssakami. Słyszałem nawet o takich, którzy kontrolują pogodę.

– Jak to możliwe? – spytała Matylda.

– Nie będę udawał, że to rozumiem. Mówię tylko to, co wiem. Pozyskują słabsze umysły i wykorzystują je do ochrony. A jak kontrolują pogodę, można tylko domniemywać.

W mojej głowie zaświtała myśl.

– Kogo ona chroniła? Osobę, którą widziałem w wodzie?

– Nie widziałeś osoby, tylko rękę, prawda?

– Tak, ale...

– Widziałeś rękę, która łapie ważkę w powietrzu i znika pod powierzchnią – stwierdził Vámbéry.

– Ręka nie może poruszać się sama.

Vámbéry zbył to machnięciem dłoni.

– W naszym świecie to może prawda. Powiedz mi, Bramie, czy to była ta sama ręka co ta, którą widzieliście w skrzyni na wieży? Zastanów się, to ma zasadnicze znaczenie. Czy z otchłani wyłoniła się prawa ręka czy lewa? I co z kończyną znaną na wieży: prawa czy lewa?

– Ręka na wieży była lewa – orzekła Matylda.

– Dobrze – odparł Vámbéry. – A ta druga?

Zmrużyłem oczy i wyteżyłem pamięć. Wyobraziłem sobie palce wychodzące ponad powierzchnię wody, zielony torf rozsuwający się, kiedy ręka pojawiła się w polu widzenia i chwyciła...

– Prawa – oznajmiłem. – To była prawa dłoń.

– Rozumiem – odrzekł Vámbéry, odwracając się do wody. – Czy pozwolicie, że przeprowadzimy niewielki eksperyment?

– Jeśli to pomoże...

– Chcę, żebyś włożył rękę do wody.

Pomyślałem o wszystkich stworzeniach, które tam żyją – węgorzach, żabach, ropuchach, traszkach – na powierzchni unosiła się gruba warstwa mokrego torfu, opierająca się blaskowi księżyca, który mógłby przeniknąć przez powierzchnię i oświetlić to, co pod spodem. Bagno było głębokie, głębsze, niż dało się zmierzyć laską albo gałęzią. Pomyślałem o ręce wynurzającej się, chwytającej ważkę i wciągającej ją w głąb. Czy taki sam los miał czekać mnie, jeżeli włożę dłoń do wody?

– Wystarczy, że dotkniesz powierzchni.

– Czemu? Czego to ma dowieść?

Vámbéry podszedł do mnie i ostrożnie stanął na pewniejszym gruncie, unikając kałuż mokrego mchu.

– Czy kiedykolwiek próbowałeś kontrolować więź, która łączy cię z Ellen Crone? Albo wzmocnić ją?

– Nie, ja...

– Woda przewodzi elektryczność zupełnie tak jak nasze mózgi. Myślę, że nie tylko wychwytuje i przekazuje tę energię, lecz także może ją magazynować. Sądzę, że to bagno może skrywać w sobie wspomnienia.

Z początku wydało mi się to niedorzeczne i prawie powiedziałem to na głos, ale z jego spojrzenia wywnioskowałem, że naprawdę w to wierzy.

– Co ci szkodzi spróbować?

Zaczerpnąłem powietrza, przygotowując się do kontrargumentacji, ale zmieniłem zdanie. Rozpiąłem mankiet, podwinąłem go do łokcia, po czym ukląknąłem nad brzegiem.

– Mam zanurzyć gdziekolwiek?

– To raczej bez znaczenia.

Wziąłem głęboki wdech i wsunąłem rękę do lodowatej wody. Nie spodziewałem się tego, co zaraz nastąpiło.

Poczułem wyładowanie; nie przychodzi mi na myśl lepsze określenie. Zaczęło się na czubkach palców i błyskawicznie przebiegło każdy centymetr mojego ciała, aż zesztyniały mi mięśnie. Oślepiło mnie białe światło, ale zaraz zrobiło się ciemno, a moja siostra i Vámbéry zniknęli z pola widzenia zastąpieni przez mętny olej, lepki brud, który wirował dookoła mnie.

Wtedy ją poczułem – to połączenie było silniejsze niż kiedykolwiek. Tym razem nie było między nami liny, ale łańcuch. W tej chwili nie była osobną istotą, ale przedłużeniem mnie, a razem nie mieliśmy dwóch umysłów, lecz jeden. Moje myśli były jej, a jej były moje.

Wówczas zobaczyłem bagno.

Ujrzałem Ellen przycupniętą na brzegu trzęsawiska; z boku stał duży drewniany kufer. Była noc, tak jak teraz, ale to nie była ta sama noc. Znalazła się w wodzie, ja znalazłem się w wodzie. Nie na powierzchni, ale stojąc na błotnistym dnie. Mijały mnie stworzenia wszelkiego rodzaju, wijące się w poszukiwaniu jedzenia. Nie zwracały uwagi na mnie, na osobę, która wkroczyła do ich świata. Ellen podniosła rękę, wyciągnęła ramię do granic możliwości. Usłyszałem jej głos dobiegający znikąd, a zarazem zewsząd dookoła mnie.

– Chodź do mnie, kochany.

Te słowa rozbrzmiały echem w wodzie, pogłos odbił się od brzegu i wrócił do mnie. Miały siłę jak żadne inne i zorientowałem się, że to nie zwykłe słowa, ale rozkaz, wezwanie. Bagniste dno wibrowało mi pod stopami i czułem jej oczy, moje oczy, spoglądające na grząską ziemię i na coś przedzierającego się ku nam. Ziemia i torf rozstały się i zrozumiałem, że to noga, pełna ludzka noga. Uniosła się z dna ku powierzchni, przepłynęła tuż koło mojej twarzy. Po naszej lewej wypływało ramię, potem kolejna noga, tułów, głowa z włosami falującymi dookoła, wszystko obok nas. Wtem ponownie znalazłem się na brzegu jeziora i patrzyłem, jak Ellen sięga po wszystkie te kawałki, te odczłonkowane części ciała, wyciąga je delikatnie z wody i umieszcza w dużym drewnianym kufrze.

Kiedy więź się zerwała, a wraz z nią połączenie między wspomnieniami Ellen a moimi, okazało się, że leżę na brzegu trzęsawiska, z głową na kolanach Matyldy, a obok mnie klęczy Vámbéry.

– Musisz nam opowiedzieć o tym, co widziałeś – wyszeptał.

* * *

14 SIERPNIĄ 1868, 1.42

W milczeniu wracaliśmy powozem do domu Thornleya. Zdarzenie na bagnach – nie przychodzi mi na myśl inne określenie tego, co zaszło – wyszło ze mnie energię. Czułem, że mógłbym przespać ileś dni.

Opisałem Vámbéryemu i Matyldzie to, co widziałem: Ellen jakimś cudem stojącą na dnie trzęsawiska i przyzywającą części ciała, które następnie unosiły się ku powierzchni, skąd ładowała je do kufra. W mojej przypominającej sen wizji taki rozwój wypadków zdawał się absolutnie logiczny, ale teraz, po zastanowieniu, coraz bardziej przypominał majaki w gorączce i z każdą sekundą stawał się bardziej nierzeczywisty.

Matylda siedziała obok, trzymając mnie za rękę dla dodania otuchy. W obliczu przerażenia wreszcie puściła w niepamięć moje wcześniejsze występki. Jeszcze przed chwilą trząsałem się jak szalony, ale jej dotyk w końcu mnie uspokoił. Naprzeciwko nas Vámbéry sporządzał notatki. Poprosił mnie, abym opisał kufer, a ja zrobiłem to najlepiej, jak potrafiłem.

– Był z drewna w ciemne plamy, miał płaskie wieko oraz srebrne zawiasy i zamki.

– Srebrne? Jesteś tego pewien?

– Miały srebrny kolor, ale nie mogę zagwarantować, z jakiego były metalu.

– A jakie kufer miał wymiary? Długość, szerokość?

Przez minutę zastanawiałem się nad odpowiedzią, przypominając sobie Ellen wkładającą nogę do kufra, w którym pozostawało jeszcze dużo miejsca.

– Długość co najmniej metr dwadzieścia, wysokość ponad pół metra i chyba tyle samo wszerz.

- Jakież naklejki lub etykiety z danymi?
- Nic takiego nie zauważyłem.
- Ale mogły jakieś być?
- Niewykluczone.

Matylda przez cały czas milczała. Sądziłem, że notuje coś w swoim dzienniku, ale kiedy podniosła szkicownik, zorientowałem się, że rysuje.

– Czy wyglądał mniej więcej tak? – spytała. Odmalowała kufer z uwzględnieniem najdrobniejszych szczegółów, a ja momentalnie rozpoznałem przedmiot na rysunku.

- Dokładnie tak.

Vámbéry wyciągnął rękę po szkicownik.

- Mogę?

Pochyliłem się nad nim i przyjrzałem się rysunkowi.

– Na kufrze wyryto skomplikowany wzór, ten sam obrazek powtórzony wiele razy. Ale tylko na zewnątrz; w środku nie miał ozdób, był tylko wyłożony filcem, a może aksamitem.

Vámbéry odnotował to i znów na mnie spojrzał.

– To ważne, Bramie, więc proszę, żebyś zamknął oczy i dobrze się zastanowił. Najpierw pomyśl o wnętrzu kufra, bo to pamiętasz najlepiej. Wyobraź go sobie w każdym detalu.

Zrobiłem, jak kazał, i zmusiłem swój umysł do skupienia się na tym potwornym widoku: Ellen wkładającej do kufra części ciała.

Vámbéry kontynuował:

– Kiedy wyraźnie zobaczysz oczyma wyobraźni środek kufra, przenieś uwagę na zewnątrz. Umysł to wspaniałe narzędzie, które potrafi znacznie więcej, niż jesteśmy w stanie pojąć. Nie musisz pozostawać biernym obserwatorem. Jeśli się skoncentrujesz, możesz zatrzymać obrazy. Możesz podejść do kufra, tak blisko, aż dotkniesz rękami drewna i wyczujesz palcami ten wzór.

Głos Vámbéryego zrobił się melodyjny i kojący. Mówił z monotonną intonacją; potem wyjaśnił mi, że poddał mnie hipnozie, której podstawy

wykładał mi profesor Dowden z Kolegium Świętej Trójcy. Kiedy ponownie usłyszałem głos Vámbéryego, dochodził on jakby z oddali. Znów ujrzałem kufer, ale tym razem Ellen była nieruchoma, zastygła, wkładając do środka korpus, męski korpus. Trzymała go bez wysiłku, chociaż musiał ważyć z trzydzieści pięć, czterdzieści kilo. Zrobiłem krok w stronę kufra, potem kolejny, aż stanąłem przed nim. Zauważyłem, że przez ciężar zawartości lekko osiadł w rozmokłej ziemi, i ciekaw byłem, jak Ellen zamierza ruszyć go z miejsca. W świetle księżycy wyglądała olśniewająco, jej twarz w tym wspomnieniu okalały długie włosy, jeszcze mokre od wody z trzęsawiska. Tamtej nocy jej oczy były niebieskie, granatowe jak ocean w chwili, gdy słońce niknie na horyzoncie i zapada noc. Taką właśnie, pełną życia Ellen pamiętałem z dzieciństwa. Wyraz jej twarzy wskazywał jednak na niepokój i pośpiech przy wykonywaniu zadania.

– Kufer, Bramie, skup się na kufrze – ponagliła Matylda i nagle poczułem jej obecność i ciepło dłoni trzymającej moją.

Wróciłem do obrazu kufra i wniknąłem w niego głęboko.

Wyobraziłem sobie, jak przesuwam czubkami palców po jego powierzchni i wyczuwam nierówności na nim tak wyraźnie, jakbym klęczał tuż obok. Wyrzeźbiony wzór był drobny i złożony, a ja nie mogłem go odcyfrować. Seria rowków, długości może pół cala, jeden przy drugim. Cała zewnętrzna strona kufra była nimi pokryta.

– Krzyże – wyszeptałem. – Tysiące maleńkich krzyżyków.

Wtem otworzyłem oczy i zobaczyłem Matyldę tuż obok.

Powóz zatrzymał się, gdyż dotarliśmy pod dom Thornleya.

* * *

14 SIERPNIĄ 1868, 2.18

Thornley stał już w otwartych drzwiach i zanim nasze stopy dotknęły bruku na Harcourt Street, niecierpliwie zapraszał nas do środka.

– Szybciej – rzucił. W ręce trzymał rewolwer i uważnie rozglądał się po drzewach i zaroślach otaczających posesję. – Wciąż tu jest. Nie wiem, dokąd

poszedł.

– Co wciąż tu jest?

– Po prostu wchodźcie wszyscy do domu – nakazał i zamknął za nami drzwi na klucz.

Podszedł do okna przy wejściu, wyjrzał na zewnątrz, a następnie przeszedł przez hall do biblioteki i odsunął kotarę. Wpatrywał się w ciemność na zewnątrz.

– Czego szukasz? – spytałem, szturchając go w bok.

– Myślałem, że to pies, ale teraz sądzę, że to może być wilk. Całkiem czarny. Widziałem go w noc, kiedy wróciłem ze szpitala, i był tu przed niecałą godziną. Stał na chodniku i gapił się w drzwi wejściowe. Boże jedyny, Bram, był wielki. Największy wilk, jakiego widziałem. I nie mów mi, że w Irlandii nie ma wilków. Doskonale wiem, co widziałem, i był to wilk.

– Twoje pierwsze wrażenie, że to pies, pewnie było właściwe. Bo najprawdopodobniej był to tylko pies.

– Bzdura. Mówię wam, to był wilk.

W oddechu brata wyczułem brandy, ale nie sądzę, żeby był pijany.

– Thornley, gdzie jest Emily? – spytała Matylda. Stała u podnóża schodów i przyglądała się palcom swojej lewej ręki. Podniosła je do światła i zobaczyła, że są czerwone. – Na poręczy jest krew.

Obróciłem się do brata.

– Thornleyu, proszę, oddaj mi broń.

Thornley zerknął na rewolwer, który trzymał w ręce. Po czym nerwowo wodził wzrokiem ode mnie do naszej siostry i z powrotem.

– O co wy mnie podejrzewacie?

Przez cały ten czas Vámbéry się nie odzywał, ale dostrzegłem kątem oka, że powolutku przysuwa się do Thornleya i zaciska dłoń na rączce od laski.

– Oddaj mi broń, Thornley – powiedziałem rozkazującym tonem, wyciągając rękę ku bratu.

Thornley położył rewolwer na mojej dłoni. Szybko wyjąłem z niego kule i wrzuciłem je do lewej kieszeni, a broń wsunąłem do prawej.

Matylda popędziła schodami w górę.

– Czekaj! – krzyknął Thornley i rzucił się za nią.

Kiedy wskakiwałem na stopnie, a za mną Vámbéry, usłyszałem krzyk siostry.

Stała przy łóżku mojego brata. Na pościeli leżała Emily z rękami i nogami bezpiecznie przywiązanymi do czterech słupków i z kneblem w ustach. Zaschnięta krew pokrywała jej brodę, szyję, a także dłonie, ramiona i ubranie. W tym momencie spojrzała prosto na nas i wydała z siebie krzyk stłumiony przez knebel.

– Coś ty zrobił? – wrzasnęła na Thornleya Matylda, sięgając do sznura, który unieruchamiał lewy przegub Emily.

Thornley przecisnął się obok mnie i odsunął siostrę na bok.

– Nie wolno jej rozwiązywać!

– Jest ranna? – spytałem, widząc całą tę krew, chociaż nie zauważyłem żadnych obrażeń.

– To nie jej krew – wyjaśnił Thornley, stojąc między Emily a nami.

– A zatem czyja? – dopytywał Vámbéry.

– Emily nie czuje się dobrze. I to już od jakiegoś czasu. Nie rozumie, co zrobiła. Wątpię nawet, żeby pamiętała, co się wydarzyło.

Vámbéry zrobił krok naprzód i nachylił się nad Emily.

– A co dokładnie zrobiła?

Emily rzucała się i wyprężała na posłaniu, sprawdzając wytrzymałość więzów. Kiedy spróbowała usiąść, rama łóżka zaskrzypiała. Więzy jednak trzymały, przynajmniej jak na razie. Jej twarz zrobiła się czerwona od gniewu i znów spróbowała usiąść.

Thornley wyciągnął strzykawkę z torby lekarskiej na stoliku nocnym i wbił igłę w ramię Emily. Obróciła się do niego i ponownie usiłowała usiąść, szarpiąc liny z ogromną siłą, ale wkrótce osłabła, kiedy specyfik zaczął działać. Opadła na materac i zasnęła.

– Laudanum – wyjaśnił Thornley. – Wygląda na to, że to jedyne, co działa. Chociaż z tego, co widzę, coraz słabiej. Przedtem dodawałem je do wina, które

piła. Teraz skutkują już tylko zastrzyki. Dawka, którą podałem, powinna uspić mężczyznę moich rozmiarów na jakieś sześć–osiem godzin. Ona obudzi się góra za godzinę.

Vámbéry delikatnie wyciągnął knebel, żeby przyjrzeć się zębom Emily.

– Co robisz? – zdziwił się Thornley.

– Od jak dawna to trwa? – spytał Vámbéry, odwodząc wargi śpiącej i przychyłając się ku niej. Nawet z miejsca, w którym stałem, czuć było jej zgniły oddech.

Thornley odwrócił się do nas plecami, starając się ukryć łzy w oczach.

– Kilka tygodni, ale dzisiaj było najgorzej. Nigdy nie zrobiła... czegoś takiego. – Rozłożył ręce, pokazując na ślady krwi.

Opowiedział nam, jak znalazł ją w piwnicy, i o myszach. Myślałem, że zwymiotuję na samą myśl. Matylda również zrobiła się biała jak ściana. Tylko Vámbéry wydawał się nieporuszony. Przyglądał się punkcikom na szyi Emily.

– A co z tym? Kiedy po raz pierwszy zauważyłeś te ślady?

– Kilka dni temu – odparł Thornley.

Vámbéry sięgnął do łańcuszka, który miał na szyi; z jego końca zwisał krzyż.

– To krucyfiks z najczystszego srebra. Dostałem go od księdza w klasztorze, który odwiedziłem cztery lata temu w miasteczku Oradea na granicy węgiersko-rumuńskiej.

Zdjął łańcuszek i złapał krzyż u podstawy. Ostrożnym ruchem przyłożył krzyżyk do grzbietu prawej dłoni Emily. Jej ciało podskoczyło, a z miejsca, którego dotknął krzyżyk, uniósł się dym. Poczulem zapach palonego mięsa i ze zgrozą patrzyłem, jak jej skóra robi się czerwona i pokrywa się pęcherzami.

– Dość! – krzyknął Thornley, odtrącając rękę Vámbéryego. – Robisz jej krzywdę!

Matylda i ja staliśmy bez słowa zupełnie osłupieni.

– Czy Emily znalazła się w pobliżu Ellen Crone? – spytał Vámbéry, z powrotem zapinając sobie łańcuszek na szyi. – Może Ellen zaatakowała twoją

żonę, aby nas ostrzec, odstraszyć, zniechęcić do dalszego śledztwa. Czy Emily miała z nią kiedykolwiek kontakt?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odrzekł Thornley. Czule wziął żonę za rękę i pogładził palcami ranę. – Dasz radę jej pomóc?

Vámbéry westchnął przeciągle. Spojrzał na mnie i pośpiesznie odwrócił wzrok, co nie uszło mojej uwadze.

– Nieumarli roznoszą swoją chorobę poprzez ugryzienia. Gdy ofiara zostanie ukąszona, gdy choroba wniknie do krwi, niewiele można poradzić. Dużo zależy od skali narażenia, czyli od liczby ugryzień. Musimy zapewnić jej odpoczynek i podawać płyny, ile tylko zechce wypić, głównie czerwone wino, żeby odnowić zdrową krew. Trzeba umożliwić jej ciału zwalczenie tej infekcji. Należy też upewnić się, że nie zostanie ugryziona ponownie. Te istoty lubią powracać do tej samej ofiary; pomaga im to uniknąć odkrycia ich procederu. Ta, która ukąsi raz, zrobi to powtórnie. Za wszelką cenę musimy temu zapobiec.

– Miał pan już przedtem do czynienia z tymi potworami, prawda? – zauważyła Matyllda. – Mówi pan o nich, jakby miał na ich temat wiedzę z pierwszej ręki, a mimo to bardzo niewiele nam pan zdradził.

Ta uwaga najwyraźniej zbiła Vámbéryego z tropu. Spodziewam się, że nigdy wcześniej nie spotkał damy równie bezpośredniej co moja siostra i być może nigdy już nie spotka. Poczuję do niej wdzięczność, gdyż zadawała pytania, które wszystkim nam chodziły po głowie.

Vámbéry usiadł na fotelu przy łóżku Emily i z nieufnością patrzył na śpiącą żonę mojego brata.

– Obawiam się, że mam niewiele do powiedzenia. Nic z tego nie zostało udowodnione naukowo. To tylko moje wnioski wyciągnięte na przestrzeni lat z legend i zabobonów. Przyznaję, że historia zapisana w książce Ellen, jej opowieść o Dearg-Due, nie jest niczym niezwykłym. Podobne opowieści napotykałem w najrozmaitszych kulturach; opowieści o istotach zrodzonych z Diabła, które żywią się krwią innych. W młodości sceptycznie podchodziłem do takich rzeczy, ale słysząc o nich raz za razem we wszelkich zakątkach świata,

zacząłem w nie wierzyć. Czyż nie jest logiczne założenie, że nawet najbardziej fantastyczne baśnie wywodzą się z dawno zapomnianej prawdy? Dowody mówią same za siebie, widzieliście to na własne oczy. Te istoty posiadają zdolność nekromancji, czyli kierowania zmarłymi, samemu również do nich należąc. Jakaś klątwa trzyma ich na ziemi i nie potrafią zaznać prawdziwej śmierci. Przekleństwo to daje im niewyobrażalną moc, siłę dwudziestu chłopca, przebiegłość znacznie przewyższającą większość ludzi, będącą skutkiem wielu stuleci błąkania się po świecie. Dowiedziałem się, że podobnie jak u pszczół występuje u nich hierarchia. Są robotnice w stanie podobnym do Emily – pszczoły, które tylko wykonują rozkazy. Są też ci, którzy je wydają, wykorzystując robotnice do wykonywania najniegodziwszych zadań. To właśnie ich powinniśmy się bać najbardziej. Są takie jak wasza droga ciocia Ellen, Dearg-Due, jeśli jej opowieść uznamy za fakt. Uważa się, że najsilniejsi z nich mogą przybrać dowolną postać – nietoperza, wilka, tumanu mgły, a nawet człowieka. Mogą być młodzi, starzy albo w każdym innym wieku. Niektórzy panują nad żywiołami, mogą zsyłać mgłę, burzę, uderzać piorunem. Ich motywy pozostają nieznane, ale jedna rzecz jest jasna: ciągnie się za nimi widmo śmierci, ponieważ życie ludzkie znaczy dla nich tyle co dla nas życie muchy.

Spojrzałem na Emily leżącą na łóżku i pogrążoną w spokojnym śnie oraz na ślady na jej szyi. Mimowolnie pomyślałem o nakłuciach na moim nadgarstku, na które zresztą nie miałem odwagi spojrzeć.

– Jakie są ich słabe strony? – spytałem, by pchnąć dyskusję naprzód. – Jak można się ich pozbyć?

Vámbéry pokiwał głową.

– Istnieją przekazy na temat ich mocy, jak również informacje na temat ich wrażliwych punktów.

Wstał, podniósł z toaletki Emily lusterko, przyniósł do łóżka i ustawił pod kątem do jej twarzy.

– Przyjrzyjcie się z bliska. Co widzicie?

Matylda, Thornley i ja pochyliliśmy się, by spojrzeć.

Moja siostra nabrała powietrza.

– Widzę jej odbicie, ale niekompletne! Widać przez nią na wylot, jakby była przezroczysta!

Ja też zauważyłem tę przezroczystość i Thornley również, bo cofnął się z przerażeniem i opadł na fotel, na którym przedtem siedział Vámbéry.

Ten ostatni odłożył lusterko na stolik nocny.

– Zauważcie, że nie przeszła jeszcze całkowitej przemiany, ponieważ wciąż widać częściowe odbicie. Prawdziwi nieumarli nie mają odbicia w lustrze; nie rzucają także cienia.

– Więc po co było Ellen lusterko? – dociekała Matylda.

Vámbéry wzruszył ramionami.

– Może to kwestia nostalgii. Przypominało jej o dawnym życiu. Ale nie da się tego stwierdzić z całą pewnością.

– Co jeszcze? – spytałem.

– Nie mogą samodzielnie przejść przez płynącą wodę i, jak wiemy z opowieści Ellen, nie mogą wejść do czyjegoś domu, jeśli nie otrzymają zaproszenia. Ze swoich mocy korzystać mogą tylko głęboką nocą. Wprawdzie mogą chodzić przy świetle dziennym, ale jak tylko mogą, unikają słońca. Wtedy właśnie najłatwiej zrobić im krzywdę. Odpoczywać są w stanie wyłącznie w ziemi z kraju, z którego pochodzą. Jako że pochodzą od tego, co bezbożne, wszelkie przedmioty kultu religijnego, takie jak krucyfiksy, hostie i woda święcona, są dla nich zabójcze. Odpycha je również czosnek, nie mam jednak pojęcia, dlaczego tak jest. To samo tyczy się dzikich róż – jeśli położyć taki kwiat w miejscu, w którym spoczywa owa nędzna kreatura, nie będzie ona w stanie wstać z grobu dopóty, dopóki kwiat całkiem nie zwiędnie.

– Czy da się je zabić? – spytał cicho Thornley, patrząc na bezwładne ciało swojej żony.

Vámbéry pokiwał głową.

– Można je zniszczyć, tylko przebijając im serce drewnianym kołkiem. Następnie ciało trzeba pozbawić głowy, spalić na popiół i rozsypać na cztery

strony świata. Ten makabryczny sposób to jedyny, jaki działa.

Thornley oparł głowę na rękach.

– Dlaczego Ellen miałyby zrobić coś takiego?

Vámbéry spojrzał na mnie kątem oka i szybko uciekł wzrokiem.

– Z jakichś sobie tylko znanych powodów jest przywiązana do waszej rodziny. Trzeba ją wyśledzić i powstrzymać. Obawiam się, że po kolejnym ugryzieniu serce twojej żony przestanie bić, a ona przeistoczy się w wampira. Ellen na pewno wróci, żeby dokończyć przemianę i powitać Emily w szeregach nieumarłych. Wtedy położymy temu kres.

– Innymi słowy, najpierw musimy namierzyć Ellen – powiedziałem pod nosem. – Znaleźć miejsce, w którym spoczywa i jest najbardziej bezradna. Czekać na nią tutaj, aż przybędzie w pełni sił, to szalone ryzyko.

– Zgadzam się – przytaknął Thornley. – Musimy przejść do ofensywy. Nie będę czekać, aż wymorduje nas wszystkich po kolei. Musimy znaleźć miejsce jej odpoczynku.

Vámbéry przez chwilę się zastanawiał.

– Znam człowieka, który może pomóc w zlokalizowaniu jej przy użyciu przedmiotów wydobytych przez was z grobu. Mogę go tu przyprowadzić.

Po raz pierwszy od prawie tygodnia na twarzy mojego brata zagościł uśmiech.

– Mogę dać wam coś znacznie lepszego niż jakieś stare błyskotki. – Sięgnął do kieszeni, wyjął i podniósł do światła niewielki pukiel włosów cioci Ellen.

Z NOTATEK ARMINIUSA VÁMBÉRYEGO

(TRANSKRYPCJA ZASZYFROWANEGO STENOGRAMU)



14 SIERPNIĄ 1868, 4.08

Nie miałem odwagi sięgnąć po pióro, dopóki nie upewniłem się, że będzie to bezpieczne.

Nie mogę pozwolić, by ekscytacja zapanowała nad moimi słowami; ważne, bym udokumentował zdarzenia w jasny i zwięzły sposób. Niczego nie wolno mi pominąć. Wszystko trzeba odnotować jak należy.

Noc przynosi kolejne rewelacje i zagrożenia w tempie, które kompletnie mnie wyczerpało. Nie wolno mi jednak zasnąć – nie w tym domu. Nie kiedy jedna nocna istota śpi w łóżku przede mną, a kolejna włóczy się po tych nawiedzonych korytarzach, i to na życzenie swojego własnego brata.

Poleciłem innym odpocząć, a sam uparłem się, że całą noc przesiedzę w sypialni z Emily i jej mężem. Thornley smacznie śpi w fotelu po prawej stronie łóżka, a ja zajmuję drugi, w kącie pod oknem. Osobiście sprawdziłem więzy Emily i jestem zadowolony, że są wystarczająco silne. Przynajmniej na dzisiejszą noc. Choroba postępuje i robi to z ogromną siłą. Może i te cienkie linki na razie wystarczą, ale jutro dopilnuję, by zamieniono je na skórzane pasy, a może srebrne łańcuchy. Oczywiście o ile dane jej będzie przeżyć kolejną dobę. Dopuszczać do przemiany byłoby wobec jej śmiertelnej duszy niesprawiedliwością, której chyba nie chciałbym zaryzykować. Widzę pierwsze objawy świadczące

o tym, że laudanum przestaje działać. Emily od jakiegoś czasu trochę się wierci i mamrocze przez sen; w ciągu ostatniej godziny coraz częściej. Na razie jednak odpoczywa.

Inni również są cicho i chociaż mam nadzieję, że śpią, to nie sądzę, by tak było. Intryguje mnie zwłaszcza Bram; pod żadnym pozorem nie opuszczę gardy w jego obecności. Przedtem, kiedy używałem lusterka, żeby pokazać zgromadzonym zredukowane odbicie Emily, skorzystałem z okazji, by sprawdzić, jak to jest w przypadku Brama. Jakkolwiek mój eksperyment potrwał ledwie sekundę, jestem przekonany, że jego odbicie było wyraźne. Wprawia mnie to w szczególną konsternację, zważywszy na to, co powiedzieli mi inni. Jeśli rzeczywiście bywał gryziony przez nieumarłą, przez tę upiorną Ellen Crone, tak często, jak twierdzi, to powinien był się przemienić już lata temu. I pomyśleć, że on także pił jej krew! Wcześniej trzymał w rękach lusterko i szczotkę Ellen bez jakichkolwiek oznak dyskomfortu, mimo że oba wykonane są ze srebra. Mogę tylko przypuszczać, że Bram znalazł jakiś sposób na obejście testów, które znam i które wykorzystuję. Diabeł wykazuje się dużym sprytem. Może to kwestia ewolucji, która pozwoliła na rozwinięcie odporności na bolączki prześladowane nieumarłych. Jeżeli tak, mam coraz większe powody do strachu, w którymś bowiem momencie ta odporność może okazać się nie do pokonania. Zamierzam sprawdzić to założenie później, kiedy nadarzy się sposobność. Ciekaw jestem, co się stanie, kiedy Bram połknie wodę święconą. Podsunę mu ją bez ostrzeżenia, aby sprawdzić, czy owa odporność uruchamia się bez udziału świadomości, czy też wymaga wcześniejszego przygotowania.

Mam poczucie, że okłamuję mojego przyjaciela Thornleya Stokera, ale są rzeczy, które muszę zrobić. Jego osąd jest pod każdym względem nieobiektywny w sprawach dotyczących jego żony i brata. Choroba, którą przenoszą, nie może się rozprzestrzenić i jeżeli muszę udawać sympatię do zarażonych, aby zidentyfikować ich słabości, a potem ich unicestwić – niech tak będzie. Kluczem jest Ellen Crone.

Posłałem woźnicę po Olivera Stewarta. Znam go od wielu lat i w pełni mu ufam. Jako człowiek praktykujący czarną magię pomagał mi w przeszłości odnajdywać przedmioty i ludzi, a dyskrecja nie pozwala mu na zadawanie pytań. Z niecierpliwością czekam na jego przybycie. Jest bowiem...

PAMIĘTNIK THORNLEYA STOKERA

(TRANSKRYPCJA STENOGRAMU)



14 SIERPNIĄ 1868, 4.10

Obudził mnie krzyk siostry. Przestraszyłem się i prawie spadłem z fotela przy łóżku mojej żony, kiedy Vámbéry minął mnie pędem z laską w dłoni i pogalopował korytarzem do pokoju gościnnego. Prawie zderzyłem się z Bramem, który wbiegł po schodach. Wszyscy wparowaliśmy przez otwarte drzwi do pokoju Matyldy i zastaliśmy ją przy oknie, pokazującą palcem w kierunku szyby.

– On jest na zewnątrz!

– Kto jest na zewnątrz? – zapytał Bram.

Matylda zakryła pobladłą twarz dłonią i potrzęsała głową.

– To było straszne! Obudziło mnie pukanie w okno. Kiedy do niego podeszłam, zobaczyłam twarz Patricka O’Cuiva przyciśniętą do szyby. Uśmiechał się do mnie i uderzał paznokciami o szkło. Były długie i żółte, ohyda. Och, a jego zęby! Miał takie... To nie było normalne. Obnażył dziąsła jak warczący pies, ukazując kły. Oblizwał usta i wymówił moje imię. Powiedział je cichutko, prawie bezgłośnie poruszając wargami, a mimo to słyszałam go bardzo wyraźnie, jak gdyby siedział tuż obok mnie. Boże, to było potworne!

– Nadal tam jest – stwierdził Vámbéry, wyglądając przez okno. – I ma towarzystwo.

Bram i ja podeszliśmy do okna i wyjrzelśmy. Oto on: Patrick O’Cuiv, mężczyzna, który umarł nie raz, lecz dwa razy; człowiek, którego sekcję zwłok widziałem na własne oczy. Teraz, w jednym kawałku, stał na trawie w dole. Nie wątpiłem, że Matyllda widziała go w oknie, mimo że znajdowaliśmy się na piętrze i nie miał jak dotrzeć tu z zewnątrz. Ale nie wątpiłem też, że mógłby dopaść do nas tak łatwo, jak ja mogłem dotknąć brata stojącego obok mnie.

– On nie może wejść bez zaproszenia – przypomniał Vámbéry. – Bardziej niepokoją mnie one.

Spojrzałem w miejsce, na które on patrzył, i aż podskoczyłem. Nie jeden, lecz dwa duże wilki, oba czarne jak noc, patrzyły na nas z podwórka oczami czerwonymi jak rubiny. Jeden z nich podszedł do O’Cuiva i usiadł u jego boku, nie spuszczając z nas wzroku.

– Gdzie odłożyłeś mój rewolwer? – spytałem Brama.

– Kule niewiele tu pomogą – ocenił Vámbéry. – Tylko pociski ze srebra na cokolwiek by się zdały, i to pod warunkiem trafienia prosto w serce. Wszystko inne tylko ich spowolni i tyle.

– Więc co zrobimy?

– Za godzinę wschód słońca. Do tego czasu przeczekamy bezpiecznie w murach domu – stwierdził Vámbéry.

Bram podszedł do Matylldy i wziął ją w ramiona.

– Nie patrz tam.

Kolejny krzyk.

Tym razem z drugiej strony korytarza, z pokoju Emily. Och, czemuż ją zostawiliśmy! Choćby na chwilę!

Vámbéry natychmiast przeleciał przez drzwi, wyciągając z laski długą srebrną szpadę. Razem z Bramem i Matylldą pognaliśmy za nim.

Zastaliśmy Emily siedzącą na łóżku. Liny, które jeszcze przed chwilą ją krępowały, leżały przy niej w nieładzie. Za nią stał mężczyzna w czerni, którego spotkałem we wtorek wieczorem. Twarz miał śmiertelnie bladą, a oczy płonęły mu na czerwono. Objął Emily ramieniem i podniósł do góry, a wolną ręką

odchylił jej głowę na bok. Mój wzrok padł na cienkie strużki krwi sączącej się z ranek na szyi, które znów zostały otwarte. Mężczyzna miał krew na ustach, wyraźnie widziałem to w świetle księżyca, bo krew mocno kontrastowała z jaskrawą bielą jego nienaturalnie długich zębów.

Na nasz widok syknął. Był to sygnał ostrzegawczy wydany przez zwierzę, nie przez człowieka, i wystarczył rzut oka na niego, żebym przypomniał sobie o dzikim psisku.

– Puść ją! – krzyknął Vámbéry. Machnął w powietrzu szpadą, której srebrne ostrze błysnęło, mijając twarz intruza o zaledwie kilka centymetrów.

Drugą ręką Vámbéry zerwał z szyi łańcuszek, niszcząc zapięcie, i wyciągnął krzyżyk przed siebie. Mężczyzna znów zasyczał wściekle, wyrzucając z ust ślinę i opryskując nią pościel. Z oszałamiającą prędkością wypuścił Emily z uścisku i uczynił krok wstecz. Jej nieprzytomne ciało upadło bezwładnie na poduszki.

Vámbéry zrobił wypad do przodu, mierząc szpadą w pierś mężczyzny.

Niemal w momencie, w którym ostrze trafiło w cel, mężczyzna rozpadł się na kawałeczki – po prostu nie da się tego inaczej opisać. Wybuchł, zmieniając się w chmurę czarnych drobinek, które rozlatywały się na wszystkie strony. Instynktownie zakryłem oczy ramieniem, zanim te pociski uderzyły we mnie i odbiły się od mojego ciała, boleśnie je kłując.

– Pszczoły! – krzyknął Bram. – Zamienił się w pszczoły!

Wtedy usłyszałem bzyczenie owadów, które wypełniło cichy przed chwilą pokój ogłuszającym hałasem.

W dzieciństwie zostałem zaatakowany przez pszczoły, bo potrąciłem ich ul, i po dziś dzień pamiętam narastający dźwięk, który wydawały, opuszczając swoje mieszkanie i kierując się w moją stronę – to nikłe bzyczenie, które przybierało na sile, kiedy znajdowały się nade mną. Tu hałas nie pojawiał się stopniowo, lecz buchnął z niczego, jakbym nagle znalazł się w środku roju.

Poczułem palące użądlenie w ramię i strąciłem wściekłą pszczołę, która na nim wylądowała. Odpadła od skóry, pozostawiając w niej długie żądło. Gdy

kolejna pszczoła zaatakowała moją szyję, ból był taki, jakby ktoś wbił mi w nią nóż.

Zauważyłem, że pozostali również odpędzają od siebie czarno-żółtą falę, a najbardziej energicznie czynił to Vámbéry. Jakimś sposobem liczba pszczół zdawała się rosnąć; każda z nich dzieliła się na dwie, a każda z tych dwóch na kolejne dwie. Rój stał się tak gęsty, że ledwo widziałem drugi koniec pokoju. Mrużąc oczy, wypatrzyłem drzwi i ruszyłem w ich stronę, a z każdym krokiem było mi coraz ciężej. Za moimi plecami Vámbéry zaczął recytować jakąś modlitwę, starając się przekrzyczeć całą tę kakofonię.

– Boże wszechmogący, obdarz nas łaską, abyśmy mogli przepędzić siły ciemności, i ześlij nam świetlistą zbroję teraz, w tę godzinę naszego nietrwałego żywota, w której Syn twój, Jezus Chrystus, przyszedł do nas, twoich pokornych sług; abyśmy w dni ostatnie...

Raptem przerwał mu wrzask, tym razem Matyldy. Sądzę, że pszczoła użądliła ją w rękę, ale nie miałem jak tego potwierdzić. Oszczędzała lewe ramię, jednocześnie zaciekłe wywijając prawym.

Vámbéry powtórzył modlitwę, głośniejsz niż poprzednio, a reszta z nas dołączyła do niego, aż nasze głosy zagłuszyły bzyczenie. Równie nagle, co się pojawiły, pszczoły wyleciały w końcu przez otwarte okno i znikły w mroku. W pokoju zapanowała cisza, przerywana tylko przez nasze przyspieszone oddechy.

Podszedłem do łóżka Emily.

Była nieprzytomna, ale oddychała regularnie. Zamknięte powieki drgały pod wpływem marzenia sennego. Wyprostowałem jej nogi i ułożyłem głowę z powrotem na poduszce, po czym ukląknę przy niej, głaszcząc po włosach. Nie zwracałem uwagi na ból po użądleniu przez kilkanaście pszczół. W tym momencie liczyła się tylko moja ukochana Emily.

Z tyłu Bram, Matylda i Vámbéry ostrożnie wyciągali żądła, pomagając sobie nawzajem.

– Jak to w ogóle możliwe? – spytała wreszcie moja siostra. Była w widoczny sposób wstrząśnięta, ale próbowała ukryć swój strach.

– Słyszałem opowieści o nieumarłych zamieniających się w mgłę albo w rozmaite zwierzęta – powiedział Vámbéry głosem, w którym słychać było wyczerpanie – ale żeby przeistoczyć się w tysiące maleńkich pszczoł i zaatakować w taki sposób jak on, zachowując jeden umysł, ale podzielony na wiele osobników... Takie dokonanie musiało wymagać nadzwyczajnych mocy.

– To był ten sam człowiek, który tamtej nocy szedł za mną do domu ze szpitala; ten, który pytał o Ellen i usiłował ją odnaleźć – powiedziałem. Trzymałem Emily za rękę; nawet gdyby zanurzyła palce w kubek z lodem, nie byłyby tak zimne jak jej dłoń teraz.

– Jest bardzo stary. Musi, skoro udała mu się taka sztuka – stwierdził z obawą Vámbéry.

– Jak zdołał się dostać do domu?

– Twoja żona musiała go zaprosić. Jeśli nie dzisiaj, to przy innej okazji.

Przy łóżku stała miednica. Sięgnąłem po ręcznik leżący obok, wycisnąłem nadmiar wody i oczyściłem ranę na szyi Emily. Dwa nakłucia nie były większe niż przedtem, ale wyraźnie czerwone i objęte stanem zapalnym. Mimo to oba były zasklepione, jakby gojenie trwało już od kilku godzin.

Odgarnąłem jej włosy i obejrzałem czoło.

– Skaleczenie na policzku zniknęło. Było tam jeszcze parę godzin temu. – Spojrzałem na Brama i Matyldę. – Pamiętacie? Pokazywałem je wam.

– Pamiętam – potwierdził Bram, zakrywając miejsce, w które wcześniej sam się celowo skaleczył.

Vámbéry delikatnie podniósł dłoń i odwiódł rękaw.

– Rana, którą wypalił krzyżyk, też już się zagoiła. – Zmarszczył brwi z niepokojem. – Nie zostało nam wiele czasu.

– Czy da się go „odzaprościć”? – zapytała Matylda.

Vámbéry położył rękę Emily z powrotem przy jej boku.

– To już bez znaczenia. Jej krew zmieszała się z jego krwią; teraz są tym samym. Jej wola nie jest już jej własna.

– Po tym, jak Ellen ugryzła mnie po raz pierwszy – wtrącił Bram – mogłem słyszeć jej myśli, a ona mogła słyszeć moje. Musimy uważać na to, co mówimy przy twojej żonie, mój drogi bracie. Ten człowiek może podsłuchiwać.

– A teraz? – zaciekawiał się Vámbéry. – Czy nadal masz to połączenie z Ellen Crone?

Bram pokręcił głową.

– Nie tak jak przedtem. Jako dziecko byłem chyba w stanie znaleźć ją na drugim końcu świata, a ona mnie. Czasem znałem jej myśli tak samo dobrze jak swoje. Ale coś się zmieniło przez te lata.

– Umie cię blokować – wyjaśnił Vámbéry. – To, że ty nie czujesz już więzi, nie znaczy, że ona nie może.

– To chyba tak nie działa. Żeby zajrzeć do mojego umysłu, musi otworzyć swój umysł przede mną, chociażby te drzwi były uchylone tylko przez sekundę. Nie sądzę, żeby potrafiła ukryć przede mną to połączenie. Ubiegłej nocy w Clontarf wyczuwałem Ellen, zanim do niej poszedłem, teraz jestem tego pewien, mimo ulotności tej więzi.

Vámbéry przez chwilę trawił tę informację.

– A czy ty potrafisz zablokować ją tak samo, jak ona blokuje ciebie?

– Nie wiem.

– To ważne. Musisz spróbować. Jeśli potrafisz w jakiś sposób to kontrolować, możemy użyć tego do własnych celów. Jeśli nie, obawiam się, że Ellen może wykorzystywać cię do odgadywania naszych zamiarów. Na to nie możemy sobie pozwolić – podkreślił Vámbéry.

Emily zacisnęła dłoń na mojej dłoni, a jej oddech stał się płytki. Zamiast brać długie, głębokie wdechy typowe dla snu, łapała powietrze krótkimi, szybkimi haustami. Zesztywniała, a jej plecy wygięły się w łuk.

– Przytrzymajcie ją! – krzyknął Vámbéry.

Mocniej ścisnąłem jej dłoń, a drugą położyłem jej na ramieniu. Bram i Vámbéry zajęli się jej nogami. Odepchnęła nas trzech, jakbyśmy byli zabawkami. Nagle jej oczy się rozwarły, a z ust wydobyło się syczenie. Usiadła na łóżku tak szybko, że mignął nam tylko jej niewyraźny kształt.

Vámbéry znów wyciągnął srebrny krucyfiks i machnął nim w kierunku jej twarzy. Emily uciekła wzrokiem i skuliła się na łóżku. Chwilę później z powrotem była spokojna i oddychała normalnie, pogrążona we śnie.

– Stara się zneutralizować infekcję, ale to przegrana walka – powiedział. – Niedługo się przemieni.

– Co możemy zrobić? – Ścisnąłem jej dłoń, która – choć nie wydawało mi się to możliwe – była jeszcze zimniejsza niż przedtem.

– Macie w domu czosnek?

– Pewnie w kuchni albo w piwnicy.

– Przynieś go. I jakąś miskę.

Zbiegłem na dół i wróciłem z kuchni z dużą miską oraz warkoczem świeżego czosnku.

Vámbéry wziął je ode mnie i położył na stoliku nocnym. Umieścił czosnek w misce, po czym wyjął ze swojej skórzanej torby buteleczkę oraz zielone zawiniątko. Podniósł buteleczkę do światła.

– To woda święcona ze Świętego Michała.

Vámbéry przeżegnał się, otworzył buteleczkę i wylał jej zawartość na czosnek. Następnie delikatnie odwinął zielony materiał.

– Czy to te opłatki od komunii? – spytała Matylda.

Vámbéry pokiwał głową.

– Tak, hostie, też ze Świętego Michała.

One również trafiły do miski. Przy użyciu rękojeści noża myśliwskiego rozgniół jej zawartość na białą papkę, dodał trochę wody święconej i mieszał aż do uzyskania pasty. Zaniósł miskę do okna, zamknął je na zasuwkę i zaczął nakładać pastę wzdłuż krawędzi.

– To powinno zapobiec jego powrotowi. Przynajmniej na razie.

Wziął resztkę pasty i rozsmarował ją wokół łóżka, kreśląc okrąg dookoła Emily.

– Ona też nie będzie raczej mogła przekroczyć tej bariery. Nie będzie to działać wiecznie, ale wystarczy, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo w późnych godzinach nocnych.

Patrzyliśmy na Vámbéryego z trwogą, zastanawiając się, jakie jeszcze może skrywać tajemnice.

* * *

14 SIERPNI 1868, 8.15

Świt cicho nadszedł od wschodu i dosięgnął mojego domu swymi niecierpliwymi palcami. Chciałbym móc powiedzieć, że udało mi się odpocząć, byłoby to jednak kłamstwo; nie sądzę, żeby któremukolwiek z nas się to udało. Bram spędził całą noc na sofie w bibliotece, z Matyldą zwiniętą w kłębek na fotelu obok. Odmówiła powrotu do pokoju gościnnego i nie chciała być sama. Vámbéry i ja dalej czuwaliśmy nad Emily. Nie doszło do żadnych incydentów i moja żona smacznie spała.

Woznica Vámbéryego wrócił o brzasku z wiadomością, że człowiek nazwiskiem Oliver Stewart przybędzie po zmroku. Matylda zżymała się na tę zwłokę, bo czekanie miało oznaczać cały dzień stracony, ale Vámbéry wyjaśnił, że metody Stewarta nie zadziałają za dnia; Ellen najprawdopodobniej odpoczywa i nie ma jak jej odnaleźć.

Kiedy wreszcie mój brat pojawił się u Emily, jego oczy były zaczerwienione, a czoło poznaczone zmarszczkami bezsenności. Wyobrażam sobie, że sam nie wyglądałem lepiej.

Ostatniej nocy, kiedy Vámbéry sporządził swoją miksturę z czosnku i wody święconej, zrobił straszliwe więzy z czterech skórzanych pasków, które znalazł w mojej komodzie. Użył ich, aby przywiązać ręce i nogi mojej żony do słupków łóżka w zastępstwie lin, których wcześniej użyłem. Kiedy zapytałem, czy jego zdaniem skóra wytrzyma, odparł, że owszem, choć jego oczy zdradzały zupełnie

inną opinię. Zauważyłem, że od ostatniego incydentu cały czas miał przy sobie laskę. Chociaż schował szpadę do środka, zdążył już udowodnić, jak szybko macha ostrzem, i nie było wątpliwości, że użyje go w razie zagrożenia. Nie było przy tym jasne, czy oczekiwane niebezpieczeństwo ma nadejść zza okna czy ze strony Emily, ponieważ do obu odnosił się równie nieufnie.

Podczas obrysowywania łóżka mieszkanką wody święconej z czosnkiem Vámbéry prysnął nią na rękę Brama, tę samą, w którą ugryzła go Ellen. Jestem pewien, że ten „wypadek” stanowił jakąś próbę, gdyż uwagi żadnego z nas nie uszła rozmyślność tego czynu. Zrobiwszy to, Vámbéry zacisnął rękę na rączce laski, a my wszyscy spojrzeliśmy na brata w oczekiwaniu na to, co się stanie. Bram, niewiele myśląc, po prostu starł pastę z dłoni i posłał Vámbéryemu fałszywy uśmiech. Jeśli Bram był zarażony, było jasne, że choroba wpływa na niego w zupełnie innym stopniu niż na moją żonę.

Wkrótce po przybyciu Brama do pokoju Emily zamrugła i otworzyła oczy, a z jej ust padło pięć słów:

– Czy potwór już sobie poszedł?

Na dźwięk jej głosu rzuciłem się na łóżko i wziąłem ją w ramiona. Najchętniej nigdy bym jej nie puścił. Była taka lodowata! Kiedy mój policzek zetknął się z jej, miałem uczucie, jakbym przyłożył twarz do szyby w paskudną zimową noc. Nie odsunąłem się jednak. Chciałem, by wiedziała, że nie jest sama; musiała wiedzieć o mojej miłości. Mówiła spójnie, ale mało pamiętała z wydarzeń ubiegłej nocy. Jakiś czas temu zmieniłem jej zakrwawione ubranie. Nic nie wspominała o myszach, więc my też nie. Zdaniem Vámbéryego to dobrze, że mówiła tylko o rzeczach, które ją wzmacniają i uszczęśliwiają, a nie takich, które przypominałyby jej o dolegliwościach.

Chociaż wiedzieliśmy, że jest chora, to poza obniżoną temperaturą ciała niewiele świadczyło o jej stanie. Właściwie było wręcz przeciwnie: jej skóra nigdy nie wyglądała lepiej, była bez skazy. Nawet jej włosy wydawały się gęstsze, a niesforne loki tańczyły wokół twarzy, ich kolor zaś się pogłębił. Gdyby nie to, że ją znam, dałbym jej dziesięć lat mniej, niż w rzeczywistości

miała. Chciałem rozsunąć zasłony, ale Emily skryła się przed światłem i powiedziała, że boją ją od niego oczy, więc niechętnie zaciągnąłem je z powrotem. Pokój był duży, ale jego ściany zdawały się powoluteńku zbliżać do siebie z upływem każdej kolejnej godziny, aż nie mogłem już wytrzymać i wyszedłem na zewnątrz, żeby się przewietrzyć. Na wilgotnej ziemi nie znać było śladów ani ludzkich, ani wilczych, ani żadnych innych.

W którymś momencie Matyllda przyniosła mojej żonie tacę owoców i dzbanek chłodnej wody oraz filiżankę jej ulubionej herbatki rumiankowej. Emily nie miała na nic ochoty. Upierała się, że nie chce jej się jeść, ale powiedziała Matyldzie, by zostawiła tacę przy łóżku, na wypadek gdyby zmieniła zdanie. Wtedy również poprosiła o zdjęcie skórzanych pasów. Do tej pory ledwo zwracała na nie uwagę, a kiedy wreszcie to zrobiła, zabrzmiało to tak nonszalancko, że prawie wydało mi się zabawne. Vámbéry wyciągnął Brama i mnie na korytarz, by omówić jej prośbę, i zdecydowaliśmy, że najlepiej będzie na razie zdjąć pasy, ale ponownie skorzystać z nich o zmierzchu. Emily przystała na tę propozycję, chociaż nie pamiętała, co działo się poprzedniej nocy.

Kiedy słońce zaczęło się zniżać, założyliśmy pasy z powrotem. Emily nie protestowała. Mimo że większość dnia przespała, w miarę zbliżania się nocy robiła się coraz bardziej czujna, a zarazem wycofana. Mówiła mniej i wydawała się pogrążona w myślach. Bałem się, że nadchodzi kolejny napad. Gdyby do niego doszło, nie mógłbym znieść tego widoku, więc zszedłem na dół i dołączyłem do pozostałych.

Zgodnie z planem służących odprawiliśmy wcześniej niż zwykle. Sporo między sobą szeptali. Żadne z nich nie zostało dopuszczone do Emily i o ile znali moje rodzeństwo, o tyle na Vámbéryego patrzyli ze skrepowaniem, nie pytali jednak o niego. Nie należałem do osób, które mają przed służbą tajemnice, więc ostatnie zdarzenia wyraźnie ich niepokoiły.

Vámbéry sporządził więcej swojej pasty i ponownie uszczelnił nią okna w pokoju Emily, twierdząc, że nic nie zdoła się przez nie przedostać i będziemy mogli bezpiecznie zostawić ją na górze, a sami zejść na dół.

Oliver Stewart zjawił się punktualnie o siódmej.

Vámbery wpuścił go do środka i od razu zaprowadził do jadalni, gdzie czekał na niego przygotowany opróżniony stół. Zamiast lamp gazowych zapaliliśmy świece i kadzidła w całym pokoju, aż wypełnił go blask migotliwych płomieni i ziemisty, korzenny aromat. Trzy krzesła odstawiliśmy na bok, zostawiając tylko pięć wokół okrągłego stołu. Stewart rozejrzał się i pokiwał głową.

– Powinno wystarczyć.

Wszedłszy do pokoju, Stewart nie uściśnął nikomu dłoni. Kiedy Bram wyciągnął do niego swoją, gość cofnął się i założył ręce za plecy.

Był to człowiek o niezwykłym wyglądzie. Mierzył niewiele ponad metr pięćdziesiąt, i to licząc z wkładkami do butów, które – jak zdradził mi Vámbery – podobnie jak wysoki melonik stosował, by dodać sobie nieco wzrostu. Jego twarz była pełna i okrągła, jak gdyby w dzieciństwie ktoś rozciągał mu czaszkę tak, aby rosła raczej wszerz niż wzdłuż. Gdybym miał zgadywać wiek, dałbym mu pięćdziesiąt parę lat. Miał białe skórzane rękawiczki, których nie chciał zdejmować, oraz grube okulary, przez które jego paciorkowate oczy wydawały się o wiele większe niż w rzeczywistości. Jego rozbiegane oczy lustrowały każdy fragment pomieszczenia, unikał natomiast kontaktu wzrokowego z nami.

– Pan Oliver jest bardzo wrażliwy – wyjaśnił nam Vámbery. – Zwykle dotknięcie drugiego człowieka może wywołać u niego epizod taki jak ten, który Bram przeżył na bagnach. Bywa to niepokojące i dezorientujące. Proszę zatem, abyście uszanowali jego niechęć do wchodzenia w kontakt z kimkolwiek lub czymkolwiek, chyba że sobie go zażyczy.

– Proszę nie brać tego do siebie – powiedział zażenowany Stewart, wbijając wzrok w podłogę.

Przypomniałem sobie, że przynajmniej raz widziałem już tego człowieka w Klubie Ognia Piekielnych, ale nie rozmawialiśmy ze sobą. Wtedy również spędzał czas w towarzystwie Vámberyego i pamiętam, jak obaj pędzili przez główny hall ku tylnym schodom. Stewart niemal przylegał do ściany, byle tylko

uniknąć członków Klubu stojących na środku pomieszczenia. Ręce trzymał w kieszeniach, a wzrok miał spuszczonej.

– A więc możemy zaczynać? – spytał Vámbéry. Odsunął krzesło Matyldzie, po czym zajął miejsce obok niej.

Stewart jakiś czas przyglądał się Bramowi, a potem usiadł obok niego. Ja wybrałem krzesło przy Vámbérem, a Bram znalazł się pomiędzy mną a Stewartem. Ten ostatni wydobyl z czarnej torby szczegółową mapę Dublina wraz z przyległymi wioskami i rozwinął ją na stole. Następnie wyjął czarne pudełeczko, otworzył zatrzask i ostrożnie podniósł wieczko, ukazując zawartość.

– To jest wahadełko. Odziedziczyłem ten konkretny model po mojej babci przed prawie trzydziestu laty, kiedy zauważyła, że posiadam dar widzenia. Ona sama dostała je od swojej babci. O ile mi wiadomo, liczy ono sobie około dwustu lat.

– Dar widzenia? – powtórzyła Matylda.

Stewart spojrzal na nią przelotnie, po czym przeniósł wzrok z powrotem na zawartość pudełeczka.

– Jak pan Vámbéry uprzejmy był wyjaśnić, kiedy dotykam ludzi bądź przedmiotów, które miały kontakt z tymi ludźmi, widzę różne rzeczy. Czasem jest to krótki przeblysk pamięci albo coś, o czym akurat w danej chwili myślą. Kiedy indziej wizje są o wiele potężniejsze, a wówczas pogrążam się w nich i nie jestem w stanie skupić się na moim faktycznym otoczeniu. Przez lata nauczyłem się kierować tym darem tak, by wyszukiwać informacje, które pragnę zdobyć: tajemnicę, którą ktoś skrywa w swoim umyśle, a nawet coś, czego sam nie jest świadom. Umiem także wykorzystywać swoje zdolności do wskazywania dokładnej lokalizacji wybranej osoby lub rzeczy i jak przypuszczam, to właśnie z tego powodu pan Vámbéry mnie tu dzisiaj zaprosił, prawda?

– Tak – odparła Matylda. – Chcemy, żeby określił pan miejsce pobytu naszej dawnej niani.

– Ellen Crone – dodałem.

– Tak, Ellen Crone – powtórzył Stewart.

Sięgnął do drewnianego pudełeczka i wyjął z niego przyrząd wykonany ze złota. U góry miał dwie cienkie blaszki ułożone na krzyż, od którego odchodził złoty łańcuszek. Do jego końca przyczepiony był ciężarek w kształcie łyży, również wykuty ze złota, z czubkiem pomalowanym na czarno. Ciężarek wisiał kilkanaście centymetrów pod uchwytem w kształcie krzyża. Skojarzyło mi się to z marionetką. Stewart uniósł wahadełko tuż nad stołem i pozwolił mu się kołysać w tył i w przód.

– Poproszę o włosy – polecił Stewart.

Byłem tak zafascynowany rozgrywającymi się wydarzeniami, że nie od razu spełniłem jego prośbę. Dopiero gdy oczy wszystkich zwróciły się na mnie, wyciągnąłem z kieszeni mały pukiel włosów Ellen, który nosiłem przy sobie przez całe dorosłe życie. Podałem go Stewartowi.

– Proszę położyć go na stole.

– Tak, przepraszam – odrzekłem, kładąc pukiel na rozłożonej mapie.

Stewart przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, przechylając głowę na różne strony. Następnie ściągnął zębami białą rękawiczkę i upuścił ją obok, na stół. Kiedy jego dłoń była już wolna, rozprostował palce, ostrożnie chwycił pukiel i zacisnął w pięści.

Zamknął oczy i wypuścił powietrze, które zagwizdało pomiędzy jego krzywymi zębami. Poruszał oczyma pod powiekami, jakby śnił mu się sen. Lewą rękę wyciągnął nad mapą, pozwalając wahadełku zwisać swobodnie. Wymamrotał jakieś słowa w języku, którego nie rozumiałem, i zaczął poruszać wahadełkiem nad Dublinem. Czubek przyrządu wskazywał na rozmaite drogi i budynki, łańcuszek był napięty i rozkołysany. Przez następnych dziesięć minut przemierzał mapę wzdłuż i wszerz, w prawo i w lewo, w górę i w dół, aż sprawdził każdy centymetr kwadratowy. Wykonał całą operację ponownie i jeszcze raz. Minęła już prawie godzina – bez rezultatu – i zaczęliśmy się niecierpliwić.

– Może nie ma jej już w Dublinie – zasugerował Bram, który najwyraźniej kupił całe to przedstawienie. Ja dochodziłem do wniosku, że to kompletna głupota.

Stewart otworzył oczy, po czym odłożył pukiel i wahadełko na stół.

– Będę potrzebował dodatkowych map.

Dopadło mnie zwątpienie, wstałem, fuknąłem z irytacją, poszedłem do biblioteki, aby po chwili powrócić ze szkicownikiem Matylidy i otworzyłem go na mapie Irlandii.

– Proszę sprawdzić, czy może uda się z którąś z nich. Ja zajrzę do żony.

– Daj mu trochę czasu – poprosił Vámbéry. – To nie jest nauka ścisła.

– Nauka? To w ogóle nie jest nauka! W najlepszym razie to salonowa sztuczka.

– Może powinienem już iść – zaproponował Stewart, i było to chyba najmądrzejsze, co powiedział, odkąd się zjawiał.

– Nie, nie powinien pan – zaprzeczyła Matylida. – Musimy próbować dalej.

– Czy mógłbym zerknąć na te włosy? – spytał Bram.

Wzruszyłem ramionami.

– Czemu nie?

Bram sięgnął przez stół, wziął włosy do ręki i zamknął oczy podobnie jak Stewart. Usłyszałem, jak mówi:

– Gdzie jesteś, Ellen?

Na zewnątrz zbierało się na burzę, a kiedy podszedłem do okna, zaczął padać deszcz. Spodziewałem się poniekąd zastać na swoim trawniku Patricka O’Cuiva i watahę wilków, ale tym razem nic tam nie było. W oddali zabłysnął piorun, a po nim zabrzmiał grzmot tak silny, że aż zadrżała porcelana w gablocie na bibeloty za moimi plecami.

Stałem tyłem do stołu przez zaledwie kilka sekund, nie więcej. Mam co do tego pewność. A kiedy się odwróciłem, mój wzrok padł na wejście do jadalni – zauważyłem Emily stojącą w połowie schodów. Najpierw pomyślałem, że mi się przywidziało, ponieważ stała tam nieruchoma i kompletnie naga. Z jednego

z nadgarstków wciąż zwisał skórzany pas. Kiedy nasze oczy się spotkały, ze zgrozą patrzyłem, jak zeskakuje ze spocznika, przelatuje przez barierkę i niemal szybuje przez hall do jadalni. Wszystko to w absolutnej ciszy; dopiero kiedy przekroczyła próg pomieszczenia, inni również ją spostrzegli.

Vámbéry był w szoku; wstał od stołu, przewracając krzesło. Matylda krzyknęła. Oczy Stewarta niesamowicie się rozszerzyły, ale on ani drgnął, sparaliżowany przez strach. Jako jedyny zareagował Bram i zrobił to sprawnie. Wyglądało to, jakby złapał ją w powietrzu i ściągnął na stół jednym płynnym ruchem, przygważdżając ją za szyję. Emily młóciła w powietrzu rękami i nogami; trafiła mnie stopą z taką siłą, że zderzyłem się ze ścianą. Poczulem osypujący się tynk i pękającą listwę boazerii, a moje plecy przeszył ból. Z trudem się wyprostowałem, kiedy Vámbéry wyciągnął z laski szpadę i gotował się do zanurzenia srebrnego ostrza w sercu mojej żony.

– Nie wolno ci! – wrzasnąłem i rzuciłem się przez stół. Ostrze prawie ugodziło mnie w plecy, ale Vámbéry skrócił pchnięcie i szpada minęła mnie o ułamek centymetra. Walnąłem o podłogę u jego stóp.

– Dużo dłużej już nie dam rady! – krzyknął Bram. Nadal przytrzymał Emily, tym razem za ramiona, ona jednak szarpała się, próbując wyswobodzić.

Matylda sięgnęła przez stół, wyrwała Stewartowi wahadełko i podsunęła jego uchwyt w kształcie krzyża przed twarz mojej żony. Ta momentalnie znieruchomiała ze strachu; kręciła głową i zaciskała powieki.

– Przestań albo przyłożę ci to do skóry! – pogroziła Matylda, ale niepotrzebnie, bo ciało Emily już się rozluźniło. Najwyraźniej wróciła jej świadomość, gdyż przestała wymachiwać rękami i zakryła nimi obnażone piersi oraz części intymne. Przyciągnęła kolana do brody niczym dziecko szukające ochrony. Ucichł głośny syk, który wydobywał się z jej gardła, i spojrzała na mnie błagalnie.

– Och, on mnie woła! Ma taki piękny głos!

– Kto? – spytał Vámbéry.

Emily puściła to mimo uszu.

– Szuka też Dearg-Due. Swojej drogiej hrabiny.

Bram chwycił ją za ramiona i potrząsnął.

– Kto?!

– Wysoki mężczyzna – odparła z uśmiechem Emily. – Chce ze mną tańczyć.

Muszę do niego iść.

Stewart wstał z krzesła i nachylił się nad nią.

– Gdzie możemy znaleźć Ellen Crone?

Emily przez chwilę mu się przyglądała, po czym chwyciła go za dłoń, aż mu palce zbieleły. Na jego twarzy odmalował się grymas bólu, zanim jednak zdążył krzyknąć, jego głowa odskoczyła do tyłu i wywrócił oczami, ukazując białka. Doznał wizji. Emily również zmartwiała, jak gdyby oboje nawiązali z sobą swego rodzaju kontakt.

– Tak bardzo lubię tańczyć – powiedziała cicho Emily.

Usłyszałem jęk Brama tuż obok. Odwróciłem się i zobaczyłem, że strasznie cierpi. Puścił Emily i rozrywał guziki koszuli, rozchylając materiał. Złapał ręką łańcuszek na szyi, zerwał go i cisnął na stół. Był na nim pierścień; ten pierścień, który znalazł z Matyldą przed wieloma laty. Metal jarzył się ognistą czerwienią, a jego ciepło czułem nawet z miejsca, w którym stałem.

– Whitby! – krzyknął Stewart. Jego twarz wykrzywiła agonია.

Emily uwolniła jego rękę i zeskoczyła ze stołu.

W okamgnieniu rzuciła się na wielkie okno w jadalni, rozbiła je i znikła w szalejącej nocnej burzy.

DZIENNIK BRAMA STOKERA



14 SIERPNIA 1868, 23.19

Mój brat był gotów popędzić przez okno za swoją żoną, ale Vámbéry go powstrzymał. Trzymałem się poparzoną dłonią za klatkę piersiową i rozglądałem dookoła, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie zaszło.

Matylda stała nieruchomo w kącie jadalni, zakrywając usta dłonią, z wyrazem takiego przerażenia na twarzy, że nie zdziwiłbym się wcale, gdyby osiwiła. Zerkąła to na stół, to na mnie, to na Thornleya i Vámbéryego przy oknie. Wreszcie jej wzrok spoczął na Stewarcie, który skulił się na podłodze z zaciśniętą pięścią. Dochodziły od niego ciche odgłosy – prawdę mówiąc, było to łkanie.

Wtem Matyldzie wróciła przytomność umysłu. Ukucnęła przy nim i ujęła go za ramiona, uważając, by nie dotykać nieosłoniętej skóry na szyi i na przegubach.

– Co jest w Whitby? – spytała. Zdziwiło mnie to, ponieważ sądziłem, że chciała tylko pocieszyć mężczyznę, ona jednak pragnęła jedynie wyjaśnień.

– Nie dotykaj... – poprosił cicho Stewart.

– Musisz dać mu czas na dojście do siebie – powiedział stojący przy oknie Vámbéry. – Emily weszła z nim w bezpośredni kontakt, a on nie był na to gotowy. Mam świadomość, że dla ciebie czy dla mnie jest to irytujące, ale kiedy coś takiego zdarza się jasnowidzowi tak potężnemu jak ten człowiek, może to być dla niego traumatyczne, a wręcz niebezpieczne.

– Czuję się dobrze – wymamrotał Stewart – ale, panno Matyldo, proszę się odsunąć. Z całym szacunkiem, jest pani o wiele za blisko.

Matylda uczyniła to, o co poprosił.

Pod oknem szlochał Thornley. Podeszedłem do niego i rozejrzałem się po ciemnościach wokół domu. Ani śladu Emily. Jeśli nawet pozostawiła odciski stóp na błotnistej ziemi, to deszcz już je zmył. Szczerze jednak wątpiłem, żeby je pozostawiła.

– Jest tam zupełnie sama – powiedział Thornley. – Musimy ją znaleźć. Nie umie zadbać o siebie.

– Znajdziemy ją, obiecuję. Daj, zamknę okiennice; deszcz wpada do środka.

Thornley spojrział nieobecny wzrokiem na kałuże, które potworzyły się na podłodze jadalni, i machnął ręką w moim kierunku, po czym wrócił do stołu i opadł na jedno z krzeseł.

Jeszcze raz oceniłem sytuację na zewnątrz, zatrzasnąłem okiennice i zamknąłem na klucz. Kiedy usiadłem z powrotem przy stole, Vámbéry oglądał mój pierścionek pod światło.

– Co to ma być? – spytał głosem, w którym pobrzmiwał gniew.

– Pierścień, który leżał w dłoni znalezionej przeze mnie i Matyldę na wieży zamku Artane – wyjaśniłem. – Mówiliśmy już panu o nim.

– Owszem, mówiliście mi o nim, ale słowem nie wspomnieliście o inskrypcji na nim ani o fakcie, że dalej jesteście w jego posiadaniu. Nie sądzicie, że te szczegóły mają znaczenie? – Vámbéry nachylił się nad Stewartem i dał mu do przeczytania napis wyryty od wewnętrznej strony pierścienia.

– Zechce pan go potrzymać? – spytał go Vámbéry.

Stewart skrzywił się z wyraźnym niezadowoleniem. Zwlókł się z podłogi i sięgnął po rękawiczkę.

– Ani myślę robić coś takiego. Proszę natychmiast odwieźć mnie do domu.

– Nie może pan jeszcze sobie pójść! – zaprotestowała Matylda, zagradzając mu drzwi. – Musi pan opowiedzieć nam o Whitby. – Wzięła szkicownik ze stołu,

otworzyła go na mapie Anglii i popukała w znaczek obok miejscowości Whitby.

– Co to za miejsce? Czym jest to Whitby?

– Najlepiej pani zrobi, jeśli da sobie pani spokój z Whitby i z szukaniem państwa niani – odrzekł, po czym zwrócił się do Thornleya i dodał: – A pan niech da sobie spokój ze swoją żoną. Należy teraz do niego i nie ma sposobu, by ją odzyskać.

– Należy do kogo?

Stewart przepchnął się obok niego w kierunku drzwi wejściowych.

– Odeślę tu woźnicę, kiedy dostarczy mnie do domu.

Matylda próbowała za nim iść, ale złapałem ją za rękę i pokręciłem głową.

– Niech idzie – zgodził się ze mną Vámbéry. – A co wiecie o Draculu?

– Nic. Pomijając inskrypcję na pierścieniu, nigdy przedtem nie słyszałem tego imienia – odparłem.

Vámbéry wskazał na wolne krzesła, więc ja i Matylda usiedliśmy. Wtedy wziął pierścień i przytrzymał go między kciukiem a palcem wskazującym.

– To wiele wyjaśnia – stwierdził. – Więcej, niżbyście chcieli usłyszeć, ale musicie się tego dowiedzieć, jeśli chcecie zrozumieć, z czym przyszło nam się zmierzyć.

Zajął jedno z pustych miejsc i odłożył pierścień na stół.

– Draculowie to stara rodzina pochodząca z górskich okolic Wołoszczyzny. Z przedstawicieli chłopstwa awansowali na obrońców ludu, a wreszcie na władców całej krainy, przez stulecia chroniących jej mieszkańców przed licznymi najeźdźcami, zwłaszcza przed Turkami. Ponoć cechowali się ogromną potęgą i stosowali straszliwe techniki bitewne oraz korzystali z bezbożnego paktu, który zawarli z samym Diabłem. Powiadają, że każdy z członków rodziny udawał się w góry, w okolice jeziora Hermannstadt, aby uczęszczać do Scholomancji, diabelskiej szkoły. Tam poznawali wszelkie sekrety przyrody, język zwierząt i mnóstwo zaklęć magicznych i uroków, które osobiście wykładał Diabeł. W każdej klasie było co najwyżej dziesięciu uczniów, po ukończeniu nauki dziewięciu wracało do domów, a dziesiąty zostawał jako zapłata dla

Diabła. Uważa się, że na przestrzeni wieków zaszczyt ten spotkał co najmniej czterech Draculów. Tak zwany dziesiąty uczeń zostawał adiutantem Diabła, jego osobistym uczniem, i poznawał o wiele mroczniejszą magię niż którykolwiek z pozostałych. Zdobywał umiejętność oszukania śmierci, manipulacji umysłami innych, przeistaczania się, w cokolwiek tylko zechciał. Stawał się bogiem pośród ludzi, ale płacił za to wygórowaną cenę, ponieważ Diabeł zabierał jego duszę, a bramy Nieba na zawsze pozostawały dla niego zamknięte, jako że ostatnie próby wymagały, aby wyrzec się Boga i przystać na wszystko to, co bezbożne.

– To tylko legenda, prawda? – przerwał Bram.

– To taka sama prawda jak opowieść o Dearg-Due spisana przez waszą nianię. Przypuszczam, że to historia jej własnego życia. Ostatecznie wszystkie legendy mają oparcie w prawdzie.

– A zatem wierzysz, że ten „wysoki mężczyzna” to jeden z Draculów? – dopytywała Matylda.

Vámbéry pokiwał głową.

– Sądzę, że to wojewoda Dracula. To imię wielokrotnie pojawia się w legendach, które słyszałem w całej Europie Wschodniej. Czasem nazywają go *stregoica*, *Ördog*, *pokol*, a w niemieckim tekście, który poznałem w Budapeszcie, nawet *wampyr*. Opis fizyczny jest zawsze mniej więcej taki sam: wysoki, ciemne włosy, gęste brwi, orli nos. Widziałem niezliczone wizerunki tego mężczyzny, ale na każdym z nich wyglądał nieco inaczej. Są jednak podobieństwa.

Przypomniałem sobie o rysunkach sprzed wielu lat, na których Matylda próbowała uchwycić ciocię Ellen, ale nigdy do końca jej się to nie udawało, a każdy obrazek różnił się od poprzedniego. Mój wzrok napotkał spojrzenie Matyldy – najwyraźniej myślała o tym samym.

– Najbardziej znany portret – ciągnął Vámbéry – znaleźć można w starej broszurce z Norymbergi opublikowanej w piętnastym wieku. Jest tam określany mianem „wojewody Draculi”, ale sądzą, że występował pod wieloma nazwiskami.

– Nie obchodzi mnie, jak się nazywa ani jakich potwornych występków dopuszczał się w przeszłości. Ten podły człowiek zabrał mi żonę – powiedział Thornley. Znów stał przy oknie z okiennicą uchyloną na tyle, że widać było szalejącą burzę. – Będę go ścigał na skraj świata, byle ją odzyskać. Jeśli Ellen jakimś cudem jest z moją Emily, to i jej serce przeszyję ostrzem, jeśli to będzie konieczne.

– Pogoń za nim oznacza śmierć. Pomyśl o tym, czego byłeś świadkiem – odparł Vámbéry. – Ten mężczyzna na naszych oczach z pojedynczej istoty ludzkiej przemienił się w rój pszczół. Chyba możemy założyć, że przywrócił Patricka O’Cuiva do życia nie raz, ale dwukrotnie, przy czym drugie zmartwychwstanie nastąpiło po tym, jak ciało O’Cuiva poddano sekcji. Już samo to dokonanie świadczy o jego makabrycznych umiejętnościach. Udało mu się zarazić twoją żonę chorobą, która czai się w jego własnej krwi, uczynić ją pokorną niewolnicą i obrócić przeciwko tobie. Jeśli wierzyć opowieści o Dearg-
Due, twoja Ellen dołączyła do rzeszy nieumarłych w chwili, gdy wyrzekła się Boga. Zło, które stworzyło Dracula, płynie również w jej żyłach. Nie miałbyś szans nawet w starciu z jednym z nich. A porywać się na nich oboje to niedorzeczność.

– W jaki sposób dotarli do Anglii? Mówiłeś, że nie mogą przekraczać wody – dociekał Thornley.

– Powiedziałem, że nie mogą przekroczyć płynącej wody własnymi siłami – uściślił Vámbéry. – Ale Dracul posiada wielkie bogactwa i może sobie zapewnić pomoc innych, ludzi pozbawionych skrupułów.

– Musimy doprowadzić to do końca – powiedziałem cicho. – Cokolwiek Ellen mi zrobiła, cokolwiek ten człowiek zrobił Emily, wszystko jest powiązane. Ta klątwa prześladowuje nas od dzieciństwa. Musimy położyć jej kres.

– Skąd możemy mieć pewność, że Emily pojechała do Whitby? – zastanawiał się Thornley. – Co, jeśli wyjedziemy, a ona wróci tutaj, do opuszczonego domu?

Podniosłem pierścień i zacisnąłem go w pięści.

– Emily poszła do niego, a my wiemy, że on udał się do Whitby. Przybył tu dziś wieczorem, żeby ją stąd wywabić. My zdołaliśmy tylko nieco to opóźnić.

– A co z Ellen? – spytała Matylda.

– Ellen również się tam kieruje, jestem tego pewien – odrzekłem.

– Skąd wiesz?

Ramię swędziało mnie nieznośnie i po raz pierwszy od wielu lat lina łącząca mnie z Ellen wkradła się do mojego umysłu; ta więź, o której w dzieciństwie myślałem, że to tylko wytwór wyobraźni.

– Po prostu wiem.

Nie wiedziałem jednak, czy to ja wykorzystuję tę więź do śledzenia Ellen, czy też Ellen wykorzystuje ją do przyciągnięcia mnie do siebie na ofiarę dla Dracula. Tak czy inaczej, co do jednego miałem pewność: na końcu tej ścieżki pytań pogrzebane były odpowiedzi.

Vámbéry przypatrywał mi się w milczeniu. Skupił się na mojej dłoni, która uległa bolesnemu poparzeniu, ale rana, zamiast dalej się zaogniać, całkowicie się wygoiła.

Thornley wrócił do stołu i usiadł obok niego.

– Arminiusie, byłeś nam niezwykle pomocny, bardziej, niż mógłbym sobie wyobrazić. Ale nie mogę prosić cię, żebyś nam towarzyszył. To byłoby zbyt wiele, zważywszy, jak dużo już uczyniłeś.

– Dosyć! – zaprotestował Vámbéry. – Oczywiście, że z wami pojedę. Jeśli zmierzacie na spotkanie ze śmiercią, będę przynajmniej mógł o tym zaświadczyć. Będziemy jednak potrzebować zaopatrzenia. Zacznę gromadzić je bez zwłoki. Powinniśmy być gotowi wyruszyć o świcie.

OBECNIE



MĘŻCZYŻNA PRZYGLĄDA mu się.

Dreszcz przebiegł Bramowi po plecach, jak gdyby ta ciemna istota wyciągnęła do niego rękę i pogłaskała go po policzku. Bram ze zgrozą widzi, jak w otaczającym ich błocie pojawiają się bąbelki i coś wsysa węże pod powierzchnię; jeden z nich wbija w niego spojrzenie swoich czarnych, paciorkowatych oczu, po czym znika z pola widzenia.

Nadchodzi mgła, unosi się znad bulgocącej ziemi niczym jakiś diaboliczny opar. Najpierw gromadzi się tylko wokół mężczyzny, ale potem rozchodzi się na boki, rozszerza koncentrycznymi kręgami, aż dochodzi do wieży i zaczyna owijać ją, jakby brała w objęcia. Bram podchodzi do drugiego okna i widzi, że po tej stronie błotnista ziemia również zaczęła buzować, trawa kipi od pary i wydała z siebie mgłę. Tajemnicze wyziewy unoszą się nad gruntem na jakieś pół metra, ale dziesięć minut później cała budowla jest już przez nie pochłonięta.

Mężczyzna ani na chwilę nie spuszcza wzroku z Brama, wydaje się bardzo skoncentrowany. Rozcapierza dłonie, rozprostowuje palce, a jego długie paznokcie wskazują dół. Następnie płynnym ruchem zniża się i zanurza koniuszki palców w ziemi.

Wokół niego mgła wiruje powoli, a potem coraz szybciej. Nawet jeśli dzieje się to za sprawą wiatru, Bram go nie czuje; powietrze w pokoju ani drgnie.

W jednej chwili pies znika, zanurza się w ziemi, a potem ginie pod powierzchnią, jakby wessany przez jakąś niewidoczną siłę, jak powietrze

wciągnięte do płuc.

Wszystko odbywa się cicho, tak cicho, że kiedy zza drzwi ktoś się odzywa, Brama ogarnia strach.

On po ciebie idzie – brzmi głos małej dziewczynki.

Wtem błoto wrzące dookoła mężczyzny zaczyna się poruszać, a na powierzchnię wypływają węże – tysiące węży wszelkich kolorów i rozmiarów, wypluwane przez piekielną głębię.

LIST MATYLDY DO ELLEN CRONE Z 16 SIERPANIA 1868



NAJDROŻSZA ELLEN!

Nie będę opisywać tego, co zaszło w ostatnich kilku dniach, gdyż bez wątpienia już to wszystko wiesz. Mogę tylko przypuszczać, że wysoki mężczyzna, którego określamy mianem Dracula, dostarczył Ci informacji. Sądzę też, że więź między Bramem a Tobą pozwala Ci w pewien sposób go obserwować. Musisz zatem wiedzieć, że jesteśmy w drodze do Whitby.

Wsiedliśmy w Dublinie na statek pocztowy „Leinster” i przepłynęliśmy przez Morze Irlandzkie bez większych utrudnień – pomijając dwa wielkie kufry, które pan Vámbéry przywłókł ze sobą, zawierające przedziwny zbiór ubrań i relikwii. O wiele więcej niż skromna torba, którą zabrałam. Bram i Thornley też stwierdzili, że w podróży lepiej się zanadto nie obciążać.

Statek dostarczył nas do Liverpoolu, gdzie przesiedliśmy się do pociągu jadącego do Whitby przez Manchester, Leeds i York. Mamy dotrzeć na miejsce w ciągu godziny.

Thornley ze zrozumiałych powodów jest zrozpaczony, a jednocześnie przygaszony. Nie chciał wyjeżdżać z domu i prawie byłby w nim został. Nawet po tym wszystkim, co się zdarzyło, trwa w przeświadczeniu, że cokolwiek dolega Emily, ma źródło w jej umyśle, a ona włóczy się ulicami Dublina jakby otumaniona. Thornley nie może znieść myśli o tym, że jego żona wraca do domu

i go tam nie zastaje. Po długich dyskusjach Bram przekonał brata, że powinien się do nas przyłączyć. Służba dostała polecenie, aby niezależnie od pory nie zamykać żadnych drzwi ani okien, a w razie powrotu Emily wysłać do niego telegram do gospody U Księcia Yorku.

Bram również twierdzi, że jesteś w Whitby, ale nie potrafi wyjaśnić dlaczego. Czy dotarłaś tam w towarzystwie tego wysokiego mężczyzny, Dracula? Czy on podąża za Tobą tak samo jak my? Jakie interesy mogą sprowadzać Cię do tak odległego miejsca?

Czemu przed nami uciekasz? A może to właśnie Ty gonisz nas?

Czy drogi, którymi podążasz, nie mają końca?

Bram drapie się w ramię. Chyba nie zauważył, że to dostrzegłam. Swędzi go ślad po Twoim ugryzieniu i całe ramię. Ten „świad”, który pochodzi z jego wnętrza, przybiera na sile w miarę zbliżania się do Whitby, a zarazem do Ciebie. Bram niewiele o tym mówi, ale ewidentnie go to martwi. Nawet teraz, spoglądając przez okno pociągu na przemykające angielskie wioski, myślami jest gdzie indziej – przy Tobie.

Z serdecznymi uściskami

Matylda

DZIENNIK BRAMA STOKERA



17 SIERPNIA 1868, 12.05

Po trzech dniach podróży dotarliśmy bez żadnych incydentów do miasteczka Whitby i rozgościliśmy się tam. Muszę przyznać, że obawiałem się wsiąść na statek i przepłynąć Morze Irlandzkie. Niepokoiło mnie to zamknięcie na ograniczonej przestrzeni otoczonej przez falującą wodę. Poczułem się tak mały i bezbronny. Gdyby nie totalne wyczerpanie, może spędziłbym więcej czasu na zamartwianiu się tym wszystkim, ale zamiast tego spałem. Spodziewałem się, że moje sny będą pełne obrazów Ellen i naszej wyprawy, ale tak się nie stało; była tylko ciemność, nieprzenikniona i cicha. Wyobrażam sobie, że takim samym uczuciem jest śmierć. A ja tak spałem.

Po przybyciu do Whitby Vámbéry wezwał powóz, aby zabrał nas do gospody U Księcia Yorku, położonej na klifach wychodzących na zachód, i zameldował nas w zarezerwowanych uprzednio pokojach. Vámbéry i Matylda mieszkali pojedynczo, a ja dzieliłem pokój z Thornleyem. W jego obecnym stanie lepiej było nie zostawiać go samego. Teraz właśnie śpi na jednym z łóżek, ale nie jest to przyjemny, odprężający sen, lecz niespokojne wizje. Bez przerwy rozkopuje pościel i kilka razy mamrotał nieprzytomnie. Większości nie mogłem zrozumieć, ale wyłowiłem imię jego żony, coś o karmieniu jej i jakieś bzdury o policji, która ściga go za morderstwo strażnika w Szpitalu Steevensa. Wiem, że ten człowiek umarł w jego obecności, ale mój brat ani trochę za to nie odpowiada; Thornley z pewnością to wie, a mimo to jego umysł szuka winnego. Może to dlatego, że

nie doniósł o zbrodni, a może to kwestia ostatnich stresujących wydarzeń, które powodują w nim poczucie winy. W przeciwieństwie do mnie Thornley znakomicie radzi sobie z badaniem psychiki i muszę przyznać, że jego praca niezmiennie mnie intryguje i fascynuje.

Usiadłem w fotelu pod oknem, żeby poczynić ten wpis; morska bryza rozkosznie muska moją skórę. Wdychanie słonego powietrza przypomina mi Clontarf sprzed lat. Whitby to urocza miejscina, rzeka Esk meandruje tu po głębokiej dolinie, rozszerzającej się w kierunku zatoki. Wszystkie domy na starym mieście, zbudowane jakby jeden na drugim, mają czerwone dachy. Nad miastem góruje opactwo, szlachetne ruiny ogromnych rozmiarów. Między nim a miasteczkiem znajduje się kościół parafialny – jak się później dowiedziałem, pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny – naokoło którego rozciąga się rozległy cmentarz wypełniony nagrobkami. Wzgórze opada w stronę zatoki tak stromo, że część stoku się osunęła i niektóre groby zostały uszkodzone. Vámbéry zwrócił nam uwagę na ten fakt, gdy tylko przyjechaliśmy.

– Wiele z tych grobów jest pustych, a nagrobki służą tylko ukojeniu tych, których ukochani zginęli na morzu.

To wyjaśnienie jednak nie zdołało wymazać z moich myśli obrazu rozpadającego się klifu i ciał zmarłych spadających prosto w kłębiące się fale.

Żeby dotrzeć do cmentarza z ulicy, trzeba wspiąć się po stu dziewięćdziesięciu dziewięciu stopniach – jest to nie lada wyczyn, zważywszy na stromiznę i siłę wiatru od morza. Na górze stoją kościół i opactwo.

Coś mnie ciągnęło na szczyt wzgórza, do tego opactwa.

Zanim jeszcze Vámbéry zostawił mi i Thornleyowi wiadomość z prośbą, żebyśmy spotkali się z nim w recepcji gospody, wiedziałem, że wkrótce będziemy pokonywać te schody.

* * *

– Ostatnich kilka godzin spędziłem na poszukiwaniu informacji – oznajmił nam Vámbéry – i wszystkich faktów znanych moim kontaktom, które mogą okazać się dla nas użyteczne.

Nasza czwórka usiadła wokół stolika w pubie na świeżym powietrzu przy Church Street, z widokiem na opactwo w oddali. Niebo, wcześniej błękitne, teraz zasnuły gęste chmury i monotonna szarość. Zanosiło się na deszcz. Nad zatoką unosiła się mgła, gotowa spowić miasto.

– Mogłem z panem pójść.

Vámbéry zbył mnie machnięciem ręki.

– Musiał pan odpocząć, wszyscyście musieli, przed tym, co nas czeka. Ja naodpoczywałem się w młodości i teraz potrzebuję niewiele snu.

– Ma pan tu przyjaciół? – spytała Matylda chyba nieco bardziej sceptycznie, niż zamierzała, i oblała się rumieńcem.

– Ja wszędzie mam przyjaciół, moja droga. W moim zawodzie nigdy nie ma się ich zbyt wielu.

Wszyscy doskonale wiedzieliśmy, że nie należy wypytywać go o charakter tego zawodu, więc nie pytaliśmy.

– Ellen jest bardzo blisko, jestem tego pewien – oznajmiłem.

– A co z Emily? – zapytał Thornley.

– Nie wiem. – Taka była prawda. Chociaż jak najbardziej umiałem wyczuć bliskość Ellen, nie miałem żadnego połączenia z Emily. – Czuję, jakby Ellen siedziała tu z nami przy stoliku. Sądzę, że patrzy na nas teraz. Światło dzienne jest dla niej czymś strasznym. Czuje się wtedy słaba, więc nie wychodzi z cienia, cały czas jednak znajduje się blisko, bardzo blisko.

– A ten wysoki mężczyzna, Dracul? – spytał Vámbéry. – Jego obecność też pan czuje?

Nie czułem i tak też odpowiedziałem.

– Ale kiedy myślę o nim, mam wrażenie, że Ellen potrafi go wyczuć. W sumie to wiem, że Ellen potrafi go wyczuć. Raczej nie ma go teraz w Whitby, ale niedługo się zjawi. Ellen czeka na jego przybycie... Tak, obserwuje nas

i czeka na niego – wymawiałem te słowa powoli, w miarę jak do mnie przychodziły. Nie umiałem wyjaśnić tego połączenia pomiędzy mną a Ellen, ale zdawało się umacniać, pozwalało mi sięgać dalej i wyławiać myśli z jej umysłu. Mimowolnie zacząłem się zastanawiać, czy gdyby ona robiła to samo, tobym o tym wiedział.

– Chciałbym, żeby spróbował pan coś zrobić, Bramie. Proszę pomyśleć o Emily, skupiając się na Ellen tak jak wtedy, gdy myśli ona o Draculu. Proszę myśleć o Emily w umyśle Ellen. Czy Ellen wie, gdzie ona jest?

Zamknąłem oczy, a Vámbéry wymówił te słowa kojącym, monotonnym tonem, wprowadzając mnie w stan podobny do snu, tak że prawie spałem.

– Proszę umieścić to pytanie w umyśle Ellen, a potem postarać się uchwycić reakcję.

Zrobiłem to, co kazał, i powiedziałem:

– Tak, Emily jest z wysokim mężczyzną. Ciemne, ponure miejsce. Oczekiwanie. Niepokój. Wyczerpanie. Kołysanie. Jak na morzu? Nie, już nie. Powóz. Przemieszczają się powozem.

– Świetnie, panie Bramie, świetnie. Teraz proszę się mocno skupić, to ważne. Kiedy wyjechali z Dublina?

Z wysiłkiem wróciłem do umysłu Ellen. Jeżeli nawet się opierała, nie czułem sprzeciwu. Odpowiedź pojawiła się ot tak, wyłowiona z wartkiego strumienia.

– W sobotę wieczorem, na statku, do Liverpoolu. Dalej prywatny powóz. Dużo koni. Szybki. Niezwykle szybki. Ciemność. Ellen oczekuje ich dzisiaj późną nocą.

– Znakomicie pan sobie radzi, Bramie. Proszę spróbować jeszcze czegoś. Wiem, że pan to potrafi, więc po prostu niech pan oczyści umysł i przyjmie, że da pan radę. Nie będzie to trudniejsze niż spojrzenie z prawa w lewo albo napicie się herbaty, rozumie pan?

– Tak – usłyszałem swój głos, który zdawał się dochodzić z daleka, jakby moja odpowiedź dobiegła z przeciwnej strony ulicy.

– Mówił pan, że Ellen nas obserwuje. Powiedział pan wręcz, że obserwuje nas w tej właśnie chwili. Proszę zajrzeć do umysłu Ellen i powiedzieć nam, gdzie ona jest. W jaki sposób nas widzi, pod jakim konkretnie...

Otworzyłem nagle oczy, gdy moją głowę przeszył nagły ból. Przesuwał się do przodu i miałem wrażenie, jakby ktoś z całej siły ścisnął mi oczy w swojej dłoni. Z ledwością powstrzymałem jęk.

– Proszę oddychać, oddychać – inkantował wprost do mojego ucha Vámbéry.
– Już po wszystkim, proszę się rozluźnić.

Zamrugalem z powodu światła. Mimo burzowych chmur niebo nad nami wydawało się niezmiernie jasne. Położyłem łokcie na stole i oparłem twarz na dłoniach.

– Zablokowała pana. Ellen przyłapała pana na zaglądaniu do jej umysłu i odcięła kontakt. Należało się tego spodziewać. Czy dowiedział się pan, gdzie przebywa?

Zastanowiłem się przez chwilę.

– Nie. Jest blisko, ale to może być którykolwiek z tych budynków.

Ze wszystkich stron otaczały nas setki okien, od witryn sklepowych począwszy, przez szyby w domach, a skończywszy na oknach naszej gospody i opactwa na klifach po przeciwnej stronie. Nie miałem pojęcia, gdzie ona jest.

– I tak dobrze, sporo się dowiedzieliśmy. Nie sądzę, żeby to była jej pierwsza wizyta w Whitby. Prawdę mówiąc, myślę, że bywa tu od jakiegoś czasu – stwierdził Vámbéry.

Matylda położyła mi rękę na ramieniu.

– Czemu pan tak uważa?

Vámbéry wskazał gestem na zatokę.

– W ostatnich latach widywano tu zjawę w postaci wielkiego czarnego psa, grasującego po wrzosowiskach. Miejscowi twierdzą, że ta bestia jest znacznie większa od typowego psa i wyglądem przypomina wilka. Przez kilka ostatnich miesięcy obserwowano go więcej razy i częściej. Na przykład ubiegłej nocy.

– Myśli pan, że ten pies to Ellen? – spytał Thornley.

– Owszem, mam powody tak przypuszczać. To nie wszystko. – Skinął głową w kierunku opactwa. – Kolejna miejscowa legenda opowiada o kobiecie w bieli widywanej w oknach opactwa, wysoko na tamtej wieży. Stróż opactwa twierdzi, że na tę konkretną wieżę nie da się wejść, a mimo to widział tam tę postać nie dalej jak przed tygodniem. Chociaż poszczególne opisy różnią się między sobą, podejrzewam, że to widmo to również nasza Ellen Crone.

– Coś ciągnie mnie do tego miejsca, odkąd przyjechaliśmy – przyznałem. – Nie jestem pewien, gdzie Ellen teraz jest, ale jest w nim coś niezaprzeczalnie znajomego.

– Wykorzystała grób Patricka O’Cuiva do ukrycia swoich rzeczy. Może to samo robi tutaj – zasugerowała Matylda. – Bo dla kogoś, kto oparł się śmierci, dogodnym miejscem byłby jakiś opuszczony grób, dawno zapomniany przez miejscowych i przez nikogo nieodwiedzany. Byłoby to też odpowiednie miejsce na ukrycie map.

– Ale przede wszystkim jak udało się jej tam wejść? – zauważył Thornley. – Czyż nie jest to święte miejsce?

Vámbéry skwitował to stwierdzenie uśmiechem.

– Zapytałem o to w tutejszej bibliotece i dowiedziałem się bardzo interesujących rzeczy na temat historii opactwa. Pierwszy klasztor wznosił tu ponad tysiąc lat temu król Oswius z Nortumbrii i umieścił w nim zarówno mnichów, jak i zakonnice. Stanowisko ksieni piastowała anglosaska księżniczka Hilda. W roku sześćset sześćdziesiątym czwartym zwołano synod...

– Synod? – przerwała Matylda, marszcząc brwi.

– Zebranie, radę – wyjaśnił Vámbéry – jedno z najważniejszych spotkań w historii Kościoła, mające rozwiązać problem różnic między kościołami rzymskimi a celtyckimi na Wyspach Brytyjskich. W owym czasie niewiele było świętych miejsc. W dziesiątym wieku budowlę zniszczyli Danowie, a dzisiejsze opactwo wzniesiono od nowa, aby dać schronienie mnichom benedyktyńskim. Przez nieomal pięćset lat był to czynny zakon, aż Henryk VIII zarządził w tysiąc pięćset trzydziestym dziewiątym likwidację wszystkich

klasztorów. Dzięki temu zabudowania i grunty mógł kupić Richard Cholmley, wielki posiadacz ziemski z Yorkshire. Jego rodzina mieszkała na terenie opactwa aż do osiemnastego wieku, a następnie porzucili to miejsce. I tu pojawia się najbardziej interesujący aspekt. – Zrobił pauzę, po czym pochylił się nad stołem. – Pan Cholmley do budowy swojego domu wykorzystał kamień z opactwa. Tradycja wymagała wówczas, by przed rozbiórką świętego przybytku Kościoła musiał dokonać jego desakralizacji. Był to warunek użycia jego części do budowy prywatnego domu.

– Jest pan tego pewien?

– Całkowicie. Cmentarz i pozostałe grunty pozostały w łaskach Kościoła, ale samo opactwo nie; nie stoi już na poświęconej ziemi. Wielu sądzi, że damą w bieli jest Hilda, pierwotna ksieni, snująca się po ruinach ukochanej świątyni, ale jak mówiłem wcześniej, sądzę, że to panna Crone, bo dlaczegoż by nie? Skoro wierzymy w opowieść o Dearg-Due, to gdzie ktoś, kto wyrzekł się Boga, znalazłby lepszą kryjówkę niż w zdesakralizowanym opactwie?

– W miejscu, które wszyscy uważają za święte, ale ono takie nie jest. Najciemniej pod latarnią – ocenił Thornley. – Doprawdy niezwykle.

Vámbéry zauważył coś i wstał.

– Przepraszam na minutę.

Odszedł od stolika i skierował się na róg Bridge Street i Church Street. Sprzedawczyni kwiatów niedawno zjawiła się tam i zaczęła rozkładać swój towar. Wypakowywała rośliny i rozkładała je na kocu wzdłuż ulicy. Przez chwilę rozmawiali, po czym kobieta wskazała na swój wózek, a Vámbéry wręczył jej pieniądze. Podała mu koszyk, on zaś przyniósł go i ustawił na środku stolika.

– Jeśli znajdziemy w opactwie pannę Crone, chciałbym podarować jej ten prezent – powiedział Vámbéry. – Nic tak nie cieszy kobiety jak świeżo ścięte kwiaty.

Wychyliłem się do przodu i zajrzałem do słomianego koszyka. Wypełniały go dorodne białe dzikie róże.

17 SIERPNI 1868, 16.58

Wspięliśmy się po schodkach do opactwa; zaczęliśmy przy Church Street i dotarliśmy do ruin na szczycie niczym procesja delikatnie meandrująca po klifie. Wcześniej kufry Vámbéryego bezpiecznie złożono w jego pokoju w gospodzie U Księcia Yorku. Wyjął z nich pewne przedmioty i schował do skórzanych toreb, które następnie rozdzielił pomiędzy nas. Nie sprawdzałem, co mieli w nich inni; w moich znajdowały się lusterka i krzyże różnej wielkości. Kiedy Thornley przechodził przede mną, dostrzegłem lufę karabinu wystającą z jego torby. Pokazywał mi go wcześniej – był to nowy snider-enfield mark III z lufą skróconą dla łatwiejszego przewozu. Zauważyłem też, że Vámbéry wkłada różę do torby Matyldy. Nie jestem pewien, co zawierała jego własna, ale cokolwiek to było, musiało sporo ważyć, gdyż co kilka minut przewieszał ciężar z jednego ramienia na drugie.

W ciągu ostatniej półgodziny niebo jeszcze bardziej sponurzało i zasnuło się chmurami burzowymi. W oddali majaczyła zatoka i statki wpływające do portu. Te, które stały już w dokach, marynarze dodatkowo przycumowywali w obawie przed wietrzną pogodą. Z każdym naszym krokiem w górę powietrze robiło się odrobinę chłodniejsze, a mgła podchodziła coraz bliżej, aż widzieliśmy wokół siebie niemal tylko ją. Świat poniżej – miasteczko Whitby – stał się prawie niedostrzegalny. Przywiodło mi to na myśl słowa Vámbéryego o manipulowaniu pogodą przez nieumarłych i zastanawiałem się, czy Dracul gdzieś tu teraz jest. Zanim dotarliśmy do połowy schodów, Thornley utykał na lewą nogę z powodu kolana – odezwała się stara kontuzja z meczu rugby – a Vámbéry się zasapał. Wyciągnąłem rękę po jego torbę i zawiesiłem ją sobie na wolnym ramieniu.

– Oddam ją panu na szczycie – powiedziałem.

Vámbéry chciał zaprotestować, ale jednak tylko pokiwał głową.

– Noga mi dokucza, zwłaszcza w taką pogodę – powiedział, oddychając przez usta.

– Powietrze w górze jest rozrzedzone, każdemu to przeszkadza.

– Panu nie.

Nic nie odpowiedziałem, po prostu szedłem dalej. Miał, oczywiście, rację: w ogóle nie czułem zmęczenia. Gdybym miał ochotę, mógłbym wbiec po tych schodkach.

– Wyczuwasz ją tu, na górze? – zaciekała się Matylda.

Pokręciłem głową.

– Nie poczułem nic, odkąd mnie wcześniej zablokowała. Nie umiem powiedzieć, czy jest w opactwie.

Podczas naszej wspinaczki po stopniach mineliśmy zaledwie trójkę innych ludzi: dwóch rybaków oraz kobietę w drodze na dół. Wszyscy troje nerwowo patrzyli się w niebo. Kiedy dotarliśmy na sam szczyt, znaleźliśmy się na rozległym cmentarzu; byliśmy tam sami. Po lewej mieliśmy kościół Najświętszej Marii Panny, a przed sobą opactwo z dużym stawem obok niego. Cmentarz rozciągał się na całym wzgórzu aż po klif, wysoko nad wodą. Jego obszar był znacznie większy, niż się spodziewałem.

– Od czego zaczynamy?

Vámbéry poprosił o swoją skórzaną torbę, którą niezwłocznie mu zwróciłem. Z przedniej kieszeni wyjął i rozłożył starą mapę.

– Jesteśmy tutaj – powiedział, wskazując na schody wijące się do góry z miasta na krawędzi mapy. – Kościół wciąż stoi na poświęconej ziemi, a zatem Emily raczej tam nie ma. Większość tego cmentarza również jest poświęcona.

– A co z grobami samobójców? – podrzuciła Matylda, studiując mapę.

– Otóż to – odparł Vámbéry. – Znajdują się tu i tu. – Popukał w dwa punkty: jeden tuż obok opactwa, a drugi ostrożnie przycupnięty na samym skraju klifu. – Samobójcy nie leżą na terenie kościoła, tylko na ziemi należącej do opactwa.

Powietrze nad wodą przecięły trzy krótkie błyskawice. Wszyscy spojrzeliśmy na nie z obawą.

– Może powinniśmy się rozdzielić, zanim burza rozpęta się na dobre – zasugerował Vámbéry. – Pan Bram i ja możemy zająć się wnętrzem opactwa,

a wy dwoje przeszukacie groby samobójców.

– Czy to bezpieczne? – zastanawiała się Matylda. – Może powinniśmy trzymać się razem?

– Jeśli te istoty wychodzą za dnia, nie dysponują żadnymi mocami. Są wręcz słabsze od śmiertelników. Jeśli jest tu ona lub którykolwiek z nich, najprawdopodobniej zażywają odpoczynku – wyjaśnił Vámbéry. – Zostały nam cztery godziny do zachodu słońca. Musimy wycisnąć z nich, ile się da.

Matylda złapała mnie za rękę i ścisnęła ją.

– Błagam, uważaj na siebie.

– Ty też.

Vámbéry zwrócił się do Thornleya:

– Jeśli na coś natraficie, przyjdźcie po nas. Będziemy niedaleko.

Matylda i Thornley ruszyli w stronę starego krzyża, który górował nad wejściem na cmentarz, i zniknęli pośród dużych nagrobków.

Vámbéry sięgnął po torbę, aby ją podnieść.

– Chodźmy, młody człowieku. Lepiej się pośpieszmy.

Większość opactwa była w ruinie, ale to, co przetrwało, było niezwykle – wysokie, misternie rzeźbione kolumny i masywne bloki kamienia na tle wirujących szarych chmur na niebie. Wszystko porastały krzaki i zielsko, usiłujące przejąć na własność resztki budynku, który jednak się bronił i nie chciał jeszcze ustąpić. Przeszliśmy pod apsydą i weszliśmy do opactwa od strony południowego transeptu. W stosie kamieni pod ścianą centralną dało się rozróżnić pozostałości klatki schodowej.

– Te krużganki ciągną się wzdłuż zewnętrznych ścian – poinformował mnie Vámbéry. – Od zachodu prowadzą do nawy, a we wschodniej części znajdowały się prezbiterium i ołtarz. Cztery wieże strzegące czterech rogów budowli mają klatki schodowe. Wchodzą na nie miejscowi, zwłaszcza w noc, gdy statki zmagają się na morzu ze sztormem, a wieże stanowią dogodny punkt obserwacyjny, pozwalający bezpiecznie wprowadzić je do portu.

– A gdzie widywano kobietę w bieli?

– Obserwowano ją na wszystkich wieżach narożnych, a także na szczycie środkowej wieży nad nami, przy blankach. – Zadarł głowę do góry. W tym, co zostało ze sklepienia, ziała dziura, przez którą doskonale widać było kłębiące się chmury burzowe. – Większość struktury podpierająca centralną wieżę rozsypała się na kawałki. Trzydzieści lat temu rozpadła się cała ta część, włączając w to schody. Pomieszczenia na górze uznano za niebezpieczne i odcięto do nich dostęp. Jeżeli Ellen gdzieś tu jest, to pewnie tam.

Stałem u zbiegu naw. Powietrze cuchnęło pleśnią, tu i ówdzie stała woda w kałużach. Między wieloma kamieniami pleniły się chwasty, rozsadzające zaprawę. Przejechałem palcem po jednym z kamieni składających się na ścianę, a on ustąpił pod moim dotykiem. Poczułem mrowienie w dłoni. W moim umyśle pojawiło się imię. Nie wiem, skąd się wzięło, ale wymówiłem je pod nosem: Marmion.

Vámbéry zatrzymał się i odwrócił do mnie.

– Przepraszam, co pan powiedział?

– Marmion.

– Skąd pan zna to imię?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem. To znaczy: nie pamiętam. Po prostu zaświtało mi w głowie.

Vámbéry utkwiał we mnie wzrok.

– Czy to od Ellen? Wyciągnął to pan z jej umysłu?

– Może. Tego też nie wiem. Co to w ogóle znaczy?

– Walter Scott opisał tragiczną legendę o zakonnicy zakochanej w Marmionie, rycerzu, który ostatecznie zdradził jej miłość. Aby z nim być, złamała wszelkie śluby zakonne, sam pan rozumie. Kiedy ich związek został odkryty, zamurowano ją żywcem właśnie tutaj, w opactwie – wyjaśnił Vámbéry.

– Czy odnaleziono jej zwłoki?

– Nie. Jeśli wierzyć legendzie, wciąż gdzieś tu są. Wielu szukało ich na przestrzeni lat, ale nie natrafili na żaden ślad.

– Skoro Ellen o tym pomyślała, jaki może to mieć z nią związek? – zapytałem.

Vámbéry nic nie odpowiedział.

Przesunąłem dłonią po ścianie i powędrowałem wzrokiem w kierunku wyłomu w sklepieniu.

– Czy damy radę się tam dostać?

Vámbéry pokręcił głową.

– Można było dotrzeć tamtędy na zewnętrzny dziedziniec na wyższym piętrze, obok centralnej wieży, ale zamurowano wszystkie drzwi przy użyciu kamieni i zaprawy, żeby trzymać wszystkich z daleka.

Zewnętrzne ściany skrzyżowania naw miały wnęki, z pewnością przeznaczone na posągi lub księgi w czasach, gdy był to czynny klasztor. Były rozmieszczone mniej więcej co dwa metry; wypełniały je pajęczyny, kamienie luzem oraz masy kurzu. Pod ścianą dumnie wznosiły się pozostałości kominka, w którym dawno już wygasł ogień. Kiedy na niego spojrzałem, znów poczułem mrowienie w ramieniu.

Przeszedłem na drugą stronę pomieszczenia.

Kominek miał jakieś siedem stóp szerokości, a samo palenisko około czterech stóp i było niemal równie wysokie jak ja. Z góry dochodziło ćwierkanie ptaków gnieźdzących się w kominie. Nie jestem pewien, czy najpierw zobaczyłem, czy wyczułem niewielką kupkę ziemi w lewym rogu, ale błyskawicznie rozpoznałem ten zapach – smród rozkładu, jak w ziemi, którą znaleźliśmy pod łóżkiem cioci Ellen tyle lat wcześniej.

PAMIĘTNIK THORNLEYA STOKERA

(TRANSKRYPCJA STENOGRAMU)



17 SIERPANIA 1868, 16.58

Matylda szła przez cmentarz szybko i zdecydowanie, uważając, by nie deptać grobów, i taksowała wzrokiem każdy nagrobek, który mijaliśmy. Ta część cmentarza nie była dla niej zbyt ciekawa – interesowały ją tylko groby samobójców na skraju klifu. W drodze tam studiowała chmury przetaczające się w górze. W ciągu kilku minut powietrze się ochłodziło, a ja poczułem na głowie pierwsze krople.

Minęliśmy duży staw, którego stęchły zapach przesycony pleśnią niósł się przez cmentarz. Woda stała nieruchomo, tylko czasem marszczyła się od deszczu.

– Tutaj – powiedziała, nagle przystając. – Widzisz ten mur z kamienia? Podobny znaleźliśmy w Clontarf. Oddziela on ziemię poświęconą od niepoświęconej.

Zauważyłem zmianę w charakterze terenu. Tuż za murem chwasty robiły się gęstsze, a pnącza zarastały groby, oplatały je, jak gdyby chciały wciągnąć je pod ziemię. Nagrobki zaś wydawały się znacznie mniejsze; tablice za nami, stojące na poświęconej ziemi, były wysokie, od pół metra nawet do dwóch, kamienie na grobach samobójców były bardziej płaskie, niektóre równe z poziomem gruntu

i pozbawione jakichkolwiek napisów. Rzeczywiście było to miejsce dla niechcianych i zapomnianych.

– Czego właściwie szukamy? – spytałem siostrę, błędząc wzrokiem po nagrobkach.

Matylda uklękła i rozgarnęła chwasty przed jednym z kamieni; namacała wyryte na nim litery, częściowo zatarte przez upływ czasu.

– Trudno powiedzieć. Ziemia w grobie O’Cuiva wyglądała, jakby nikt nie ruszał jej od lat, a jednak znaleźliśmy w środku rzeczy Ellen. Vámbéry powiedział, że te istoty potrafią zmieniać kształt, a nawet przeistaczać się w mgłę. Odnosi się to również do posiadanych przez nie przedmiotów. W takim razie mogła wejść do grobu przez mikroskopijną dziurkę; tak małą, że nie będziemy w stanie jej zauważyć.

– To niewiele pomogło, siostrzyczko.

Matylda przeszła do kolejnego grobu.

– Szukamy znajomych nazwisk albo symboli na kamieniach. Jeśli Ellen wykorzystuje którąś z mogił jako miejsce do odpoczynku lub do przechowywania swoich rzeczy, to pewnie jakoś ją oznaczyła. Ty zaczniesz stąd, a ja stamtąd. Kieruj się na zewnątrz cmentarza.

Zacząłem oglądać groby po kolei, w poszukiwaniu czegokolwiek znaczącego. Zbocze klifu znajdowało się nieprzyjemnie blisko i po raz kolejny zwróciłem uwagę na to, jak wiele grobów leżało tuż nad przepaścią. Ta część cmentarza mogła paść łatwym łupem morza.

Matylda krzyknęła i odskoczyła.

– Co jest?

– Wąż, po prostu się przestraszyłam.

Do tej pory nie widziałem tam żadnych węży, a tuż po reakcji Matyldy dwa prześlizgnęły się koło mnie jak na zawołanie. W Irlandii nie występują węże, nie byłem więc przyzwyczajony do ich obecności. Prawdę mówiąc, przyprawiły mnie o dreszcz.

– Ziemia jest tu wilgotna, świetnie nadaje się dla zaskrońców. Ale one są niegroźne; to na żmije należy uważać. Nie są specjalnie agresywne, ale jeśli nadepniesz na którąś, a ona cię ugryzie, to wstrzyknie ci jeden z najbardziej śmiertelnych... Thornley?

Spojrzałem w górę, gdzie Matylda klęczała nad małym nagrobkiem.

– Chyba coś znalazłam.

Podszedłem do niej i przykucnąłem obok. Siostra była pochłonięta wyrywaniem chwastów. Napis na kamieniu okazał się niezbyt czytelny, ale udało się go odcyfrować. Były to proste słowa: „Pamięci Barnaby’ego Swalesa”, bez dat.

– Nie rozumiem. Co w tym niezwykłego? Widziałem dziesiątki takich nagrobków. To nazwisko coś ci mówi?

Matylda pokręciła głową.

– To ten napis, „Pamięci...”.

– Jak na wielu tutaj. Wszyscy ci ludzie zginęli na morzu. Nie było ciała, które można by pochować, więc pisali tak na grobie zamiast czegoś w stylu „Tu spoczywa...”.

– Wśród grobów samobójców nie ma ani jednego z napisem „Pamięci kogoś tam”, z wyjątkiem tego jednego. Wszystkie są tam – wyjaśniła Matylda, pokazując na drugą połowę cmentarza. – Czemu wśród samobójców miałyby się znajdować pusty grób? To nie ma sensu.

Miała oczywiście rację. Groby dla samobójców były po to, by chować w nich ciała uważane za nieczyste, pozbawione błogosławieństwa Kościoła, z dala od poświęconej ziemi. Takich zmarłych nie wolno było oficjalnie chować na terenie kościelnym. Potępienicy zasługiwali na to, by ich pogrzebać, zapomnieć i nigdy więcej o nich nie wspominać. Nie było tu miejsca dla pustego grobu.

– Wezmę łopatę.

Chmury w górze nie mogły już dłużej wstrzymać deszczu i lunęło na nas jak z cebra.

OBECNIE



BRAM Z PRZERAŻENIEM patrzy, jak węże wypełzają z gleby u podnóża wieży i włazą jeden na drugiego; jest ich tyle, że ziemia ginie pod ich wijącymi się, poskręcanyimi ciałami.

Pośrodku tego wszystkiego stoi tamten mężczyzna, z rękami wyciągniętymi przed siebie i nadal zamkniętymi oczami. Jego palce wciąż drgają. Bramowi mimowolnie kojarzy się to z dyrygentem i orkiestrą, w której każdy instrumentalista podąża za batutą. Wszystko to odbywa się jednak w całkowitej ciszy, zakłócanej jedynie oddechem Brama.

Zza drzwi za jego plecami znowu dochodzi zapach dopiero co przekopanej ziemi. Bram już aż za dobrze zna ten wstrętny odór grobu i może tylko sobie wyobrazić jego źródło tutaj. Wtem słyszy pomruk jakiejś bestii, a po nim przenikliwy śmiech małej dziewczynki, jedno i drugie dobiega z przeciwnej strony drzwi.

Ostatnia róża, którą pod nimi położył, jest już martwa i pomarszczona, a w koszyku nie ma więcej; ostatnie dwie położył na parapecie, żeby powstrzymać tego człowieka, Dracula, przed wejściem do środka. Zastanawia się nad tym, czy nie zabrać stamtąd jednej, ale tamten mężczyzna pewnie tylko czeka na to, aż Bram zdejmie z okna przeszkodę i pozwoli mu wdrzeć się do pokoju.

Smród przybiera na sile, więc Bram zakrywa nozdrza rękawem koszuli.

Resztką pasty uszczelniającej drzwi wysycha, kruszy się i spada na posadzkę. Przez szparę nad progiem zaczyna wsączać się brudna maź o kwaśnym zapachu, w której roi się od larw i wijących się robaków. Bram zdejmuje płaszcz i stara się zatamować ten groteskowy przypływ, ale substancja w jakiś sposób omija blokadę, wlewa się i wsiąka w każdą fałdkę materiału. Bram odsuwa się z obrzydzeniem.

Wraca do okna i spogląda w dół.

Mężczyzna znów mu się przygląda z szerokim uśmiechem na twarzy, a ziemia wokół niego wciąż rusza się od pełzających węży. Obcy podnosi ręce nad głowę i wskazuje na otwarte okno.

Kamienne mury wieży, pokryte liśćmi i pnączami, które od stuleci wdrapują się na wiekową fasadę, stają się celem węży, wspinających się po bujnej roślinności. Najpierw tylko na próbę, potem coraz śmielej, z wolna posuwają się po ścianie wzwyż. Tam, dokąd nie sięgają łodygi i liście, gady docierają centymetr po centymetrze, wijąc się i wpełzając na siebie nawzajem.

Bram chwyta za okiennicę, ale pod jego dotykiem drewno zamienia się w pył – to niewątpliwie rezultat jakiegoś złego zaklęcia rzuconego przez mężczyznę na dole.

Ten zaciska palce w pięść, a stworzenie za drzwiami uderza w nie z ogromną siłą. Ohydna maź wytryska przez wszystkie szpary i ochlapuje pokój, a następnie zaczyna spływać w dół drzwi, zalewając drewno i skorodowany metalowy zamek.

Bram dopada do swojej skórzanej torby i wyrzuca jej zawartość. Nie ma już wody święconej ani pobłogosławionej hostii. Nie zostało mu nic, czym mógłby się bronić. Zdejmuje więc jeden z krzyży wiszących na ścianie i macha nim lewą ręką.

Na zewnątrz węże kontynuują wspinaczkę i są już tak blisko, że Bram słyszy wściekłe syczenie, gdy ich rozdwojone języki wsuwają się między kły zawsze gotowe do ataku.

DZIENNIK BRAMA STOKERA



17 SIERPNIĄ 1868, 17.12

– O co chodzi? – spytał zza moich pleców Vámbery.

Schyliłem się, wszedłem głębiej do kominka i spojrzałem w górę.

– W kominie jest drabina.

Vámbery wcisnął się koło mnie i spojrzał w tym samym kierunku.

– Nic nie widzę. Sekundkę. – Zniknął na chwilę, po czym wrócił z zapaloną świecą w dłoni.

Wyciągnąłem rękę i chwyciłem palcami za pierwszy szczebel drabiny.

– Proszę, widzi pan?

Uniósł migoczącą świecę. Wystające kamienie oddalone od siebie o kilkadziesiąt centymetrów szły w górę zygzakiem i najwyraźniej prowadziły do paleniska kolejnego kominka piętro wyżej. Komin był wystarczająco szeroki, bym zmieścił się tam na stojąco, wyprostowałem się więc. Z torbą przewieszoną przez ramię rozpocząłem wspinaczkę. Vámbery podał mi swoją laskę, po czym ruszył za mną, oszczędzając swoją słabszą nogę.

Wygramoliłem się z komina na palenisko i znalazłem się w pomieszczeniu znacznie mniejszym niż to poniżej. Tu również czuć było wilgocia i chociaż na zakurzonej podłodze nie było widać żadnych śladów, co odnotowałem z rezerwą, mając w pamięci kompletny brak odcisków stóp na wieży zamku Artane i w pokoju cioci Ellen.

Vámbéry podciągnął się, postępując, wstał i otrzepał z pyłu marynarkę i spodnie. Wyjrzał przez okienko wychodzące na wschód.

– Na tym piętrze znajdowały się sypialnie. Ta najprawdopodobniej należała do księżnej Hildy. – Ostrożnie przesunął się do przodu. – Uważaj, gdzie stajesz. Ta podłoga ledwo się trzyma i może załamać się pod stopami. – Vámbéry podszedł do drzwi po drugiej stronie pokoju. – Centralna wieża jest poziom wyżej.

Za tym niewielkim pokojem znaleźliśmy pozostałości klatki schodowej przylegającej do zniszczonych korytarzy rozchodzących się na prawo i na lewo. Brakowało stopni wiodących na dół i przejście było zamurowane, natomiast schody na górę pozostały nienaruszone. Vámbéry poradził mi, bym trzymał się blisko ściany i szedł tuż za nim, stawiając stopy w tych samych miejscach co on, ponieważ będzie badał drogę laską. Ta część budowli bardzo mocno przypominała domek z kart, który może się rozsypać z byle powodu, i wyobraziłem sobie, jak zapada się pod nami podłoga i rozbijamy się o stos kamieni i gruzu na dole.

Schodami dotarliśmy do uchylonych wielkich dębowych drzwi, które prowadziły do ciemnego pokoju.

PAMIĘTNIK THORNLEYA STOKERA

(TRANSKRYPCJA STENOGRAMU)



17 SIERPNI 1868, 18.19

Wykopaliśmy prawie metrowy dół, zanim natrafiliśmy na starą skrzynkę z drewna.

Miała wymiary mniej więcej dziewięćdziesiąt na trzydzieści centymetrów. Najpierw pomyślałem, że to trumna dziecka, ale kiedy ją odsłoniliśmy, szybko zrozumiałem, że nawet na to byłaby za mała.

Jakaś część mnie wierzyła, że znajdziemy w tym grobie zwłoki Emily. Wyobraziłem ją sobie śpiącą spokojnie pod grubym kobiercem ziemi, w oczekiwaniu na to, aż nastanie noc, a ona w jakiś sposób przedrze się przez tę duszącą ziemię, splątane korzenie i ruchliwe larwy, do świata żywych. Wtedy przypomniałem sobie jej wygląd na chwilę przed tym, jak wybiegła z naszej jadalni w mrok: jej oczy przepełnione strachem oraz intensywnie czerwone usta na tle bladej cery.

Przeklinałem Brama i innych za to, że nakładli mi takich myśli do głowy i sprawili, bym uwierzył, że moja żona przeistoczyła się w jakiegoś potwora.

– Pomóż mi to podnieść – poprosiła Matylda.

Zmusiłem się do porzucenia myśli o Emily i sięgnąłem w dół wykopu. Aby dosięgnąć do skrzynki, musiałem położyć się na boku i wystawić ręce, włożyć

palce pod jeden z rogów i wyciągnąć przedmiot. Skrzynka okazała się ciężka, o wiele cięższa, niż na to wyglądała.

Deszcz padał jednostajnie i dno wykopu zaczęło wypełniać się wodą. Kiedy pociągnąłem skrzynkę do góry, oderwała się od podłoża z obrzydliwym mlaśnięciem. Z powrotem wsunąłem pod nią rękę i ostrożnie podniosłem za róg, aż Matylda zdołała ją chwycić i wyciągnąć z tej przeklętej dziury. Nawet obiema rękami ledwo była w stanie utrzymać skrzynkę, więc musiałem jej pomóc.

Usiadłem w wysokich trawach i spojrzałem na siebie. Byłem w opłakanym stanie. Przemoczony do suchej nitki, cały w błocie. Matyldzie wcale nie powodziło się lepiej: strąki długich włosów przylepiły się jej do twarzy, a policzki miała pobrudzone ziemią. Gdyby nas ktoś wtedy zobaczył, niechybnie aresztowano by nas za włóczęgostwo, a może nawet za rabowanie grobów. Z takim przerażającym wyglądem mogliśmy spokojnie uchodzić za dwójkę pospolitych przestępców. Matylda zdawała się nic sobie z tego nie robić; odgarnęła tylko włosy dłonią, zostawiając na skroni smużkę błota.

Skrzynka była zabita gwoździami i musiałem użyć łopaty, by ją otworzyć.

Na widok jej zawartości moje serce zamarło.

Wypełniały ją złote i srebrne monety, banknoty, wyblakłe dokumenty... Matylda sięgnęła do środka, wyjęła z przeciwnego rogu stos listów i pobladła na twarzy.

– Co to takiego?

– To listy, które napisałam do Ellen i zostawiłam w grobie Patricka O’Cuiva w Clontarf. Zakopaliśmy je tam.

– Jak to możliwe? – spytałem, ponieważ ziemia wokół grobu wyglądała na nieruszaną od wielu lat.

Deszcz uderzał o papier trzymany przez Matyldę, rozpuszczając atrament.

– Schowajmy się w opactwie – zaproponowałem, zabierając się do przytwierdzania wieka z powrotem.

Matylda zatrzymała mnie i jeszcze raz sięgnęła do wnętrza. Wyjęła stamtąd coś, co wyglądało na akt własności.

– Dotyczy ziemi w Austrii. Został wystawiony na hrabinę Dolingen.

– Lepiej odłóż do środka – powiedziałem. – Tu zaraz się zniszczy.

Wreszcie pokiwała głową, wsadziła rzeczy do skrzynki, a ja zamknąłem pokrywę. Pośpiesznie zanieśliśmy znalezisko do opactwa.

Niebo pociemniało od deszczu, a skłębione, gęste czarne chmury przesłoniły słońce. Gdybym się wtedy odwrócił, zobaczyłbym, jak ze stawu za nami wyłania się Ellen Crone, a tuż za nią Maggie i Patrick O’Cuivowie. Ujrzałbym, jak unoszą się nad powierzchnią wody i zmierzają w naszym kierunku, do opactwa, z olśniewająco białymi zębami i oczami rozjarzonymi na czerwono.

OBECNIE



WĘŻE WSPINAJĄ SIĘ z nadnaturalną prędkością, nie jak osobne zwierzęta, lecz unisono, tworząc warstwy i przeplatając się ze sobą, żeby następna grupa mogła dotrzeć odrobinę wyżej niż poprzednia. Syczenie przybiera na sile i ustępuje głośnością tylko waleniu w drzwi. Każde uderzenie rozpyła w powietrzu kolejną porcję cuchnącej mazi. Bram patrzy na róże leżące na parapecie i ze zgrozą widzi, jak na jego oczach więdną i czernieją.

W pokoju pojawiają się pierwsze dwa węże; Bram ma nadzieję, że to tylko dlatego, iż stworzenie za drzwiami w jakiś sposób je przywołało. Liczył na to, że róże powstrzymają zło przed wtargnięciem do środka. Ta nadzieja była niewielka, ale tylko tyle miał. Ale razem z kwiatami umarła i ona. Zgarnął swój dziennik i schował głęboko do kieszeni. Może znajdą go przy jego zwłokach.

Bram wraca do okna i stara się odciąć swoim nożem myśliwskim tyle pnączy, ile tylko zdoła. Ich łodygi są grube i chropowate, ale odrzyna jedną za drugą. To spowalnia węże, niemniej tylko na chwilę. Splatają się i rozplatają ze sobą, tworząc własną ścieżkę.

Pierwszy wąż włązi przez parapet na drugim końcu pokoju. Bram biegnie do niego i gdy tylko gad dotyka ziemi, rozgniała mu głowę ciężkim butem. Chwilę później kolejny wchodzi przez okno i skacze na niego, niemal leci w powietrzu. Bram uchyla się i przecina go nożem; dwie połówki węża spadają na podłogę i jakimś cudem odpełzają. Pojawiają się dwa następne – Bram stara się je dopaść, ale gdy tylko ześlizgną się na podłogę, momentalnie znikają w mroku,

jeden gdzieś przy jego torbie, a drugi w kącie. Jeszcze trzy nadciągają zza pleców Brama, który sprawnie unika ich ukąszeń i biegnie na drugą stronę pokoju. Ryzykuje spojrzenie za okno i widzi, że pokój za chwilę zaleje więcej węży, niż potrafiłby zliczyć.

Kątem oka zauważa też Dracula. Ten mroczny człowiek, to zło wcielone nadal gapi się na niego z dołu, czarna peleryna powiewa, jakby była żywa, chociaż nie ma wiatru. A obok niego stoi żona jego brata, Emily.

Przez okno wpada sześć żmij i ląduje u jego stóp, a ich głośny syk zagłusza całą resztę.

DZIENNIK BRAMA STOKERA



17 SIERPNI 1868, 18.19

Vámbery wszedł do pokoju jako pierwszy, ale dopiero wyjąwszy szpadę z laski. Przepisnął się przez drzwi z prędkością, która wydawała mi się wręcz nieprawdopodobna, gotowy do ataku, niezależnie od tego, kto lub co czekało na nas po drugiej stronie. Ruszyłem prędko za nim i przekroczyłem próg, zbrojny tylko w swój rozum. Co bym dał za snidera-enfielda, którego nosił Thornley!

W pomieszczeniu panował mrok, ani śladu życia.

Jako pierwszy uderzył nas odór zgnilizny.

Zapach ten stał mi się niepokojąco bliski – wilgotna ziemia i śmierć, pleśń i rozkład.

Vámbery szybko zakrył nos i usta, obracając się dookoła, by upewnić się, że jesteście sami.

– Śmierdzi tutaj grobem. To pewnie tu Ellen odpoczywa.

Pokój był zupełnie pusty, jeśli nie liczyć krzesła pod przeciwległą ścianą z wąskim oknem.

– Grób nie znajduje się tutaj – powiedziałem – tylko tam. – Pokazałem na grube dębowe drzwi w głębi pokoju. Ramię od jakiegoś czasu swędziało mnie bez przerwy i wszędzie wokół czułem przyciąganie Ellen. Zadarłem głowę, spodziewając się zobaczyć ją przyczajoną na którejś z belek, ale nie zastałem jej tam. Jedyne żywe istoty w pokoju były setki małych pajęczków, przyczepionych do upiornej płataniny sieci zdobiącej sufit.

Vámbéry podszedł do drugich drzwi.

– Jest pan pewien? Ona tam teraz jest?

Przyznałem, że nie potrafię tego stwierdzić. Wszędzie dookoła czułem jej dotyk, jej oddech, wolne bicie jej serca; byłem nimi otoczony. Kiedy zamykałem oczy, miałem wrażenie, jakby wzięła mnie w ramiona i przycisnęła do piersi w uścisku. Odpływałem w ciemność, a pokój zdawał się znikać, aż zostaliśmy tylko ja i ona.

– Bram!

Dźwięk mojego imienia był jak kopnięcie w klatkę piersiową; otworzyłem nagle oczy. Vámbéry stał przy masywnych dębowych drzwiach i wpatrywał się we mnie.

– Proszę ze mną zostać, panie Bramie – błagał – i nie dawać jej przejąć kontroli.

Vámbéry z powrotem obrócił się do drzwi. Były zabezpieczone ciężkim żelaznym zamkiem wbudowanym dokładnie pośrodku, z ryglami rozchodzącymi się zarówno na prawo, jak i na lewo i wchodzącymi w futrynę, dokładnie tak jak te, które zapamiętałem z zamku Artane. Ukląkł i przez chwilę patrzył przez dużą dziurkę od klucza, po czym cisnął torbę na podłogę i zaczął przeszukiwać kieszenie. Wyjął z nich dwa cienkie ostrza i zaczął majstrować przy zamku.

Poczułem ukłucie bólu i upadłem na podłogę, uderzając kolanami o zimną posadzkę. Obecność Ellen zacisnęła się na mnie i raptem ogarnął mnie głęboki strach. Strach o siebie, strach o Vámbéryego, strach o...

– Matyldę i Thornleya – nieświadomie wyrzuciłem z siebie ich imiona, a Vámbéry spojrzał na mnie, po czym wrócił do pracy.

– Co z nimi? – wymamrotał, przekręcając jedno z ostrzy w zamku. Mechanizm zaczynał ustępować.

Z trudem oddychałem, walcząc o każdy haust powietrza.

Nagle w drzwiach pojawił się Patrick O’Cuiv. Był większy, niż go zapamiętałem; jego imponująca postać niweczyła wszelkie szanse na

opuszczenie pokoju. Skórę miał białą jak papier, a oczy jaśniały mu nienaturalnym odcieniem czerwieni.

Sięgnąłem po szpadę leżącą obok Vámbéryego, ale zanim zdążyłem ją chwycić, w pokoju zjawiała się Maggie O’Cuiv. Poruszała się tak, że zdawała się raczej płynąć niż biec. Była niczym zamazana smuga, kiedy przesadziła pokój i kopnięciem wytrąciła mi szpadę z ręki, podniosła mnie z podłogi dziecięcymi rączkami jak szmacianą lalkę i przygwoździła do kamiennej ściany tak, że moje stopy znalazły się nad ziemią. Poczułem na szyi jej lodowaty oddech.

Wtem zobaczyłem Ellen. Ellen Crone weszła z korytarza, przemieszczając się z tą samą łatwością co Maggie, tak szybko, jakby w ogóle się nie poruszała. Chwilę temu jej nie było, a teraz była i wpatrywała się w Vámbéryego swoimi czerwonymi oczami.

– Precz od tych drzwi! – wrzasnęła przeraźliwie.

* * *

17 SIERPNIĄ 1868, 18.54

Vámbéry odskoczył na bok; wtedy Ellen rzuciła się w moją stronę i wylądowała parę centymetrów ode mnie, nie odrywając ode mnie spojrzenia swych czerwonych oczu. Przeniosłem się do okresu dzieciństwa, do chwili, w której spadła na mnie z sufitu. Nie mogłem się poruszać, nie mogłem oddychać ani wydać z siebie dźwięku. Kiedy sięgnęła palcami do mojej skroni i przycisnęła ją, ogarnęła mnie ciemność. Pokój się rozpułnął, a ja znajdowałem się w innym czasie. Ellen otworzyła przede mną swój umysł, swoje myśli, wspomnienia i ujawniła prawdziwy los Dearg-Due. Poznałem prawdę o życiu kobiety przede mną.

Po raz drugi wstałem z martwych trzy lata po tym, jak mój ukochany przebił mi serce sztyletem, pochował mnie w grobie, naniósł na niego kamieni, a na szczycie położył białą różę, w nadziei, że to przyniesie ukojenie mojej skołatanej duszy. Zamrugałam oczami i spojrzałam w ponurą ciemność, która mogła panować wyłącznie we wnętrzu zamku, w komnacie niezwykle podobnej do tej,

w której mój potworny mąż uwięził mnie w poprzednim życiu. Pomyślałam, że wszystko to był sen, przerażający koszmar, który zaczęłam śnić, będąc dzieckiem; że może ojciec albo mój ukochany przyjdzie mi na ratunek, ale wtedy zobaczyłam jego, tego wysokiego mężczyznę nachylonego w przyćmionym świetle i trzymającego nade mną za nogę królika. Zwierzę miało poderżnięte gardło, a krew wolno skapywała z niego na moje spragnione wargi. Smakowałam każdą słodką kroplę; czułam ciepło rozchodzące się po moich kończynach, mięśniach i pozostałych tkankach. Ta krew tchnęła we mnie życie zupełnie od nowa.

– Jak to możliwe? – powiedziałam chrapliwym głosem; głosem, który od bardzo, bardzo dawna nie wypowiedział ani słowa.

Z początku mężczyzna milczał i nadal jedną ręką trzymał truchło królika, a drugą wyciskał z niego krew do ostatniej kropli. Kiedy wreszcie przemówił, jego głos brzmiał nisko i głęboko, z silnym akcentem, którego nie umiałam zidentyfikować.

– Wybudziłem cię z głębokiego snu. Wróciłem cię do życia.

Próbowałam usiąść, ale byłam tak słaba, że sięgnięcie ręką do jego twarzy zakrawało na wielkie osiągnięcie, udało mi się jednak dotknąć jego policzka i poczuć chłód, taki sam jak mój, martwe ciało, które jakimś cudem nadal żyło.

– Jak długo? – wydusiłam z siebie pytanie.

– Pytasz, jak długo spałaś?

Kiwnęłam słabo.

– Odkąd zamknięto cię w tym grobie, minęły trzy lata.

Słyszając to, usiadłam na łóżku. Z każdą kolejną sekundą krew zwierzęcia rozbudzała moje kończyny.

– Tylko trzy lata? A więc mój ukochany nadal żyje?

Czarnowłosa mężczyzna skończył z królikiem, oblizał ranę na szyi biednego stworzenia, po czym cisnął je w głąb pokoju.

– Jeśli przez „ukochanego” rozumiesz mężczyznę, który wbił sztylet w twoje niczego niepodejrzewające serce i pogrzebał cię za domem, to owszem, żyje.

Pozwoliłem mu żyć, bo pomyślałem, że zechcesz osobiście zabić go za to, co zrobił.

Gwałtownie pokręciłam głową.

– Zabić go? Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła. On jest wszystkim, co kiedykolwiek kochałam.

Zdałam sobie sprawę z tego, że leżę w drewnianej skrzyni wypełnionej ziemią z mojego doczesnego grobu. Wciąż miałam na sobie tę samą białą sukienkę co w moim ostatnim wspomnieniu sprzed śmierci, tyle że teraz widniała w niej dziura na wysokości serca, pokryta warstwą zakrzepłej krwi. Sięgnęłam palcami do tego miejsca i zbadałam ciało pod spodem; było idealnie wygojone, nie została nawet blizna.

– On tylko chciał, żebym odnalazła spokój w śmierci.

Czarnowłosa mężczyzna siedział teraz na krześle przy mojej skrzyni, nachylił się i przeczesał mi włosy palcami.

– Nie można oczekiwać od śmiertelników, że nas zrozumieją, i nie powinnaś zwracać na nich uwagi. Są dla nas tyle warci co ten nieszczęsny królik – stwierdził, wskazując na miejsce, gdzie leżało truchło. – Przypominają muchy, które bzyczą nam koło ucha, są szkodnikami, a w najlepszym razie pożywieniem, niczym więcej.

– Ale to jego naprawdę kocham.

Mroczny mężczyzna odparł z uśmiechem:

– Nie kochasz go ani trochę bardziej, niż żeglarz wracający do domu po roku na morzu kocha befsztyk.

Próbowałam wstać i wyjść ze skrzyni, ale nogi wciąż mi się trzęsły ze słabości.

– Muszę do niego iść.

– Nie ma mowy.

– Czy jestem twoim więźniem?

Na to pytanie ciemny mężczyzna w ogóle nie odpowiedział. Po prostu wstał, podszedł do drzwi i zatrzymał się na chwilę, by rzucić tylko:

– Odpoczywaj.

Po czym wyszedł z komnaty. Usłyszałam zapadki ciężkiego zamka. I zostałam sama.

Gdy wreszcie udało mi się wstać i wyjść ze skrzyni, cicho i ostrożnie podeszłam do okna i wyjrzałam na zewnątrz. Nie poznałam tego krajobrazu: góry i pofałdowane wzgórza, niepodobne do tego, co znałam z Irlandii. Spojrzałam na niebo i zauważyłam, że z gwiazdozbiorami wszystko jest nie tak. Wtedy zrozumiałam, że zabrał mnie w jakieś odległe miejsce; dokąd właściwie – nie wiedziałam.

* * *

POTEM SPAŁAM – nie mam pewności, jak długo. Gdy się ocknęłam, znów byłam w swojej skrzyni, ziemia z mojej ojczyzny podnosiła mnie na duchu, jej przyjazna tekstura i zapach. W pokoju ze mną była jakaś dziewczyna ze wsi. Próbowałam z nią porozmawiać, ale nie rozumiała mojego języka. Po prostu siedziała, uśmiechała się do mnie nerwowo i pokazywała na miednicę z czystą wodą na stole w kącie. Obok niej leżał liścik:

Odśwież się, a kiedy będziesz gotowa, dołącz do mnie w jadalni. Dziewczyna jest dla ciebie.

– D

* * *

W MOJEJ SYPIALNI stało wielkie łóżko z baldachimem, a na nim leżała najpiękniejsza suknia, jaką kiedykolwiek widziały moje oczy. Materiał w kolorze błękitu królewskiego był delikatny w dotyku i ozdobiony ciemną koronką o skomplikowanym wzorze. Obok sukni leżał naszyjnik ze lśniących diamentów okalających okazały rubin. Nie próbowałam sobie nawet wyobrazić wartości takiego naszyjnika. Nigdy w życiu nie widziałam kamieni tak dużych jak te, z których był wykonany; ba, nie podejrzewałam nawet, że takie istnieją.

Dziewczyna podeszła do mnie od tyłu i poczułam, że rozsznurowuje moją sukienkę pogrzebową, niegdyś białą, a teraz brązową od brudu, ziemi i krwi. Sukienka opadła na podłogę i została odsunięta na bok. Następnie dziewczyna zabrała się do monotonnej pracy polegającej na myciu mnie szmatką zanurzaną w miednicy. Kiedy skończyła, pomogła mi włożyć niebieską suknię. Pasowała jak ulał. Żałowałam, że nie mam w czym się przejrzeć, ale w sumie nie miało to znaczenia; jeszcze się nie odzwyczaiłam od korzystania z luster. Służąca podniosła diamentowo-rubinowy naszyjnik i zapięła mi go na szyi, po czym zrobiła krok wstecz, aby przyjrzeć się swemu dziełu. Na jej ustach pojawił się lekki uśmiech i ukłoniła się grzecznie. Podziękowałam jej, doskonale świadoma, że dziewczyna nie zrozumie ani słowa, i ruszyłam do drzwi. Zatrzymała mnie, nim zdążyłam wyjść, i wystawiła nadgarstek. Na przedramieniu widniał szereg maleńkich ugryzień; śladów, które znałam aż za dobrze.

Na myśl o jej krwi poczułam, że wzbiera we mnie naglące pragnienie. Miałam nadzieję, że raz na zawsze zaspokoiliam te chore potrzeby, pozostawiając za sobą te wszystkie trupy, ale gdy spojrzałam na przegub tej biedaczki, na żyłę pulsującą tuż pod powierzchnią jej skóry, ta żądza powróciła silniejsza niż kiedykolwiek. Nie mogłam jednak przyjąć tej dziewczyny. Choć pragnęłam zakosztować jej życiodajnej krwi, nie mogłam tego zrobić.

Pokręciłam głową, obróciłam się do drzwi i przyłożyłam do nich dłoń.

Służąca zrozumiała mój gest i na jej twarzy zagościło połączenie ulgi i urazy. Otworzyła drzwi i poprowadziła mnie przez wąski korytarz i małą ośmiokątną komnatę bez okien do dużego pokoju jadalnego. Czarnowłosa mężczyzna siedział na drugim końcu stołu. Stał przed nim talerz, był jednak pokryty warstwą wieloletniego kurzu. Zaczęłam się zastanawiać, czy to pomieszczenie kiedykolwiek było wykorzystywane zgodnie z przeznaczeniem.

– Jesteś olśniewająca – powiedział mężczyzna, wskazując na puste krzesło na przeciwległym końcu stołu. – Usiądź, proszę.

Zajęłam miejsce.

Mężczyzna wciągnął powietrze nosem i rzekł:

– Nie piłaś z niej? Szkoda. Krew jej rodziny należy do najczystszych w tym kraju.

– A co to właściwie za kraj? – zapytałam, starając się, żeby wrogość, którą czułam, nie ujawniła się w moim tonie.

– Jesteś w moim domu w Karpatach, niedaleko przełęczy Borgo. Jesteś tu bezpieczna.

– W Karpatach? W Transylwanii?

Pokiwał głową.

– Chcę wrócić do domu. Chcę natychmiast wyjechać – oznajmiłam.

Słyszając te słowa, zachował kamienną twarz; jej wyraz nie zdradzał niczego. Upłynęło niemal pięć minut, nim znów się odezwał. Ta przerwa nie była niczym niezwykłym; jak się później dowiedziałam, czas ma dla nas znikome znaczenie.

– Uratowałem ci życie i przyjąłem cię pod swój dach. Troszczyłem się o ciebie i obdarzałem miłością, a ty mnie odtrącasz. Gdybym cię już nie znał i nie wiedział, co ci się przydarzyło, gotów byłbym się obrazić. Dużo jednak przeszłaś, ja zaś jestem cierpliwy; mogę wybaczyć ci tę wrogość.

– Chcę odejść – powtórzyłam.

Czarnowłosa mężczyzna rozsiadł się na krześle.

– Nawet nie spytałaś, jak się nazywam.

– Nie mam potrzeby znać twojego nazwiska.

Znowu patrzyliśmy na siebie przez dłuższą chwilę. Tętno dziewczyny stojącej obok mnie przyśpieszyło; widziałam, jak pulsuje jej żyła na szyi. Ona również pragnęła odejść, ale nie mogła. Gospodarz chyba w jakiś sposób odgadł, że moje myśli powędrowały ku służącej, ponieważ uniósł dłoń i przyzwał ją do siebie. Z niepokojem obeszała stół; jej puls był coraz szybszy.

Z początku nie zwrócił uwagi na jej obecność przy nim; nie spuszczał ze mnie wzroku, po czym sięgnął po rękę dziewczyny, wziął ją bez pośpiechu, z zamierzoną powolnością. Podniósł jej przedramię do nosa i powąchał je, delektując się jej wonią, jej esencją. Kiedy obnażył zęby, a one przebiły jej skórę,

służąca próbowała być dzielna, udawała odwagę, ale ja wiedziałam swoje. Przepęłniał ją strach.

Wtedy zaczął pić jej krew.

Dziewczyna cała się spięła, ale robiła, co mogła, by stać nieruchomo. Po kilku chwilach jej powieki stały się ciężkie, a skóra ziemista. Złękłam się, że on wyssie z niej życie – dziwna to obawa, zważywszy na to, ilu ludzi bez skrupułów sama pozbawiłam życia – ale taką właśnie poczułam obawę. Kiedy już chciałam powiedzieć mu, żeby przestał, puścił jej rękę. Dziewczyna zatoczyła się do tyłu, a kiedy natrafiła na ścianę, osunęła się na podłogę i straciła przytomność.

– Jesteś jedną z nas – powiedział mężczyzna, nie zwracając uwagi na kropelkę krwi spływającą mu z ust. – To może trochę potrwać, ale któregoś dnia to zrozumiesz.

Sięgnął po dzwonek na bocznym stoliku i zadzwonił. Z drzwi po jego lewej wyszła starsza kobieta. Zerknęła na dziewczynę leżącą na podłodze i prędko odwróciła wzrok.

– Proszę odprowadzić panią hrabinę do jej pokoju – polecił czarnowłosey mężczyzna.

– Hrabinę? – wykrzyknęłam głośno.

Na jego wargach zarysował się delikatny uśmiech, ale nie skomentował mojego pytania. Starsza kobieta ukloniła się, wzięła mnie pod ramię i ruszyliśmy w kierunku mojego pokoju. Drzwi zatrzasnęły się za mną i znów zostałam sama.

Znalazłam papier, pióro i napisałam list do mojego ukochanego, pierwszy z wielu. Wiedziałam, że nigdy do niego nie dotrą, ponieważ nie miałam jak ich wysłać, ale czerpałam pociechę z samego pisania do niego, ze świadomości, że gdzieś tam jest.

Kiedy słońce pojawiło się na wschodzie, zdjęłam suknię, włożyłam z powrotem swoją poplamioną białą sukienkę, weszłam do skrzyni i spałam aż do następnej nocy.

** * **

OBUDZIŁ MNIE CZYJŚ GŁOSIK. Stała nade mną młoda dziewczyna ze wsi, którą poznałam ubiegłej nocy.

– Pani hrabino? Jasnie pan zaprasza panią do siebie.

Najwyraźniej służąca doszła już do siebie po utracie krwi. Wciąż była nieco blada, ale poza tym wyglądała normalnie.

– On nie jest moim panem – odparłam.

Nie odpowiedziała, tylko podała mi rękę, żebym mogła wyjść ze skrzyni, która stała się moim łóżkiem.

Ponownie zaprowadziła mnie do jadalni.

Ponownie siedział u szczytu pustego stołu.

Ponownie usiadłam naprzeciw niego nad nieistniejącym posiłkiem.

– Byłam martwa. Jak przywróciłeś mnie do życia? – wypaliłam, nim zdążył cokolwiek powiedzieć.

Było jasne, że nie nawykł do tego, aby kwestionowano jego autorytet i przeciwstawiano mu się, więc zdawał się zaskoczony, a potem nieco zdeprymowany impetem moich słów.

– Twój zabójca dźgnął cię w serce, to prawda, uczynił to jednak nożem ze stali. Nawet nie ze srebra, lecz z najzwyczajszej stali. Udało mu się zaledwie ogłuszyć twoje serce, dopóki ostrze nie zostało usunięte. Gdyby użył drewnianego kołka, nie siedziałabyś tu dzisiaj. Ale miałaś szczęście. Jego niekompetencja ocaliła ci życie.

Słyszac ton, w jakim ten człowiek wyrażał się o moim ukochanym, miałam ochotę rzucić się przez stół i rozerwać mu gardło. Stłumiłam, zdusiłam gniew – ten sam, który zmotywował mnie do zamordowania tylu ludzi, kiedy odrodziłam się po raz pierwszy. Nie chciałam już nigdy pałać taką nienawiścią.

Czarnowłosa mężczyzna zmrużył oczy. Czyżby potrafił czytać w myślach? Zaczęłam w to wierzyć. Skoro to potrafi, musi też wiedzieć, co...

– Musisz jeść – oświadczył. – Życie wyciśnięte z królika pomogło, ale tylko ludzka krew pozwoli ci się w pełni wyleczyć. Słabniesz z godziny na godzinę.

Gdy wypowiedział tę przestrogę, młoda służąca wróciła do jadalni i stanęła przy stole. Dołączył do niej chłopak, najwyżej dwunastoletni. Schował się za nią i stał niepewnie ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

– Wybieraj – rozkazał gospodarz.

– Wybieram powrót do domu, do mojego ukochanego. Nic więcej od ciebie nie chcę.

– Wybieraj albo wypiję ich oboje.

Jego oczy najpierw pociemniały, by zaraz potem przybrać barwę rozżarzonych węgli. Wezbrało we mnie pragnienie, by spróbować któregoś z nich. Krew płynąca w ich żyłach – widziałam ją, czułam jej smak. Mimo to ani drgnęłam.

Czarnowłosa mężczyzna uderzył pięścią w stół i przeleciał przez pokój tak szybko, że było widać tylko niewyraźną smugę. Podniósł chłopca za szyję i odchylił jego głowę. Usłyszałam dźwięk zębów wbijających się w ciało, a za chwilę po całym pokoju rozszedł się zapach krwi. Tymczasem ja nawet się nie ruszyłam. Kiedy skończył swój makabryczny posiłek, rzucił bezwładne ciało w moim kierunku. Wylądowało na stole, ześlizgnęło się z niego i upadło tuż koło mnie. Szkliste spojrzenie dało mi pewność, że chłopiec nie żyje.

Czarnowłosa mężczyzna złapał mnie za szyję tak samo jak przedtem jego, powłókł z jadalni przez ileś korytarzy i schodów. Cały czas wierzgałam, ale był dla mnie za silny. Zaniósł mnie, jakbym nic nie ważyła, do najgłębszych podziemi zamku. Wrzucił mnie do lochu. Uciekłam na drugi koniec pomieszczenia i skuliłam się jak zbity pies. Chciałam mu się przeciwstawić, chciałam pokazać mu, że się go nie boję, ale w tym konkretnym momencie z całą pewnością czułam strach.

Bez słowa zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku, a ja znalazłam się w nieprzeniknionych ciemnościach. Minął co najmniej tydzień, może dwa, aż drzwi nareszcie się otworzyły i wepchnięto do środka jakąś starszą kobietę. Upadła na ziemię pośrodku celi; drzwi się zatrzasnęły. Kiedy doszła do siebie po

tak brutalnym potraktowaniu, a jej oczy przyzwyczyły się do mroku, zauważyła mnie w kącie.

– Moja krew to twoja krew – oznajmiła szeptem.

– Nie chcę – odparłam. Byłam taka słaba; bardzo jej potrzebowałam. Pomimo tego odmówiłam. Wolałabym zginąć, niż wyrządzić komuś krzywdę.

– Moja krew to twoja krew – powtórzyła. – Jeśli jej nie przyjmiesz, on znów zabije któreś z moich dzieci. Nie mogę sobie pozwolić na utratę kolejnego. Nie zniosę utraty kolejnego.

Upłynęły dwa dni. Gdy obudziłam się trzeciego, starsza kobieta stała nade mną z nożem.

– Nie pozwól mu skrzywdzić moich dzieci – powiedziała i wbiła sobie nóż głęboko w tętnicę szyjną. Jej ciało upadło na mnie, przywarłam ustami do rany i piłam. Piłam, dopóki nic nie zostało.

Kiedy pozwolono mi wrócić do swojego pokoju, zamiast drewnianej skrzyni zastałam kamienną trumnę. Jej dno pokrywała ziemia z mojej ojczyzny i był to miły widok. W szafie wisiało kilkanaście nowych sukien, wszystkie idealnie dopasowane do moich wymiarów. Umyłam się w miednicy, przebrałam w nowy strój, usiadłam przy biurku i napisałam kolejny list do mojego ukochanego. Pisałam prawie do świtu, po czym wślizgnęłam się do swojej nowej trumny i pozwoliłam, by zmorzył mnie sen.

** * **

TEN SAM RYTUAŁ powtarzał się przez sześć miesięcy. Czas mierzyłam, odliczając pisane do ukochanego listy, które ukrywałam pod obluzowanym kamieniem w posadzce. W sto osiemdziesiątą trzecią noc zauważyłam, że kryjówka została odkryta, a listy zniknęły. Drzwi do mojego pokoju stały otworem po raz pierwszy, odkąd zjawiłam się w tym zamku, więc sama ruszyłam korytarzem do jadalni. Okazała się pusta. Kolejne drzwi, na prawo od stołu, również były otwarte; przy wszystkich poprzednich okazjach były zamknięte na klucz. Przeszłam przez nie i znalazłam się w bibliotece. Półki wypełniały tysiące książek w rozmaitych

językach, w większości wyglądające na bardzo stare. Na niektórych ścianach wisiały tapiserie pokryte grubą warstwą kurzu. Na stole pośrodku leżały ułożone w zgrabny stosik wszystkie moje listy do ukochanego. Obok nich piętrzył się kolejny stosik – z dokumentami, takimi jak akty własności, fundusze powiernicze i darowizny, wszystko na rzecz niejakiej hrabiny Dolingen – bo tak nazwał mnie czarnowłosy mężczyzna.

Przemierzyłam korytarze zamku i nie zastałam nikogo. Rozważałam wydostanie się przez okno, ale nie miałam dokąd pójść, a zresztą nie za dobrze wiedziałam, gdzie się znajduję; ryzyko było zbyt duże. Przeszukałam więc pokój za pokojem. Odkryłam apartamenty gospodarza i wiele innych komnat, w większości nieodwiedzanych od nie wiadomo kiedy. W niektórych były tylko popsute meble i podarte tapety, w innych zalegały bogactwa większe, niż kiedyś uznałabym za możliwe. Nie było jednak śladu po czarnowłosym mężczyźnie i po nielicznych służących, których widywałam, odkąd trafiłam na zamek. Jedyne żywe istoty były rozbiegane szczury, bezustannie uderzające pazurkami o kamienne posadzki: stuk, stuk, stuk. Skończyłam, pijąc krew tych niczego niepodważających stworzeń, aż wreszcie powrócił czarnowłosy mężczyzna.

** * **

NIE JESTEM PEWNA, ile czasu go nie było, ale w noc krótko po tym, jak liście zaczęły przebarwiać się z nadejściem jesieni, gdy spałam w swojej trumnie, obudziły mnie jakieś hałasy na zewnątrz. Podeszłam do okna sypialni wychodzącego na dziedziniec zamkowy i zastałam tam czarnowłosego mężczyznę stojącego przy powozie zaprzężonym w szóstkę wielkich czarnych koni. Spojrzał w górę i krzyknął z uśmiechem:

– Ach, moja kochana hrabino. Dołącz do nas, proszę. Mam coś dla ciebie.

Wyciągnął z powozu jakiegoś człowieka i rzucił go na bruk. Przybysz miał worek na głowie, a ręce związane za plecami. Nie musiałam widzieć twarzy, by wiedzieć, kim jest; nawet z miejsca, w którym stałam, rozpoznawałam jego zapach.

Wyskoczyłam przez otwarte okno i wylądowałam w kucki na brukowanym dziedzińcu.

– Robi wrażenie! – ocenił mężczyzna. – Ja zwykle schodzę.

Ruszyłam w jego kierunku, ale on podniósł dłoń.

– Stój!

W ułamku sekundy przyciskał już ostrze do gardła jeńca.

– Nie rób mu krzywdy!

Czarnowłosa mężczyzna ściągnął worek z głowy więźnia, a mój ukochany spojrzał na mnie po raz pierwszy od lat. Wiem, że w jego oczach wcale się nie zmieniłam; nie postarzałam się nawet o minutę, odkąd ostatni raz mnie oglądał, i czułam, jak serce wali mu w piersi, kiedy na mnie patrzy. Jego jasne włosy odrobinę posiwiały, a twarz nabrała ostrzejszego wyrazu, ale poza tym niewiele się zmienił. Prawdę mówiąc, nie obeszloby mnie, gdyby zamienił się w starca, kalekiego i stojącego już nad grobem. Przepelniająca mnie miłość była jak płomień; chciałam podejść do niego, przytulić i nigdy nie puścić.

– Czy to ten, do którego pisałaś? Mężczyzna, któremu oddałaś swoje serce?

Przytaknęłam mimo woli. Nawet z nożem u gardła mój ukochany miał w oku tę iskrę, która dawała mi pewność, że czuje do mnie to samo. Kochał mnie teraz, właśnie teraz, i to bardziej niż przedtem.

Czarnowłosa mężczyzna zmarszczył brwi.

– Jakże to możliwe? Zostawił cię w tym zamku, gdzie przez lata cierpiełaś męczarnie. Kiedy wreszcie do niego wróciłaś, wbił ci nóż w serce i pogrzebał cię pod stosem kamieni, abyś zgniła w ziemi. Jak możesz kochać kogoś takiego?

– Moje serce należy do niego, zawsze należało i zawsze będzie należeć – powiedziałam cicho, wstrzymując łzy, które przesłoniły mi oczy czerwoną mgiełką.

Ciemnowłosa mężczyzna zaśmiał się szyderczo.

– Ocaliłem cię od śmierci. Daję ci wszystko, czego mogłabyś zapragnąć, a jednak nic do mnie nie czujesz. Ty i ja jesteśmy takimi samymi istotami i należymy do siebie nawzajem, a nie ty do tego mężczyzny. Nie rozumiesz tego?

On niedługo umrze, zostaną z niego same kości, podczas gdy ty i ja będziemy trwać. Razem możemy dokonać tylu rzeczy. Musisz tylko otworzyć oczy i to zobaczyć. Otwórz swoje serce i wpuść mnie do środka.

Nigdy przedtem nie mówił do mnie takich rzeczy. Do tej pory uważałam się za zwykłego więźnia. Myśl o kochaniu takiego kogoś napełniała mnie grozą. Nie dałabym rady.

Gdy tylko o tym pomyślałam, czarnowłosa mężczyzna zmrużył oczy i wydał z siebie wściekły ryk, tak głośny, że odbił się echem od okolicznych gór.

Odpowiedział mu skowyt tysiąca wilków tak potężny, że nie było słychać nic innego. W jednej chwili postawił mojego ukochanego na nogi. Wtedy dopiero zauważyłam, jak słaby jest mój wybranek, jak bladą ma skórę. Dostrzegłam na jego szyi ślady po ugryzieniu i zrozumiałam, że czarnowłosa mężczyzna pił z niego, wyssał go prawie na śmierć.

Mężczyzna podniósł swój nadgarstek do ust i otworzył go ostrymi kłami, po czym przyłożył go do ust mojego ukochanego. Zamarłam z przerażenia, kiedy pił, bo dotarło do mnie, że to nie pierwszy raz. Musieli powtarzać tę wymianę wiele razy w trakcie podróży z Irlandii do tego zapomnianego miejsca. W rzeczywistości w jego żyłach płynęło teraz więcej krwi czarnowłosego mężczyzny niż jego własnej. Mój ukochany pił, aż już więcej nie mógł. Mężczyzna puścił go i pozwolił mu opaść na ziemię.

Utrata krwi osłabiła czarnowłosego mężczyznę, ale tylko na moment. Zmusił się do przyjęcia w pełni wyprostowanej pozycji i pstryknął długimi, kościstymi palcami. Zjawilo się kilkunastu mężczyzn – byli to Szgany, jak się później dowiedziałam, miejscowi Cyganie. Czterech podeszło do mnie i skrepowalo mnie linami przetykanymi srebrem. Próbowalam się uwolnić, ale srebro w jakiś sposób mnie unieruchamialo, a w miejscach, gdzie miało kontakt z moją skórą, zostawialo oparzenia. Szamotalam się, ale tamci trzymali mnie mocno. Każdy z nich tak napinał linę, że byłam unieruchomiona między nimi, nie mogąc dosięgnąć żadnego z nich. Przeklinałam fakt, że od tak dawna piłam tylko krew

szczurów. Gdyby to była ludzka, mogłabym dać radę tym Cyganom, ale byłam zbyt słaba. Po raz kolejny zostałam więźniem.

Patrzyłam, jak mój ukochany się przeistacza.

Patrzyłam, jak resztkę życia opuszcza jego ciało i jak przemienia go krew czarnowłosego. Szczerze mówiąc, przez większość nocy mogłam tylko patrzeć. Cały czas czarnowłosa mężczyzna stał nad nim, a Szgany trzymali mnie mocno.

Kiedy mój ukochany wreszcie ocknął się i spojrzał na świat odrodzonymi oczami, czarnowłosa mężczyzna zdjął jeden ze swoich pierścieni i wsunął go na palec mojego wybranka.

– To na wypadek, gdyby ktoś zapomniał, do kogo należysz – oznajmił.

Stanął nad nim i znowu pstryknął palcami. Szgany wyprzęgli konie i ustawili je wokół mojego ukochanego. Następnie zaczęli przywiązywać jeden koniec srebrzonych lin do jego kończyn i wokół szyi, a drugi do końskich uprzęży, a ja zrozumiałam, co się zaraz stanie, i zaczęłam krzyczeć, ale czarnowłosa mężczyzna był głuchy na moje protesty. Przytrzymał mojego ukochanego pośrodku tego koła, dopóki liny nie zostały solidnie przywiązane. Wołałam, by spróbował się uwolnić, ale on był wciąż zagubiony, oszołomiony i dezorientowany, nieświadom położenia, w jakim się znalazł. Szgany stanęły gotowi obok koni.

– Proszę, nie rób tego – błagałam.

– Sama jesteś sobie winna. To ty sprowadziłaś to na niego.

Pstryknął palcami, a każdy z Cyganów wyciągnął niewielki sztylet i ukłuł konia w bok. Konie jednym głosem zarżały z bólu i rzuciły się naprzód, usiłując biec.

Ze zgrozą patrzyłam, jak rozrywają mojego ukochanego na kawałki, odrywając ramiona, nogi i głowę od tułowia. Towarzyszył temu przerażający odgłos.

Szgany zamknęły przedtem bramy dziedzińca, żeby uniemożliwić koniom ucieczkę. Po kilku minutach zwierzęta przestały pędzić donikąd, a pozostałości tego, co było człowiekiem, walały się na ziemi dookoła nas.

Ciemnowłosa mężczyzna podszedł do okaleczonego tułowia mojego ukochanego, zanurzył rękę w jego piersi i wyszarpał wciąż jeszcze bijące serce. Podniósł je, by upewnić się, że widziałam, co zrobił.

Nie byłam w stanie wydobyć z siebie głosu. I tak nic bym nie usłyszała przez krzyki, które rozbrzmiewały w mojej głowie. Osunęłam się na ziemię i płakałam, a Szgany mocno trzymali mnie na srebrzonych linach.

Zebrali części mojego ukochanego i powkładali je do drewnianych skrzyń, po czym załadowali je na powóz. Serce zostało zapakowane osobno do niewielkiego dębowego pudełka ze złotymi okuciami, które również tam trafiło. Po skończeniu załadunku konie zostały ponownie zaprzężone, czarnowłosa mężczyzna wydał polecenia woźnicy i wysłał go w drogę.

Wówczas Szgany mnie uwolnili. Miało to niewielkie znaczenie; nie mogłabym się ruszyć, nawet gdybym chciała.

Ciemnowłosa mężczyzna podszedł i ukląkł obok mnie.

– Poleciałem moim ludziom zakopać każdą część jego ciała na osobnym cmentarzu, tak by nigdy nie zostały odnalezione. Jego ciało nigdy nie umrze, a jego dusza będzie cierpieć po wsze czasy w szeregach legionów nieumarłych. Wszystko to za twoją sprawą. Jeśli chcesz mnie nienawidzić, to proszę. Teraz przynajmniej masz dobry powód. – Wstał, ruszył do drzwi zamku i rzucił jeszcze: – Wkrótce świt. Wracaj do swojego pokoju. Zamówiłem na jutro kogoś, kto namaluje twój portret. Pragnę uwiecznić ten moment.

** * **

NAZAJUTRZ PRZYJECHAŁ malarz, a ciemnowłosa mężczyzna zrobił tak, jak zapowiedział, i kazał mi pozować artyście. Byłam zbyt zrozpaczona, by się sprzeciwiać, i zrobiłam, jak chciał. Założyłam nawet diamentowy naszyjnik z rubinem pośrodku. Wkrótce po tym, jak zaczęliśmy, ciemnowłosa mężczyzna podarował mi pasek z ozdobną klamrą przedstawiającą smoka; założyłam również tę błyskotkę. Portret wyszedł ohydny, żadnego podobieństwa do mnie.

Słowo „nienawiść” nawet odlegle nie opisuje moich uczuć do tego człowieka, do tego potwora, do tego bydlaka. Czułam do niego odrazę, ale nic nie mogłam poradzić. Byłam jego więźniem, zarówno ciałem, jak i umysłem. Mimo to ani razu nie wspomniał o swoim okrucieństwie, o strasznych rzeczach, które zrobił mojemu ukochanemu. Zachowywał się tak, jakby to bestialstwo nigdy się nie wydarzyło. Oczekiwał, że będę go kochać! Pragnął uczynić ze mnie swoją żonę! Oczywiście, mogłam go nie kochać, mogłam nie godzić się na ślub, przenigdy, ale moje protesty go nie zniechęcały. Przy każdej okazji wyznawał mi swoją miłość. Obsypywał mnie podarunkami – bezcennymi klejnotami, posiadłościami i luksusami, jakie tylko przyszły mu na myśl. W ten sposób uciekłam z jednego więzienia, by trafić do kolejnego. Łaskawie przyjmowałam wszystkie te hołdy, nie oferowałam jednak w zamian miłości. A prezenty strategicznie rozmieszczałam w różnych częściach zamku.

I tak upływały setki lat. Płynnie i szybko, jakby to były miesiące. Mieszkaliśmy oboje w zamku, w towarzystwie jedynie wiecznie zmieniającej się służby. Przychodzili i odchodzili, starzeli się z biegiem lat – córki zostawały matkami, a potem babkami, a ich zwyczaje przechodziły z pokolenia na pokolenie, ale czarnowłosa mężczyzna i ja się nie starzeliśmy. Nie chciałam znać imion służących i nic o nich wiedzieć. Nie ujawniałam mu żadnych informacji o rzeczach, na których mi zależało, a które mógłby wykorzystać, aby mnie szantażować. Odzywałam się do niego, tylko gdy byłam pytana, i to wyłącznie dlatego, że w przeciwnym razie innym groziło cierpienie. Nie miał skrupułów, żeby zabijać służbę, i robił to z byle powodu.

Wiem, że czytał mi w myślach, i z czasem nauczyłam się czytać w jego, więc niebawem słowa przestały nam być potrzebne. Zauważyłam, że dzięki koncentracji mogę ukryć przed nim swoje myśli, i chociaż on postępował tak samo, czasami tracił czujność. Wykorzystywałam te momenty, by zajrzeć do jego umysłu i zdobyć interesującą mnie wiedzę. Odkryłam też, że kiedy śpi, mogę posunąć się jeszcze dalej, zaczęłam więc budzić się przed nim, siadać przy jego trumnie i grzebać w jego śpiącej głowie. W końcu wyciągnęłam z niej lokalizację

szczątków mojego ukochanego, miejsc, w których zakopano głowę i każdą z oderwanych kończyn. Mężczyzna kazał rozwieźć je po całym kontynencie, ale udało mi się określić ich położenie, które odnotowałam na mapach wygrzebanych z biblioteki.

Byłam cierpliwa.

Lata nauczyły mnie cierpliwości.

Czekałam, aż...

* * *

– BRAM! – krzyknęła Matyllda. – Daj mu spokój!

Zamrugalem oczami i znów stałem w pokoiku na szczycie centralnej wieży opactwa Whitby. W rzeczywistości upłynęły ledwie sekundy. Matyllda i Thornley próbowali precyzyjnie się obok Patricka O’Cuiva, ale zagrażał im wejście do pomieszczenia. Vámbéry nadal majstrował przykucnięty przy dębowych drzwiach. Ellen wciąż była kilka centymetrów ode mnie i przyciskała palce do mojej skroni. W jej oczach widać było łzy i smutek tak głęboki, że sam również zacząłem płakać.

– Uciekłaś? – wydukałem.

Kiwnęła głową.

– W tysiąc osiemset czterdziestym siódmym, po setkach lat niewoli.

– Więc kiedy pojawiłaś się u nas, w naszej rodzinie...

– Ukrywałam się w waszym domu. Nie przyszłoby mu do głowy szukać mnie wśród ludzi. Nie wydawało mi się to możliwe.

Nasze umysły łączyła dziwna więź i słowa, całe rozmowy, lata wspomnień przepływały między nami gładko w ciągu sekund.

– Szukałaś szczątków swojego ukochanego? – spytałem cicho. – Przybyłaś do Clontarf po jego ramię, zakopane wśród grobów samobójców na cmentarzu Świętego Jana Chrzciciela, w miejscu zaznaczonym na mapie. Nie planowałaś zostać z nami aż tak długo. Mogłaś sprowadzić na nas zagrożenie, czego nie chciałaś, choć mimo wszystko tak się stało. To, co mi zrobiłaś...

Ellen położyła mi palec na ustach i uciszyła mnie.

– Nigdy nie chciałam skrzywdzić waszej rodziny; nigdy bym tego nie zrobiła. Byłeś takim chorowitym chłopcem, od śmierci dzieliło cię kilka dni. Nie mogłam się biernie przyglądać, jak leczą cię tak prymitywnymi metodami, świadoma, że one nic nie dadzą, za to ja mogę pomóc. Musiałam pomóc. Więc dałam ci swoją krew. – Utkwiła wzrok w podłódze. – To chyba była moja pokuta za wszystkie te życia, które odebrałam ludziom w przeszłości, kiedy przemieniłam się po raz pierwszy i zanim pojęłam prawdziwą wartość życia i miłości.

– I od tej nocy odwiedzałaś mnie raz za razem – stwierdziłem.

– Tak, pilnowałam cię. Musisz wiedzieć, Bramie, że nie da się tego wyleczyć na stałe. Bez mojej krwi choroba powróci, by upomnieć się o ciebie. Nigdy na to nie pozwoliłam. I nigdy nie pozwolę.

Otworzyłem szeroko oczy, kiedy uświadomiłem sobie kolejną rzecz.

– Twój ukochany nazywał się Deaglan O’Cuiv. Wielki, daleki przodek Patricka O’Cuiva, ta sama rodzina i krew. – W mojej głowie zaroilo się od myśli, aż musiałem zamknąć oczy, by się skupić, uporządkować je i wyciągnąć wnioski. – Patrick O’Cuiv nie zabił swojej rodziny. Zrobił to czarnowłosa mężczyzna, ten Dracul, kiedy przybył do Irlandii w poszukiwaniu ciebie!

Ellen westchnęła i zamknęła powieki, jak gdyby słuchanie o tym sprawiało jej ból.

– Biedna kobieta i jej dzieci, zabił ich wszystkich. Nie miałam wyboru: musiałam przemienić Patricka i Maggie; w przeciwnym razie wróciliby również po nich. Patrickiem zajęłam się, kiedy siedział w celi, w ten sposób przeżył swoją pierwszą śmierć. Niedługo później przyszła kolej na Maggie, bo tylko tak mogłam ją ochronić. Nie rozumiesz? Po tym wszystkim musiałam od was odejść; musiałam go odciągnąć, zanim trafi na waszą rodzinę. Niewiele brakowało.

– Zajęło mu to czternaście lat – powiedziałem – i przyszedł również po nas. I zabrał Emily.

Ellen spuściła wzrok.

– Czas nie ma dla niego zbyt dużego znaczenia. Teraz chce również ciebie. Pragnie cię bardziej niż cokolwiek. Bo płynie w tobie moja krew, bo wymknąłeś się śmierci; bo dzięki mojemu postępowaniu chodzisz dzisiaj po ziemi. Nie spocznie, póki nie zniszczy wszystkiego, co jest mi drogie. Wiedział, że atak na Emily wywabi i mnie, i ciebie. Po prostu wykorzystał ją, żeby ściągnąć nas do siebie.

– A co z twoim ukochanym, Deaglanem O’Cuivem?

Wzrok Ellen powędrował ku grubym dębowym drzwiom w głębi pokoju.

OBECNIE



BRAM PATRZY NA resztki ostatniej białej róży, która leży zwiędła i wysuszona na progu; jej niegdyś piękny kwiat zamienił się w proch zmieszany z błotem i ziemią. Węże przepelzły po nich, zostawiając ślady, a ich kły lśnią w bladym świetle, podczas gdy one okrążają Brama i przygotowują się do...

Dzwony!

Słuchać dzwony!

Biją w kościele pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny przylegającym do opactwa.

Ich głośny dźwięk zagłusza wszystko inne.

Wraz z nimi przychodzi poranek, na wschodzie pojawia się cienka wiązka światła i rozpędza mrok nocy.

Walenie do drzwi ustaje.

Syk węży cichnie.

Zapada cisza.

Bram opiera się o ścianę i chociaż gady już pierzchły, nadal tnie powietrze nożem myśliwskim, celując w to, co jest już tylko złudzeniem w szarym świetle.

Zniknęły.

Wszystkie zniknęły.

Bram wreszcie przestaje się miotać i osuwa się po ścianie całkowicie wycieńczony.

Chce wstać i wyrzeć przez okno, ale nie ma na to siły. Tak czy inaczej, wie, że na zewnątrz nie ma już mężczyzny. Tak samo jak Emily. Oboje rozpłynęli się o pierwszym brzasku.

Nie wolno zasnąć.

Jeszcze nie.

Bram wyciąga z kieszeni swój dziennik i otwiera go na czystej stronie.

Wróć, to tylko kwestia czasu. Więc musi skończyć to, co ma do napisania.

DZIENNIK BRAMA STOKERA



17 SIERPNIĄ 1868, 20.22

– Bram? Co się dzieje? – spytała Matyllda, nadal próbując przecisnąć się obok Patricka i Maggie O’Cuivów. Widok Ellen zaparł jej dech w piersiach.

– W porządku, Matylldo, wszystko w porządku.

Kątem oka zobaczyłem, że Vámbéry zerka na szpadę, i nieznacznie pokręciłem głową.

– To nie Ellen jest naszym wrogiem – wyjaśniłem. – Oni również nim nie są – dodałem, pokazując na Patricka i Maggie. – Wszystko się nam poplątało.

– Oni są nieumarli! – odwarknął Vámbéry. – Oczywiście, że to nasz wróg!

Podniosłem jego szpadę, włożyłem ją z powrotem do laski i trzymałem poza jego zasięgiem.

– Przepuść ich – poleciłem Patrickowi O’Cuivowi.

Spojrzał pytająco na Ellen, po czym odsunął się na bok.

Matyllda podbiegła do mnie i wzięła mnie w ramiona, nie spuszczaając wzroku z Ellen. Thornley poszedł za nią, taszcząc coś, co wyglądało na bardzo ciężką skrzynię. Odstawił ją tuż za drzwiami i patrzył na mnie z nieufnością.

– Opowiedz im, proszę, o tym, co właśnie mi pokazałaś – poprosiłem Ellen. – Powiedz im o wszystkim.

Mówiła przez kolejną godzinę.

* * *

W MILCZENIU słuchałem, jak relacjonuje im swoją historię. Usiłowała trzymać emocje na wodzy, było jednak boleśnie oczywiste, że z całego serca kochała Deaglana O’Cuiva oraz jego rodzinę – jego krew. Gdy opowiadała, przyglądałem się Maggie i Patrickowi O’Cuivom. Patrzyłem na uczucia malujące się na ich trupiobladych twarzach; widziałem, jak Maggie ociera czerwone łyzy, kiedy Ellen opisywała, w jaki sposób ciemnowłosy mężczyzna ukarał Deaglana, a zarazem ją. Wtedy przeszła do tego, jak przez siedemnaście poprzednich lat odszukiwała kolejne części ciała Deaglana O’Cuiva, zakopane w grobach samobójców rozsianych po całym kontynencie, z wyjątkiem serca. Stopniowo odnajdywała je i ukrywała w wielu miejscach, od wieży zamku Artane po toń irlandzkich bagien, aż wreszcie sprowadziła je tutaj i zamknęła za tymi drzwiami.

– Ręka, którą znaleźliśmy w zamku Artane, należała do Deaglana O’Cuiva – powiedziała cicho Matylda, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

– Ona żyła – przypomniałem. – Oboje widzieliśmy, jak się porusza.

– Przez wszystkie te lata myślałam, że nam się przywidziało...

– Ani Deaglan nie może umrzeć, ani jego ciało – kontynuowała Ellen. – Nie w ten sposób. Być może zginąłby, gdyby go spalono albo przebito mu serce drewnianym kołkiem. Ale dopóki jego dusza jest uwięziona w tej przeklętej powłoce, będzie żył. W stanie takiego osłabienia nie panuje nad swoim umysłem – kontroluje go Dracul, mężczyzna, którego nieczysta krew krąży w jego nieszczęsnym ciele. – Ellen wbiła wzrok w podłogę. – Próbowalam z nim rozmawiać, ale jest w agonii. Dracul manipuluje wszystkimi jego myślami. Gdy tylko wyczuwam mojego ukochanego, Dracul mi go wyrywa.

Vámbéry zaśmiał się kpiąco, rozglądając się za swoją szpadą.

– Próbujesz rozmawiać ze skrzynką wypełnioną częściami ciała? To niedorzeczne!

Ellen odwróciła się do niego z gniewem i frustracją w oczach.

– To wszystko wina krwi Dracula! Jeśli uda mi się złożyć ciało Deaglana w całość, on uleczy się, jestem pewna, i wtedy do mnie wróci.

– A gdzie jest jego serce? – spytałem, ignorując wybuch Vámbéryego.

Ellen westchnęła.

– Dopiero niedawno odkryłam, gdzie się znajduje. Dracul starannie ukrył je w pewnej wiosce pod Monachium. Tej lokalizacji strzegł najbardziej ze wszystkich, ale dwie noce temu stracił czujność i wyczytałam ją w jego myślach.

– Zamilkła na chwilę. – Opuścił gardę, kiedy zajął się Emily, i wtedy zdołałam wyciągnąć to z jego głowy.

– Co zamierza zrobić z Emily? – spytał słabym głosem Thornley.

– Wykorzysta ją jako przynętę – odpowiedziałem, uprzedzając Ellen. – W ten sposób nas wywabi. Wszystkich, którzy wiedzą o jego istnieniu. Ani przez sekundę nie wierzyłem, że ujawnił położenie tej wioski pod Monachium przypadkowo. On chce, żebyśmy tam pojechali.

– Skąd przekonanie, że serce Deaglana tam jest? Może to wszystko kłamstwo – zasugerowała Matylda.

– Ono tam jest – zapewniła Ellen. – Nie mam co do tego wątpliwości.

– Dlaczego w ogóle o tym rozmawiamy? – wypalił Vámbéry. – Cokolwiek znajduje się za tymi drzwiami, powinno zostać spalone na popiół. Musimy uwolnić dusze tych nieumarłych. Tak chce Bóg, to jedyne wyjście! Ich egzystencja jest daremna!

Maggie O’Cuiv z diaboliczną szybkością przemierzyła pokój, prawie unosząc się nad ziemią, zawisła kilka centymetrów od Vámbéryego i spojrzała mu prosto w oczy.

– Tylko my stoimy między nim a wami. Dopadnie was wszystkich, jedno po drugim, a kiedy już z wami skończy, zabierze się za wasze rodziny. Czasu ma pod dostatkiem.

– Skoro jesteśmy tak słabi, to na co możemy się wam przydać? – odrzekł Vámbéry. – Bo z pewnością nas potrzebujecie. Inaczej dlaczego mielibyście dzielić się z nami tymi wszystkimi szczegółami? Już dawno byście nas zabili.

Ellen uspokajająco położyła rękę na ramieniu Maggie i zwróciła się do Vámbéryego:

– Ma pan rację, nie damy rady zrobić tego sami.

– Co masz na myśli? – spytałem.

– Miejsce, w którym Dracul ukrył serce Deaglana, zwane jest przez miejscowych Wioską Umarłych. Według legendy setki lat temu prawie wszyscy mieszkańcy okolicy zginęli z nieznanых przyczyn, a gdy zostali pochowani, z ich grobów dobiegały jakieś odgłosy. Kilka grobów otwarto przy świetle dziennym: spoczywające w nich ciała okazały się rumiane i pełne życia, a usta miały czerwone od świeżej krwi.

– Kolejne *strigoi* – mruknął Vámbéry.

– *Strigoi*?

– Wampiry, nieumarli – wyjaśnił.

– Dracul zrobił to, kiedy ukrywał szczątki mojego ukochanego Deaglana.

Matylda spojrzała na mnie i wiedziałem, że znaczenie tych słów dotarło do niej dokładnie w tym samym momencie, co do mnie, ale ja odezwałem się pierwszy:

– Kiedy sprowadził tam serce Deaglana, zabił wszystkich mieszkańców wioski i przemienił ich w nieumarłych, żeby strzegli tego okropnego miejsca.

Ellen pokiwała głową.

– Stworzył sobie armię nieumarłych na własny użytek. Nie możemy tam wejść, mają zdecydowaną przewagę liczebną.

– Chyba że poszlibyśmy tam za dnia – skonstatował cicho Vámbéry.

– Nie rozumiem – stwierdził Thornley.

Vámbéry wskazał ruchem głowy na O’Cuivów, a potem na Ellen.

– Dysponują wielkimi mocami i umiejętnościami, ale tylko pod przykryciem nocy. W dzień zaś nie są ani trochę silniejsi od nas, a wręcz bywają słabsi. Po wschodzie słońca większość nieumarłych udaje się na spoczynek; w tym czasie pozostają w ukryciu i bardzo łatwo ich zranić. Sami widzieliście na przykładzie Emily. Jeśli udamy się do tej wioski w ciągu dnia, możemy wejść do niej i odzyskać serce O’Cuiva, a ryzyko oporu z ich strony będzie niewielkie albo żadne.

– Na pewno zjawi się tam Dracul. Można go zabić, kiedy będzie odpoczywał, i pozbyć się zagrożenia – dodała Ellen.

Oczy Vámbéryego rozbłysły na myśl o zniszczeniu tego źródła zła.

– A co z Emily? – spytał Thornley. – Co będzie to oznaczało dla niej?

– Da się ją ocalić. Jeżeli Dracul zginie, wraz z nim przepadnie władza, którą ma nad Emily – wytłumaczył Vámbéry. – Już nie będzie z jego krwi.

– A Deaglan O’Cuiv? – dociekałem. – Nie zabije go to?

– Nie, o ile jego ciało zostanie z powrotem złożone w całość. Będę umiała to zrobić – oznajmiła z przekonaniem Ellen. – Zanim wy zabijecie Dracula, ja dam Deaglanowi swoją krew. W ten sposób będziemy mieli pewność, że uwolnimy go od władzy Dracula.

Matylda podeszła do Ellen, chwyciła jej rękę i wzięła głęboki wdech.

– Skoro nikt inny nie zamierza tego powiedzieć, sama to zrobię – oznajmiła zdecydowanym, choć cichym głosem. – Pomożemy ci. A także sobie nawzajem. – Przeniosła wzrok na mnie, a potem na Thornleya. – Pomożemy ci znaleźć serce twojego ukochanego. Złączymy cię z człowiekiem, który jako jedyny dał ci szczęście, jakiego nigdy nie zaznałaś, a ty pomożesz nam uwolnić Emily i zwrócić ją Thornleyowi, kładąc kres temu koszmarowi. A wtedy razem zetrzemy Dracula z powierzchni ziemi. Razem zatryumfujemy albo razem poniesiemy porażkę.

Ellen ścisnęła rękę Matyldy, a w jej oczach zalśniły łzy.

– Jedynym, co może równać się ze szczęściem, które dał mi Deaglan, jest radość, jakiej zaznałam w waszej rodzinie. Robiłam i zrobię wszystko, żebyście byli bezpieczni. – Składając tę obietnicę, Ellen patrzyła na mnie. Mimo woli zastanawiałem się, czy w jej słowach kryje się jakieś inne, głębsze znaczenie.

* * *

– NIE POWINNIŚMY TU przebywać, nie wszyscy w jednym miejscu. – Ku naszemu zaskoczeniu słowa te wymówił O’Cuiv. Uświadomiłem sobie, że nie słyszałem jego silnego irlandzkiego akcentu od dzieciństwa. Podeszedł do okna i wyjrzał na

teren opactwa, cmentarz i rozciągający się za nim las. – Ktoś powinien zostać na miejscu, żeby pilnować Deaglana, podczas gdy reszta zajmie się przygotowaniami.

Coś huknęło od drugiej strony w wielkie dębowe drzwi. Matylda krzyknęła i wszyscy odwróciliśmy się w ich kierunku. Rozległo się kolejne uderzenie.

– Obudził się – zauważyła Maggie.

Vámbéry odsunął się od drzwi.

– Kto się obudził? Mówiłaś, że w środku jest tylko skrzynia z częściami ciała.

Ellen uniosła palec do ust. Wolną ręką chwyciła mnie za przedramię. Usłyszałem jej głos w swojej głowie:

Dracul potrafi słyszeć i widzieć, wykorzystując Deaglana jako przekaźnik; dzielą tę samą krew. Dopóki mój ukochany tkwi zamknięty i odizolowany w tym pokoju, Dracul nie ma pojęcia, gdzie on się znajduje. Jest ślepy i nie zna położenia ciała. Gdyby je poznał, z pewnością przyszedłby tu po Deaglana i po nas. Nie powinniśmy rozmawiać tu na głos o naszej lokalizacji ani o naszych planach. Dracul jest blisko, bardzo blisko. Deaglana nie wolno zostawić bez ochrony; nie teraz.

Gdybym wiedział, do czego dojdzie i jaką ofiarę będziemy musieli złożyć, i jak wysoki ponieść koszt, być może nie zgłosiłbym się na ochotnika, żeby przenocować na wieży opactwa Whitby i pilnować szczątków Deaglana O’Cuiva, podczas gdy inni będą szykować się do podróży. Nie zdecydowałbym się na to w towarzystwie Vámbéryego. A może i ogóle.

* * *

17 SIERPNIĄ 1868, 21.30

Warto podkreślić, że to właśnie ja musiałem zostać w opactwie. Po wybuchu Vámbéryego nie miałem do niego zaufania, podobnie jak wszyscy pozostali, ale on upierał się, że zostanie. Przy pierwszej lepszej okazji mógłby otworzyć drzwi i podpalić szczątki Deaglana. Sprowadziłby na nas zagładę niezależnie od konsekwencji. Patrick O’Cuiv musiał żywić podobne uczucia, ponieważ również

nalegał na to, by zostać z nami na wieży. Thornley i inni poszli załatwić transport i uregulować rachunek w gospodzie, a potem poczekać do rana. Jednogłośnie zgodziliśmy się, że najlepiej będzie wyruszyć o brzasku, kiedy Dracul i nieumarli są najsłabsi i najbardziej podatni na zranienie.

Słusznie martwiłem się Vámbérem, ponieważ gdy tylko reszta się oddaliła, oznajmił:

– Bramie, cokolwiek jest w środku, jest złe. Musimy to unicestwić.

Powiedział to, nie bacząc na Patricka O’Cuiva, który nieruchomo stał pod oknem na warcie.

Laska Vámbéryego była oparta o ścianę w kącie, poza jego zasięgiem. Źle się czułem w obecności tego osobnika, niezależnie od tego, czy był przyjacielem mojego brata, czy nie. Podchodził do mnie w bardzo podobny sposób jak do Patricka. Miałem przeczucie, że sięgnie po szpadę, żeby zabić nas obu. Thornley obstawał przy tym, że nie ma o czymś takim mowy; że Vámbéry kieruje się rozsądkiem. Mimo to nie darzyłem go zaufaniem.

– Słyszał pan, co mówiła Ellen. Człowiek za drzwiami nie jest naszym wrogiem.

– To, co znajduje się za tymi drzwiami, bynajmniej nie jest człowiekiem – odparował Vámbéry. Przyniósł do pokoju nasze torby i przeglądał ich zawartość. – Nie ufam tej waszej Ellen i jej towarzyskom podróży ani trochę bardziej niż Draculowi. Myślę, że zaślepiają pana wspomnienia z dzieciństwa i przywiązanie. Pan, pański brat i siostra nie myślicie racjonalnie, a zatem ja muszę raz a dobrze podjąć za was decyzję.

Wyciągnął duży krucyfiks i podniósł go do światła lampy.

Chociaż Patrick O’Cuiv stał do nas plecami, w jakiś sposób wyczuł obecność krzyża. Odwrócił się przodem do Vámbéryego.

– Odłóż to – wysyczał.

– Nie odłożę. Skoro naszym zadaniem na dzisiaj jest niedopuszczenie *strigoi* do środka, to właśnie na tym zamierzam się skupić. Może powinien pan poczekać na zewnątrz.

O’Cuiv spojrział na mnie ze znużeniem, błyskawicznie minął nas i znalazł sobie miejsce w korytarzu, tuż przed pokojem.

Vámbery wyjął młotek i gwoździe, po czym przybił krzyż do ściany przy drzwiach. Następnie wyciągnął drugi krucyfiks, a potem trzeci.

– Czy mógłbym prosić o pomoc? – spytał.

Wygrzebałem z jego torby drugi młotek i zacząłem od drugiej strony pomieszczenia. Kiedy skończyły się nam krzyże, zawiesiliśmy lustra, wszystkie, jakie mieliśmy. Zajął nam to prawie godzinę. Vámbery wskazał głową na mój nóż myśliwski.

– Proszę wyźłobić krzyże na wszystkich wolnych powierzchniach, nie pomijając ani kawałka. Lustra wprowadzą te bestie w błąd, pomnażając optycznie liczbę krzyży.

Kiedy zabrałem się do roboty, Vámbery włożył czosnek i hostie do niewielkiej miski i rozkruszył je rękojeścią noża, po czym dodał wodę i mieszał do utworzenia gęstej pasty, takiej samej jak w domu Thornleya. Ostrzem noża wprowadził miksturę między grube dębowe drzwi a kamienie.

– *Strigoi* potrafią zmienić się w mgłę i przecisnąć przez najwęższą szparę. To uniemożliwi im wtargnięcie tu i wydostanie się stąd. To woda święcona.

Pasta wydzielala mocną woń i Patrick O’Cuiv odsunął się z niezadowoleniem w głąb korytarza.

Vámbery zaczął się pocić. Przerwał na chwilę i oparł się o drzwi.

– Wszystko w porządku?

Pokiwał głową, ale nie wyglądał dobrze. Myślałem, że to rozpierający go gniew, ale ta reakcja była czymś zupełnie innym. Skończył nakładać pastę i wyjął jedną z białych róż, których cały kosz zakupił wcześniej. Wyszeptał modlitwę, zająkując się na niektórych słowach, i położył kwiat na progu.

– *Strigoi* nie mogą wstać z grobu, jeśli leży na nim biała róża, a pomieszczenie za tymi drzwiami z pewnością nie ustępuje grobowi.

Ostatnie słowa kosztowały Vámberyego niemało wysiłku. Oczy wywróciły mu się białkami do góry. Dopadłem do niego w ostatniej chwili, nim zemdłał,

i ułożyłem go na posadzce. Jego skóra była zimna i wilgotna.

Poczułem coś za drzwiami. Jakąś istotę. Silniejszą niż wszystko, z czym kiedykolwiek się spotkałem.

– Arminiusie?

Zatrzepotał powiekami i poruszył ustami, jakby coś mówił, ale całkowicie bezgłośnie.

– Co tam się dzieje? – spytał Patrick O’Cuiv z korytarza, nie dając już rady patrzeć na pokój wypełniony krzyżami i lustrami.

– Vámbéry stracił przytomność.

– To nie Vámbéry – odparł O’Cuiv. – Za tymi drzwiami coś się dzieje.

– Ja... No nie wiem. – Niemniej też to poczułem. Cokolwiek to było, zyskiwało na sile i przyciągało mnie w ten sam sposób co ciocia Ellen, kiedy byłem dzieckiem. Zapragnąłem otworzyć drzwi, zetrzeć pastę nałożoną przez Vámbéryego i rozdeptać różę na miazgę; otworzyć drzwi i wypuścić istotę za nimi. Czuję, jak ona sięga do mojego umysłu i obejmuje moją głowę, obmacuje ją cienistymi palcami i formuje moje myśli.

Nie mogę się doczekać, kiedy cię poznam, Bramie.

Wyczytałem to powitanie z ruchu ust Vámbéryego, ale nie wydostał się z nich żaden dźwięk. Miałem absolutną pewność, że mężczyzna jest nieprzytomny, a jednak jego usta znów zaczęły się poruszać.

Tyle się o tobie dowiedziałem od Ellen. Ma o tobie świetne mniemanie. O twojej siostrze również. I o twoim bracie. Cóż za wybitna rodzina. Czuję zapach jej krwi w twoich żyłach, jej słodziutkiej krwi. Ona też uwielbia smak twojej krwi. Sam też mam wielką ochotę jej skosztować, Bramie. Wiesz, że przez wszystkie te lata nigdy nie karmiłem się krwią waszej cioci Ellen? Nigdy nie miałem jej krwi na wargach. Tymczasem wkrótce spróbuję nie tylko jej krwi, lecz także twojej...

Serce Vámbéryego dudniło jak oszalałe, a on brał krótkie, nerwowe wdechy. Wszystkie mięśnie jego ciała kurczyły się i sztywniały. Palce wyciągał tak

mocno, że zdawały się wyginać do tyłu, w kierunku nadgarstków. Jego wargi układały się do słów, które słychać było tylko w mojej głowie.

Biedny Deaglan O’Cuiv, pół człowieka zamkniętego w skrzyni. Czemu go nie wypuścisz? Daj mu odetchnąć. Nacieszyć się nocą. Myślę, że na to zasłużył – od tak dawna pozostaje w niewoli. Zgodzisz się chyba?

– Bram, nie otwieraj tych drzwi! Dracul w jakiś podstępny sposób przemawia przez twojego znajomego. Nie możesz ufać swoim oczom ani uszom. – Patrick podbiegł, ale był w stanie co najwyżej zajrzeć do pokoju.

Czyżbym słyszał Patricka O’Cuiva? Przyszedł złożyć do kupy swojego stryjecznego praprapradziadka? Podziękuj mu, proszę, ode mnie za gościnę; spędziłem bardzo miły czas z jego żoną i dziećmi. Żałuję, że nie mogłem zostać dłużej, ale chyba i tak wystarczyło. Jego synek wołał go, kiedy odbierałem mu życie. Oczekiwał, że ojciec go ocali; jakież to słodkie i naiwne! Miał na imię Sean, jeśli się nie mylę? Och, i mała Isobelle! Myślała, że to tata, kiedy podszedłem do jej łóżeczka i podniosłem jej ciało do ust. Dzieci są takie ufne. Przez wszystkie lata spędzone na świecie nigdy nie znalazłem niczego, co mogłoby się równać z krwią małego dziecka, tak świeżą i czystą, wolną od zanieczyszczeń, które wprowadzają do swoich organizmów dorośli. Najchętniej bez końca wysysałbym krew z jej żył. No i była też Maggie! Spryciulka, schowała się przede mną. Ale skoro Ellen ją przemieniła, to może wezmę ją na wychowanie, kiedy wreszcie dobrniemy do końca tej historii. Ona i ta śliczna Emily mogą pojechać ze mną, gdy będzie po wszystkim, a was będą zjadać robaki.

Po wieży rozniósł się głośny huk i zrozumiałem, że to Patrick uderzył w ścianę. Kurz z sufitu opadł na podłogę.

Zauważyłem, że wewnątrz dłoni Vámbéryego pokryte jest czarną, lepką substancją. Coś przesączyło się pod drzwiami; musiał tego dotknąć przy nakładaniu pasty. Dotarło do mnie, że ta gęsta ciecz utworzyła połączenie między nim a Draculem. Połączenie, dzięki któremu Dracul teraz przemawiał.

Poczekasz na mnie, Bramie, prawda? Tutaj, dokładnie w tym miejscu? Niedługo się zjawię. Musisz mi tylko powiedzieć, gdzie się chowasz. Może czas rzucić okiem i określić wasze położenie.

Wtem Vámbéry otworzył oczy, usiadł prosto i zlustrował każdy cal kwadratowy pokoju. Popatrzył na boki, a potem w górę i na dół. Wyrwał mi się i nim zdążyłem go powstrzymać, podbiegł do okna. Spojrzał na gwiazdy, teren dookoła, miasteczko, cmentarz, las i ocean za nim.

Ach tak, oczywiście – powiedział przez usta Vámbéryego. – *Gdzieżby indziej.* I zapadła cisza.

Vámbéry upadł na ziemię u moich stóp i cicho wymamrotał coś bez ładu i składu. Zamrugał powiekami, otworzył oczy, a jego oddech się unormował.

Z korytarza odezwał się Patrick:

– Musimy go stąd zabrać. Dopóki przebywa blisko tych drzwi, Dracul może w niego wejść i znów się nim posłużyć. Mnie i ciebie ochrania krew Ellen; Vámbéry natomiast jest słaby, a więc podatny.

Wiedziałem, że ma rację, i zanim jeszcze Vámbéry w pełni doszedł do siebie, wyniosłem jego wiotkie ciało na korytarz i przekazałem je O’Cuivowi.

– Zabierz go do gospody, niech dołączy do reszty, jak najdalej stąd. Ja popilnuję drzwi do rana. – Wskazałem na plamę po wewnętrznej stronie dłoni Vámbéryego. – Dokładnie zmyj mu to z ręki.

Patrick spojrział na mnie z niepokojem, ale wiedziałem, że postępuję słusznie.

– Wrócę tu, przydam ci się.

Pokręciłem głową.

– Zostań z resztą i chroń ich. On tu nie wejdzie, nic mi się nie stanie.

Pokazałem na krucyfiksy i lustra na ścianach – nadaremnie, bo przecież O’Cuiv nie mógł na nie spojrzeć. Tym samym dowiodłem swojej racji. Sięgnąłem po laskę Vámbéryego i wręczyłem ją Patrickowi.

– Oddaj mu to, kiedy się obudzi. Może w ten sposób zbuduje się między wami zaufanie. Bo choćbyś sądził inaczej, on i jego wiedza będą nam jeszcze potrzebni.

Patrick wziął laskę do wolnej ręki.

– A teraz ruszaj, zanim Dracul znów wedrze się do jego ciała.

O’Cuiv podniósł Vámbéryego, jakby ten nic nie ważył, i zniknął w czeluściach opactwa.

Zostałem sam. Nie mogłem oderwać wzroku od drzwi, a wszystkie moje myśli krążyły wokół istoty kryjącej się za nimi. Wyjąłem karabin z torby Thornleya i usiadłem na krześle.

Miałem przed sobą długą noc.

CZĘŚĆ III



Piećło nie jest czczym wymysłem teologów, ponieważ istnieje ono tutaj, na Ziemi. Osobiście stanąłem u jego bram i patrzyłem, jak diabły wykonują swoją pracę.

– Bram Stoker, *Makt Myrkranna*

OBECNIE



ARMINIUS



ARMINIUS VÁMBÉRY leży na miękkim łóżku w gospodzie. Budzi się o świcie i nie pamięta, jak się tu znalazł; wie tylko, że był z Bramem i Patrickiem O’Cuivem na wieży opactwa Whitby.

Matylda pochyla się nad nim z wilgotną ściereczką w dłoni.

– Obudził się – mówi komuś obok niej.

To Thornley.

Wspólnymi siłami pomagają Vámbéryemu usiąść. Boli go każda nieszczęsna kość i każdy mięsień.

– Da pan radę wstać? – pyta Matylda. – Chodzić?

– Tak sądzę.

– Musisz – oznajmia niecierpliwie Thornley. – Nasz pociąg czeka, a mamy jeszcze odebrać Bramę, który wciąż siedzi na wieży opactwa Whitby.

Nieumarłych ani śladu. Ellen, Maggie i ten potwór Patrick na pewno są pogrążeni w głębokim śnie.

Vámbéry jest słaby i dezorientowany. Kiedy wychodzą z gospody, jest jeszcze trochę otumaniony, ale pokonanie jeszcze raz stu dziewięćdziesięciu dziewięciu schodków przywraca mu przytomność umysłu. Na szczycie jednak odzywa się pulsujący ból w jego słabszej nodze. To, co wydarzyło się dotychczas, zdaje mu się tylko snem, ale zaczyna robić się znacznie bardziej rzeczywiste, kiedy cała trójka musi wspiąć się na górę opactwa po drabince ukrytej w kominku, a potem jeszcze po schodach na czubek wieży.

Zastają Brama leżącego w rogu pokoju, prawie nieprzytomnego z wyczerpania. W jednej ręce ściska swój dziennik, a drugą trzyma na kolbie wiernego snidera-enfielda. Wygląda, jakby przez tę jedną noc postarzał się o dziesięć lat.

– Dracul wie, że tu jesteśmy – mówi. – Był tu, ale go powstrzymałem.

Matylda podchodzi do Brama i czule głaszcze go po włosach.

– Patrick nam powiedział. Dzielny z ciebie głupiec, że zostałeś tu całkiem sam – szepcze mu do ucha. – Sama bym cię zabiła, gdybym wiedziała, że tak ci śpieszno do śmierci. Chcieliśmy tu wczoraj wrócić, żeby cię wesprzeć, ale Ellen nam nie pozwoliła. Razem z O’Cuivami czuwali nad nami w gospodzie i upierali się, że nic ci nie będzie.

Thornley i Vámbéry pomagają Bramowi podnieść się i stanąć na nogi. Bram puka w skórzaną okładkę swojego dziennika i daje Vámbéryemu znak głową.

– To pomoże panu wszystko zrozumieć – obiecuje słabym głosem.

W wilgotnym pokoju unosi się odór śmierci. Posadzka jest cała w błocie; pełno na niej kamyków przypominających skamieniałości węży zwiniętych w kłębek. Krucyfiksy i lustra na ścianach są albo pęknięte, albo powyginane; część z nich spadła na podłogę.

– Co tu się stało? – pyta Thornley.

W odpowiedzi Bram tylko unosi rękę i kręci głową.

– Później... Co z pociągiem?

– Odjazd za godzinę – odpowiada Matylda.

Chwilę trwa, zanim do Brama docierają jej słowa.

– A Ellen? – pyta wreszcie.

Matylda zerka na Vámbéryego i ściszone głosem wyjaśnia:

– Ona i pozostali już zostali załadowani na pociąg.

Vámbéry wyobraża sobie tercet nieumarłych zamkniętych w swoich skrzyniach i spoczywających na posłaniu z ziemi, słabszych niż o jakiegokolwiek innej porze. Pewnie znajdują się w którymś z wagonów towarowych, ale Bram

nie ma jak się dowiedzieć w którym. Zaciska palce na uchwycie laski, którą znalazł na podłodze przy łóżku.

Thornley kiwa głową w kierunku ciężkich dębowych drzwi po drugiej stronie pokoju.

– Nie mamy czasu do stracenia.

Bram wpatruje się w drzwi, Vámbéry dostrzega w jego oczach wahanie i lęk.

– Obiecaliśmy – upomina Matylda.

Bram zastanawia się przez chwilę, po czym kiwa głową. Sięga do kieszeni, wyjmując spatynowany mosiężny klucz otrzymany od Ellen i podchodzi do drzwi. Wsuwa klucz do ciężkiego zamka pośrodku i przekręca. W momencie gdy rygle po obu stronach cofają się, w pokoju rozlega się głośny trzask.

Bram naciska klamkę i otwiera drzwi.

W pokoju, w którym stali, czuć było śmiercią; w pokoju za drzwiami cuchnie grobem. Kawałki wysuszonej pasty odpadają od krawędzi drzwi, a błoto zalegające na podłodze śmierdzi tak przeraźliwie, że aż zatyka. Przed wejściem do środka cała trójka mruży oczy i zakrywa nosy.

Komnata nie jest zbyt duża, jakieś dwa i pół metra średnicy, nie ma okien ani żadnej innej drogi ewakuacyjnej. Na środku stoi drewniany kufer o wymiarach około pół metra na metr dwadzieścia, większy, niż zwykle potrzeba do przewozu ubrań podczas długiej podróży. Ten sam kufer Bram ujrzał w wizji Ellen na bagnie: po zewnętrznej stronie każdy centymetr pokryty jest maleńkimi krzyżami wyrzeźbionymi w drewnie.

Wiek kufra jest uchylone.

Podchodzą i zagląдают do środka.

Wewnątrz spoczywają szczątki mężczyzny lekko przysypane ziemią. Vámbéry zauważa, że wystają z niej dwie ręce, noga i korpus. Po drugiej stronie leży głowa; widać czubek nosa i oczy zamknięte jak do snu. Z tego, co Vámbéry zrozumiał, człowiek ten umarł setki lat temu, ale jego szczątki są niezwykle dobrze zachowane. Vámbéry stara się nie patrzeć na ciało na szyi rozerwane w miejscu, w którym głowa łączyła się kiedyś z tułowiem.

– Deaglan O’Cuiv – stwierdza Thornley.

Vámbéry widzi, jak Bram wkłada rękę pod dekolt rozpiętej koszuli i wyciąga pierścień zawieszony na łańcuszku na szyi. Przekłada łańcuszek przez głowę, zdejmuje z niego pierścień i wsuwa go na jeden z palców wystających z ziemi.

– To twoja własność.

Palec się zgina.

– Niebawem – kwituje cicho Vámbéry. Wkłada rękę do kufra i odgarnia część ziemi z twarzy mężczyzny. – Ciało jest zimne, a jednak tli się w nim życie.

Deaglan O’Cuiv mruga, a z jego ust wydobywa się bezgłośny krzyk. Vámbéry błyskawicznie cofa dłoń.

– Spędzać całą wieczność w takim cierpieniu... – mówi Matylda i nie kończy myśli, a powieki O’Cuiva powoli opadają.

Tułów jest ledwo widoczny, ale Vámbéry widzi ranę po sercu wyszarpanym z piersi, dziurę, którą teraz wypełnia ziemia. Jak to wszystko jest możliwe – nie ma pojęcia, ale widzi to na własne oczy.

– Nie mogę już na to patrzeć – przyznaje, wyciąga rękę do wieka i je zatrzaskuje.

Rozlega się brzęk starych mosiężnych okuć. Thornley zamyka kufer na wszystkie zasuwki po kolei, po czym odwraca się do Brama i Vámbéryego.

– Gotowi, panowie?

Bram bierze za jeden koniec kufra, Thornley i Vámbéry za drugi i pilotowani przez Matyldę wnoszą go do głównej komnaty. Kiedy wychodzą z mniejszego pomieszczenia, Vámbéry mimo woli zauważa długie ślady zadrapań na powierzchni drzwi, biegnące od góry do dołu i poznaczone zaschłą krwią od nieudanych prób wydostania się na zewnątrz. Odnotowuje również, że zniknęła skrzynka ze złotem i dokumentami, i uznaje, że pewnie jest już w pociągu.

Wspólnymi siłami znoszą kufer po schodach do oczekującego na dole powozu. Następnie ładują go na pociąg do Hull, skąd złapią statek do Amsterdamu. Stamtąd kolejny pociąg, który według rozkładu w mniej więcej trzy dni ma dotrzeć przez Rotterdam, Düsseldorf i Frankfurt do Monachium.

Kiedy zajęli miejsca w przedziale, Thornley podaje Vámbéryemu dziennik Brama, kolejny własnego autorstwa oraz listy od Matyldy do Ellen i prosi, by je przeczytał. Pociąg rusza ze stacji, a Whitby zostaje za nimi.

Vámbéry czyta wszystko uważnie, robiąc, co w jego mocy, by ułożyć wszystkie strony we względnym porządku, przerzuca je naprzód i wstecz oraz dodaje własne notatki.

Kilka godzin później kończy ostatnią stronę zapisaną pośpiesznym pismem Brama w czasie, gdy siedział uwięziony na wieży opactwa. Zamyka dziennik. Czuje się przytłoczony lekturą wszystkich relacji tego chłopaka i tej rodziny, która od dawna uczestniczy w czymś tak potwornym.

Odchyła się na siedzeniu, pociąg delikatnie podskakuje, a za oknem przesuwa się angielski krajobraz.

Ma wiele do przemyślenia.

MATYLDA



MATYLDA BUDZI SIĘ na pokładzie statku parowego „Bohater”, bo wydaje się jej, że ktoś wymawia jej imię. Ten szept – z bardzo daleka – przychodzi do niej we śnie. Kobieta siada na niewielkim łóżku i rozgląda się po prywatnej kabinie. Nie zauważa niczego specjalnego. Zostawiła otwarty iluminator, ale tylko dlatego, że nie ma pod nim pokładu, jest za to widok na morze, a ponadto odpowiada jej dźwięk fal rozbijających się o kadłub statku oraz równie kojący odgłos żagli miarowo łopocących na wietrze. W przeciwnym razie zostałyby tylko głucha pustka nocy.

Matylde.

Tym razem jest pewna, że słyszy swoje imię. I to z zewnątrz, choć może to brzmieć nieprawdopodobnie. Matylde wstaje, wkłada płaszcz na koszulę nocną i podchodzi do drzwi kabiny. Otwiera je, jakby spodziewając się, że zastanie kogoś po drugiej stronie, ale na korytarzu ani żywego ducha. Pływała już przedtem parowcami takimi jak ten i jest świadoma, że o tej porze większość pasażerów siedzi w swoich kabinach i tylko załoga cicho przemyka się po statku, wykonując swoje obowiązki. Ale nikt z marynarzy nie zna jej imienia, a poza tym nie widzi żadnego z nich, ani nikogo w ogóle.

Bram i Thornley zajmują kabinę po lewej, a Vámbéry po prawej. Matylde rozważa obudzenie braci, ale zmienia zdanie. Obaj potrzebują odpoczynku jeszcze bardziej niż ona, zwłaszcza Bram wykończony po męczarniach przeżytych nocą na wieży.

Matylda okrywa głowę kapturem i przytrzymuje go bezpiecznie pod szyją, po czym rusza korytarzem ku schodom, którymi dociera na główny pokład. Tam płuca wypełnia jej morskie powietrze, chłodne i słone; wdycha je z przyjemnością. Kojarzy się jej z domem sprzed tylu lat. Kiedy przechodzi przez główny pokład, mija ją załogant, mamroczący coś w nieznanym jej języku, i znika za rogiem.

Na prawej burcie, przy nadbudówce dziobowej, jest ktoś jeszcze – smukły i nieruchomy, również w czarnym płaszczu. Matylda błyskawicznie rozpoznaje tę osobę. Podchodzi do niej i staje obok.

– Witaj, Ellen.

Ellen nadal stoi zastygła niczym posąg i wpatruje się w wodę.

– Nie powinnaś przebywać tutaj sama. Boję się, że Vámbéry nie zawaha się przed zabiciem was przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Nie przejmuję się Arminiusem Vámbérem.

Matylda wie, że Ellen i O’Cuivowie trafili na pokład w drewnianych skrzyniach wypełnionych ziemią z ich grobów i zabitych gwoździami. Umieszczono je głęboko w ładowni, obstawione ze wszystkich stron innymi skrzyniami. Miało nie być dostępu do żadnego z nich, aż nie nastąpi rozładunek po zakotwiczeniu w Amsterdamie, a tymczasem oto stoi przed nią Ellen. Matylda przypomniała sobie, jak w domu Thornleya Dracul przemienił się w rój pszczoł i jak Vámbéry opowiadał im, że nieumarli potrafią przeistoczyć się w mgłę i przedostać przez najciaśniejsze przejścia. Wszystko to wydawało się jej bajką dla dzieci – do tej pory.

– Gdzie są Patrick i Maggie?

– Odpoczywają. Chodzenie po statku otoczonym zewsząd morzem potrafi być przerażające. Nie możemy samodzielnie przechodzić przez wodę z wyjątkiem tego krótkiego okresu, kiedy jest nieruchoma między przyplływem a odpływem, ale i tak nie umiemy pływać, choćbyśmy za życia świetnie to robili. Patrick wyciągnął z tego prawie śmiertelną nauczkę w Dublinie, kiedy spadł z pokładu i czekała go śmierć.

– Widzieliśmy go – jego zwłoki – w tamtejszej kostnicy.

Ellen kiwa głową.

– Wiem, czytałam twoje listy.

Matylda patrzy na wodę, na fale wspinające się po kadłubie.

– To ty zabiłaś strażnika?

– Nie zrobiłabym niczego takiego – odpowiada Ellen. – Nie pozbawiłam żadnego człowieka życia od ponad dwustu lat.

– A więc to Dracul?

– Tak – odpowiada. – Znalazł Patricka O’Cuiva w podobny sposób jak wy: dzięki tym okropnym bliznom. Miał nadzieję, że Patrick doprowadzi go do mnie. O’Cuiv był przez niego śledzony, odkąd wypadł z łodzi w Dublinie. Miał nadzieję, że zgubi go, wsiadając na statek, ale Dracul niespecjalnie boi się wody. Prawdę mówiąc, nie jestem przekonana, czy się jeszcze czegokolwiek boi. Dracul go ścigał. Patrick wpadł w panikę i wyleciał za burtę. Wyprzedziłam Dracula o kilka minut: w kostnicy zdążyłam z powrotem włożyć Patrickowi serce i ożywić go. Razem uciekliśmy, a Dracul deptał nam po piętach. Zabił strażnika wyłącznie dlatego, że tamten widział jego twarz.

– Czy zabił też woźnicę Thornleya? Myślałam, że to Maggie.

– Maggie nigdy nie pozbawiła nikogo życia i wątpię, czy kiedykolwiek to zrobi. Może i ma charakterek, którego nie potrafi opanować, ale żadna z niej morderczyni. To na pewno był on. – Ellen milknie na chwilę, po czym kontynuuje: – Dracul ma istoty ludzkie za nic. Kiedy uciekłam z jego zamku, powybijał wszystkich służących, klnąc się, że nigdy więcej nie wpuści do swojego domu żadnego człowieka. Matki, ojcowie, dzieci – wszyscy zginęli tylko dlatego, że był zły. Upajał się ich cierpieniem.

Ellen wreszcie odwraca się do Matyldy, która po raz pierwszy od czasów dzieciństwa może na nią spojrzeć. Oczy Ellen jaśnieją najczystszym błękitem, tak intensywnym, że niemal płoną. Jej blada skóra jest idealna, nie znać po niej wpływu czasu, zupełnie jak przed czternastoma laty. Opadające jasne włosy

zebrała z tyłu i schowała pod płaszczem, ale Matylda i tak wie, że nie ściemniały. Oto Ellen, którą pamięta i którą zawsze będzie pamiętać.

Ellen podchodzi bliżej i kładzie swą zimną dłoń na dłoni Matyldy.

– Nie mogę pozwolić, żebyście kontynuowali ze mną tę wyprawę; to zbyt niebezpieczne. Jedyny powód, dla którego Dracul pozwolił wam dotąd żyć, jest taki, że może was wykorzystać przeciwko mnie, zarówno ciebie, jak i Thornleya. Z Bramem sprawa ma się dużo gorzej. Dracul jest zafascynowany nim oraz faktem, że moja krew go uleczyła i przydała mu zdolności, których w innej sytuacji nie mógłby posiadać.

– Łatwość leczenia się? – zastanawia się Matylda.

– Tak, łatwość leczenia się. Lepszy wzrok, wzmocniony słuch. Siłę, energię, umysł. I więź ze mną. Jak długo on pożyje? Dłużej niż większość? Krócej? Ile z tych atrybutów należy rzeczywiście do niego, a ile pochodzi z mojej krwi? Pisane mu było umrzeć w dzieciństwie i tak by się stało, gdyby nie moja interwencja. Ale Bram żyje na kredyt.

– Ma wobec ciebie dług wdzięczności – przyznaje Matylda. – Wszyscy mamy.

– Ty nic mi nie jesteś winna. Prowadzę cię ku śmierci. Tyle lat próbowałam zapewnić ci bezpieczeństwo, utrzymać z dala ode mnie, a jednak jesteśmy teraz razem.

– Wszyscy jesteśmy tu z wyboru. To, co Dracul ci zrobił, jest niewyobrażalne. Jeśli w jakiś sposób możemy pomóc ci złączyć się z ukochanym i odwdziaczyć za wszystko, co dla nas zrobiłaś... Nie ulega kwestii, dlaczego tu jesteśmy. Jesteśmy tu dla ciebie. Należysz do rodziny.

Ellen zastanawia się nad tymi zapewnieniami i ściska rękę Matyldy.

– Dziękuję ci za listy, Matyldo. Dziękuję, że o mnie pamiętałaś.

Statek kołysze się na coraz wyższych falach, a ze wschodu wieje lodowaty wiatr.

– Znosi się na sztorm.

Ellen wzdycha pogrążona w myślach.

– Powinnaś wrócić do swojej kabiny – mówi wreszcie.

– Ty też powinnaś odpocząć.

– Obawiam się, że potem przez bardzo długi czas nie będę miała okazji.

Niegdyś Matyllda bardzo lubiła uśmiech Ellen, ciepło, które wyrażał. Ma nadzieję zobaczyć teraz jeden z takich uśmiechów, ale żaden się nie pojawia. Zamiast tego Ellen bierze Matyldę za ręce i nachyla się bliżej.

– Kiedy twój brat się obudzi, powiedz mu, że to, co widział w pokoju na wieży, to, co działo się za drzwiami, nie pochodziło od mojego ukochanego Deaglana O’Cuiva. To Dracul wykorzystywał jego ciało. Jest to możliwe, ponieważ dzielą krew. Mój ukochany nigdy nie powiedziałby ani nie zrobił takich rzeczy. Mam nadzieję, że któregoś dnia wasza trójka pozna mężczyznę, którego kocham.

– Tak, i to już niedługo! – pokrzepia ją Matyllda.

Zostawia Ellen na pokładzie z płaszczem trzepoczącym na morskim wietrze i zastanawia się, czy właśnie widzi ją po raz ostatni. Zastanawia się też, czy jutro o tej porze ona i jej bracia wciąż będą przy życiu.

BRAM



AMSTERDAM LEDWO MIGA im w przelocie, kiedy schodzą ze statku i udają się na dworzec kolejowy. Thornley zajmuje się bagażem, a Bram i Vámbéry doglądają wyładunku trzech drewnianych skrzyń oraz kufra, będących w ich posiadaniu. Podchodzi do nich celnik, ale po krótkiej rozmowie z Vámbérem i przyjęciu pewnej sumy daje im ręką znać, że mogą przejść. Bram załatwia powóz, który zabiera skrzynie i kufry na stację, gdzie trafiają do jednego z wielu wagonów towarowych. Kiedy ładunek niknie w mrocznych czeluściach pociągu, Bram mimowolnie zastanawia się, kto jest w każdej z nieoznaczonych skrzyń.

Przed upływem godziny od przybycia do Amsterdamu ruszają w dalszą drogę. Pociąg nabiera prędkości i kieruje się do Rotterdamu, Düsseldorfu i Frankfurtu. Gdy tylko zegar wybija jedenastą przed południem, docierają do Monachium. Matylda, Vámbéry i Thornley śpieszą do hotelu Quatre Saisons, w którym czekają już na nich pokoje. Wkrótce dołącza do nich Bram, który postanowił zabrać się razem ze skrzyniami i kufrem. Kiedy ciężki powóz toczy się po brukowanych ulicach, Bram kładzie rękę na każdej ze skrzyń i zamyka oczy, aż udaje mu się określić, w której jest Ellen.

Dotarwszy na miejsce, zastaje Vámbéryego czekającego przed hotelem.

– Umówiłem transport, co wcale nie było łatwe, bo nikt nie chce zapuszczać się w tamte okolice. Wszyscy od małego nasłuchali się o zmarłych nawiedzających tamte zakątki i nie chcą mieć z tym nic wspólnego. Mówią, że w noc Walpurgi krzyki stamtąd dochodzą aż tutaj. *Maître d’hôtel* skierował mnie

do pewnego dżentelmena z dublińskiego sierocińca i domu samotnej matki Bethany Home, który zechciał wynająć nam odpowiedni powóz zaprzężony w szóstkę koni, nie zapewnił jednak woźnicy. Powiedział, że nawet gdyby chciał, nikt by się nie zgodził. Będziemy musieli sami dać sobie radę.

Bram kiwa głową; tego się właśnie spodziewał.

– A oto i on.

Obok pierwszego pojazdu zatrzymuje się sześciokonny odkryty wóz. Na koźle siedzi korpulentny mężczyzna z gęstą siwą brodą. Zwierzęta lata świetności mają już za sobą, zapadnięte grzbiety i wystające łopatki aż za dobrze zdradzają ich wiek; oczy koni z tyłu zaprzęgu pokrywa bielmo świadczące o częściowej ślepcie, a jednak cała szóstka jest pełna wigoru i entuzjazmu w związku z czekającym je zadaniem.

Bram i Vámbéry spoglądają na siebie, ale nic nie mówią.

Przybysz zsiada z kozła, podchodzi do nich, powłócząc nogami, zdejmuje kapelusz i drapie się po resztkach białych włosów.

– Wiem, że wyglądają nieszczególnie, ale są silne i dobrze ujeżdżone. Nie będą sprawiać panom kłopotów. Niektóre z młodszych wierzchowców boją się tamtych okolic tak samo jak moi ludzie. W zeszłym roku mój syn próbował dotrzeć tam na jednym z nich, ale rumak zawrócił w pół drogi i pogalopował wprost do domu. Nie zauważył nawet, że prawie zrzucił z siebie chłopaka, a zatrzymał się dopiero u drzwi do stajni.

Bram zauważa głośno, że mężczyzna bardzo dobrze mówi po angielsku, choć z wyraźnym akcentem.

– Chodziłem do szkoły w Nowym Jorku – tłumaczy woźnica – i wróciłem, kiedy mój ojciec zapadł na zdrowiu. To było trzydzieści lat temu. Zawsze chciałem wrócić do Ameryki, ale nigdy nie miałem czasu.

– Co może nam pan powiedzieć o miejscu, do którego się udajemy? – pyta Bram.

Mężczyzna żegna się znakiem krzyża.

– To chyba była czarna śmierć. Wybiła całą wioskę. Błyskawicznie. Większość mieszkańców zachorowała, reszta uciekła. Z tego, co słyszałem, na stołach w niektórych domach wciąż stoi srebrna zastawa i sztucce przygotowane na obiad. Jest tam cmentarz, ale skończyło się na nim miejsce. Ostatni, którzy utrzymali się przy życiu, uciekali się do grzebania zmarłych na każdym dostępnym skrawku ziemi. Nie mam pewności, dlaczego ich nie palili; o ile się nie mylę, tak właśnie radzono sobie z zarazą na innych terenach.

Vámbéry wręczył pracownikom hotelu sowity napiwek i polecił im przenieść skrzynie i kufer na wóz.

– Kiedy mam spodziewać się państwa z powrotem? – pyta mężczyzna, przyglądając się ładunkowi.

– Przed zapadnięciem zmierzchu, miejmy nadzieję.

Wszyscy zdają się świadomi, że to kłamstwo, ale nikt nic nie mówi.

Mężczyzna głaszcze najbliższego konia po karku.

– Są nakarmione i napojone. Jeśli którykolwiek będzie sprawiał kłopoty, to najprędzej ten młody wałach. Tu w środku zaprzęgu powinno mu być dobrze – podsumowuje mężczyzna i oddala się tą samą drogą, którą przybył.

W drzwiach hotelu stają Matylda i Thornley, po czym cała czwórka wsiada na wóz: Bram i Vámbéry zajmują miejsca z tyłu, obok ładunku, a Thornley bierze lejce.

SZEŚĆ GODZIN DO ZMIERZCHU

Kiedy odjeżdżają spod hotelu, słońce jasno świeci, ale gdy tylko zostawiają miasteczko za sobą, daje o sobie znać zimny, północny wiatr. Błękit nieba znika za gęstymi, szarymi chmurami, a powietrze wypełnia wilgoć nadchodzącej burzy. Bram opuszcza wzrok na skrzynie, kładzie dłoń na drewnie i zamyka oczy. Kiedy lokalizuje Ellen, wędruje do niej myślami, a ona zapewnia go, że jadą we właściwym kierunku.

Dojeżdżają do skrzyżowania, a Vámbéry prosi Thornleya, by zatrzymał wóz.

Gdy Thornley ściąga lejce, zwierzęta posłusznie stają: tylna i środkowa para hamują przednie konie, które najchętniej nadal biegłyby do przodu.

Vámbéry zsiada z wozu, odciążając słabszą nogę, podchodzi do kępki cyprysów i wyrywa trochę chwastów kwitnących wokół pni drzew.

– Tutaj! – woła, natrafiwszy na coś rękami.

Bram również zsiada i podchodzi do niego. Vámbéry znalazł drewniany krzyżyk, niegdyś pokryty białą farbą, ale teraz zbrązowiały i rozlatujący się.

– Grób?

– Niemcy chowają samobójców na rozstajach dróg.

Bram zastanawia się przez chwilę, po czym sięga na wóz po łopatę.

Vámbéry kładzie mu rękę na przedramieniu.

– Ziemia jest tu nieporuszona, nic się tu nie działo.

Bram strąca jego dłoń i wbija czubek szpadla w glebę.

– Grób O’Cuiva wyglądał podobnie, zdawał się nietknięty, a proszę, cośmy tam znaleźli.

– To samo było z grobem w opactwie Whitby – dodaje Matylda.

Bram nie przestaje kopać.

– Ma to sens. Samobójców nigdy nie chowa się w poświęconej ziemi, a ich grobami nikt nie interesuje się przez setki lat. Dla nieumarłych stanowią one idealne schronienie, a nawet miejsca spoczynku w trakcie podróży. Sam pan mówił, że te istoty potrafią zmienić się w mgłę. Czemu nie miałyby się chować w takich miejscach?

Czubek łopaty natrafia na coś i obaj mężczyźni wymieniają spojrzenia, padają na ziemię i zaczynają kopać rękami.

Trumna jest w jeszcze gorszym stanie niż krzyż; drewno jest tak zbutwiałe, że dłoń Brama przebija wieko na wylot, a on z ulgą stwierdza, że w środku nie ma ciała.

– Jest tam coś? – pyta Vámbéry.

Bram trzyma rękę po pachę w trumnie i bada jej wnętrze palcami.

– Nie, nic, to pewnie... Chwila, chyba coś mam.

Wyciąga ramię z grobu. W zaciśniętej dłoni trzyma kopertę opieczętowaną czerwonym woskiem. Bram strząsa z niej kurz i podnosi.

– Adresowane do was – zauważa pod nosem Vámbéry.

Thornley i Matyllda zsiadają z wozu i podchodzą do Brama, który rozdziera kopertę i rozkłada pojedynczą kartkę wyjętą z jej wnętrza:

Witam w tej wspaniałej krainie. Sprowadźcie ich do mnie. Sprowadźcie ich wszystkich do mnie.

– D

* * *

BRAM ZGNIATA LIST W kulkę i ciska ją w krzaki.

– On się z nami droczy, próbuje nas spowolnić.

Z oddali dobiega ich wycie wilka, któremu zaraz odpowiada kolejny. Konie nerwowo przestępują z nogi na nogę.

– Powinniśmy jechać dalej – zauważa Thornley.

Bram szybko zasypuje grób i cała czwórka wsiada na wóz. Thornley popędza konie, które niechętnie robią, co każe, i biegną nieco wolniej niż poprzednio.

Nadciągają czarne chmury, niosąc ze sobą wiatr zimny jak lód, po czym znów pojawia się słońce i przegania je. Bram obawia się jednak, że burza może zwyciężyć, ponieważ z każdym natarciem chmur światło staje się słabsze. Zdaje się, jakby to Dracul je przyzywał, by wraz z grzmotami i błyskawicami robiły za świadków tego, co ma nastąpić.

Thornley przyśpiesza.

Co jakiś czas konie zadzierają głowy i węszą za czymś w powietrzu, ale biegną dalej, nie zatrzymując się. Rzeka Izara płynie na zachód, tam, gdzie ziemia usiana jest słodkimi kasztanami. Przy innej okazji konie może stanęłyby i pożywiły się nimi, lecz dzisiaj nie wykazują większego zainteresowania. Zamiast tego brną naprzód, a kasztany pękają pod naciskiem podków i kół. Dopiero kiedy pozwoli się im przystanąć, grzebią kopytami w ziemi.

Po przejechaniu małego kamiennego mostu wóz niezdarnie pnie się pod górę coraz węższą drogą. Na szczycie wzgórza Thornley ściąga lejce i zaprzęg staje.

– Teraz mamy jechać tamtędy?

Wskazuje na ścieżkę odbijającą od głównego szlaku i schodzącą w dół krętej dolinki, której dno przesłonięte jest przez las.

Bram ponownie kładzie rękę na skrzyni Ellen. Chwilę później kiwa głową.

– Już niedaleko.

Thornley kieruje wóz na wąską dróżkę i rusza naprzód.

– Tam ktoś jest, widzicie? – pyta Matylda, przerywając ciszę niemal po godzinie. – Tam w dole, niedaleko grzbietu tego wzgórza. Jakiś człowiek?

– Czy to Dracul? – zastanawia się Vámbéry, mrużąc oczy.

Bram kręci głową.

– Nie, nigdy przedtem go nie widziałem.

Mężczyzna ma na sobie kapelusz kowbojski i białą koszulę wpuszczoną w brudne, luźne jasne spodnie, a do tego szeroki pas nabijany mosiężnymi ćwiekami. Czarne buty sięgają mu prawie do kolan. Jego twarz dzielią na dwie połowy gęste wąsy, równie czarne co jego długie włosy.

Brama zaczyna swędzieć ramię. Wyciąga dłoń i kładzie ją na skrzyni Ellen.

– Co się dzieje? – pyta Matylda.

– On nie jest sam. Myślę, że śledzą nas od jakiegoś czasu. Będzie ich z tuzin, może więcej.

Vámbéry sięga do torby leżącej u jego stóp i zaciska rękę na karabinie, ale go nie wyjmuje.

Bram zamyka oczy i wsłuchuje się myślami w Ellen.

– Tylko patrzą. Raczej nie mają zamiaru nas skrzywdzić.

– Nie wyglądają na miejscowych – zauważa Vámbéry.

– Nie sądzę, żeby byli stąd.

– Czy to nieumarli? – zastanawia się Matylda.

Vámbéry potrząsa głową.

– Nie, skoro chodzą w świetle dziennym.

Kiedy Bram otwiera oczy, nie dostrzega nieznajomego, bo ten zniknął już w lesie. Ale Bram wciąż czuje jego obecność; jego i pozostałych.

Przez kolejne godziny jadą w milczeniu, cyprysy i cisy gęstnieją z każdym metrem. Wysokie, bujne stare drzewa kołyszą się na wietrze, coraz silniejszym, przykrym, zapowiadającym burzę – burzę powolną, która zamiast przechodzić nad głowami podróżnych, zdaje się za nimi podążać.

– Jesteśmy coraz bliżej – mówi Vámbéry i pokazuje na ziemię. Bram wychyla się z wozu i widzi pozostałości kamiennych fundamentów starego budynku, który już dawno pochłonęły żywioły. Kilkadziesiąt metrów dalej stoi kolejna budowla, ale mniejszych rozmiarów.

Wóz przejeżdża obok miejsca, w którym widzieli przedtem nieznajomego, ale nie ma już po nim śladu. Ani odcisków stóp, ani zdeptanych zarośli, zupełnie nic.

Znów rozlega się wycie wilka, jednak tym razem ze znacznie mniejszej odległości. Konie szarpia i cofają się, ale Thornley odzywa się do nich łagodnym głosem i zwierzęta się uspokajają.

Drogą wijącą się pośród drzew wkrótce docierają do niskiego kamiennego muru i jadą wzdłuż niego aż na dno doliny.

Wyrastają przed nimi pozostałości osady, po czym giną za zakrętem i znów wyłaniają się zza szpaleru wysokich cyprysów. W myślach Brama pojawia się imię Dreptu, prawdopodobnie za sprawą Ellen. Bram wie, że to nie jest niemieckie słowo ani nazwa tej miejscowości, a jednak pojawiło się w jego głowie.

Pośrodku czegoś, co prawdopodobnie było centralnym placem wioski, stoi czarny powóz zaprzężony w cztery konie o sierści czarnej jak węgiel.

TRZY GODZINY DO ZMIERZCHU

– Czy to jego? – pyta Matylda, wpatrzona w czarny pojazd stojący w otoczeniu cichych ruin osady.

– Gdzie jest woźnica? – dziwi się Bram. Ani widu, ani słyhu tego, kto przyprowadził tu powóz. Jego okna przesłonięte są czarnym aksamitem nieprzepuszczającym światła – Bram nie może zajrzeć do środka. Być może on tam jest, a może jest gdziekolwiek indziej we wsi. Może właśnie ich obserwuje.

– Na ziemi ktoś leży – zauważa Thornley, schodząc z kozła. Za nim zsiadają Vámbéry i Bram.

Zarośla wokół powozu są wysokie i w pierwszej chwili Bram nikogo nie widzi. Potem wreszcie dostrzega ciało leżące obok prawego przedniego koła. Bez ruchu. Bram rusza w kierunku pojazdu.

Vámbéry łapie go za ramię.

– Chwilę!

Wyjmuje z torby karabin i trzy drewniane kołki o zaostrzonych końcach. Jeden podaje Bramowi, drugi Thornleyowi, a trzeci zatrzymuje dla siebie.

– Widzę co najmniej trzy inne trupy – informuje Matylda, stojąc na tyle wozu. – Dwa za powozem i nogi trzeciego po drugiej stronie.

Bram wciąga powietrze, by upewnić się, że leżące w pobliżu ciała rzeczywiście są martwe.

W towarzystwie pozostałych dwóch mężczyzn dociera przez plac do powozu. Znowu próbuje zajrzeć do jego wnętrza, ale zasłonki w oknach są nie tylko zaciągnięte, ale wręcz przybite do framug. Bram nie potrafi stwierdzić, czy ktoś kryje się w środku.

Trup obok powozu ubrany jest tak samo jak mężczyzna, którego widzieli po drodze. Oczy i usta ma otwarte, zastygłe w grymasie najwyższego przerażenia. Na szyi ma niewielką ranę pokrytą lepką zasychającą krwią.

– To stało się niedawno – ocenia Bram. – Góra kilka godzin temu.

Vámbéry kręci głową.

– To niemożliwe. *Strigoi* nie polują za dnia; mają wtedy za mało siły. Spójrzcie, jaki ten człowiek był potężny. W sytuacji zagrożenia życia z łatwością obezwładniłby nieumarłego. Dracul nigdy nie zaryzykowałby takiej konfrontacji.

Thornley przykłęka obok dwóch następnych ciał za powozem.

– Z tą dwójką to samo, z obu wyssano krew. Ich zwłoki są jeszcze ciepłe.

Bram ogląda czwartego trupa, przesuwa palcami po dwóch małych nakłuciach na jego szyi.

– A co, jeśli zginęli z własnej woli?

– Co pan ma na myśli? – docieka Vámbéry, marszcząc brwi.

– Może sami oddali się Draculowi, pozwolili mu wypić swoją krew, żeby miał siłę na to, co ma nastąpić? Dracul wie, że podróżujemy z trojgiem nieumarłych.

– Jeżeli się pożywił – mówi cicho Vámbéry – to zyskał przewagę.

Bram pokiwał głową.

– A co z tym, którego spotkaliśmy po drodze? – zastanawia się Thornley. – Czy także jest jednym z nich? A jeśli tak, to ilu żywych Dracul ma do dyspozycji?

Bram zaciska dłoń na drewnianym kołku i podchodzi do drzwi powozu.

– Nie!

Ale Bram ani myśli się zatrzymać. Chociaż drzwi są zamknięte na klucz, naciska klamkę z taką siłą, że metal pęka z trzaskiem. Szarpnięciem otwiera drzwi na oścież i wewnątrz zalewa światło.

Vámbéry w mig zjawia się u jego boku z wysoko uniesionym kołkiem i karabinem zawieszonym na ramieniu.

Pojazd jest pusty.

Czarne konie reagują na intruzów rżeniem i gwałtownie szarpią powozem, który przednim kołem przejeżdża po ramieniu jednego z zabitych, po czym znowu się zatrzymuje.

Bram lustruje wnętrze; zaczyna go swędzieć ramię.

On tu był.

Dracul jest blisko, nawet w tej chwili.

Ale jak to możliwe?

Bram patrzy w górę na groźne chmury, które zasnuwają niebo i przesłaniają słońce.

– Czy to wystarczy, żeby go ochronić?

Vámbéry waży jego słowa.

– Nie zaryzykowałyby pozostawania na wolnym powietrzu przez zbyt długi czas. Ale burza może pomóc mu się ukryć i odwrócić naszą uwagę.

– A więc jeśli przyjechał tu za dnia, może kilka godzin przed nami, to nie miał po co siedzieć w powozie na widoku, bo to byłoby samobójstwo. Pewnie znalazł sobie jakieś miejsce, żeby przeczekać tam do zmierzchu – mówi Bram, przyglądając się resztkom zabudowań wioski.

Vámbéry natomiast skupił uwagę na cmentarzu za ruinami.

– Grób, w którym odpoczywa, musi być świeży, ponieważ został w nim zakopany w ciągu dnia. A wiemy skądinąd, że ma tu ludzi gotowych wykonać za niego tę robotę.

Thornley obchodzi powóz.

– Musimy znaleźć go i zabić, dopóki możemy. Mówiłeś, że to jedyny sposób ocalenia Emily. Przebić mu serce kołkiem, a wtedy nie będzie miał już nad nią władzy.

– Może on tego właśnie chce – zaproponował Bram. – Nie powinniśmy szukać Dracula, tylko serca Deaglana O’Cuiva. Do zachodu słońca pozostały nam niecałe trzy godziny. To niewiele.

– Mnie zależy tylko na tym, żeby ocalić moją żonę – stwierdził Thornley. – Kiedy zabijemy Dracula, Emily zostanie ocalona, a my będziemy mieli pod dostatkiem czasu na szukanie serca Deaglana.

Vámbéry kręci głową.

– Jeśli naprawdę chcemy ocalić Deaglana O’Cuiva, to nie zadziała. Gdy zgładzimy Dracula, Deaglan stanie się zwykłym człowiekiem. Jeśli dojdzie do tego, zanim złożymy go w całość, a w jego piersi na powrót zabije serce, będzie to dla niego oznaczało śmierć.

– Spróbujmy zrobić obie rzeczy za jednym zamachem – proponuje Bram. – Szukajmy jednego, rozglądając się jednocześnie za sercem drugiego. A kiedy nadarzy się okazja, przeszyjemy Dracula kołkiem. Nie mamy wyboru.

Thornley i Bram ruszyli w kierunku wozu. Vámbéry uklęknął przy jednym z ciał.

– Co pan robi?

Vámbéry wyciąga z pochwy zawieszanej u pasa zakrzywiony nóż i zaczyna odrzynać głowę trupa.

– Arminiusie!

– Jeśli nie odetniemy im głów, z nadejściem nocy mogą przemienić się w *strigoi*. A wtedy bez wątpienia będą mieli przewagę liczebną. To jedyny sposób na ocalenie ich dusz. Jeśli mamy się pośpieszyć, musicie mi pomóc.

Bram patrzy na Thornleya. Prośba Vámbéryego wydaje się niezwykła, ale nie mogą sobie pozwolić na ryzyko, że tych czterech zmarłych zamieni się w *strigoi*. Obaj bracia robią to, o co ich poproszono. Vámbéry wypełnia usta odciętych głów czosnkiem i wtacza je pod powóz.

Po powrocie do swojego zaprzęgu uważnie przyglądają się niszczącym pozostałościom osady.

– Od czego mamy zacząć?

Bram wdrapuje się na tył wozu.

– Musimy obudzić Ellen.

DWIE I PÓŁ GODZINY DO ZMIERZCHU

Bram wsiada na wóz i zdejmuje brezentową plandekę zakrywającą trumnę, w której odpoczywa Ellen.

– Podaj mi młotek.

Thornley grzebie w jednej z toreb, wyciąga narzędzie i wręcza je bratu.

– Miejcie oko na drzewa. Nie wiemy, ilu ludzi Dracul tutaj ma ani gdzie się chowają, ale jestem pewien, że są w pobliżu – mówi Vámbéry ze sniderem-enfieldem w pełnej gotowości.

Bram podważa młotkiem wieko i ciągnie. Gwoździe ustępują z przejmującym skrzypnięciem. Bram powtarza tę samą operację ze wszystkich stron trumny, odkłada narzędzie i odsuwa pokrywę na bok. Twarz Ellen skrywa się pod

warstewką ziemi, a ciało spoczywa głębiej w skrzyni. Bram odgarnia ziemię z powiek i bladych policzków kobiety, po czym cicho wymawia jej imię.

Ellen nagle otwiera oczy; są czerwone, a jej spojrzenie świdrujące. Do Brama wraca wspomnienie z dzieciństwa: *Ciekawe, jakiego koloru będą dzisiaj...*

Wszyscy bez słowa patrzą, jak Ellen siada, a grudki ziemi spadają na boki. Patrzy na niebo i zauważa, że jeszcze nie zapadła noc, po czym naciąga na głowę kaptur płaszcza, by ochronić się przed zachodzącym słońcem.

– Czy mamy obudzić pozostałych? – pyta Bram, spoglądając na pozostałe dwie skrzynie.

– Nie, muszą odpocząć – odpowiada Ellen. Jest słaba i cała drży.

– Dasz radę?

Ellen powoli orientuje się w sytuacji, przesuając wzrokiem po otoczeniu. Nieruchomieje na widok powozu i otaczających go zwłok.

Bram wyjaśnia, że pojazd jest pusty, i mówi, co znaleźli.

– Dobrze, że mnie obudziliście. Mamy niedużo czasu. – Wychodzi z trumny, rozsypując więcej ziemi, łapie Brama za rękę, żeby nie stracić równowagi, i zsiada z wozu.

Prostuje się, wciąga powietrze nosem i wiedzie wzrokiem w stronę lasu.

– Patrzy na nas wiele par oczu.

– Ilu ich jest? – pyta Vámbéry.

– Kilkunastu, może więcej.

Ellen przygląda się zniszczonej wiosce. Zatrzymuje spojrzenie na domu kilkadziesiąt jardów po lewej. Brak mu połowy dachu, ale ściany nadal stoją.

– Przynieście tu Deaglana.

Zanim Bram zdąży zapytać po co, Ellen oddała się w kierunku domu i znika w jego wnętrzu.

Matylda schodzi z wozu i podąża w jej ślady, podczas gdy Thornley i Bram zdejmują kufer zawierający szczątki Deaglana O’Cuiva, kładą na nim swoje skórzane torby i dźwigają wszystko do budynku.

W środku Ellen oczyszcza z naczyń stół zastawiony do dawno zapomnianego posiłku.

– Postawcie kufer tutaj – prosi, wskazując na podłogę obok stołu.

Bram i Thornley spełniają jej życzenie, Ellen klęka przed kufrem i ostrożnie otwiera zapięcia. Unosi wieko i z wnętrza patrzą na nich nieruchome oczy przyprószone ziemią.

Delikatnie, jak matka biorąca na ręce swoje nowo narodzone dziecko, Ellen wyjmuje szczątki ukochanego ciała, kawałek po kawałku, i rozkłada je na stole.

Zaczyna od głowy, potem korpus, a następnie obie ręce i nogi. Bram i pozostali przypatrują się temu wszystkiemu w milczeniu. Oczy Ellen wilgotnieją od karmazynowych łez, kiedy kolejne elementy, niegdyś rozsiane po kontynencie, powoli składają się w całość.

Bram nie może się oprzeć i patrzy na miejsca, w których ciało mężczyzny zostało rozerwane. Poszarpane rany na ramionach, udach i szyi. Na pustą jamę ziejącą w piersi, w którą Dracul wbił dłoń i wyrwał serce. Bram nie umie sobie wyobrazić bólu, jaki musiał wiązać się z takim okrucieństwem. A świadomość, że ten biedak odczuwa to cierpienie po dziś dzień, nawet setki lat później, wymyka się jego pojmowaniu.

Ellen pochyła się nad pokierszowanymi szczątkami mężczyzny i delikatnie całuje go w usta.

– Już niedługo, kochany. Niedługo znów wezmę cię w ramiona.

DWIE GODZINY DO ZMIERZCHU

– Ktoś musi z nim zostać – mówi Ellen i zakrywa ciało plandeką z wozu. – Nie jest bezpieczny, kiedy wokół czają się ludzie Dracula.

– Muszę znaleźć Emily – oznajmia Thornley, obserwując z okna przybierającą na sile burzę. – I co z Patrickiem i Maggie? – pyta. – Wciąż są na wozie.

– Ich też tutaj przynieście – poleca Ellen.

Thornley kiwa na Vámbéryego, a ten niechętnie idzie razem z nim.

Bram zwraca się do siostry:

– Musisz zostać tutaj z Vámbérym.

– Ani myślę.

Ellen kręci głową.

– Nie ufam temu człowiekowi na tyle, by zostawić ich z nim samych.

– Muszę pójść z Ellen, a Thornley nigdy nie zgodzi się tu zostać, a więc w grę wchodzi tylko wasza dwójka – wyjaśnia Matyldzie Bram. – Zrób to dla mnie i przypilnuj O’Cuivów, proszę.

– Gdy tylko zostaną sam na sam, Vámbéry spróbuje ich zabić – upiera się Ellen.

– Nie sądzę. A już na pewno nie w towarzystwie Matyldy.

Matylda niepewnie kiwa głową.

– Bram ma rację. W końcu to tylko mężczyzna. Mogę na niego wpłynąć urokiem, a w ostateczności siłą.

Bram podchodzi do jednej z toreb i wyciąga rewolwer Webleya, sprawdza, czy jest naładowany, i podaje go Matyldzie.

– W razie trudności oddaj strzał, a my zjawimy się biegiem.

Vámbéry i Thornley wracają z pierwszą skrzynią, a następnie przynoszą kolejną i ustawiają obie w kącie.

– Jeśli ludzie Dracula rzeczywiście tu są – mówi Vámbéry – to nie zdradzają się ze swoją obecnością.

– Owszem, są – zapewnia Bram, który tak samo jak Ellen wyczuwa ich wzrok wpatrzony w budynek.

Bram prosi Vámbéryego, żeby został na miejscu, a ten daje się wreszcie namówić. Próbuje oddać swój karabin Bramowi, który jednak odmawia, tłumacząc, że ma swój kozik oraz kołek.

Vámbéry wręcza Thornleyowi zakrzywiony nóż, którym pozbawił głów mężczyzn leżących na zewnątrz, i torebkę czosnku.

– Szukajcie świeżego grobu; tam będzie odpoczywał. Przyjechał tu, kiedy świeciło słońce, więc nie mógł zamienić się w mgłę, aby przeniknąć w głąb

ziemi. Jestem tego pewien. Jeśli go znajdziecie, musicie przebić mu serce drewnianym kołkiem, oddzielić głowę od ciała i włożyć czosnek do ust, tak jak zrobiliśmy poprzednio.

GODZINA I TRZY KWADRANSE DO ZMIERZCHU

Bram, Ellen i Thornley wychodzą z domu i wracają na plac. Choć słońce schowało się za gęstymi chmurami, Ellen wygląda na słabą. Jej skóra przybrała szarawy odcień, oczy są zamglone, ich jasną czerwień z chwili tuż po przebudzeniu zastąpił matowy granat. Kobieta znowu naciąga kaptur płaszcza na głowę i znika w mroku.

Bram wyczuwa obecność ludzi zaczajonych wśród drzew i w ruinach, ale ich nie widzi. Nie pokażą się, dopóki nie będą chcieli, ale na pewno są tutaj, wszędzie dookoła. Bram szybko uświadamia sobie, że ich zadaniem jest wyłącznie obserwacja – przynajmniej na razie. Gdyby chcieli zaatakować, na pewno już by to zrobili. Jeszcze nie da się orzec, czy rzeczywiście są bezwolnymi sługami Dracula.

Ellen zatrzymuje się ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Bram patrzy w dół i rozumie powód jej zachowania. Pod chwastami, wśród liści i poskręcanej winorośli, leży masa połamanych i roztrzaskanych krucyfiksów.

– Nie przeszkadza ci, że na nich stoisz?

– To miejsce jest niepoświęcone, cały ten obszar – wyjaśnia Ellen. – Groby pochowanych tu ludzi ani ich szczątki nigdy nie zostały pobłogosławione.

– To są groby? – upewnia się Thornley.

Ellen kiwa głową.

– Po tym, jak ukrył tu serce mojego ukochanego, Dracul wymordował wszystkich mieszkańców wioski. Rzucił klątwę na tę ziemię. Nieliczni ocaleni pochowali zmarłych i odeszli stąd. Pozwolili temu miejscu zniszczyć i popaść w zapomnienie.

– A więc to nie zaraza – mówi cicho Thornley.

– Nigdy nie było żadnej zarazy. Po prostu ludzie wierzą tylko w to, co potrafią zrozumieć.

Thornley wodzi wzrokiem po placu, przestrzeniach między budynkami i poza granicą wioski. Bram wie, o czym myśli jego brat, bo sam zauważył to samo. Krzyże są wszędzie; podobnie jak ciała.

– Jakim cudem mamy trafić na właściwy grób?

– Pierwotny cmentarz jest tam, za wzgórzem – tłumaczy Ellen, pokazując na lewo. – Pewnie tam ukrył serce, przed zabiciem tych wszystkich ludzi, a nie tutaj.

Maszerują przez wioskę i wchodzą na pagórek. Ze szczytu dostrzegają dużą budowlę – wielki marmurowy grobowiec otoczony dziesiątkami mniejszych nagrobków z kamienia.

MATYLDA



GODZINA I KWADRANS DO ZMIERZCHU

– Nie rozumiem... Dlaczego ona wypakowała ciało? – pyta Vámbéry, wpatrując się w plandekę zakrywającą stół. – Czy nie byłoby sensowniej odzyskać serce i jak najszybciej się stąd zabrać? Byle dalej od Dracula, w jakieś bezpieczne miejsce, i tam poskładać go do kupy?

Matyllda otwiera usta, żeby zaproponować, ale nic nie mówi.

Vámbéry ciągnie dalej.

– Nawet jeśli się uda, a mam co do tego wątpliwości, to można tego dokonać wyłącznie po zmroku i najprawdopodobniej trzeba dysponować dużą ilością krwi. Czy nie zastanawiała się pani, skąd Ellen zamierza ją wziąć? Jakkolwiek by na to patrzeć, jedyne pewne źródła krwi, jakimi dysponuje, to pani i ja oraz pani bracia.

– Nie zrobi nam nic złego. Nigdy by nas nie skrzywdziła.

– Czyżby? Nawet po to, żeby ratować mężczyznę, którego kocha? I to kocha od setek lat? Podczas gdy waszą rodzinę zna od jakichś dwudziestu? – powątpiewa Vámbéry, bawiąc się laską z ukrytą w niej szpadą. Odkręca uchwyt i obnaża srebrne ostrze. – Powinniśmy zabić ich wszystkich i zostawić tutaj, a po Dracula wrócić przy innej okazji. – Puka czubkiem ostrza o skrzynię Maggie O’Cuiv.

– Proszę to zabrać – mówi Matyllda.

Vámbéry nie zwraca na nią uwagi.

– O ile się nie mylę, naraziła życie nas wszystkich, żeby ocalić jedyne, na czym jej zależy.

Matylda podskakuje na dźwięk grzmotu dobiegający z zewnątrz.

Vámbéry wygląda przez dziurę w dachu.

– Jeśli wyjedziemy teraz, może uda się nam zdążyć do Monachium przed burzą. Moglibyśmy wrócić jutro i mieć cały dzień na poszukiwania. Jeśli w ogóle nadal chcecie jej pomagać, ma się rozumieć.

– Dotarcie tu zajęło nam większość dnia. Jeżeli wyjedziemy w tym momencie, Dracul weźmie serce i Emily i ukryje ich gdzie indziej. Daleko stąd. Nigdy więcej nie da nam podejść tak blisko. Musimy zakończyć to dziś wieczorem.

Vámbéry ponownie uderza ostrzem o trumnę Maggie.

– Góra za godzinę ta dwójka się przebudzi, a my nie będziemy mieli szans przeciw całej trójce. A właściwie czwórce, jeśli liczyć Deaglana O’Cuiva. Jeśli położymy temu kres, dopóki śpią, ich dusze odnajdą spokój. Zdejmiemy z nich tę klątwę.

Matylda zaciska dłoń na rewolwerze.

Vámbéry robi wielkie oczy.

– Chce mnie pani zastrzelić? Ja tylko próbuję być głosem rozsądku. Takie decyzje trzeba podejmować na podstawie faktów, a nie pod wpływem emocji.

Matylda przeciska się obok niego i podchodzi do okna.

– Cicho – rzuca. – Coś słyszałam.

BRAM



GODZINA I DZIESIĘĆ MINUT DO ZMIERZCHU

Marmurowy grobowiec jest równie biały co mgła, która spowija zatokę Clontarf, a cała ta budowla ani trochę nie pasuje do tego miejsca. Nad ziemię wystaje zaledwie kilkanaście pomników; pozostałe to tradycyjne ziemne mogiły – ich nadszarpnięte zębem czasu nagrobki sterczą pod różnymi kątami, pochylając się w tę czy inną stronę.

Ellen schodzi ze wzgórza i bez żadnych przeszkód wchodzi na cmentarz. Nawet jeśli ta ziemia była kiedyś poświęcona, to już taka nie jest. Kobieta dociera do mauzoleum i czyta epitafium umieszczone nad wejściem:

HRABINA DOLINGEN VON GRATZ

W STYRII

SZUKAŁA ŚMIERCI I ZNALAZŁA JĄ

W 1801

Te słowa zostały wyryte niedawno. Bram pamięta, że Dracul określał Ellen jako hrabinę Dolingen, reszta jednak wydaje mu się niejasna.

– Gratz to stolica Dolnej Styrii – mówi cicho Ellen, bo zna myśli Brama. – Człowiek, którego byłam zmuszona poślubić, ten sam, który zostawił mnie na pewną śmierć w wieży, pochodził z Gratzu. Był taki zwyczaj, że po ślubie

kobieta nie tylko przyjmowała nazwisko męża, ale też dodawała do niego nazwę miejscowości, która była jego domem.

– A co z rokiem? – dopytuje Thornley.

– To rok, w którym zaczęłam planować ucieczkę z zamku Dracula. – Przerywa na chwilę, po czym dodaje z powagą: – Wiedział od samego początku.

Pod inskrypcją są wielkie drzwi z brązu. Nie mają zawiasów ani zamków i nie ustępują pod naciskiem Brama.

Thornley obchodzi grobowiec i woła ich na tyły budowli. Kiedy Bram i Ellen wyłaniają się zza rogu, Thornley pokazuje palcem na jakiś napis cyrylicą wysoko na murze:

Мертвые путешествуют быстро

– Co tam jest napisane?

Chociaż Bram nie umie przeczytać tych słów, jest świadom, że Ellen potrafi. Z początku kobieta milczy, aż wreszcie odpowiada z wahaniem w głosie:

– Martwi podróżują szybko.

Bram spojrzał na nią zdezorientowany.

– Co to w ogóle za miejsce?

– Tu zmarli przychodzą, by odejść w niepamięć, mój drogi. Tu zmarli naprawdę umierają.

Wtem następuje oberwanie chmury i zalewa ich rzęsisty deszcz.

I właśnie wtedy Bram słyszy słaby krzyk Emily dobiegający gdzieś z cmentarza.

MATYLDA



GODZINA DO ZMIERZCHU

Nie tyle wyszedł z lasu, ile raczej las go z siebie wypuścił. Matyllda wpatruje się w drzewa, doskonale nieruchome drzewa, kiedy zarośla rozstępują się i ukazują mężczyznę stojącego za nimi. Matyllda już na pierwszy rzut oka wie, że to ten sam człowiek, którego widzieli przedtem przy drodze. I to nie z powodu dziwnego ubrania, nie jest aż tak wyjątkowe – trupy wokół powozu Dracula miały na sobie takie same szerokie pasy, brudnobiałe koszule i spodnie. Dziewczyna rozpoznaje go po niepokojącym spojrzeniu, które wryło się jej w pamięć.

Matyllda podnosi rewolwer i mierzy do nieznajomego, ale nie pociąga za spust. Nie może ot tak zabić człowieka, który do tej pory nic złego nie zrobił. A jednak coś jej mówi, że przybył tu, by skrzywdzić ją i tych, których kocha.

– Musiał nas śledzić – szepce jej na ucho Vámbéry.

– Wiedział, dokąd jedziemy – odpowiada Matyllda, nie spuszczając wzroku z celu. – Więc też się tu zjawił.

Nieznajomy ma u pasa nóż, ale nie zadaje sobie trudu, by po niego sięgnąć. Zamiast tego po prostu uporczywie się w nią wpatruje.

Za drzew obok niego wyłania się kolejny mężczyzna i staje jakiś metr po prawej. W jego ślad idzie trzech kolejnych. W ciągu dziesięciu minut Matyllda

i Vámbéry zostają otoczeni przez milczących obserwatorów tworzących krąg wokół domu.

Zaczyna padać ulewny deszcz, a mimo to mężczyźni nie schodzą z posterunków, nieczuli na burzę, smagający ich wiatr, błyskawice szalejące nad nimi i huk grzmotów dookoła.

– Czego chcecie? – krzyczy Vámbéry do pierwszego z nich, ale ten odpowiada mu milczeniem. Woda kaskadami spływa z rond ich kapeluszy, ścieka po nożach przywiązanych do pasów i gromadzi się pod stopami w błotnistych kałużach; krucyfiksy nikną pod nimi, a na powierzchnię wypływają zwiędłe liście.

– Wpuścili nas do tej wioski, ale nie mają najmniejszego zamiaru nas z niej wypuścić – zauważa Matylda. – Po to tu są.

Vámbéry idzie po karabin, a następnie wyciąga z torby opakowanie naboju. Wraca do okna i ładuje snidera-enfielda.

– Naliczyłam dziesiątkę, ale może być ich więcej. Ten karabin jest jednostrzałowy, ale mamy jeszcze mój rewolwer, który ma w komorze sześć pocisków. Jeśli przypuszczą atak na dom, zaczniemy strzelać, i przy założeniu, że każda kula trafi w cel, wybijemy połowę, zanim dopadną nas z tymi swoimi nożami. Nie mamy zbyt wielkich szans.

– Więc co pani proponuje?

Matylda ruchem głowy pokazuje na dwie skrzynie.

– Poczekamy do zmroku, a potem niech Patrick i Maggie się nimi zajmą.

Vámbéry zerka na swoją szpadę.

– Szkoda zachodu – ocenia Matylda. – Może unieszkodliwi pan tym jednego albo dwóch, ale zbyt mało, żeby to miało znaczenie. Musimy zachować zimną krew.

Nagle otaczający dom nieznajomi jak jeden mąż podchodzą krok bliżej.

BRAM



GODZINA DO ZMIERZCHU

– Też to słyszeliście?

Thornley i Ellen kiwają głowami.

– To stamtąd – mówi i pokazuje na miejsce naprzeciwko, w głębi cmentarza.

Przy akompaniamencie kropli uderzających o ziemię cała trójka przedziera się przez chaszczę w kierunku źródła dźwięku, starając się nie deptać nagrobków ani krzyży.

Słumiony krzyk, tym razem znacznie bliżej.

– To Emily! Jestem tego pewien! – krzyczy Thornley i gorączkowo szuka żony wzrokiem, rozgarniając zarośla.

Bram zauważa nagrobek jako pierwszy.

Jego powierzchnia jest gładka, a niegdyś kanciaste brzegi teraz są wygładzone i zaokrąglone. Ma około metra wysokości i przechyla się na lewo. Cokolwiek było na nim wyryte, dawno uległo żywiołom, zostawiając po sobie tylko niewyraźne kreski i zawijasy. Cała trójka nie wpatruje się w tę starą inskrypcję, ale w świeży napis, wielkie litery nabazgrane na kamieniu czymś, co może być tylko krwią, którą zaczyna rozmywać deszcz:

STOKER

Sam grób jest murowaną kryptą, częściowo wystającą nad ziemię, prawie niewidoczną pod dziesiątkami spiętrzonych kamieni. Bram jest pewien, że ktoś ułożył je niedawno, ponieważ nie są wyblakłe i poszarzałe, tak jak inne dookoła – część z nich wciąż pokrywa warstewka ziemi w miejscach, którymi przylegały do podłoża, zanim je tu zgromadzono i usypano z nich stos.

Na samej górze leży pojedyncza biała róża.

Po raz kolejny rozlegają się przytłumione krzyki Emily.

– Te dźwięki dobiegają spod kamieni! Z wnętrza grobu! – Thornley pada na kolana i zaczyna jeden po drugim wyciągać kamienie i odsuwać je na bok.

Bram sięga po białą różę i ostrożnie bierze ją do ręki, uważając na kolce pokrywające łodygę. Ellen robi unik, a spod jej kaptura dobiega cichy syk. Choć Bram trzyma kwiat nieruchomo, jego płatki szarzeją, a potem czernieją na brzegach. Po kolei kurczą się i skręcają, aż wreszcie rozsypują w proch. Mimo deszczu robią się całkowicie suche, a ich drobinki odczepiają się od łodygi i ulatują na wzmagającym się wietrze.

– Pomóżcie mi – mówi bez tchu Thornley.

Wypuszczona przez Brama łodyga również znika porwana przez przybierającą na sile burzę, a on klęka na ziemi i razem z bratem wyciąga kamienie ze stosu na grobie.

Ellen patrzy na kwiat zamieniający się w pył, po czym przyłącza się do towarzyszy. Chociaż słońce jest niewidoczne, jest bardzo słaba. Podnosi kamień po kamieniu i turla na bok, a krzyki Emily Stoker z każdą sekundą rozbrzmiewają głośniejsze.

Upływa prawie trzydzieści minut, zanim udaje się pozbyć wszystkich kamieni. Ostatnie trzy są tak ciężkie, że z każdym z nich bracia muszą zmagać się wspólnie. Wreszcie, sapiąc i stękając z wysiłku, usuwają ostatni głaz i ukazuje się pokrywa grobowca.

Ma kilkanaście centymetrów grubości i wykonana jest z masywnego granitu. Bram spodziewał się, że ten grób będzie wyglądał tak jak wszystkie, które ostatnio zbeczczyli, ponieważ wydawał się od wielu lat zamknięty

i nieuczęszczany. Na spoinie widać było pęknięcie, a na brzegach płyty – zadrapania. Z całą pewnością niedawno doszło tu do włamania.

– Umieścił ją tu za dnia – mówi Bram.

– Może z pomocą tych mężczyzn, którzy byli przy wozie, w każdym razie nie sam. – Ellen przejechała palcami po ciężkim kamieniu.

– Nie obchodzi mnie, jak ani kiedy ją tu pogrzebał – oznajmia Thornley. – Najważniejsze, żeby ją stąd wydostać! – Woła do swojej żony, ale ta nie odpowiada, za to z wnętrza dochodzą kolejne przejmujące okrzyki przerażenia.

Bram przyciska dłonie do krawędzi granitowej pokrywy i napiera. Przyłączają się do niego Thornley i Ellen, kamień jednak ani drgnie. Dopiero kiedy Bram siada na ziemi i pcha nogami, zapierając się plecami o drzewo, płyta ustępuje i grób staje otworem.

Krzyki Emily stają się tak przeszywające, że tylko huk gromów jest w stanie je zagłuszyć.

MATYLDA



TRZYDZIEŚCI MINUT DO ZMIERZCHU

– Przy powozie jest ich więcej. Znaleźli ciała – mówi Vambéry i spogląda przez uchylone drzwi na porośnięty trawą plac.

Matyllda przenosi na chwilę wzrok ze stojącego pod oknem mężczyzny na drzwi. Vambéry otwiera je na tyle szeroko, by mogła wyjrzeć na zewnątrz.

Dwaj nieumarli przeciągają zwłoki z powozu i układają je przed budynkiem w równym rzędku. Podnoszą ucięte głowy i umieszczają je na szyjach ciał, do których należały. Nie usuwają drewnianych kołków sterczących z poharatanych klatek piersiowych. Matyllda spodziewałaby się, że będzie dużo krwi, ale jest jej zaskakująco mało – na koszulach są tylko plamy, z którymi deszcz szybko daje sobie radę. Ciemny szkarłat zamienia się w rozwodniony róż, skapuje i cały wsiąka w spragnioną ziemię.

Z lasu wyłania się jeszcze czterech mężczyzn, którzy dołączają do tamtych dwóch i wspólnie otaczają czarny powóz i konie. Podchodzi do nich nonszalancko następny nieumarły, wyprzęga całą szóstkę zwierząt i prowadzi je w kierunku drzew.

Mężczyzn jest już w sumie siedemnastu.

Matyllda odwraca się do pierwszego z nich. On wciąż wpatruje się w nią tępym wzrokiem, a po twarzy spływa mu lodowaty deszcz.

BRAM



PÓŁ GODZINY DO ZMIERZCHU

Cięzka pokrywa grobowca odsuwa się na bok i spada na ziemię, a krzyki Emily rozbrzmiały z mocą – rozdzierające i upiorne. Leży przysypana cienką warstwą ziemi, którą Thornley odgarnia jej z twarzy.

– Ranią mnie igły i noże! – zawodzi Emily. – Igły i noże, i szpilki wchodzą w moje ciało, obdzierają mnie ze skóry!

– Nic nie widzę! – woła z rozpaczą Thornley. – Co się dzieje?

Twarz Emily jest już widoczna – Bram nigdy przedtem nie widział, żeby jej cera była tak pozbawiona koloru. Kobieta otwiera oczy, a Bram spodziewa się, że będą czerwone, ich barwa jednak to zgaszona zieleń. Emily rozbieganym wzrokiem próbuje ogarnąć całą trójkę stojących nad nią ludzi. Spory karaluch przebiega jej po twarzy i znika w fałdach jej brudnej niebieskiej sukni.

– Emily, powiedz mi: co takiego zrobił? – prosi Thornley. – Co on ci zrobił?

Do ust Emily dostała się ziemia i teraz wypływa z nich, pomieszana z czerwoną śliną, i ścieka po wargach, brodzie, po czym skapuje na...

– O mój Boże, pod nią jest drugie ciało – szepce Bram.

– Czuję, jakby wbijał we mnie igły i noże, w moją skórę, pod paznokcie, w oczy, wszędzie igły i noże!

Bram patrzy na ukazujące się pod jego bratową kości, żeby przyjrzeć się pozostałościom pierwotnego lokatora tego grobu. Ale pod tymi żałosnymi

szczątkami coś błyszczy.

Emily wciąż krzyczy o igłach i szpilkach, gdy Thornley sięga w dół i bierze ją na rękę, wyjmując z grobu. Ramiona zwisają jej bezwładnie po bokach całe w szramach i oparzeniach.

– Co on ci zrobił, kochanie? – Thornley obejmuje ją mocniej, przytula, tłumiąc jej krzyki swoją piersią.

– Tam pod kośćmi jest coś jeszcze – mówi Ellen – przysypane ziemią. – Ona również zauważyła błyski.

Bram nachyla się nad szkieletem okrytym postrzępioną tkaniną, niewątpliwie resztą ubrania, które dawno już sparciało. Ostrożnie rozsuwa ręką kości, nie spuszczać oczu ze lśniącego metalu. Odgarnia palcami czarną ziemię – to krzyż, srebrny krzyżyk, jaki zazwyczaj nosi się na szyi.

Ellen bierze głęboki wdech i odwraca się tyłem.

Bram nie przestaje kopać w ziemi i natrafia na kolejne krucyfiksy. Wyciąga kilkanaście łańcuszków.

– W tej trumnie jest ich pełno.

Skowyt Emily jest tak głośny, że niesie się echem przez całą dolinę. Odpowiada mu wycie wilka z głębi lasu. Oparzenia na jej ramionach pochodzą od krzyży, które weszły w kontakt z jej skórą.

– Igły i noże! Igły i noże! – wrzeszczy Emily.

Thornley gładzi ją po włosach, by ją uspokoić i uciszyć.

– Mam pod skórą igły i noże!

– Emily, proszę, przestań...

– Igły i noże! Igły i noże! Więc ciągnie żonkę mężuś, nieboże! Ciągnie i ciągnie, wyciągnąć nie może! – dopowiada przewrotnie i zaczyna rechotać. Podnosi twarz i zbliża ją do twarzy męża, jak gdyby chciała okazać mu czułość.

Thornley wciąga gwałtownie powietrze i odpycha Emily od siebie. Przejeżdża dłonią po szyi i widzi krew.

– Ugryzła mnie!

Na twarzy Emily widnieje uśmiech, a z kącika ust spływa cienka czerwona strużka. Wysuwa język i zlizuje krew.

– Już pora na zabawę – przekomarza się. – Zostań i pobaw się ze mną!

Jednym susem ląduje na błotnistej ziemi obok Thornleya. Wydaje z siebie wysoki, dziewczęcy chichot przyprowadzający o dreszcze, jak gdyby znała jakąś wielką tajemnicę i nie mogła się doczekać, by ją wyjawić.

Thornley przygląda się jej ze strachem, przykładając dłoń do rany na szyi. Wrywa Bramowi z ręki garść krzyżyków i wyciąga je w stronę żony.

Emily odskakuje i truchtem ucieka po błocie. Deszcz zmywa z jej twarzy resztki krwi i ziemi, a Bram dostrzega jej zęby – długie i białe, ze spiczastymi kłami.

– Ona kompletnie postradała zmysły – mówi Thornley.

– Teraz należy do niego – wyjaśnia Ellen. – Odkąd zasmakowała w ludzkiej krwi, nie ma już powrotu... Jest mi potwornie przykro, Thornleyu.

– Nie, to niemożliwe. – Thornley patrzy na swoją żonę skuloną na ziemi jak śpiące dziecko, zakrywając twarz ręką.

– Koniec igieł, koniec noży. Koniec. Koniec – powtarza raz za razem Emily. Paznokciami o ostrych końcach próbuje wytrącić Thornleyowi z ręki krzyżyki, on jednak na razie jest dla niej za szybki.

Bram widzi, że światło słabnie, a zmrok jest tuż-tuż. Z powrotem zanurza rękę w trumnie i przetrząsa jej cuchnącą zawartość. Oprócz krucyfiksów ze srebra znajduje drewniane krzyżyki; wiele z nich zbutwiało i pod jego dotykiem rozpada się na kawałeczki. Bram szuka głębiej i wyczuwa jakiś ruch – kilkanaście karaluchów wyłazi spod ziemi i wbiega mu po ramieniu. Bram strząsa je i dalej kopie.

– Co robisz? – pyta Ellen, unikając wzrokiem rozsypanych dookoła krzyży.

– Tyle krucyfiksów to za dużo jak na zwykłą ceremonię pogrzebową. Umieszczono je tu nie bez powodu. I stało się to dawno temu, setki lat przed tym, jak trafiła tu Emily.

– Wtedy, kiedy chował serce Deaglana?

Bram patrzy na nią.

– Nie rozumiesz? Te krzyże są jak tarcza. Nawet jeśli byś odkryła, że kryje się tu jego serce, nie byłabyś w stanie sięgnąć po nie do środka.

– Czy ono tu jest?

Bram napotyka palcami niewielką skrzynkę zakopaną głęboko w trumnie. Wyjmuje ją przy użyciu obu rąk. Wykonano ją z dębu czerwonego, złote zawiasy ściemniały i zmatowiały. Ostrożnie stawia skrzynkę przy grobie i majstruje przy zamku, który z początku ani drgnie, ale po kilku szarpnięciach ustępuje. Bram unosi wieczko i wszyscy troje patrzą na serce Deaglana O’Cuiva. Jest czarne i skurczone od upływu czasu, ale wciąż bije – nie więcej niż raz na minutę, ale nadal bije.

– O Boże.

– Ale dlaczego zamknął razem z nim Emily i oznaczył grób? Doprowadziło nas to do niego – zastanawia się Thornley. – Gdyby nie to, nigdy byśmy go nie znaleźli.

– Najwyraźniej chciał, żebyśmy je znaleźli – zauważa Bram.

Z domku dobiega ich odgłos wystrzału z broni.

KWADRANS DO ZMIERZCHU

Bram jako pierwszy dociera na szczyt wzgórza i zauważa ludzi otaczających dom, co najmniej kilkunastu, ubranych w identyczne dziwne stroje jak ci, których odkryli dookoła powozu Dracula.

– *Szgany*, tak o nich mówił – wyjaśnia Bramowi szeptem Ellen.

– Kto to taki?

– Śmiertelnicy, którzy przysięgli chronić Dracula i być na jego usługi. Dostają się tam, dokąd on nie może, i strzegą go w ciągu dnia. Jak widziałeś, gotowi są za niego umrzeć. W zamian Dracul zapewnia dostatek pozostawionym przez nich rodzinom. Krewni tych, którzy oddadzą za niego życie, nigdy nie zaznają nędzy ani głodu. Więc ci ludzie chętnie godzą się na wszystko, cokolwiek rozkaże.

Thornley z trudem wlecze się za nimi z zakrzywionym nożem w dłoni. Po Emily ani śladu.

– Czy ty ją...?

Thornley podąża wzrokiem za spojrzeniem Brama spoczywającym na ostrzu i gwałtownie kręci głową.

– Nie, nie, nie zrobiłbym czegoś takiego. Wyciągnąłem do niej rękę i chciałem pociągnąć ją za sobą, ale Emily odepchnęła mnie i uciekła między groby. Straciłem ją z oczu.

– Niebawem zapadnie zmrok – mówi Ellen – a wtedy Emily odzyska pełnię sił. Musisz na nią uważać. Jeśli znów cię ugryzie, nie będzie już ratunku. Nie łudź się, ona nie jest już twoją żoną. Odkąd w jej żyłach płynie jego krew, znajduje się w mocy Diabła.

– Dziwne stwierdzenie jak na kogoś takiego jak ty – odcina się Thornley, sięga do kieszeni, wyjmując z niej pukiel włosów żony i rzuca nim w Ellen. –

Gdyby nie ty, nigdy nie spotkałby jej ten los. Niepotrzebnie zjawiłaś się w naszym życiu. Przyniosłaś nam tylko cierpienie.

Bram widzi ból w oczach Ellen, która nic nie odpowiada, tylko zaciska palce na puklu.

Po chwili rozlega się odgłos drugiego wystrzału i cała trójka odwraca się w kierunku domu. Jeden z Cyganów celuje w niebo końcem dymiącej lufy pistoletu.

Wyprzęgnięte z wozu konie odbiegają z przerażeniem w stronę lasu i znikają wśród drzew. Konie Dracula zdają się nieporuszone hałasem, drepczą w miejscu i patrzą w niebo zasnuwane gęstymi chmurami, a z ich rozgrzanych nozdrzy buchają na zimnie kłęby białej pary.

Człowiek z pistoletem wraca na swoją pozycję i *Szgany* ciasniej otaczają dom.

– Nie dadzą nam przejść.

– Możesz ich zmusić, Bramie. Masz w sobie tę siłę.

Bram odwraca się do Ellen.

– Co masz na myśli?

– Aż do zmierzchu jestem bezsilna, na tobie jednak nie ciąży takie ograniczenie. Wprawdzie w twoich żyłach płynie moja krew, ale nie jesteś nieumarłym, tylko człowiekiem, kimś niezwykłym. Wystarczy, że spróbujesz – zapewnia Ellen i przytyka mu do policzka zimny palec.

W tym momencie Bram pojmuje sens jej słów.

Przykłada dłoń do błotnistej ziemi i zanurza w niej palec.

MATYLDA



DZIESIĘĆ MINUT DO ZMIERZCHU

Matyllda ani na chwilę nie spuszcza wzroku z pierwszego mężczyzny. Strach lub lęk sprawia, że mimo zachodzących wydarzeń nadal wpatruje się w lufę jego webleya.

Spostrzega karalucha, który wyłania się z błota i wbiega po nodze mężczyzny. Dopiero gdy przez szyję dociera do jego twarzy, człowiek strzepuje go z siebie. Nie ma to jednak żadnego znaczenia – gdy tylko owad spada na ziemię, dołącza do niego kilkanaście następnych i razem wchodzą na mężczyznę, włożą mu do butów i pod spodnie. Z początku Cygan zachowuje spokój, ale kiedy dociera do niego, co się dzieje – zauważa, że oblażą go te paskudne stworzenia – zaczyna się otrząsać. Ale ilekroć jeden ląduje w dole, po butach człowieka wspina się pięćdziesiąt kolejnych.

Na ziemi roi się od karaluchów; tworzą brunatną rozedrganą masę, wynurzają się z błota i wpełzają jeden po drugim, aż docierają do nóg mężczyzny. Po kilku chwilach cały jest już pokryty tysiącami owadów. Zajmują każdy najmniejszy kawałeczek jego ciała, aż trudno mu dojrzeć biel własnej koszuli i materiał spodni. Wymachuje ramionami i wykrzykuje coś w języku, którego Matyllda nie rozumie. Wtedy trzy karaluchy wdzierają mu się do ust. Wypluwa je i ściąga palcami z twarzy, ale ich potokowi nie ma końca. Kapelusz spada mu z głowy i niknie pod napływem brązowych i czarnych owadów, starających się wejść jak

najwyżej i lśniących w deszczu. Matyldę przebiega dreszcz, kiedy mężczyzna upada na ziemię i tarza się pod warstwą robaków, a ich mnogość tłumi jego wrzaski.

Gdy Matyldzie udaje się wreszcie oderwać wzrok od miejsca, w którym jeszcze niedawno znajdował się Cygan, dociera do niej, że karaluchy pochłonęły nie tylko tę jedną ofiarę, lecz także resztę nieszczęsnych ludzi, a na ziemi w agonii skręca się kilkanaście osób.

Dopiero wtedy Matylda przypomina sobie, żeby zaczerpnąć tchu.

* * *

– SZYBKO, DO ŚRODKA! – woła Vámbéry, przytrzymując otwarte drzwi.

Thornley jako pierwszy wpada do domu, a tuż za nim Ellen i Bram, trzymający w zabłoconych dłoniach drewnianą skrzyneczkę.

BRAM



PIĘĆ MINUT DO ZMIERZCHU

Kiedy biegną do domu, falujące morze karaluchów pokrywające krzyczących mężczyzn rozstępuje się, by zrobić im przejście.

Gdy wszyscy znajdują się we wnętrzu, Vámbéry pośpiesznie zatrzaskuje drzwi domu.

– Co to było, do jasnej cholery? – pyta Thornley, cofając się w głąb pokoju i wytrzeszczając oczy na Brama.

– Ja... Ja sam nie wiem – przyznaje niepewnie Bram. Oddycha ciężko, żołądek podszedł mu do gardła. Odstawia drewnianą skrzyneczkę na stół i nachyla się nad nią, podpierając się obiema rękami.

Matylda również patrzy na niego oniemiała, a do pokoju przez dziurę w dachu wlewa się deszcz.

– Musimy się pośpieszyć – pogania Ellen i sięga do skrzynki.

Otwiera złoty zatrzaszek pokryty nalotem, ostrożnie unosi wieczko i ukazuje serce spoczywające w środku.

Bram milczy. Kiedy zauważa, że Matylda mu się przygląda, odwraca wzrok.

Ellen wyjmuje serce ze skrzynki, po czym delikatnie, a wręcz czule otrząsa je palcami z kurzu. Jest tak pochłonięta tym, co robi, że zapomina o reszcie osób w pomieszczeniu. Unosi plandekę zakrywającą ciało Deaglana i wkłada serce z powrotem do jamy ziejącej w jego klatce piersiowej.

Bram nie jest pewien, czego się dalej spodziewać. Nic się nie dzieje.

Ciało Deaglana O’Cuiva pozostaje nieruchome, nadal jest tylko zbiorem rozłożonych luzem na stole szczątków człowieka, którym kiedyś był.

Thornley podchodzi do Ellen.

– Mówiłaś, że krew Dracula jest zła. Że wszystko, co od niego pochodzi, jest złe. Więc co będzie, kiedy obudzisz tego człowieka? Czy nie powinniśmy go jakoś unieruchomić?

Vámbéry zjawia się obok ze srebrną szpadą w jednej ręce i drewnianym kołkiem w drugiej.

– Wydaje mi się, że już dosyć tego dobrego.

Ellen wydaje z siebie syk, a Vámbéry robi krok wstecz.

Na zewnątrz uderza grzmot, po którym błyskawicznie rozlega się śmiech Emily. Bram i Thornley podchodzą do okna. Emily stoi na szczycie wzgórza, pod którym jest cmentarz, jej długa niebieska suknia trzepoce na wietrze i deszczu. Kobieta robi krok naprzód, potem kolejny, jak dziecko, które bawi się w przeskakiwanie z jednego końca wzgórza na drugi.

– Wyjdź z domu, chodź, mój kochany! Zatańcz ze mną w deszczu. Thornleyu... Czemu chowasz się przede mną w taką piękną noc?

Bram patrzy, jak Emily przemieszcza się w tę i z powrotem. W jej ruchach jest jakaś dziwna płynność. Dopiero za drugim razem dociera do niego, o co chodzi: Emily nie dotyka podłoża, tylko unosi się kawałeczek nad nim. Lodowaty deszcz zdaje się jej nie dosięgać, krople skręcają w bok, zanim jej dotkną. Na przedramieniu nie pozostał ślad po oparzeniach i ranach, wszystko się zagoiło. Emily znów wybucha śmiechem, a Bram równie wyraźnie słyszy go w głowie, co w uszach.

Burza na chwilę słabnie, ale ten moment wystarcza, by zorientował się, że słońce już ich opuściło, zniknęło za horyzontem i zapada noc.

Emily tańczy na wzgórzu, a ulewa szaleje, miota ciężkie krople deszczu, które bębnią w mroku. Wszyscy oprócz Ellen stoją w jednym z okien i przyglądają się Emily, która wreszcie zatrzymuje się i wbija w nich wzrok z oddali. Unosi rękę

i wskazuje na domek, na nich, po czym odwraca wewnątrz dłoni do góry i chociaż łapie spadające krople deszczu, pozostaje sucha. Mówi śpiewnym głosem:

– Książyc świeci, Baba Jaga leci, wsadza dzieci w worki, robi z nich potworki. Raz, dwa, trzy, tym potworkiem będziesz ty!

– Kompletnie oszalała – szepcze Vámbéry stojący obok Brama.

Emily uparcie powtarza te słowa. Za piątym razem deszcz i wichura nagle i niespodziewanie ustają. Emily śmieje się głośno, obraca dookoła, a jej sukienka wiruje na wietrze.

Z ziemi u jej stóp podnosi się delikatna mgła i wzbija się w powietrze, wiruje przez chwilę, po czym przyjmuje postać mężczyzny, którego żadne z nich nigdy przedtem nie widziało. Ma na sobie dziwne ubranie z innego miejsca i czasu, a zmierzwione jasne włosy opadają mu na czerwone oczy. Z początku wydaje się zdezorientowany, nie wie, gdzie się znajduje. Wtedy natrafia wzrokiem na domek, ludzi stojących przy oknie i uśmiecha się.

W górę wystrzeliwuje kolejna mgiełka i następna, i jeszcze następna.

– Wampiry, całe mnóstwo wampirów – ocenia Vámbéry. – Powstają z grobów.

Z przeciwnej strony wzgórza nadchodzi kilkanaścioro następnych: mężczyźni i kobiety, dorośli i dzieci. Zatrzymują się przy Emily. A z tyłu widać kolejnych.

Bram z odrazą patrzy na upiory wyłaniające się wszędzie wokoło. Myśli o zbezczeszczonych krucyfikach leżących w krzakach, o mogiłach rozsianych po całej wsi, o setkach nieumarłych, którzy wychodzą z grobów w tę potworną noc – wszystko to biedne ofiary Dracula, które opróżnił z krwi i zniewolił, kiedy ukrywał serce Deaglana O’Cuiva w tym miejscu zapomnianym przez Boga i ludzi; wszyscy oni pili jego krew – przemienił ich co do jednego i teraz kontroluje.

Za ich plecami Maggie i Patrick O’Cuivowie wstają ze swoich grobów, to znaczy skrzyń stojących w domu; ich sen dobiegł końca. Podchodzą do Ellen i przyglądają się ciału Deaglana, patrzą na serce powoli bijące w jego piersi.

Na zewnątrz Emily schodzi ze wzgórza i kieruje się ku czarnemu powozowi. Mijając zaprzęg, głaszcze każdego konia po kolei. Zwierzęta drżą i próbują uniknąć jej dotyku, ale uniemożliwiają im to uprzęże. Wszędzie dookoła stoją nieumarli; gdy Emily się zbliża, rozstępują się na boki.

Spod powozu wylatuje kłęb białej mgły i zanim jeszcze przyjmie konkretną postać, Bram uświadamia sobie, gdzie cały czas chował się Dracul. Gdyby uważniej zlustrował pojazd, kiedy przybyli na miejsce, może by to zauważył, ale tak się nie stało. Zwyczajnie przeszedł mimo, tak jak cała reszta. Pod spodem była trumna, wkomponowana w drewniane podwozie tak, żeby nie była widoczna.

* * *

MGŁA NABIERA KSZTAŁTU nie przy Emily, ale w połowie drogi na dół ze wzgórza, między nią a domem, w którym wszyscy się zebrali. Tłum nieumarłych rozstępuje się ponownie, robiąc przejście pośrodku i tam właśnie obłok, który wy dostał się spod czarnego powozu, tężeje i staje się mężczyzną.

Wygląda zupełnie tak samo jak w opactwie Whitby – myśli Bram.

Dracul stoi przez chwilę w miejscu, rozglądając się dookoła, a jego długa kruczoczarna peleryna łopocze na szalejącym wietrze. Głęboka czerwień jego oczu wędruje nad legionem nieumarłych przez Emily, stojącą przy powozie, aż wreszcie spoczywa na małym domu.

Uśmiech rozjaśnia jego twarz.

Część nieumarłych łakomie zerka na nieruchome ciała Cyganów leżące wokół domu, porzucone już przez dokuczliwe karaluchy. Zlatują się ochoczo jak wataha bezpańskich psów, podbiegają na czworakach i przycupnięci zabierają się za Cyganów, którzy nikną pod gorączkową kakofonią odgłosów; jej echo będzie towarzyszyć Bramowi do końca jego dni. Znowu rozbrzmiewa śmiech Emily, ale Dracul ani na moment nie spuszcza wzroku z domu.

Matylda, wciąż oparta o parapet, nagle wydaje okrzyk i odskakuje od okna. Stoi pod nim starzec o twarzy poznaczonej przez upływ czasu. Na czoło

beładnie opadają mu siwe, zmierzwione włosy. Ubranie ma w fatalnym stanie, podarte i zaplamione. Posyła jej uśmiech, wyszczerzając żółte, brudne zęby. Dwa z nich mają zaostrome końce i wystają ze splekanych warg. Starzec przesuwa po nich językiem i znów uśmiecha się, wyciągając ku Matyldzie sękatą dłoń. Dziewczyna podnosi swojego webleya i wymierza go w pierś mężczyzny.

– Ani kroku! – rozkazuje.

Ale to ostrzeżenie tylko jeszcze bardziej go zachęca; wygląda na to, że bardziej go bawi, niż przeraża.

Vámbéry wyjmuje z jednej z toreb krucyfiks i wyciąga go w kierunku twarzy napastnika, który kuli się i cofa z sykiem, a z ust kapie mu ślina. Vámbéry podaje krzyż Matyldzie.

– Proszę trzymać to na widoku w oknie. Nie wolno im się zbliżyć. – RzUCA kolejny krzyż Thornleyowi. – Ty pilnuj wejścia.

Bram wbił wzrok w Dracula, który przemieścił się do podnóża wzniesienia.

– Chyba nie może tu wejść, jeśli nie zostanie zaproszony – zastanawia się cicho.

– Nie wiem, czy chcę się o tym przekonać – odpowiada Vámbéry. – Musi ich tu być ze dwustu, może więcej.

Za plecami Brama przeciska się Ellen. Bram odwraca się i widzi, że brezent, który zakrywał ciało Deaglana O’Cuiva, został odwinięty do wysokości piersi, odsłaniając dużą jamę w jego piersi, jego oderwane ramiona oraz głowę groteskowo rozłożone wokół tułowia na stole. Patrick i Maggie O’Cuivowie stoją obok ciała.

– Dasz radę coś z tym zrobić? – pyta Bram.

Ellen nic nie odpowiada. Zamiast tego patrzą sobie z Patrickiem głęboko w oczy. Porozumiewają się, co do tego Bram nie ma wątpliwości, ale nie potrafi wnikać w ich myśli.

Patrick O’Cuiv kiwa głową i kieruje się w stronę drzwi. Otwiera je i wchodzi w tłum nieumarłych.

– Nie! Nie rób tego! – krzyczy Vámbéry. Pędzi do wejścia z krucyfiksem w dłoni i próbuje zatrzaskać drzwi. Maggie O’Cuiv łapie go za przegub i szarpie do tyłu, unikając wzrokiem trzymanego przez niego talizmanu.

Bram widzi, jak Patrick O’Cuiv wychodzi na zewnątrz. Zbliża się do szczątków Cyganów i podnosi jedno z ciał za ramię, wrywając je nieumarłemu, który się nim karmi. Jest całe w ugryzieniach, a z rozharatanej szyi leje się krew.

Małe dziecko, dziewczynka, przygląda się tej scenie pożądlivym wzrokiem, po czym skacze na Patricka, pokonuje odległość co najmniej trzech metrów, ląduje na Cyganie i przywiera ustami do otwartej rany na szyi. Patrick odtrąca dziewczynkę, jakby miał do czynienia z komarem, i zanosz ciało do domu. Maggie zatrzaskuje za nim drzwi.

– Wyssali go prawie do czysta – mówi z wyraźnym irlandzkim akcentem Patrick. – Inni są w podobnym stanie.

Maggie, która stoi przy drzwiach, w mgnieniu oka pojawia się za Vámbérym i trzyma mu ręce za plecami. Krucyfix, który ma w dłoniach, z brzękiem upada na podłogę.

– Wykorzystajmy jego – proponuje dziewczyna.

Vámbéry próbuje się uwolnić, ale jest dla niego za silna.

Bram podchodzi do niej, wyciągając swój nóż myśliwski.

Ellen marszczy brwi.

– Nie zrobimy niczego takiego. Puść go.

Maggie po chwili wahania robi, co jej każą. Vámbéry chwytasz krzyż leżący na podłodze i wycofuje się do kąta, trzymając krucyfix wyciągnięty przed sobą.

Ellen bierze od Patricka ciało Cygana i przenosi je na stół. Układasz je na szczątkach Deaglana, a następnie zwracasz się do Brama:

– Poproszę twój nóż.

Bram ociąga się przez moment, ale wręcza jej swój nóż myśliwski.

Sprawnymi ruchami Ellen wykonuje szereg długich nacięć wzdłuż ramion, nóg i tułowia, przez tkaninę aż w głąb skóry. Mężczyzna wydaje cichy jęk, a Bram dziwi się, że tamten wciąż żyje, chociaż ledwo. Jego ubranie jest

poznaczone czerwonymi punkcikami w miejscach, w które wpili się nieumarli, a na krawędziach cięć wykonanych przez Ellen pojawia się krew i swobodnie spływa na ciało Deaglana O’Cuiva. Bram z początku chce ją powstrzymać, aby ocalić tego człowieka, ale wie, że to nie ma sensu. On i tak nie wyliże się z tych ran: albo dołączy do nieumarłych, albo czeka go śmierć w męczarniach. To, co robi Ellen, to akt litości.

Wtem nad ich głowami rozlega się głos Dracula:

– Doprawdy to zabawne, moja kochana hrabino – mówi. – Wszystkie te twoje poszukiwania, twoja niezłomność i przekora.

– Nie jestem twoją hrabiną – rzuca półgłosem Ellen.

– Zawsze będziesz moją hrabiną.

Bram podchodzi do okna i staje obok Thornleya. Widzi, jak Dracul zadziera głowę w kierunku kłębiących się chmur i machnięciem ręki sprawia, że do ulewy dołącza grad, a burza staje się jeszcze straszniejsza.

– Bez ciebie w zamku zrobiło się tak zimno, tak samotnie. Po twoim odejściu musiałem pozbyć się służby i wciąż szukam dla niej zastępstwa.

– Wymordowałeś swoich służących, co do jednego. Myślałeś, że się o tym nie dowiem?

– To ty masz ich krew na rękach, kochanie.

– Boże jedyny – szepcze Vámbéry.

Bram odwraca się i widzi Arminiusa wpatzonego w leżące na stole ciało Deaglana O’Cuiva, teraz skąpane we krwi spoczywającego na nim Cygana. Ellen uważnie obchodzi stół dookoła, nie odrywając od nich wzroku.

Ciało Deaglana O’Cuiva, ukochanego Ellen, jakimś cudem znów składa się w całość.

Ściągną i żyły oderwanych kończyn i głowy połączyły się z tułowiem, a z bliska Bram dostrzega, że w scalonych fragmentach z powrotem pulsuje krew. Do pełnego zdrowia wciąż wiele brakuje, ale zaczęła się regeneracja.

Cygan z całą pewnością jest martwy – uszła z niego resztką życia. Maggie ściąga jego szczątki ze stołu i ciska je w kąt pokoju, jakby chodziło o śmieci.

– Potrzeba mu więcej.

W tym momencie ręka Deaglana gwałtownie unosi się i chwyta Brama za nadgarstek.

* * *

DEAGLAN ŚCISKA przegub Brama tak mocno, a jego długie paznokcie wbijają się w skórę tak głęboko, że aż leci krew. Z nadnaturalną siłą przyciąga go do stołu. Jego usta znajdują się tuż obok szyi Brama.

– Umarłem tysiącem śmierci, poznałem ból każdej z nich, a mimo to jedyna myśl, która towarzyszyła mi w każdej sekundzie każdej minuty, w każdym dniu każdego roku, wiązała się z tym głodem... Ze słodką krwią, która go zaspokoi, i z ciekawością, od kogo będzie pochodzić.

Bram czuje nagłe ukłucie w szyję i suche, spierzchnięte usta tego, który kiedyś był człowiekiem, a teraz jest nieumarłym, wysysają mu krew z żyły. Próbuje się odsunąć, wali pięściami o klatkę piersiową Deaglana. Żałuje, że nie ma w ręce drewnianego kołka, który trzymał w niej zaledwie parę chwil wcześniej. Nic jednak nie może zrobić. Jest wydany na pastwę bezlitosnego uścisku Deaglana; jego ciało jest sparaliżowane, a umysł otumaniony.

Kątem oka widzi Maggie O’Cuiv, najpierw u swojego boku, a potem przy Matyldzie. W okamgnieniu Maggie znajduje się za jego siostrą i unieruchamia jej ręce za plecami w stalowym uchwycie. Wybucha skrzeczącym śmiechem, wiedząc, że taki od początku był plan, i wyszczerza zęby do Brama, po czym zanurza je w szyi Matyldy.

Bram bezradnie obserwuje, jak ramię i sukienka jego siostry zabarwiają się na czerwono od krwi, która wypływa z rany i skapuje na podłogę spomiędzy głodnych warg napastniczki. Matylda próbuje krzyczeć. Bram widzi w jej oczach ból i strach i wie, że ciśnie się jej na usta okrzyk wściekłości, a wydobywa się z nich jedynie cichy jęk, a potem wydech powietrza z płuc. Nie może nic poradzić, kiedy jego siostra mdleje i wpada w ramiona Maggie, która nie

przestaje pić. I robi to, aż nie zostanie ani kropla; aż trzyma w ramionach jedynie martwą powłokę Matyldy.

Bram słyszy zza pleców krzyk Thornleya i udaje mu się wykręcić głowę choćby na tyle, żeby dojrzeć, jak Patrick O’Cuiv skręca Vámbéryemu kark i rzuca jego zwłoki, które upadają na podłogę z przerażającym głuchym odgłosem. Wtedy Patrick zabiera się za Thornleya, wbija swoje potworne zęby w szyję jego brata, a gorąca krew tryska po całym pokoju przy akompaniamencie wrzasków – przystających nie do w pełni dorosłego mężczyzny, ale do dziecka. W końcu wszystko milknie i słychać tylko, jak Patrick O’Cuiv żłopie krew do ostatniej kropelki.

Przez cały ten czas Ellen stoi w kącie pokoju i patrzy z twarzą bez wyrazu. Na jej rubinowe usta wypływa blady uśmiech.

Bram wyrывa się z uścisku Deaglana i czuje okropny ból odrywanej skóry, chwytając za szpadę Vámbéryego, błyszczącą obok martwego ciała jej właściciela. Ze wszystkich sił, jakie mu pozostały, walczy z pragnieniem, by zemdleć z utraty krwi. Podchodzi do Ellen i zbliża zabójcze ostrze do jej szyi...

– Bram, nie! – krzyczy Ellen. Obejmuje go ramionami i odciąga w róg pokoju, daleko od stołu i od jej ukochanego. – To była wizja! Tylko wizja!

Srebrna klinga parzy jej skórę; Bram słyszy to, czuje w powietrzu zapach i smak spalenizny.

Gorączkowo przesuwając wzrokiem po pokoju. Widzi wpatrzoną w siebie Matyldę. Przy niej Maggie. Thornleya, Vámbéryego i Patricka O’Cuiva stojących bez ruchu po drugiej stronie stołu. Wszyscy mu się przyglądają.

Bram bierze głęboki wdech i wypuszcza z ręki szpadę, która ze szczykiem spada na podłogę i wtacza się pod stół. Vámbéry niezwłocznie po nią sięga.

Żyją.

Wszyscy żyją.

Zdarzyło się to samo co w opactwie, wizje zza drzwi do pokoju. Tyle że teraz ciało jest tutaj, tuż obok, w tym samym pokoju...

– W jego żyłach nadal płynie krew Dracula; on umie to wykorzystać – szepce mu do ucha Ellen. – I będzie to wykorzystywać, dopóki Deaglan się nie uwolni. Już dobrze, jesteś bezpieczny. To nie działa się naprawdę. Jesteś silniejszy od niego.

– On jest silny, droga hrabino! – Głos Dracula przebija się przez szalejącą burzę. – Najsilniejszy jak dotąd! Jak miło, że przyprowadziłaś go do mnie. Jego i pozostałych!

Bram wyswobadza się z luźniejszego już uścisku Ellen i podchodzi do okna. Dookoła nieumarli ognistymi oczyma obserwują dom z nieposkromionym apetytem. Na górze coś biega po resztkach dachu; słychać drobne, szybkie kroczki, a za nimi kolejną parę nóg. Coś drapie w ściany. Inni z wolna podkopują się od strony fundamentów. Zewsząd dochodzą wstrętne odgłosy nieumarłych.

– Nie mogą wejść do środka, jeśli nie zostaną zaproszeni – dobiegają go słowa Ellen. – Bram miał co do tego rację. – Pozostali również je słyszą, co nie kładzie bynajmniej kresu ich zakłopotanym spojrzeniom.

Dracul się zbliża, jest kilka metrów od drzwi, a u jego boku Emily.

– Bramie, jeśli naprawdę wierzysz, że Ellen oszczędzi twoją rodzinę i przyjaciół, to karmisz się złudzeniem. Po co miałyby cię tu zabierać? W swoim czasie ktoś odnajdzie twój wóz i nic poza nim. Pewnie zrzuci winę na wilki. Bo jak inaczej grupa cudzoziemców mogłaby zniknąć w lesie?

Jak gdyby w odpowiedzi na to Bram ponownie słyszy wycie kilkunastu wilków spośród drzew posępnego lasu.

Dracul macha ręką.

– Niektóre z moich dzieci nie jadły od pokoleń. Dziś wieczorem będą się weselić, bo ucztą jest na wyciągnięcie ręki!

Bram nie jest pewien, czy mowa o wilkach czy o nieumarłych, czy o jednych i drugich.

Do domku zbliża się Emily, która dotąd stała przy Draculu. Unosi się w powietrzu, nie pozostawiając śladów na błotnistym podłożu, a nieumarli robią jej przejście. Puka do drzwi – trzy powolne uderzenia.

– Puk, puk! Kto tam? Twoja żona, kiedy weźmiesz mnie w ramiona? – rozlega się melodyjny głos Emily. – Puk, puk! Kto tam? Twoja żona, czemu nie dasz się przekonać? Puk, puk! Kto tam? Twoja żona, wpuść mnie, bo z tęsknoty skonam.

Rozlega się chichot Emily, zadowolonej ze swojej dziecinnej rymowanki.

– Chodź do mnie, Thornleyu! Jestem cudownie wolna! Aż trudno sobie wyobrazić! Chcę, żebyś poczuł to samo.

Thornley podnosi jeden z drewnianych kołków i machinalnie obraca go w palcach, a drugą ręką drapie się po śladach na szyi. Naciska klamkę i otwiera drzwi. Matylda chwyta go za kołnierz.

Przed nim stoi Emily. Cała promienieje, bardziej jak duch niż człowiek. Oczy jarzą się głęboką zielenią, a jej skóra jest czysta jak u nowo narodzonego dziecka. Bram zawsze uważał ją za piękną, ale teraz jest niesamowita, oszłamiająca.

– Jak dotąd nie pożyliśmy, Thornleyu, jeszcze nie. Ale możemy to zrobić. Wciąż nie jest za późno. Wpuść mnie, a ja ci wszystko, wszyściutko pokażę.

– Nie możesz tego zrobić – upomina cicho Vámbéry. – I nie możesz wyjść na zewnątrz, bo będzie po tobie.

Bram wyjmuje bratu z dłoni kołek.

– Znajdziemy inny sposób.

Thornley nie odrywa oczu od Emily.

Za ich plecami Deaglan O’Cuiv rzuca się na stole, łapie Vámbéryego za ramię i w ostrym skurczu zaciska na nim palce.

Vámbéry wydaje okrzyk bólu.

Kiedy Deaglan go puszcza, Vámbéry zatacza się i wpada plecami na ścianę. Oczy wywracają mu się białkami do góry, a z jego ust wydobywa się gardłowy jęk, a potem krzyk. Przybiera na sile, po czym słabnie i całkiem milknie. Vámbéry spogląda na wszystkich po kolei niewidzącym wzrokiem.

Bram jako pierwszy znajduje się przy nim, kiedy uginają się pod nim nogi.

Vámbéry odwraca się do chwilowo nieruchomego ciała Deaglana O’Cuiva, następnie do Patricka, po czym znów do Deaglana, cały czas próbując wyrwać się z uścisku Brama.

Wtedy Bram nagle pojmuje.

– Co on panu pokazał? To nieprawda, to wszystko nieprawda. To...

Kiedy wzrok Vámbéryego pada na Patricka O’Cuiva, mięśnie Arminiusa tężeją.

– Wypraszam cię z tego domu!

– Nie! – woła Bram. Ale nic już się nie da zrobić.

Jakaś niewidzialna siła wpada do domu, łapie Patricka O’Cuiva i wyciąga go z wnętrza. Potężny mężczyzna niesiony bezgłośnym wiatrem wylatuje przez drzwi w noc. Upada na ziemię, a zanim udaje mu się wstać, pozostali nieumarli są już obok i rozszarpują go ostrymi paznokciami i zębami niczym na jakiejś potwornej uczcie.

Maggie wydaje z siebie krzyk i biegnie do drzwi, ale Ellen zatrzymuje ją i odciąga.

– Nie możesz tam wyjść! Nie w ten sposób! On próbuje nastawić nas wszystkich przeciwko sobie. To pokrętne wizje i manipulacje, nic więcej!

Ellen przytula szlochającą dziewczynkę. Jej wzrok dociera do Dracula przez wiatr i deszcz.

– Czy twojemu szaleństwu nie ma końca?

– Zamierzają pozabijać nas wszystkich – mówi do Brama Vámbéry. – Nie rozumie pan? Jesteśmy ofiarą w zamian za wolność dla niej. – Pokazuje na Ellen. – Dla niej i całej reszty.

Ellen robi krok do tyłu i patrzy błagalnie.

– To nieprawda. Nigdy bym...

– Właśnie dlatego nas tu przywlekła. Bo po cóż by innego? – Vámbéry zwraca się do Ellen: – Wypraszam cię...

Bram wymierza mu cios w szczękę i mężczyzna pada skulony na ziemię.

– Dość tego! Tych wszystkich gier! Musicie być silniejsi!

Maggie dopada do leżącego na podłodze Vámbéryego z paznokciami ostrymi jak brzytwa, ale Ellen ją powstrzymuje. W oczach dziewczyny płonie ogień, gdy spogląda na niego z nieopanowanym gniewem.

Matylda, która przez większość czasu się nie odzywała, wymierza rewolwer w głowę Deaglana O’Cuiva na stole. Jego głowa i kończyny w pełni przylegają już do tułowia. Na mięśniach, żyłach i ścięgnach wyrosła nowa skóra, wciąż świeża, ale czyniąca z niego kompletnego człowieka.

Dracul podchodzi do drzwi.

– Pociągnij za spust, a zapewniam, że wyjdiesz stąd cała i zdrowa. Masz na to moje słowo.

– Jeśli go zabijesz, wszyscy zginiemy – protestuje Ellen, nadal trzymając w ramionach szarpiącą się Maggie.

Matylda odciąga kurek webleya.

– Może nie ma dla nas innego wyjścia.

– Już dosyć.

Te słowa wypowiada Deaglan O’Cuiv. Ma otwarte oczy i patrzy na nich z trudem.

– Już dosyć zabijania w moim imieniu.

Ellen uwalnia Maggie i błyskawicznie znajduje się u jego boku.

Matylda robi krok wstecz, nie przestając celować w głowę Deaglana. Nagle robi półobrót i strzela w Dracula stojącego w wejściu. Wypuszcza pocisk za pociskiem, a kiedy bęben rewolweru jest pusty, kopnięciem zamyka drzwi.

A na zewnątrz, w ulewnym deszczu, rozchodzi się śmiech Emily.

* * *

– KULE NA NIC się zdały – oburza się Thornley. Wygląda przez frontowe okno. – Przeszły przez niego na wylot, ale go nie drasnęły.

– Możemy zostać tu do świtu. Dopóki siedzimy w środku, Dracul może jedynie formułować groźby – zauważa Bram.

Vámbéry chwiejnie staje na nogi, patrzy na Ellen i O'Cuivów i rozmasowuje szczękę.

– Z nimi?

– Tak, z nimi – odpowiada z naciskiem Bram.

Vámbéry prycha lekceważąco i opiera się o ścianę, wciąż nieufny wobec swoich nóg.

Ellen trzyma Deaglana za rękę i przykłada wnętrze jego dłoni do swojego policzka. Nadgarstek drugiej ręki przyciska do jego ust, by mógł się napić. Porozumiewają się bez słów. Bram nie jest pewny, od jak dawna to trwa.

Maggie przeciska się obok Vámbéryego i bierze Deaglana za wolną rękę.

Deaglan może i odzyskał przytomność, ale jego stan jest daleki od zadowalającego. Skórę ma niemal przezroczystą. Bram gotów jest przysiąc, że widzi, jak krew tętni pod cienką skórą i tworzą się nowe naczynia w miejscach, gdzie jeszcze przed kilkoma minutami żadnego nie było. Regeneracja postępuje, choć bardzo wolno – w jego żyłach płynie teraz krew Ellen.

– Rozumiesz, co musimy zrobić? – pyta Deaglana Ellen.

Mężczyzna odpowiada słabym skinieniem głowy.

Ellen odsuwa przegub od jego ust.

– Nie ma innego sposobu.

– Wiem.

– Dasz radę?

Deaglan ponownie kiwa głową i obie kobiety wspólnie pomagają mu przerzucić nogi przez krawędź stołu i wstać, owinąwszy go w pasie brezentem. Na jego piersi widnieje poszarpana blizna, ale pozostałe rany już się zagoiły.

– Wychodzimy! – oznajmia Ellen, przekrzykując deszcz.

Serce Brama zamiera. Co ona robi najlepszego?

Maggie sięga do drzwi i otwiera je na oścież. Tuż za progiem stoi Dracul z Emily u boku. Tak jak zauważył Thornley, kule nie zostawiły po sobie najmniejszego śladu.

Na widok Deaglana O'Cuiva Dracul przechyla głowę na bok.

– Moja krew dobrze ci służy. Ależ zrobiłeś się wytrzymały! – Spogląda na Ellen z fałszywym uśmiechem na twarzy. – Czy nadal jesteś gotowa na to, na co się umawialiśmy?

Ellen spogląda na Brama, a potem na Matyldę i Thornleya.

– Jestem.

– Nie wolno ci tego zrobić – woła Bram.

– Na szczęście dla ciebie, przyjacielu – mówi Dracul – ta decyzja nie należy do ciebie. Została za ciebie podjęta już jakiś czas temu – wyjaśnia i zwraca się do Ellen: – A zatem do dzieła?

– Mam twoje słowo?

– Masz moje słowo.

Ellen bierze głęboki wdech i głaszcze Deaglana po policzku.

– Kocham cię z całego serca i zawsze będę cię kochać. Odnajdź spokój. W jakiś sposób odnajdź go. Robię to dla ciebie.

– Ja też cię kocham – odpowiada cicho Deaglan. – Będę z tobą przez cały czas, teraz i zawsze.

Ellen odsuwa się od Deaglana i szepcze Maggie na ucho:

– Dbaj o niego. Stale.

Maggie nic nie odpowiada, kiwa tylko głową i patrzy nieobecny wzrokiem na miejsce, w którym zginął Patrick O’Cuiv. Następnie wyprowadza kulejącego Deaglana z domu, mijają Dracula i Emily, mijają nieumarłych i, przez nikogo nie niepokojeni, znikają w mroku ciemnego lasu.

Z progu domu Ellen patrzy, jak się oddalają, a oczy wypełniają się jej czerwonymi łzami.

Thornley wsuwa kołek do wyciągniętej dłoni Brama, a ten zaciska na nim palce i czuje jego ciężar. Nie zdoła zabić ich wszystkich, ale na pewno da radę dopaść Dracula, zanim...

– Odłóż to, na nic ci się nie przyda – poleca Ellen, patrząc na kołek. Przygląda się twarzom obecnych, zwłaszcza Matyldy i Thornleya, po czym

odwraca się do Brama. – Jeśli pójdziesz ze mną, będziesz bezpieczny. Ale reszta musi zostać tutaj.

– Nigdzie z tobą nie idę – odpowiada Bram, ściskając mocniej kołek.

– Weź mnie zamiast niej – mówi Thornley. – Chcę być ze swoją żoną. Nawet jeżeli tylko przez kilka minut. Weź mnie, a obiecuję, że nie będę sprawiać problemów.

Po raz pierwszy od przybycia tutaj Dracul zdaje się zdezorientowany.

– Och, nie powiedziałaś im? – W jego głosie słychać ekscytację. – Czy myślałaś, że to się może skończyć inaczej? Że wasza grupka jakimś cudem pokona wszystkie moje dzieci i wyjdzie z tego bez szwanku, twój ukochany odzyska serce i wszystko się dobrze skończy? Czemu miałbym tego chcieć? Jesteście naiwni, cała wasza hałastrą. Jedyne powód, dla którego wciąż pozostajecie przy życiu, jest taki, że was potrzebuję. I tyle. Najbardziej powinniście obawiać się dnia, w którym przestaniecie mi być potrzebni.

Vámbery wydobywa fiolkę z wodą święconą – Bram nie ma pojęcia skąd – i trzyma ją za plecami, majstrując palcami przy zatyczce.

Dracul z rozbawieniem macha ręką w jego kierunku, a pobłogosławiony płyn w naczyniu zaczyna wrzeć. Vámbery upuszcza fiolkę, przeklinając.

Dracul mówi dalej:

– Bierz chłopaka i zabierajmy się do rzeczy, zanim się znudzę i spalę tę rudę do gołej ziemi włącznie z tymi w środku.

– Bram, proszę – błaga Ellen. – Musisz ze mną iść.

Bram stoi nieruchomo tuż za progiem.

Dracula przepęlnia gniew.

– Dość tych bzdur! – Pstryka palcami i piorun uderza w pobliski cyprys. Otaczający go nieumarli odskakują, kiedy od drzewa odrywa się gałąź i staje w płomieniach. Dracul sięga po nią i trzyma ją o włos od drewnianych belek domu.

– Nie rób tego! – krzyczy Bram. Nie jest pewny, czy budynek zapaliłby się w deszczu, ale nie stać go na ryzyko. – Pójdę! Pójdę.

I zanim inni zdążą zaproponować, Bram upuszcza kulek na podłogę. Przeskakuje próg i wychodzi na rozszalałą burzę.

Nieumarli otaczają Brama z tyłu, odcinając mu ewentualną drogę ucieczki. Nie ma już powrotu.

Dracul wrzuca do kałuży płonąca gałąź, która gaśnie z sykiem, po czym odwraca się i zaczyna wchodzić na wzgórze, zostawiając domek za sobą.

Bram stara się nie słyszeć płaczu i krzyków Matyldy i swojego imienia niesionego przez wiatr. Może tylko mieć nadzieję, że Thornley się nią zajmie, a Vámbéry zapewni im bezpieczeństwo do rana.

Ellen bierze Brama za rękę, a on pozwala jej na ten gest, chociaż nie ma pewności dlaczego. Jej skóra jest chłodna, ale sucha w dotyku, jakby nieczuła na deszcz, tak samo jak Dracul i Emily. Bram natomiast czuje każdą lodowatą kroplę wbijającą mu się w ciało. Kiedy wspinają się pod górę, jego buty plaskają o błoto – tylko jego, ponieważ reszta nie ma kontaktu z podłożem i nie zostawia po sobie śladów.

Na niebie brak księżyca i Bram wie, że w ogóle cokolwiek widzi dzięki krwi Ellen, dzięki życiu i czasowi, które mu podarowała.

Wszędzie dookoła nich stoją nieumarli. Są nieruchomi z wyjątkiem oczu, które będą świadkami tego, co ma nastąpić.

Kiedy przechodzą na drugą stronę wzgórza, ich oczom ukazuje się wielkie białe mauzoleum i setka pokrzywionych nagrobków. Ellen ściska rękę Brama, którego ramię swędzi bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Jeśli Bram zmierza teraz ku śmierci, to niech tak będzie. I tak dostał w prezencie lata, które w innym wypadku by mu się nie należały. Za sprawą Ellen, niezależnie od jej motywacji. Bez niej tamten siedmiolatek umarłby w swoim pokoiku na strychu i nigdy nie poznałby świata za oknem.

U stóp cmentarza Dracul macha ręką, a wszędzie dookoła, tuż nad ziemią, rozbłyskają niebieskie płomienie. Nie wygląda na to, żeby cokolwiek faktycznie się paliło; płomienie zwyczajnie unoszą się nad przemokniętą ziemią. Bramowi

przypominają się dziwne świece, które oświetlały im drogę, kiedy wspinali się na wieżę zamku Artane tyle lat wcześniej.

Mijają nagrobki, obchodzą groby, aż docierają do wejścia wiodącego do mauzoleum. Dracul kładzie rękę na ciężkich drzwiach z brązu.

– Deschis ⁸! – rozkazuje.

Drzwi stają otworem i ukazują pusty grobowiec. Pośrodku stoi katafalk, ale nie spoczywa na nim żadna trumna, jak można by się spodziewać. Jest tylko płaska kamienna powierzchnia czekająca na to, co jej należy. Nad katafalkiem unosi się długi żelazny pręt wystający przez dach.

Patrząc na niego, Bram zauważa inskrypcję nad wejściem:

HRABINA DOLINGEN VON GRATZ
W STYRII
SZUKAŁA ŚMIERCI I ZAZNAŁA
1801

Bram pojmuje.

– To ma być twój grób.

– To prawda.

– Ale dlaczego?

Ellen odwraca się do Brama. Chce być silna, ale nie potrafi ukryć łez, tych czerwonych strużek spływających jej z oczu na policzki i skapujących na sukienkę.

– To był jedyny sposób, żeby twoja rodzina była bezpieczna, żeby O’Cuivowie byli bezpieczni, żeby uwolnić mojego ukochanego Deaglana. Dracul wie, że nigdy nie posiadzie mnie w pełni, nie swoim sercem, nie w sposób, jakiego naprawdę pragnie. W najlepszym razie może osiąść moje fizyczne ciało. Pozwolę mu na to, jeśli dzięki temu wam nie stanie się krzywda.

Dracul parska kpiąco.

– To, czemu zależy ci na tych ludziach, jest dla mnie rzeczą niepojętą. Dzień po dniu cały swój czas przeznaczają na przymiarki do śmierci.

– To jedyna rodzina, jaką mam, jedyna prawdziwa rodzina, jaką kiedykolwiek znałam – wyjaśnia Ellen. – Teraz zostaw nas na chwilę, żebyśmy mogli porozmawiać na osobności.

Bram jest przekonany, że Dracul odmówi spełnienia tej prośby, ale ten przemierza cmentarz z Emily u boku. Reszta nieumarłych nie weszła na jego teren; otoczyli go i obserwują ich z oddali.

Ellen mówi cicho, tak żeby tylko Bram mógł usłyszeć.

– Powiedziałałam ci, że moja krew w twoich żyłach nie utrzyma się wiecznie. Nie wiem, ile czasu zostało ci, zanim twoja choroba powróci, ale miej pewność, że jeszcze się o ciebie upomni. Mam tylko nadzieję, że nim ten dzień nadejdzie, zdążysz porządnie się nażyć.

– Wrócimy tu i cię uwolnimy. Przyjdziemy w środku dnia, kiedy on jest bezsilny.

Ellen kręci głową.

– Nigdy więcej nie zdołacie odnaleźć tego miejsca. A nawet jeśli jakimś cudem wam się uda, uwolnienie mnie zerwie kontrakt, który z nim zawarłam. Będzie równać się śmierci nie tylko dla ciebie i twojej rodziny, lecz także dla Maggie i Deaglana O’Cuivów, którzy oboje zasługują na wolność. Nie pozwól, by ofiara Patricka poszła na marne. Musisz mi obiecać, że nie będziesz próbował mnie szukać. Zostaw mnie tutaj. Tego właśnie chcę. Dopóki Dracul chodzi po ziemi, nie ma innego wyjścia.

Bram może co najwyżej skwitować tę smutną prawdę zrezygnowanym skinieniem głowy.

Ellen ujmuje jego drugą dłoń, a Bram czuje jakiś nacisk na jej wnętrze. Wsunęła mu do ręki kawałek papieru. Bram chowa go głęboko w kieszeni.

– Nie wolno ci mnie szukać, dopóki on żyje – powtarza Ellen, patrząc mu w oczy. – Rozumiesz?

Bram ponownie kiwa głową.

Niebo przeszywa piorun, a obok nich z powrotem wyrasta Dracul.

– Czas, byś zajęła swoje miejsce, droga hrabino.

Ellen puszcza rękę Brama, a on wie, że już nigdy więcej nie poczuje jej dotyku.

Kobieta bezgłośnie kieruje się do mauzoleum, wchodzi na kamienny postument i kładzie się na nim płasko. Emily staje koło Brama, ale nic nie mówi. Za nimi zjawiają się nieumarli.

Dracul wchodzi do grobowca, przeczesuje palcami długie jasne włosy Ellen i pieści je dłonią.

– Nauczysz się mnie kochać – zapewnia ją. – Mamy tyle czasu, ile tylko zechcemy.

Mówiąc to, chwyta drugą ręką żelazny pręt i ściąga go z taką mocą, że metal przebija pierś Ellen, jej serce, i zagłębia się w kamieniu pod nią.

Ellen wydaje głośny krzyk, tak dźwięczny, że aż Brama bolą uszy. Jej głos odbija się echem w dolinie i przenika noc, przebijając się przez burzę. Ellen nieruchomieje, a Bram myśli, że jej ból wreszcie ustał, że wreszcie znalazła spokój. Nie mógłby się bardziej mylić. Oślepiający blask wypełnia pomieszczenie, gdy piorun uderza w pręt i wędruje w dół po metalu od dachu mauzoleum po jego fundament pod ziemią. Ciałem Ellen wstrząsa agonálny ból, jej krzyk ginie pod ogłuszającym hałasem grzmotu, aż wreszcie kobieta opada na kamień i zanosi się nieopanowanym szlochem.

Uderza kolejny piorun.

Dracul zamyka wielkie drzwi z brązu, które zagłuszają wycie odciętej od świata Ellen.

– Jak możesz? – krzyczy Bram. – Twierdzisz, że ją kochasz, a robisz jej coś takiego?

– Kocham ją bardziej, niż mógłbyś sobie wyobrazić. Ale jeśli kiedykolwiek ma zasłużyć na wybaczenie, musi zapłacić za swoje grzechy. Jestem cierpliwy. Mogę poczekać na nią tak, jak zaczekam na ciebie. – Dracul przesuwając długim paznokciem pod brodą Brama, po szyi aż do ucha, zostawiając cienkie czerwone

zadrapanie. – W twoich żyłach płynie jej krew i daje ci życie, które nie miało być twoim udziałem. Podobnie jak za grzechy, za taki dar trzeba kiedyś zapłacić. Po twojej śmierci przyjdę po ciebie; obiecałem jej, że poczekam tylko tyle. Posiadę twoją duszę na resztę wieczności. Dołączysz do moich pozostałych dzieci nocy – mówi Dracul, wskazując gestem na otaczających cmentarz nieumarłych. – Gdy twoje serce zabije po raz ostatni, zajmiesz miejsce u mojego boku.

Bram otwiera usta, by zaprotestować, ale zanim uda mu się wydusić choć słowo, Dracul patrzy na niego upiornymi, czerwonymi oczyma.

– Codail, mo mhac⁹.

I zapada ciemność.

LIST MATYLDY DO ELLEN CRONE Z 11 SIERPANIA 1868



NAJDROŻSZA ELLEN!

Nie wiem, co myśleć o ostatnich dniach. Większość tego czasu upłynęła mi w bezsennym zamroczeniu, a pozostali czuli się jak w koszmarze na jawie. Tego rodzaju koszmarze, w którym ktoś cię goni, ale ty biegniesz coraz wolniej, a drapieżnik jest tuż za tobą i rzuca ci się do gardła.

Dziś rano obudziłam się w nie swoim łóżku.

Dziś rano obudziłam się w tych samych ubraniach, które miałam na sobie wczoraj, pokrytych brudem i pyłem, przemoczona do suchej nitki w obcym łóżku, w pokoju, który mniej więcej pamiętam, ale nie potrafię rozpoznać chwilę po otwarciu oczu.

Wtedy przypomniałam sobie naszą podróż do Monachium, nasze dotychczasowe podróże, i usiadłam przerażona.

Nie mam pojęcia, jak trafiłam do pokoju w hotelu Quatre Saisons, bo ostatnie, co pamiętam, to pobyt w tamtym domku na skraju zapomnianej wioski otoczonej jedynie przez śmierć.

Przypomniałam sobie Ciebie, mojego brata i moją drogą bratową wyruszających nocą w śmiertelnie groźną drogę, bez oglądania się za siebie, ani razu. Gdybyś się obróciła, zobaczyłabyś Thornleya, który próbuje za Tobą biec; Vámbéryego, który go powstrzymuje; zobaczyłabyś zgraję nieumarłych

stojących dookoła i niepozwalających nam ruszyć się z miejsca, choćbym wpakowała w nich nie wiadomo ile kul.

Cóż można powiedzieć o niewiedzy? Mój brat uważa, że ma ona swoje zalety.

Kiedy dziś rano znalazłam Brama w jego pokoju, drzwi w drzwi z moim, był jeszcze bardziej skołowany niż ja. Gdyby nie jego krzyki, nie jestem pewna, czy w ogóle bym go znalazła, choć był tak blisko, ale wrzeszczał i nie przestał, dopóki nie wzięłam go w ramiona i nie uspokoiłam słowami o miłości, rodzinie i świadomością, że wszystko to jest tak blisko. Przez bardzo długi czas w ogóle się nie odzywał, a kiedy przemówił, jako pierwsze wypowiedział twoje imię. Wyrzucił je z siebie jednym tchem i sprawiło mu to wielki ból. O czymkolwiek myślał w tamtej chwili, sprawiło, że wybuchnął płaczem. Zapytałam go o Twój los, ale nie chciał nic wyjawić i stwierdził tylko, że coś tak potwornego nie przejdzie mu przez gardło. Może z czasem zmieni zdanie, ale na razie postanowiłam nie naciskać. Dość już ostatnio przeżył.

Prawdę mówiąc, wszyscyśmy dość przeżyli.

Kiedy wreszcie obeschły mu łzy i wrócił rozum, powiedział, że pamięta coś o niezwyklej wadze, i zaczął przetrząsać kieszenie. Wyciągnął z nich złożoną kartę papieru, zaadresowaną do niego – Twoim pismem. Niemniej odmówił mi ujawnienia jej zawartości. Sądzę, że wszystko w swoim czasie.

Opiekuj się nim teraz Vámbéry. Jak bardzo chciałabym pozbyć się tego człowieka z naszego życia!

Najdziwniej jednak było z Thornleyem. Podobnie jak Bram, Vámbéry i ja, obudził się sam w nieznanym sobie hotelu, w nieznanym pokoju i nieznanym łóżku dwa pokoje od Brama, tyle że nie był sam. Obok niego leżała jego żona, moja droga bratowa, Emily. Nie wstała razem z nami wszystkimi i, o ile mi wiadomo, nadal śpi w chwili, w której piszę ten list. Nie czuje się dobrze, co do tego nie mamy wątpliwości – jej skóra jest tak blada i chłodna – ale wróciła, i to najważniejsze. Czy zaaranżowałaś jej powrót z Draculem? Tak podejrzewam.

Nikt nie ma pewności co do tego, w jaki sposób przybyliśmy do hotelu. Vámbéry pytał w recepcji, ale nikt nie pamięta naszego wczorajszego powrotu

z wyprawy. Nie ma śladu po wynajętym przez nas powozie ani zaprzęgu. Kierownik nocnej zmiany przysięga, że ani na chwilę nie opuścił stanowiska, choć przecież musielibyśmy przechodzić koło niego. Nasze pokoje są na drugim piętrze, bez balkonów ani żadnego dostępu z zewnątrz. Chyba że przez wielkie okna wychodzące na plac. Nie wiem jak u innych, ale kiedy wstałam dziś rano, moje było otwarte, a w pokoju wciąż panował nocny chłód; musiało być otwarte od dłuższego czasu – myśl o tym, co uważasz.

Za trzy godziny wyruszamy do Dublina i wszystko to zostawimy za sobą. Podróż będzie trwała cztery dni, przez które będę miała czas się zastanowić, co powiedzieć mamie i tacie, o ile w ogóle cokolwiek im mówić. Może zadowolą się informacją, że wyjechałam z braćmi. Koniec końców tak naprawdę liczy się rodzina. Prawda? Tym akcentem muszę się pożegnać. Wiele się wydarzyło i będę potrzebowała czasu, by to przetrwać, przemyśleć i zrozumieć, co widziałam, ponieważ kiedy próbuję wyjaśnić i zinterpretować moje wspomnienia, wnioski robią się coraz dziwniejsze. Pozostawię Cię jednak z jednym niemądrym pytaniem, które właśnie przeszło mi przez myśl. Chociaż może się wydawać, że minęły wieki, przecież upłynęło dopiero dziesięć dni, odkąd napisałam swój pierwszy list do Ciebie, i zauważyłam, że wciąż zadaję sobie to samo pytanie co wtedy:

Gdzie jesteś?

Czuję, że powinnam być już bliżej odpowiedzi, ale prawda wydaje się jeszcze odleglejsza niż przedtem.

Z serdecznymi uściskami

Matylda

DWADZIEŚCIA DWA LATA PÓŹNIEJ



DZIENNIK BRAMA STOKERA



2 SIERPNIA 1890, 19.23

Położyłem list od Matyldy na wykonanym z drewna orzechowego pudełku, w którym spędził poprzednie dwadzieścia dwa lata, i rozparłem się w skrzypiącym fotelu, by gruntownie przemyśleć sprawę. Kiedy po raz pierwszy umieszczałem tam nasze rozmaite listy, gazety i pamiętniki, ułożyłem je w porządku chronologicznym najlepiej, jak umiałem, dodając również mapy ze szkicownika Matyldy. Sądziłem wówczas, że mam wszystkie materiały, ale czy mogłem mieć pewność? Nawet Vámbéry oddał mi swoje notatki, choć uczynił to z ociąganiem i dopiero po namowach ze strony mojej siostry. Nim zdążyliśmy wyjechać z Monachium i wrócić do swojskiego Dublinu, cała ta historia stała się nierzeczywista. Upodobniła się do potwornego koszmaru, który przyśnił się naszej grupce, i choć wszyscy udokumentowaliśmy nasze myśli, żadne z nas nie miało zanadto ochoty dzielić się nimi nawet ze sobą nawzajem.

Wydaje mi się niezwykle, że kilka osób może wspólnie przeżyć jakieś zdarzenia, a potem zupełnie się od siebie oddalić. A tak właśnie stało się w naszym przypadku. Thornley poświęcił się badaniom oraz pracy jako lekarz i wykładowca na medycynie. W całym Zjednoczonym Królestwie cieszy się poważaniem nie tylko jako doktor i społecznik, lecz także jako mecenas sztuki. Matylda ubiegłej wiosny wyszła za francuskiego dyplomatę. Nie wiem, ile powiedziała mu o tym wszystkim. Jej oddanie twórczości artystycznej zostało nagrodzone – obrazy mojej siostry wystawiane są w cenionych galeriach, a jej

celtyckie ilustracje i eseje ukazały się w „English Illustrated Magazine” oraz innych czasopismach. Arminius Vámbéry pozostał naszym towarzyszem na dobre i na złe, choć był obecny w naszym życiu z przerwami. Bywa, że przez kilka lat nie mamy ze sobą kontaktu, i muszę przyznać, że przyjmuję tę rozłąkę z ulgą; wtem Vámbéry zjawia się na kilka dni, jak gdybyśmy dopiero co się widzieli. Mówi jedynie, że pracuje dla rządu – choć nie udało mi się dotąd wydusić z niego, dla którego rządu – a szczegóły jego działalności najlepiej przemilczeć; reszta pozostaje tajemnicą. Pewnego wieczoru, po wielu kuflach piwa, wymsknęło mu się, że przez ponad rok podążał za Maggie i Deaglanem O’Cuivami, ale nic z tego nie wyszło. Gdziekolwiek się udali, przepadli jak kamień w wodę. Twierdzi, że dał sobie spokój z poszukiwaniami, ale zabrzmiało to w najwyższym stopniu nieprzekonująco.

Liczę na to, że przemieszczają się szybko. Mam gorącą nadzieję, że nadal będą poza jego zasięgiem.

A ja? W ostatnich dekadach trzy razy jeździłem do Monachium, ale nie zdołałem namierzyć tamtej wioski ani miejsca spoczynku Ellen – dokładnie tak jak zapowiedziała. To, co niegdyś tak łatwo było znaleźć, teraz zdawało się celowo ukrywać.

Jakoś sobie radzę w życiu zawodowym.

Oprócz recenzji teatralnych napisałem kilka powieści, nic szczególnie godnego zapamiętania, ale dochód z ich publikacji pozwolił mojej żonie Florence i mnie zażyć trochę przyjemności, które w innym razie byłyby trudno osiągalne. Mamy syna, Noela, obecnie jedenastoletniego.

Większość czasu spędzam w Lyceum Theatre na asystowaniu mojemu przyjacielowi Henry’emu Irvingowi. Dobiega końca intensywny okres przedstawień *Makbeta*, a w następnej kolejności rozważamy adaptację *Henryka VIII*.

Urządziłem się tutaj, w Londynie, ale dość często udaje mi się bywać w Irlandii. Jestem szczęśliwy i zadowolony.

Oczywiście odbiegam od tematu. Tak jest łatwiej, niż wyznać prawdziwą przyczynę, dla której chwyciłem dziś za pióro. Przyczynę, dla której po dwudziestu latach z okładem zdjętem z półki to pudełko z drewna orzechowego i przeglądam jego zawartość.

* * *

MIAŁEM DZISIAJ GOŚCIA.

Kobietę.

Kobietę, której nigdy przedtem nie spotkałem, a mimo to w zaledwie piętnaście minut zdołała ona wywrócić moje życie do góry nogami i zatrząść nim w posadach.

Siedziałem przy biurku, rozliczając wpływy z wczorajszego spektaklu, kiedy moją uwagę odwróciło zdecydowane pukanie do drzwi.

– Pan Stoker?

Podniosłem wzrok i ujrzałem drobną kobietę mierzącą góra metr pięćdziesiąt parę, z brązowymi włosami do ramion i ubraną w plisowaną bluzkę z wysokim kołnierzem oraz wygodną spódnicę – coś takiego mogłaby włożyć na siebie Matylda. Domyśliłem się, że to najnowszy krzyk mody, daleki od bezsensownych wymysłów starszych pokoleń, za to uszyty z myślą o komforcie. Dałbym jej dwadzieścia kilka lat, ale trudno było określić jej wiek z całą pewnością; powiedzmy, że cechowała się ponadczasową urodą. Po lewej stronie bluzki, do plisy, miała przypiętą białą dziką różyczkę.

Odłożyłem pióro i zapytałem z uśmiechem:

– Tak?

– Czy mogę zamienić z panem słowo? Nazywam się Mina Harker.

Wstałem i podsunąłem jej krzesło, po czym zająłem miejsce za biurkiem.

– Czym mogę służyć, panno Harker?

– Pani Harker. Niedawno wyszłam za mąż.

– Moje gratulacje. – Uśmiechnąłem się ponownie. – A zatem, pani Harker, co mogę dla pani zrobić?

Odwzajemniła uśmiech, ale było w tym coś wymuszonego i bez trudu zorientowałem się, że coś ją gryzie. Była to rozgarnięta kobieta i widać było, że dokładnie zaplanowała tę wizytę i poukładała sobie w głowie to, co ma do powiedzenia, żeby nie stracić wątku i nie odpłynąć od tematu.

Pani Harker sięgnęła do torby i wyjęła z niej plik dokumentów, schludnie zapisanych na maszynie i oprawionych. Położyła rękopis na biurku i przesunęła w moim kierunku.

– Myślę, że mamy wspólnego wroga. Arminius Vámbéry mówi, że jest pan godny zaufania.

Nie czekała, aż zapoznam się z zawartością papierów – zapowiedziała tylko, że wróci nazajutrz o tej samej porze, i wyszła.

Na dźwięk nazwiska Vámbéryego domyśliłem się, o co może chodzić, ale pomyślałem, że to niemożliwe. Nawet kiedy już zacząłem czytać i wertowałem materiał strona po stronie, nadal nie chciało mi się wierzyć.

Na samym końcu pani Harker pismem wskazującym na pośpiech dopisała dwa zdania:

Vámbéry powiedział, że pan wie, gdzie ten potwór się ukrywa. Dokąd się udaje, żeby lizać rany?

Przez chwilę zastanawiałem się nad tymi słowami, po czym wróciłem do początku i wbiłem wzrok w dwa wyrazy zapisane na samym środku pierwszej strony:

HRABIA WAMPYR

Wziąłem pióro i przekreśliłem „wampyr”, zastąpiłem go słowem „Dracul” i dopisałem na końcu „a”, zgodnie z tym, czego dowiedziałem się, zanim przed laty zepchnąłem wszystkie te informacje na skraj świadomości.

Dokumenty powędrowały do mojej skórzanej teczki. Stwierdziłem, że lepiej będzie, jeśli następnego dnia pani Harker mnie nie zastanie. Tym bardziej że z rana zamierzałem wyruszyć do Whitby i jeszcze raz dokładnie wszystko przeczytać podczas jazdy. Ktoś mógłby powiedzieć, że to przeznaczenie –

ostatecznie Mina Harker trafiła do mnie akurat teraz, w momencie gdy planuję urlop i rozpoczęcie pracy nad nową powieścią, nową powieścią o czymś bardzo starym – o złu wśród nas i całkiem niepojętej prawdzie. Ktoś inny uznałby, że to zwykły zbieg okoliczności.

Nie zgodziłbym się ani z jednym, ani z drugim stwierdzeniem, bo w żadne z nich nie wierzę.

* * *

WZIAŁEM PIÓRO do ręki i napisałem:

Stała przede mną skąpana w księżycowej poświacie; nie przypomniałem sobie, żebym kiedykolwiek widział tak oszałamiająco piękną dziewczynę. Pominę tu dokładniejszy opis, słowa nie są bowiem w stanie oddać jej olśniewającej urody, wspomnę tylko, że miała jasnozłote włosy upięte w kok. Oczy zaś duże i niebieskie.

Nasza Ellen. Moja Ellen.

Znowu te oczy, są identyczne.

Kaszlnąłem w chusteczkę, moją ulubioną, na której jakiś czas temu mama wyhaftowała fioletowe kwiatki, przywodzące mi na myśl dzikie storczyki rosnące na polach wokół naszego domu, w miejscu naszych wędrówek. Na białej tkaninie widniały szkarłatne ślady, nowsze i starsze, oznaki śmierci, nieschodzące w praniu. Kiedy ponownie kaszlnąłem, załśniła moja czerwona ślina. Nie była to już krew Ellen, ale moja własna. Na przestrzeni lat jej krew zniknęła z mojego ciała, a wraz z nią jej właściwości lecznicze. Czułem, że bóle i dolegliwości z dzieciństwa budzą się z długiego snu i z powrotem wkradają się do mojego ciała.

Czas – dar, który otrzymałem od Ellen – dobiegał końca.

Dracul oznajmił, że przyjdzie po mnie, kiedy umrę, a ja mu uwierzyłem. Wczoraj zadysponowałem, aby skremowano mnie tuż po śmierci; miał to być mój ostateczny szach-mat w toczonej przez nas grze.

Przysięgłem Ellen, że nigdy po nią nie wrócę – przynajmniej dopóki on żyje. Ta obietnica prześladowuje mnie każdego z moich pożyczonych dni.

Dopóki on żyje.

Zajrzałem do stojącego na biurku pudełka z drewna orzechowego. Przetrzęsnałem je do dna, aż znalazłem to, czego szukałem – karteczkę, którą Ellen przekazała mi, gdy ostatnio ją widziałem.

Ostrożnie rozłożyłem papier i wygładziłem jego brzegi, zżółkłe i pomarszczone od upływu bezwzględnego czasu. Spojrzałem na jej pismo, wyblakłe, ale wciąż czytelne.

wykończ go

szerokość 47

długość 25,75

Ramię nie dokuczało mi już od jakiegoś czasu, ale tego dnia świąd powrócił i nie chciał ustać. Wiedziałem, dokąd udam się z Whitby; ta trasa została mi narzucona dawno temu. A moje słowa to zaledwie okruszki chleba, które zostawiłem za sobą.

Wreszcie przyszedł czas, bym złożył Draculi długo odkładaną wizytę, z najostrzejszym kołkiem w dłoni.

– *Bram Stoker*

EPILOG



KARTA PACJENTA NR 40562 DR WILLIAM THORNLEY STOKER



17 PAŹDZIERNIKA 1890

W ściany wdała się wilgoć; to przyczyna zapachu stęchlizny w powietrzu, co do tego nie mam wątpliwości. A przynajmniej zawsze tak sobie powtarzam, ilekroć schodzę na to piętro i przechodzę korytarzem, regularnie w każdy wtorek i piątek, od ponad dwudziestu lat. Lat, które nie były dla mnie łaskawe, gdyż dokładnie czuję je w kościach. Dziś ból promieniuje z mojej lewej nogi – obawiam się, że to podagra, ale za wcześnie jeszcze, by o tym przesądzać.

Przyniosłem jej obiad. Może to jest prawdziwa przyczyna, dla której odwiedzam ją dwa razy w tygodniu – świadomość, że tylko ja mogę przynieść jej obiad. Oczywiście, personel szpitalny co dzień podsuwa jej posiłki, ale zwykle pozostają nieruszone; to moje obiady utrzymują ją przy życiu.

Drzwi do jej pokoju znajdują się na końcu korytarza; duże, ciężkie, z wąskim okienkiem u dołu, przez które można wsunąć tacę z posiłkiem, oraz z przymocowanym na środku prostym wazonem, w którym stoi pojedyncza biała dzika róża. Wyjmuję kwiat z wtorku, teraz uschły i martwy, i zastępuję go świeżym, z mojego własnego ogrodu. W pomieszczeniu brak okien, a ściany wykonano z grubego kamienia.

Od jakiegoś czasu nie próbowała ucieczki. Pociesza mnie fakt, że białe róże nie pozwalają jej się wydostać, choć nie będę udawał, że wiem, dlaczego tak się

dzieje.

Wsuwam tacę przez szparę. Zostaje wciągnięta na drugą stronę, po czym rozlega się ciche siorbanie, którego staram się nie słyszeć. Po wszystkim odzywa się do mnie głos tak jasny i doskonały, że aż godny anioła.

– Muszę ci coś wyznać, Thornleyu. Coś, co najlepiej mówi się szeptem. Wypuść mnie, żebym mogła powiedzieć ci to na ucho.

Opieram się o drzwi, kładę rękę na drewnie. Chciałbym jej dotknąć, poczuć na sobie jej dotyk, czułe pocałunki. Ale wiem, że nigdy do tego nie dojdzie.

– Wiesz, że nie mogę.

– Ale tęsknię za twoim dotykiem.

– A ja za twoim.

Wystawia przez szparę palce, a ja przykucam i kładę swoją dłoń na jej dłoniach. Jest zimna, zawsze taka zimna, ale to moja Emily i nic mnie to nie obchodzi. Pragnę tego kontaktu.

Można sporo powiedzieć o drugiej osobie na podstawie jej dłoni – ich gładkości lub szorstkości, koloru skóry, dbania o paznokcie. Kiedy patrzę w dół na nasze ręce splecione na kamiennej podłodze, uderzają mnie różnice między nami. Prawdę mówiąc, nie mam dłoni robotnika, lecz chirurga, ale czas odciska na nich swoje piętno. Moja skóra to mieszanina różnych kolorów – widać na niej plamy wątrobowe i grube żyły. Zgrubiały mi palce. Nie są to ręce mojego ojca, ale czasem zastanawiam się, czy w ogóle są moje, tak bardzo zmieniły się w ciągu lat.

Emily porusza palcem; lubi to robić, kiedy trzymamy się za ręce. Jej palce rzadko pozostają w bezruchu – może w ten sposób chce mi powiedzieć, że wciąż tu jest, że o mnie myśli. Patrzę na jej palec, jest taki gładki i delikatny jak skóra dziecka nietknięta przez czas.

Kiedy tak trzymamy się za ręce, widzę, jak rośnie dystans między nami, jak przybywa lat. Razem się zestarzejemy, nasze dłonie zawsze będą się splatać, ale tylko na moich będzie znać upływ dni.

– Pobędziesz ze mną trochę? – pyta cicho.

– Zawsze będę przy tobie.

OD AUTORÓW



DLA WIELU Z NAS powieść *Dracula* miała charakter formacyjny. Sięgamy po tę książkę jako dzieci lub młodzież i wracamy do niej po latach. Zawsze stoi na półce, jest jak stary przyjaciel, którego obecność zdaje się tak oczywista, że nie zadajemy sobie pytania, skąd właściwie się wziął, jaka jest historia tej opowieści. A wydarzenia, które doprowadziły do jej publikacji, są owiane tajemnicą, podobnie jak ukazana w tej klasycznej już książce wyprawa Jonathana Harkera. Kiedy Bram Stoker po raz pierwszy zaniósł swój rękopis do swojego brytyjskiego wydawcy (Archibald Constable & Company), zaczął rozmowę od jednego prostego zdania:

Ta historia jest prawdziwa.

W pierwotnej przedmowie do *Draculi* czytamy:

Wkrótce czytelnik będzie miał okazję zaobserwować, jak wydarzenia przedstawione na kartach tej książki stopniowo składają się na logiczną całość. Usunąłem z niej pewne fragmenty, które uznałem za zbędne, lecz poza tym oddałem głos bohaterom, aby sami mogli opowiedzieć o swoich doświadczeniach; z oczywistych względów zmieniłem nazwiska postaci i nazwy miejsc, które się tu pojawiają. Poza tym nie wprowadzam do rękopisu żadnych modyfikacji, by uczynić zadość życzeniom tych, którzy uznali za swój obowiązek zaprezentowanie go odbiorcom.

Żywię głębokie przekonanie, że bez najmniejszej wątpliwości przedstawione tu zdarzenia naprawdę miały miejsce, chociaż na pierwszy rzut oka mogłyby się

wydawać niewiarygodne czy niezrozumiałe. Jestem również pewien, że na zawsze pozostaną one w jakiejś mierze niepojęte, aczkolwiek może psychologia i nauki przyrodnicze podadzą w przyszłości logiczne wytłumaczenie takich dziwnych zjawisk, których w chwili obecnej nie potrafią rozgryźć ani uczeni, ani tajna policja. Powtarzam raz jeszcze, że tajemnicza tragedia, o której mowa, jest absolutnie rzeczywista we wszystkich obiektywnych aspektach, choć naturalnie w pewnych kwestiach doszedłem do odmiennych wniosków niż bohaterowie tej opowieści. Niemniej autentyczność przedstawionych wydarzeń jest niepodważalna i wie o nich tyle osób, że nie sposób im zaprzeczyć.

Bram jasno stwierdził również, że wiele z postaci opisanych w książce to prawdziwi ludzie. W przedmowie czytamy dalej:

Wszyscy ci, którzy z własnej woli – bądź mimo woli – odegrali rolę w tej niezwyklej historii, są ludźmi powszechnie znanymi i cieszą się poważaniem. Jonathan Harker, jego żona (której nie można odmówić charakteru), jak również doktor Seward są moimi przyjaciółmi od tak wielu lat, że nie wątpię w ich prawdomówność. Również nazwisko pewnego niezwykle cenionego naukowca, który występuje tu pod pseudonimem, jest na tyle sławne wśród ludzi wykształconych na całym świecie, że choć nie przytaczam tu jego brzmienia, będzie ono oczywiste – zwłaszcza dla tych, którzy z własnego doświadczenia znają jego geniusz i dokonania, mimo że jego poglądy na życie podzielają nie bardziej niż ja.

Bram nie chciał, żeby traktowano *Draculę* jak fikcję, lecz jak ostrzeżenie przed prawdziwym złem.

Wydawca, w obawie przed publikowaniem takiej historii jako opartej na faktach, odsunął od siebie rękopis leżący na biurku i skwitował to jednym słowem: „Nie”.

Otto Kyllman z wydawnictwa Archibald Constable & Company dodał, że Londyn wciąż dochodzi do siebie po brutalnych morderstwach w Whitechapel i w momencie, gdy zabójca nadal jest na wolności, nie mogą opublikować takiej

historii, nie ryzykując wybuchu masowej paniki. Konieczne więc będzie wprowadzenie zmian.

W takiej sytuacji Stoker niemal wycofał rękopis, świadom, że kompromis mógłby doprowadzić do zatarcia przekazu. Zarazem jednak wiedział, że bez wydawcy jego przesłanie w ogóle do nikogo nie dotrze. Ostatecznie ustąpił i przez następne miesiące pracował z Kyllmanem nad wprowadzaniem zmian do powieści, bezustannie ścierając się odnośnie do tego, co może zostać, a co trzeba usunąć. Nawet tytuł książki przerobiono z *Nieumarłego* na *Draculę*.

Gdy wreszcie powieść ukazała się 26 maja 1897, brakowało pierwszych 101 stron pierwotnego tekstu. Wprowadzono liczne modyfikacje; epilog został skrócony, a ostateczne losy Draculi i jego zamku uległy zmianie. Z książki wypadły dziesiątki tysięcy słów, przedmowę zredukowano do jednego akapitu:

Zasada, według której uporządkowano te wydarzenia, stanie się jasna w miarę lektury. Wszystkie zbędne wątki zostały wyeliminowane tak, aby ta opowieść – której z perspektywy czasu może być trudno dać wiarę – prezentowała się jako prosty fakt. W całej książce nie ma stwierdzeń odnoszących się do przeszłości, potencjalnie zniekształconej przez pamięć, lecz pojawiają się wyłącznie relacje z wydarzeń na bieżąco zgodne z punktem widzenia i zakresem wiedzy tych, którzy je sporządzili.

* * *

I TAK ZACZEŁA SIĘ GRA, narodziła się tajemnica, którą zaczęliśmy odkrywać ponad sto dwadzieścia lat później. Dzisiejsza praktyka wygląda tak, że autor wysyła rękopis powieści do wydawcy w swoim kraju, a potem ten wydawca albo agent literacki autora przekazuje książkę zagranicznym wydawcom, z którymi współpracuje. I zasadniczo we wszystkich krajach ukazuje się ta sama, pierwotna wersja utworu. W czasach Brama wyglądało to inaczej. Stoker osobiście rozsyłał projekt książki do wydawców na całym świecie. Zgadząc się na zmiany proponowane przez Kyllmana, miał świadomość, że ograniczą się one tylko do

wydania brytyjskiego; do innych wydawców mógł wysyłać oryginalną wersję dzieła.

Więc Bram znalazł sposób, żeby opowiedzieć swoją historię.

A photograph of a handwritten note in cursive script. The text reads: "I once knew a little boy who put so many flies into a bottle that they had not room to die !!!". The ink is dark, and the paper appears slightly aged or off-white.

„Znałem kiedyś chłopczyka, który wpakował do butelki tyle much, że nie miały miejsca, aby umrzeć!!!” – zacytowane w części II *Dracula*

W całym *Draculu* można napotkać odniesienia do *Makt Myrkranna*, niedawno przetłumaczonej na angielski islandzkiej wersji *Draculi*. Tytuł *Makt Myrkranna* – co oznacza „moce ciemności” – to nie *Dracula* taki, jakiego znamy. Różnice wychodzą daleko poza kwestie tłumaczeniowe. W islandzkim wydaniu pojawiają się inne postaci, miejsca i wątki. I choć obie książki podobnie się zaczynają, to ich zakończenia nie mogłyby się bardziej różnić. *Dracula* zakochuje się w kobiecie dorównującej mu pod wieloma względami, znanej mu jako hrabina Dolingen von Gratz – którą Bram utożsamia z Ellen. Kiedy czyta się *Makt Myrkrannę*, opowieść, którą wydawało się nam, że znamy jako *Draculę*, staje się mniej konkretna, robi się niepokojąco płynna. Podczas lektury można odnieść wrażenie, jakby Bram szeptał nam do ucha, że ta historia jest znacznie bardziej złożona.

Co takiego znajdowało się na owych 101 stronach? Bram zostawił ślad w postaci okruszków chleba i wystarczy wiedzieć, gdzie szukać, i zechcieć za nimi podążać. Kluczem do odkrycia całej opowieści, którą Bram chciał przekazać, zdają się pierwsze światowe wydania powieści.

Vampire

mammal

~~go looking for~~ flowers in ~~London~~

~~see how see him reflected~~
~~in the - no shadows?~~

light an ~~angel~~ & give me
shadow -

~~never eat, nor drink~~

Carried ~~in~~ led over threshold

enormous strength -

see ~~in~~ the dark

power of getting small or large

money always old gold - traced to
Salisbury banking house

at ~~Minnel~~ ~~and~~ house see face among

I. 2. flowers - ~~this~~ ~~corpse~~ - but is alive

III. ~~at~~ (after ~~ward~~ when white mantles given in
same as face of Count in London

Doctor at ~~some~~ Customhouse sees him
a corpse -

Office deleted by luther over - one
wrong as thought -

Wampir
Notatka
brak luster w zamku hrabiego

nigdy nie widać jego odbicia – brak cienia?
światła ustawione tak, żeby nie rzucać cienia
nigdy nie je ani nie pije
przenoszenie lub przeprowadzanie przez próg
ogromna siła
widzenie w ciemności
umiejętność zmniejszania się i powiększania
pieniądze zawsze stare złoto – pochodzące z banku w Salzburgu
w kostnicy w Monachium widać twarz otoczoną kwiatami – wygląda jak
zwłoki – ale jest żywa
III potem, kiedy wyrastają białe wąsy, jest taka sama jak twarz hrabiego
w Londynie
Doktor w komorze celnej w Dover widzi jego lub ciało
Trumny wybrane do wzięcia – jedna zła, jedna zabrana

Bram pozostawił również obszerne notatki. Rzadko pojawiał się bez notatnika w kieszeni. Dokumentował wszystko, od pomysłów pisarskich przez rodzinne anegdotki po warunki pogodowe. Część *Dracula* pochodzi z jego zapisków – dzięki nim zdołaliśmy wskrzesić słowa Brama.

Z początku Bram precyzował, co wampiry potrafią robić, a czego nie. Czego brak na jego liście? Światła słonecznego. Bram czuł, że wampiry mogą poruszać się w ciągu dnia, ale są wtedy pozbawione swoich mocy. Śmiertelny wpływ słońca na wampiry został włączony do legend o nich dopiero w filmie *Nosferatu* z 1922 roku.

A jakie były prawdziwe początki Stokerowskiego potwora?

Chociaż wielu uważa, że Dracula to Wład Dracula, nigdzie w notatkach Brama nie ma mowy o Władzie Palowniku. Łączy ich tylko nazwisko.

Związek między Władem Palownikiem i hrabią Draculą nie pochodzi od Brama; to tylko spekulacje wysunięte przez dwóch profesorów z Boston College: Raymonda McNally’ego i Radu Florescu w książce *In Search of*

Dracula, opublikowanej w 1972 roku. Wątek Włada Palownika został również ugruntowany przez Francisca Forda Coppolę w filmie *Dracula* z 1992 roku.

(2)

Scholomance = school in mountains where devil teaches
 mysticis of nature. Only 10 pupils at one & D. stays
 as a payment.

Castle enclosed with speech on Yarns night
 Yarns night can be compared to. These
 burning words in threshold will protect against
 Swallow - goldie the diabolical hand - is luck
 Crow is the specific the fly the the the the
 my own hand

Swallow the the the the the the the the
 to kill spider is unfortunate
 word is the the the the the the the the

skull of horse the the the the the the the the
 black words the the the the the the the the
 the the the the the the the the the

left hand of the the the the the the the the
 spiriduch = the the the the the the the the

13 is the the the the the the the the

have across path the the the the the the the the
the the the the the the the the

Scholomancja – szkoła w górach, w której Diabeł naucza o tajemnicach przyrody. Tylko 10 uczniów naraz, a jeden zostaje jako zapłata.

W rzeczywistości potwór Brama był znacznie starszy od Włada Palownika. Tak naprawdę wywodził się ze Scholomancji, jak czytamy w pierwszej linijce tej notatki:

Tym „jednym” był Dracula.

Skąd wzięła się fascynacja Brama potworami? Wszystko zaczęło się, kiedy w dzieciństwie jego niania Ellen opowiedziała mu historię o Dearg-Due.

* * *

DRACUL, PODOBNIIE JAK *Dracula*, zakorzeniony jest w faktach. W przypadku opowiadania historii takiej jak ta konieczne okazały się zmiany kilku dat i skondensowanie niektórych wydarzeń. Pełne, starannie opracowane informacje na temat historii rodziny Stokerów znajdują się na stronie www.bramstokerestate.com.

Zgodnie z tym, co wiadomo, Bram był dzieckiem chorowitym, nie chodził, kilka razy otarł się o śmierć i był przykuty do łóżka aż do siódmego roku życia, kiedy to nastąpiło cudowne wyleczenie. Problemy zdrowotne z dzieciństwa nie odbiły się na jego późniejszej formie – przeciwnie, kiedy rozpoczął studia w Trinity College, z powodzeniem uprawiał sporty, takie jak wioślarstwo, pływanie, gimnastyka, rugby i chód sportowy. Wśród licznych krewnych Stokera było wielu lekarzy, w tym William Stoker (1773–1848), specjalista od gorączki i puszczania krwi, oraz jego syn, Edward Alexander Stoker (1810–1880), który leczył małego Brama. Kiedy chłopiec poczuł się lepiej, słuchał historii o banshee, zjawach pijących krew, legendy o Dearg-Due oraz o osobistym koszmarze, jaki stał się udziałem jego matki, Charlotte. W wieku czternastu lat przeżyła ona w Sligo epidemię cholery, o której potem opowiadała Bramowi. Na jego prośbę matka utrwaliła swoje wspomnienia na ten temat. Jej wstrząsająca relacja spisana w 1873 roku znajduje się w zachowanych papierach Brama.

Stokerowie – Charlotte i Abraham senior – mieszkali w miejskim domu przy Marino Crescent, skąd po narodzinach Thornleya w 1845 przeprowadzili się do Artane Lodge. Wkrótce, w 1849 roku, na świat przyszło ich trzecie dziecko,

Tom. Nieopodal wznosił się zamek Artane, który zdążył popaść w ruinę, zanim Bram był wystarczająco zdrów, by swobodnie poruszać się po okolicy.

Thornley należał do najbardziej renomowanych chirurgów w Irlandii. Pracował na wielu stanowiskach, w tym chirurga wizytującego w Szpitalu Swifta dla Obłąkanych, w którym podobno przeprowadzał zabiegi tak nowatorskie, że nie było na nie jeszcze nazw.

Żona Thornleya, Emily, rzeczywiście ostatnie lata swojego życia spędziła zamknięta w tym szpitalu z powodów znanych tylko jej mężowi, który odpowiadał za umieszczenie jej tam. Nikt nie wie też, dlaczego Thornley przez większość dorosłego życia nosił przy sobie pukiel włosów, należących do Ellen Crone, która wiele lat pracowała u Stokerów jako niania.

Matylda od najwcześniejszych lat przejawiała zdolności artystyczne. Ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Dublinie i została członkinią Królewskiej Akademii Irlandzkiej. Studiowała malarstwo oraz ceramikę i już w dzieciństwie ona i Bram zdobywali nagrody za swoje prace. Kiedy Abraham senior przeszedł na emeryturę, Matylda razem z młodszą siostrą, Margaret, i rodzicami wyjechali za granicę – najpierw do Francji, potem do Szwajcarii, a następnie do Włoch, gdzie Matylda kontynuowała studia artystyczne. Po śmierci ojca najpierw mieszkała z Bramem i Florence, a potem z George'em i jego żoną, Agnes. W 1889 roku, w wieku czterdziestu trzech lat, wyszła za jedenaście lat starszego Charles'a Petitjeana.

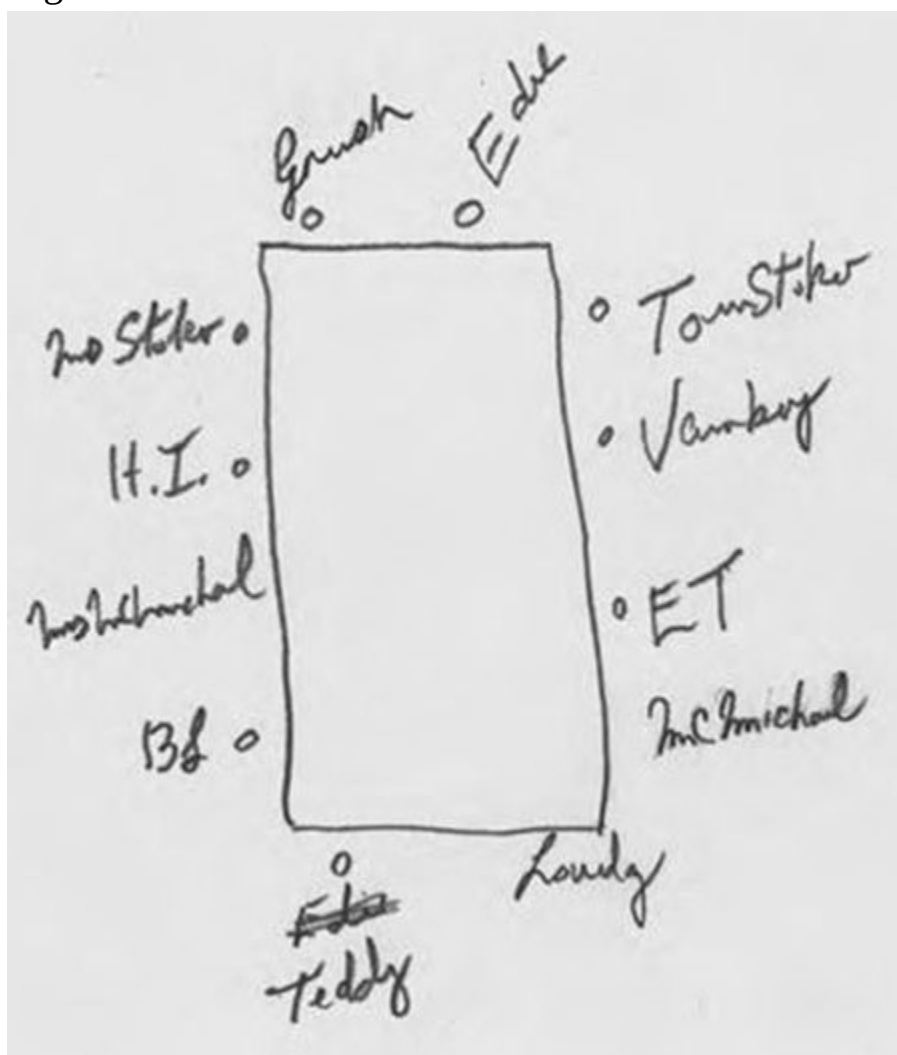
W czasie długiej kariery w Indyjskiej Służbie Cywilnej Tom piastował różne urzędy, z których najważniejszym był sekretarz sekretarza stanu. Po powrocie do dublińskiego Blackrock w 1891 poślubił Enid Bruce. Wraz z nią udał się z powrotem do Indii, gdzie mieszkali aż do jego przejścia na emeryturę w 1899 roku.

Wioska potępionych istnieje po dziś dzień, tak jak za czasów Brama, ukryta gdzieś nieopodal Monachium.

W 1868 roku opactwo Whitby szczyliło się centralną wieżą – na jej szczycie mieściło się pomieszczenie, w którym rozegrały się dramatyczne wydarzenia

z udziałem Brama, opisane w *Draculu*. W czasie pierwszej wojny światowej marynarka niemiecka ostrzelała i zniszczyła wieżę, a wraz z nią większość opactwa.

Chociaż Bram czuł, że powinien chronić prawdziwą tożsamość Van Helsinga, wielu sądzi, że chodzi o Arminiusa Vámbéryego, przyjaciela Thornelya i Brama, który miał bogatą przeszłość i uczęszczał do Beefsteak Club przy Lyceum Theatre. W tekście *Draculi* Stoker nawiązuje do tej postaci – Van Helsing wspomina o „swoim przyjacielu, Arminiusie z Uniwersytetu Budapeszteńskiego”.

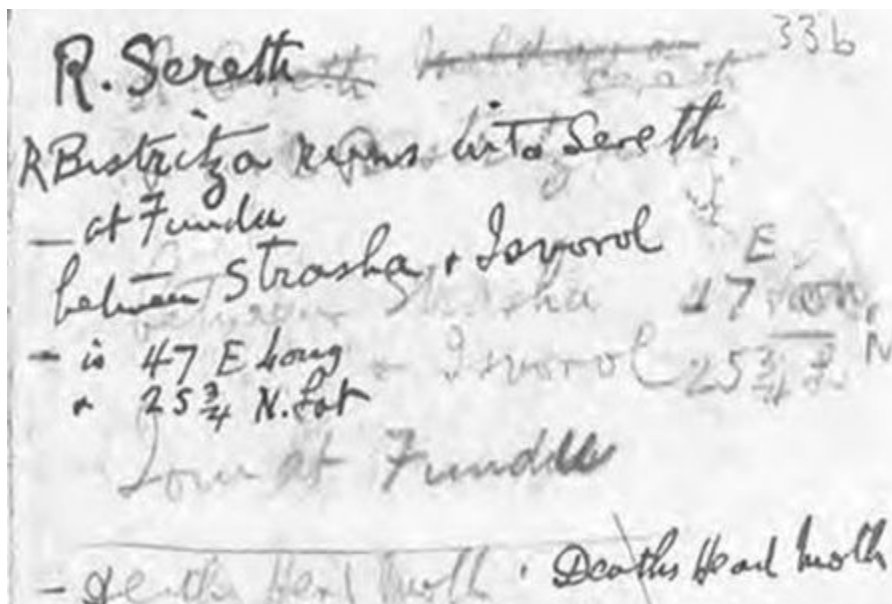


Sposób usadzenia gości w Breakfast Club (zgodnie ze wskazówkami zegara): Bartholomew Grunsh (były prywatny sekretarz Lajosa Kossutha, gubernatora Węgier), Eddie Wardell (córka Ellen Terry), Tom Stoker (brat Brama), Arminius Vámbéry, Ellen Terry (sławna aktorka), pan McMichael,

Harry Loveday (scenograf z Lyceum Theater), Teddy Terry, Bram Stoker, pani McMichael, Henry Irving, Florence Stoker (żona Brama)

W swoim prywatnym dzienniku Bram opisał faktyczne położenie zamku Draculi, wskazując szerokość i długość geograficzną, tyle że w odwrotnej kolejności, i strzegł tej lokalizacji do końca życia:

Bram znalazł sposób, by opowiedzieć nam swoją historię – posłużyły mu do tego notatki i dzienniki, zarówno opublikowane, jak i nie, oraz wskazówki celowo pozostawione w pierwszych wydaniach jego arcydzieła. Tak oto doprowadził nas do *Dracula*.



W marcu 2017 roku Paul Allen, współzałożyciel Microsoftu, zaprosił nas do obejrzenia oryginalnego rękopisu *Draculi: Nieumarłego*, który jakiś czas wcześniej kupił na aukcji. Dzięki temu zyskaliśmy rzadką okazję do zweryfikowania wielu z naszych ustaleń. Chociaż poproszono nas o podpisanie klauzuli poufności, na mocy której nie wolno nam ujawnić sporej części tego, co zobaczyliśmy, możemy potwierdzić, że opowiadanie *Gość Draculi*¹⁰ najprawdopodobniej zostało wycięte z pierwotnej powieści. Możemy również potwierdzić, że rękopis będący w posiadaniu Allena zaczyna się na stronie 102, której numer został przekreślony i zastąpiony przez 1, a zatem brakuje pierwszych 101 stron. W całym rękopisie poznajdowaliśmy fragmenty wycięte

z ostatecznego manuskryptu, odnoszące się do wydarzeń opisanych na owych pierwszych 101 stronach, które później stały się niniejszą powieścią.

Wiele razy Bram zaglądał nam przez ramię i czytał nasze słowa zapełniające stronicę; czytał swoje słowa zaczerpnięte z dawno zapomnianych tekstów. Mamy nadzieję, że się uśmiechał, widząc naszą pracę, i podsuwał nam notatki, sugerując, na co dalej powinniśmy zwrócić uwagę.

Bram Stoker powiedział kiedyś: „Istnieją tajemnice, które ludzie mogą tylko próbować odgadnąć, a z czasem rozwiązać co najwyżej w części”. *Dracul* to pierwszy krok na drodze do zrozumienia tajemnicy, którą Bram nam zostawił. Może w miarę tłumaczenia wydań *Draculi* z całego świata i porównywania ich z oryginałem opublikowanym przez Archibald Constable & Company dowiemy się reszty.



Czy Bram Stoker naprawdę wierzył, że kiedy umrze, wówczas Dracula, ten potwór, który prześladował go od dzieciństwa, przyjdzie po jego nieśmiertelną duszę? Tego nigdy się nie dowiemy. Trudno się jednak nie zastanawiać, czemu polecił, by natychmiast po śmierci poddano go kremacji, choć w tamtej epoce

nie był to powszechny obyczaj. Może zobaczył w mroku coś, co go zastanowiło – podszeptało mu wspomnienie opowieści zasłyszanej w dzieciństwie? A może przeczytał dawno zaginioną notatkę od swojej niani i zrozumiał, że nie wszystkie potwory odchodzą z upływem czasu? W rzeczywistości niektóre wcale cię nie opuszczają – tylko czekają. Nie brak im cierpliwości. I za wszelką cenę trzeba wyprzedzać ich o krok, znajdować się choćby kilka cali poza ich zasięgiem.

PODZIĘKOWANIA DACRE'A



NAJPIERW CHCIAŁBYM podziękować licznym słuchaczom moich prezentacji z cyklu „Stoker o Stokerze” w ciągu ostatnich dziesięciu lat, ponieważ zachęcili mnie do opublikowania historii, którymi się z nimi podzieliłem. Nic nie doszłoby do skutku, gdyby nie współautor tej książki, J.D. Barker. Podziwiam jego genialne umiejętności budowania fabuły; swobodna współpraca z nim przyniosła mi autentyczną satysfakcję.

Jeśli chodzi o archiwa i tradycje rodziny Stokerów, które pod wieloma względami stanowią fundament historyczny tej powieści, na szczególne uznanie zasługuje moja żona, za swoją pracowitość, wyczulenie na detale oraz ogólnościową sieć kontaktów rodzinno-genealogicznych. Zawdzięczam Jenne więcej, niż chciałbym wyjawić. Dziękuję również mojemu synowi Parkerowi za sympatyczną informację zwrotną i pomoc redakcyjną.

Kiedy przedstawiłem wstępny szkic *Dracula* mojej matce, Gail, przypomniała mi się notatka Charlotte Stoker na temat *Draculi* skierowana do Brama: „Coś wspaniałego, wykraczającego o tysiąc mil poza to, co kiedykolwiek przedtem napisałeś [...]. Dobra robota”. Wsparcie mamy zawsze miało dla mnie podstawowe znaczenie.

Szczególne podziękowania kieruję też do Kristin Nelson, mojej agentki, oraz Marka Tavaniego, redaktora prowadzącego w wydawnictwie Putnam, za pomoc w przywróceniu do życia Brama i jego rodziny na kartach tej książki.

PODZIĘKOWANIA J.D. BARKERA



W PRZYPADKU KSIĄŻEK takich jak ta podziękowania należą się tak wielu osobom, że niezmiennie pomijam jedną albo dziesięć. Przepraszam za to z góry.

Kristin Nelson, moja znakomita agentka i przyjaciółko. Dziękuję Ci za to, że znalazłaś tej książce dom. Marku Tavani i wszyscy z wydawnictwa Putnam – dziękuję Wam za ciepłe przyjęcie nas w tym domu.

Dacre Stokerze wraz z rodziną – dziękuję Wam za to, że zaprosiliście mnie do swojego świata i uchyliliście przede mną zasłonę kryjącą skarbnicę dzieciństwa. Dziękuję Ci, Bramie, za słowa, które pozostawiłeś. Świat poznał już Twój koszmar; może teraz pozna również Ciebie.

Wreszcie moja ulubiona osoba, moja żona, Dayna. Może i mam głowę pełną opowieści, ale nasza historia zawsze nad nimi góruje. Dziękuję Ci za to, że jesteś sobą.

O AUTORACH



DACRE STOKER – pochodzący z Kanady potomek Brama Stokera. Współautor bestsellerowej oficjalnej kontynuacji Draculi zatytułowanej *Dracula the Undead* (2009) oraz współredaktor dzienników Brama Stokera. Obecnie mieszka z żoną w Aiken, w Stanach Zjednoczonych.

J.D. BARKER – światowej sławy autor bestsellerów, zdobywca licznych nagród literackich. Jego książki porównuje się do Dzieł Stephen Kinga, Deana Koontza i Thomasa Harrisa. Mieszka w Pensylwanii. W Polsce znany jest jako autor świetnie przyjętej trylogii Zabójcy Czwartej Małpy, w skład której wchodzi: *Czwarta małpa* (2018), *Piąta ofiara* (2019) oraz *Szóste dziecko* (2020). Cykl ukazał się nakładem Wydawnictwa Czarna Owca.

- 1 Nowela Edgara Allana Poe (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
- 2 W folklorze irlandzkim – wampirzyca uwodząca ludzi.
- 3 Casa... (rum.) – Dom Dracula.
- 4 Królewskie Kolegium Chirurgów.
- 5 Juan Ponce de León (ur. 1460 lub 1474, zm. 1521) – żeglarz, uczestnik wyprawy Krzysztofa Kolumba, poszukiwał źródła wiecznej młodości na podstawie legendy zasłyszanej od Indian.
- 6 Popularna angielska rymowanka. Autor tłumaczenia – nieznany.
- 7 Czasopismo „Tygodnik Lekarski”; wydawane na Węgrzech od 1857 r.
- 8 deschis (rum.) – jasny
- 9 Codail... (irl.) – Śpij, mój synu
- 10 B. Stoker, Gość Draculi, przeł. A. Bogdański [w:] Nie czytać o zmierzchu!, t. III, Warszawa 1983.